

ROBIN PILCHEM

Za oceanem

An Ocean Apart

Przełożyła z angielskiego
Maria Grabska-Ryńska

Książnica
Katowice 2002



PODZIĘKOWANIE

Napisanie tej książki zawsze wydawało mi się możliwe, lecz nie pewne. Za to, że jednak ujrzała światło dzienne, pragnę gorąco podziękować mojej żonie Kirsty, która wciąż była przy mnie, gotowa przeczytać kolejny rozdział, stronę, zdanie czy jeden wyraz. Wdzięczny też jestem mojej Mamie, Ros, za słowa zachęty i za to, że wielokrotnie - częściej niż chciałbym przyznać - wyciągała mnie z literackiego impasu. Moją dozgonną wdzięczność zaskarbili sobie również Matthew Gloag, Bill Lumsden i Tony Tucker za swą olbrzymią wiedzę o gorzelnictwie; Miranda Lindsay i Charlie Pank - dwoje studentów Oksfordu oddzielonych dekadą; David Nichol, który tłumaczył mi kwestie prawne, i Alexander Dundee, który przybliżył mi Izbę Lordów; i wreszcie Tom, mój niezwykle wydawca, który od dziesięciu lat namawiał mnie, abym chwycił za pióro, i wsparł, gdy poszedłem za jego radą.

ROZDZIAŁ 1

Jane Spiers ostrożnie prowadziła samochód w ulewnym deszczu. Zgarbiona nad kierownicą, wpatrywała się w rozmyty zarys drogi. Wycieraczki starego subaru nie nadążały zbierać wody walącej się z zimnych, szarych niebios, a dychawiczny ciepły nawiew też nie był w stanie osuszyć pary zebranej na wewnętrznej stronie szyb. To oczywiście była wina Artura. Siedział zgoniony w kojcu na tyle samochodu i ziajał. Jane uchyliła okno w nadziei, że przewiew poprawi sytuację, ale zamknęła je natychmiast, gdy lodowaty wichur w mgnieniu oka wyssał całe ciepło z samochodu. Mimo że mieszkała w Szkocji od czterdziestu lat, nie pamiętała tak zimnego maja.

Skreśliła z szosy w świeżo malowaną bramę opatrzoną znakiem „Droga prywatna” i ruszyła długą wyasfaltowaną aleją, obsadzoną z obu stron dębami, które dawały pewną osłonę przed wichurą. Wycieraczki opanowały sytuację i Jane wrzuciła wyższy bieg.

Pół mili dalej aleja przechodziła w zwirowany podjazd tworzący pętlę przed dużym wiktoriańskim domem. Jane podniosła z fotela rękawiczkę i przetarła nią wnętrze przedniej szyby, nie chcąc na ostatnich metrach zrujnować rabat lub przejechać któregoś z trzech czarnych labradorów, wybiegających zwykle gościom na spotkanie.

Tym razem ów komitet powitalny zawiódł; gdy jednak zaparkowała wóz przed domem, Artur siadł, postawił uszy i zaskomlał, przyciskając nos do siatki kojca. Spodziewał się gonitwy po ogrodzie w towarzystwie swoich trzech kumpli. Jane spojrzała w lusterku na jego zawiedzioną mordę.

- Zostań tu, piesku - powiedziała, naciągając kaptur kurtki przeciwdeszczowej i zawiązując go pod brodą. - Niedługo wrócę.

Przytrzymując mocno drzwi w obawie, że wiatr wyrwie je z rdzewiejących zawiasów, wygramoliła się z samochodu, zatrzęsnęła je i pobiegła truchtem do wejścia. Jako częsty gość w Inchelvie nie szukała nawet dzwonka, tylko uchyliła skrzydło ciężkich dębowych drzwi i weszła do środka.

- Halo! - zawołała. - Jest tu kto?

Nikt nie odpowiedział. Jane zdjęła okrycie i powiesiła je na haku w rzędzie ciężkich

tweedowych płaszczy i podgumowanych przeciwdeszczowych kurtek, a następnie odgarnęła nieco wędki, nakrycia głowy i narzędzia ogrodnicze zalegające ustawioną obok drzwi starą kościelną ławkę i przysiadła na niej, żeby zdjąć przemoczone buty.

- Hej! - zawołała ponownie, rozglądając się za jakąkolwiek żywą duszą. - Jest tu kto?

Hol Inchelvie House wznosił się na całą wysokość budynku. Centralne miejsce zajmowały w nim olbrzymie schody, w połowie dzielące się na dwa ciągi, które skręcały pod kątem prostym i prowadziły na obwiedzioną balustradą antresolę. Wyłożone ciemną boazerią ściany pyszniły się rzędem wielkich portretów rodzinnych, przemieszanych z dziwaczną kolekcją kusz, tarcz i dwuręcznych mieczy. Ponad nimi wisiało około czterdziestu nadjedzonych już przez mole wypchanych łbów jelenich. Jane uśmiechnęła się do siebie, jak zwykle nie mogąc się zdecydować, którą z tych ozdób uznać za najszeptniejszą.

Podniosła się z ławki i w samych pończochach podeszła do schodów. Z salonu dobiegał męski głos. Nie знаła go; pobrzmiewały w nim głębokie, poważne tony przywodzące na myśl prawnika lub księgowego. Najwyraźniej wybrała złą porę na wizytę. Wahala się przez chwilę, czy zawołać jeszcze raz czy po prostu cichutko wyjść, gdy drzwi w przeciwległym końcu holu otworzyły się. Ukazała się w nich małeńka siwowłosa staruszka niosąca tacę z zastawą do herbaty i kompletnie nieświadoma obecności Jane.

- Dzień dobry, Effie - odezwała się Jane półgłosem, nie chcąc jej przestraszyć. Pomimo to gospościa zatrzymała się gwałtownie, omal nie gubiąc zawartości tacy.

- Och, pani Spiers, ależ mnie pani wystraszyła! - wykrzyknęła, odzyskując równowagę. - Nie słyszałam, kiedy pani weszła.

Jane okrążyła schody i podeszła bliżej.

- Przepraszam, Effie. Wołałam dwa razy, dość głośno. - Uśmiechnęła się do staruszki, która doszła już do siebie po szoku. - Dziwne, że psy mnie nie słyszały. Zwykle nie marnują okazji, żeby trochę poszczekać. - Jane zerknęła na drzwi salonu. - Może przyszłam nie w porę? Zdaje się, że lady Inchelvie ma gościa.

Drobne ramiona Effie zatrzęśły się w stłumionym śmiechu.

- Nie, to telewizor tak wrzeszczy. Milady zawsze nastawia go strasznie głośno, to i nie dziwota, że nawet psy nic nie słyszą. - Zniżyła głos, jakby wyjawiała pilnie strzeżoną tajemnicę: - Puszczają bilard, rozumie pani, a milady uwielbia oglądać rozgrywki. Zwłaszcza gdy gra nasz młody Szkot, Stephen Hendry. Milady jest chyba jego największą wielbicielek! - Twarz Effie zmarszczyła się w uśmiechu, natychmiast jednak spoważniała na widok pary unoszącej się ze swetra i tweedowej spódnicy Jane w ciepłym holu. - A niech to! Ależ pani zmokła! Proszę mi nie mówić, że w taką pogodę chodziła pani z psem po wrzosowisku!

Jane potarła się po ramieniu; uwaga Effie nagle jej uświadomiła, iż rzeczywiście czuje się przemoknięta.

- Gdybym się bała deszczu, biedny Artur nie wychodziłby z domu przez dziewięć miesięcy w roku.

- Nie może pani tutaj stać, bo zaziębi się pani na śmierć. Siądzie pani przy ogniu, a ja zaraz podam gorącą herbatę. Czy lady Inchelvie oczekuje pani?

- Nie zapowiadałam się, bo... - Jane spojrzała gosposi prosto w oczy. - Prawdę mówiąc, Effie, mąż prosił, żebym sprawdziła, jak się tu miewacie. Celowo nie przychodził tu, bo... hm, cóż, powiedzmy tak: uznaliśmy, że lepiej, gdy ja wpadnę tu ot tak, na plotki, niż on jako lekarz rodzinny.

- Rozumiem. - Effie skinęła głową. - Wobec tego na razie nie powiem milady, że pani tu jest. Może usiadłaby pani w kuchni, dobrze? Podam jej herbatę i utniemy sobie pogawędkę.

- Naturalnie. Dzięki, Effie. - Jane odprowadziła staruszkę wzrokiem do drzwi salonu, po czym zawróciła do kuchni.

Kuchnia w Inchelvie House była duża i praktyczna, zupełnie inna od kuchni Jane, stanowiącej stylowe, przytulne serce domu. Tu panował modernistyczny wystrój lat trzydziestych; ściany pokrywała mdląco żółtawa lamperia, nie było wyściełanych krzeseł ani obrazków na ścianach, tylko rząd patelni i garnków wiszących na rzeźnickich hakach obok trzech oślepiających jarzeniówek nad wyszorowanym do białości drewnianym stołem. Surowa schludność tego pomieszczenia przywodziła Jane na myśl salę operacyjną z epoki wiktoriańskiej. Podeszła do starego pieca kaflowego i pochyliła się nad jego nieskazitelnie czystą płytą, by nieco ogrzać kości.

Drzwi za jej plecami otworzyły się i weszła Effie.

- No - sapnęła. - Zaraz nastawię czajnik i pogwarzymy sobie przy herbatce.

Jane przesunęła się, robiąc miejsce Effie z czajnikiem.

- Pomóc w czymś? - spytała.

- Nie, ja wiem, gdzie co jest. Pani niech siądzie sobie przy stole i powie mi, jakże się miewa nasz drogi doktor Spiers?

- Pada z nóg - odparła Jane, wysuwając sobie krzesło. - Przez tę paskudną pogodę wszyscy są zaziębieni, a połowa uczniów podstawówki w Dalnachoil leży z grypą. Mąż nie chce ich ciągać do gabinetu, toteż całymi dniami chodzi od domu do domu w wiosce i dogląda chorych.

Effie poruszała się po swojej kuchni jak automat, wydając filiżanki i spodki z walisjskiego kredensu, mleko z lodówki, i stawiając wszystko na stole.

- Ano, mamy szczęście, że trafiliśmy na takiego lekarza jak doktor Spiers - przyznała. Zdjęła parujący czajnik z ognia i wlała wrzątek do imbryka, po czym obróciła się do Jane, wycierając dłonie w fartuch. Na jej twarzy odmalowało się znużenie. - W ciągu ostatniego pół roku nieraz sobie myślałam, że gdyby nie on...

- Jak sobie radzicie? - spytała cicho Jane.

Effie zdjęła imbryk z pieca i postawiła go na stole.

- A, raz lepiej, raz gorzej, jak to bywa. - Nalała herbaty do dwóch filiżanek. - Ostatnio milady dosłownie urobiła sobie ręce po łokcie, żeby przygotować i wyprawić dzieci do szkoły. Rozumie pani, nie wróciły tam na początku semestru, bo to było ledwie dwa tygodnie od pogrzebu, a poza tym widzi mi się, że panicz David sam nie mógł się zdecydować, czy je stąd wywieźć, czy posłać do szkoły w wiosce. Może by i lepiej było im tu, z ojcem. - Effie westchnęła i przekrzywiła głowę. - Ale jak się orientuję, dzieciaki same postanowiły wracać. Że niby tam mają kolegów i w ogóle... - Urwała, jakby nieprzekonana tą argumentacją. - Chociaż czy ja wiem... Może naprawdę dobrze im zrobi powrót do szkolnej dyscypliny.

Jane kiwnęła głową, popijając herbatę.

- Myślę, że tak. Zmiana środowiska, lecz nie na całkiem obce. Sophie ma w tym roku egzaminy, prawda?

- Tak. Oj, jakie to dobre dziecko! No, właściwie już nie dziecko, tylko panna, prawie szesnastoletnia i taka rozsądna, zupełnie jak jej matka... - Głos Effie zadrzał. Przełknęła głośno ślinę. - Och, droga pani Spiers, tak trudno przywyknąć, że nie ma już tu z nami pani Davidowej...

Jane pochyliła się nad stołem, głaszcząc dłoń staruszki.

- Wiem. Mój mąż twierdzi, że przy przewlekłych chorobach, takich jak rak, rodzina ma czas przygotować się na to, co nieuniknione, i wstrząs jest mniejszy niż przy utracie kogoś bliskiego, kto odszedł wskutek, powiedzmy, zawału serca albo zginął w wypadku, ale ja jestem innego zdania. Nie sposób z góry pogodzić się ze śmiercią kochanej osoby.

Effie skubała fartuch ze wzrokiem wbitym w kolana. Usta jej drżały. Jane postanowiła zaryzykować następne pytanie.

- A jak młodsze dzieci?

Gospodyni głęboko wciągnęła powietrze i jakby chcąc czymś zająć ręce, dołała herbaty do obu filiżanek, choć Jane ledwie napiła swoją. Potem wyciągnęła z kieszeni fartucha chusteczkę i otarła oczy.

- O, trzymają się lepiej, niż można by się spodziewać - oznajmiła, bohatercko próbując się uśmiechnąć, mimo że głos wciąż jej drżał. - Chyba jeszcze nie całkiem do nich dotarło, że

straciły matkę. Charlie, jak to chłopak, zaraz po pogrzebie ciągnął brata pani Davidowej na dwór, żeby pograć w piłkę. A mała Harriet... cóż, Sophie wzięła ją pod swoje skrzydła. Chwała Bogu, że wszyscy troje są w tej samej szkole. - Effie pochyliła się ku Jane i dodała tkliwie: - Sophie będzie im matkować, może pani być pewna.

Jane skinęła głową z uśmiechem.

- Każdy ma tu ważne zadanie do wykonania, Effie, pani także. Jest pani częścią rodziny i wątpię, czy sami daliby sobie radę.

Nieprzyzwyczajona do tak otwartych pochwał staruszka pokraśniała, zerwała się z krzesła i zaczęła sprzątać naczynia ze stołu.

- O, wszyscy robimy, co kto może - bąknęła, otwierając zmywarkę.

Jane odstawiła dzbanuszek z mlekiem do lodówki, grając na zwłokę przed zadaniem następnego pytania.

- A David? Jak on się trzyma?

Effie zamknęła zmywarkę i odwróciła się do Jane. Milczała. Na jej twarzy skupienie mieszało się z rozterką, jak gdyby nie mogła znaleźć odpowiednich słów. W końcu potrząsnęła głową.

- Naprawdę nie wiem, pani doktorowo. Dla dzieci był bardzo dobry, jak zawsze, kiedy są w domu, grał z nimi w tenisa, chodził na ryby i tak dalej, ale robił to jakby... z przyzwyczajenia. Czegoś w nim brakło. Myślni był chyba gdzie indziej. - Effie wzięła ścierkę i machinalnie wytarła nią ociekacz do naczyń. Potem wolno pokiwała głową. - Tak, teraz gdy o tym myślę, wydaje mi się, że zabrakło mu śmiechu. - Spojrzała Jane prosto w oczy. - Pewnie, że trudno mu się na czymkolwiek skupić, kiedy dopiero co stracił żonę. Doktor mówił pani, że od grudnia panicz David sam ją pielęgnował? - Staruszka obróciła się do okna i dodała szeptem: - Widzi mi się, iż tak ją kochał, że jego serce umarło razem z nią...

Jane podeszła do niej i serdecznie objęła drobne ramiona Effie.

- Rozumiem. Wiem, ciężko pani o tym mówić, i tym bardziej dziękuję pani za szczerość, Effie. - Czując, iż powinna zmienić temat, spojrzała na zegar wiszący nad piecem. - Boże, już wpół do piątej! Nie przypuszczałam, że jest tak późno!

Effie odruchowo zerknęła na zegar.

- Oj, pani doktorowo, co też mnie napadło, żeby tak zawracać pani głowę! - Ruszyła ku drzwiom, znów wycierając dłonie w fartuch. - Zaprowadzę panią do lady Inchelvie.

- Proszę się nie kłopotać, sama trafię - uśmiechnęła się Jane. - Pewnie ma tu pani dość roboty.

- Co to, to tak. Muszę wstawić ziemniaki na kolację. Lord Inchelvie ma dziś jakieś

spotkanie w wiosce, więc będziemy jedli wcześniej.

- Naturalnie. A ja pani przeszkadzam. - Jane podeszła do drzwi i jeszcze raz się obejrzała. - Głowa do góry, Effie. Naprawdę jest pani filarem tego domu. To pani uśmiech podtrzymuje ich na duchu.

Fala dźwiękuomal nie zwała Jane z nóg w drzwiach salonu. Dyskretny zazwyczaj komentarz sprawozdawcy brzmiał tak, jakby rozlegał się przez megafon.

...jeśli Hendry uderzy w różową bilę pod właściwym kątem, ta jako trzecia z rzędu trafi do tuzy...

Trzy czarne labradory posłyszały jednak otwierane drzwi i każdy szczeknął krótko, nim poznały Jane. Zerwały się ze swego miejsca przy kominku i obskoczyły ją, wywijając z radości ogonami.

- Cześć, chłopcy - mruknęła, głaszcząc wielkie psie łby.

W końcu salonu, w wysokim fotelu przed telewizorem poruszyła się jakaś postać.

- Czy to ty, Effie?

- Nie, to ja, Jane! - odrzyknęła Jane, której łaszące się psy nie pozwoliły postąpić ani kroku.

Alicja Inchelvie wychyliła się z fotela i opuściła nieco głowę zerkając znad okularów.

- Jane! Co za miła niespodzianka! Tak się cieszę, że wpadłaś! - Wyłączyła telewizor pilotem i dźwignęła się z fotela, nabijając równocześnie duży kłębek czerwonej włóczki na dwa monstrualne druty do robótek, po czym zdjęła okulary i dość sztywno podreptała w stronę drzwi. - Psy! Marsz na miejsce! Pozwólcie biednej Jane wejść do pokoju!

Alicja Inchelvie była wysoka, trzymała się prosto, ubierała w tweedowe spódnice i eleganckie kaszmirowe blzery. Siwe włosy nosiła ściągnięte na tył głowy i nikt nie odgadłby, że ma już siedemdziesiąt osiem lat. Jednakże dziś, widząc ją po raz pierwszy od pogrzebu, Jane Spiers zauważyła zmiany. Minione pięć tygodni nacechowało twarz Alicji wyrazem napięcia i krańcowego zmęczenia. Równocześnie Jane była pewna, że w obecności rodziny Alicja niezmiennie prezentuje siłę, spokój i gotowość do pomocy.

Dwa psy natychmiast usłuchały komendy i wróciły pod kominek. Trzeci, siwiejący olbrzym o zmętniałych oczach i najwyraźniej szwankującym słuchu, wciąż merdał ogonem patrząc z uwielbieniem na Jane i skutecznie uniemożliwiając jej wejście do salonu.

- Horacy!!! Na miejsce!!! - wrzasnęła Alicja, gestykulując jak policjant na skrzyżowaniu. - I leżeć!!! - Ponownie machnęła ręką. Drugą, w której trzymała druty, wskazała w stronę kominka. Horacy tym razem musiał coś dosłyszeć, bo zerknął z ukosa na

swoją panią, jakby dziwiąc się, dlaczego wymachuje tym czymś dziwnym i ostrym, po czym potulnie powlókł się za młodszymi psami.

- Przepraszam - powiedziała Alicja normalnym tonem. - Horacy jest już prawie zupełnie głuchy, podobnie jak ja. Trzeba do nas wrzeszczeć. Jak się masz, kochana? - Podeszła do Jane i ucałowała ją w oba policzki. - Chodź, siadaj tu, przy ogniu. Co za obrzydliwy dzień! Napij się herbaty? Ja właśnie skończyłam, ale zaraz poproszę Effie...

- Nie, dzięki - wtrąciła Jane. - Prawdę mówiąc, piłam herbatę z Effie w kuchni.

Alicja spojrzała na nią zaskoczona.

- Coś takiego! W ogóle nie słyszałam, kiedy weszłaś. Długo tu jesteś?

- Jakieś trzy kwadransy. Miałam z Effie do pomówienia, a poza tym - Jane uśmiechnęła się znacząco - nie chciałam przerywać transmisji!

- A, więc Effie doniosła ci o mojej skrywanej słabostce? - zaśmiała się Alicja, siadając znów w fotelu. - Muszę przyznać, że snooker strasznie mnie wciąga, zresztą miło popatrzeć, jak Szkoci są górą! Napawa mnie to patriotyczną dumą, choć podejrzewam, że umiejętność gry w bilard świadczy o niezbyt przykładowym życiorysie!

- No pewnie! - odparła Jane. - Kto by się uczył, mogąc zarobić na pykaniu w bile!

Obie parsknęły śmiechem i Jane wreszcie poczuła się swobodnie. Obawa, że żałoba oddali od niej długoletnią przyjaciółkę, okazała się bezpodstawna. Wciąż nadawały na tych samych falach, wciąż umiały się razem śmiać.

Alicja nałożyła okulary, zdjęła kłębek wełny z drutów i podjęła robótkę. Milczała przez chwilę, jakby jej myśli wędrowały gdzieś daleko. Potem podniosła wzrok i uśmiechnęła się do Jane.

- Tak się cieszę, że wpadłaś, moja droga. Bardzo mi cię brakowało. Jak sama wiesz, życie nas ostatnio nie rozpieszcza.

- Wiem. Powinnam była przyjść wcześniej, ale nie chciałam się narzucać. - Jane przyjrzała się robótkce. - Co to będzie?

- Sweter, który Sophie zaczęła robić w czasie wakacji. Najwyraźniej to ostatni krzyk mody: wielkie, naciągnięte swetrzysko z rękawami co najmniej o sześć cali dłuższymi od rąk. Sylwetka „na kloszarda” czy jakoś tak. - Alicja zerknęła na Jane znad okularów. - Zabrałam ją do Inverness, żeby jej taki kupić, ale wszystkie były z syntetyku, toteż w końcu nabyliśmy wzór i tę stanowczo zbyt jaskrawą włóczkę. - Odsunęła bezkształtną dzianinę na długość ramienia i skrzywiła nos, jakby niepewna, co też z tego wyjdzie. - Mam wrażenie, że wyrośnięty goryl górski wyglądałby w tym znacznie lepiej niż moja wnuczka.

- No cóż - dodała usłużnie Jane - jeśli Sophie się nie spodoba, zawieziesz go do zoo w

Edynburgu.

- Nie mówiłam tego, żebyś się ze mną zgodziła - odparowała Alicja urażonym tonem.
- Powinnaś była powiedzieć: „Ależ nie, to przecież arcydzieło!” lub coś w tym guście. -
Zaśmiała się, zwinęła robótkę, włóczkę i druty w jeden węzełek i rzuciła go na sofę. - Tak czy
owak, zupełnie nie wiem, po co przy tym dłubię, skoro mam gościa. A teraz - dodała wstając i
przepychając się pomiędzy psami, żeby dorzucić drew do kominka - mów, co słyhać na
świecie. Całkowicie wypadłam z obiegu.

Przez następne pięć minut Jane zdawała sumienną relację z najważniejszych wydarzeń
w okolicy - że ulewy rozmyły drogę pomiędzy Dalnachoil i Achnacudden i wojska obrony
terytorialnej musiały przyjść na pomoc przeciążonym pracą brygadam drogowym, budując
tymczasowy most ponad ziejącą wyrwą; że pani Mackenzie, naczelniczce poczty w
Dalnachoil, z powodu wilgoci doskwiera artretyzm, i to taki, że „kostki mi spuchły dosłownie
jak balony, droga pani Spiers, i teraz obsługuję ludzi w kapciach, do czego to podobne!”; że
cała wioska wypytuje o państwa z Inchelvie i przesyła uszanowania; w końcu zaś i o tym, że
w miejscowej szkole szaleje grypa, toteż Roger kolejno odwiedza dzieci w domach, nie chcąc
szerzyć epidemii w swoim gabinecie.

Alicja zerknęła na nią z troską.

- Wiesz co, moja droga, twój mąż chyba trochę za ciężko pracuje. Zdaje się, że w
zeszłym roku miał przejść na emeryturę? To, co zaraz powiem, zabrzmii idiotycznie, bo
przecież opiekował się naszą Rachel, ale czy teraz nie mógłby zrzucić wizyt domowych na
barki któregoś z młodszych wspólników? Muszą nauczyć się obchodzić bez niego.

Jane usiadła głębiej i westchnęła.

- Wiem, i nie myśl, że nie suszyłam mu głowy z tego powodu. Co więcej, jeden z tych
młodych lekarzy dzwoni do mnie dość często i napomyka, żebym delikatnie przekonała
Rogera, by dał już sobie spokój. Tak więc znalazłam się między młotem a kowadłem. Zresztą
- puściła oko do Alicji - obie jedziemy na tym samym wózku, nieprawdaż? Twój mąż też
powinien już odpocząć, a wciąż pracuje.

Alicja uśmiechnęła się.

- To prawda, ale nasza sytuacja jest bardziej... wyjątkowa.

- Naturalnie. Powiedz mi, jak George się czuje?

- Jak wszyscy tutaj; jest wykończony, choć przypuszczam, że w głębi ducha cieszy go
powrót do aktywnego życia. Tyle że jeśli ktoś od dziesięciu lat jest na emeryturze i nagle
musi podjąć pracę od nowa, to jego organizm naprawdę doznaje wstrząsu. Nie twierdzą
jednak wcale, iżby George był przeciążony. Duncan Caple, nowy dyrektor Glendurnich,

dokonuje cudów prowadząc całą firmę, w tym także dział marketingu, którym dotąd zajmował się David, ale George uważa, że jako prezes i główny udziałowiec, a przede wszystkim ojciec Davida, musi im pomóc w miarę swoich sił, zwłaszcza że rynek whisky jest w tej chwili bardzo niestabilny. Oczywiście nie będę nawet udawać, że się na tym znam, ale sama widzę, że George ma coraz więcej spotkań, narad i obiadów służbowych. - Alicja umilkła na chwilę, podparła twarz dłonią i westchnęła. - Powiem ci, że najbardziej nas męczy powrót do napiętego rozkładu codziennych zajęć, od którego oboje zdążyliśmy już odwyknąć. Ranne wstawanie i trójka dzieci pod opieką! Jedno z nas musiało stale być na zawołanie, nie mówiąc o tym, że musieliśmy je przygotować i spakować do szkoły. Nieba! Tuż przed wyjazdem Charlie zmusił mnie do uruchomienia maszyny do rzutków! Wyobrażasz to sobie? Ja, beznadziejny antytalent mechaniczny! Oczywiście rzutki leciały na wysokości kolan, a Charlie krzyczał: „Babciu, nie ma z ciebie żadnego pożytku!” - Alicja roześmiała się i pochyliła w krzesło. - Prawdę mówiąc, dziś chyba po raz pierwszy od miesiąca pozwoliłam sobie na chwilę lenistwa!

- Tak mi przykro, Alicjo - wtrąciła Jane. - A ja wtargnęłam tu i przerwałam ci wypoczynek!

Alicja machnęła ręką.

- Nie pleć głupstw, moja droga. Rozmowa z tobą to balsam dla mojej duszy. Przyznaj się: to Roger mi go przepisał, co?

- Skąd wiesz? - Na twarzy Jane odmalowało się zaskoczenie. - Oczywiście masz rację. Roger wysłał mnie na przeszpiegi, jak sobie radzicie. Dlatego najpierw ucięłam sobie pogawędkę z Effie. Wolałam sprawdzić, czy nie przyszedłam tu w nieodpowiedniej chwili. - Jane urwała na moment i dodała: - Słyszałam od niej, że David wciąż jest bardzo zamknięty w sobie.

- Owszem - przyznała cicho Alicja. Jeden z labradorów przesunął się i ułożył głowę na jej stopie. Pochyliła się i pogłaskała lśniący czarny łeb. - Przeraza mnie, że David przeżywa coś, czego żadne z nas nie doświadczyło. Stracił partnerkę życiową. To takie niesprawiedliwe. - W głosie Alicji zabrzmiały gorycz i gniew. - Pomyśl, wielu naszych przyjaciół już owdowiało. W pewnym sensie nikogo to nie dziwi. Ale mnie czy ciebie to nie dotknęło... - Alicja urwała i odgarnęła za ucho kosmyk siwych włosów, wpatrując się w ścianę gdzieś nad głową Jane. - Przepraszam, nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało. Chyba po raz pierwszy powiedziałam to głośno. Ja... ja po prostu się czuję winna.

- To poniekąd normalne - odezwała się łagodnie Jane. - Ból po stracie kogoś bliskiego przejawia się buntem albo poczuciem winy. Popatrz na to z drugiej strony: David może

mówić o szczęściu, że będąc po czterdziestce ma jeszcze oparcie w obojgu rodzicach. Czy byłby w stanie poświęcić tyle czasu Rachel, gdyby nie ty i George? Dobrze mieć przyjaciół, lecz jeszcze lepiej mamę i tatę. Sądzę, że David jest w pełni tego świadom.

- Wiem, wiem, ale czuję się taka... bezużyteczna. Chciałabym mu jakoś czynnie pomóc. Nie daje mi jednak szansy. Gdyby się otworzył, gdyby zaczął mówić, ale on wciąż tłumi wszystko w sobie. Nie pamiętam, by od pogrzebu Rachel choć raz wymówił jej imię. Zachowuje się tak, jak gdyby nigdy jej nie było, choć wiem, że ciągle myśli tylko o niej. Czasami mam ochotę mocno nim potrząsnąć... - tu Alicja głęboko wciągnęła powietrze - a potem przytulić.

Zapadła cisza. Słysząc było tylko deszcz siekący o szyby czterech dużych okien. Jane spojrzała przez ramię na czarne burzowe chmury, które okryły niebo, i pomyślała sobie, jak bezlitośnie natura podkreśla tragedię, która dotknęła ten dom. Instykt podpowiadał jej, że nie powinna drażnić tematu. Dość już padło słów, po co głębiej rozdrapywać rany. Obróciła się do okna i potrząsnęła głową.

- Uwierzyłybyś, że to już maj? - Zerknęła na srebrny zegar na kominku. - Dopiero kwadrans po piątej, a jest prawie ciemno... kwadrans po piątej? Boże, co ja tu jeszcze robię? Biedny Artur przez cały czas siedzi w samochodzie! Obiecałam mu, że za chwilę wrócę. Pewnie do tej pory zjadł już cały kojec! - zaśmiała się wstając.

Alicja z wysiłkiem dźwignęła się z fotela.

- Moja droga, powinnaś go była zabrać ze sobą. Nasze psy tak chętnie się z nim bawią.

- Nie, narobiłby tylko zamieszania. Nie ma tak dobrych manier jak twoi pupilki. Poza tym odbyliśmy piękny długi spacer po wrzosowiskach i jest ubłocony od stóp do głów.

- Szczęściarz, ma panią skłoną do poświęceń. Muszę przyznać, że ja nie byłabym do tego zdolna. Nasz dzisiejszy spacer wyglądał tak, że podeszłam do drzwi, otworzyłam je i wypchnęłam psy na dwór na dziesięć minut. Ani myślę wychodzić w taką pogodę! - Alicja zbliżyła się do okna i rozwiązała sznur podtrzymujący ciężką adamaszkową zasłonę. - I do tego wcale nie zanosi się na jakąkolwiek poprawę. Lepiej to zakryć, nie uważasz?

Jane podeszła do środkowego okna, żeby zaciągnąć storę. Odczepiając sznur, spojrzała w mrok zapadający nad ogrodem. Nawet teraz wyglądał on pięknie. Długie gładkie trawniki, obsadzone wielkimi dębami i bukami, spływały majestatycznie ku ciemnym, chłostanym deszczem wodom jeziora. Ich monotonię urozmaicały kręte rabaty kwiatowe, azalie i różaneczniki w pierwszej fazie kwitnienia. Żonkile, wciąż kwitnące dzięki przedłużonej zimie, dumnie unosiły w górę żółte łebki, błyszcząc wyzywająco na tle wszechobecnej szarości gasnącego dnia. Na prawo od trawników, gdzie dwie równoległe ścieżki biegingy

pośród schludnie przystrzyżonych żywopłotów do ogrodowego muru, widać było zmiany - świeżo rozkopaną ziemię dwóch nowych rabat, symetrycznych do leżących po zachodniej stronie trawnika. Jane właśnie miała zagadnąć o nie Alicję, kiedy jej uwagę zwrócił ruch na ostatniej grządce z prawej. Zbliżyła twarz do okna, przysłaniając ją dłońmi, by odciąć dopływ światła z pokoju.

- Alicjo, tam są...

- Dwaj faceci, którzy właśnie przemakają do nitki, babrząc się w błocie - dokończyła Alicja stając obok niej i również przybliżając twarz do szyby.

- Co oni robią? - Jane wyteżyła wzrok, usiłując przebić nim zapadający zmierzch.

Alicja wybuchnęła śmiechem.

- Moja droga, nie poznajesz ich? To David i Jock, mąż Effie. Od rana sadzą róże na nowej rabacie.

Jane obróciła się i spojrzała na nią z niedowierzaniem.

- W takim deszczu? Po co? Dostaną zapalenia płuc!

- Uwierz mi, nie jestem w stanie ich od tego odwieść. Przez ubiegłe pięć miesięcy ten ogród trzymał Davida przy życiu.

- Nie rozumiem...

- Pamiętasz, jak w grudniu, po pierwszej chemoterapii Rachel, David zrezygnował z pracy w Glendurnich i przeprowadził się tu wraz z rodziną?

- Tak, oczywiście. - Jane odsunęła się od okna, by Alicja mogła je zasłonić.

- Otóż George uznał wtedy, że byłoby dobrze, gdyby chłopak miał się czym zająć, poprosił go więc o pomoc w zarządzaniu posiadłością. - Alicja odeszła od okna i oparła się o tył sofy. - Naturalnie David szybko się zorientował, że zarządca doskonale daje sobie radę bez jego pomocy. Ale przy tej okazji znalazł w kantorku plan ogrodów, sporządzony, gdy budowano dom. Jak się okazało, niektóre rabaty znikły; podejrzewam, że obsiano je trawą w czasie wojny światowej, kiedy brak było ludzi do pracy. Tak więc David postanowił przywrócić ogrodowi dawny kształt. Od tamtej chwili spędzał w nich dosłownie każdą wolną minutę. Kiedy Rachel była na terapii w Inverness albo po prostu spała, biegł do ogrodu, studiował te stare plany i kopał jak szalony. - Alicja zaśmiała się krótko i wstała. - Gdzieś po drodze dokooptował Jocka. Biedny staruszek chyba nigdy w życiu tak ciężko nie pracował!

Podeszły do trzeciego okna. Na zewnątrz było teraz prawie zupełnie ciemno, toteż obie przytknęły ręce do szyby. Dwie postacie zbliżyły się ku domowi, padała na nie wątła smuga światła z okna, w którym stały Jane i Alicja. David z gołą głową i mokrymi włosami przylepionymi do czaszki mówił coś do Jocka, który okutany wielkim rybackim sztormiakiem

zerkał spod równie wielkiej zudwestki na trzymany przez Davida plan.

Przyjaciółki cofnęły się odruchowo, nie chcąc, by przyłapano je na wścibstwie. Alicja uśmiechnęła się ze smutkiem.

- W ciągu minionych pięciu miesięcy ten ogród wchłonął olbrzymią dozę żalu i buntu
- powiedziała zaciągając story.

ROZDZIAŁ 2

George Inchelvie zamknął leżącą na biurku teczkę i zakręciwszy wieczne pióro, wetknął je do wewnętrznej kieszeni tweedowej marynarki. Nagły poryw wichru uderzył deszczem w okno gabinetu. Mężczyzna obrócił się w fotelu i spojrzał na rząd młodych brzózek, posadzonych w zeszłym roku, by w przyszłości osłoniły nowy parking. Cienkie gałązki gięły się, pokornie znosząc chłostę żywiołów.

Zerknął na zegarek. Było wpół do piątej. Nacisnął guzik interkomu i niemal natychmiast rozległ się cichy, nacechowany miejscowym akcentem głos:

- Tak, milordzie?

- Wychodzę dziś wcześniej, Mhairi. Wieczorem mam zebranie w Dalnachoil, a chcę dotrzeć do domu, zanim pogoda jeszcze się pogorszy. Czy masz coś dla mnie?

- Zaraz sprawdzę, milordzie. - Rozległ się szelest przewracanych stron. - Nie, niczego takiego nie wiozę.

- Dobrze. Potwierdziłaś mój udział w konferencji w Glasgow?

- Tak. Zarezerwowałam panu pokój w Devonshire Place na wtorek i środę.

- Świetnie. Sprawdź, czy jest on dwuosobowy, na wypadek gdyby lady Inchelvie chciała mi towarzyszyć.

- Tak jest, milordzie.

- Dziękuję, Mhairi. Do jutra.

- Dobranoc, milordzie. Proszę uważać na drodze.

- Będę jechał ostrożnie - rzekł rozbawiony macierzyńską troską tej młodej dziewczyny. Wyłączył interkom i sięgnął po laskę leżącą na brzegu biurka. Potem wstał, opierając się jedną ręką na lasce, drugą o blat, i czekał chwilę, przygotowując się na ostry ból, który przeszyje mu nogę, gdy zrobi pierwszy krok.

Dawniej niewiele myślał o ranie odniesionej w Holandii w czasie wojny, choć kula wówczas ledwie o dwa cale minęła kręgosłup, lecz teraz ziąb i wilgoć, a także brzemię lat, nie pozwalały mu już o niej zapomnieć.

Obrócił się na pięcie o dziewięćdziesiąt stopni, tak że stał teraz twarzą do wieszaka na

pałta. Wolną rękę przycisnął mocno do pleców i postąpił naprzód. Miał wrażenie, że rozpalony nóż wbija mu się w lewy bok, ale szedł dalej. Wiedział już, że po pewnym czasie ból stopniowo ustąpi. Dotarł do wieszaka, zdjął zeń stary tweedowy płaszcz i narzucił go na siebie, następnie przełożył laskę do drugiej ręki, wcisnął na głowę wyświechtany kaszkiet i otworzył drzwi. Wszedł do wielkiej otwartej hali biurowej Glendurnich Distilleries Ltd., kierując się ku szklanym drzwiom prowadzącym do recepcji.

Nie podobał mu się nowy wystrój biura, ale choć był tu prezesem, czuł, że krytyczne słowa mogą zostać odebrane jako wyraz nostalgii starego piernika. Zanim przeszedł na emeryturę, biura wyglądały tak samo jak w 1852 roku, kiedy jego prapradziadek Alasdair Corstorphine wyprodukował tu pierwszą butelkę whisky. Przypominały królikarnię złożoną z ciasnych dębowych klitek, połączonych wąskimi korytarzykami prowadzącymi też wprost do destylarni i przez to wciąż pełnymi wpadających na siebie pracowników zarządu, sekretarek i robotników. George zawsze miał wrażenie, że ta struktura, wprowadzona rozmyślnie bądź mimochodem, stworzyła podwaliny sukcesu firmy. A wszystko zaczęło się w 1882 roku, kiedy to książę Walii przypadkiem skosztował whisky z Glendurnich w jednym z wielu odwiedzanych klubów. W ciągu tygodnia jej marka stała się głośna dzięki towarzyskim kolumnom wszystkich gazet w kraju. Następca tronu - pisano - tak zasmakował w trunku z Glendurnich, że „nader często odwiedza teraz matkę w zamku Balmoral”.

Do końca roku 1889 produkcja Glendurnich wzrosła dwukrotnie, osiągając sześćdziesiąt sześć tysięcy galonów rocznie, a już w roku następnym Alasdair Corstorphine został oficjalnym dostawcą szkockiej whisky na dwór królewski. W roku 1906 jego syn Ralph, który oprócz zarządzania firmą znalazł też czas na pracę w parlamencie, otrzymał dziedziczny tytuł szlachecki za zasługi dla kraju i jego przemysłu. Przybrał wtedy nazwisko lorda Inchelvie od olbrzymiej, acz mało stylowej rezydencji, którą zbudował na wrzosowiskach w pobliżu Grantown-on-Spey.

Wszystkie te zaszczyty postrzegano jednak jako osiągnięcia całej firmy i rodzina Corstorphine'ów nigdy o tym nie zapomniała. Podstawą hierarchii była raczej wiedza o produkcji whisky niż zajmowane stanowisko. Jednym z ulubionych wspomnień George'a było to, jak jego ojciec, podówczas już prezes zarządu firmy, stał oparty o kaloryfer w jednym z korytarzy, chłonec rozmaite szczegóły techniczne z ust młodych braci McLachlanów, z których jeden wodził rej w destylarni, a drugi w słodowni. Spotkali się, gdy on szedł na zebranie, oni zaś - na obiad do stołówki.

Ale teraz korytarze, kantorki i wspomnienia zostały stąd wymiecione za radą londyńskiego architekta. George oglądał ów projekt i dołączony do niego list, w którym

architekt twierdził, iż jego wizja „tworzy funkcjonalną otwartą przestrzeń pracy, mogącą sprostać wymogom nowoczesnej technologii i pozwalającą pracownikom na elastyczne wykorzystanie zintegrowanej sieci komputerowej, ta zaś pozwoli stworzyć system informacyjny, dzięki któremu zoptymalizowane zostanie zarządzanie i osiągnięte cele wytyczone przez firmę na nowe tysiąclecie”.

Uznał wtedy list i projekt za snobistyczny wymysł. Co gorsza, nowa koncepcja praktycznie odcinała pracowników gorzelni od biurowca - ich stołówka została dobudowana do hal fabrycznych, by w ten sposób skrócić łączny czas przerw w pracy.

George uśmiechnął się do siebie. Być może robotnicy odczuli ulgę, gdy przestało im grozić natknięcie się na prezesa i zmarnowanie w rozmowie z nim połowy przerwy obiadowej. W każdym razie odkąd przed pół rokiem powrócił do pracy w firmie, nieraz wbrew sobie przyznawał w duchu, że nowy biurowiec, choć bezosobowy, tworzył aurę świeżości i profesjonalizmu, której brakowało w ciasnych korytarzach i dusznych kantorkach. Co więcej, było tu dość miejsca dla ludzi zajmujących już około dwudziestu cenionych miejsc pracy, stworzonych w wyniku nieustannego rozwoju Glendurnich.

Ale to nie oznaczało, że musi mu się tu podobać. Swoim wolnym, ostrożnym krokiem mijał wrące pracą zespoły stanowisk - księgowość, marketing, zbyt - świadom, że powłóczywszy nogami dziadek z laską musi wydawać się krzyczącym anachronizmem tej młodzieży, posługującej się kosmiczną technologią dla dobra jego firmy. A jednak gdy kuśtykał obok nich, młode twarze podnosiły się zza biurka i odwracały od ekranów komputerów z pełnym szacunku „Dobry wieczór, milordzie”. Odpowiadał z uśmiechem, zwracając się do nich po imieniu, jeśli je pamiętał.

Przeszedł tak trzy czwarte sali, gdy młody mężczyzna zajmujący biurko najbliższe szklanych drzwi zerwał się z miejsca i otworzył je przed George'em. Musiał czekać co najmniej piętnaście sekund, nim prezes w końcu do nich dotarł.

- Proszę, milordzie - rzekł z uśmiechem.

- Dziękuję ci bardzo, ee... - George spojrział na niego. - Przepraszam, jak ci na imię?

- Archie McLachlan, milordzie.

George zaskoczony uniósł brwi.

- Czyżbyś był krewnym braci McLachlanów?

- Owszem. Jestem wnukiem Gregora.

- Ależ to niesamowite. Wychodząc z biura wspominałem właśnie obu braci. Stali się legendą w tej fabryce, wiesz o tym?

W oczach młodego człowieka błysnęła duma.

- Nieraz mi o tym mówiono, milordzie.

- Cieszę się, że McLachlanowie wciąż są w firmie. - George zerknął na biurko Archiego. - Pracujesz w dziale zbytu?

- W tej chwili. Jestem na rocznym stażu. Dziewięć miesięcy pracowałem w produkcji, a teraz skierowano mnie do biura.

- To świetnie. - George wyciągnął rękę do młodzieńca. - Podtrzymujmy rodzinne tradycje!

Archie ujął dłoń starego lorda i potrząsnął nią, jakby przypieczętowując umowę.

- Chętnie będę tak właśnie o tym myślał, milordzie - rzekł z powagą.

George mrugnął doń łobuzersko i wyszedł do obszernego holu. Tylko ta część budynku ocalała przed niszczycielskimi zapędami architektów. Cztery stare, obite skórą sofy tuliły się do ścian wyłożonych boazerią, na których wisiały sepiowe fotografie przedstawiające gorzelnię na przełomie XIX i XX wieku. Rzeźbiony dziadkowy zegar tykał sobie kojąco pomiędzy dwiema przeszklonymi witrynami, w których oczom widza prezentowały się butelki whisky z Glendurnich rozlewane specjalnie na ważne okazje - między innymi „Victory” z lat 1918 i 1945 oraz „Coronation” z 1903. Pomiedzy butelkami stały kolejne zdjęcia: rodzina królewska zwiedzająca fabrykę, dalej prezentacja na turnieju golfowym, jeszcze dalej jacht sunący pod wiatr w takim przechyle, że zdawał się zaprzeczać prawu ciężenia. Na jego wydętym spinakerze widniał firmowy znak Glendurnich. Pyszniły się tam również dwa srebrne puchary zdobyte przez zakładową drużynę hokejową.

Ale chyba najcenniejszym z widniejących tu okazów była Margaret, recepcjonistka. Nie musieli zatrudniać ochrony, gdy ta potężna i władcza dama, zwracająca się do ludzi tak, jakby co do jednego byli głusi, strzegła bacznie wejścia.

Czterdzieści lat temu Margaret podjęła pracę w hali maszyn dzięki wstawiennictwu ojca, kierownika fermentowni. Pięć lat później zaoferowano jej posadę recepcjonistki i od tamtej chwili panowała za ladą w holu, jednym okiem kontrolując centralkę telefoniczną, a drugim drzwi. Kiedyś ktoś napomknął o wysłaniu jej na emeryturę, lecz zarząd błyskawicznie i jednogłośnie oddalił wniosek. Od tamtej chwili uważano powszechnie, że odejście Margaret przyniosłoby Glendurnich pecha, podobnie jak zniknięcie kruków strzegących londyńskiej twierdzy Tower. Po części właśnie z powodu Margaret hol recepcyjny oparł się wszelkim zmianom.

Gdy George pojawił się w szklanych drzwiach, podniosła wzrok znad biurka:

- O, idzie pan już do domu?

- Tak, mam zebranie w Dalnachoil. Pomyślałem, że wybiorę się trochę wcześniej, bo

pieska dziś pogoda.

Margaret podźwignęła bujne ciało, obeszła krzesło i schyliła się, by podnieść coś z podłogi. Przez chwilę jedynym widocznym obiektem była jej rozłożysta tylna część ciała, okryta kraciatym tartanem.

- Proszę chwilę poczekać - dobiegł spod lady nieco zduszony głos. Po chwili ukazała się zaróżowiona z wysiłku Margaret, dzierżąca w dłoniach obszerny płaszcz przeciwdeszczowy oraz wielki kolorowy parasol. - Odprowadzę pana do samochodu. Przemóklby pan do suchej nitki.

- To bardzo miło z twojej strony, Margaret, ale naprawdę nie trzeba... - Tu głos George'a utonął w donośnej ripostie, wygłoszonej tonem nagany:

- Ani słowa więcej, milordzie. Proszę mi tylko pozwolić nałożyć płaszcz i razem stawimy czoło żywiołom. - Położyła parasol na ladzie i zaczęła się wbijać w deszczowiec. - A proszę mi powiedzieć - zapytała prawie normalnym głosem - jakże się miewa panicz David?

- Dość dobrze. Musi jeszcze uładzić sobie parę spraw, ale jestem pewien, że niedługo wróci do pracy.

- Ano, mam nadzieję, milordzie, bo wszystkim nam tu bardzo go brakuje. - Recepcjonistka dopięła płaszcz i zaciągnęła pasek na potężnym brzuchu. - Proszę mu przekazać pozdrowienia.

- Dziękuję, moja droga, przekażę.

Byli już prawie w drzwiach, gdy zadzwonił telefon. Margaret pospieszyła z powrotem, podniosła słuchawkę i ryknęła do niej:

- Halo, tu recepcja! Słucham, panie Caple! Tak, lord Inchelvie jeszcze tu jest, ale właśnie wychodzi, bo ma dziś zebranie! No, dobrze, powiem mu! Dobrze, panie dyrektorze! - Odłożyła słuchawkę. - Pan Caple prosi, żeby poświęcił mu pan chwileczkę. Mówi, że zaraz tu będzie.

- Tak jest zawsze, kiedy człowiek chce się urwać trochę wcześniej - uśmiechnął się George. - Odkryją go i przyskrzynią. Dzięki, Margaret. Chyba będziesz musiała zdjąć ten płaszcz; wiesz, ile trwają „chwileczki” pana Caple'a.

Margaret godnie udała się za swoją ladę. Niemal w tej samej chwili szklane drzwi biura rozwarły się i stanął w nich Duncan Caple, wysoki kościsty mężczyzna przed czterdziestką, wyglądający bardziej na księgowego niż na rzutkiego biznesmena. Swej energii i wiedzy zawdzięczał reputację, dzięki której David przed rokiem dołożył wielu starań, by ściągnąć go z Jerez na stanowisko dyrektora Glendurnich. George uznawał profesjonalizm Caple'a, miał jednak zastrzeżenia co do jego charakteru i ogłady.

- George, staruszk, jak miło, że zczekałeś - powitał go jowialnie Duncan.

Inchelvie spojrział na niego ostro, rozdrażniony zbytnią poufałością dyrektora, a zwłaszcza jego tonem - zawsze przesadnie wyrazistym i z lekka pobłażliwym, jakby on, George, cierpiał na wczesne stadium choroby Alzheimera. Podszedłszy, Duncan podał mu rękę - zupełnie zbytecznie, widzieli się bowiem już dziś trzy razy przy różnych okazjach. Pomimo to George ujął wyciągniętą dłoń i uściśnił ją z całej siły, by pokazać, że jego zeszklerotyzowany mózg wciąż jest w stanie wysyłać bodźce do mięśni rąk.

- Tylko szybko, Duncanie - zastrzegł się. - Mam dziś jeszcze zebranie w Dalnachoil.

- Naturalnie, nie będę cię długo zatrzymywał. Wejdźmy może na chwilę do sali konferencyjnej? - Duncan podszedł do drzwi wychodzących z recepcji, otworzył je i gestem zaprosił George'a do środka. Następnie zwrócił się do Margaret: - Proszę nie łączyć żadnych telefonów, dopóki nie skończę rozmowy z lordem Inchelvie.

Rozeźlony nie na żarty George postanowił od razu zaakcentować swą pozycję. Dlatego też udał się prosto do wielkiego wyściełanego krzesła stojącego u szczytu stołu narad, zasiadł w nim i wygładziwszy poły płaszcza, oparł obie ręce na obitych skórą poręczach.

- Proszę, Duncanie - rzekł, wskazując miejsce obok siebie.

Caple usiadł, po czym zsunął się w krzesło, wyciągnął przed siebie nogi, krzyżując je w kostkach, obie ręce zaś z uśmiechem założył za głowę. Ta swobodna poza była w istocie prztyczkiem w nos w rewanżu za drobną manifestację George'a.

- Jak się czuje David? - zagadnął nagle.

George zmierzył go spojrzeniem, zastanawiając się, czy za tym pytaniem kryje się jakiś ukryty motyw czy też wypływa ono z rzeczywistej troski.

- Nieźle - odparł powoli. - Wciąż ma sporo spraw na głowie, między innymi związanych z majątkiem Rachel, ale powoli dochodzi do formy.

Duncan wydał policzki.

- Dobrze... - mruknął. - Dobrze. Miło mi to słyszeć. - Nagle rozplótł ręce, przysunął się wraz z krzesłem do stołu i pochylił do przodu. - Posłuchaj: mamy problem i nie bardzo wiem, jak go rozwiązać, przynajmniej w obecnej sytuacji.

Ta niespodziewana szczerłość zaskoczyła George'a.

- Jeśli mogę w czymś pomóc... - bąknął.

- Chyba możesz - Duncan podniósł głowę. - Widzisz, uważam, że powinniśmy zmienić dystrybutora w Stanach.

George poprawił się w krześle i spojrzał surowo na młodego człowieka.

- A to dlaczego? Jim Lacey jest moim przyjacielem, a jego firma rozprowadza nasz towar od pięćdziesięciu lat.

Duncan uniósł ręce, jakby chcąc powstrzymać potok jego słów.

- Zapewne, zapewne, ale prawda jest taka, że od roku ich wyniki wciąż się pogarszają. W zeszłym tygodniu otrzymaliśmy raport Morgana-Graza, z którego wynika, że spadek naszego udziału w rynku amerykańskim ściśle koresponduje ze wzrostem sprzedaży Glenlivet i Glenfiddich. Nie możemy sobie pozwolić na wyparcie z rynku.

George milczał przez chwilę, pocierając dłonią pomarszczoną twarz i wpatrując się w przeciwległy kraniec stołu konferencyjnego.

- Będziesz musiał zwołać zebranie zarządu. Nie możesz sam podjąć takiej decyzji.

- Wiem, zwołałem je na pojutrze. Trzeba się pospieszyć; nowa umowa o przedstawicielstwo powinna zostać zawarta jeszcze w tym miesiącu.

- To już tylko dwa tygodnie!

- Jestem tego świadom, ale sprawa jest pilna i dlatego właśnie pytałem o Davida.

- Do czego zmierzasz?

- No cóż... - Duncan znów odchylił się w krześle. - Chciałbym, żeby jak najszybciej wrócił do pracy.

- Wykluczone! - wybuchnął George. - David ma w tej chwili dość na głowie! Możemy to załatwić bez niego. Zresztą sam mówiłeś, żeby wziął tyle urlopu, ile tylko zechce.

- Tak - Duncan skinął głową - ale mówiłem to, zanim nasze kłopoty wyszły na jaw. Sami nie damy sobie rady. Ja w przyszłym tygodniu jadę do Londynu, a stamtąd do Europy, ty będziesz w Glasgow na konferencji producentów whisky. - Urwał i obiema rękami przygładził włosy. - A David wciąż jest szefem marketingu. Umowy o dystrybucję to jego działka i obawiam się, że będzie musiał poprowadzić negocjacje.

George oparł łokcie na poręczach krzesła, zamknął oczy i począł kolistymi ruchami masować czoło. Opiekuńczy instynkt rodzicielski walczył w nim z troską o przyszłość własnej firmy. Widział w myślach syna, który ledwie rok temu był dynamicznym młodym przedsiębiorcą i miał przed sobą wszystko: życie, szczęście, karierę, a który teraz od rana do nocy bezmyślnie grzebał w ziemi i ukrywał się przed światem ze strachu, że świat przypomni mu o zmarłej żonie.

Duncan spostrzegł bladość, która nagle powlekła twarz George'a. Już miał się odezwać, gdy ten rzekł powoli:

- Mówię poważnie. Nie sądzę, by David w tej chwili był w stanie się tego podjąć.

Duncan zamyślił się.

- Chciałem właśnie napomknąć, że być może powinien na jakiś czas wyjechać ze Szkocji, całkowicie zmienić otoczenie. Obiecuję ci, że nie będzie to dla niego zbyt obciążające. Ale on po prostu musi się tam pokazać.

Lord Inchelvie westchnął, dostrzegając cień troski w głosie nielubianego menedżera.

- Wiem. - Własny głos wydał mu się słaby i starczy. - I jestem ci wdzięczny, że rozumiesz sytuację. Ale... hm, wątpię, by David chciał teraz zostawić dzieci...

Uśmiech spełził z twarzy Duncana Caple'a. Chwilę patrzył na George'a, potem wstał i zaczął chodzić po sali narad.

- Słuchaj: rozumiem cię, ale ty również musisz spojrzeć na sprawę z mojego punktu widzenia. Sprowadziliście mnie tu przed rokiem, żebym dbał o rozwój firmy. Jak dotąd mi się to udawało. Jednakże nie będzie się udawać nadal bez twojej współpracy. W tej chwili jest mi rozpaczliwie potrzebny szef marketingu. Nie mogę sobie pozwolić na dalszą utratę naszego najważniejszego rynku zagranicznego. - Duncan zatrzymał się i spojrzał Inchelviemu prosto w oczy. - Naprawdę muszę mieć szefa marketingu. Przykro mi to mówić, ale jeśli David nie jest w stanie wypełniać tej roli, będę musiał zatrudnić kogoś na jego miejsce. - Doszedł do końca stołu i obrócił się znów do George'a, nim podjął: - To, że David jest twoim synem, nie może nam przesłaniać faktów. Obawiam się, że nie pozostanie mi nic innego, jak poddać tę sprawę pod rozagę zarządu na najbliższym zebraniu.

Zapadła cisza. Duncan zerknął na zegarek.

- Mam nadzieję, że nie zatrzymałem cię zbyt długo. Zdasz na to spotkanie?

George skinął głową.

- Wobec tego dobranoc. Jedź ostrożnie, w tym deszczu drogi będą cholernie śliskie. - Duncan obrócił się do drzwi, otworzył je i wyszedł.

George siedział przez chwilę, po czym wstał i kulejąc podszedł do telefonu stojącego na stoliku w rogu sali narad. Podniósł słuchawkę i wybrał numer.

- Halo, Hamish? Tak, tu George Inchelvie. Słuchaj, nie mogę być dzisiaj na zebraniu... Nie, po prostu wyskoczyło mi coś ważnego. Przepraszam wszystkich w moim imieniu. A co u ciebie?... No to świetnie. Ucałuj ode mnie Christine. Dzięki, Hamish. Do zobaczenia.

ROZDZIAŁ 3

Jock oparł widły o brzuch i chuchnął w dłonie, bezskutecznie próbując tchnąć nieco ciepła w zgrabiące palce. Zapadał zmierzch, lało coraz rzęśściej, a odgłosy wysiłków kopiącego tuż obok mężczyzny głużył plusk deszczu o gumowany sztormiak i świst arktycznego wichru dmącego im prosto w twarz. Ujmując z powrotem widły, Jock skrzywił się; wilgoć dźgała go w zreumatyzowane ramiona. Zerknął na swego towarzysza, który jak zawsze pracował bez ustanku, zdając się nie dostrzegać wścieklej zawieruchy.

- Paniczu - bąknął.

David wyprostował się, wbił widły w ziemię i zerknął przez ramię.

- Paniczu, robi się jakby ciemno.

David skwitował parsknięciem tę kwaśną dyplomację. Jock w ów dość oględny sposób próbował mu uświadomić bezsens pracy w ogrodzie w ulewnym deszczu i mroku zapadającym tak szybko, że już prawie nie widzieli, co robią.

Cały Jock! Zawsze był mrukiem, a David znał go przecież od dzieciństwa. Jock rył w ziemi z tak ponurą miną, jakby cały świat obciążał winą za swój antytalent do ubierania myśli w słowa. Jednakże pod tą szorstką maską kryło się gołębie serce. Kiedy David postanowił odtworzyć kwiatowy ogród, Jock sam zaoferował pomoc, a uczynił to krótką kąśliwą uwagą: „Najpierw trza wiedzieć, panie, jak trzymać szpadel”.

Potem już pracowali razem. Codziennie rano Jock witał Davida wysunięciem brody i chrząknięciem, krótkim i niezrozumiałym jak znak zapytania. Tworzyli idealną spółkę. Żaden nie był wylewny; fizyczna praca przy kopaniu grządek i sadzeniu młodych róż oraz świadomość, że ich wysiłki przynoszą pożądany efekt, starczały, by zrodziła się między nimi więź zrozumienia.

David spojrzął na pociemniałe niebo i skinął głową.

- Masz rację, Jock. Wybacz, że zatrzymałem cię tak długo. Myślałem, że dziś uda się nam skończyć tę rabatę. - Wyciągnął wbite w ziemię widły, cofnął się na trawnik, by przyrzeć się dokonaniom całego dnia, i zdecydował: - Starczy. Dokończymy jutro.

- Jeśli Bóg pozwoli - mruknął Jock. - Dajcie mi swoje widły, paniczu, odniosę je do

szopy.

David wręczył mu widły i z tklwym uśmiechem patrzył, jak staruszek zdąża w kierunku szopy, chrzęszcząc i poskrzypując wodoszczelnym odzieniem. Wydobyl z wewnętrznej kieszeni wymięty zafoliowany plan ogrodu i patrząc nań ruszył wolno ku domowi, lecz po chwili przystanął i obrócił się, by zlustrować nowe rabaty. Projekt był prawie ukończony. Jeszcze tylko zrekultywują tamten ostatni skrawek wokół pstrego ostrokrzewu i ogrody Inchelvie przybiorą dawny kształt.

W głębi ducha żałował, że to już koniec. Zniknie cel, którym żył od rozpoczęcia prac, prysnie zaklęty łańcuch dni łączących terażniejszość z przeszłością, a ten deszczowy dzień - z Rachel.

Przyłożył umazane ziemią ręce do twarzy. Pociągnął nimi w dół, ścierając deszcz, a wraz z nim niechciane łzy. Potem trzepnął się mocno w oba policzki, zaklął głośno i ruszył truchtem w stronę domu, człapiąc niezgrabnie w krępującej ruchy kurtce i zbyt luźnych gumowcach. Za rogiem przyspieszył, dopadł żelaznej furtki wiodącej na żwirowy podjazd przed domem, zatrzasnął ją za sobą, lecz posłyszał, że odskoczyła. Zatrzymał się, oparł dłonie na biodrach, wyrównał oddech. Poprzez świst wiatru doleciał go od alei odgłos nabierającego prędkości samochodu. Wytężył wzrok, ale dojrzał jedynie czerwone tylne światła za drzewami. Potem skryły je deszcz i mrok.

Zamknął porządnie furtkę, wbiegł na schody i z rozmachem otworzył drzwi frontowe. Matka, idąca właśnie przez hol do salonu, podskoczyła nerwowo.

- David! - Złapała się za serce. - Aleś mnie przestraszył!

- Wybacz. - Uśmiechnął się i podniósł przepraszająco ręce. Rozpiął kurtkę, rzucił ją na ławkę, a potem zszuł gumowiec, przydeptując piętę drugą nogą.

- Jak ci idzie, kochanie? - Matka podeszła do niego.

- Z czym? - spytał defensywnie, balansując na jednej nodze, by podciągnąć skarpetkę.

- W ogrodzie.

- A, w porządku. Jutro skończymy ten gazon.

- Jestem pełna podziwu, zwłaszcza zważywszy na pogodę. Obaj musieliście przemoknąć do suchej nitki. Jock poszedł do domu?

- Tak, jakieś dziesięć minut temu.

- To dobrze, bo Effie wyszła już przed pół godziną, żeby podać mu herbatę. Kolacja miała być wcześniej, ale ojciec niedawno telefonował, że z jakiegoś powodu odwołał spotkanie. Zjemy więc o wpół do ósmej. Czy ta pora ci odpowiada?

- Tak, jasne. - David zdjął drugi but i oba wepchnął pod ławkę. Alicja odsunęła

ociekającą wodą kurtkę i usiadła, chcąc znaleźć się poniżej poziomu oczu Davida i w ten sposób nawiązać kontakt wzrokowy z synem. Na ułamek sekundy pochwycił jej spojrzenie, uśmiechnął się blado, a potem odwrócił i pomaszerował ku schodom. Westchnęła ciężko, podniosła się i ruszyła jego śladem.

- Widziałem czyjś samochód w alei - rzekł nie oglądając się.

Alicja przystanęła, zaskoczona tą rzadką sposobnością zamiany kilku słów ze swoim dzieckiem.

- Tak, to Jane Spiers przyjechała z wizytą - rzuciła lekko i natychmiast uderzył ją fałszywy ton własnych słów. Odchrząknęła i podjęła bardziej kontrolowanym głosem: - Wpadła na herbatę. Dosłownie przed chwilą odprowadziłam ją do drzwi. Chciała... hm, no, spytać, jak sobie radzimy.

David zerknął na nią spod oka. Przechyliła głowę i odpowiedziała mu uśmiechem.

- To ładnie z jej strony - mruknął. - Ja... hm, no cóż... - wskazał schody - pójdę się wykapać.

- Dobrze, kochanie - skinęła głową. - Spotkamy się w salonie kwadrans przed kolacją.

Oparta o ścianę patrzyła, jak idzie pod górę, aż w końcu znika jej z oczu. Posłyszała odgłos otwieranych, a następnie zamykanych drzwi jego sypialni. Zaciśnęła na chwilę powieki, potrząsnęła głową i szepnęła: „Oj, synku, synku!” Potem wróciła do salonu.

David zakręcił masywny wiktoriański kran i pochylił się, by zamieszać lekko żółtawą wodę - pochodziła wprost ze źródła na wrzosowisku ponad Inchelvie. Zrzucił szlafrok na podłogę, po czym wsadził jedną nogę do wanny, zdejmując zegarek. Przetarł zamglone szkiełko: wskazywał za trzy szóstą. Niedługo się zaczęły wiadomości radiowe.

Wyszedł z wanny, odłożył zegarek na krzesło i z lustrzanej szafki nad umywalką wyjął małe radio tranzystorowe. Pchnięte drzwiczki szafki zatrzęsły się jak pułapka, więżąc jego odbicie, zniekształcone przez parę osadzoną na szkle. Stał chwilę, patrząc na te nieznajome rysy; twarz, która nie wyrażała niczego - urody ani brzydoty, wesołości ani złości, szczęścia ani smutku. Nie dało się z niej odczytać ani jego tożsamości, ani uczuć. Przyglądając się jej, Dawid doznawał dziwnej ulgi.

Postawił radio na brzegu umywalki i powoli uniósł rękę, by przetrzeć lustro. Tę drugą twarz znał: jej chudość podkreślały jeszcze brudne smugi pozostawione przez jego palce, gdy ocierał ją w ogrodzie. Ledwie rok temu, pomyślał, ta czterdziestotrzyletnia twarz odzwierciedlała myśli i troski dwudziestopięcioletka. Dziś zdawała się mieć lat sześćdziesiąt.

Szarpnął drzwiczki, żeby odpędzić widziadło i schwycił je w samą porę, nim uderzyły

o ścianę.

- Niech to szlag! - powiedział głośno. - Może byś tak przestał wciąż myśleć o sobie, durniu!

Włączył radio i poruszył pokrętło strojenia, chcąc złapać falę, na której nadawano dziennik. Głośnik zaskrzeczał wieloma głosami, jakby protestując przeciwko tak szorstkiemu traktowaniu. Wśród nich David pochwycił kilka akordów, chyba intro znanej mu piosenki. Przekręcił gałkę wstecz. Tak, to ona.

Cieszę się, że dziś jesteśmy razem - dobiegło z głośnika. - *Wita was Danny McKay z radia Moray Firth. A teraz cofniemy się w czasie, by wysłuchać Smokeya Robinsona z grupą The Miracles w cudownym utworze Tracks of My Tears...*

Przygrywka rozkwitła w melodię, z głośnika popłynęły słowa: *People say I'm the life of a party, 'cos I tell a joke or two...* David trzymał radio w dłoniach jak skaleczonego ptaka, przerażony, że gdy zbyt gwałtownie się poruszy, ten przestanie oddychać i umrze. *So take a look at my face, can't you see the smile, it's out of place...*

Delikatnie postawił radio na krześle obok zegarka, wszedł do wanny i stopniowo zanurzył się w ciepłej wodzie, pozwalając pamięci zanurzyć się we wspomnieniach.

ROZDZIAŁ 4

Już od maja Oksford gotował się w upale. Ta niezwykła pogoda sprowadziła przedwczesną nawałę turystów, którzy zaroiли się na ulicach i bez tego kipiących młodzieńczym, gwarnym studenckim życiem. Najgorsze były weekendy. Potworny korek przy wjeździe do miasta ciągnął się wzdłuż St. Aldates aż do posterunku policji. David siedział w unieruchomionym samochodzie klnąc pod nosem. Piekł się w jego wnętrzu już o wiele dłużej, niż zajęłoby mu dojście pieszo z kortów tenisowych Christchurch College do pubu „Kings Arms” na Holywell Street.

Niecierpliwie bębnił palcami w kierownicę starego triumpfa vitesse, wyciągając szyję w nadziei, iż dojrzy gdzieś w przodzie oznaki ruchu, a następnie zerkał to na zegar, to na czujnik temperatury w drewnianej desce rozdzielczej. Za dziesięć pierwsza. Był już pięć minut spóźniony i gołym okiem widział smużki pary unoszące się z chłodnicy. Niech to licha, powinien był iść pieszo!

Sięgnął do schowka, wydobyl zeń garść wyjętych z pudełek kaset i zaczął je przeglądać, ciskając odrzucone na fotel obok siebie. W tejże chwili samochody zaczęły się toczyć do przodu. David wrzucił bieg i spuścił sprzęgło nie siląc się nawet, by złapać kierownicę. Jednocześnie wepchnął taśmę z przebojami Motown do nowiutkiego stereofonicznego odtwarzacza marki Philips, wymarzonego i otrzymanego od rodziców na dwudzieste pierwsze urodziny.

Druga strona kasety dobiegała końca, gdy wreszcie upchnął wóz między dwoma rzędami rowerów, około dwudziestu jardów od „Kings Arms”. Wyskoczył, zamknął samochód i klucząc pośród tłumu pobiegł do wysokich dwuskrzydłowych drzwi pubu. Naparł na nie obiema rękami i udało mu się nieco je uchylić, pokonując opór stłoczonych wewnątrz ciał. Przez powstałą w ten sposób szparę wcisnął się do parnego, zadymionego pomieszczenia, a następnie zaczął przedzierać wśród popołudniowych gości, wspinając się na palce, by z wyżyn swego słusznego wzrostu dojrzeć znajomych, z którymi był umówiony. Po chwili przez gwar przebił się okrzyk:

- Hej, David, tu jesteśmy!!!

Obejrzał się. Toby stał na krześle i wywijał nad głową podkładką spod piwa. Jego barczysta postać obrzeżona była dymnym światłem sączącym się z okna pubu. David zaczął się przepychać w tamtą stronę i w końcu dotarł do zatłoczonego stołu, za którym królował Toby wystrojony w biały kostium do krykieta.

- Tu jest piwo dla ciebie. - Wskazał pełną szklankę i zmierzył wymownym wzrokiem sąsiada z naprzeciwka: - Henry, posuń się, u licha, przecież David jeszcze się tam zmieści.

David przycupnął na wąskim skrawku ławki zwolnionym przez Henry'ego. Ciemnowłosa dziewczyna siedząca za Tobym podniosła głowę znad książki i odgarnawszy z czoła pasmo włosów, zbliżyła do ust stojącą przed nią szklankę, zerkając nad jej brzegiem. Ciemne oczy pochwyliły spojrzenie Davida. Na ułamek sekundy zapalił się w nich ciepły uśmiech, a potem dziewczyna odstawiła szklankę i znów zagłębiła się w lekturze. Włosy opadły jej z powrotem na twarz.

Pogrążony w rozmowie z Henrym Toby kątem oka dostrzegł tę wymianę spojrzeń i bystro zerknął na jedno i na drugie. Nachylił się do Davida.

- Jeśli mogę zaprzęgnąć na chwilę twą uwagę, przyjacielu, chciałbym cię przedstawić Jane. - Zwrócił się do siedzącej obok młodziutkiej blondyneczki, która bezmyślnie wyszczerzyła zęby.

David uśmiechnął się i uprzejmie skinął głową. Najwyraźniej Toby rozpoczął łowy wśród studentek pierwszego roku.

- Jane - ciągnął Toby - pozwól, że ci przedstawię Davida Corstorphine'a, to jest, przepraszam najmocniej, szlachetnie urodzonego Davida Corstorphine'a, podporucznika *in spe*, czasowo oddelegowanego tu z nowicjatu osobistej szkockiej gwardii Najjaśniejszej Pani, przede wszystkim zaś właściciela jednej z nielicznych prywatnych gorzelni w Szkocji, co czyni go nader cennym gościem na każdej popijawie.

- Dobra, Toby - przerwał mu David, zażenowany wygłupami kolegi. - Już starczy.

- Ależ pozwól mi skończyć. Ostatecznie robię ci reklamę!

Jane zachichotała cienko. Ośmielony tym Toby poczuł wiatr w żaglach. Zaczął wyliczać na palcach dalsze zalety przyjaciela:

- Mistrz Oksfordu w tenisie. Prowadzący gitarzysta znanej uczelnianej kapeli Kamienica. Do tego posiadacz najlepszego stereofonicznego odtwarzacza samochodowego w tym mieście. - Zerknął z ukosa na Davida. - I to już wszystko. Nie skrzywdziłem cię, prawda?

David uśmiechnął się do niego sarkastycznie, sięgając po piwo. Nagle znów poczuł spojrzenie ciemnowłosej dziewczyny, która na ułamek sekundy oderwała wzrok od książki, uniosła brwi i prawie niedostrzegalnie pokręciła głową, nim z powrotem spuściła oczy.

- Kto wygrał? - zainteresował się Toby.

- My. Po długiej i ciężkiej walce. Dlatego się spóźniłem. Ostatni set wygraliśmy do trzynastu. O której zaczyna się ten twój mecz?

- O drugiej. - Toby ze świstem wciągnął powietrze i zabębnił palcami po kolanie. - Denerwuję się jak diabli. Ktoś w swej niezmiarzonej mądrości postanowił, że bronie pierwszy.

- Niech cię! - David zatarł ręce ze złośliwym uśmiechem. - Muszę to zobaczyć! - Wstał. - Powinieneś się chyba napić dla kurażu. Co ci przynieść?

- Ale prędiutko. Małego flowersa. - Toby przeciągnął się i od niechcienia zarzucił ramię na plecy siedzącej obok blondynki. - Przy okazji weź dla Jane małe jasne.

David wyjął portfel z tylnej kieszeni spodenek i ruszył w stronę baru, pozwalając koledze dalej czynić niezdarne awanse młodej studentce. Po paru krokach jednak przystanął, obrócił się i zagadnął siedzącą w końcu stołu ciemnowłosą dziewczynę:

- A dla ciebie?

Zatopiona w lekturze, nie słyszała go w panującym gwarze. Nachylił się i powtórzył:

- Przynieść ci coś do picia?

- Co? - Podniosła głowę i wzdygnęła się nerwowo na widok obcej twarzy tuż nad swoją. - O! A, tak, dziękuję ci bardzo! - Wysączyła resztę zawartości szklanki i podała ją Davidowi. - Sok pomarańczowy. To bardzo miło z twojej strony. - Uśmiechnęła się jeszcze raz i wróciła do czytania.

Realizacja zamówień musiała się odbyć na dwie raty. Wracając ponownie do stołu, David postawił sok pomarańczowy przed dziewczyną i usiadł obok. Jeszcze raz został nagrodzony uśmiechem znad książki. Tymczasem Toby zerwał się i wychylił piwo jednym haustem.

- No! Do boju! - Teatralnym gestem złapał się za serce mówiąc do Jane: - Opromieniony zwycięstwem wróć po swą nagrodę! - Nachylił się i wycisnął długi, głośny pocałunek na policzku chichoczącej dziewczyny. Następnie z chytrym uśmiechem zwrócił się do Davida: - Twoja pani też chyba da mi buzi na szczęście!

Nim ten zdążył zaprotestować, Toby pochylił się nad ciemnowłosą studentką. Miał zamiar cmoknąć ją w czoło, lecz czując niespodziewane dotknięcie, dziewczyna gwałtownie poderwała głowę. Z rozchylonych ust dobył się stłumiony okrzyk - stłumiony na skutek idealnej synchronizacji ruchu obu głów, w efekcie której nie mniej zaskoczony Toby pocałował ją nie w czoło, jak zamierzał, ale prosto w usta.

Książka poszybowała w powietrzu (David zdążył ją złapać, gdy przelatywała nad jego

głową), dziewczyna zaś gwałtownie odepchnęła Toby'ego, a przy okazji również stół, który podskoczył, z trzaskiem opadł na cztery nogi i przejechał chybliwie jeszcze kawałek. Szklanki potoczyły się po blacie, wylewając zawartość na siedzących w pobliżu. Podniosły się ostrzegawcze okrzyki, ludzie zrywali się z miejsc i cofali nogi, usiłując w ciasnocie uniknąć przysnucu.

Dziewczyna także zerwała się i bez namysłu wymierzyła Toby'emu zamaszysty policzek. Pod impetem ciosu chłopak zatoczył się i klapnął ciężko na podłogę, wprost w kałużę piwa.

- Przepraszam! - Uniósł obie ręce obronnym gestem. - Przepraszam, naprawdę nie chciałem!

Dziewczyna zmrużyła oczy i syknęła wściekle:

- Co ty sobie wyobrażasz?! Jak śmiesz! - Ruszyła w stronę drzwi, lecz po namyśle zawróciła i na do widzenia poczęstowała jeszcze biednego winowajcę potężnym kopniakiem w łydkę. Następnie okręciła się na pięcie i dumnie wymaszerowała z baru. Zamilkły tłum rozstępował się przed nią niczym Morze Czerwone przed ludem Izraela.

Kiedy drzwi się zatrzasnęły, rozległ się najpierw cichy śmiechek, a potem gromki radosny rechot. Toby siedział z wyrazem osłupienia na twarzy, jedną ręką rozcierając obolały policzek, drugą zaś - łydkę. Sąsiedzi patrzyli nań z potępieniem, bezskutecznie próbując wyżyć piwo z ubiorów.

- Przepraszam - powtórzył ze skrucą, po czym zerknął na Davida. - Trochę impulsywna ta twoja dziewczyna, nie sądzisz?

David usiadł, ściskając książkę, i z niedowierzaniem potrząsnął głową.

- To nie jest moja dziewczyna, baranie! Widziałem ją pierwszy raz w życiu!

- Przecież kupiłeś jej sok!

- I co z tego? Od razu można ją napastować?

- Nie chciałem jej napastować, na Boga! To się stało przypadkiem! - Toby jęknął, wciąż masując twarz i nogę. - Jezu, wszystko mnie boli!

- Dobrze ci tak. - David wstał z ławy. - Słuchaj, mam jej książkę. Skoczę, może ją jeszcze dogonię i przeproszę za twoje szaleństwa. - Zaczął się przepychać przez tłum.

- Nie przyjdiesz na mecz? - dobiegł go żałosny okrzyk przyjaciela.

David zatrzymał się i obejrzał.

- Postaram się, ale damy mają pierwszeństwo, nie sądzisz?

Przepchnął się do drzwi i na chwilę przystanął na chodniku, oślepiiony słońcem. Dziewczyny nigdzie nie było widać. Ruszył dziesięć kroków w lewo i dostrzegł ją na Broad

Street, kluczącą pomiędzy hordą turystów. David puścił się biegiem, co jakiś czas podskakując, by nie stracić z oczu jej ciemnej głowy w morzu letnich kapeluszy i okularów przeciwsłonecznych. Ponieważ w tłumie było to dość trudne, zszedł na jezdnię i popędził wzdłuż rynsztoka.

Dogonił ją przy bramie Balliol College i zwolnił do szybkiego marszu, dostosowując krok do jej tempa.

- Słuchaj, bardzo mi przykro, że...

Zerknęła na niego kątem oka i bez słowa przyspieszyła kroku.

- Chciałem cię przeprosić...

Tym razem zatrzymała się i spojrzała mu prosto w oczy.

- Może po prostu nie mówmy o tym, dobrze?

David przeprasząco uniósł obie ręce wraz ze ścisną książką, lecz nim zdążył coś bąknąć, dziewczyna już odeszła. Wzięła z niego przykład i teraz maszerowała rynsztokiem. Westchnął zrezygnowany, przyglądając się długim nogom odzianym w spłowiałe levisy, które unosiły ją coraz dalej, a następnie skupił wzrok na zgrabnym, opiętym dzinsami tyłeczku. Oprzytomniał dopiero, gdy zniknęła za rogiem Cornmarket.

- Psiakrew! Książka! - zaklął i pogalopował na ukos przez jezdnię, uskakując przed nadjeżdżającymi samochodami. Zakręciwszy z rozpędem w Cornmarket dostrzegł ją dwadzieścia jardów przed sobą. Po chwili udało mu się ją dopędzić.

- Twoja książka - wydyszał, uśmiechając się z rozpaczą, żeby ją przekonać, iż jest przyjacielem, a nie wrogiem. - Zostawiłaś ją w pubie - dodał.

Wyszarpnęła mu książkę z ręki i już miała odejść, gdy wtem obróciła się ku niemu z miną mroczną jak gradowa chmura.

- Wiesz co? - powiedziała. - Jeśli jest coś, czego nienawidzę bardziej od smaku piwa, to picie go z cudzych ust!

Przez chwilę David przyglądał się jej z niedowierzaniem, usiłując powstrzymać śmiech. Wbił ręce w kieszenie i spuścił głowę, lecz gdy ją podniósł, wciąż miał trochę zbyt radosną minę.

- Cieszę się, że przynajmniej ty się dobrze bawisz - wycedziła kwaśno, zbierając się do odejścia.

David błyskawicznie zagroził jej drogę.

- Proszę cię, zaczekaj chwilę... - Rozejrzał się zdesperowany, usiłując zaplanować następny ruch. Stali tuż przed winiarnią. - Tylko małą chwileczkę, bardzo cię proszę... - Cofał się w stronę sklepu, obserwując ją czujnie, czy znów mu nie umknie. Potem wpadł w drzwi

jak bomba.

Po trzydziestu sekundach wynurzył się ściskając w garści butelkę veuve clicquot. Odetchnął z ulgą, widząc dziewczynę tam, gdzie ją zostawił.

- Proszę - rzekł, wręczając jej butelkę. - Przyjmij to jako podarunek pokoju. Bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało w pubie. To było niewybaczalne i... i... no, po prostu mam nadzieję, że szampan zmyje smak piwa!

Przypatrywał się jej bacznie, szturchany i potrącany przez przechodniów. Dziewczyna przygryzła dolną wargę i obróciła się do niego bokiem. Sposepniał. Wszystko wskazywało na to, że zmarnował szansę, by poprawić jej pierwsze wrażenie. Wtem spojrzała nań z tym samym uśmiechem, który przykuł jego uwagę w pubie. Potem parsknęła i wsunęła dłonie w tylne kieszenie dzinsów.

- To z pewnością najdroższy płyn do płukania ust, jakiego kiedykolwiek w życiu używałam! - Nagle speszyła się, zaczerpnęła tchu i odgarniając włosy z twarzy podjęła: - Słuchaj, to, co zaszło w pubie, naprawdę nie wymaga aż takich przeprosin. Chyba zareagowałam nazbyt ostro. Zresztą to nie ty powinieneś przeproszać.

- Ktoś musi - David z uśmiechem wręczył jej butelkę. - Skoro nie zależy ci na przeprosinach, niech to będzie, ja wiem... prezent zapoznawczy.

Po chwili wahania przyjęła butelkę i wraz z książką wetknęła ją pod pachę.

- W takim razie... dziękuję, to bardzo hojny prezent. - Wyciągnęła do niego rękę. - A skoro się mamy poznać, jestem Rachel Devereux.

Ujął jej dłoń.

- Miło mi cię poznać, Rachel - rzekł z ulgą. - Jestem David Corstor...

- Wiem, kim jesteś - przerwała mu ze śmiechem. - Arystokratą, mistrzem uczelni w tenisie, porucznikiem szkockiej gwardii i kim tam jeszcze? Aha, gwiazdą rocka.

David poczuł, że się czerwieni.

- Nieoceniony Toby! - mruknął i zerknął na nią wesoło. - Może zapomnijmy o tamtej wpadce, co ty na to?

- Tak chyba będzie lepiej - przyznała z uśmiechem.

- Świetnie! A zatem w którą stronę zmierzasz?

- Z powrotem. - Rachel zerknęła na zegarek. - O drugiej mam ćwiczenia w budynku nauk ścisłych, choć wątpię, bym zdążyła.

David ujął ją za ramię i obrócił w kierunku Broad Street.

- Chodźmy. Pod pubem mam wóz. Nawet w tym piekielnym tłoku masz większą szansę zdążyć samochodem niż pieszo. Zresztą jadę w tym kierunku. - Spojrzał na nią

niepewnie. - Może nie powinienem o tym wspominać, ale Tobie gra dziś mecz krykieta i miałem mu kibicować.

Rachel zerknęła nań koso.

- Fakt. Lepiej o tym nie wspominaj.

Szli szybko przez Cornmarket i dalej przez Broad Street, na przemian rozdzielani i spychani na siebie przez ciągnące z przeciwka tłumy.

- Jak to jest, że studiujesz, będąc jednocześnie w wojsku?

- Właściwie nie jestem jeszcze w wojsku. Tobie dobrze to określił słowem „nowicjat”. Zgłosiłem się po maturze. Armia opłaca mi studia, a następnie, kiedy... jeśli zdam końcowe egzaminy, mam do odsłużenia sześć miesięcy w Sandhurst, a potem pięć lat w regimencie.

- Aha. A kiedy masz egzaminy?

- Nie pytaj! - Wykrzywił się komicznie i zagryzł palce w udawanym przerażeniu. - Za miesiąc!

- Tak samo jak ja.

- Naprawdę? Nie wierzę. W którym jesteś kolegium?

- Hertford. Dlaczego mi nie wierzysz?

- Po prostu dziwię się, że dotąd cię nie znałem. Oksford nie jest bardzo dużym miastem.

Rachel skwitowała to uśmiechem, lecz milczała. Zeszli z Broad Street w stronę wozu. David wyjął z kieszeni kluczyki, dziewczyna podeszła do drzwi pasażera.

- Ja cię już widziałam - bąknęła, spoglądając nań nad dachem samochodu.

David zamarł z kluczykiem w zamku.

- Naprawdę? Gdzie?

- Nie pamiętam. Ale cię widziałam.

- To dlaczego ja cię nie widziałem?

Rachel wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Może po prostu nie patrzyłeś w odpowiednim kierunku.

Ta uwaga miała tak uwodzicielski podtekst, że David poczuł dreszcz podniecenia pełnący mu wzdłuż kręgosłupa. Spojrzał na dziewczynę i wyczytał potwierdzenie swoich odczuć w jej oczach.

- Widać nie - mruknął do siebie.

Wsiadł do samochodu, zgarnął kasety z fotela pasażera i wepchnął je do schowka, po czym nachylił się, żeby otworzyć drugie drzwi. Rachel wrzuciła swoją książkę do tyłu i usadowiła się obok niego. Butelkę szampana postawiła starannie na podłodze, przytrzymując

ją stopami.

- Nauki ścisłe? - spytał David.

Namyślała się przez chwilę.

- Nie, chyba nie warto. Seminarium na pewno już się rozpoczęło. A zresztą co, u licha! Od tygodni nic, tylko zakuwam. Chyba należy mi się jakaś rozrywka, na przykład mecz krykieta.

- Jesteś pewna? - zdumiał się David.

- Czemu nie? O ile tylko nie będę zmuszona do fizycznych kontaktów z twoim przyjacielem Tobym!

David zaśmiał się, wycofał samochód z parkingu, zawrócił na skrzyżowaniu ulic Broad i Holywell i dodał gazu, kierując się ku uniwersyteckim terenom sportowym.

Rozgrywki krykieta toczyły się jednocześnie na pięciu boiskach. David jechał powoli ich skrajem, wyteżając wzrok w nadziei, że dojrzy znajomą sylwetkę Toby'ego. Znalazł go już na drugim boisku; stał na pozycji serwującego, jedną ręką oparty na kij, drugą podparty pod bok, a z całej jego pozy biła pewność mistrza.

- Jest tam! - David wskazał go Rachel. - Zaparkujemy tu, za ekranem, i miejmy nadzieję, że nie każą nam odjechać.

- Po co jest ten ekran? - spytała Rachel spoglądając na dużą białą tablicę, przy której stali.

- Znajduje się dokładnie w prostej linii za serwującym, żeby wybijający widział lecącą na niego piłkę. - David zerknął na tablicę wyników. - A to skurczybyk! Brakuje mu tylko trzech biegów do pół setki! Nic dziwnego, że tak się puszy!

Rachel westchnęła.

- Skoro ma biegać do tej pół setki czy jak jej tam, to dlaczego stoi i nic nie robi?

- Bo teraz on serwuje.

- Nigdy nie mogłam zrozumieć tej głupiej gry. - Rachel schyliła się po butelkę szampana, zdjęła folię z korka, otworzyła okno samochodu i wystrzeliła korek w kierunku białego ekranu, po czym zręcznie schwytała do ust toczący się z butelki pienisty płyn. Podała ją Davidowi.

- Koniec kolejki - rzekł, wskazując na boisko, i pociągnął łyk.

- Co, już?

- Nie, to nie koniec gry. Teraz serwuje ktoś z drużyny przeciwnej, a Toby będzie wybijał.

Rachel pokręciła głową.

- Bez sensu. - Sięgnęła po butelkę.

Kolejny serwujący ruszył w kierunku „ich” ekranu, przymierzył się i wystartował do piłki z szybkością pociągu pospiesznego. Strzał był mocno podkreślony i Toby chybił o stopę. Nachmurzył się, zaczął dreptać w miejscu uderzając kijem dookoła siebie, jakby to murawa była winna temu, że nie trafił w piłkę. Wrócił na pozycję, machnął ćwiczebnie kijem dokładnie w taki sam sposób, jaki przed chwilą go zawiódł, rozluźnił kolana i przygotował się do odebrania następnej piłki.

- Ho, ho, nie jestem przyzwyczajona do szampana! - oznajmiła Rachel, wyciągając się na oparciu fotela. - Czuję, jak idzie mi wprost do głowy! - Przechyliła ją na jedno ramię, potem na drugie i wtedy jej uwagę przykuła deska rozdzielcza. Pochyliła się do przodu, wskazując odtwarzacz. - Czy to jest ten słynny sprzęt stereo, o którym mówił Toby?

David przytaknął.

- A możemy go włączyć?

- Czemu nie, o ile tylko będzie grał cicho. - David wepchnął do odtwarzacza sterzącą zeń kasetę i przy końcowych taktach utworu Marthy Reeves patrzył, jak Toby wybija piłkę i zalicza dwa kolejne punkty.

- No dalej, chłopie - rzekł półgłosem. - Jeszcze tylko jeden i będziesz miał swoje pół setki!

Rachel pociągnęła następny łyk szampana i w tejże chwili z głośników dobiegło łagodne gitarowe intro kolejnego utworu. Usiadła prosto jak struna, łowiąc każdy ton.

- O mój Boże! To Smokey Robinson i The Miracles! - Nim się zorientował, podkręciła gałkę głośności do oporu. - Och, Davidzie, to najpiękniejszy, najbardziej seksowny utwór, jaki kiedykolwiek napisano!

W niewielkiej kabinie samochodu dźwięk był ogłuszający i David odruchowo wyciągnął rękę, by go ściszyć, zdając sobie sprawę, że na pewno słyszą go gracze na wszystkich pięciu boiskach.

- Nie sądzisz, że to trochę za gło...

- Och, proszę, nie ruszaj! - Złapała go za rękę. - To po prostu zbyt piękne, by wyrazić słowami! - Otworzyła drzwi i wyskoczyła z samochodu, zostawiając je szeroko otwarte.

- Co ty robisz? - zaśmiał się.

Ale Rachel nie odpowiedziała. Pociągnęła z butelki kolejny łyk, dwoma kopniakami zrzuciła buty i zaczęła tańczyć na trawie, przesuwając się powoli, lecz stale, w kierunku ekranu. David przyglądał się jej chwilę, potem obejrzał się na pochłoniętego grą Toby'ego i nagle zaświtało mu, co się zaraz wydarzy.

- O rany! - wykrzyknął i pospiesznie wysiadł z wozu. - Rachel, nie możesz... - Nie dokończył. Krykiet przestał go interesować; był niczym w porównaniu ze spektaklem, jaki rozgrywał się tuż przed nim. Głośno przełknął ślinę. Rachel stopniowo zbliżała się do ekranu; jej płynne ruchy idealnie oddawały rytm utworu, jej ciało podkreślało każdą zmysłową nutę. Stał jak zaczarowany połączeniem słów, muzyki, ruchów i urody Rachel. Odwróciła się do niego, podnosząc do ust butelkę niby mikrofon, i zaśpiewała: *So take a good look at my face, can't you see the smile, it's out of place...* po czym ruszyła dalej, miękko kołysząc biodrami i ramionami w idealnej harmonii z muzyką.

Z transu wyrwał go okrzyk, który dobiegł z boiska. Obejrzał się. Wszyscy gapili się na nich w osłupieniu - wszyscy prócz Toby'ego, który machał rękami i wrzeszczał.

- Co?! - odkrzyknął David.

- Za-bierz-ją-sprzed-e-kra-nu! - rozdarł się Toby. - Prze-szka-dza!!!

- Komu przeszkadza, temu przeszkadza - mruknął pod nosem David i uniósł przepaszając rękę. Podbiegł do Rachel, która tańczyła teraz dokładnie pośrodku wielkiej białej tablicy.

- Lepiej się przesun - rzekł. - Znalazłaś się właśnie na linii strzału.

- Nic podobnego - odparła trochę niewyraźnie, bo wypity szampan już zaczął działać. - Oni są taaak daleko!

David odgarnął włosy z czoła i bezradnie podrapał się po karku.

- Toby nas znienawidzi - bąknął.

Rachel tylko uśmiechnęła się złośliwie.

- No chodźże stąd, inaczej będę musiał cię wynieść!

- Wynieś! - oznajmiła radośnie.

David potrząsnął głową.

- A niech to! - mruknął, podszedł do niej i złapał ją na ręce, po czym truchtem ruszył do samochodu. Dziewczyna zarzuciła mu ręce na szyję.

Epizod ten miał fatalny skutek. Toby był już zdenerwowany, uświadomił sobie bowiem, że nowy serwujący jest dla niego ciut za szybki. Jego sytuacja była zatem dostatecznie trudna i nagłe dźwięki głośnej muzyki oraz pojawienie się tańczącej sylwetki na tle ekranu bynajmniej jej nie poprawiły. Uniósł rękę, dając znak serwującemu, że nie jest gotowy. Jednocześnie rozpoznał samochód Davida i domyślił się, że dziewczyna jest tą samą, która dała mu taki wycisk w pubie. Był to dla Toby'ego zdecydowanie zły omen. Kiedy David wyniósł dziewczynę sprzed ekranu, z powrotem przyjął pozycję, lecz choć sędzia opuścił rękę i przeciwnik ruszył już do piłki, wzrok Toby'ego mimowolnie powędrował za przyjacielem.

W efekcie w ogóle nie zobaczył nadlatującej piłki. Usłyszał tylko głuchy stukot, kiedy wyrwała z ziemi środkowy palik i zabiła obie poprzeczki. Drużyna broniąca wydała ryk zachwytu i rzuciła się ku swemu zawodnikowi wśród okrzyków i gratulacji.

Dotarłszy do samochodu David postawił dziewczynę na ziemi, a sam nurknął do auta, żeby wyłączyć muzykę. Kiedy się wyprostował, Rachel spoglądała na graczy.

- Zdaje się, że Toby schodzi z boiska - zakomunikowała. - To znaczy, że wygrał czy przegrał?

David zerknął na tablicę wyników. Zdążył jeszcze zobaczyć, jak znika z niej liczba 49. Toby włókł się do szatni, tłukąc po drodze kijem w ziemię.

Rachel z zakłopotaną miną zagryzła wargę.

- Ojej - szepnęła. - To moja wina?

- Na twoim miejscu tak bardzo bym się nie przejmował. Ma to, na co zasłużył - zaśmiał się David. W tej samej chwili Toby obejrzał się i zgromił ich spojrzeniem. David pospiesznie otworzył drzwi triumpha. - Niemniej - dodał - lepiej, jak nie będziemy się tu kręcić. Rachel w lot pojęła, o co chodzi, ale zamiast wsiąść do samochodu, sięgnęła po swoją książkę. Wyprostowała się i spojrzała mu prosto w oczy.

- Ja pójdę pieszo - oznajmiła.

- Podwiozę cię.

- To miła propozycja, ale muszę trochę otrzeźwieć. Ten szampan właśnie zaczyna mnie usypiać.

- Czemu nie miałabyś uciąć sobie drzemki?

- Bo mam kupę roboty do odwalenia w ten weekend, a wskutek dzisiejszych... hm, okoliczności jeszcze nawet nie zaczęłam. - Skrzyżowała ramiona na książce i spuściła wzrok.

- Tak czy owak, dzięki za przemiłe spędzony z tobą czas... i za szampana. Był pyszny. - Niespodziewanie wspięła się na palce i leciutko cmoknęła go w policzek. Potem odwróciła się i ruszyła do bramy terenów sportowych.

- Czy będę mógł cię kiedyś zaprosić na drinka? - zawołał za nią.

Obejrzała się i z uśmiechem pokręciła głową.

- Raczej nie.

- Dlaczego?

- Bo mam tylko miesiąc do końcowych egzaminów i nie chcę się rozpraszać.

- Ja bym cię nie rozpraszał.

- Obawiam się, że tak.

- Hm... no cóż... A po egzaminach? - Desperacko próbował zachować choć cień

nadziei. Nagle przyszło mu coś do głowy. - Już wiem! - zawołał. - Christchurch College organizuje tego lata bal rocznicowy. Pójdiesz ze mną?

- Kiedy?

- Dwudziestego trzeciego czerwca.

Rachel zastanawiała się przez chwilę, po czym skinęła głową.

- Dobrze. Ale pod jednym warunkiem.

- Jakim?

- Będziesz miał na sobie kilt.

- Oczywiście.

- I - dodała - puścisz mi w samochodzie Smokeya Robinsona.

- To już dwa warunki.

- Zgadzasz się czy nie? - rzuciła z uśmiechem.

- Jasne że tak. Oba są do przyjęcia.

ROZDZIAŁ 5

Effie podeszła na palcach do drzwi salonu, zapukała cicho i zajrzała do środka. Wewnątrz słychać było tylko trzask ognia na kominku i rozkoszne pochrapywanie któregoś z wyciągniętych przed nim psów. Lord i lady Inchelvie siedzieli w milczeniu naprzeciw siebie; on drzemał w wielkim wytartym fotelu, na którego poręczy stała chwiejnie zapomniana szklanka whisky; ona, postukując drutami do robót, zerknęła na ekran wyciszonego telewizora.

- Przepraszam, milady... - szepnęła Effie.

Alicja obejrzała się, zerkając nad okularami na siwą głowę wyzierającą zza masywnych drzwi mniej więcej na wysokości klamki.

- Tak, Effie?

- Obiad jest podany i już zaczyna stygnąć.

Alicja zwinęła robótkę, odłożyła ją na stolik i dźwignęła się z fotela.

- Dzięki, Effie. Jak widzisz, wciąż czekamy na Davida. Nie wiem, co on tam robi. Jakiś kwadrans temu wołałam na górę, ale chyba mnie nie słyszał. Zaraz zajrzę do jego pokoju, sprawdzę, czy wszystko jest w porządku.

- Proszę się nie fatygować. - Drobną postać Effie ukazała się na progu. - Właśnie idę ścielić łóżka, przy okazji do niego zapukam. - Gospodyni zerknęła z uśmiechem na śpiącego pracodawcę. - A pani niech tymczasem obudzi jego lordowską mość.

- Dziękuję, Effie, oszczędzisz mi wspinaczki po schodach. - Alicja spojrzała na męża.

- Obawiam się, że mój biedny małżonek miał dziś ciężki dzień w biurze.

Effie zawahała się w drzwiach.

- Ale wszystko jest w porządku?

- Tak, naturalnie. Dlaczego pytasz?

- Och, chciałam się upewnić, że jego lordowska mość czuje się dobrze, no bo skoro nie idzie dziś na to zebranie...

- Nie, po prostu ma jakąś pilną sprawę, którą chce przy kolacji omówić z Davidem.

- Ano, to się cieszę. - Effie błysnęła zębami w uśmiechu i uniosła w górę palec, jakby nakazując sobie powrót do zaplanowanych zajęć. - Teraz idę na górę i sprawdzę, co z

paniczem.

Zamknawszy drzwi za sobą, podreptała do stóp schodów i przygotowała się do długiej wspinaczki kładąc jedną rękę na poręcz, drugą zaś na lewym, szwankującym kolanie, by w razie czego je wesprzeć. Następnie ruszyła pod górę, nucąc pod nosem. Dotarwszy na półpiętro, zatrzymała się na dłuższą chwilę, żeby złapać oddech, przy okazji zaś postanowiła schodząc usunąć wielką pajęczynę zwisającą z górnej ramy portretu, który majaczył w mroku nad schodami.

Drzwi łazienki były uchylone. Z ciemnego wnętrza dobiegał zapach ciepłej pary, mydła i wody po goleniu. Staruszka zawahała się, postanowiła jednak mimo wszystko zapukać do sypialni Davida. Uniosła rękę, lecz w tej samej chwili drzwi się otworzyły i stanął w nich nieświadomy jej obecności David. Oboje odskoczyli nerwowo.

- Och, przepraszam! - wyjąkała zadyszana Effie - ale pańscy rodzice udali się już do jadalni i niepokoją się, czy pan nie chory.

David, ubrany w czyste dżinsy, sportową koszulę i kapcie, uśmiechnął się do niej serdecznie.

- To ja przepraszam, Effie. Zasnąłem w wannie. Już schodzę.

- Doskonale. - Gospodyni zawahała się, mnąc w dłoniach fartuch. - No, to... to ja idę ścielić łóżka.

David zamknął za sobą drzwi sypialni i ruszył ku schodom, Effie zaś w przeciwną stronę, do sypialni starszych państwa. U szczytu schodów David zatrzymał się i spojrzał w ślad za staruszką widoczną za przepaścią holu, w przeciwległym odcinku biegnącego antresolą korytarza.

- Niepotrzebnie trzymałem dziś Jocka tak długo w deszczu! - zawołał. - Mam nadzieję, że się nie przeziębiał?

Effie obejrzała się; na jej twarzy odmalowało się chwilowe zdumienie, że David tak troska się o jej męża, potem wyparł je uśmiech.

- Nic mu nie będzie, paniczu. Narzeka, bo narzeka, ale tak samo narzeka, gdy słońce świeci. Nie ma takiej pogody, która byłaby w smak temu mojemu staremu! - Tu Effie westchnęła z czułością. - Ale z drugiej strony konia z rzędem temu, co by mu zabronił kopać w ogrodzie, choćby i w największy deszcz!

David bez słowa kiwnął głową i uśmiechnął się, po czym zbiegł ze schodów po dwa stopnie na raz, kłapiąc głośno pantoflami. Przebiegł przez hol do jadalni, gdzie rodzice siedzieli już przy stole. Na jego widok oboje podnieśli wzrok.

- Przepraszam za spóźnienie - rzekł, skinieniem głowy witając się z ojcem. - Zasnąłem

w kąpieli.

- Nic dziwnego. - Alicja wstała, podeszła do kredensu i wróciła do stołu z wazą i chochlą. Zaczęła nakładać synowi na talerz smakowicie pachnący gulasz. - Musisz być wykończony i zmarznięty na kość po tej harówce.

George odłożył sztucce na talerz, oparł się wygodniej, przełknął to, co miał w ustach, i wskazał na dalszy róg kredensu.

- Przyniosłem whisky z salonu - rzekł do syna. - Poczęstuj się, chłopcze, dobrze ci zrobi.

David nalał sobie sporą porcję trunku, dodał wody i wrócił ze szklanką do stołu. Alicja postawiła przed nim dymiący talerz.

- A przede wszystkim zjedz - mruknęła.

- Dzięki - bąknął cicho David, rozkładając serwetkę na kolanach.

Alicja wróciła na swoje miejsce. W ciągu minionych miesięcy zaczęła się bać tych wspólnych kolacji, których nastrój niezmiennie determinowało posępne milczenie Davida. Dawniej oboje z George'em bardzo lubili te chwile; siedzieli sobie razem i nikt im nie przeszkadzał, opowiadali, co się wydarzyło w ciągu dnia, i robili plany na jutro. Teraz, jeśli w ogóle ktoś się odzywał to tylko George i ona, lecz rozmowa brzmiała tak płytko i sztucznie jak lekcje języków obcych w telewizji; wkrótce zresztą zamierała. Alicja wiedziała, że George też to czuje. Oboje woleli już kompletne milczenie od tych rwących się, wymuszonych zdań. Siedzieli więc we troje jak mnisi związani ślubem milczenia; wysokie sklepienie jadalni wzmacniało irytujący zgrzyt sztucców po talerzach.

Dziś jednak miało być inaczej. Przed kolacją George zrelacjonował jej rozmowę z Duncanem Caple'em i Alicja obawiała się, jak David przyjmie propozycję wyjazdu do Stanów. Dlatego też wzdrygnęła się nerwowo, gdy George odstawił szklankę i zwrócił się do syna:

- Jak ci idzie z ogrodem?

Wyrwany z zadumy David raptownie podniósł głowę, wypił łyk whisky i otarł usta serwetką.

- Już kończę - rzekł głosem chropawym, jakby zardzewiałym wskutek zbyt rzadkiego używania. Odchrząknął. - Liczę, że za tydzień wszystko będzie gotowe.

- No, no - mruknął George. - Odwaliliście z Jockiem kawał dobrej roboty. Nie przypuszczałem, że dożyję dnia, gdy nasz ogród rozkwitnie w całej dawnej krasie. - Podniósł widelec do ust i przy stole znów zaległa cisza.

Jedli, nie patrząc na siebie. Po chwili David odłożył sztucce i rzekł do ojca:

- Pomyślałem, że w następnej kolejności mógłbym się zająć tym nieużytkiem na brzegu jeziora.

Lord Inchelvie przestał żuć i spojrzał na żonę. Alicja zastygła z widelcem w ustach, niespokojnie zerkając to na męża, to na syna. David zauważył tę wymianę spojrzeń.

- Czy coś się stało? - spytał.

George Inchelvie westchnął głęboko, oparł łokcie na poręczach krzesła i splótł ręce na kolanach. Czoło miał zmarszczone głębiej niż zwykle, luźna skóra tęgiej szyi utworzyła rząd podbródków, gdy pochylił głowę. Postukał paznokciem jednego kciuka o paznokieć drugiego.

- W pewnym sensie tak - odparł.

- Co? - Przez twarz Davida przemknął wyraz lęku.

George zerknął na żonę, która ledwie dostrzegalnie skinęła głową.

- No cóż... - rzekł, starannie dobierając słowa. - Mamy pewien problem w marketingu.

David zerknął na matkę, potem znów na ojca.

- Dlaczego Duncan się nim nie zajmie? W końcu od tego jest.

- Sprawa jest nieco bardziej skomplikowana. Duncan też może być tylko w jednym miejscu na raz, a ostatnio po prostu brakuje mu ludzi. - George spojrzał na syna i postanowił wyłożyć kawę na ławę. - Posłuchaj, Davidzie: wiem, jak daleki jesteś teraz myślami od pracy. - Urwał na chwilę. - Ale prawda wygląda tak, że wątpię, by udało nam się rozwiązać ten problem nie angażując ciebie.

David westchnął głęboko i podrapał się po karku.

- Duncan zwrócił mi dziś uwagę - ciągnął ojciec - że nasza sprzedaż w Stanach dramatycznie spadła. Nie krył, że chce jeszcze w tym tygodniu zwołać zebranie zarządu, by jak najszybciej wybrać nowego dystrybutora na tamtejszym rynku. - George spojrzał na żonę, która uśmiechnęła się doń krzepiąco. - Ja w przyszłym tygodniu jadę do Glasgow na konferencję producentów; Duncan w tym samym czasie wylatuje do Europy, tak więc... - George skubnął nerwowo małżowinę uszną - pozostaje pytanie, kto polecą do Stanów. - Sięgnął po szklankę i upił łyk whisky, grając na zwłokę, nim David przetrawi usłyszane wieści.

David oparł się w krzesło i skrzyżował ramiona.

- A Robert McLeod? - spytał cicho. - Też jest zajęty?

Ojciec zaśmiał się sucho.

- Znasz Roberta lepiej niż ktokolwiek inny. To świetny finansista, ale nigdy nie ruszył się nawet na krok ze Szkocji, a cóż dopiero za ocean! Wylądowałby w Alabamie i musielibyśmy wysłać za nim ekspedycję ratunkową, ha, ha! - Widząc, że syn nie zareagował

uśmiechem na tę żartobliwą uwagę, spoważniał. - Poza tym, Davidzie, Robert się starzeje. Amerykanie zjedliby go na surowo.

David przymknął oczy i wolno pokiwał głową.

- Słowem, Duncan chce, żebym to ja jechał.

Alicja, która dotąd siedziała w milczeniu, przysłuchując się wyjaśnieniom męża, uznała za stosowne włączyć się do rozmowy:

- Kochanie, dalecy jesteśmy od chęci zmuszenia cię do wyjazdu, zwłaszcza jeśli nie czujesz się na siłach. Ostatecznie ktoś cię lepiej rozumie niż my. Ale ty także musisz zrozumieć, w jak trudnej sytuacji znalazł się ojciec.

David potarł czoło.

- Nie chodzi tylko o to, że nie czuję się na siłach. Po prostu nie chciałbym teraz oddalać się zbyt od dzieci.

George milczał przez chwilę, po czym położył dłoń na ramieniu syna.

- Zdaję sobie z tego sprawę i nawet napomknąłem o tym w rozmowie z Duncanem. No cóż, on twierdzi, że wszystko przygotuje: ty masz tylko tam jechać przeprowadzić rozmowy. Wrócisz najdalej za dwa, trzy dni. - Urwał i spojrzał na żonę, jakby znów szukając u niej poparcia, nim podjął spokojnym przekonującym tonem: - Matka i ja też uważamy, że dobrze ci zrobi krótki wyjazd. Wiem, że w tej chwili jesteś innego zdania, ale jeśli się przełamiesz, wyjdzie ci to tylko na korzyść.

David podniósł serwetkę z kolan, rzucił ją na stół i odsunął krzesło.

- No cóż - rzekł wstając. - Przemyślę to.

Alicja podniosła rękę, zatrzymując go w pół kroku.

- Davidzie, proszę, usiądź jeszcze na chwilę. - Odczekała sekundę, zbierając myśli. - Synku... ojciec i ja robimy co w naszej mocy, żeby ci pomóc. Nie jest to łatwe, gdy wszystko dusisz w sobie. Patrzymy, jak z dnia na dzień coraz bardziej się zamykasz i... cóż, to zaczyna przerastać nasze siły. - Spojrzała na męża, który siedział w milczeniu. Twarz miał poszarzałą z niepokoju, że cienka jak nić pajęczna cierpliwość Davida zaraz pęknie. - Widzisz, życie musi się potoczyć dalej, nie tylko nasze czy twoje, ale przede wszystkim życie twoich dzieci. Musimy znów zacząć funkcjonować normalnie. Każde z nas stara się więc, jak może, choć przecież dla wszystkich był to potworny cios... - Urwała i odchrząknęła, gdyż głos zdrzął jej ze wzruszenia. - Nie chcę wydać ci się brutalna, ale musisz nam trochę pomóc i zacząć z nami rozmawiać, bo inaczej wątpię, czy wraz z ojcem zdołamy dłużej dźwigać to brzemień.

David podniósł wzrok. Na twarzy matki ujrzał szczery smutek. Ojciec pokrył swe uczucia kaszlnięciem, wyjął z kieszeni chusteczkę i głośno wytarł nos. W głębi skołatanego

mózgu Davida widok ich rozpaczy odblokował jakiś znieczulony dotąd nerw. Zagryzł dolną wargę. Po chwili odezwał się:

- Przez osiemnaście lat... dzieliłem myśli z... - zająknął się, próbując wydobyć z siebie słowo jak chory po wylewie, który mozolnie uczy się od nowa mówić - ...z Rachel...

Patrzył przed siebie, w ścianę, i dlatego nie dostrzegł ruchu ręki matki, która ukradkiem ścisnęła dłoń ojca. Mówił dalej chrapliwym, urywanym głosem:

- Byliśmy... jednym. Myśleliśmy tak samo, śmialiśmy się z tych samych rzeczy, przeżywaliśmy tak samo... naprawdę staliśmy się jednym ciałem i duszą. A teraz... - odetchnął spazmatycznie - teraz jej nie ma, a ja... czuję się zagubiony... i pusty... Trudno mi okazać wdzięczność, bo oślepiłem na odruchy ludzkich serc... - Gwałtownie otarł oczy wierzchem dłoni. - Teraz w moim życiu ziele olbrzymia pustka... Niczego nie odbieram... nie odczuwam... straciłem wiarę w siebie... nie mam już nic... - Podniósł wzrok i szybko spuścił go z powrotem. - Ale choć nic nie czuję, to przecież wiem... wiem, jak wielką podporą byliście mi oboje w minionych miesiącach... I wiem też, że nie okazałem wam wdzięczności... choć wiercie mi, jestem wdzięczny...

- Synku, nie musisz... - wtrąciła Alicja.

- Mamo, proszę - przerwał jej. - Pozwól mi skończyć. - Zerwał się z krzesła, wepchnął ręce do kieszeni spodni i znów przez chwilę zbierał myśli, nim podjął wolno i metodycznie: - Podejrzewam, że odciąłem się od zewnętrznego świata.... bo mój własny świat już do niego nie pasuje. Przez większość czasu egzystuję tak, jakby nic się nie stało. I nagle rzeczywistość staje mi przed oczyma, ba, rzuca mi się do gardła! - Wznosząca się kadencja zdania przeszła w gniewny syk. - I kiedy myślę: teraz, głupi gnojku, teraz musisz się w końcu zebrać i stawić jej czoło... - David opadł na krzesło i dokończył szeptem: - Właśnie wtedy opada jakaś klapka i znów nic nie czuję.

Matka patrzyła na niego ze łzami w oczach.

- Kochanie, wiem, zabrzmi to jak frazes, ale czas naprawdę leczy rany. Wyobrażam to sobie tak jak utratę ręki czy nogi. Na początku zmysły są otępiełe, w końcu jednak rzeczywistość, jej ból, dociera do człowieka. Do ciebie też dotrze, Davidzie, i będziesz zdolny podjąć z nim walkę. Wyjdiesz z tej próby zwycięski, zaczniesz budować swoje życie od nowa. Wierz mi, że tak będzie.

David znów wstał od stołu i przeszedł aż na koniec jadalni. Tam odwrócił się do nich.

- Możliwe, że macie rację. Chyba powinienem wyjechać. Bo tak naprawdę nie chcę tu być, kiedy rzeczywistość mnie dopadnie. - Urwał, przejechał palcem wzdłuż wzoru na ciężkiej adamszkowej zasłonie. - Bo choćbym nie wiem jak próbował, nie mogę... fizycznie

nie mogę zrobić ani kroku bez Rachel. Wszyscy i wszystko mi o niej przypominają. A ja się bronię, odpycham jej wspomnienie, czuję rozpacz, przygnębienie... gorycz... Odrzucam tych, którzy są mi najbliżsi, nawet was, Effie, nawet Bogu ducha winnego Jocka! - Zaśmiał się niewesoło i ciągnął: - Wiecie, naprawdę myślałem, że tu, w Inchelvie, będzie mi łatwiej. Ale to nie działa. Rachel jest wszędzie.

Obrócił się i ruszył z powrotem, oddychając głośno i mrużąc pod nosem:

- To beznadziejne! Całkiem beznadziejne! George powoli dźwignął się z krzesła, sięgnął po pustą szklankę Davida i swoją, w drugą rękę ujął laskę i pokuśtykał do kredensu.

- Obu nam dobrze zrobi jeszcze jedna - rzekł, starając się, by zabrzmiało to lekko i naturalnie. Nalał dwie duże whisky, do każdej kapnął wody i postawił obie szklanki na stole, po czym jedną pchnął laską w stronę syna. - Dobrze choć, że mamy jej jeszcze sporo!

David uśmiechnął się i podniósł szklankę. George ciężko usiadł na swoim krześle.

- Synu - rzekł z namysłem - za miesiąc czy za rok, nigdy nie będzie dla ciebie dobrej pory na taką podróż, ale obawiam się, że po prostu musisz jechać. Jeśli czujesz się na siłach, chętnie zabrałbym cię jutro do firmy, żebyś porozmawiał z Duncanem. Niech cię wprowadzi w zagadnienie, potem weźmiesz samochód i wrócisz, a ja jakoś dojadę. - Znów uczynił wysiłek, by nadać swemu tonowi pozór beztroski: - Właśnie mówiłem matce, że poznałem dziś przemiłego młodego człowieka. Nazywa się Archie McLachlan i jak się okazuje, jest wnukiem Gregora McLachlana.

- Znam go. - David skinął głową. - Jeszcze przed urlopem przyjmowałem go na staż.

- Jest grzeczny i uczynny. Na pewno podwiezie starego człowieka, jeśli go poproszę. - George zamilkł, po czym podjął: - Nie martw się o nic. My z matką zajmiemy się dziećmi i wszystkim, co potrzebne. Wyjedziesz na krótko, a kiedy wrócisz, zastanowimy się, co dalej. Jeśli uznasz, że potrzebujesz więcej czasu, zajmiesz się tym kawałkiem nad jeziorem. Zgodna?

David nie odpowiedział od razu. Przez chwilę obracał w palcach szklankę whisky.

- Cokolwiek planuje Duncan, nie wyjadę, zanim nie zobaczę się z dziećmi.

- Naturalnie, to przecież zrozumiałe.

- Otóż to. - David wolno skinął głową i wznosił szklankę jak w toast. - Jeśli nie macie nic przeciwko temu, pójdę teraz do siebie. - Ruszył do drzwi, lecz po chwili zatrzymał się, zawrócił, podszedł do matki i pocałował ją w policzek. - Dobranoc.

- Dobranoc, synku - odpowiedzieli chórem państwo Inchelvie, patrząc, jak wychodzi. Jeszcze przez chwilę siedzieli nieruchomo ze wzrokiem wbitym w drzwi, pogrążeni we własnych myślach, nim w końcu George poruszył się, wyrывая oboje z zadumy.

- Dobra robota, staruszek - uśmiechnął się do żony. - Nareszcie zmusiłaś go do

mówienia.

Alicja milczała, bawiąc się nieużywaną łyżką.

- On jest na krawędzi - powiedziała w końcu. - Równie dobrze mógł się jeszcze bardziej zaciąć.

George wychylił się z krzesła i uścisnął dłoń żony.

- Wiem. Znam to, o czym on mówi, ten zanik wszelkich uczuć. Przeżywałem go w czasie wojny, gdy koledzy ginęli w walce, a ja musiałem iść dalej. - Pociągnął łyk whisky. - Myślałem, że to już przeszłość, dopiero on mi przypomniał.

- Poradzi sobie, jak myślisz?

- Na pewno sobie poradzi. - George powoli pokiwał głową. - Ale czeka go jeszcze wiele bólu, gdy szok zacznie mijać.

- Nie powiedziałeś mu wszystkiego, prawda?

- O ultimatum Duncana? Bałem się. Lepiej zostawić wszystko tak, jak jest, i zobaczyć, co z tego wyniknie. - Z wysiłkiem dźwignął się z krzesła, ujął laskę, obszedł stół i położył żonie rękę na ramieniu. - Chodź, moja dziewczyno. Oboje jesteśmy emocjonalnie wykończeni. Pora spać.

Alicja wstała i ujęła go pod rękę. Gdy podeszli do drzwi, nacisnęła jeszcze dzwonek, by dać znać Effie, że można sprzątnąć ze stołu.

ROZDZIAŁ 6

David stał przez chwilę nieruchomo w sypialni. Zamknął oczy, kojąca cisza otuliła go z wolna, łagodnie tłumiąc zamęt w głowie. Postawił whisky na komodzie, podszedł do łóżka i usiadł na nim ciężko, opierając łokcie na kolanach i obiema rękami pocierając twarz.

- Niech to szlag! - zaklął cicho.

Upadł na wznak i wbił wzrok w sufit. Żałował, że nie ma dobrego pretekstu, by odmówić prośbie ojca. Zbyt wiele zostało powiedziane przy kolacji, zbyt wiele trzeba było rozważyć. Spuścił nogi z łóżka i usiadł ponownie. Rodzice mieli rację: musi nabrać nieco dystansu do swoich przeżyć. Toteż - choć perspektywa lotu do Stanów i prowadzenia rozmów z ludźmi, których w ogóle nie znał, jeżyła mu włosy na głowie - zdawał sobie sprawę, że jego komfortowa samotność w Inchelvie nieuchronnie musi dobiec końca, a zmuszając się do kontaktu z ludźmi, przybliży ów odległy dzień, gdy rana się zagoi.

Mimo to był przerażony. Wstał, podszedł do komody i pociągnął solidny łyk whisky. Ojciec hojniej nalał trunku niż wody, toteż David w pierwszej chwili zakrztusił się i poczuł, jak palący płyn ścieka mu do żołądka. Już miał wrócić do łóżka, gdy jego uwagę przykuło zdjęcie stojące pod ścianą na blacie komody. Sięgnął po nie. Sam je zrobił dwa lata temu - Sophie, Charlie i Harriet w łodzi na jeziorze; łagodne przedwieczorne światło odbija się od gładkiej jak lustro tafli wody, podkreślając błogie uśmiechy na twarzach dzieci. Sophie z całej siły napiera na wiosła, usiłując wprawić w ruch ciężką krypę, i chichocze wznosząc oczy ku niebu. Harriet siedzi na rufie i z otwartą buzią wpatruje się w wodę, pewna, że wkrótce na jej niby-wędkę ze sznurka złapie się taaaka ryba! Charlie na jednej nodze balansuje na dziobie, rozpostarte ramiona pochylili jak samolot w skrócie i udaje, że wcale nie chce wypaść za burtę.

Uśmiechając się do siebie David wysunął górną szufladę komody, wyjął parę czystych skarpet i przetaił nią zakurzone szkło ramki, a następnie pieczołowicie odstawił fotografię na miejsce. Jego wzrok powędrował ku innemu zdjęciu ukrytemu w szufladzie. Zawahał się, wyjął je i nie patrząc zabrał ze sobą do łóżka. Padłszy na wznak na splewiałą żółtą puchową kołdrę, wbił wzrok w sufit, przyciskając fotografię do piersi. Po dłuższej chwili podniósł ją do

oczu.

Było to zdjęcie grupy weselników, zblakłe pod działaniem słońca. Stał na nim obok Rachel, wokół kłębiła się horda znudzonych pozowaniem wystrojonych dziewczynek i chłopców niosących welon. Po lewej ręce Davida, wyróżniając się uroczystym czarnym frakiem spośród powodzi kiltów, jego družba, Toby, wychylał się nieco z szeregu i patrzył na Rachel z zachwytem. Zdjęcie to zostało odrzucone przez fotografa, który stwierdził kategorycznie, że „nie odpowiada wysokim standardom sztuki portretowej”. David potajemnie ocalił je spośród odrzutów, bo ze wszystkich to podobało mu się najbardziej. On sam srogim spojrzeniem przywoływał na nim družbę do porządku, Rachel zaś patrzyła prosto w obiektyw, roześmiana, bo właśnie przed chwilą odpięła mu sprzączkę tradycyjnej szkockiej sakwy, sporran. Aparat uchwycił lecący na ziemię sporran jako rozmazaną smugę.

David opuścił zdjęcie na pierś i zamknął oczy, opanowany ciepłą, rzewną nostalgią. Wybrał to zdjęcie właśnie dlatego, że ukazywało całą Rachel - bezpośrednią, wesołą, niewiarygodnie piękną. Poczuł, jak na twarz wypływa mu uśmiech. Skrzyżował ręce na fotografii tuląc ją do serca. Ból z wolna tracił ostrze.

- Opowiedz mi, jak Frankie zdobył przydomek Tygrys Rozbzykany.

- Co?

- Tygrys Rozbzykany. Nie pamiętasz? Twój kolega z Oksfordu. Dlaczego tak go nazywaliście?

- Boże, Rachel, skąd ci to nagle przyszło do głowy?

- Dużo takich rzeczy wpada mi do głowy. To niby drobiazgi, a w sumie bardzo cenne wspomnienia.

David zerknął na siedzącą obok żonę i podciągnął jej pod szyję kraciasty pled. W starej altanie było dość zaciszenie, zdawał sobie jednak sprawę, że Rachel nie powinna w ogóle wychodzić z domu - zwłaszcza gdy jest tak potwornie zimno.

- To szaleństwo - mruknął. - Powinnaś leżeć w łóżku.

- Dajże spokój, nie marudź. Nic mi nie będzie. Po prostu zobaczyłam przez okno, że pracujesz, i chciałam pobyć trochę z tobą.

David z rezygnacją wzruszył ramionami, wstał i podszedł do starego parafinowego grzejnika w kącie. Potrząsnął nim; w butli zachlupotało.

- Na jakiś czas starczy - mruknął, zdjął pokrywę i zaczął szukać po kieszeniach zapalek. Przytknął płonące drewnieko do palnika, odczekał, aż płomień obiegnie go wokół, nasadził na powrót pokrywę i wyregulował zawór, aż w okienku ukazał się równy rząd

niebieskawych płomyków. Już po chwili pomieszczenie wypełniło się aromatycznym ciepłem.

Wrócił na ławkę. Rachel wyplątała dłonie spod koca i naciągnęła głębiej na uszy wełnianą czapkę.

- No więc? - zagadnęła.

Zmarszczył pytająco brwi. Dopiero po chwili przypomniał sobie, o czym mówili.

- Ach tak, Frankie. - Objął żonę ramieniem i leciutko przyciągnął do siebie, świadom, że teraz wszystko sprawia jej ból. - No cóż, nie wiem, czy wypada o tym mówić. Pewnego razu Frankie przyprowadził dziewczynę, która była... hm... no, dość głośna w łóżku. W pewnej chwili... podejrzewam, że w szczególnej chwili... zza ściany dobiegł okrzyk: „Tak, tak mnie bzykaj, tygrysie!” Nazajutrz rano ot tak, dla żartu nazwałem go Tygrysem Rozbzykanym i Frankie omal nie udławił się płatkami na mleku. Potem to przezwisko jakoś do niego przyłgnęło; myślę, że sam je rozpowszechniał i obnosił jak trofeum.

- Bardzo lubię tę historyjkę. - Rachel uśmiechnęła się szeroko.

- Pewnie słyszałaś ją już ze sto razy?

- Tak, ale wciąż lubię jej słuchać. - Niezdarnie poprawiła się na ławce i westchnęła głęboko: - Ile to już lat...

- Dwadzieścia jeden.

- Wiem. Nigdy nie zapomnę.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, patrząc na częściowo zamrożone jezioro. Słabe, mleczone promienie zimowego słońca odbijały się od lodowatej wody. Było tak cicho, że nawet w altanie przy syczącym palniku słyszeli, jak gdzieś u podnóża okrytych śniegiem gór odzywa się spłoszona kuropatwa. Rachel otuliła się mocniej pledem i zadygotała, choć grzejnik emanował żywicznym ciepłem i w domku zaczęło się robić duszno.

- Pamiętasz, jak ciepło było rano po balu rocznicowym?

- Całe lato było wtedy upalne.

- To prawda. Opuściliśmy dach w samochodzie, a potem chcieliśmy jechać na śniadanie do Blenheim Palace.

Dawid się roześmiał.

- Faktycznie. Dobrze, że nie upieraliśmy się przy tym zbyt. Książę Marlborough nie byłby zachwycony, gdybyśmy go wyciągnęli z łóżka o piątej rano.

- Może i nie. Ale gdybyśmy go jednak odwiedzili, nie wylądowalibyśmy na polu pod Woodstock, prawda? - Rachel przytuliła się do niego, chcąc się ogrzać. - Dokładnie pamiętam zapach siana... i tę ciszę. Było tak cicho jak dziś. I nagle zza samochodu wyrzął lis; stał i

patrzył na nas. - Rachel znów westchnęła; jej wargi zdrząły. - Mój Boże, jakież to był czarodziejski poranek.

David cmoknął ją lekko w osłonięte czapką ucho.

- Tak, ale w ciszy słycać było coś jeszcze, pamiętasz?

Odwróciła się, żeby na niego spojrzeć.

- Masz na myśli Smokeya Robinsona?

- Mhm.

Uśmiechnęła się i pokiwała głową.

- Czy pamiętasz, ile razy nagrałeś mi tę piosenkę?

- Mmmnie. Musiałbym się zastanowić.

- Dwadzieścia. Po dziesięć razy na każdej stronie. Tamtego ranka przesłuchaliśmy ją co najmniej trzy razy od deski do deski. I tańczyliśmy. Ty w kilcie, ja w balowej sukni... - Rachel głośno przełknęła ślinę. Jej ciało napięło się z wysiłku. - A Smokey wciąż śpiewał - podjęła i zaśmiała się krótko. - Wiesz, to był jedyny rok w całym moim życiu, gdy prowadziłam dziennik. W tamtym tygodniu to był jedyny wpis, wielkimi czarnymi literami na ukos przez całą stronę: „A Smokey wciąż śpiewał”. To zdanie zawierało wszystko.

Całym ciałem odbierał targające nią dreszcze.

- Chodź. Przeziębisz się - rzekł, obejmując żonę ramieniem, żeby pomóc jej wstać.

Odsunęła jego rękę.

- Nie, jeszcze nie - powiedziała potrząsając głową. - Najpierw muszę się nacieszyć. Tak dawno nie wychodziłam z domu. Tu jest po prostu... pięknie.

David z rezygnacją opuścił rękę, usiadł i przyciągnął ją znów do siebie. W tej samej chwili oboje posłyszeli nowy dźwięk, delikatną wibrację dochodzącą od strony okna. Motyl, dotąd uspiiony w jakimś mrocznym, zakurzonym kącie, wziął ciepło piecyka za oznakę wiosny i teraz rwąc się na dwór, bezskutecznie usiłował sforsować szybę. Rachel wyciągnęła rękę spod koca i pochyliwszy się, delikatnie zamknęła go w dłoni. Przez chwilę słycać było miękki szelest skrzydełek, potem uwięziony w ciemnej ciasnej przestrzeni owad uspokoił się.

- Biedactwo - Rachel przymrużyła jedno oko, zerkając pomiędzy palcami na pomarańczowo-brązowe skrzydła jeńca. - Nie ma wielkich szans, prawda? Albo zostanie tutaj i umrze z głodu, albo wyfrunie na dwór i tam zamarznie.

- To prawda. - David przyciągnął do siebie jej dłoń, chcąc również zobaczyć małego więźnia. - Okoliczności sprzysięgły się przeciwko niemu.

Rachel wstała, podreptała do drzwi i otworzyła je. Powoli rozchyliła dłoń. Motyl nie rwał się do lotu. Uniosła go do ust i lekko, zachęcająco dmuchnęła w kolorowe skrzydełka.

Chwilę później motyl wzbił się w powietrze i unióśł go zimny wiatr. Rachel przez chwilę patrzyła w ślad za nim, dopóki nie zniknął jej z oczu. Potem zamknęła drzwi.

- Przynajmniej zakosztuje szerokiego świata - wyszeptała prawie niesłyszalnie, wracając na ławkę. - Choćby na krótko. To lepsze, niż gdyby miał zostać tu uwięziony na resztę swoich dni.

David wbił wzrok przed siebie, unikając jej spojrzenia. Zrozumiał niewypowiedziane porównanie i przeraził się. Poczuł dłoń Rachel na swoim kolanie.

- Wolisz o tym nie mówić, prawda?

- O czym? - bąknął nieprzekonywająco.

- Dajże spokój, kochanie, przecież wiesz. O tym, co nieuchronne.

David ze świstem wciągnął powietrze.

- Skarbie, nie...

- Owszem, Davidzie, tak. Właśnie tak. Bo chcę ci powiedzieć, że nie czeka mnie nic złego. Chcę ci o tym powiedzieć, żebyś mógł to powtórzyć Sophie, Charliemu i Harriett. Przekaż im, że jest mi dobrze, że jestem bezpieczna i że zawsze i wszędzie będę z wami. - Wyciągnęła rękę i pogłaskała go po policzku. - Wiesz, byłeś bezsprzecznie najprzystojniejszym chłopakiem w Oksfordzie. - Zaśmiała się słabo. - Nie chciało mi się wierzyć, że okażesz się równie miły... i że to ja cię złapię.

Przytulił twarz do jej wełnianej czapki, po kryjomu ocierając o nią załzawione oczy.

- Chciałabym jeszcze raz pojechać do Oksfordu.

- Tak? - wychrypiął i pospiesznie odchrząknął.

- Tak. W najbliższych dniach. Nie ma co zwlekać. - Oderwała się od niego. - Ale najpierw wróćmy do domu. Zmarłam na kość.

Nie trzeba mu było tego dwa razy powtarzać. Skoczył na równe nogi, wyłączył grzejnik i pomógł żonie wstać. Potem otworzył drzwi i objął Rachel w pasie. Kiedy szli powoli przez chrzęszczący, zmrożony trawnik, kolano Davida uderzyło w jakiś twardy przedmiot ukryty w kieszeni płaszcza Rachel. Syknęła z bólu. Zatrzymali się.

- Przepraszam.

- Nie szkodzi. Już dobrze - wyjąkała dzielnie.

- Co tam masz? - schylił się i pomacał płaszc. Rachel wsadziła rękę głęboko do kieszeni i wyjęła z niej walkmana.

- Muzyczkę - uśmiechnęła się.

- Czego słuchasz?

- Czekaj. - Przystanąła i założyła mu na ucho jedną słuchawkę, drugą zaś sobie. Potem

wcisnęła klawisz „Play”. - To właśnie ta kasetka.

W uchu zabrzmiały mu znajome słowa: *So take a good look at my face, you'll see the smile, it's out of place...* Spojrzał na żonę i potrząsnął głową, uśmiechając się z niedowierzaniem - Wciąż ją masz?

- Oczywiście. Wszystkie dwadzieścia nagrań w komplecie.

Objął ją ramieniem. Ruszyli dalej przez zmarznięty trawnik w stronę domu, a Smokey wciąż śpiewał.

Ale do Oksfordu nie zdążyli już pojechać.

Fotografia z trzaskiem spadła na podłogę. Wyrwany z głębokiego snu David usiadł, spuścił nogi z łóżka i schylił się, żeby ją podnieść. Sprawdził - szkło nie było pęknięte. Położył zdjęcie na łóżku obok siebie i pochylił się do przodu, opierając łokcie na kolanach i trąc pięściami oczy. Zerknął na zegar. Była za dwadzieścia druga.

Obrócił się, wziął fotografię i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w nią.

Zawsze tak było - od dnia, w którym się poznali, do dnia, kiedy umarła. Kochali się radośnie, z radością poczęli dzieci, które wzrastały wśród śmiechu i miłości. On należał do niej, a ona do niego; ich związek nie narodził się w ceremonialnym obrzędzie ślubu, ale trzy lata wcześniej, na wielkim świeżo skoszonym polu pod Oksfordem, pod kopułą jaskrawobłękitnego nieba, w obecności ptaków, lisa, snobistycznego triumpha - i Smokeya Robinsona, który im śpiewał.

David dźwignął się na nogi, podszedł do komody i starannie ustawił ślubną fotografię obok zdjęcia dzieci. Potem zdjął koszulę, paroma kopniakami zrzucił z siebie dzinsy, padł na łóżko i spał lepiej niż kiedykolwiek od śmierci Rachel.

ROZDZIAŁ 7

Nazajutrz rano David obudził się wcześniej i natychmiast uczył, jak mdlący niepokój ściska mu żołądek. Było to coś nowego, groźniejszego niż zimne poczucie osamotnienia, które zwykle ciążyło mu ołowiem na sercu. Wstał prędko, jakby zdecydowane działanie mogło mu pomóc; pospieszył do łazienki, odkręcił prysznic i wszedł do kabiny, nim woda zdążyła się nagrzać. Odchylił głowę, podstawiając twarz pod mocny ożywczy strumień.

Ale jego myśli krążyły wciąż wokół jednego: dziś nie będzie pracował w ogrodzie. Dziś zmuszony jest wrócić do życia, do którego wciąż nie był ani fizycznie, ani duchowo przygotowany.

Pochylił się po mydło, tańczące nad odpływem, i zaczął nim mocno trzeć całe ciało, starając się zmyć tchórzostwo i rozbudzić energię, która wszak czai się chyba jeszcze w głębi jego duszy. Wspominając wczorajszą rozmowę z rodzicami, po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że oni też cierpią, choć starają się okazywać mu siłę i wsparcie.

Zakręcił wodę i wyszedł z kabiny. Skóra go mrowiła, umysł miał jaśniejszy. Poganiany wciąż tym samym niepokojem, ogolił się pospiesznie i wrócił do sypialni. Wyjął z szuflady czyste bokserki, wciągnął je i bezmyślnie sięgnął po robocze dzinsy. Oprzytomniał dopiero zapinając guziki.

- Och, na miłość boską, weź się w garść! - warknął, zrzucił je i kopniakiem posłał na krzesło, po czym podszedł do szafy, zdjął z wieszaka granatowy garnitur i położył go na łóżku. Odstąpił o krok, przyglądając mu się tępo.

Nie zmusił się, by włożyć kilt na pogrzeb żony. Było to zbyt namacalne ogniwo wiążące go z Rachel, a tamtego dnia nie wiedzieć czemu chciał się od niej odciąć, zatrzeć jej wspomnienie w nadziei, że dzięki temu łatwiej przetrwa ceremonię. Włożył więc garnitur - i od tamtego czasu nie miał go na sobie.

Potrząsnął głową, nie mogąc się pozbyć uczucia odrazy zarówno na widok garnituru, jak i na myśl o powrocie do dawnych obowiązków. Szybkim ruchem podniósł ubranie i cisnął je w ślad za dzinsami na krzesło. Idealna gładź granatowej wełny emanowała mocą i pewnością siebie, tworząc uderzający kontrast ze szczerą prostotą usmarowanego ziemią

niebieskiego drelichu.

- Jezu, przecież ja nie dam rady! - mruknął do siebie.

Wrócił do szafy; wyjął beżowe spodnie i dwurzędowy granatowy blezer, starając się pogodzić bon ton ze swym nastrojem. Do tego błękitna sportowa koszula, dziana kamizelka z kaszmirowej wełny i mocne skórzane buty. Tak... Odetchnął głęboko i wyszedł na korytarz.

O wpół do dziewiątej zasiadł za kierownicą służbowego audi; stary lord, opatulony w tweedowe palto, zadowolili się miejscem pasażera, choć ostatnio to przeważnie on nim jeździł. David siedział w domu i częściej prowadził kosiarkę do trawy lub w ostateczności małe renault matki. Toteż, odwykły od mocy potężnego silnika z bezpośrednim wtryskiem, ruszył z piskiem opon, puszczając spod kół fontannę żwiru.

Ojciec zerknął na niego spod oka.

- Jak się dziś czujesz?

- Dobrze. - David krótko skinął głową.

- Nie martw się. Wszystko będzie dobrze. - George klepnął go uspokajająco w udo, nachylił się i włączył radio. Słuchał go codziennie w drodze do pracy; zresztą lepiej, jeśli nie będą skazani wyłącznie na własne przemyślenia. Z głośników ryknął baryton spikera porannego programu „Good morning, Scotland”. George pospiesznie ściszył radio i oparł się wygodnie, słuchając rozmowy korespondenta sportowego z menedżerem Glasgow Rangers o strategii klubu w rozpoczynającym się sezonie.

Kiedy skręcili za bramą posiadłości na główną drogę do Dalnachoil, chmury nagle się rozstały po raz pierwszy od miesiąca i wyrzwał zza nich skrawek bladego błękitu, a w ślad za nim wąty promyk słońca, który zalśnił nieśmiało na przedniej szybie. Nim dotarli do centrum wioski, skrawek błękitu wydłużył się, a słońce zaczęło wyzierać to tu, to tam zza chmur, oblewając blaskiem to ten, to ów dom w osadzie i rzucając ruchliwe cienie chmur na otaczające Dalnachoil wzgórza.

Stary lord Inchelvie co chwila unosił dłoń, pozdrawiając znajomych. David widział w lusterku ich zdziwione twarze. Fakt, ostatnio rzadko widywano ich razem.

Minąwszy teren zabudowany poczuł, jak lekkie, acz niezwykle podniecenie toruje sobie drogę do jego oziębiałego mózgu - jakby w końcu wyrwał się z ciasnego smutnego więzienia. W całym zeszłym miesiącu nigdy nie zapuścił się dalej niż do wioski, a i tak tylko wtedy, gdy nie dało się tego uniknąć. Zawsze się bał, że któryś z miejscowych go zagadnie, zechce wyrazić swe współczucie. Ale teraz, pędząc szybkim samochodem po wijącej się znajomej drodze, czuł się zdrowszy. Z obu stron migwały zielone oblane słońcem pola graniczące wyżej z brunatnym wrzosowiskiem spływającym ze wzgórz. David zerknął kątem

oka na ojca i po raz pierwszy od dawna poczuł przyptyw miłości do tego starego człowieka, siedzącego obok z przymkniętymi oczami i dłonią zwiniętą w trąbkę wokół ucha, którym łowił przyciszone tony radia. David pochylił się i zwiększył głośność. Ojciec z uśmiechem otworzył oczy.

- Zapomniałem nałożyć aparat słuchowy - wyjaśnił, opuszczając rękę na kolana. - Dzięki, synku, tak jest o wiele lepiej.

Na dnie doliny David skręcił na Aberlour, zdecydowanie naciskając pedał gazu, chciał bowiem czuć, jak moc silnika wgniata go w fotel. Wąska droga biegła wzdłuż meandrów rzeki Spey, wezbranej i burej po wiosennych deszczach. Zachowywał ostrożność; często musiał zwalniać, by uniknąć zderzenia z jakimś zawałidrogą. Najpierw był to stary ciągnik Masey-Ferguson, który toczył się z naprzeciwka waląc w niebo czarnymi kłębam dymu z dziurawej rury wydechowej; podczepiona z przodu wielka bela siana podskakiwała, skutecznie zasłaniając kierowcy widok. Następne były dwie czarnogłowe owce. Grzały się na środku drogi na ciepłym asfalcie i becząc, odrzucały głowy w tył jak dwie starszawe damy - doprawdy w dzisiejszych czasach trudno choć o chwilę spokoju, moja droga... Jeszcze dalej omal nie uderzył w nowiuteńki, lśniący samochód terenowy, zaparkowany beztrósko na skraju wąskiej drogi. Pusty uchwyt na wędki zamontowany na dachu wskazywał, że właściciel buszuje gdzieś na brzegu rzeki w pogoni za łososiem.

Dwie mile przed Aberlour David skręcił w prawo na wysoki kratowy most spinający brzegi rzeki, a tuż za nim w lewo, za dużym brązowym znakiem, na którym złotymi literami wypisane było: GLENDURNICH DISTILLERIES LTD. Dawniej droga zbiegała ze wzgórza serpentyną, ale trzeba ją było przebudować, by ułatwić dojazd długim i niezgrabnym trójosiowym ciężarówkom, które dostarczały zacier ze słodowni w Inverness, a wywoziły beczki dostatej whisky do rozlewni pod Glasgow. Teraz więc droga biegła długą pochyłością. Destylarni nie było widać za gęstym szpalerem jodeł. Wystawały znad niego tylko zadaszone jak pagody kominy, charakterystyczny element wszystkich szkockich gorzelni, dziobiące niebo nad starym budynkiem.

Za zakrętem odsłonił się widok na fabrykę. Mieściła się na płaskiej piętnastoakrowej działce wzniesionej wysoko nad rzeką. Asfaltowane drogi dojazdowe otaczał świeżo skoszony trawnik, który od czasu do czasu przetykały barwne dobrze utrzymane rabaty kwiatowe. Zjeżdżając z góry, David mijał kolejno szare blaszane dachy czterech identycznych składów-dojrzewalni, następnie starą kamienną słodownię i destylarnię o małych okienkach, następnie silos zbożowy, aż w końcu podjechał do nowego budynku administracyjnego stojącego na samym końcu kompleksu.

Zaparkował audi możliwie najbliżej głównego wejścia, przekręcił kluczyk uciszając jednocześnie silnik i radio, odpiął pas i wysiadł. Spojrzał w stronę budynku i mimowolnie wyciągnął ręce nad głową, jakby chcąc odepchnąć od siebie szczeniacką tremę. Zły na siebie, potrząsnął głową i przeszedł na drugą stronę samochodu, gdzie ojciec gramolił się na zewnątrz, podpierając się laską. David ujął go pod pachę i łagodnie podciągnął do pozycji stojącej. Stary lord stał przez chwilę, przygotowując się do następnego kroku. Zerknął na syna.

- Gotowy?

David skinął głową i uśmiechnął się.

- Świetnie - rzekł George. - W takim razie do boju!

Gdy pojawili się w obrotowych drzwiach recepcji, Margaret podniosła głowę, a na jej twarzy rozlał się szeroki uśmiech.

- A niechże mnie! - wykrzyknęła, dźwigając tęgie ciało z krzesła. - Toż to sam panicz David!

Pospieszyła ku nim i złapała Davida za rękę, nim zdążył ją wyciągnąć.

- O, jak to miło, jakże to miło znów pana widzieć! - Lustrowała go wzrokiem z góry na dół, wciąż ściskając jego dłoń. - Ale cóż to? Zmizerniał pan troszkę. Bez obaw, bez obaw, wciąż pan piękny jak dawniej! - Odrzuciła głowę i zaśmiała się tak potężnie, że słyszano ją z pewnością w całym budynku.

- Dobrze, dobrze, Margaret - wtrącił George - pan David wpadł dziś tylko na krótko.

- Oczywiście, oczywiście - zmytygowała się i dodała ciszej, zawstydzona swą nadmierną wylewnością: - W zupełności to rozumiem. A tak czy owak cieszę się, że pana widzę takim rześkim no i w ogóle, panie Davidzie.

- Dziękuję, Margaret - uśmiechnął się David.

- Czy pan Caple mówił, o której chce się z nami spotkać? - zapytał lord Inchelvie.

- A i owszem. - Recepcjonistka potruchtała do lady, wzięła z niej kartkę i okulary. Rozłożyła je zamaszystym potrząśnięciem, po czym nasadziła trochę krzywo na nos. - O... - zaczęła powoli, trzymając kartkę przed oczyma - tu pisze, że możecie się panowie spotkać o godzinie dziesiątej w sali posiedzeń zarządu.

- Znakomicie. Dzięki, moja droga. Daj mu, proszę, znać, że będziemy tam na niego czekać. - George ujął Davida za ramię i odciągając go od Margaret zerknął na dziadkowy zegar.

- Słuchaj, jest dopiero dwadzieścia po dziewiątej - mruknął. - Proponuję, żebyś do dziesiątej zniknął, inaczej zaraz zagonię cię do roboty. Idź, przespaceruj się po destylarni, a

potem zaczekaj w sali narad.

- Dobrze - David mrugnął doń porozumiewawczo. - Masz rację. - I ruszył pospiesznie ku obrotowym drzwiom, jakby nie mógł się już doczekać chwili, gdy stąd wyjdzie.

Wszedłszy do swego gabinetu, George zirytował się nieco na widok Roberta McLeoda. Księgowy stał z rękami splecionymi na plecach i wyglądał przez okno. Słyszając szmer w drzwiach, odwrócił się.

- A, George - rzekł swym artykułowanym edynburskim akcentem. - Ufam, że nie masz mi za złe, iż tu na ciebie czekam. Mhairi powiedziała mi, że masz teraz wolne pół godzinki, a chciałem się z tobą zobaczyć w dość pilnej sprawie.

George podszedł do wieszaka na ubrania.

- Naturalnie - rzekł, zdejmując płaszcz. - Daj mi tylko chwilę, żebym się rozgościł.

Wieszając okrycie, zerknął kątem oka na schludną drobną postać głównego księgowego Glendurnich i omal nie zatrzęsł się ze śmiechu na wspomnienie desperackiej sugestii Davida, iżby ten człowiek zastąpił go w Stanach. Podszedł do biurka i z ulgą opadł na fotel.

- Byłeś kiedy w Ameryce, Robercie? - zagadnął, powiesiwszy laskę na poręczu.

- Nie, tego nie mogę powiedzieć.

- Tak myślałem. - Uśmiechając się szeroko, George otworzył górną szufladę biurka, wydobyl z niej blok papieru i wyjął pióro z wewnętrznej kieszeni marynarki.

Robert tymczasem przyniósł sobie stojące pod ścianą krzesło i ustawił je naprzeciw biurka, po czym usiadł, zgrabnie podciągnawszy odprasowane jak brzytwa spodnie.

- Aczkolwiek - rzekł z namysłem - wybieraliśmy się kiedyś z córkami do Disneylandu. Miały wtedy po paręnaście lat, czyli... - Wzniósł zadumany wzrok ponad głowę George'a i musnął wskazującym palcem starannie przystrzyżony wąsik, jakby czule głaskał mysz. - Tak, to musiało być z dziesięć lat temu. Jak sobie przypominam, właśnie wtedy raptownie spadł kurs funta, toteż musiałem zrezygnować z wyjazdu. - Robert otrząsnął się ze wspomnień i spojrzał na George'a. - Zresztą oboje z żoną wolimy spędzać wakacje w południowo-zachodniej Anglii. Jest tam wiele wspaniałych pól golfowych.

- Nie wątpię. - George rzucił okiem na tego małego pedanta, który nie mógłby być nikim innym jak księgowym; do tego stopnia, że bez żalu odwołał wymarzone wakacje własnych dzieci, by poprzez operacje na rynku walutowym dorzucić po parę pensów do swych cennych funtów.

Robert McLeod był jednak prawdziwą opoką firmy. Od dwudziestu lat, odkąd

przeniósł się do Glendurnich z niewielkiej spółki księgowej w Edynburgu, skrupulatnie i mądrze dbał o jej finanse. Punktualny co do sekundy, zawsze jednak pierwszy opuszczał biuro dokładnie o siedemnastej trzydzieści - co przynajmniej w lecie oznaczało, że udaje się wprost na najbliższe pole golfowe.

Jednakże już od jakiegoś czasu George miał uczucie, że zaangażowanie Roberta w sprawę firmy słabnie. Był skłonny przypisać to dyktatorskim manierom Duncana Caple'a, który również był zdolnym finansistą. Zanotował w myśli, by pod koniec spotkania spytać jednak Roberta, co on sądzi o wynikach sprzedaży w Stanach Zjednoczonych.

- Z czym do mnie przychodzisz? - zapytał, odkładając pióro i przerzucając poranne pisma, które Mhairi odłożyła mu do wglądu.

Robert oparł się wygodniej i odkaszlnął, zasłaniając usta zwiniętą dłonią.

- No cóż... Po prostu pomyślałem, że pora już, bym przeszedł na emeryturę.

- Co takiego? - zaskoczony George podniósł głowę. - Dlaczego?

Robert założył nogę na nogę i wierzchem dłoni strzepnął niewidzialny pyłek ze spodni.

- Ponieważ - zaczął powoli - chyba jestem już za stary do tej pracy. Zdaję sobie sprawę, że pozostali członkowie zarządu są znacznie młodszy ode mnie, a poza tym współczesny rynek whisky zaczyna mi się wydawać... zbyt drapieżny.

George patrzył na niego, czekając na ciąg dalszy.

- Coś jeszcze?

- Hm, prawdę mówiąc, tak. - Robert zawahał się. - Zaoferowano mi posadę sekretarza klubu golfowego Drumshiel. To dla mnie naprawdę wymarzona okazja i nie chciałbym jej odrzucać.

George okręcił się w fotelu i milczał przez chwilę, patrząc w okno.

- Kiedy chcesz odejść? - zapytał w końcu znużonym głosem.

- Za miesiąc - odparł z ulgą Robert, szczęśliwy, że udało mu się uniknąć wymówek co do konsekwencji, jakie wskutek jego kroku poniesie firma. - To da mi dość czasu na zamknięcie bilansu za zeszły rok. Mój następca zacznie od nowa, nie musząc się dostosowywać do moich metod czy nawyków.

George wciąż patrzył przez okno. Potem zamknął oczy i nieznacznie potrząsnął głową. Był zły. Dzięki, Robercie, tego tylko było mi jeszcze trzeba! - sarknął w duchu. Nie dość, że Duncan naciska coraz mocniej, zagrażając pozycji Davida w firmie, to jeszcze David... W tej chwili nie jest w stanie normalnie żyć, co dopiero załatwiać interesy w Stanach. A ty przychodzisz i mówisz mi, że mam znaleźć nowego głównego księgowego! Czas na

emeryturę, powiadasz? Ja od dziesięciu lat powinienem być na emeryturze, a jednak siedzę tu, starając się rozwiązać każdy cholerny problem!

Zwykły czerstwy rumieniec spełził z policzków lorda Inchelvie, jakby nagle przybyło mu wiele lat. Zaniepokojony McLeod poderwał się z krzesła i właśnie miał zapytać prezesa o samopoczucie, gdy ten zaczerpnął powietrza w płuca i obiema rękami uderzył w poręczę fotela.

- A zatem musimy zacząć szukać kogoś na twoje miejsce - rzekł na jednym wydechu.

- Sam wiesz, że ciężko cię będzie zastąpić.

- Dzięki za te słowa, George - Robert opadł z powrotem na krzesło - ale sądzę, że nie będzie to takie trudne. O ile wiem, Duncan rozmawiał już wstępnie z obecnym głównym księgowym słodowni w Elgin.

- Ach, tak? - warknął Inchelvie. - Od jak dawna wie o twoich planach?

- Powiedziałem mu w zeszłym tygodniu - rzekł cicho Robert, speszony gwałtowną reakcją szefa. - Stwierdził, że bardzo mu przykro, ale sam przyznał, iż jest to dla mnie zmiana na lepsze.

George splótł dłonie i zagryzł wargę w zadumie.

- Jakie on ma uprawnienia? - spytał nagle.

- To znaczy?

George obrzucił Roberta nieprzychylnym spojrzeniem i powtórzył pytanie:

- Czy Duncan może zatrudniać i zwalniać pracowników bez porozumienia z zarządem?

- Tak. - Księgowy skinął głową. - O ile pamiętam, był to jeden z warunków, na których zgodził się podjąć u nas pracę.

George oparł łokcie na biurku i palcami zaczął trzeć czoło, uświadomiwszy sobie nagle, że Duncan nie tylko może powierzyć finanse Glendumich komu zechce, ale także, wykorzystując swoje uprawnienia, zagrozić przyszłości jego własnego syna w zarządzie firmy.

- Na Boga! - sapnął. - I myśmy się na to zgodzili?

- Sądzę - bąknął nieśmiało McLeod, świadom, że George gotów jest w każdej chwili wybuchnąć - iż bardzo nam zależało na tym, żeby go do nas ściągnąć.

- Tak, chyba tak... - George oparł się w fotelu. Znów rzucił okiem za okno, nim dodał:

- Robercie, czy on... zasugerował ci, żebyś się zwolnił?

Księgowy gwałtownie potrząsnął głową.

- Ależ nie, skądże znowu! To naprawdę był mój pomysł. Na Boga, nie! Chyba nawet

Duncan nie miałby tyle czelności, żeby mnie stąd wyrzucić.

- Tego jestem pewien. - George uśmiechnął się przelotnie. - Wybacz, że zadałem ci to pytanie, ale wolałem się upewnić, czy nic się tu nie dzieje za moimi plecami.

Robert wstał, korzystając z okazji, by zakończyć rozmowę w przyjaznym nastroju, i odstawił krzesło pod ścianę gabinetu.

- Nie, nie ma obawy, George. Duncan jest trochę... hm, egocentrykiem, ale to zdolny biznesmen i już na podstawie wstępnych wyników za zeszły rok mogę stwierdzić, że jego praca przynosi firmie zyski.

- Zapewne tak... - Inchelvie pokiwał głową. - Dzięki, Robercie, wiesz, jak sobie cenię twoją opinię.

- Cieszę się, że mogłem nią służyć. Teraz, jeśli pozwolisz, wrócę do pracy. Ostatecznie czas to pieniądz.

- Naturalnie. I... Robercie, dziękuję ci za to, co zrobiłeś dla firmy przez te wszystkie lata. Byłeś nam opoką.

Robert uśmiechnął się blado, obrócił i wyszedł. George patrzył przez chwilę na zamknięte za nim drzwi, po czym nacisnął guzik interkomu.

Dziesięć sekund później rozległy się dwa puknięcia do drzwi i zaraz potem weszła Mhairi, niosąc bloczek i długopis. Zbliżyła się do biurka i uśmiechnęła wyczekująco. George odpowiedział jej uśmiechem.

- Bądź tak dobra, Mhairi, i potwierdź nocleg z wtorku na środę w Devonshire Place dla dwóch osób: dla mnie i lady Inchelvie.

Mhairi pospiesznie nagryzmołała coś w notesie.

- Jak rozumiem, lady Inchelvie nie weźmie udziału w konferencji?

George potrząsnął głową.

- Nie, jedzie ze mną, żeby przy tej okazji odwiedzić nasze wnuki w szkole w Perth.

- Rozumiem. - Mhairi postawiła na papierze kolejny gryzmoł i zakończyła go kropką.

- Czy to wszystko, milordzie?

- Niezupełnie. Zadzwon, proszę, do British Airways i zarezerwuj bilet powrotny z Glasgow do Nowego Jorku na wtorek rano.

- Najbliższy wtorek, milordzie?

- Tak. - George zawahał się na chwilę. - Bez oznaczonego terminu powrotu.

Mhairi czekała grzecznie z ołówkiem uniesionym w powietrzu. Kiedy George milczał, zapytała: - Na czyje nazwisko?

- Przepraszam. - George machnął ręką. - Davida.

Mhairi skinęła głową i zakończyła notatkę.

- Dziękuję, Mhairi. Będę wdzięczny, jeśli załatwisz to od razu.

- Oczywiście, milordzie. - Mhairi zakręciła się jak fryga i już była za drzwiami.

Kiedy wyszła, George zwrócił fotel w stronę okna, ujął pióro i zaczął je obracać w palcach, stukając nim o blat biurka coraz mocniej i mocniej. Po chwili zdjął nakrętkę i dwoma zdecydowanymi pociągnięciami przekreślił notatkę przeznaczoną dla Roberta. Rzucił pióro na biurko i oparł się z powrotem. Na jego twarzy malowało się zmęczenie.

- Mam nadzieję, Duncanie, że nie knujesz niczego za moimi plecami - mruknął pod nosem. - Mam taką nadzieję, chłopcze.

David pchnął drzwi destylarni i od razu uderzył go w nozdrza upajający zapach gorącego zacieru. Cztery wytarte kamienne stopnie prowadziły na platformę z metalowej siatki, biegnącą piętnaście stóp powyżej podstawy kolumn destylacyjnych. Cały budynek zdawał się syczeć jak szybkar, zagłuszając metaliczny podźwięk jego kroków. Przeszedł na drugi kraniec, mijając cztery potężne miedziane kotły i po następnych metalowych stopniach dostał się na wąską galeryjkę biegnącą już powyżej aparatów. W połowie galerii przystanął przed świeżo pomalowanymi na jaskrawozielony kolor drzwiami opatrzonymi białym napisem KANTYNA. Zawahał się na chwilę, po czym wszedł do środka.

Pomimo kłębow tytoniowego dymu nowa kantyna dla robotników była jasna i przestronna. Urządzono ją w starym magazynie zbożowym, kiedy starą stołówkę pochłonęła przebudowa biur. Miała świetliki w dachu, a w miejsce starych wrót załadunkowych wstawiono olbrzymie okno, tak że z miejsca, gdzie stał, widać było okolicę hen, aż po płynącą w dole rzekę. Pod jedną ze ścian stał zestaw nowoczesnych mebli kuchennych wraz ze stalowym zlewozmywakiem, lodówką, kuchenką mikrofalową oraz nowiuteńkim ekspresem do kawy, tkwiącym jeszcze w firmowym kartonie, co dowodziło, że siła robocza preferuje słodką herbatę noszoną z domu w termosach. Wystrój mógłby być całkiem ładny, gdyby nie to, że w akcie nielogicznego, acz stanowczego sprzeciwu wobec narzuconych im zmian robotnicy przenieśli tu meble ze starej stołówki. Środek pomieszczenia zajmował więc długi stary drewniany stół z ciemnym poplamionym blatem upstrzonym czarniawymi śladami papierosów. Otaczała go kolekcja krzeseł od Sasa i od lasa. Jediną ozdobą ścienną był duży kalendarz wciąż otwarty na marcu. Przedstawiał młodą dobrze rozwiniętą blondynę udającą, że odkręca koło ciężarówki - golotka, jak ją Pan Bóg stworzył.

Przy stole siedzieli trzech mężczyzn w trykotowych koszulkach i kombinezonach. Popijali gorącą herbatę z kubków, zaczytani w rozpostartych na stole magazynach dla panów.

Kiedy wszedł, wszyscy podnieśli głowy i mamrocząc niezrozumiałe powitania, podnieśli się z krzesel, rzucając przy tym zakłopotane spojrzenia na siebie nawzajem i wiszący nad zlewem zegar.

- Nie przeszkadzajcie sobie! - David zmieszał się, widząc ich reakcję. Spojrzał na jednego z mężczyzn. - Jak się masz, Dougie?

Dougie Masson przyciągnął do siebie przepelnioną popielniczkę, zdusił w niej własnoręcznie skręconego papierosa i podszedł do Davida wycierając ręce o tył spodni. W barach miał niemal tyleż, co wzrostu - niski, krępy i zażarty jak terier mężczyzna po pięćdziesiątce. Szpakowate włosy wokół głowy ostrzyżone miał na zero, jakby po to by złagodzić ich kontrast z lśniąca łysiną.

Dougie dwadzieścia pięć lat spędził w armii. Najpierw służył w piechocie morskiej, swą chwalebna karierę zakończył zaś w stopniu chorążego Queen's Own Highlanders w plutonie Davida. David - wówczas młody i bardzo jeszcze zielony podporucznik - nauczył się mu ufać i polegać na tym doświadczonym i ogólnie szanowanym podoficerze. Gdy w końcu obaj w tym samym czasie przeszli do rezerwy, poczuł się wręcz zaszczycony, gdy Dougie zapytał go, czy nie mógłby mu załatwić pracy w gorzelnii ojca. Otrzymał ją w ciągu miesiąca. Od tamtego czasu ich znajomość jeszcze się zacieśniła, nie przechodząc może w bliską przyjaźń, lecz raczej w trwały sojusz oparty na wzajemnym szacunku i szczerości.

Dougie zamknął dłoń Davida w żelaznym uścisku.

- Miło pana znów widzieć, szefie - odezwał się głosem tak głębokim i szorstkim, jakby dobiegał ze zwirowni. - Jak się pan trzyma?

- W porządku.

- Cieszę się, że to słyszę. - Dougie podrapał się po wytatuowanym przedramieniu. - Moi chłopcy i ja, no, bardzo panu współczujemy z powodu żony. To naprawdę straszne, proszę pana.

David skrzyżował ramiona i spuścił wzrok, popychając czubkiem buta jakiś niedopałek pod stół.

- Tak, to było straszne - przyznał.

Dougie zerknął na niego, potem na kolegów, którzy tymczasem zajęli się z powrotem lekturą gazet, mrugnął i kiwnął głową w stronę korytarza.

- Ano, szefie, będę wracać do pracy.

Zrozumiawszy sygnał, David wyszedł za nim, unosząc na pożegnanie rękę. Dwaj robotnicy podnieśli na chwilę głowy, odpowiedzieli krótkim skinieniem i wrócili do czytania.

- Jak wam leci? - spytał David, opierając się o barierkę za przykładem Dougiego,

który ze zmarszczoną brwią spoglądał w dół na kotły.

- Nieźle, nieźle, mogłoby być gorzej. Mieliśmy tu właśnie kłopot z trzecią kolumną. - Grubym palcem wskazał aparat destylacyjny, obok którego stały butle z acetylenem i tlenem i wałały się liczne narzędzia. - Ledwie cośmy się z tym uporali. Dlatego przerwę mamy dopiero teraz.

- Co się stało? - zapytał David spoglądając w dół.

- A, wczoraj po południu skurczybyk zaczął przeciekać - zachichotał Dougie. - Chwała Bogu, że Jimmy ma dobrego nosa. Wyczuł, drań, że kondensat przedostał się do bojlera. No to musieliśmy przez noc opróżnić aparat, żeby się dostać do zaworu, i jakąś godzinę temu wreszcie zaspawaliśmy dziurę. Do wieczora napełnimy go z powrotem.

- Mhm. Dobra robota.

Dougie odwrócił się do Davida z szerokim uśmiechem, doskonale wiedząc, że techniczna strona destylacji whisky nie jest czymś, o czym ten miałby głębsze pojęcie. Gdy jednak zobaczył, że David wpatruje się wzrokiem bez wyrazu w podłogę hali, uśmiech znikł mu z twarzy. Pokręcił wolno głową.

- Coś mi się widzi, chłopcze, że jesteś jakby ciut roztargniony, co?

David popatrzył na niego i skinął głową.

- Można tak powiedzieć - westchnął.

- A zatem - rzekł cicho Dougie - co porabiałeś od... no, od tamtego czasu?

- Głównie kopałem w ogrodzie.

Dougie podrapał się po skroni.

- Ano - mruknął - dobrze, jeśli człowiek ma się czym zająć. A co cię tu dziś sprowadza?

David obrócił się, sięgnął po miotłę opartą o ścianę i nadepnął ją mocno, aż dookoła poleciały bryzgi brudnej wody.

- Muszę lecieć w interesach do Nowego Jorku. To ostatnia cholerna rzecz, na jaką mam w tej chwili ochotę!

Dougie skrzyżował ramiona i spojrzał ponuro na czubki swych butów.

- To mogę zrozumieć. - Westchnął głośno i zaczął skubać odcisk na palcu prawej dłoni. - Pozdrów ode mnie porucznika Eggara, jak się z nim zobaczysz.

David odstawił miotłę i spojrzał ze zdziwieniem na Dougiego.

- Co masz na myśli?

- No przecież porucznik Eggar był twoim kumplem, nie?

- Oczywiście. Ale dlaczego sądzisz, że się z nim spotkam?

- Mieszka gdzieś pod Nowym Jorkiem. Dosłownie przed minutą czytałem o nim w biuletynie regimentu. Czekał no - Dougie odepchnął się od poręczy. - Mam go tu, w szafce. - Wrócił do kantyny i pojawił się kilka chwil później z czasopiśmie w ręku. - Dostałem go wczoraj i tyle co wsadziłem do torby, żeby przejrzeć w pracy.

- Poślinił brudny kciuk i zaczął niezdarnie przewracać strony. - Gdzie u licha... A! Tu jest! - Złożył w pół biuletyn otwarty na przedostatniej stronie i podał Davidowi.

Była to niewielka notka w kolumnie „Pozostałe wiadomości”.

Richard Eggar (ppor. QOH 1073-1976) zorganizował ostatnio zjazd tych rezerwistów Queen's Own Highlanders, którzy jak on zapuścili korzenie w USA. Będący obecnie wiceprezesem Banku Danmella w Nowym Jorku porucznik stwierdził, że miał przyjemność gościć aż czternastu kolegów - przyjemność tym większą, że trzech z nich przyleciało specjalnie z Zachodniego Wybrzeża. Porucznik Eggar, który mieszka wraz z żoną na Long Island, powiedział, że będzie szczęśliwy mogąc się spotkać z każdym członkiem regimentu, który w przyszłości odwiedzi Nowy Jork. Można się z nim kontaktować telefonicznie pod numerem 001 516 357 4298.

David uniósł brwi.

- Mógłbym to od ciebie pożyczyć?

- Nie ma sprawy. Tylko zwróć mi później.

- Najdalej za dwie godziny - obiecał David, ostatecznie rozstając się z miotłą i zwijając biuletyn w rulon. - Chcę sobie zapisać ten numer. - Zerknął na zegarek. - Psiakość, muszę lecieć. Za pięć minut mam zebranie.

Ruszyli razem kładką.

- Mam nadzieję, że trochę poprawiłem ci humor - uśmiechnął się Dougie.

- Nawet nie wiesz jak bardzo. Wybacz, mogłem ci się wydać niezbyt przytomny.

Dougie klepnął go w plecy.

- Tym się nie martw. Ostatecznie znamy się już kupę lat. Po prostu uważaj na siebie, chłopcze, i nie rób nic, czego ja bym nie zrobił.

- To i tak mam jeszcze duże pole manewru! - parsknął David. Schodząc ze schodów, pomachał biuletynem. - Dostaniesz to jeszcze dzisiaj.

- Ano przecież wiesz, gdzie mnie znaleźć.

Stary zegar w recepcji właśnie skończył terkotać wydzwoniwszy dziesiątą, gdy David

wpadł do budynku i popędził prosto do sali posiedzeń. Margaret, zajęta głośną rozmową przez telefon, obróciła się ku niemu z morderczym marsmem na twarzy, ale widząc Davida, rozciągnęła w uśmiechu uszmiłkowane usta i tylko pomachała mu serdecznie nie przerywając rozmowy.

Ojciec był sam, siedział u szczytu długiego stołu i nachylał się nad filiżanką pełną kawy. Kiedy David wszedł, podniósł głowę.

- Nie wiem, jak ona to, u licha, robi! - rzekł gderliwie.

- Kim jest „ona” i co takiego robi? - zaśmiał się David. Podszedł do ojca, wysunął sobie krzesło obok niego i rzucił na stół biuletyn gwardii.

- Margaret! Prosisz ją o kawę; wpada tu z prędkością światła i ciska ją na stół nie roniąc ani kropli. Przyjrzyj się: naląła z meniskiem! - George pochylił się nad filiżanką i siorbnął duży łyk, a następnie wyjął z kieszeni wzorzystą chustkę do nosa i otarł nią usta. - Byłeś w destylarni?

- Tak. Pogawędziłem sobie z Dougiem Massonem.

- A! Dawno go nie widziałem. Jak się miewa?

- Chyba dobrze. - David podniósł czasopismo i zaczął je wertować. - Pokazał mi artykuł o moim koledze z wojska. - Podsunął biuletyn ojcu. - Pracuje w Nowym Jorku, a mieszka gdzieś na Long Island. Pomyślałem, że zadzwonię do niego i spytam, czy mógłby mnie przenocować. Zawsze to lepsze niż samotne siedzenie w hotelu.

George uniósł brwi i wyciągnął rękę po gazetę. Zainteresował go nie tyle artykuł, ile niecodzienne ożywienie syna, który najwyraźniej postanowił zaczerpnąć nieco przyjemności z planowanej podróży. Pobieżnie przebiegł wzrokiem tekst i odłożył biuletyn na stół.

- To doskonały pomysł. Zadzwoń do niego, kiedy tu skończymy...

W tejże chwili drzwi otwały się z impetem i ukazał się w nich Duncan Caple z naręczem foliowych teczek. Szedł tyłem, kończąc rozmowę z kimś stojącym w korytarzu.

- ...Dobra. W razie czego powiedz, że oddzwonię do niego za pół godziny. - Obrócił się i nogą zamknął za sobą drzwi. - Przepraszam za spóźnienie. Zatrzymano mnie. - Podszedł do stołu, z łoskotem złożył na nim teczki i wysunął sobie krzesło naprzeciw Davida. - Czy macie panowie coś przeciwko temu, żebyśmy się streścili? W każdej chwili oczekuję ważnego telefonu z Japonii. - Zerknął na Davida. - Witaj, Davidzie, jakże się miewasz? - rzucił protekcyjnie. - Wybacz, że wysyłamy cię w tę podróż, ale po prostu nie było innego wyjścia. Zresztą, jak powiedziałem twojemu ojcu, zmiana otoczenia powinna ci dobrze zrobić.

George zacisnął usta, wściekły na Duncana za tę nietaktowną uwagę, i zgromił

młodego dyrektora spojrzeniem.

- Też jestem zdania, żeby nie tracić czasu - warknął - tym bardziej że David ma jeszcze inne sprawy na głowie.

Brzmiąca w jego głosie przygana spłynęła po Duncanie jak po kacze. Spojrzał na Davida.

- Nie zostaniesz w biurze? Myślałem, że załatwisz parę telefonów, skoro już się pojawiłeś...

- Nie! - uciął ostro George. - David nie ma na to czasu.

Duncan milczał przez chwilę. Zaczynał mieć dość tyrania za Davida, jak również walk z rodziną Gorstorphine'ów, która zwierała szyki przeciwko niemu, ilekroć chciał osiągnąć coś dla firmy. Potrząsnął głową z posępną rezygnacją.

- No cóż, skoro uzgodniliście to pomiędzy sobą, lepiej rzeczywiście się pospieszmy. - Wyjął ze stosu teczkę i otworzył ją. - Nie będę zagłębiał się w szczegóły, Davidzie, bo jestem pewien, że ojciec wyjaśnił ci już, dlaczego zmianę agenta w Stanach uważamy za konieczną. Starczy powiedzieć, że dla firmy kluczowym celem jest zwiększenie sprzedaży w Ameryce lub przynajmniej utrzymanie jej na dotychczasowym poziomie. Lacey nam tego nie zapewni. Otóż zbadałem profile czterech różnych firm i spośród nich wybrałem jedną, której kandydatura zostanie we wtorek przedłożona pod obrady zarządu.

George pochylił się do przodu.

- We wtorek mnie nie ma. Jadę do Glasgow na konferencję.

Duncan poprawił się na krześle i oparłszy łokcie na poręczach, rozłożył dłonie.

- To czysta formalność, omawialiśmy to wczoraj. Jednak zarząd musi ją zatwierdzić. Dlatego też - zwrócił się do Davida - umówiłem cię z przedstawicielem nowego dystrybutora na dziesiątą rano w środę.

Milczenie Davida kazało George'owi zerknąć niespokojnie na syna. Po krótkim ożywieniu wywołanym notatką w gazecie zapadł znów w zwykłą apatię. Jak zahipnotyzowany wpatrywał się we wnętrze swojej dłoni, pocierając ją z wolna kciukiem drugiej ręki.

Tego dla Duncana było już za wiele. Na litość boską, pomyślał, zgoda, jesteś w żalobie, ale nie musisz tak ostentacyjnie okazywać braku zainteresowania tym, co dzieje się wokół.

- Przepraszam cię, Davidzie - rzekł ostro. - Zapewne ty jesteś innego zdania, ale tak się składa, że to, co mówię, jest dość istotne.

David poderwał głowę, w jego oczach błysnęła furia. George dostrzegł to i podniósł

ręce, by zażegnać kłótnię.

- Spokojnie, chłopcy - wtrącił. - Duncan, masz to wszystko w aktach, prawda? Daj je Davidowi, niech sam przeczyta.

- Dobrze. - Duncan westchnął z rezygnacją i podsunął Davidowi teczkę z dokumentacją. - Firma nazywa się Deakin Distribution. Jest stosunkowo młoda, ale już może się poszczycić doskonałymi wynikami w promocji angielskiego dżinu w ciągu ubiegłych dwóch lat. Mają biuro na Madison Avenue, nie pamiętam dokładnego adresu, jest w tezcze. - Z rozmachem oparł ręce na stole i dźwignął się z krzesła. - No cóż, to chyba wszystko. - Zwrócił się do George'a: - Co z biletami?

- Mhairi już się tym zajęła.

- Świetnie. - Duncan pozbierał swoje papiery i ruszył ku drzwiom. Mijając Davida, przystanął. - A, jeszcze jedno. Właściwie chciałem cię prosić, żebyś wpadł do Lacey'a i zakończył współpracę z nimi w miłej atmosferze. Dochodzę jednak do wniosku, że to chybiony pomysł. Sam się tym zajmę, niestety, telefonicznie. - Zrobił krok do przodu i położył rękę na ramieniu Davida, cofnął ją jednak natychmiast czując, że ten wzdryga się pod jego dotknięciem. Dłoń Duncana zawisła na chwilę w powietrzu. Potem krótko skinął George'owi głową, obrócił się na pięcie i wyszedł.

W sali zapadła głucha cisza. W końcu George odsunął krzesło, ujął laskę i z trudem zaczął dźwigać się na nogi.

- To doskonały fachowiec - rzekł - ale Bóg mi świadkiem, czasami bywa nieznośny.

David podskoczył, aby pomóc ojcu wstać.

- Myślałem, że mu przyłożę - przyznał.

- Zauważyłem - zachichotał George i skrzywił się z bólu robiąc pierwszy krok w stronę drzwi. - Posłuchaj no, chłopcze. Mhairi zarezerwowała ci lot z Glasgow we wtorek rano. Termin powrotu pozostał otwarty, i to na moje życzenie. Pomyślałem, że... hm, dłuższy pobyt za granicą mógłby ci dobrze zrobić. Podróżuj... zresztą rób, co chcesz. Decyzja należy wyłącznie do ciebie.

David potrząsnął głową.

- Chyba nie dam się skusić. Chcę wrócić jak najszybciej. Dzieci będą za mną tęsknić, a poza tym pora, bym wrócił do pracy. Nie możesz wiecznie mnie zastępować. - Uśmiechnął się do ojca. - W końcu jesteś na emeryturze.

- Och, na litość boską, o mnie się nie martw! Jeszcze nie umieram. I jeśli mam być szczerzy, praca sprawia mi przyjemność.

- To widać - zaśmiał się David. Potem rzekł z wahaniem: - Dziękuję, żeś o tym

pomyślał. Może istotnie powinienem to rozważyć, ale najpierw chcę porozmawiać z dziećmi. Wybieram się do nich w sobotę.

- Dobry pomysł. - George wrócił do biurka i sięgnął po słuchawkę. - Nim sobie pójdziesz, pozwól, niech się upewnię, że będzie mnie miał kto podwieźć do domu. - Wybrał parę cyfr i odczekał chwilę. - Margaret, bądź tak dobra i przyślij tu do sali narad młodego McLachlana. Nie, tego z działu zbytu. Tak, właśnie tego. Dziękuję ci, moja droga.

Odłożył słuchawkę i spojrzał na syna.

- Na twoim miejscu nie przejmowałbym się Duncanem. Psioczy i sarka, bo taki już jest. Prowadź te rozmowy we własnym stylu i we własnym tempie. A ja się postaram, żebyś miał tu pewne zaplecze i nie musiał odwoływać się do niego. Zgoda?

David pokiwał głową.

- W tych okolicznościach to chyba najlepsze wyjście.

Przerwało im nieśmiałe pukanie do drzwi. George zawołał:

- Wejdz, Archie!

Drzwi uchylły się i pojawiła się w nich głowa Archiego McLachlana.

- Pan mnie wzywał, milordzie?

- Tak, wejdz, proszę. Znasz mojego syna?

Archie podszedł bliżej i uściśnął dłoń Davida.

- Dzień dobry, miło pana znów widzieć.

- David wraca teraz do Inchelvie - ciągnął George - i zostawia mnie bez samochodu. Czy bardzo byłoby ci nie po drodze, gdybyś po południu podrzucił mnie do domu?

- Ależ skąd, milordzie! - głos Archiego nabrał pewności. - Muszę tylko uprzedzić, że jeżdżę starym fordem fiesta.

George parsknął śmiechem.

- Nie dbam o to, czym jadę, byle miało cztery kółka i posuwało się do przodu.

Na twarzy młodzieńca odmalowała się widoczna ulga.

- W takim razie, milordzie, czuję się zaszczycony. - Cofnął się ku drzwiom. - Proszę dać mi znać, o której mam postawić wóz pod drzwi biurowca.

- Czekaaj, czekaaj! - George uniósł rękę. - Mam do ciebie jeszcze jedną prośbę. Mój syn w przyszły wtorek leci do Stanów, żeby zawrzeć umowę z nowym dystrybutorem. Ja tego i następnego dnia będę w Glasgow, pan Caple natomiast w środę jedzie do Londynu, a stamtąd do Europy.

Archie słuchał z namysłem.

- Chcę, żebyś był tutejszym łącznikiem Davida na czas jego pobytu w Ameryce -

ciągnął George. - Jeśli będzie miał jakiegokolwiek polecenia, wykonasz je osobiście. Nie musisz uzgadniać tego z kierownictwem, jasne?

- Tak, milordzie - twarz Archiego przybrała wyraz skupienia.

- Dobrze. Codziennie rano zajrzyj do Margaret. Przekaze ci ewentualną pocztę od pana Davida. Powiem jej, że ma ją zatrzymywać tylko do twojej wiadomości. Słowem, wszystko musi pozostać w tajemnicy. Rozumiemy się?

- Oczywiście, milordzie.

- Doskonale. No to wracaj do pracy. Margaret da ci znać, kiedy będę chciał jechać.

Archie skinął głową, uśmiechnął się krótko do Davida i wyszedł.

David spojrzął na ojca.

- Wyglądałeś jak tajemniczy M, wydający rozkazy Jamesowi Bondowi. Co jest grane? George zmarszczył brwi.

- Nie jestem pewien. Po prostu gryzie mnie podejrzenie, że coś jest nie w porządku. - Potrząsnął głową i uśmiechnął się. - Może to już starczy zanik mózgu, nie wiem. - Zerknął na zegarek. - Nie zatrzymuję cię dłużej, na pewno zechcesz jeszcze popracować dziś z Jockiem w ogrodzie.

David przerzucił trzymane w ręku dokumenty zaprzeczając:

- Nie, chyba jednak zacznę to czytać. Prędzej czy później będę do tego zmuszony.

- To prawda. - George położył dłoń na ramieniu syna. - Prędzej czy później będziesz musiał się tym zająć.

ROZDZIAŁ 8

Za bramą Inchelvie David minął Jocka jadącego naprzeciw mechaniczną kosiarką, którą starannie przyszybał trawę pod drzewami i na poboczu alei. Nagle pozazdrościł staremu tej ciężkiej, lecz w sumie nieskomplikowanej pracy. W pierwszym odruchu chciał zatrzymać samochód i powiedzieć Jockowi, że za pół godziny czeka na niego przy rozpoczętym kwietniku. Pohamował się jednak i tylko pozdrowił ogrodnika uniesioną ręką. Nie, powiedział sobie. Musisz wreszcie wrócić do życia.

Zaparkował naprzeciw drzwi wejściowych i udał się prosto do gabinetu ojca. Usiadł za biurkiem, otworzył teczkę z dokumentami i zauważył przylepioną na samym wierzchu żółtą karteczkę z numerem telefonu Richarda Eggara. Zerknął na zegarek. Dwunasta trzydzieści. W Nowym Jorku jest teraz wpół do ósmej. Może złapie Richarda, nim ten wyjdzie do pracy.

Podniósł słuchawkę i wystukał numer. Na linii rozległy się piski i trzaski, a potem długi sygnał amerykańskiej telefonii. Wysłuchał go cztery razy, nim ktoś podniósł słuchawkę.

- Ha-lo? - Głos mężczyzny załamał się, przechodząc z basu w falset. Ten, kto odebrał, musiał być albo paskudnie zaziębiony, albo świeżo wyrwany ze snu.

- Halo, czy to Richard?

Mężczyzna w słuchawce kaszlnął, potem odchrząknął.

- Tak, przy telefonie. - Wymowę miał angielską, lecz skażoną amerykańskim akcentem.

- Mówi David Corstorphine. Służyliśmy razem w Queen's Own...

- David! - Senny głos w słuchawce ożywił się. - Czekaj! - Dał się słyszeć szelest i jakiś ruch. - Niech to diabli, David Corstorphine! Skąd dzwonisz?

- Ze Szkocji.

- Ze Szkocji? Nie do wiary! Skąd masz mój numer?

- Był w najnowszym biuletynie regimentu. Razem z informacją o waszym amerykańskim zjeździe.

- A, faktycznie. - W słuchawce rozległo się ziewnięcie.

- Przepraszam, czy ja cię obudziłem?

- Nie, to znaczy... właściwie tak, ale już dawno powinienem był wstać. Zaspałem, bo byliśmy wczoraj w Montauk i wróciliśmy do domu o trzeciej nad ranem. Zresztą, co ja bredzę! Przecież dzwoni do mnie kumpel, którego nie widziałem od lat! Możesz chwilę poczekać? Przełączę cię na bezprzewodowy, żebym mógł wyjść z sypialni.

Na chwilę w słuchawce zapadła cisza. David czekał kręcąc w palcach kabel telefoniczny.

- Jesteś tam? - usłyszał nieco przytłumiony głos Richarda.

- Tak, jestem.

- Dotarłem do kuchni. Jeszcze tylko chwileczkę, nastawię czajnik. Umrę, jeśli się nie napiję kawy. - Ze słuchawki dobiegły szумы i trzaski. - No, gotowe. Mów, co u ciebie? Strasznie się cieszę, że zadzwoniłeś. Jakiż to dobry duch cię natchnął?

- No cóż, zastanawiałem się właśnie...

- Czekaj, czekaj, po kolei. Najpierw mi powiedz, jak się miewa piękna Rachel?

Na to pytanie David był zupełnie nieprzygotowany. Nagle zaschło mu w ustach; próbował odpowiedzieć, ale głos odmówił mu posłuszeństwa.

- Halo! David, słyszysz mnie?

- Tak, hm... przepraszam cię na chwilę. Nie rozłączaj się.

Nie czekając na odpowiedź zakrył dłonią mikrofon i zacisnął powieki, usiłując się skupić. Psiakrew, zapomniał, że Richard znał Rachel. Oczywiście że znał, pobrali się przecież na rok przed zakończeniem jego służby wojskowej. Mało tego, przecież to właśnie Richard towarzyszył im w tym wariackim wypadzie na narty do Verbier. Może się rozłączyć i zadzwonić później? Nie, do licha, co to zmieni?

- Halo, przepraszam cię, Richardzie. Ktoś wszedł do pokoju.

- Nie ma sprawy. A więc jak się miewa szanowna małżonka?

- Rachel... - David odkaslnął. - Rachel zmarła w zeszłym miesiącu.

Przez chwilę słychać było tylko szum zakłóceń na linii, potem brzęk, jakby ktoś zrzucił kubek na podłogę. Kiedy Richard odezwał się ponownie, jego głos był słaby i dobiegał jakby z oddali.

- Boże drogi... Co się stało?

- Rak.

- O mój Boże... Tak mi przykro... Czy... to jest... długo chorowała?

- Od października. W grudniu było już wiadomo.

- Chryste, co za cholerny pech! Biedna Rachel... A jak... no, jak ty to zniosłeś?

- Nie najlepiej.
- Jasne... Jezu, nie wiem, co powiedzieć... Dajesz sobie jakoś radę?
- Z biedą. W tej chwili mieszkam u rodziców.
- No tak... Do tego masz dzieci, prawda?
- Trójkę. Niedawno wróciły do szkoły.
- Jezu, bardzo wam wszystkim współczuję. No i... cieszę się, że zadzwoniłeś.

David wziął głęboki oddech i odchrząknął, korzystając z przelotnej okazji, by zmienić temat.

- Właściwie nie dlatego dzwonię. Po prostu... no, wybieram się w interesach do Nowego Jorku i...

- To wspaniale! - wpadł mu w słowo Richard. - Musisz zamieszkać u mnie!
- Nie zrobię ci kłopotu?
- Oczywiście że nie. Szkoda tylko, że Angie wyjeżdża właśnie na dwa tygodnie do rodziców. Ale to nic, poradzimy sobie bez niej. Kiedy przylatujesz?

- We wtorek. Nie odebrałem jeszcze biletu, ale to będzie poranny lot z Glasgow. Na lotnisku Kennedy'ego jest około wpół do pierwszej po południu, jeśli mnie pamięć nie myli.

- I co dalej? Masz jakieś spotkanie?
- Dopiero w środę o dziesiątej rano.
- Gdzie?
- Gdzieś na Madison Avenue.

- Aha. Czekał, wezmę tylko terminarz. Jest w salonie. - David postyszał kroki, a potem gorączkowy szelest papierów. Po chwili znów odezwał się Richard: - Zrobimy tak: wyślę po ciebie taksówkę z Leesport; mam tu kartę stałego klienta. Z lotniska zajedziesz do mnie ledwie w godzinę, będziesz miał całe wtorkowe popołudnie na rozgoszczenie się i noc na sen. W środę sam zawiozę cię na to spotkanie; moje biuro też jest na Madison, może je dzielić najwyżej parę przecznic.

- Jesteś pewien? Nie chciałbym sprawić ci kłopotu...

- *Porca miseria*, nie gadaj głupstw! Co prawda teraz część naszych ludzi ma urlop i zwykle spędzam w domu tylko weekendy, ale z okazji twych odwiedzin będę wracał co wieczór. To żaden problem! Zresztą i tak mam do odwalenia stos papierzyśk, a z biurem mogę się kontaktować przez Internet.

- Skoro tak mówisz, naprawdę bardzo się cieszę. Dosłownie kamień spadł mi z serca. Spotkanie z tobą osłodzi mi tę podróż.

- Ja też się cieszę. Więc do zobaczenia we wtorek. I, Davidzie... cholera, bardzo ci

współczuję z powodu Rachel.

- Wiem. No cóż, takie rzeczy się zdarzają...

- Ale człowiek widzi je z innej perspektywy, gdy zdarzają się jemu. Jeśli będziesz chciał o tym pogadać, jestem dobrym słuchaczem. A na razie dość słów! Szczęśliwej podróży, przyjacielu, i uważaj na siebie!

David odłożył słuchawkę i przez dłuższą chwilę siedział, pocierając o spodnie spotniałymi dłońmi. Drżały z wysiłku, jakim była dla niego rozmowa o Rachel. Odetchnął głęboko, wziął do ręki teczkę i ze złością cisnął ją na blat biurka.

- A, do diabła z tym! - Zerwał się na równe nogi i pobiegł na piętro, żeby się przebrać do pracy w ogrodzie.

ROZDZIAŁ 9

- To miał być semestr letni! - powiedziała Sophie, otulając się ciasniej swetrem i wtykając dłonie pod pachy. - A jeżeli letni, to cieplejszy od zimowego!

Zimny wiatr przyniósł ku nim dźwięk uderzenia piłki krykietowej o kij oraz szmer aplauzu wśród nielicznej a dzielnej widowni skupionej wokół boiska. Oczekujący na swoją kolejkę zawodnicy naciągali rękawy na dłonie i podskakiwali w miejscu, żeby się trochę rozgrzać.

- W Inchelvie też jest tak zimno?

Oparty na łokciu David machinalnie skubał stokrotki rosnące w trawie na skraju boiska.

- Zimniej - odparł. - I pada. W zeszły czwartek po raz pierwszy pokazało się słońce. Co nie znaczy, że się ociepliło.

- Ja bym chciała, żeby był taki włącznik. - Przycupnięta na biodrze ojca Harriet zaczęła się bujać w przód i w tył. - Robiłoby się „pstryk!” i od razu byłoby lato.

- Harry, przestań się kiwać! Jestem już cały obolały!

Harriet wydała radosny chichot i uspokoiła się na chwilę, po czym szczerząc złośliwie ząbki, zaczęła gwałtownie podskakiwać, jakby badając wytrzymałość ojca.

- O-ż, ty mała diablico! - wykrzyknął, zrzucając ją na trawę. - Chcesz wojny? Będzie wojna! - Zaczął łaskotać małą, która pischczała ze śmiechu.

- Tato, przestań! - szepnęła zmieszana Sophie. - Pan Hunter na nas patrzy.

David usiadł i spoważniał, wykrzywił się tylko ukradkiem do starszej córki, a wyciągniętą do tyłu ręką trzymał młodszą z dala od siebie.

- Chyba nie musimy oglądać c a ł e g o meczu? - zapytała Sophie, podciągając kolana pod brodę.

- Chyba nie. - David spojrział na tablicę wyników. - To i tak już ostatni pałkarz z tej drużyny, za chwilę wszyscy będą schodzić. Na wszelki wypadek patrzmy; może Charlie jednak będzie miał szansę serwować.

- Ten krykiet to taka nudna gra! - Sophie westchnęła i podciągnęła elastyczną frotkę

spinającą jej popielatobrązowe włosy w koński ogon.

David przyglądał jej się kątem oka. Tylko drobniutkie zmarszczki od uśmiechu, znaczące jej smagłą buzię w kącikach ust i oczu, zdradzały, że twarde, obojętne spojrzenie, jakim mierzyła świat od śmierci matki, jest obce jej naturze. Nosila tę chmurną minę niczym maskę, jak gdyby śmiech lub choćby uśmiech był aktem zdrady wobec zmarłej. Na górnej wardze dziewczynki kwitły dwa małe, lecz czerwone wypryski; dawniej przyprawiłyby ją o histerię, dziś w ogóle ich nie zauważała. Patrząc na nią, David doznawał uczucia, że ogląda niezrozumiałe abstrakcyjne malowidło - smugi rozpaczy, tęsknoty i zawziętej odwagi splecione razem na tle niezwyklej urody.

- Podałaś się do mamy - rzekł w końcu. - Ona też nie znosiła krykieta.

Na wzmiankę o matce Harriet wyprostowała się i oparła o pierś ojca.

- A jakie gry lubiła?

David namyślał się przez chwilę.

- No cóż, jak sama wiesz, świetnie grała w tenisa. Całkiem nieźle łowiła ryby. Co jeszcze lubiła...?

- Ja wiem! - oznajmiła Harriet przeskakując przez jego nogi i sadowiac się między nimi. - Lubiła gotować!

- To nie jest sport, Harry! - zganiła ją Sophie.

- Ale mógłby być, prawda, tatusiu? - Harriet podniosła ciemną kędzierzawą głowinę, wpatrując się błagalnie w ojca, żeby wziął jej stronę w sporze.

- Hm... Jeśli przyjmujemy, że można by smażyć jajka na czas...

Sophie ze zgorszeniem pokręciła głową.

- Co ty pleciesz, tato? Boisz się sprzeciwić smarkuli?...

Harriet wymierzyła jej kopniaka, który jednak nie sięgnął celu.

- Nie nazywaj mnie tak!

- Spokój, dziewczęta! - David złapał Harriet za nogę, która znów bryknęła w stronę siostry.

Sophie obróciła się, opierając policzek na kolanie, i leciutko uśmiechnęła do małej.

- Smarkata! - zaśpiewała cienkim głosem.

- Sophie! - David roześmiał się. - Starczy tego dobrego. Zostaw w spokoju swoją dorosłą siostrę. - Spojrzał na boisko i zobaczył z ulgą, że Charlie nareszcie będzie serwować.

- Patrzcie, patrzcie! Teraz Charlie!

Charlie popędził w stronę piłki tak szybko, jak tylko były go w stanie unieść chude jedenastoletnie nogi, i nieco przesadnym zamachem posłał piłkę prosto na kij przeciwnika.

Ten oczywiście wybił ją daleko i popędził ku bramce. Rozczarowany Charlie patrzył w ślad za nim ze złością kopiąc kępkę trawy. Uznając to za sygnał do owacji, Harriet zaczęła z całej siły bić brawo. David zdążył złapać ją za ręce, nim ów chybiony aplauz dotarł do uszu jej brata.

Dziewczynka zadarła głowę i spojrzała na niego.

- To nie było dobrze?

- Nie najlepiej.

Sophie westchnęła przeciągle.

- Jeśli dalej będzie tak rzucał, posiedzimy tu do wieczora!

Następny serw Charliego był identyczny, lecz tym razem obrońca, zwiedziony ślimaczym tempem toczącej się piłeczki, okręcił się, chcąc wziąć potężny zamach - i chybił. Obstawiający jakimś cudem utrzymał piłkę w za luźnej rękawicy, stracił poprzeczkę i nad boiskiem poniósł się triumfalny okrzyk. Sędzia uniósł palec, sygnalizując zejście pałkarza z pola, a cała drużyna zakłębiła się w podnieceniu wokół Charliego i obstawiającego.

- Dzięki Bogu! - Sophie podniosła się i rozprostowała nogi. - Chodźmy do budynku.

- Czekaj! - zaśmiał się David, również wstając i otrzepując siedzenie z ziemi i wilgotnych źdźbeł niedawno strzyżonej trawy. - Zaczekajmy na Charliego. Właśnie tu idzie.

Charlie biegł ku nim ze swetrem zarzuconym na ramiona; wywleczona ze spodni koszulka powiewała za nim jak sztandar. Zahamował przed ojcem z szerokim uśmiechem na piegowatej twarzy i zdmuchnął sprzed oczu rudy kosmyk, który opadł mu na twarz.

- Widziałeś? - sapnął podekscytowany.

- Oczywiście!

- Nieźle jak na drugi rzut, prawda?

- Całkiem nieźle! - David zmierzwił mu włosy.

- Możemy już iść? - wtrąciła Sophie, podskakując w miejscu dla rozgrzewki.

Charlie zignorował starszą siostrę.

- Bronię dopiero jako dziesiąty w kolejce, a teraz jest przerwa na herbatę i pan Hunter powiedział, że na razie możemy sobie iść.

- A dokąd chciałbyś iść?

- Do McDonalda w Perth! Proszę, tato, umieram z głodu!

- Tak, do McDonalda! - zawtórował mu natychmiast cienki głosik Harriet.

David zerknął na Sophie.

- Co ty na to?

Wzruszyła ramionami.

- Jest mi to obojętne, byleby tam było ciepło.

Kwadrans później, pokonawszy w szalonym tempie obwodnicę miasta Perth, siedzieli na parkingu przed McDonaldem. Smakowite zapachy unosiły się w rozgrzanym wnętrzu samochodu.

- Na pewno nie chcesz nic więcej? - David zagadnął Sophie, która siedziała obok niego, skubiąc najmniejszą porcję frytek, jaką można było zamówić.

- Nie - potrząsnęła głową. - Nie jestem głodna.

Z tylnego fotela dobiegło głośnie siorbnięcie i okrzyk Charliego:

- Tato! Harriet rzuca korniszony na podłogę!

- Nie lubię ogórków - odparła półgłosem Harriet.

- To nie znaczy, że możesz rzucać je pod nogi!

- Spokój! - wkroczył w tę wymianę zdań David. - To nie jest aż tak istotne.

Obrócił się, podniósł fatalny ogórek i wyrzucił go za okno. Dzieci ucichły; przez jakiś czas słyhać było tylko pracowite zucie. David zaczerpnął głęboki oddech.

- Słuchajcie, eee... mam wam coś do powiedzenia. W przyszłym tygodniu jadę do Ameryki. W interesach.

Sophie zastygła z kolejną frytką w palcach i zerknęła na niego z ukosa.

- Na jak długo?

- Parę dni. Zależy, ile czasu zajmie mi to, co mam załatwić.

Charlie wychylił się do przodu między fotelami, zlizując keczup z palców.

- Czy to znaczy, że nie będzie cię w przyszły weekend?

- Nie wiem, Charlie. Powiedziałem już: to zależy.

Chłopiec wydał jęk rozczarowania.

- Ale w przyszłą sobotę gramy z Clevely Hall!

- Wiem. Jeśli do tej pory nie wrócę, babcia na pewno przyjedzie na mecz.

- Babcia nie zna się na krykiecie! - jęknął Charlie. - Przez cały czas gada i w ogóle nie patrzy.

- Przestań kwękać, Charlie! - zbeształa go Sophie. - Powinieneś się cieszyć, że w ogóle przyjeżdża. Zresztą tato i tak pewnie wróci do soboty. - Zerknęła niepewnie na ojca. - Wrócisz?

- Postaram się. - David uśmiechnął się pocieszająco, wyjął przypaloną frytkę z torebki Sophie, schrupał ją i przyjrzał się w lusterku zasępionym twarzom Charliego i Harriet. - Słuchajcie - rzekł po chwili. - Wiem, już o tym rozmawialiśmy, ale... no cóż, spędziliście pewien czas w szkole i chciałem zapytać, czy nie zmieniliście decyzji. Rozmawiałem dziś

rano z panem Hunterem. Jeśli wolelibyście wrócić do Dalnachoil, nie będzie robił przeszkód.

Sophie gwałtownie potrząsnęła głową, nim jeszcze skończył mówić.

- Nie - oświadczyła. - To nie jest dobry pomysł.

- Mogę spytać dlaczego?

- Rozmawialiśmy już o tym, tato, i to nie tylko z tobą, lecz także między sobą - westchnęła. - Wszyscy zgodziliśmy się, że nie chcemy zmieniać szkoły, którą dobrze znamy. Zresztą państwo Hunter są dla nas bardzo serdeczni. Sporo z nami rozmawiają... i, no, po prostu jest dobrze.

- W Dalnachoil nie grają w krykieta ani rugby - pisnął z tyłu Charlie.

- Naprawdę jest nam tu dobrze, tato - podjęła Sophie. - No chyba że...

- Chyba że co?

- Że ty wolałbyś nas mieć przy sobie.

David pogłaskał ją po gładko uczesanych włosach.

- Chcę tylko tego, czego wy chcecie. Po prostu pomyślałem, że powinienem jeszcze raz zapytać.

- Ja chcę jechać do domu - odezwał się nagle cichutki głosik. Wszyscy jednocześnie obrócili się w stronę Harriet. Siedziała spokojnie żując hamburgera i przyglądając się przez okno płaczącemu dziecku, które rozlało na ziemię cały koktajl czekoladowy. Spostrzegłszy, iż wszyscy na nią patrzą, uśmiechnęła się szeroko i dodała: - Nie teraz. W wakacje. - Po czym odgryzła kolejny wielki kęs.

Pozostali odetchnęli z ulgą i jak na komendę wybuchnęli śmiechem. David pochylił się nad kierownicą, by włączyć zapłon, lecz zawahał się, czując na ramieniu dłoń Sophie.

- Tato? - Miała bardzo poważną minę.

- Tak?

- Dajesz sobie radę?

David zawahał się na chwilę, potem uśmiechnął się i powoli pokiwał głową.

- Tak, kochanie. Jakoś sobie radzę.

- To dobrze. - Z ulgą oparła się na fotelu. - W takim razie wszyscy sobie poradzimy.

David powiódł wzrokiem po twarzach dzieci.

- Jasne! - rzekł z mocą i włączył silnik. - A teraz do szkoły, bo nasz mistrz krykieta przegapi swoją wielką szansę!

ROZDZIAŁ 10

Wyjechali z Inchelvie o szóstej rano, lecz z powodu robót drogowych między Perth a Stirling, gdzie ruch odbywał się wahadłowo tylko na jednym pasie, droga do Glasgow trwała godzinę dłużej, niż planowano. W efekcie zatrzymawszy samochód przed terminalem David zdążył tylko rzucić rodzicom „do zobaczenia”, porwał walizkę i wbiegł do budynku. Ponura dziewczyna w punkcie odprawy zerknęła na jego bilet i z niekłamanym zadowoleniem oznajmiła mu, że się spóźnił - w tej chwili wpuszczają już tylko pasażerów klasy pierwszej. David zaklął w duchu. Mhairi wykupiła mu ostatnie wolne miejsce, a to akurat było w klasie turystycznej. Musiał użyć całego swego czaru i jawnie uwodzicielskich sztuczek, by skłonić urzędniczkę do zmiany zdania.

- Wyjście numer dwa - burknęła oddając mu dokumenty - i niech się pan pospieszy, bo zaraz ściągną rękaw.

Odwzajemniwszy się oszałamiającym uśmiechem, David niemal przebiegł przez kontrolę paszportową, po czym sprintem pokonał czterysta jardów do wyjścia numer dwa i z łoskotem pogalopował przez rękaw do samolotu, by natychmiast się stać atrakcją numer jeden jako Facet Który Ośmielił Się Spóźnić i ściągnąć na siebie potępiający wzrok wszystkich pasażerów bez wyjątku.

Miał miejsce numer 21F, ale w dwudziestym pierwszym rzędzie nie było wolnego fotela. Obok przejścia siedziała młoda kobieta w syntetycznym amarantowym battledressie, ściskając pulchną piąstkę niespełna rocznej dziewczynki zajmującej środkowy fotel. Pod oknem podskakiwał nadpobudliwy ruchowo pięciolatek, strojąc miny do siedzących za nim starszych państwa. David sięgnął do kieszeni po odcinek biletu. Wyjął go w chwili, gdy podeszła doń stewardesa.

- Nie znalazł pan swojego miejsca?

- Jeszcze nie - wręczył jej odcinek. Przyjrzała mu się, po czym zwróciła się do amarantowej pasażerki:

- Przepraszam, ile miejsc pani wykupiła?

- Ino dwa - odparła kobieta ciężkim slangiem Glasgow. - Córa może iść na kolana, ino

myślałam, że to miejsce jest wolne.

- Niestety. - Stewardesa uśmiechnęła się przeprasząco. - 21F jest zarezerwowane dla tego pana.

David spodziewał się, że młoda matka westchnie ciężko lub obrzuci go nieprzyjaznym spojrzeniem, tymczasem jednak zachichotała:

- Ano, ryzyk-fizyk, trza było spróbować. - Odpięła pas, podniosła dziecko i przesiadła się na sąsiedni fotel. - Chodź no, Tracy, do mamusi, a ty, Darren, siadaj i przestań rozrabiać!

David podziękował jej uśmiechem, opadł na fotel, zapiął pas, oparł się wygodnie i wydał westchnienie ulgi. O mały włos! Prawdę mówiąc, już od wczoraj był ciągle spóźniony. W ciągu minionych dwóch dni zrobił bardzo niewiele, by przygotować się do podróży - wolał dokończyć prace w ogrodzie z Jockiem, tłumacząc sobie, że zdąży się spakować w poniedziałek. W poniedziałek jednak nazrywał żonkili i zawiózł je na mały cmentarzyk w Dalnachoil, na grób Rachel. Wcale nie chciało mu się stamtąd odchodzić. W efekcie przesiedział na cmentarzu kilka godzin, zwierając się zmarłej żonie, aż wreszcie słońce całkiem schowało się za górami.

Silniki zawyły głośniej i samolot powoli odsunął się od terminalu. David zerknął w okno nad głowami współpasażerów i patrzył w nie, dopóki nie wznieśli się nad rzekę Clyde, by rozpocząć wspinaczkę przez nisko nawisie chmury. Gdy już nic nie było widać, oderwał wzrok od okna i wtedy spostrzegł, że trójka współpasażerów wpatruje się w niego ze zdumieniem. Uśmiechnął się zdawkowo i dopiero w tym momencie zdał sobie sprawę, że kurczowo ściska rączkę małej dziewczynki.

- O Boże, przepraszam! - bąknął ze skruchą. - Zrobiłem to odruchowo. Zawsze trzymam za ręce moje dzieci podczas startu.

Twarz kobiety ponownie rozjaśniła się w uśmiechu.

- Ile pan ma dzieciaków? - spytała.

- Troje.

- Troje? Jezu, dla mnie dwa to aż za dużo. Oj, sporo musiał pan nagrzeszyć, że Bożyczek dał panu taką pokutę! - Jej gardłowy śmiech przeszedł w zgrzytliwy kaszel. David zadał sobie w duchu pytanie, jak też jego sąsiadka wytrzyma wielogodzinny zakaz palenia mając u nóg karton bezcłowych papierosów wystający kuszaco z koszyka.

- Mama zabierze nas do Disneylandu - oznajmił wrogo Darren.

- Tak? - odparł David. - No, to możesz się uważać za szczęściarza.

- Lubi pan myszkę Miki?

- Jasne. Ty pewnie też?

- Nie. To gówniany dupek.

- Darren! - krzyknęła ze zgrozą jego matka oblewając się rumieńcem. - Nie bądź bezczelny!

- Wcale nie jestem bezczelny. Sama mówiłaś...

- D a r r e n ! Dość tego!

David uśmiechnął się z przymusem do tej zgodnej rodzinie i zasłonił się wyjętymi z teczki dokumentami Glendurnich.

- Maamo! - pisnął znów Darren. - Chcę do kibla! Matka pochyliła się nad nim i syknęła wściekle:

- Ile razy mam ci powtarzać, że nie mówi się „kibel”, tylko „toaleta”!

- Ale przecież sama...

- Darren!

Kobieta rozpięła pas, ignorując wciąż świecące się nad fotelami ostrzeżenie. Stewardesa podeszła do niej szybko.

- Przepraszam, ale musi pani usiąść. Proszę poczekać, aż kapitan zezwoli odpiąć pasy.

- Synek chce do toalety. Mogę go zaprowadzić? Dziewczyna zerknęła niepewnie na starszą stewardesę, zajętą w kuchence z tyłu samolotu. Wymieniły jakieś znaki i dziewczyna podjęła:

- Dobrze, pójdę z państwem, ale nie może pani nieść jeszcze tej maleńkiej.

Kobieta rozejrzała się w rozterce.

- Nie mogę jej zostawić samej. To może Darren pójdzie z panią?

Wyglądało na to, że problem został rozwiązany, dopóki stewardesa nie wyciągnęła ręki do Darrena. Chłopiec stanowczo schował obie rączki za siebie i rozwrzeszczał się:

- Ja chcę iść z mamą!

- Proszę cię, Darren - błagała go matka z rozpaczą. - Idź z tą miłą panią.

David podniósł wzrok znad papierów, zastanawiając się, co teraz zrobić. Nie miał ochoty brać w tym wszystkim udziału, zdawał sobie jednak sprawę, że jeżeli wkrótce nie zostanie podjęta zdecydowana akcja, czeka ich potop.

- Przepraszam... - odezwał się, wychylając z fotela.

Wszyscy spojrzeli na niego.

- Potrzymam małą, dopóki pani nie wróci.

- Och, dziękuję - rozpromieniła się kobieta - ale jakże się pan tak będzie fatygować...

- Proszę się nie martwić. Jak już mówiłem, mam troje własnych dzieci, tak że mogę się uważać za fachowca.

- Niech pan tylko uważa, bo ma straszny katar, jeszcze pana obsmarka.

- W porządku. Proszę mi ją podać. - David wepchnął dokumenty do kieszeni w oparciu fotela przed sobą i wyciągnął obie ręce.

- Stokrotne dzięki, jest pan super! - Kobieta podała mu dziewczynkę. - Tracy, zostań z tym miłym panem i bądź grzeczna. Zaraz wracam. - Z tymi słowami ekspedycja „toaletowa” zaczęła się przesuwać na tył samolotu.

Tracy siedziała na kolanach Davida, wpatrując się w niego ciemnymi zdziwionymi oczkami, równie okrągłymi jak tkwiący w buzi smoczek, który na szczęście spełniał swoje zadanie, toteż obyło się bez krzyków. David uśmiechnął się krzepiąco do małej istotki i doszedłszy do wniosku, iż nie trzeba jej przypominać, że pozostawiono ją z obcym, obrócił ją tak, że oparła się pleckami o jego pierś. Pochylił głowę, żeby na nią zerknąć. Zważywszy na grube, pospolite rysy matki, dziecko było nad podziw ładne - i zadbane. Maleńkie stopki tkwiły w białych dzianych skarpeteczkach, wykończonych żółtą wstążeczką w takim samym odcieniu jak króciutka akrylowa sukienka. Wiotkie, miękkie włoski, ściągnięte na czubku głowy białą gumką, tworzyły zgrabną palemkę. David pochylił się, chcąc wyjąć ze schowka dokumenty, i wciągnął w nozdrza ciepły, słodkawy zapach dziecka - ów upajający koktajl, którego składniki - poza oczywiście hojną dawką zasypki dla niemowląt - tak trudno opisać. Doskonale znał ten zapach z przeszłości. Kiedyś wydawało mu się, że w jego domu już zawsze będą małe dzieci.

Pozostawił dokumenty tam, gdzie były, i przytulił do siebie dziewczynkę. Jej delikatny oddech koił jego smutek i omiatał z kurzu dalekie wspomnienia jego własnych dzieci.

Aż dziw, że pozwolono mu pracować w Glendurnich, skoro notorycznie zasypiał nad biurkiem. Tylko jednak w fabryce mógł zapewnić sobie minimum niezbędnego wypoczynku. W domu królowała bowiem maleńka krucha istotka nazwana Sophie Rosemary Alicją Corstorphine, istny aniołek od świtu do zmierzchu, który po północy zmieniał się w rozwrzeszczane, oburzone na cały świat diablę. W nocy zatem nie można się było wyspać. Oboje z Rachel chodzili z czerwonymi podkrążonymi oczyma i David nieraz podziwiał żonę za to, że nigdy nie straciła cierpliwości. W środku nocy brała Sophie ze sobą do łóżka, podpierając się poduszkami i siedziała po turecku łagodnie kołysząc małą, aż gwałtowne łkania przechodziły w zadowolone pomruki i gulgoty i w końcu dziecko zasypiało przyssane do piersi Rachel. Tymczasem David musiał obywać się bez poduszki, zepchnięty na sam skraj łóżka, tak że nieraz podpierał się ręką, by nie spaść.

- Spróbujcie jej śpiewać albo wziąć ją na spacer w wózku - radził doktor Spiers, nie mając pojęcia, że szczyt złego humoru Sophie przypadał zwykle około drugiej w nocy.

Próbowali więc śpiewać, najpierw jedno, potem drugie. Okazało się, iż najlepiej skutkuje śpiew chóralny. Odtąd światła Pod Bukami nieraz paliły się do białego rana, a David, półprzytomny i nieogolony, wałęsał się z wózkiem po domu, śpiewając kołysanki swojej pierworodnej córce.

Cztery lata później, kiedy Sophie wyrosła na grzeczną młodą damę, nagradzając w ten sposób rodzicom z nawiązką niesławne początki, na świat przyszedł Charlie - żywe srebro, fikający zadatek na słynnego futbolistę. Corstorphine'owie przygotowali więc wózek i gitarę, ale Charlie najwidoczniej począł się z inną kombinacją genów, a może po prostu od splodzenia Sophie zdążyli nabrać wprawy. Chłopczyk nocą spał jak kamień, a w dzień się uśmiechał. Nim pojawiła się najmłodsza Harriet, cała rodzina wiedziała już dostatecznie dużo o pielęgnacji niemowląt, by Rachel mogła sobie pozwolić na odpoczynek w czasie, gdy siedmioletnia Sophie zajmowała się małą z czułością i troską o niebo przewyższającą wysiłki ponurych, obojętnych dziewczyn zatrudnianych do opieki nad nią czy nad Charliem.

Kiedy dzieci podrosły, stworzyły zgrany zespół, samodzielny i samowystarczalny w grach i zabawach. Sophie była organizatorką, Charlie kaskaderem, a Harriet - kucharką, majtkiem, kosmitą, a przede wszystkim dzidziusiem. Stosunki wewnątrz grupy dalekie były od lukrowanego ideału, często różnice zdań i charakterów przeradzały się w zaciekle bójki między dwójką starszego rodzeństwa, po których biegli na wyścigi do matki, bo każde chciało pierwsze przedstawić swoje racje. Harriet patrzyła za nimi zdziwiona i gdy matka godziła zwaśnione rodzeństwo, ona najspokojniej wracała do podwieczorku dla lalek lub leciała rakieta przez fałdy kosmosu.

- Przepraszam, że to tak długo trwało.

David zaskoczony obrócił się od okna, odruchowo zacieśniając uchwyt na brzuszku Tracy. Kobieta wmanewrowała się na swoje miejsce, popychając przed sobą wyraźnie uszczęśliwionego malca.

- Darren chciał nie tylko siusiu - wyjaśniła. - No patrzcie państwo! Śpi jak zabita!

David zerknął w dół. Tracy spała z główką obróconą na bok, przytulona do niego gorącym policzkiem. Powieki jej drżały, smoczek tkwił luźno w półotwartej buzi.

- Ale ona gorąca! - Matka z troską dotknęła jej czółka. - Mam nadzieję, że to nie grypa. Tak czy owak, jeszcze raz dziękuję panu za pomoc. - Wzięła małą na ręce. Chłodny powiew z klimatyzatora brutalnie wtargnął w wygrzane miejsce na piersi Davida, które

przedtem zajmowała Tracy.

- Cała przyjemność po mojej stronie - uśmiechnął się. Potem otulił się ciasniej blezerem, wyjął dokumenty z kieszeni fotela i nareszcie zabrał się do czytania.

Alicja Inchelvie nasadziła okulary na czubek nosa i przyjrzała się najnowszemu grupowemu zdjęciu, usiłując wyłowić swoje wnuki spomiędzy dwóch setek innych twarzy. Za jej plecami malutka nerwowa sekretarka szkolna po raz drugi zapukała do drzwi dyrektora.

- Proszę! - ryknął zza nich gromki, choć nieco stłumiony głos.

Sekretarka trwożnie uśmiechnęła się do Alicji, uchyliła drzwi i nieśmiało zajrzała do środka.

- Panie dyrektorze, lady Inchelvie chciałyby się z panem widzieć - wyjąkała i nie czekając na odpowiedź, pospiesznie odsunęła się od drzwi. Uczyniła słusznie, w następnej chwili bowiem rozwarły się gwałtownie jak pchnięte tornadem i ukazał się w nich wysoki chudy trzydziestoparoletni mężczyzna o krzaczastych brwiach i takiejże czuprynie. Na pierwszy rzut oka trudno byłoby określić jego wiek; utrudniały to jeszcze grube półksiężycowate okulary, lecz w ciągu minionych sześciu miesięcy Alicja zdążyła go dobrze poznać.

- Lady Inchelvie! - rzekł, ściskając jej dłoń kościstą ręką. - Przepraszam, nie wiedziałem, że pani tu jest. Musiałem przełożyć mecz krykieta chłopców na inne boisko, bo tu - machnął ręką w stronę frontonu szkoły - dziewczęta będą ćwiczyć biegi, a nie chciałbym, żeby dostały się pod ostrzał naszych młodych asów. - Uśmiechnął się promiennie z wyżyn swego wzrostu. - Przepraszam więc, że od razu nie wyszedłem pani powitać.

- To ja przepraszam, panie Hunter. - Patrząc na tego wyrośniętego, rozczochranego chłopca, Alicja też musiała się uśmiechnąć. - Wiem, że przeszkadzam i wprowadzam chaos odwiedzając dzieci w środku tygodnia. Ale widzi pan, mój mąż jechał do Glasgow i pomyślałam, że skorzystam z okazji...

- Ależ wcale pani nie przeszkadza. - Dyrektor uniósł rękę. - Proszę odwiedzać dzieci, kiedy tylko pani zechce. - Powiewając marynarką zrobił zamaszysty półobrót usuwając się sprzed drzwi i gestem zaprosił ją do gabinetu. - Proszę, proszę siadać. Napije się pani herbaty albo kawy?

- Nie, dziękuję. W pociągu z Glasgow miałam okazję pić nader interesujący płyn, który smakował jak kombinacja herbaty, kawy i kakao, tak że na razie mam dosyć.

Hunter zachichotał krótko i diabolicznie, a następnie, usadowiwszy gościa na sofie, zasiadł w fotelu z impetem, od którego jęknęły sprężyny, i niemal zniknął jej z oczu. Alicja

pohamowała śmiech, spostrzegając, że nauczyciel jest zbudowany jak młoda żyrafa - składa się głównie z nóg. Oparł łokcie na poręczach fotela (to jest prawie na wysokości brody) i zagadnął:

- Słyszałem, że pan Corstorphine udał się dziś do Stanów.

- A, zatem zna pan najnowsze wieści?

Uśmiechnął się.

- Sophie mówiła nam o tym w sobotę. Nie miała pewności, kiedy wróci, ale ponoć jeszcze przed feriami. Była dość podekscytowana.

Alicja milczała przez chwilę ze strapioną miną.

- Panie Hunter, proszę mi powiedzieć, jak pan je znajduje? Czy... jak one to znoszą?

Dyrektor pochylił się w fotelu i wyciągnąwszy długie, podobne do macki ramię, przelotnie dotknął łokcia Alicji.

- Po pierwsze, milady, muszę panią zapewnić, że nigdy nie są same. Cały personel ma je na oku i został poinstruowany, aby w razie jakichkolwiek problemów przyprowadzić je prosto do mnie lub do mojej żony. W gruncie rzeczy cała trójka znosi to nad podziw dzielnie. Oczywiście każde inaczej. Moim zdaniem Charlie wyparł tę tragedię z myśli. Może to oznaczać, że w późniejszej fazie grozi mu nawrót, ale tym zajmiemy się wtedy, kiedy będzie trzeba. Charlie jest żywym chłopcem i to się nie zmieniło. Jest też cennym nabytkiem dla naszej krykietowej drużyny młodzików. Co się tyczy dziewcząt, jestem pełen podziwu dla Sophie za wyczucie, z jakim postępuje z Harriet. Dziewczęta w tym wieku są nieraz bardzo trudne, tymczasem Sophie to wzór, wręcz ideał; jedna z najinteligentniejszych, najbardziej odpowiedzialnych i bez wątplenia najdzielniejszych uczennic, jakie kiedykolwiek miałem pod opieką, ale... - Urwał i podjął wolniej, starannie dobierając słowa: - Zdaję sobie sprawę, że w jej sercu szaleje teraz burza sprzecznych uczuć, nie tylko z powodu utraty matki, ale również dlatego, że jest teraz w wieku dojrzewania. Lady Inchelvie, mam dostatecznie długi staż w koedukacyjnym szkolnictwie, by wiedzieć, że jest to przełomowy i niezmiernie delikatny, ba, wręcz ryzykowny okres. - Umilkł spostrzegłszy, iż mimo opanowania wargi Alicji drżą. - Harriet ma się dobrze. Znalazła niezachwiane oparcie w starszej siostrze. Oczywiście wiadomo, że Sophie nie zdoła zastąpić jej matki, ale w życiu Harriet nadal panują ład i sens. Sophie, rzecz jasna, jest tego w pełni świadoma i to niestety powiększa jeszcze ciężar, jaki dźwiga na swych barkach. Nie mówię tego po to, by panią przestraszyć, lecz dlatego iż chcę podkreślić, że zdaję sobie sprawę z istniejących zagrożeń i trzymam, by tak rzec, rękę na pulsie.

Alicja miała ochotę podejść i uściskać tego człowieka za jego serce i intuicyjne

zrozumienie jej trosk i uczuć. Wstał z fotela, wydłużając się naraz trzykrotnie jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

- Zaraz postaram się odnaleźć całą trójkę. Proszę tu zaczekać, a ja szybko zerknę do klas. Zapewne zechce pani zabrać ich na lunch?

- Wątpię, bym zdołała się wykręcić od jakiejś wielkiej fety.

- Ma pani wolną rękę. - Ruszył do drzwi, lecz nagle przystanął i uderzył się ręką w czoło. - Och, byłbym zapomniiał. Muszę jednak panią prosić, aby Charlie wrócił tu na wpół do trzeciej. Mamy dziś wewnątrzszkolne rozgrywki krykieta i obawiam się, że drużyna nie da sobie bez niego rady. Nie ma pani nic przeciwko temu?

- Ależ oczywiście że nie. To dla nich większa frajda niż lunch ze starą babką.

Hunter uniósł brwi.

- I tu się pani myli. Czyli jak mówią chłopcy: cooo też! - Obrócił się i wielkimi krokami wyszedł z gabinetu.

Alicja siedziała przez chwilę bawiąc się machinalnie guzikiem żakietu; potem wstała i zbliżyła się do okna. Hunter był życzliwy, pełen zrozumienia, a jego słowa brzmiały przekonująco, lecz mimo to wciąż się martwiła. O dzieci, o Davida, przede wszystkim - coraz bardziej - o męża. George pracował za ciężko, zbyt wiele brał na swoje barki, uważając, że nie ma dlań innego wyjścia. Gdyby chciała go zmusić do ograniczenia godzin pracy czy służbowych spotkań, odparłby, że czuje się znakomicie. A przecież widziała, że z biegiem czasu jest coraz bledszy, coraz bardziej zmęczony. Bała się o niego. Powoli potrząsnęła głową i wyjrzała przez okno na boisko do krykieta, zajmujące olbrzymi trawnik nieopodal szkoły. Na środku dwóch małych chłopców przerzucało się piłką krykietową. Spod jej okna dobiegł męski głos:

- Chodźcie no tu, łobuzy, nie macie teraz lekcji?

- Już idziemy, panie psorze - odparli chórem i ze śmiechem wbiegli do szkoły.

Drzwi gabinetu otworzyły się i nim Alicja zdążyła się obrócić, dziewczęcy głos zawołał:

- Babunia!

Sophie podbiegła do niej okrążając biurko dyrektora, zarzuciła Alicji ręce na szyję i uścisnęła, omal nie zbijając jej z nóg.

- Witaj, kochanie! Jak się miewasz?

- Dobrze - wymruczała Sophie z twarzą wciąż ukrytą na szyi babki. Po chwili wypuściła ją z uścisku i odstąpiła krok w tył, patrząc na nią z radością. - Nie wiedziałam, że dziś przyjedziesz! Tato wspomniiał tylko, że może wpadniesz w weekend! Skąd się tu

wzięłaś?

Alicja uważnie przyjrzała się wnuczce. Uśmiech dziewczynki nie zdołał zatrzeć smutku i znużenia w oczach.

- Przyjechałam pociągiem z Glasgow - odparła. - Rano odwieźliśmy z dziadkiem tatę na lotnisko, a potem dziadek podrzucił mnie na dworzec. Dziadek jest zajęty dziś i jutro i początkowo zamierzałam przenocować wraz z nim w hotelu, ale zważywszy, że jestem już prawie w połowie drogi do domu, postanowiłam wrócić wieczorem pociągiem z Perth do Carrbridge. - Urwała, żeby zaczerpnąć tchu. - Opowiadaj, co u was słychać?

Sophie przysiadła na biurku dyrektora, mając gołymi nogami.

- Jakoś leci. Harry nieźle daje sobie radę. Spędzam z nią tyle czasu, ile tylko zdołam. Za to Charlie jest nieznośny. Zaglądam do niego w porze lunchu, żeby mu powiedzieć „cześć”, a on głupieje, jakby wstydził się mnie przed kolegami. - Sophie westchnęła i spojrzała w okno. - Babciu, jak sądzisz, czy z tatą wszystko jest w porządku?

Alicja podeszła do niej i ujęła wnuczkę za rękę.

- Wydaje mi się, że tak, kochanie. Nie odniosłaś takiego wrażenia, kiedy was odwiedził?

- Niby tak... To znaczy... On jest jakiś dziwny, jakby... nieobecny. Ale przypuszczam, że to zrozumiałe. Na pewno strasznie tęskni za mamą.

- Na pewno tęskni. - Alicja objęła ją ramieniem. - Tak samo jak ty, jak my wszyscy. Ból po utracie kogoś bliskiego jest straszny dla każdego, zwłaszcza gdy się go kochało tak mocno. Ale nie staraj się dźwigać również smutku taty. Musisz myśleć o sobie, kochanie. Masz także swoje życie, naukę, egzaminy... Nie martw się o ojca, proszę cię. Jego rana się zagoi, prędzej czy później, ale w końcu się zagoi. - Ujęła buzię Sophie w dłoń i uniosła ku sobie. - Zawrzyjmy układ. Pan Hunter mówił mi, jak wspaniale opiekujesz się Harriet. Ty dbaj o nią, a ja dopilnuję, żeby tato doszedł do siebie. Zgoda? - Wyciągnęła otwartą dłoń.

Sophie rozchmurzyła się nieco.

- Zgoda. - Klepnęła dłoń babki, przypieczętowując umowę.

Drzwi otworzyły się z impetem i do gabinetu wpadł Charlie, a tuż za nim Harriet. Alicja zdążyła tylko wyciągnąć ręce, gdy najmłodsza wnuczka uwiesiła się na niej z wysokoku, obejmując ją rękami i nogami.

- Harry, złamiesz babci kręgosłup! - zbeształa ją Sophie.

- Nie, nie, wytrzymam. - Alicja ucałowała Harriet w czubek głowy i zerknęła na Charliego, który stanął za Sophie i jeździł samochodzikiem po blacie biurka, zaglądając ukradkiem w rozsyłane na nim dokumenty.

- Witaj, Charlie, jak się masz, skarbie?

- Fajnie - odparł, nie odrywając wzroku od listów. Potem obrócił się i spojrzał Alicji w oczy. - Babuniu...? - odezwał się z miną tak poważną, że Alicja przez moment była pewna, iż przyjdzie jej wyłuszczyć swe poglądy na temat sensu życia.

- Tak? - bąknęła.

- Przywiozłaś nam coś słodkiego?

- Charlie! - wykrzyknęła Sophie, oburzona materializmem brata. - Ty naprawdę jesteś nieznośny!

Charlie wyszczerzył zęby i wszyscy wybuchnęli śmiechem. Alicja postawiła Harriet na ziemi i ruszyła do sofy, na której zostawiła torebkę. Dwójka młodszych wnuków deptała jej po piętach. Wyjęła z czeluści torby trzy batoniki cadbury i rozdała im dwa (natychmiast rozległ się szelest rozdieranej folii), a trzeci wyciągnęła do Sophie.

- Proszę, kochanie.

- Nie, dziękuję, babciu. Jakoś nie mam ochoty.

Alicja podeszła bliżej i włożyła jej batonik do kieszeni sukienki.

- Wobec tego zachowaj go na później. Podzielisz się z koleżanką albo zjesz sama, jak zechcesz. A teraz - oznajmiła obracając się do całej trójki i jednocześnie zerkając na zegarek - pan Hunter pozwolił mi zabrać was na lunch.

Oczy Charliego rozszerzyły się z zachwytu.

- Jedźmy do McDonalda, babciu! Byliśmy tam w sobotę z tatą. Tam jest ekstra!

- Tak, babciu, prooooszę! - przyłączyła się Harriet.

- Oj, moje skarby, to niemożliwe. Po pierwsze nie mam samochodu; a po drugie, Charlie, pan Hunter podkreślił, żebym najpóźniej o wpół do trzeciej przyprowadziła cię z tu powrotem na mecz krykieta.

Dwójka młodszych dzieci wydała jęk rozczarowania.

- Możemy pójść do gospody w wiosce - podsunęła Sophie. - Byłam tam raz z koleżanką i jej rodzicami. To tylko trzysta jardów stąd i robią tam bardzo dobre frytki.

- Dzięki - szepnęła do niej Alicja, głośno zaś dodała: - A zatem do gospody!

- Hura! - Charlie wznosił ku górze zaciśniętą pięść. - Naprzód!

- Moment, moment! - zmitygowała go Alicja, pospiesznie chwytając torebkę. - Chodźmy wszyscy razem i w miarę cicho, żebyśmy nie przeszkadzali innym w lekcjach. - Ująwszy Harriet za rękę, ruszyła ku Charliemu, który już podrygiwał przy otwartych drzwiach. W pewnej chwili Harriet zadarła głowę.

- Babciu? - odezwała cię cichutko.

- Tak, kochanie?

- Czy tatuś jest w niebie tak jak mamusia?

Cała procesja zatrzymała się gwałtownie. Kompletnie zaskoczona Alicja poczuła, że twarz ją mrowi z nerwów. Pochyliła się i objęła ramionka wnuczki.

- Nic podobnego, skarbie. Poleciał do Ameryki, bo ma tam coś do załatwienia. Niedługo przyjedzie. Czy nie powiedział wam, że wróci na czas, żeby przywieźć was do domu na wakacje?

- No tak, babciu - podjęła rzeczowo Harriet - ale jakby go w nim nie było. Więc musi być gdzie indziej.

- Usiądźmy jeszcze na chwilkę, dobrze? - rzekła Alicja, prowadząc Harriet z powrotem do sofy. Sophie przysiadła na poręczu. Charlie pozostał przy drzwiach, bawiąc się hałaśliwie klamką. - A teraz - zaczęła łagodnie Alicja sadowiąc się obok wnuczki - powiedz mi, co dokładnie masz na myśli.

- W sumie to jest odwrotnie niż z mamusią.

- To znaczy?

- Dusza mamusi jest wciąż z nami, a jej ciało nie. Tak powiedziała Sophie. A z kolei ciało tatusia jest przy nas, a dusza nie.

Alicja przez chwilę siedziała w milczeniu, głaszcząc Harriet po głowie, i zastanawiała się, co odpowiedzieć.

- Posłuchaj, kochanie - odezwała się w końcu. - Wiem, że tatuś już od paru miesięcy jest jakby nieobecny, i wiem, że ciężko wam to zrozumieć. Ale tatuś żyje, jego dusza mocno się go trzyma i wiem, że bardzo dużo o was myśli. Jestem przekonana, że ta podróż bardzo mu pomoże i wróci taki, jakiego dotąd znaliście. - Zajrzała wnuczce w twarz. - Rozumiesz?

Harriet pokiwała głową, ukontentowana tym zapewnieniem.

- Możemy już iść? - spytał Charlie od drzwi.

- Chodźmy! - potwierdziła Alicja tak radośnie, jak tylko zdołała. - Do gospody! - Uścisnęła mocno Harriet i podniosła się z sofy. - Nie jadłam śniadania, chętnie więc stawię czoło ogromnej misie frytek!

Harriet wybiegła do holu w ślad za Charliem, Sophie wszakże zwolniła kroku i zatrzymała babkę łapiąc ją za łokieć.

- Wiesz, mam uczucie, że on nie wróci.

- Ależ oczywiście że wróci! Zobaczysz, znów będzie taki jak dawniej!

- Nie o to mi chodzi. Myślę, że masz rację. Musiałby wyjechać jak najdalej od Inchevie, poza tym trzeba mu czasu na zagojenie ran. Uważam, że n i e p o w i n i e n

wracać zbyt szybko.

Alicja poklepała drobną dłoń trzymającą ją za rękaw.

- Czas pokaże, kochanie. Pamiętaj tylko o naszej umowie: ty opiekuj się Harriet, a ja dołożę wszelkich starań, żeby tatuś wrócił do was taki, jakiego dotąd znaliście. Zgoda?

Sophie skinęła głową, uśmiechając się z wysiłkiem. Alicja ujęła ją za rękę i ucałowała w policzek.

- Zdradzę ci coś w sekrecie. Otóż pan Hunter powiada, że jesteś jedną z najwspanialszych dziewcząt, jakie kiedykolwiek spotkał. Oczywiście mnie nie trzeba tego mówić, ale cieszę się wiedząc, że masz w nim prawdziwego sprzymierzeńca. I powiem ci jeszcze jedno, moja panno, a mianowicie, że robi się z ciebie bardzo urodziwa młoda dama. Jestem z ciebie dumna. - Objęła Sophie ramieniem i pociągnęła ją w stronę drzwi. - A teraz lepiej się pospieszmy, zanim tych dwoje obróci szkołę w perzynę.

ROZDZIAŁ 11

Gdy tylko samolot podkołował do terminalu na lotnisku Kennedy'ego, sąsiadka Davida zerwała się na równe nogi nie czekając, aż zgaśnie napis ZAPIĄĆ PASY. Zaaferowana besztła dzieci, wyciągając jednocześnie torby i swetry ze schowka nad fotelem i najwyraźniej nie mogąc się już doczekać, kiedy wreszcie opuści samolot i rozpocznie wakacje. Inni natychmiast poszli w jej ślady, lecz po dziesięciu minutach wiercenia się w miejscu i stawania na palcach, by zobaczyć, dlaczego ci z pierwszej klasy jeszcze nie wychodzą, większość usiadła z powrotem, dzierżąc tobołki na kolanach, kręcąc głowami i strojąc porozumiewawcze grymasy do tych, którzy wykazywali podobne oznaki zniecierpliwienia.

Dwie minuty później na przedzie coś drgnęło i rodzinka z Glasgow natychmiast ruszyła do ataku. Prowadził Darren, rezolutnie rozpychając się łokciami; matka następowała mu na pięty, trzymając w objęciach młodsze dziecko i bagaż.

David odczekał, aż minie go sznur pasażerów z tyłu samolotu; następnie wstał, wyjął ze schowka aktówkę i ruszył do wyjścia, prostując plecy i kończyny zdrewniałe po długich godzinach bezruchu w ciasnej przestrzeni. Wychodząc z samolotu pochwycił w płuca ciepły podmuch, który przedostał się jakoś szparą w łączniku i już po chwili ustąpił pod potężnym naporem lodowatego powietrza włączanego do rękawa przez klimatyzatory budynku terminalu.

Znalazłszy się w budynku, dołączył do tłumu pasażerów wyłaniających się także z innych samolotów i niespiesznie ruszył długim przeszklonym korytarzem do biura imigracyjnego. Czuł kojącą ulgę na myśl, że w tym potężnym tłumie jest tylko anonimową, pozbawioną życiorysu statystyczną jednostką ludzką. Tu każdy miał swoje problemy, swoje myśli. Jakże to się różniło od wspólnej duszącej chmury smutku, która wisiała nad wszystkimi i wszystkim w Inchelvie!

Zrezygnował z ruchomego chodnika i szedł niezatłoczonym poboczem. W połowie korytarza kątem oka dostrzegł plamę celtyckiej zieleni i ze zgrozą ujrzał niemal tuż obok siebie głowę Darrena, który znalazł sobie nową miłą zabawę - biegł ruchomym chodnikiem

pod prąd, powodując istny chaos wśród podróżnych. Po chwili przez gwar przebiło się ledwie dosłyszalne „...eeen!” Matka chłopca stała bezradnie na końcu korytarza, przytrzymując Tracy na biodrze. U jej stóp leżały koszyk, torby i tobołki.

W sali odpraw stała potężna kolejka, która wiła się pomiędzy barierkami ku rzędomi oświetlonych jarzeniówkami boksów. Ludzie szeleścili paszportami i deklaracjami, wymieniając nerwowe uśmiechy, jakby spodziewali się ostrego przesłuchania, a kto wie, czy i nie tortur, nim zostaną wpuszczeni do tego kraju. Wolno posuwali się do przodu, aż w końcu przyszła kolej na Davida. Wszedł do boksu i podał dokumenty młodemu urzędnikowi biura imigracyjnego.

- Przyjechał pan do nas w interesach czy wypoczynkowo?

- W interesach - odparł.

- Na jak długo?

- Jeszcze nie wiem; najpewniej nie dłużej niż tydzień.

Młody człowiek powoli skinął głową.

- Czy wolno spytać, jakiego rodzaju interesy pan prowadzi?

- Jestem producentem whisky.

Urzędnik z zainteresowaniem uniósł brwi, podstemplował deklarację wjazdową, wetknął ją do paszportu i podał Davidowi.

- Proszę więc dbać, żeby nam jej nie zabrakło! - zaśmiał się.

- Nie omieszka - uśmiechnął się David i już miał odejść, gdy zatrzymał go głos urzędnika.

- Jeszcze chwilę... Czy mógłby mi pan coś wyjaśnić?

David przystanął, zmarszczył brwi.

- Oczywiście - rzekł wolno. - Jeśli tylko zdołam.

Młody człowiek dostrzegł jego zdenerwowanie i uśmiechnął się.

- Wszystko jest w porządku; chciałem tylko zapytać, co znaczy „The Hon.” przed pańskim nazwiskiem. Pracuję tu od niedawna i choć widziałem już kiedyś ten skrót, nie wiem, co oznacza.

- Szczerze mówiąc, nic wielkiego. To skrót od *The Honourable*. Taki grzecznościowy tytuł.

- A za co się go nadaje?

- No cóż... - David zmieszany nachylił się nad biurkiem, nie chcąc, by ktoś posłyszał tę rozmowę. - Chodzi o to, że mój ojciec jest lordem.

- Naprawdę? - Młody człowiek otworzył szeroko oczy. - To znaczy, że jest pan

spokrewniony z królową?

- Ależ nie, nic podobnego! - Zaśmiał się David. - Jak już mówiłem, to tylko tytuł, nic więcej.

- No proszę! - Urzędnik patrzył na niego z respektem. - Póki życia, póty nauki. Dzięki za wyjaśnienia, panie Corstorphine, życzę miłego pobytu! - Odwrócił się i zawołał następną osobę.

David zdjął walizkę z obrotowej taśmy, przeszedł odprawę celną i udał się do hali przylotów. Powitał go tłum oczekujących. Niektórym od razu wydłużyły się miny, nie był bowiem tym, na kogo czekali. Inni, dzierżąc tabliczki z wypisanymi nazwiskami, spoglądali na niego z nadzieją. Wyłowił wzrokiem z tłumu niskiego ostrzyżonego na jeża mężczyznę w białej koszuli z krótkim rękawem, czarnym krawacie i lustrzanych okularach. Trzymał tabliczkę z logo „Star Limos” i wypisanym poniżej fonetycznie nazwiskiem Davida.

- Dzień dobry - rzekł David podchodząc.

- Pan Costafin? - spytał szofer, nie przestając żuć gumy.

- Tak, to ja.

- Witam. Jestem Dan. - Szofer uściśnął mu dłoń i niemal tym samym płynnym ruchem złapał walizkę. - Samochód stoi przed wyjściem. Lepiej się pospieszmy, zanim go odholują.

Wyszli w oślepiający żar słońca. Dan zdalnie wyłączył alarm i otworzył drzwi eleganckiego czarnego lincolna. Walizkę wrzucił do bagażnika, po czym wskoczył za kierownicę i ruszył z piskiem opon na rozgrzanym asfalcie.

Piętnaście minut później pruli na wschód szeroką Southern State Parkway. Otaczający krajobraz zmieniał się z każdą kolejną milą dzielącą ich od Nowego Jorku. Zamiast niekończących się podmiejskich hal i placów, które spodziewał się ujrzeć David, otoczył ich gęsty szpaler wysokich drzew liściastych, które po jakimś czasie ustąpiły miejsca sosnowym lasom, ciągnącym się jak okiem sięgnąć po obu stronach drogi. Był to, jak poinformował go Dan, naturalny krajobraz Long Island - „raj dla moskitów i cholerne ryzyko pożaru”.

Dokładnie pięćdziesiąt minut od opuszczenia z lotniska zjechali z autostrady za olbrzymim znakiem wskazującym drogę do Centrum Handlowego Leesport. Na końcu ślimaka Dan skręcił w prawo i ruszył na południe szeroką szosą mijając przejazd kolejowy, a następnie kolejną tablicę witającą nowo przybyłych w Leesport. David patrzył przez okno na domki z ogródkami, gdzie zza białych sztachet wychylały się różnobarwne kwiaty i biły w górę zraszacze polewające wodą starannie przystrzyżone zielone trawniki. Każdy dom otaczała grupka brzoź i miejscowych sosen, strzegąc go i osłaniając przed wzrokiem sąsiadów. Każdy był inny - malowane na lśniącą biel deski mieszały się w rozmaitych

kombinacjach z naturalnym cedrem, szerokie dwuspadowe dachy nawisłe jak brwi nad oknami przeplatały się z wyższymi, czterospadowymi, sterczącymi dumnie jak kornety zakonnic. Co sto jardów na dzielącym chodnik od jezdni pasie zieleni stał jaskrawożółty hydrant. Wyglądały jak kordon strażaków pilnujących drewnianych domów.

Na światłach Dan skręcił w prawo i zerknął przez ramię na Davida.

- Jesteśmy w centrum Leesport.

Ulica była nieskazitelnie czysta, obrzeżona równymi białymi liniami miejsc parkingowych i rzędami sklepików malowanych na biało. Stylowe wystawy tonęły w obfitości donic, doniczek, skrzynek pełnych bratków, nagietków i petunii. Chodniki zaludniali piesi - starsze pary idące pod ramię, młode matki z dziećmi w nosidełkach. Wszyscy ubrani byli w barwną letnią odzież i poruszali się swobodnym, niespiesznym krokiem. David patrzył przez okno na kolorowe kwiaty, kolorowych ludzi, kolorowe szyldy nad drzwiami sklepów.

Dwieście jardów dalej Dan skręcił w wąską zadrzewioną ulicę opatrzoną tabliczką z napisem: NORTH HARLENS i zatrzymał samochód przed skrzynką pocztową z czarnym numerem 52. Za krótkim wybetonowanym podjazdem obsadzonym kępami traw pampasowych stał nieco odsunięty od ulicy piętrowy dom. Zwróconą ku ulicy fasadę przecinał wysoki drewniany taras, na którym David dostrzegł stolik i krzesła ogrodowe. Na ścianie przybite były dwa stare wiosła, skrzyżowane jak miecze. Na lewo od tarasu pomiędzy krzewami można było dojrzeć lśniącą błękitną tafłę basenu. Jedynym, co wyróżniało rezydencję Eggarów spośród innych domów w Leesport, było sterczące zza budynku rusztowanie i ciężki, łopoczący leniwie na wietrze brezent, pokrywający trzecią część dachu.

Dan wyłączył silnik i nacisnął przycisk zwalniający pokrywę bagażnika.

- Jesteśmy na miejscu - rzekł.

Wysiedli z samochodu. Dan udał się po walizkę i wtem od strony domu dobiegł ich gromki okrzyk:

- David, stary byku!

Podjazdem biegł ku nim wysoki szczupły jasnowłosy mężczyzna. Nie zwalniając kroku wpadł na Davida, chwycił go w objęcia i z rozmachem łupnął w plecy.

- Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że cię widzę, stary druhu!

- A ja ciebie, Richardzie.

Richard cofnął się o krok i zmierzył go spojrzeniem.

- Rany boskie, nic się nie zmieniłeś! No, może tu i ówdzie błysnął siwy włos... - Żartobliwie zmierzwił czuprynę Davida, po czym zwrócił się do szofera i wyjął mu z ręki walizkę. - Zatem odnalazłeś naszego szalonego Szkota, co, Dan?

- Bez problemu, panie Eggar. Życzę panu miłego pobytu, panie Costafin. Kiedy będzie pan chciał jechać na lotnisko, wystarczy zadzwonić do naszego dyspozytora.

- Dziękuję, Dan. - David uśmiechnął się i wsunął mu do kieszeni dwadzieścia dolarów.

Stali przez chwilę, patrząc za odjeżdżającą limuzyną, po czym David westchnął i rozejrzał się wokół.

- Widzę, że znalazłeś sobie piękne miejsce. Tu jest tak... - urwał, szukając w myśli odpowiedniego słowa - ...tak staroświecko!

- Dziewiczo, mój chłopcze - odparł Richard, udatnie naśladowując cockneyowski akcent.
- Tak ja to określam. Świeżo i dziewiczo! A teraz chodź, strzelimy sobie powitalne piwko!

Ruszył pierwszy schodkami na drewniany taras i pchnął ramieniem siatkowe drzwi. David wszedł za nim do przestronnej, jasnej kuchni. Jej środek zajmował sosnowy stół zawalony papierami Richarda. Całe pomieszczenie skąpane było w tańczących odblaskach światła wpadającego przez otwarte przeszklone drzwi, które lekko kołysały się na wietrze.

- Mam nadzieję, że wybaczysz mi spartańskie warunki - mówił Richard krocząc dalej do holu. - Masz pecha, chłopie. Robimy właśnie generalny remont połowy domu i nad obydwoma pokojami gościnnymi nie ma dachu.

Otworzył drzwi. Hol zasłany był grubą warstwą budowlanego pyłu, w którym odciskały się ich ślady.

- To typowe dla mojej żony - sarknął Richard pnąc się po schodach. - Rozkopać całą chałupę, a potem zwiać! - Pchnął drzwi na końcu wąskiego korytarza. - Mam nadzieję, że się nie obrazisz, jeśli ulokuję cię tutaj. To moje biuro. Co prawda nie ma tu wielu luksusów.

Pomieszczenie miało mniej więcej osiem na osiem stóp, a jego powierzchnię w znacznym stopniu zmniejszała szeroka, biegnąca wzdłuż dwóch ścian półka. Zapełniały ją stojące równo segregatory i książki. Na jednym końcu w plątaninie kolorowych kabli tkwił laptop Richarda, obok niego zaś drukarka laserowa, faks i telefon. Wąskie łóżko było wciśnięte za drzwi, niemal połowa kryła się pod półką. Nie było tu szafy, acz charakterystyczny szcęk przy otwieraniu drzwi sugerował, że umieszczono na nich kilka metalowych wieszaków na ubrania. Przez opuszczone rolety nie przenikało światło dzienne, wskutek czego pokój ów jeszcze bardziej przypominał celę. Wszystkie sprzęty pokrywała warstwa rudawego kurzu.

Richard postawił walizki na podłodze i rozejrzał się z rękami na biodrach.

- Mam nadzieję, że będzie ci tu wygodnie.

- Tak, jasne - bąknął David, starając się wykrzesać z siebie choć iskierkę entuzjazmu

na myśl, że zamieszka w tym schowku na miotły. - Oczywiście. W sumie potrzebne mi tylko wyrko.

- Dobra. Łazienka jest obok, w razie gdybyś chciał skorzystać. - Richard stanął w progu. - Muszę jeszcze załatwić parę telefonów. Rozpakuj się swobodnie, a potem zejź na dół, walniemy sobie po kielichu. - I wyszedł.

David stał przez chwilę, wodząc wokół wzrokiem. Jezu, pomyślał, to chyba jednak nie był dobry pomysł. Znacznie lepiej czułbym się w hotelu.

Poczuł mimowolny dreszcz biegnący mu po plecach. Odłożył aktówkę na półkę i roztarł nogi, które nagle zaczęły go boleć. Na czole miał krople potu. No nie, tylko nie to! Chyba nie złapał grypy od dziecka w samolocie! Tego mu tylko jeszcze brakowało. Położył się na zapadniętym łóżku i zapatrzył w sufit. Ogarnęła go rozpacz; po raz pierwszy od opuszczenia Szkocji poczuł znajomy tępy ból osamotnienia. Ale teraz było gorzej. Jego rozgorączkowany, oszołomiony umysł właśnie zaczynał to sobie uświadamiać. Teraz, w tym bezosobowym nieznanym otoczeniu, był naprawdę sam. Od dzieci - i od Rachel - dzielił go ocean.

ROZDZIAŁ 12

Około kolacji David nie miał już wątpliwości, że złapał jakiegoś zjadliwego wirusa od dziecka w samolocie. Bolało go całe ciało, w głowie czuł nieustający łoskot; tymczasem zamiast wymówić się jak najszybciej i położyć do łóżka, siedział z Richardem w kuchni, jadł gumowate, niedogotowane spaghetti i pił nadmierne ilości wina, sumiennie wysłuchując niekończących się wspominków z wojska z uśmiechem przylepionym do spoconej twarzy.

W końcu Richard wstawił talerze do zmywarki i nie dając Davidowi wyboru dobył z kredensu butelkę whisky i dwie szklanki. Nalał do każdej potężną dawkę trunku, usiadł i po chwili wahania zaczął go wypytywać o Rachel. David nie miał ochoty wdawać się w szczegóły, toteż w paru słowach streścił przebieg wypadków. Richard wysłuchał go z uprzejmym zainteresowaniem, choć już po chwili odbiegł myślami gdzie indziej i rozmowa niepostrzeżenie zesłała na temat jego pożycia z Angie. Wkrótce to David objął rolę współczującego słuchacza, a Richard, pijąc dwa razy tyle co on, bełkotał o problemach trapiących ich małżeństwo, choć są ledwie siedem lat po ślubie - otóż Angie nie może mieć dzieci i odreagowuje to szastając pieniędzmi, jak gdyby te leżały na ulicy. Ostatnią kroplą goryczy był remont, podjęty bez konsultacji z mężem.

Do północy David siedział i słuchał. Twarz płonęła mu z gorączki, piekące powieki zamykały się ze znużenia. W końcu czując, że dłużej nie wytrzyma, ziewnął potężnie i podniósł się, na co Richard natychmiast przerwał monolog i jął go przeproszać, że nie daje mu spać. Potem sam także wstał chwiejnie i obaj z niejakim trudem wdrapali się na piętro.

David z ulgą zamknął za sobą drzwi pokoju. Usiadł ciężko na łóżku, opierając łokcie na kolanach i trąc piekące oczy. Przegiął rękę, żeby zerknąć na zegarek. Wpół do pierwszej. Oznaczało to, że jest już na nogach niemal całą dobę. Westchnął ze znużeniem, dźwignął się i ruszył do łazienki. Umył zęby, chcąc pozbyć się niesmaku w ustach, i ochlapał twarz w nadziei, że zimna woda złagodzi pieczenie powiek i ciężar w głowie, spowodowany zarówno gripą, jak i nadmiernym spożyciem trunków. Potem wrócił do siebie, rozebrał się i wskoczył do łóżka, podciągając koce pod samą brodę. Miotły nim dreszcze. Zamknął oczy, lecz jego głowa natychmiast odpłynęła w paru kierunkach naraz. Głośne echa monologu Richarda

wprawiały ją w ruch wirowy, a alkohol na przemian to właczał ją w poduszkę, to porywał do góry.

David delikatnie obrócił się na bok. Potrzebował czegoś, żeby się wyciszyć. Rozejrzał się po pokoju za jakąś lekturą, ale do wyboru miał tylko pełną półkę sprawozdań finansowych różnych firm oraz wielką encyklopedię prawniczą. Wstał i sięgnął po aktówkę. Chyba wsadził do niej pismo z samolotu. Niestety, znalazł tylko teczkę z ofertą nowego dystrybutora. Lepsze to niż nic, pomyślał. Wyjął teczkę z aktówki i wrócił z nią do łóżka.

Nazajutrz rano obudził go klekot wieszaków i stuknięcie otwieranych drzwi o łóżko. Otworzył oczy. Zobaczył majaczącą nad sobą bladą zmiętą twarz Richarda.

- Co się stało? - wymamrotał.

Richard przeczesał palcami włosy.

- Słuchaj, bardzo mi przykro, ale obawiam się, żeśmy zaspali. Musimy się pospieszyć. Zaraz zadzwonię po taksówkę, bo raczej nie powinienem siadać za kierownicą. - To mówiąc, wypadł z pokoju.

David leżał jeszcze przez chwilę, coraz wyraźniej czując ból kończyn i nieznośne pulsowanie w głowie. Spojrzał na zegarek. Było wpół do dziewiątej.

- O cholera! - Odrzucił pościel, wyskoczył z łóżka i natychmiast zatoczył się czując gwałtowne mdłości. Przez minutę walczył, by je opanować. Na całym ciele wystąpiła mu gęsia skórka. - Na litość boską, czemu akurat teraz? - jęknął, złapał saszetkę i poczłapał do łazienki. Nie było czasu na prysznic, zdążył się tylko ogolić i pobieżnie ochłapać wodą, po czym biegiem wrócił do pokoju i jął przewracać zawartość walizki w poszukiwaniu czystej bielizny, koszuli i skarpet.

- Dan będzie tu za trzy minuty! - dobiegł z parteru głos Richarda.

W żołądku Davida zalęgło się nagle całe stado motyli. Nie potrafił zawiązać krawata trzęsącymi się palcami. Jezu, pomyślał, tylko tego mi jeszcze trzeba. Nie dość, że spóźnię się na spotkanie, to jeszcze pójde chory.

Wciągnął spodnie, z marszu wzuł buty, złapał marynarkę i aktówkę i zbiegł na dół.

Richard był w kuchni, zbierał papiery z różnych stosów i upychał je do teczki.

- Przepraszam cię, stary - bąknął. - Weź, napij się kawy, jest w ekspresie. Co prawda wczorajsza, ale za to przynajmniej będzie mocna. - Sprzed domu dobiegł dźwięk klaksonu. - Chryste, nie ma czasu! To Dan. Chodź prędko!

Wypchnął Davida na taras, zamknął drzwi na klucz i na łeb na szyję zbiegł po schodkach. David ledwie za nim nadążył. Kierowca czekał na nich przy otwartych drzwiach

lincolna. Usadowili się pospiesznie i gdy limuzyna z piskiem opon ruszyła ulicą, Richard z ulgą oparł głowę o zagłówek.

- Jasny gwint, przepuszczono mnie chyba przez maszynkę do mielenia! A ty jak się czujesz?

- Nie najlepiej. Zdaje się, że oprócz kaca mam jeszcze grypę.

- Biedaku! Trzeba było powiedzieć, dałbym ci aspirynę! - Richard zamilkł na chwilę, po czym podjął: - Słuchaj, będę po południu w domu, ale ty na pewno skończysz znacznie wcześniej. Najłatwiej ci będzie wrócić pociągiem z Penn Station do Patchogue, a stamtąd wziąć taksówkę. - Zaczął grzebać w kieszeni, drugą ręką jednocześnie otwierając teczkę. - Tu masz klucz do domu, a... - wyjął z teczki telefon komórkowy - lepiej zadzwoń do nich i uprzedź, że będziesz pół godziny później. Naprawdę strasznie mi przykro - rzekł ze skrucą.

Dalsza podróż minęła im w milczeniu. Zielony na twarzy Richard, zmęczony kacem gigantem, pochrapywał z otwartymi ustami, podczas gdy David otulał się marynarką, usiłując opanować dreszcze. Dan puł wyprzedzając inne samochody i miejscami przekraczając dozwoloną prędkość, lecz nim utknęli w kolejce przy rogatek na wjeździe do Midtown Tunnel, spóźnienie Davida wynosiło już trzydzieści pięć minut.

Dan obejrzał się przez ramię.

- W którym miejscu Madison chce pan wysiąść, panie Costafin?

- Gdzieś między Czterdziątą Piątą a Czterdziątą Szóstą Wschodnią.

- To w porządku - skinął głową szofer. - Pojedziemy Czterdziątą Drugą, potem w górę Madison. Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, panie Eggar, wysadzimy najpierw pana Costafina.

- Oczywiście - ocknął się Richard. - To nie ulega kwestii.

Na Manhattanie sznur trąbiących samochodów był gęstszy, niż przypuszczali, w związku z czym droga do skrzyżowania Czterdziestej Piątej i Madison zajęła im kolejne dziesięć minut. David wyskoczył z samochodu i przez następne dziesięć minut gorączkowo szukał budynku mieszczącego biura firmy Deakin Distribution. Zanim skrzypiącą windą wjechał na piętnaste piętro, umieszczony w korytarzu zegar wskazywał już pięć po jedenastej. Rozejrzał się. Na końcu korytarza dostrzegł sporą mosiężną tabliczkę z nazwą firmy wiszącą na ścianie obok wielkich przeszklonych drzwi. Ruszył biegiem w tamtą stronę i wpadł do recepcji z takim impetem, że młoda jasnowłosa recepcjonistka zerwała się przerażona z miejsca, pewna, iż jest ofiarą ataku terrorystów.

David obrócił się i złapał rozkołysane gwałtownym pchnięciem drzwi.

- Przepraszam - szepnął, jakby sam siebie chciał uspokoić.

Dziewczyna przysunęła sobie krzesło, nie spuszczać z niego wzroku.

- Mogę panu w czymś pomóc? - zagadnęła chłodno.

- Tak - wydyszał zasapany David. - Miałem tu być o dziesiątej, ale niestety zatrzymano mnie. Jestem z Glendurnich Distilleries Limited.

- Pan... - dziewczyna powiodła palcem po leżącej na biurku liście i podniosła głowę z błyskiem ulgi w oku. - Pan Corstorphine?

- Tak jest.

- Proszę za mną. Dyrektorzy czekają na pana w sali konferencyjnej.

Ruszyła wąskim świeżo odnowionym korytarzem, drobiąc na zbyt wysokich obcasach, przez co jej opięte minispódniczką pośladki kołysały się denerwująco tuż przed Davidem. Podeszła do jakichś drzwi, zapukała i nie czekając na odpowiedź otworzyła je, gestem zapraszając Davida do środka.

Wokół długiego konferencyjnego stołu siedziało w niedbałych pozach kilku mężczyzn. Kiedy wszedł, natychmiast obrócili się ku niemu, a potem jak jeden mąż zerwali się na równe nogi. Z miejsca u szczytu stołu podniósł się siwowłosy mężczyzna.

- Witaj, Davidzie - rzekł, ruszając mu naprzeciw z wyciągniętą dłonią. - Jestem Charles Deakin, dyrektor naczelny Deakin Distribution. - To mówiąc, ujął rękę Davida i uściśnił ją potężnie, a potem potrząsnął, omal nie wrywając jej z barku. Następnie bez żadnej przerwy klasnął w dłoń, jakby chciał nadrobić stracony czas.

- A więc w końcu nas pan znalazł - rzekł, wysuwając krzesło dla Davida. - Proszę wybaczyć, że nie wysłałem panu dokładniejszych wskazówek. Myślałem, że był pan już w Nowym Jorku i zna nasze poranne korki! - zaśmiał się. Pozostali natychmiast zawtórowali mu dyskretnie.

David uśmiechnął się blado. Jeśli nie liczyć samego Deakina, średnia wieku zebranych nie przekraczała chyba trzydziestu lat. Ubrani byli wszyscy - jakby według ścisłych zaleceń firmy - w nieskazitelnie gładkie koszule, stonowane jedwabne krawaty i wręcz ekstrawagancko modne marynarki. David dotkliwie odczuł świadomość, iż jego ciemnoszary garnitur wygląda nieciekawie i staro, czym nie tylko ostro kontrastuje z otoczeniem, ale też idealnie odzwierciedla stan ducha właściciela.

Deakin usiadł i wszyscy poszli za jego przykładem. David też zajął miejsce, uświadamiając sobie, że sytuacja wymyka mu się spod kontroli. Co ja tutaj robię? - myślał. Powinienem leżeć w łóżku. Zresztą z góry wiedziałem, że to błąd. Niepotrzebnie się zgodziłem tu przyjechać. W głowie mu łomotało, pot ściekał po plecach; do tego miał niejasne uczucie, że dygoczą mu policzki. Pochylił się, chcąc przynajmniej spróbować

wyjaśnić swe spóźnienie, lecz nim zdążył otworzyć usta, odezwał się Deakin:

- Niestety, musimy się pospieszyć, bo chłopcy mają zaplanowane na dziś jeszcze inne spotkania. Prezentacji dokona Alex. - Wskazał siedzącego obok młodego mężczyznę, który raźnie zerwał się z krzesła i podszedł do tablicy stojącej w kącie sali. - Przedstawi ci naszych kolegów i wyjaśni ich zadania w kampanii marketingowej, którą przygotowaliśmy dla Glendurnich. - Otworzył leżącą przed nim teczkę. - A zatem, panowie, spójrzcie wszyscy na stronę pierwszą. Oddaję głos Alexowi. - Deakin obrócił krzesło tak, by siedzieć twarzą do prelegenta.

Rozległ się szmer plastyku skrobiącego o papier, gdy mężczyźni otwierali foldery. David, starając się nadażyć za innymi, schylił się, podniósł aktówkę i ją otworzył. Dokumenty powinny być na samym wierzchu. Nie było ich. Nie było ich również pod notatnikiem ani na samym dnie. Obmacał zewnętrzne kieszenie aktówki. Puste. Uczynił wysiłek, by się skoncentrować, i gdy mgliste wspomnienia poprzedniego wieczoru zaczęły nabierać ostrości, oblał go zimny pot. Wyjął dokumenty, żeby przejrzeć je w łóżku. I oczywiście nie schował ich z powrotem do teczki.

Alex po kilku zdaniach przerwał prezentację, widząc, że David wciąż grzebie w aktówce. Stał, postukując niecierpliwie w dłoń czarnym markerem. Deakin, podążając w ślad za jego wzrokiem, obrócił się w stronę Davida. Zapadła cisza. David podniósł głowę i spostrzegł, że wszyscy na niego patrzą.

- Czy coś się stało, Davidzie? - spytał Charles Deakin.

David nerwowo przeczesał palcami włosy.

- Nie, to jest... nie mam dokumentacji. Chyba zostawiłem ją w domu.

- Mam nadzieję, że nie w Szkocji! - zaśmiał się Deakin, a młodszy koledzy sumiennie mu zawtórowali.

- Nie! - odpowiedział trochę za głośno. Czuł, że musi ratować tę resztkę wiarygodności, jaka mu jeszcze została. - Nie, zostawiłem ją dziś rano w sypialni - dodał ciszej.

Deakin skinął głową z uśmiechem.

- Zaraz temu zaradzimy - rzekł powoli i wyraźnie, jakby mówił do pierwszoklasisty. - Weź, proszę, egzemplarz Jacka, a z Jackiem podzieli się swoimi materiałami Curtis.

Jack przysunął mu folder; David podziękował zakłopotanym uśmiechem. Deakin ponownie obrócił się twarzą do Alexa.

- Dobrze, panowie. Zaczynamy.

Od tej chwili David widział wszystko jak przez mgłę. Głos Alexa brzmiał tak, jakby

odtworzano go w zwolnionym tempie. Przedstawiał kolejno mężczyzn, którzy wstawali, szczyrzyli do Davida zęby wykonując płynne ruchy kosmonautów w stanie nieważkości i znów niknęli w niebycie. Nie zdołał zarejestrować ani ich nazwisk, ani ról, jakie mieli odegrać w podboju amerykańskiego rynku przez whisky z Glendurnich. Myśli Davida krążyły gdzie indziej, choć była w nich pewna pokrętna logika. Haniebnie zawiódł ojca, robiąc z siebie takiego durnia. A jeszcze całkiem niedawno byli razem w firmie i ojciec tak się cieszył, że on, David, zatrzyma się u Richarda... Biedny Richard, gorzknieje w nieudanym małżeństwie z Angie... A przecież mogli być tak szczęśliwi jak on i Rachel...

Wrócił myślą do Szkocji, do długich letnich wieczorów spędzanych nad jeziorem z Rachel i dziećmi. Śmiała się spazmatycznie, gdy ciągnął ją za nogę do wody, a potem podwinąwszy spodnie do kolan, brodził niczym żuraw za łódką, pstrykając jedno po drugim zdjęcia dzieci wiosłujących jednocześnie w trzy różne strony.

Ostatni z mężczyzn nareszcie usiadł i nagły bezruch spenetrował zmysły Davida w dostatecznym stopniu, by ten zdał sobie sprawę, że Deakin coś do niego mówi.

- Przepraszam, nie dosłyszałem - bąknął trąc oczy.

- Pytałem, czy jest pan żonaty - powtórzył głośniejszym głosem Deakin.

- Tak.

- To znakomicie - ucieszył się dyrektor - byłoby bowiem ze wszelkich miar pożądane, aby żona towarzyszyła panu w podróży promocyjnej. My, Amerykanie, bardzo sobie cenimy wartości rodzin...

- Nie! - krzyknął David.

Wszyscy poderwali głowy, zaskoczeni tym nagłym wybuchem. David uderzył się dłonią w usta.

- Słucham? - zdziwił się Deakin.

- Nie - rzekł drżącym głosem David. Nigdy dotąd tego nie mówił. Nikt nie zadawał mu takich pytań; wszyscy wiedzieli. - Przepraszam, chciałem powiedzieć, że nie, nie jestem żonaty.

Dał się słyszeć szmer: mężczyźni wiercili się na krzesłach, wymieniając pytające spojrzenia.

- Ach, zatem nie jest pan żonaty - rzekł powoli Deakin.

David spojrział na niego i nagle poczuł łzę, która spadła mu na dłoń. Potrząsnął głową. Odsuwając z hałasem krzesło zerwał się na równe nogi, chwycił aktówkę i prawie biegiem ruszył do wyjścia.

- Przepraszam. Muszą mi panowie wybaczyć. Przepraszam - wymamrotał, z impetem

otworzył drzwi i wypadł do holu.

Recepcjonistka wstała z uśmiechem, lecz ujrawszy jego twarz, zamarła. Minał ją pospiesznie, pchnął szklane drzwi i opuścił biura Deakin Distribution.

Po jego wyjściu w sali posiedzeń przez pełne trzydzieści sekund panowała głucha cisza. Wreszcie Deakin podniósł się wolno z miejsca. Odchrząknął.

- Hm, no cóż, panowie, nie jestem pewien, co tu właściwie zaszło. - Podeszedł do okna, odprowadzany spojrzeniami młodszych członków zarządu. Zatknął dłonie za pasek z tyłu spodni i przez kilka chwil wpatrywał się w postrzępiony horyzont Manhattanu. Potem wrócił na miejsce, zebrał swoje papiery i stuknął nimi o blat. - Chyba najlepiej będzie, jeśli od razu porozumiem się z Duncanem Caple'em w Glendurnich. Dostaniecie panowie okólnik z podsumowaniem przebiegu tej rozmowy. - Pchnął drzwi i wyszedł. W sali zerwał się szmer zdziwionych głosów.

David z całej siły walnął otwartą dłonią w przycisk windy. Światelka już dość dawno zatrzymały się na liczbach 4 i 23 i najwyraźniej nie miały zamiaru się poruszyć. Stał tuż przed drzwiami z opuszczoną głową, kryjąc oczy pełne łez, i modlił się, by winda nadjechała, nim ktoś wyjdzie z biura Deakin Distribution, aby zapytać, co się stało.

Rozległ się krótki gong; najdalsze od niego drzwi zaczęły się rozsuwać. Skoczył ku nim. Winda była pusta, na szczęście. Schronił się w tej zbawczej samotni, wcisnął guzik parteru i bezwładnie oparł się o ścianę. Drzwi zamknęły się; nareszcie był sam. Upuścił aktówkę, zakrył twarz dłońmi i szlochając jak dziecko usiadł na podłodze.

Jeszcze nigdy tak jasno nie uświadomił sobie straty Rachel. Dotąd udawało mu się kontrolować emocje. Ale w ciągu minionej doby przeznaczenie wszczęło systematyczny plan niszczenia wszystkich jego linii obronnych, uderzając po kolei w wytrzymałość fizyczną, uczucia, pewność siebie, by w końcu tam, w sali konferencyjnej, zadać mu *coup de grâce*. I tak się też stało. Nie czuł już ani krzty szacunku do samego siebie. Zabrakło mu sił. Zabrakło mu też ochoty, by tłumić w sobie to, co we dnie i w nocy domagało się jego niepodzielnej uwagi - wspomnienie Rachel. Podciągnął kolana pod brodę i zapatrzył się przed siebie. Jej imię przepływało mu przez umysł wciąż od nowa, jak fraza powtarzana bez końca przez zdartą płytę.

Na trzecim piętrze drzwi się rozsunęły. Czarna dziewczyna w mundurku gońca przytrzymała je ręką, wpychając do środka wózek wyładowany biurową pocztą. Spojrzała na Davida, przechyliła się nad nim, by nacisnąć guzik parteru, po czym z pewnym trudem zdołała się ulokować między wózkiem a ścianą. Drzwi zamknęły się i winda ruszyła dalej w

dół. Dziewczyna wyjęła z kieszeni paczkę gum do żucia, zębami wyciągnęła jeden listek, obrała go z papierka i wepchnęła do ust. Ponownie zerknęła na Davida.

- Mieliśmy ciężki dzień, co? - zagadnęła.

David nadal wpatrywał się pustym wzrokiem w przestrzeń, zatopiony we własnych myślach. Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Nie, to nie - mruknęła, spoglądając na wyświetlacz, na którym właśnie pojawiła się cyfra 0. - Chociaż gdy tak na ciebie patrzę, bracie, zdaje mi się, że niewiele gorszego może cię jeszcze spotkać.

Drzwi się rozsunęły. Dziewczyna napała na wózek i wytoczyła go z windy. David pozostał w niezmienionej pozycji. Nie uczynił żadnego wysiłku, by się poruszyć; nie obchodziło go, gdzie jest, i nie czuł potrzeby, by znaleźć się gdzie indziej. Drzwi zaczęły się zamykać z powrotem, ponownie obiecując mu błogą samotność, lecz nim zasunęły się do końca, rozepchnęła je czarna dłoń. Dziewczyna pochyliła się ku niemu z wyciągniętą ręką.

- No, wstawaj. Jak będziesz tak jeździł przez cały dzień z góry na dół i z dołu do góry, to co najwyżej się porzygasz, ale na pewno nie rozwiążesz swoich problemów. Poza tym jak znowu się na ciebie napatoczę, to sam twój widok wpędzi mnie w depresję.

David podniósł wzrok na roześmianą twarz nieznajomej i powoli ujął jej rękę. Bez większego wysiłku postawiła go na nogi.

- Chodź, brachu - powiedziała, wyprowadzając go na zewnątrz, na chodnik. - Chyba dobrze ci zrobi łyk świeżego powietrza. Dasz sobie radę? - spytała z zatroskaną miną.

David skinął głową, zmuszając się do uśmiechu. Pomachał jej ręką i ruszył wzdłuż Madison Avenue kierując się na południe - tylko dlatego, że stał zwrócony w tę właśnie stronę. Dziewczyna patrzyła za nim przez chwilę, a potem potrząsnęła głową i weszła z powrotem do budynku.

David kroczył powoli, koncentrując przyćmiony umysł na przestawianiu kolejno to lewej, to prawej nogi. Miał uczucie, że wypełnia je mieszanina betonu z galaretą, przez co zataczał się jak pijany. Ruszył przez jezdnię nie widząc czerwonego światła; jakaś taksówka wyhamowała z piskiem opon dosłownie o kilka cali od jego prawego biodra. Kierowca oparł się na klaksonie i wychylił przez okno, coś do niego wrzeszcząc. David dobiegł do przeciwległego chodnika i zupełnie wyczerpany oparł się o wątle uliczne drzewo, kołyszące gałązkami na wietrze, który dał przez zacienioną ulicę. Wiatr był ciepły, ale on wciąż kostniał z zimna. Obciągnął marynarkę i zapiał wszystkie guziki. Odchylił głowę, by zobaczyć, na którym piętrze w szpaler drapaczy chmur wnika trochę słońca. Potem podniósł ją jeszcze wyżej, aż w końcu spojrział wprost w rozgrzane błękitne niebo. Drobiażdżek, pomyślał, czysta

rozkosz dla kurzego mózdzku.

Odepchnął się od drzewa i ruszył dalej wzdłuż Madison Avenue, naprzeciw tłumom pieszych, którzy rozstępowali się przed nim. Piętnaście minut później minął Trzydziestą Drugą Ulicę i zatrzymał się przed otwartymi drzwiami pubu. Na szybie okiennej widniał stylizowany złoty napis: FLANAGAN'S. Długi szynkwas oblepiony przez porannych pijaczków ciągnął się trzydzieści stóp w głąb baru. Po chwili wahania David wszedł do środka i zaczął się przepychać do lady. Młody barman w białej koszuli i zielonej muszce dostrzegł go i podszedł bliżej, ciągnąc po blacie mokrą ścierkę.

- Co dla pana? - spytał z silnym irlandzkim akcentem.

David rozejrzył się, co piją inni. Tuż obok młody człowiek w garniturze pił budweisera z butelki.

- Budweisera.

- Butelka czy beczka?

- Beczkowy. I jeszcze szkocką whisky.

Barman podsunął szklanę pod kran nalewaka.

- Jakaś konkretna marka?

- Pewnie nie macie Glendurnich? - W głosie Davida zabrzmiała sarkastyczna nutka.

Barman rzucił okiem przez ramię na wyłożone lustrami półki, po czym zostawiwszy ciekący strumyk piwa wyszedł na zaplecze. Wrócił dokładnie w chwili, gdy piana już-już miała się przelać przez krawędź szklanki, i wyćwiczonym ruchem zamknął kran.

- Niestety. Tylko Glenlivet i Glenmorangie.

David burknął coś pod nosem, zły na siebie. Oto najlepszy dowód. Przecież właśnie po to tu przyjechał, żeby whisky z Glendurnich pyszniła się na półkach obok swych rywali.

- Którą podać? - spytał cierpliwie barman.

David westchnął.

- Obie.

Barman odwrócił się, by nalać whisky. Jednocześnie młody człowiek w garniturze zwolnił sąsiedni stół. David pociągnął tęgi łyk piwa i przysunawszy nogą stół wdrapał się nań, gotów utopić swój ból w alkoholu.

Dwie godziny później wytoczył się z baru i stanął niepewnie na środku chodnika, usiłując poukładać sobie w zmętniałym mózgu wskazówki barmana, jak dojść do Perm Station. Bardziej przez szczęśliwy traf niż skutkiem celowego działania wylądował tylko trzy przecznice na wschód od swego celu. Niemniej przez dalsze pół godziny wałęsał się zygakiem, nim w końcu odnalazł stację.

Panował tu duży ruch, choć było dopiero piętnaście po drugiej. David przemykał się pod ścianami z obawy, że wpadnie na kogoś i do reszty straci równowagę. Tą okrężną drogą dotarł do kas. Podszedł do wolnego okienka, zachwiał się i ciężko oparł o ladę, omal nie wybijając głową szklanej przegrody.

- Poproszę w jedną stronę do Patchogue.

Kasjer wcisnął jakiś guzik i rzucił bilet na ladę.

- Osiem pięćdziesiąt.

Trzymając się lada David wyjął z kieszeni portfel, wydłubał z niego dziesięciodolarowy banknot i wsunął go w wycięcie szyby.

- Proszę mi powiedzieć, o której jest najbliższy pociąg? - spytał, starając się mówić wyraźnie.

Kasjer zerknął na rozkład jazdy.

- Czternasta dwadzieścia siedem do Babylon, tor siedemnasty. Przesiadka do Patchogue na stacji Jamaica.

- Dź-ziękuję. - Tym razem sam posłyszał, że bełkocze, jakby cierpiał na ciężkie upośledzenie mowy.

Nim dotarł na peron, pociąg już podstawiono. Wdrapał się do pierwszego wagonu i usiadł naprzeciw karła albinosa w niebieskich okularach i siatkowej czapce baseballówce, spod której sterczały jego białe włosy. Karzeł rozwiązywał jednocześnie dwie krzyżówki, skserowane z gazet na wspólnym arkuszu. David mrugnął, potem przetarł oczy, pewien, że to, co widzi, jest pijackim urojeniem. Ale karzeł wciąż siedział naprzeciwko i bez zastanowienia wpisywał hasła to w górny, to w dolny diagram.

Pociąg drgnął i ruszył; nabierając prędkości zanurzył się w czarny tunel. David zamknął oczy, starając się zsynchronizować swoje zawroty głowy z kołysaniem wagonu, lecz osiągnął tylko tyle, że zrobiło mu się niedobrze. Oparł się więc o zagłówek i skupił spojrzenie na plakacie z numerem bezpłatnej linii dla chorych na AIDS, przyklepionym na oknie przedziału. Po chwili pociąg wyskoczył z tunelu w Queens. Słońce świeciło tak mocno, że musiał przysłonić twarz ręką. Próbował przymknąć oczy, ale znów ogarnęły go mdłości. Pochylił się do przodu, łokcie oparł na kolanach, a twarz na dłoniach. Był to sensowny kompromis - słońce go nie oślepiało, a jednocześnie utrzymywał równowagę patrząc między palcami na kredowobiałego karła. Pozostał w tej pozycji, dopóki w głośnikach nie zaskrzeczał komunikat: „Jamaica. Przesiadka do Patchogue”.

Kiedy pociąg wjechał na stację Jamaica, niemal połowa pasażerów podniosła się z miejsc. David złapał aktówkę i ruszył za nimi, lecz kiedy znalazł się na peronie, uświadomił

dobie, że nie wie, dokąd ma teraz iść. Przyłączył się więc do większej grupy, kierującej się w stronę przejścia nad torami.

Była to słuszna decyzja. Pociąg do Patchogue wjechał na peron w chwili, gdy zszedł z wiaduktu. Drzwi się otworzyły i kilku pasażerów wysiadło; potem tłum z dworca Penn runął do środka. David znalazł miejsce w kącie i nawet się zdziwił, dlaczego pozostali wolą się tłoczyć z dala, w drugim końcu wagonu. Zagadka rozwiązała się sama, ledwie pociąg ruszył. Zza drzwi znajdujących się naprzeciw niego doleciał szum splukiwanej wody i ohydny kwaśny smród moczu. David zatkał ręką nos i usta, żeby nie zwymiotować. Toaleta zatrzęsała się; ktoś mocował się z klamką, omal nie wrywając całej ścianki działowej. W końcu drzwi odskoczyły gwałtownie i ukazał się w nich chudy ubrany w roboczy drelich mężczyzna w średnim wieku. W jednej ręce niósł foliową reklamówkę, w drugiej puszkę piwa.

- Zamek się spieprzył - rzekł, siadając naprzeciw Davida. Słowom tym towarzyszyło wymowne skinienie w stronę toalety i gulgot piwa, wlewanego bez zwłoki do gardła.

David kiwnął głową bez słowa, mając nadzieję, że jeśli nie nawiąże kontaktu wzrokowego ze swym *vis-à-vis*, ten oszczędzi mu dalszych szczegółów dotyczących się wizyty w ubikacji.

Zrozumiał, że nie doceniał czystości panującej w poprzednim pociągu - zwłaszcza w porównaniu z tym. Siedzenia obszyte były skórą, ongiś w dwóch odcieniach, lecz teraz nawet wspomnienie dawnych barw ginęło w tłustych i brudnych plamach, nawarstwionych przez wiele lat. Okna były tak brudne, że praktycznie nieprzejrzyste. David wbił wzrok w podłogę. Spod drzwi toalety sączył się podejrzany strumyk, meandrując w takt kołysania pociągu.

Jego towarzysz podróży odchylił głowę, by wytrząsnąć do ust resztkę piwa z puszki, po czym ustawił ją na podłodze u swych stóp, sięgnął do reklamówki, wyjął następną puszkę, otworzył ją i pociągnął tęgi łyk. David zastanowił się, czyby się nie przesiąść, lecz ostatecznie zamknął oczy i oparł głowę o twardą aluminiową ramę okna. Znów targnęły nim mdłości, tym razem wzmożone przez smród z ubikacji. A po jaką cholere miałby się przesiadać? Tu było odpowiednie dla niego miejsce, w kącie brudnego, zaplutego pociągu, naprzeciw przegranego jak i on pijaka. Idealna sceneria kompletnego upadku.

Zacisnął zęby i uczynił wysiłek, by otworzyć oczy, próbując wyhamować przed ześlizgnięciem się w przepaść emocjonalną, lecz tym razem nie miał się czego uchwycić. Każda drobina dumy i godności własnej, które w przeszłości tylokrotnie stanowiły dlań oparcie, została gładko zmieciona przez lawinę dzisiejszych wypadków. Poczł pierwsze łyzy, torujące sobie drogę pomiędzy zacisniętymi powiekami i spływające dwiema równoległymi

strużkami po policzkach, aż dopełniwszy swej podstępnej, upokarzającej roli, spadły i wsiąkły w klapę marynarki.

Minęła dobra chwila, nim zauważył, że siedzący naprzeciw pijak przeniósł się ukradkiem w drugi koniec wagonu.

ROZDZIAŁ 13

Snując się po biurze jak zombie, ciężko skacowany Richard o wpół do trzeciej doszedł do wniosku, że bank nie będzie miał już dziś z niego pożytku, i dyskretnie opuścił budynek. Czuł, że jego organizm z najwyższym trudem zniesie męczącą podróż na Long Island.

Dwie godziny później pchnął uchylone drzwi kuchni - znak, że David jest w domu - rzucił teczkę na stół i podszedł do zlewu, żeby napełnić elektryczny czajnik. Włączając go, kątem oka zarejestrował lekki ruch na sofie. Obrócił się gwałtownie.

- David? Jezu, aleś mnie przestraszył! - Podszedł bliżej. - Co ci jest?

Od razu zorientował się, że coś nie gra. Obrócony do niego plecami David leżał na sofie w pozycji embrionalnej, tuląc do siebie poduszkę. Ani słowem nie odpowiedział na powitanie. Richard nachylił się i zajrzał w jego trupio bladą twarz. Spuchnięte od płaczu oczy wpatrywały się tępo w pokrycie sofy.

- David? Co z tobą, chłopie? Chryste, ale cię dopadło!

David spuścił nogi na podłogę i usiadł, trąc zaczerwienione powieki.

- Przepraszam cię, Richardzie. Bardzo cię przepraszam.

- Za co?

- Nie wiem. - Potrząsnął głową. - Za to, że tu przyjechałem. Nie powinienem był.

- Co ty mówisz? - Richard usiadł obok niego. - Bardzo dobrze, że przyjechałeś. - Zagryzł wargę, nie rozumiejąc, co się stało. - Słuchaj, czy... chodzi o Rachel, tak?

David wbił wzrok w okno i powoli skinął głową.

Richard położył mu dłoń na ramieniu.

- O rany, Davie, tak bardzo ci współczuję... - Rozejrzał się, jakby w poszukiwaniu remedium. - Masz ochotę na kielicha?

David potrząsnął głową.

- Nie, skułem się już dostatecznie. - Podźwignął się. - Słuchaj, jeśli nie masz nic przeciwko temu, pójdę się położyć. Nie czuję się za dobrze.

- Jasne! - Richard zerwał się z sofy. - Może wezwać lekarza?

- Nie, po prostu muszę się przespać. - David podszedł do drzwi i obejrzał się. -

Przepraszam cię, stary.

- Nie masz za co przepraszać. Walnij się do łóżka i śpij, jak długo zechcesz. Ja jutro wychodzę wcześniej, ale... hm... już wiem: Carrie, moja szwagierka, mieszka tu, w Leesport. I tak niemal co dzień do nas wpada, poproszę ją więc, żeby ci zorganizowała jakiś obiad, dobra?

- Nie... - David potrząsnął głową. - Po co masz ją fatygować?

- To żadna fatyga i nie sprawi to Carrie najmniejszego kłopotu. No, to kładź się... - Richard się zawahał. - Słuchaj, Angie ma jakieś cudowne uderzeniowe tabletki nasenne. Chcesz jedną?

- Nie, zasnę i bez tego.

- Dobra. - Richard podszedł i poklepał go po plecach. - Nie upadaj na duchu, stary.

David uśmiechnął się i westchnął drżaco.

- Nie wiem, czy jeszcze zdołam się podnieść.

- Rozumiem - rzekł cicho Richard.

Gdy posłyszał zamykające się drzwi pokoiku Davida, z ulgą wypuścił powietrze z płuc. Podszedł do kuchenki, Zaparzył kawę, a potem oparł się o kredens główkując, co powinien teraz zrobić.

Najpierw zadzwoni do Carrie. Nie, może nie. Wrócił do stołu, otworzył teczkę i wyjął z niej notes z telefonami. Znalazł właściwą stronę, wystukał numer i stał, drapiąc się po policzku w oczekiwaniu, aż po tamtej stronie ktoś podniesie słuchawkę.

Ściskając pod pachą termofor, Effie dotarła do zakrętu schodów, kiedy posłyszała chrzęst opon na żwirowym podjeździe. Zatrzymała się zdziwiona, obróciła i zaczęła schodzić z powrotem. Gdy weszła do salonu, Alicja Inchelvie spojrzała na nią znad książki, a potem rzuciła okiem na zegar nad kominkiem.

- Effie, jeszcze nie w domu? Jest wpół do dziesiątej!

- Ano tak wyszło. Właśnie niosłam termofor do pani łóżka, kiedy... to jest, czy spodziewa się pani kogoś? Bo właśnie słyszałam samochód przed domem.

- Nie. - Alicja odłożyła książkę i podniosła się z fotela. - Nie wiem, kto mógłby nas odwiedzić o tej porze. Chodźmy się przekonać.

Nim dotarła do progu, szcęk otwieranych drzwi wejściowych zbudził psy, które zerwały się z ujadaniem i minawszy ją wypadły do holu, skrobiąc pazurami wyfroterowany parkiet. Alicja zerknęła niepewnie na gosposię, złapała ją za rękę i nadrabiając miną wyszła do holu.

Stał tam otoczony łaszącymi się psami George Inchelvie.

- Dobre pieski, dobre. No, już starczy tych czułości. - Wyprostował się, powoli zdjął szalik i powiesił go na wieszaku.

- George! - wykrzyknęła Alicja z niepokojem. - Co ty tutaj robisz? Przecież miałeś spędzić jeszcze jedną noc w Glasgow!

George zdjął palto i położył je na ławce.

- Taki miałem zamiar. - Podparł się laską i ruszył im naprzeciw. - Ale około wpół do szóstej telefonował do mnie do hotelu Duncan Caple. Właśnie pakował w biurze dokumenty, które miał zabrać ze sobą do Europy, gdy do niego z kolei zadzwonił ten nowy amerykański dystrybutor. Mniejsza o to; w każdym razie odbyłem z nim półgodzinną rozmowę, po której zdecydowałem, że nic po mnie w Glasgow i wróciłem do domu.

Alicja patrzyła na męża zatroskana. Wszystko - ciche urywane słowa, bladość, głębokie bruzdy na twarzy podkreślone jeszcze przez boczne światło w holu - świadczyło o tym, że jest skrajnie wyczerpany.

- Co się stało? - zapytała.

George zawahał się, a Effie, pojmując, że nie chce mówić przy niej, zawróciła ku schodom.

- To ja pójde zanieść ten termofor, milady - bąknęła, lecz po kilku krokach się zatrzymała. - Czy wasza lordowska mość nie jest głodny? Mam w lodówce potrawkę, którą mogłabym przygrzać, albo może kanapkę z serem...

George potrząsnął głową.

- To miłe z twojej strony, Effie, ale nie, dziękuję. - Przez jego znużoną twarz przemknął kwaśny uśmiech. - Jedyne, na co mam w tej chwili ochotę, to szklaneczka whisky.

Alicja podeszła i ujęła go pod ramię.

- Chodź, siądziemy sobie przy kominku.

W milczeniu przeszli do salonu. George opadł ciężko na fotel, krzywiąc się z bólu.

- Ależ mi plecy dają w kość! - syknął. - Za długo siedziałem za kierownicą.

- W ogóle za dużo ostatnio na ciebie spada, Georgie. - Alicja pokręciła głową. - Zaraz podam ci whisky, a ty mi opowiesz, co się stało. - Wyjęła z narożnego barku szklanekę i do połowy pełną karafkę.

- David dzwonił? - spytał George.

- Nie. - Alicja odmierzyła do szklanki podwójną porcję trunku i zakorkowała karafkę.

- A miał dzwonić?

Mąż patrzył na nią przez chwilę, zbierając myśli.

- Zdaje się, że to spotkanie w Nowym Jorku nie poszło mu najlepiej.

Alicja wręczyła mu szklankę i przysiadła na brzeżku swojego fotela, opierając łokcie na kolanach.

- Dlaczego?

- Nie jestem pewien. O ile dobrze zrozumiałem, wyszedł w połowie ku zaskoczeniu wszystkich zgromadzonych. W każdym razie tak powiedział mi Duncan. - George pociągnął łyk whisky. - Ale to dopiero połowa problemu.

Alicja milczała, czekając, co powie dalej. George w zadumie zagryzł wargę. Po chwili podjął:

- Duncan twierdzi, że niewytłumaczalne zachowanie Davida na tym spotkaniu jest dowodem, iż nie jest on w stanie wykonywać swojej pracy. A ponieważ Glendurnich musi mieć szefa marketingu, chce zatrudnić kogoś tak szybko, jak się tylko da.

Alicja oparła się głębiej i przymknęła oczy. No tak. Stało się. Nie przypuszczała, że jednak do tego dojdzie.

- Co mu odpowiedziałeś?

- A co miałem odpowiedzieć? - zdenerwował się George. - Co prawda firma należy do rodziny, ale nie mogę faworyzować syna, jeśli ewidentnie nie ma z niego pożytku. Wiem, że to nie jego wina, ale rozumiem też położenie, w jakim znalazł się Duncan. - Wychylił szklankę do dna i odetchnął głęboko, by się opanować. - Ostatecznie ustaliliśmy, że zatrudni nowego dyrektora handlowego, ale tylko na rok. Zdołałem to na nim wymusić, mam bowiem nadzieję, że do tego czasu David się pozbiera. Jeśli w ciągu roku sytuacja nie ulegnie zmianie, Duncan będzie miał prawo przedłużyć kontrakt wedle własnego uznania.

W salonie zapadła cisza. Słysząc było tylko tykanie starego zegara na kominku i rytmiczny odgłos, gdy jeden z psów poczochnął się tylną łapą po karku.

- Co się dzieje, Georgie? - szepnęła w końcu Alicja. - Wszystko wymyka się nam z rąk. Chyba nigdy nie mieliśmy tylu zmartwień naraz. Pracujesz dziś ciężiej niż za młodu.... - Urwała, siadła na fotelu i odgarnęła za ucho luźny kosmyk włosów. - Miałam taką nadzieję, że ta podróż będzie dla Davida punktem zwrotnym... - Spojrzała na męża. - Jeśli wszystko zacznie się znów od początku... nie wiem, czy tym razem zdołamy to udźwignąć.

George powoli pokiwał głową, przyznając jej rację.

- Wiem. Niedobrze, że tak się stało. Zastanawiam się, gdzie jest w tej chwili...

Na biurku hałaśliwie rozdzwonił się telefon. Alicja wstała ociężale i podeszła, żeby go odebrać.

- Halo, Inchelvie. Tak... tak, Richardzie, jak się masz?... Dlaczego? Co się stało?...

Och, Boże, tego się obawiałam... I jeszcze grypa! Richardzie, jestem ci ogromnie wdzięczna, ale to dla ciebie straszny kłopot... Rozumiem, ale czy Carrie ma na to czas?... Aha... Tak... Tak, myślę, że masz rację. Im prędzej wróci do kraju, tym lepiej... Poniedziałek wieczór?... Tak, naturalnie; załatwię, żeby ktoś go odebrał w Glasgow... Oczywiście... I, Richardzie, bardzo ci dziękuję, że zadzwoniłeś... Do usłyszenia.

Odłożyła słuchawkę i odwróciła się do męża, by odpowiedzieć na jego niedokończone pytanie.

Wiedząc, że telefon lepiej odbiera na drodze A9, Duncan Caple spokojnie minął Aviemore i dopiero potem nacisnął jeden z trzech klawiszy, pod którymi zakodowane były numery telefonów Johna Davenporta, prezesa Kirkpatrick Holdings Plc. Z zestawu głośno mówiącego dobiegły trzy długie sygnały, nim ktoś podniósł słuchawkę.

- Halo? - odezwał się damski głos.

- Dobry wieczór, czy mógłbym mówić z Johnem?

- Chwileczkę.

Słuchawka stuknęła o stolik, a potem ten sam damski głos zawołał Johna. Rozległy się kroki, słuchawka szcęknęła lekko i męski głos zapytał:

- Halo?

- Witaj, John, tu Duncan Caple.

- Skąd dzwonicz?

- Z samochodu. Wybacz, że cię napadam w domu, ale pomyślałem, że lepiej będzie, jeśli żaden z nas nie będzie rozmawiał z biura.

- Bardzo słusznie. Co słyhać? Udało ci się zdobyć informacje?

- Owszem. Jest tak, jak mówiłeś. Jakies dwadzieścia pięć lat temu przyjęto plan umożliwiający pracownikom zakup udziałów w firmie. Chyba nawet sam Inchelvie wystąpił z tym projektem. Całkiem dalekowzrocznie, ale też zawsze był świetny w zaskarbianiu sobie lojalności podwładnych. W każdym razie wygląda to tak, że jeśli członek załogi chce wykupić udział, wykłada gotówką połowę, a resztę funduje mu firma. By jednak zapobiec dalszej odsprzedaży, w umowie zbiorowej zawarta jest klauzula, która przewiduje, że jeśli pracownik zwalnia się z zakładu i chce spieniężyć swój udział, musi zwrócić go do ogólnej puli, by umożliwić jego nabycie osobom nadal zatrudnionym w firmie. Jeśli nie ma chętnych, odkupuje go rodzina. Odkryłem też coś bardzo interesującego. W ciągu minionego ćwierćwiecza załoga Glendurnich wzrosła o trzydzieści osób, głównie w pionie administracyjnym, a tylko osiem udziałów wróciło do rąk członków-założycieli.

- I co to oznacza?

- To oznacza, że obecnie udział rodziny Inchelvie w kapitale firmy jest znacznie uszczuplony.

- O ile?

- To akurat trudno stwierdzić nie budząc podejrzeń. Z jakiegoś powodu Robert McLeod, główny księgowy, nigdy nie ujawniał tych liczb. Z mojego rozeznania wynika jednak, że ponad trzydzieści procent udziałów w Glendurnich znajduje się obecnie w rękach załogi.

- To świetnie! Co prawda nie jest to pakiet kontrolny, ale dla nas ważki argument przetargowy. Jak sądzisz, czy ich lordowskie mości o tym wiedzą?

- Prawdopodobnie tak, ale wątpię, by zdawali sobie sprawę z możliwych konsekwencji. W ogóle ostatnio trochę gonią w piętę. Wysyłając Davida Corstorphine'a do Stanów upiekłem dwie pieczenie na jednym ogniu. Rozmawiałem dziś z Charlesem Deakinem z Nowego Jorku. Nie dość, że udało nam się zawrzeć umowę o pośrednictwo w dystrybucji na Amerykę Północną, to jeszcze okazało się, że w czasie negocjacji David miał jakieś załamanie nerwowe i wybiegł od nich z płaczem.

- Hm. Po dyrektorze handlowym całkiem niezłej firmy należałoby się spodziewać większego opanowania.

- Właśnie. Toteż zaraz zadzwoniłem do starego i przekazałem mu tę radosną wieść. Powiedziałem też, że muszę mieć nowego szefa marketingu, i to natychmiast. Prawdę mówiąc, aż mi go było żal.

- I co?

- Zgodził się na roczne zastępstwo. Tak więc możesz przysłać do mnie Gilesa Barkera. Powiedz mu, że mam dla niego pracę.

- Moje gratulacje. Czyli na czym stoimy? Deakin w Stanach, Giles w marketingu, a co z tym, no, Robertem Jakimstam, głównym księgowym?

- To też już załatwione. Od pierwszego odchodzi do klubu golfowego, a jego miejsce zajmie Keith Archibald z Northern Maltsters.

- Świetnie. W sumie więc jesteśmy już gotowi do rozpoczęcia kampanii. Kiedy zaczniesz machać marchewką przed nosem proletariatu?

- Jeszcze nie teraz. Muszę najpierw wysadzić z posad staruszka. Zarznąć by się dał za swego synka, ale sądząc z relacji Deakina jestem pewien, że gdy David wróci do kraju, Inchelvie będzie musiał spojrzeć w oczy smutnej prawdzie, że żaden z nich nie jest w stanie zarządzać firmą. I wtedy sam będzie chciał z nami rozmawiać, zwłaszcza gdy załoga opowie

się po naszej stronie. W każdym razie tak ja to widzę.

- Co zatem planujesz?

- Przygotuję ofertę kupna z pomocą Gilesa i Keitha tutaj oraz Deakina w Stanach, a gdy nadejdzie właściwy moment, przedstawię ją Inchelviemu. Jednocześnie roześlę ofertę do wszystkich udziałowców spośród załogi. Chodzi mi o to, by staruszek i robotnicy podjęli tę samą decyzję w tym samym czasie. To sedno sprawy. Najważniejsza jest synchronizacja.

- Skoro tak twierdzisz... Ale nie czekaj zbyt długo. Wiesz, jak istotne jest dla Kirkpatricka możliwie najszybsze przejęcie Glendurnich. To brakujące ogniwo.

- Zdaję sobie z tego sprawę.

- À propos, rozmawiałem z zarządem. Zgodzili się na honorarium w wysokości pół miliona funtów, ale oczywiście ich wypłata zależy od pomyślnego przebiegu fuzji. Niemniej daj znać, czy wolisz całość w gotówce czy część w akcjach Glendurnich.

- Dam ci znać.

- W porządku. No to do roboty, Duncan. Skontaktuję się z tobą za jakiś tydzień, żeby zapytać o postęp dzieła.

- Lepiej nie. Ja do ciebie zadzwonię. Ta stara wiedźma w recepcji jest wierna Inchelviemu aż po grób i nie mam pewności, czy rozmowy łączone przez jej centralkę są bezpieczne.

- To ją zwolnij.

- Może tak zrobię. W swoim czasie. Zaufaj mi, John, chcę to rozegrać ostrożnie. Zbyt wiele jest do stracenia.

Duncan wyłączył telefon i z uśmiechem głębokiej satysfakcji rozparł się na irchowym siedzeniu bmw. Następnie wydał triumfalny okrzyk, uderzył rękami w kierownicę, wrzucił bieg i z całej siły wcisnął gaz do deski, rozpędzając potężny wóz na pustej drodze. Zdjął nogę z gazu dopiero, gdy dwukrotnie przekroczył ograniczenie prędkości do sześćdziesięciu mil na godzinę.

ROZDZIAŁ 14

Chociaż objawy grypy ustąpiły już po dwudziestu czterech godzinach, David nie miał ochoty opuszczać swego azylu. Czas stał się zbędnym aspektem istnienia, a upływ godzin znaczyły tylko kroki Carrie, która na jego prośbę zostawiała tacę z jedzeniem czy herbatą pod drzwiami i oddalała się nie wchodząc do pokoju. W oknie robiło się na przemian to ciemno, to jasno, lecz David nie starał się dostosować do tych zmian. Próbował uciec w sen przed upartymi myślami, które drażyły jego mózg, ale przez większość czasu leżał z otwartymi oczyma lub krążył po pokoju w szarym mroku aż do świtu.

Od środy wychodził z pokoju tylko po to, żeby skorzystać z toalety. Wracał prawie biegiem, chcąc uniknąć spotkania z Carrie czy Richardem. To, jak wygląda, obchodziło go równie mało jak każda inna forma przyjętych zachowań. Ciągłe drapał się po twarzy, świerzbiącej szczecinią dwudniowego zarostu. W pewien przewrotny sposób przynosiło mu to ulgę, było częścią pokuty, którą sam sobie nałożył, i współgrało z pogardą, jaką żywił do samego siebie. Zmięty, upokorzony, był jednak osiłą świata. W przeszłości pozwalał sobie myśleć tylko o Rachel, ale wszystko się jakoś rozstroiło, zwyrodniało; teraz myślał o sobie - a raczej wciąż się nad sobą użalał. W duchu gromadził i przeżuwał słowa dowodzące bez reszty, iż sięgnął dna.

Tego wieczoru, jak wiele razy przedtem, wstał powoli ze skotłowanej pościeli, podszedł do półki, oparł dłonie na jej szorstkiej powierzchni, a głowa, ciężka jak ołów, opadła mu na pierś.

Chryste, co się dzieje? Co się u licha dzieje? Czuł się dobrze, kiedy przyleciał tu ze Szkocji, a potem jakoś wszystko poszło źle. Dlaczego? Musi to przemyśleć, musi dociec sedna. Wyprostował się i zaczął krążyć po pokoju.

Nagle zatrzymał się przed oknem i gdy wyjrzał na zewnątrz w zapadający zmrok, iskra zrozumienia zabłysła na dnie jego udreżonego mózgu.

Wszystko się zgadza. Kiedy wylądowałeś w Nowym Jorku, było OK. Czułeś się dobrze w tłumie obcych ludzi, bo nikt cię tam nie znał, nikt się tobą nie przejmował, nikt nie miał pojęcia o twojej przeszłości, terażniejszości czy przyszłości. Pławiłeś się w niebycie. To

się zmieniło w chwili, gdy wszedłeś do tego domu, ponieważ Richard w i e d z i a ł . A więc nie chodzi tylko o to, że spieprzyłeś negocjacje. Ty się boisz, prawda? Boisz się własnej tożsamości, boisz się powrotu do Szkocji, zamknięcia się na powrót w klaustrofobicznym kręgu, w którym wszyscy cię znają, wszyscy się o ciebie troszczą, patrzą na ciebie smutnymi oczyma i mówią o tobie przyciszonym głosem.

Podszedł do łóżka i padł na wznak, patrząc w sufit. Myśl! - ponaglał się w duchu. Myśl, do cholery! Czego ty właściwie chcesz?

- Chcę być sam! - powiedział na głos. - Anonimowy i nieznany! Wcale nie mam ochoty dłużej być pieprzonym Davidem Corstorphine'em!

Obrócił się na bok i podciągnął kolana pod brodę. Uwolnić się od tożsamości, od odpowiedzialności. Być wolnym. Brzmiało to jak protest song. Parsknął słabym śmiechem i pokręcił głową, chrobocząc zarośniętym policzkiem o poduszkę. Wiedział, że pragnie nieosiągalnego, ale przynajmniej miał teraz o czym marzyć. Zamknął oczy i po raz pierwszy od dwóch dni obręcz ściskająca jego czaszkę powoli zmiękła.

Nazajutrz rano obudziło go słońce padające przez okno prosto na twarz. Zamrugał i odwrócił głowę. Wtedy, jeszcze w półśnie, poczuł nieprzyjemny zapach. Otworzył oczy. Leżał z rękami założonymi nad głową, skutkiem czego nos miał prawie pod pachą.

- Psiakrew!

Zerwał się z łóżka zbyt raptownie i zakręciło mu się w głowie. Przez chwilę stał chwiejnie na środku pokoju, czekał, aż zawrót ustąpi; potem zdarł z siebie koszulkę i cisnął ją ze złością na półkę, strącając małe stojące lustro. Zmartwiał. Zerknął na podłogę, niemal pewien, że skazał się na dalsze siedem lat nieszczęścia. Schylił się powoli. Lustro było całe. Z westchnieniem ulgi odstawił je na półkę i przy tej okazji ujrzał w nim przelotnie swoją twarz. Przyjrzał się jej z bliska. Na głowie sterczały mu tłuste strączki, twarz pod szarym nalotem zarostu była blada i ściągnięta, ciemne kręgi otaczały zapadnięte w głąb czaszki oczy. Wyglądał koszmarnie. Jakim słowem można by to w ogóle opisać?

Ślimak.

Tak, był jak ślimak przycupnięty w brudzie pod kamieniem.

Wściekłość, jaka narosła w nim w ciągu kilku sekund, uruchomiła widać jego instynkt samozachowawczy. Dosyć tego, powiedział sobie. Zerknął na zegarek. Była siódma trzydzieści. Dalej, głupi fiucie, pora wziąć się w garść.

Złapał ręcznik, przybory toaletowe i wyszedł na korytarz. Przed drzwiami Richarda przystanął. Były zamknięte, dolatywało zza nich ciche pochrapywanie. David podrapał się po głowie. To jaki dziś dzień? Skoro Richard śpi, albo pracuje w domu, albo już jest sobota. Tak

czy owak nie chciał, by ktokolwiek go oglądał w tym stanie. Na palcach przeszedł do łazienki i odkręcił prysznic.

Z początku woda była chłodna, lecz tym lepiej - orzeźwiła go. Wyszorował się cały pachnącym mydłem. Później wylał na głowę sporą porcję szamponu i poddał ją oczyszczającemu masażowi. Potem jeszcze raz umył ciało i jeszcze raz głowę, i dopiero wtedy wyszedł spod natrysku. Jeśli nawet jego duch wciąż był chory, to przynajmniej zewnętrzna powłoka odżyła.

W ciągu następnych pięciu minut pozbył się zarostu, zużywając przy tym dwa wymienne ostrza maszynki. Ochlapał dziwnie teraz gładką twarz paroma garściami piekącego płynu po goleniu. W końcu sumiennie spryskał pachy dezodorantem, pozbierał swe manatki i wrócił do pokoju.

W ciasnej klitce panował taki zaduch, że natychmiast otworzył okno. Poranne słońce oblało mu nagą pierś falą ciepła. Wyjął z walizki świeżą bieliznę, dzinsy i koszulę, ubrał się, siadł na łóżku i rozejrzał się dokoła. Miał ochotę stąd wyjść; atmosfera pokoju stała się zbyt przygniatająca, zbyt rozpaczliwa. Chciał się wyrwać z tego domu, iść tam, gdzie nikt go nie zna.

Zerwał się, zelektryzowany tą myślą. Wziął portfel, włożył buty i cicho zszedł na dół do kuchni, po czym udał się na taras, starannie zamykając za sobą przeszklone drzwi.

Przez chwilę wdychał pełną piersią ciepłe, rześkie powietrze, a potem zbiegł na podjazd, przeskakując po dwa stopnie na raz. Zatrzymał się przy furtce, spojrział w lewo, potem w prawo, energicznie kiwnął głową i ruszył w prawo, ku głównej ulicy.

Ślimak wylazł spod kamienia.

O tej porze sklepy były jeszcze zamknięte, toteż szedł tylko oglądając wystawy. Na ulicach było jednak sporo przechodniów; spacerowali z psami, nieśli pod pachą gazety, wielu uśmiechało się do niego i mówiło „Dzień dobry”. Odpowiadał na pozdrowienia, za każdym razem czując się coraz bardziej podniesiony na duchu.

Najwięcej ludzi zgromadziło się pod bistro. Mężczyźni w szortach i trykotowych koszulkach opierali się o zaparkowane na poboczu furgonetki i rozmawiali o pracy nad kopiasto obłożonymi bułkami i wielkimi styropianowymi kubkami gorącej kawy. Na ten widok - i zapach - David poczuł nagle wilczy głód, toteż wszedł do środka i ustawił się w kolejce na tyłach bistra, czas oczekiwania skracając sobie lekturą menu wiszącego na tablicy nad kontuarem. Panował tu ciągły gwar, klienci wymieniali uwagi z obsługującymi ich trzema młodymi mężczyznami w białych kitlach.

- Kto następny? - zawołał jeden z nich wycierając dłonie w fartuch.

Oczekujący na złożone już zamówienia przesunęli się, dopuszczając Davida do lady.

- Czym mogę służyć? - spytał z uśmiechem chłopak.

David zerknął na wiszącą nad głowami listę.

- Poproszę bułkę z jajkami na bekonie.

- Już się robi! - Ekspedient obrócił się i wpadł na kolegę. - E, Joe, mógłbyś trochę schudnąć! - zaśmiał się i uchylił, gdy Joe wymierzył mu markowany cios w szczękę. - A jajka jakie?

- Smażone.

Wokół podniósł się śmiech. Młody człowiek wyszczerzył wszystkie zęby.

- Są tylko smażone. Po prostu nie umiemy ich gotować. Sadzone czy jajecznica?

David uśmiechnął się zakłopotany.

- Wobec tego proszę sadzone.

Młody człowiek pogwizdując zniknął mu z oczu, załomotał patelniami ukryty za ladą chłodniczą i po chwili znów się pojawił.

- Coś jeszcze?

- Tak, dużą czarną kawę.

Młodzieniec wyjął z podajnika styropianowy kubek, obrócił go w powietrzu jak wyszkolony barman, nalał doń kawy z ekspresu i zatrzasnął pokrywkę. Następnie ostrożnie umieścił kubek w brunatnej papierowej torbie. W tejże chwili zza lodówki wychylił się jeszcze młodszy przyszczaty chłopak trzymając bułkę zawiniętą w biały pergamin.

- Z sadzonym? - spytał.

- Tutaj. - Ekspedient błyskawicznie wyjął mu pakiet z ręki i umieścił w torebce obok kubka z kawą. - Proszę bardzo, trzy osiemdziesiąt.

David dobył portfel z tylnej kieszeni spodni i wręczył mu pięciodolarowy banknot. Ekspedient wbił należność na kasę i podał mu resztę.

- Dolar dwadzieścia dla pana. Smacznego i życzę miłego dnia!

- Dziękuję. - David uśmiechnął się słysząc ten typowy amerykański slogan. - Mam właśnie zamiar się nim napawać.

- Kto następny? - zawołał młody człowiek.

David odszedł od kontuaru, robiąc miejsce dla kolejnego klienta, po chwili jednak zawrócił.

- Czy mógłby mi pan powiedzieć, jak dojść do portu?

- Ma pan na myśli przystań?

- Tak, przystań.

- Po wyjściu stąd pójdzie pan w prawo i na skrzyżowaniu skręci też w prawo, w Pearl Street. Potem prosto przed siebie. Około trzystu pięćdziesięciu jardów dalej zamoczy pan sobie buty, więc radzę się zatrzymać kilkanaście jardów wcześniej.

- Dzięki - zaśmiał się David do młodego komika.

- Nie ma za co. - Ekspedient obrócił się do klienta, który stał za Davidem. - Witam, dziadku, na co mamy dziś apetyt?

David wyszedł z bistra z uśmiechem na twarzy. Ta rozmowa bardzo poprawiła mu humor. Postanowił zjeść śniadanie nad wodą, ruszył więc szybkim krokiem ku Pearl Street.

Ulica ta nie różniła się niczym od innych ulic Leesport - szeroka jezdnia, po obu jej stronach chodniki, za nimi drewniane płotki i schowane w ogrodach domy. Na prawo i lewo odbiegały węższe przecznice, prowadzące do innych podobnych domostw, a jednak zabudowa nie była zbyt gęsta: tu i ówdzie otwierały się zielone połacie, zdolne objąć co najmniej trzy parcele, dzięki czemu osada naturalnie wplatała się w krajobraz.

Ulica przechodziła w szeroki żwirowany trakt prowadzący do przystani. U bramy stała budka; siedzący w niej staruszek obrzucił Davida pobieżnym spojrzeniem i odwrócił wzrok. Ponieważ w pobliżu nie było nikogo innego, David, pełen sympatii do ludzi po miłej pogawędce w bistrze, zdecydował się pierwszy przełamać lody i zagaić rozmowę.

- Dzień dobry - rzekł, stając przy oknie budki i ręką przysłaniając oczy przed słońcem.

- Piękny dzień dzisiaj, prawda?

Dziadek podniósł głowę.

- No - burknął i podkręcił gałkę głośności stojącego pod okienkiem stróżówki telewizora.

Potraktowany tak grubiańsko David poczuł, jak krew napływa mu do twarzy, a równocześnie zakiełkowała w nim szatańska chęćka, by na złość staremu podtrzymać rozmowę.

- Czy to Atlantyk? - spytał niewinnie, patrząc w dal ku kołyszącym się łodziom. - Wydaje się bardzo spokojny.

Staruszek niechętnie wstał z krzesła, pojawiwszy, że natręt nie zostawi go w spokoju, dopóki nie odpowie na jego pytania, i wychylił się z okienka.

- To nie Atlantyk, tylko Wielka Zatoka Południowa - rzekł kwaśno. - Atlantyk jest o, tam - wskazał palcem - za Fire Island.

David spojrział na długi pasek lądu oddalony mniej więcej o cztery mile.

- Można się tam dostać?

- Co pół godziny odchodzi prom z przystani. - Uznawszy, że już dość się nagadał,

stary zasiadł z powrotem przed telewizorem, dając w ten sposób do zrozumienia, iż rozmowa dobiegła końca.

David pokazał mu za plecami język i ruszył dalej drogą biegnącą równoległe do brzegu wzdłuż żywopłotu z dzikiej róży, której gałązki bezpretensjonalnie przewieszały się przez parkan, przywodząc na myśl obrazki w książkach dla dzieci. Dwadzieścia jardów dalej żywopłot tworzył łuk nad żelazną bramą opatrzoną mosiężną tabliczką z napisem: PARK PAMIĘCI W LEESPORT. David pchnął bramę i wszedł do środka.

Doskonale utrzymane trawniki i kwietniki niewielkiego parku biegły kuliście wokół betonowego postumentu, na którym przycupnęła stara okrętowa haubica, celując lufą w zatokę. Obok na wysokim białym maszcie powiewał gwiazdzisty sztandar. David obszedł działo dookoła i dotarł aż na sam skraj ogrodu, gdzie słonawe wody zatoki chlupotały leniwie uderzając w drewniany falochron, chroniący park przed podmyciem. Potem cofnął się, rozejrzał za miejscem, gdzie mógłby usiąść. Wypatrzył starą drewnianą ławkę tuż pod lufą haubicy. Usiadł, wyjął z torebki kawę i kanapkę i jedząc podziwiał widok rozciągający się stąd na przystań. Było tak spokojnie, słyszał tylko płaczliwe krzyki mew i podzwanianie stalowych linek objających się o maszty słoczonych przy pomostach jachtów.

Tu jest pięknie, pomyślał; Jezu, jak tu pięknie.

Wcale mu się nie chciało stamtąd ruszać, lecz zerknąwszy na zegarek zorientował się, że siedzi w parku już półtorej godziny. Powinien wracać; Richard pewnie zachodzi w głowę, gdzie on się podział. Zerwał się, wrzucił opakowania po śniadaniu do kosza obok ławki i mijając stróżówkę pomachał serdecznie do gburowatego staruszka, nim ruszył w górę Pearl Street.

Główna ulica Leesport była teraz pełna samochodów i rowerów, ludzie wchodzili do sklepów. Brnąc pomiędzy nimi David pomyślał, że powinien jakoś okazać Carrie wdzięczność za to, że żywiła go przez ubiegłe kilka dni. Zobaczył kwiaciarnię po przeciwnej stronie ulicy, szybko przeciął jezdnię i wszedł do środka.

Pół minuty później pojawił się znowu z naręczem goździków, usiłując jednocześnie wepchnąć drobne z powrotem do portfela. Kilka monet wypadło mu z ręki i poturlało się po chodniku w różne strony. Klnąc cicho pod nosem schylił się, żeby je pozbiierać.

Ostatnia moneta, ćwierćdolarówka, potoczyła się aż pod ścianę sąsiedniego sklepiku. Wydobywszy ją spod wiszącej skrzynki z kwiatami, David wyprostował się ostrożnie i ujrzał za szybą tablicę upstrzoną mnóstwem białych karteczek. Zerknął na szyld. Była to „Pomocna Dłoń”, mała agencja pośrednictwa pracy, którą widział już w dniu przyjazdu do Leesport.

Pobieżnie przeleciał wzrokiem ogłoszenia. Właśnie miał odejść, gdy coś przykuło jego

uwagę. Zawrócił i pochylił się nieco, by odczytać kartkę w lewym dolnym rogu tablicy.

Praca sezonowa!
POTRZEBNY OGRODNIK
Doświadczenie mile widziane,
lecz nie konieczne.
Pytać wewnątrz.

Nie odrywając oczu od kartki cofnął się o krok, targany sprzecznymi myślami. Po chwili rozsądek wziął górę; potrząsnął głową besztając się w duchu za nierealne mrzonki. Ruszył dalej i prawie natychmiast znów się zatrzymał. Idąca za Davidem młoda kobieta z dziecinnym wózkiem wpadła na niego z impetem.

- Ojej, przepraszam! - Złapała się za głowę.

David odsunął się na skraj chodnika, żeby ją przepuścić.

- To ja przepraszam - rzekł z uśmiechem. - Nie mogłem się zdecydować, w którą iść stronę.

Młoda matka zaśmiała się.

- To samo spotkało mnie przed chwilą w supermarkecie, ale złożyłam to na karb syndromu poporodowego.

- Obawiam się, że nie mógłbym się posłużyć tą samą wymówką.

Przyjrzała mu się z żartobliwym marsem na twarzy.

- Fakt, wygląda pan jednak raczej na mężczyznę. Ale niech pan powie sobie to, co ja dziś powiedziałam: dzień jest taki piękny, trzeba go wykorzystać! - Z uśmiechem pchnęła wózek i udała się w dalszą drogę.

Stał przez chwilę na skraju chodnika, myśląc: Ta dziewczyna ma rację. A co, u diabła!

Zawrócił i wszedł do agencji „Pomocna Dłoń”.

Choć na skąpe umeblowanie biura składały się tylko sofa, mały stolik, dwa biurka i szafka na akta, wystrój robił wrażenie. Łagodny różowy odcień ścian powtarzał się w tle wzorzystej narzuty na sofie i w zygzakowatym deseniu dywanowej wykładziny. Przy jednym z biurek siedziała młoda dziewczyna w wielkich okrągłych okularach balansujących na samym czubku zadartego nosa. Jej palce poruszały się z szybkością błyskawicy po klawiaturze komputera. Drugie zaś biurko zajmował tęgi gładko ogolony mężczyzna około sześćdziesiątki, odziany w luźną, bajecznie kolorową koszulę z podniesionym kołnierzem osłaniającym szyję przed dwoma ciężkimi złotymi łańcuszkami, na których wisały okulary w

rogowej oprawie oraz pióro. Gęste siwe włosy zaczesane miał do tyłu i utrwalone sporą ilością żelu. Kiedy David wszedł do środka, oboje unieśli głowy, a starszy mężczyzna zerwał się zza biurka lekko jak balonik.

- Witam, jestem Clive Hanley - rzekł, wyciągając rękę. - Czym mogę służyć?

David uściskał podaną mu dłoń.

- Ja... to jest... - zająknął się. - Chciałem spytać o jedno z tych ogłoszeń, które wiszą w oknie.

- Naturalnie - Clive uśmiechnął się szeroko. - Którym jest pan zainteresowany?

- Potrzebny ogrodnik... czy coś w tym stylu.

- Potrzebuje pan więc ogrodnika?

- Nie. Zastanawiam się, czy nie podjąć tej pracy.

- Ach tak... - Clive umilkł, zmarszczył brwi i zmierzył go wzrokiem z góry na dół.

- Może powinienem coś wyjaśnić - dodał David widząc, że mężczyzna jest nieco skonfundowany jego wstępem. - Przyjechałem tu ze Szkocji i mieszkam...

- Szkocja! - Clive ożywił się nagle. - Uwielbiam Szkocję! Jest taka... p u s t a !

David czekał uprzejmie, jednakże najwyraźniej było to wszystko, co Clive miał do powiedzenia na temat Szkocji.

- Jak już wspomniałem - podjął - mieszkam tu u znajomych i... no cóż, płacę się po domu wchodząc wszystkim pod nogi, poszedłem więc na spacer i przypadkiem zobaczyłem państwa ogłoszenie. Znam się na ogrodnictwie, a... cóż, mowa tam jest o pracy sezonowej.

- Mhm, no tak. - Clive wolno pokiwał głową. - Zastanówmy się chwilę. Jak długo zamierza pan tu pozostać? Musiałby pan być do dyspozycji co najmniej przez miesiąc, inaczej nie byłoby to w porządku wobec moich klientów.

David zagryzł wargę.

- Tak, oczywiście. Może pan na mnie liczyć - rzekł, podejmując nagle decyzję.

Clive klasnął w dłonie.

- A zatem przejdźmy do szczegółów. Proszę, niech pan siada, ja tylko wezmę formularz z biurka. Ma pan może ochotę na filiżankę kawy?

- Dziękuję. Niedawno piłem kawę.

W czasie gdy Clive z hałasem przeszukiwał szuflady biurka, David zasiadł na sofie i rozglądał się po biurze. Podchodząc do niego z odnalezionym formularzem w dłoni, Clive dostrzegł to i opadłszy na sofę powiódł dookoła zadowolonym spojrzeniem.

- Nietypowo jak na pośrednictwo pracy, prawda? Wcześniej były tu żółte ściany i zielone linoleum na podłodze. Wie pan, mnie to nie przeszkadzało, ale mój przyjaciel orzekł,

że nie można pracować we wnętrzu, które człowieka nie inspiruje. Bardzo nalegał na zmianę wystroju. Uważam zresztą, że dokonał tu cudów, choć czasami czuję się trochę jak w salonie kosmetycznym! - Zaśmiał się głośno, położył przed sobą na stoliku formularz, włożył okulary i wyjął pióro z wiszącej na szyi oprawki. - A zatem do dzieła! Jak się pan nazywa?

- David Corstorphine. C-O-R-S-T-O-R-P-H-I-N-E.

- Gdzie pan mieszka?

David zastanowił się przez chwilę.

- W tej chwili przy North Harlens 52, ale mam zamiar wynająć mieszkanie.

Pióro Clive'a na sekundę zawisło nad formularzem, gdy jego właściciel trawił usłyszane słowa.

- Nie ma sprawy. - Pióro znów zaczęło sunąć po papierze. - Potraktujmy ten adres jako kontaktowy, a kiedy się pan przeprowadzi, da mi pan znać, dobrze?

- Oczywiście. Dzięki.

- Dobrze... Co dalej? Aha, czy jest pan żonaty?

David wciągnął głęboko powietrze.

- Nie - rzekł. - Nie jestem żonaty.

Z ulgą wypuścił powietrze. Powiedział to. Napięcie minęło.

- Co jeszcze?... - mruczał Clive. - A, tak. Jakie ma pan hobby?

- Słucham?

- Hobby. Czy ma pan jakieś hobby?

Widząc zdumienie Davida, pośrednik odłożył pióro i rozparł się na sofie.

- To pytanie mogło się panu wydać zaskakujące - rzekł z uśmiechem - ale mam drobne dziwactwa. Jednym z nich jest chęć, by o przyszłym pracowniku dowiedzieć się możliwie najwięcej. Uważam, że zainteresowania wiele mówią o charakterze człowieka. Wyobraża pan sobie, jak paskudnie bym się czuł zatrudniwszy na przykład seryjnego mordercę? - dodał, wybałuszając przesadnie oczy.

David uśmiechnął się. Dobrze się czuł w towarzystwie tego otwartego człowieka, w przytulnym biurze, pośród różowych sprzętów.

- No cóż... - mruknął - hobby... Hm... gram w tenisa i trochę w golfa. Oprócz tego strzelam.

Clive przestał pisać i podniósł na niego przerażony wzrok, pewien, że oto spełnił się jego najgorszy koszmar.

- Nie, przepraszam - zmiłogował się David. - Żartowałem. Niech pan tego nie zapisuje. Co jeszcze... W wolnych chwilach brzdąkam na gitarze.

- Muzykę klasyczną, folk czy pop?

- To znaczy?

- Przepraszam, teraz ja żartowałem. - Clive parsknął gardłowym śmiechem i zakłopotany wcisnął złożone dłonie między kolana. - Sam też kiedyś grałem, ale nie znam się na tych współczesnych nurtach. Wciąż najmiłszy jest mi Paul Anka, używał takich prostych chwytów... - urwał, czekając na reakcję Davida. Gdy się jej nie doczekał, podjął lekko: - Tak czy owak to już chyba wszystko. - Przejrzał kwestionariusz jeszcze raz, zamknął pióro i skoczył na równe nogi. - Koniec formalności! Teraz zobaczmy, co Dotti znajdzie w swojej mądrej maszynie.

David podniósł się z sofy i w ślad za Clive'em podszedł do dziewczyny przy komputerze.

- A zatem, Dotti - rzekł ceremonialnie Clive. - Jak się zapewne już zorientowałaś, to jest David.

Dziewczyna podniosła wzrok, palcem wskazującym podsunęła do góry spadające okulary i uśmiechnęła się nieśmiało. Clive położył przed nią wypełniony druczek.

- A to jego dane, wprowadzisz je później. Najpierw musimy znaleźć dla tego pana odpowiedni ogród. Zobacz, co tam mamy.

Dotti zakręciła myszą po biurku, klikając jak najęta. Na ekranie pojawiła się lista nazwisk. Clive patrzył dziewczynie przez ramię, gdy przewijała ją w dół.

- Musimy w tym gąszczy znaleźć coś odpowiedniego, prawda?... - mruzczał. - Czekaj! Stój! To chyba to. Newman. - Obrócił się do Davida. - To nowi klienci, jeszcze nikogo im nie narailem. Dziecinko, sprawdź, gdzie oni mieszkają.

- Na Barker Lane - odparła Dotti.

- Znakomicie! Sądząc po adresie, dom powinien się znajdować prawie tuż nad brzegiem morza, za przystanią. Chce pan spróbować?

- Jasne! - zapalił się David.

- Dobra, Dotti! Drukuj adres!

Dotti wprawiła w ruch drukarkę i na tacę wypełzły dane Newmanów. Clive wręczył arkusz Davidowi.

- Proszę. Zadzwoń do pani Newman i powiem jej, że zgłosi się pan w poniedziałek, czy tak?

David skinął głową.

- Zaraz panu pokażę, gdzie jest ta ulica. - Clive zawrócił do biurka. - Mam tu gdzieś plan Leesport...

- Ależ nie, nie trzeba! - powstrzymał go David. - W ciągu najbliższych dwóch dni nie mam specjalnie nic innego do roboty; sam ją znajdę.

- Hm, skoro tak... - Clive ujął Davida pod ramię i ruszył z nim w stronę drzwi. David ledwie zdążył zabrać swój bukiet, kiedy mijali sofę.

- Clive? - odezwała się słodziutko Dotti.

- Tak? - Clive odwrócił się do swej asystentki.

- Nie rozmawiałeś z panem o wynagrodzeniu.

Pośrednik uniósł obie ręce do twarzy, na której odmalowała się najczystsza zgroza.

- Mój Boże, co też pan sobie musiał o mnie pomyśleć! Niesłychane! - Ruszył do swego biurka.

David podniósł rękę, żeby go zatrzymać.

- Proszę posłuchać, eee... - zająknął się. - Może wyda się to państwu dziwne, ale bardziej zależy mi na pracy niż na pieniądzach.

Clive wytrzeszczył na niego oczy, nie bardzo pojmując, co słyszy.

- Widzi pan... - dukał dalej David - występowałem o wizę turystyczną, a więc nie mam pozwolenia na pracę... Nie chciałbym narobić wam jakichś kłopotów.

Clive podrapał się w policzek, wolno kiwając głową.

- Zatem ja mam zgarniać pańskie pieniądze? Nie byłoby to ładnie. - Odwrócił się do asystentki. - Co ty na to, maleńka? Masz jakiś genialny pomysł?

Dziewczyna okręciła się na krześle, zmarszczyła nos, żeby nie zgubić okularów i zasępiła się.

- Hm... - mruknęła z namysłem. - Chyba moglibyśmy zrobić tak: kiedy David znajdzie sobie jakieś lokum, będziemy opłacać jego czynsz i pokrywać wydatki. Pracowałby więc w zamian za utrzymanie.

Clive rozchmurzył się i zerknął na swego klienta.

- Czy to panu odpowiada?

- Najzupelniej. Naprawdę nie mam wielkich wymagań - odparł z ulgą David.

Clive spojrzął na szeroko uśmiechniętą Dotti.

- Nigdy nie przestaniesz mnie zadziwiać, dziecinko - rzekł z dumą. - Masz takie świetne pomysły! - Odprowadził Davida do drzwi. - Proszę do mnie zadzwonić w poniedziałek wieczorem i powiedzieć, jak panu poszło, a jeśli do tego czasu znajdzie pan mieszkanie, poda mi pan nowy adres.

David skinął głową i uścisnął mu dłoń.

- Jeszcze raz panu dziękuję.

Kiedy odszedł, Clive stanął przy oknie patrząc w ślad za nim.

- Jaki miły człowiek - westchnęła rzewnie Dotti.

- Owszem - przyznał powoli Clive. - I bardzo tajemniczy.

- Co masz na myśli? - Dotti wstała zza biurka i podeszła do niego. Oboje patrzyli za oddalającą się postacią.

- Właściwie trudno mi to określić - Clive odwrócił się od okna i zbliżył do biurka. - Facet wygląda raczej na bankiera albo jakiegoś wysokiego urzędnika, ale nie wiem, czy zwróciłaś uwagę na jego ręce. Są zniszczone i pełne odcisków. On naprawdę pracował fizycznie. - Usiadł i westchnął ciężko. - Mam nadzieję, że nie popełniliśmy błędu, Dotti. Myślisz, że on jest w porządku?

- Jak najbardziej - orzekła Dotti również wracając na swoje miejsce. - Tyle że chyba nie jest Szkotem. Sam powiedz, Clive: czy on wygląda na Szkota?

ROZDZIAŁ 15

David wolnym krokiem wrócił na North Harlens, zastanawiając się, czy jego postępek był opatrnościowy czy też po prostu głupi. Parokrotnie zatrzymywał się, gotów niemal zawrócić i wycofać się ze wszystkiego. Powtarzał sobie, że ma obowiązki zarówno wobec dzieci, jak i wobec rodziców. Poza tym o podjętej decyzji, iż zostaje w Ameryce, musi powiedzieć Richardowi, a może to być dość trudne, zwłaszcza że swoim zachowaniem w ciągu ostatnich dni bynajmniej nie kwalifikował się do tytułu Najmilszego Gościa Roku. W końcu doszedł do wniosku, że na razie nie zdradzi swoich planów. W poniedziałek pójdzie do nowej pracy, a jeśli mu nie wyjdzie, po prostu spakuje się i nie mówiąc nikomu o kolejnej porażce wróci do Szkocji.

Tylko że wcale nie miał jeszcze ochoty wracać. Choć to też nie do końca było prawdą. Oczywiście chciał wrócić - bardzo tęsknił za dziećmi; wiedział też, że ojciec nie może go wiecznie zastępować w firmie. A jednak powrót do Inchelvie w tej chwili, powrót do tak jeszcze żywych wspomnień o Rachel, byłby krokiem wstecz. Nawet teraz, idąc słoneczną ulicą w obcym mieście, na samą myśl o tym czuł, jak serce ściska mu się od złych przeczuć. Nie był jeszcze gotowy, a przy tym coś mu mówiło, że właśnie tu, w Leesport - w tym cichym, leniwym słonecznym miasteczku, wśród przyjaźnie nastawionych ludzi, którzy brali go takim, jaki się wydawał - może nareszcie odzyskać spokój ducha.

Nie dotyczyło to rzecz jasna Richarda. Jego przyjaciel wykazał co prawda niezwykle takt i zrozumienie, ale zbyt dużo o nim wiedział, stanowił więc ogniwo łączące go z przeszłością i zagrożenie dla jego anonimowej przyszłości. Jeśli miałby tu zostać, musi znaleźć mieszkanie lub choćby wynająć gdzieś pokój, by mieć własną przestrzeń i czas na leczenie ran.

Wróciwszy do domu bardzo okrężną drogą - rozmyślania te bowiem zajęły mu sporo czasu - zastał na podjeździe zaparkowanego krzywo volkswagena garbusa z opuszczanym dachem. Spłowiała plandeka była zsunięta na tyle, na ile pozwalały zardzewiałe wsporniki, odsłaniając wnętrze zarzucone pędzlami, tubkami farby, ulotkami reklamowymi, pustymi puszkami po coca-coli. Kierownicę i gałkę dźwigni zmiany biegów znaczyły dziwne parzyste

wgłębień, jakby upodobał je sobie na ofiarę pijany grzechotnik.

David obszedł samochód dokoła, podziwiając różnorakie wgniecenia i rysy zdobiące pomarańczową karoserię. Znad basenu dał się słyszeć głośny plusk i cienkie zajadłe szczekanie. David wszedł na taras, oparł się o poręcz i spojrzał z góry na basen. Pływała w nim dziewczyna w fluorescencyjnie żółtym kostiumie, rozgarniając wodę szybkimi pociągnięciami krawla. Długie włosy w blond pasemka okrywały jej prawie całe plecy. Bryzgi wody leciały aż na brzeg basenu, ochlapując rudobrązowego pudelka miniaturkę, który szczekając nieustannie biegał za nią tam i z powrotem. Przy kolejnym nawrocie chyba jednak uświadomił sobie, że porwał się z motyką na słońce - usiadł, ziając i wciąż wodząc za swą panią mętnymi oczkami. David obrócił się, chcąc wejść do domu, ale psiak zauważył jego ruch, podbiegł i zajął pozycję u stóp schodów, czyniąc okrutny rwetes. Dziewczyna przystanęła w płytszym końcu basenu i obiema rękami otarła wodę z twarzy.

- Dodie! Na miłość boską, cicho bądź! - Zamrugła parę razy, by odzyskać ostrość widzenia, zmrużyła oczy, osłoniła je dłonią i spojrzała w górę na taras. - Cześć! Ty pewnie jesteś David? Nareszcie się spotykamy. Jestem Carrie.

- O, witaj! - David pomachał jej ręką, co widząc pies natychmiast rozszczękał się ponownie, uznając ów gest za groźbę wobec swojej pani.

- Dodie!!!

Pudel obrócił się, wskoczył na leżak, poczochnął się po zmierzwionych nie strzyżonych loczkach, po czym ziewnął głośno i demonstracyjnie.

- Przepraszam za tę małą - Carrie zanurzyła się głębiej w wodzie, rozgarniając ją rękami. - Jest trochę nadopiekuńcza. Nie, żeby mogła ci zagrozić. Ma już tylko dwa zęby. - Spojrzała na niego. - No i jak się dziś czujesz?

- O wiele lepiej. - Podniósł w górę bukiet. - Przyniosłem ci kwiaty, żeby podziękować za obiady, a także przeprosić, że nie byłem zbyt towarzyski.

- Kwiaty? Jejku, dziękuję! A co do tamtego... - Carrie machnęła ręką. - Drobiazg. Bardzo ci współczuję z powodu żony. To musiał być dla ciebie szok.

David skinął głową i spuścił wzrok.

- Słuchaj, eee... wstawię je do wody. Richard w domu?

- Nie wiem; chyba tak. Nie wchodziłam do środka. Przyjechałam dosłownie przed chwilą i od razu wskoczyłam do wody. Czekał, przepłynę jeszcze dwie długości i też wyjdę.

- Mną się nie przejmuj.

- Dobra! - Carrie pomachała mu i zanurkowała z pluskiem. Dodie, najwyraźniej pokrzepiona odpoczynkiem na leżaku, szczeknęła cienko i ponownie zajęła miejsce na brzegu

basenu.

David właśnie skończył układać kwiaty w dzbanku z wodą, gdy postyszał na schodach kroki Richarda.

- David? - dobiegło z góry.

- Tak?

- Na Boga, gdzie się podziewałeś? - To mówiąc, Richard wpadł do kuchni. - Już miałem wysłać ekspedycję ratunkową!

- Przepraszam, powinienem był zostawić kartkę. Postanowiłem iść na spacer i zwiedzić trochę Leesport.

- Zuch chłopak! - Richard uśmiechnął się serdecznie. - Jak się czujesz?

- Lepiej. W każdym razie gripę już zwalczyłem.

- Mhm. A... a tak... wewnętrznie?

- Chyba... dobrze.

- Cieszę się.

Zapadła niezręczna cisza. Żaden nie był pewien, jak się ma zachować. Na szczęście w drzwiach ukazała się Carrie, wycierając włosy w wielki niebieski ręcznik.

- Witaj, szwagrze! - oznajmiła wesołym dźwięcznym głosem. - Masz bardzo miłego przyjaciela. Patrz, co mi kupił! - Podeszła do wazonu i zanurzyła twarz w goździkach, wdychając ich słodki zapach. - To naprawdę p r z e m i ł e z twojej strony, Davidzie!

Różowa gazowa sukienka narzucona na mokry kostium przylegała do jej ciała, zdradzając lekką nadwagę. Nie była to klasyczna piękność, ocenił w duchu David - za długi nos, za bardzo wystające przednie zęby, a jednak niezaprzeczalnie atrakcyjna. Gładka, jędrna skóra tuszowała jej wiek - David obliczył w myśli, że jest niewiele młodsza od niego. Uśmiech wprost nie schodził z jej ust, a w oczach błyszczało życie.

Jednakże ciągle towarzystwo wiernej Dodie nie dodawało jej atrakcyjności. Widziany z bliska, pies wyglądał tak, jak gdyby ktoś pod wpływem sporej dawki halucynogenów zakręcił jego sierść za gorącą lokówką. W efekcie Dodie przypominała raczej wypłowiały puszek kosmetyczny niż pudła. Niestety, nie pachniała jak on. Wskoczywszy na sofę, ziała teraz wpatrzona w swoją panią i pomieszczenie z wolna wypełniało się odorem nieświeżego mięsa.

- Na litość boską, Carrie! - Richard zmarszczył nos z odrazą. - Czy ten pies musi siedzieć z nami w domu? Nie mogłaś jej zostawić w samochodzie?

- Nie, nie mogłam - odparowała Carrie nachylając się nad Dodie. - Prawda, skarbie? Kiedy ostatnio pani była tak okrutna, pieseczek zjadł pół kierownicy.

Dodie w odpowiedzi przejechała jej ozorem po twarzy.

- Fuj, Carrie! Co za ohyda. Przecież jej śmierdzi z pyska!

- Można się do tego przyzwyczaić - oznajmiła lekko Carrie, prostując się. - Zaschło mi w gardle od tego pływania. Nie masz przypadkiem piwa?

Richard zerknął na zegar.

- Żartujesz? Jest dopiero dziesiąta!

- W sobotę. I tak się nigdzie nie wybierasz, a ja chcę poznać twojego tajemniczego gościa.

Richard przemyślał to, po czym wzruszył ramionami i spojrzął na Davida.

- Oczywiście ma rację. Jak zwykle. Ta baba zawsze ma rację. - Podniósł się i ruszył w kierunku lodówki. - Trzy piwa rrraz!

Resztę dnia spędzili nad basenem, gawędząc leniwie o tym i owym i od czasu do czasu donosząc z kuchni jedzenie lub kolejne piwa. David dowiedział się, że Carrie jest malarką, lubi włóczyć się po świecie, choć z podróży przywozi - jak sama to ujęła - więcej udanych pejzaży niż propozycji matrymonialnych. A jednak w jej słowach nie było goryczy. Stwierdziła, że obie z Dodie to wolne duchy i dobrze im ze sobą w małym domku obok przystani.

Na kolację Carrie ugotowała spaghetti będące całkowitym przeciwieństwem tego, czym Richard ugościł Davida pierwszego wieczoru. Zjedli na tarasie; zachodzące słońce oblewało stół uroczystą czerwoną poświatą. Carrie udało się rozbawić obu mężczyzn do łez opowieściami z czasów, kiedy była hipiską w San Francisco, a potem krótko wyznawczynią Kriszny.

- Strasznie mnie to łechtało! To znaczy, wydawało mi się, że jestem taaaka mądra! No i pewnego dnia stałam na ulicy usiłując oświecać maluczkich, ale nikogo, dosłownie nikogo nie interesowało, co mam do powiedzenia na temat wyższej świadomości bytu i tym podobnych bzdetów i zaczynał mnie już trafiać szlag. No więc kiedy kolejny gość minął mnie z pogardliwą miną, podbiegłam za nim i zamarkowałam potężnego kopa w d... w zadek. Zważcie, że miałam na nogach martensy. Gość jakby coś przeczuł, obejrzał się i... i trafiłam go dokładnie między nogi! Przysięgam, że niechcący! - zachichotała Carrie. - No chyba że naprawdę siłą ducha poruszyłam wszechświat!

Zapał zmrok. David siedział z uśmiechem na twarzy, pławiąc się w sympatycznej, beztroskiej atmosferze. Mówiła głównie Carrie; w dowcipnych nieco chaotycznych monologach często wspominała swe wędrówki po malarskich plenerach, które dały jej „prawdziwe spełnienie”.

- À propos... - Zerknęła niepewnie na Richarda. - Czy wiesz choć w przybliżeniu, kiedy Angie wraca?

- Rozmawiałem z nią wczoraj przez telefon i mówiła o środzie. Mam nadzieję, że przyjedzie w środę, bo chciałbym już skończyć ten przekłety remont. - Westchnął. - Moja żona w swej niezmiernie mądrości postanowiła wstrzymać prace aż do dnia, gdy wróci.

- Mhm... - bąknęła z roztargnieniem Carrie.

- A czemu pytasz?

- Hm, no bo... wybieram się na dwa miesiące do Florencji, malować, a Angie n a p r a w d ę powiedziała, że chętnie zaopiekuje się Dodie.

Richard jęknął z rozpaczą.

- Faktycznie, wspominała coś o tym. I pomyśleć, że życie wydawało mi się rajem! Kiedy wyjeżdżasz?

- No... samolot mam jutro wieczorem...

- Rany boskie! I co będzie z tym psem od jutra do środy?

Carrie przygryzła wargi, żeby stłumić śmiech.

- Pomyślałam, że może byś...

- O, nie! Tylko nie tutaj!

- Dlaczego?

- Bo zasmrodzi cały dom! Poza tym ja od rana do wieczora będę w pracy i nie będzie jej miał kto wyprowadzić. Będzie sikać po kątach, nie mówiąc już o tym drugim.

- Nieprawda! Zostawiałam ją już samą w domu. Zwija się grzecznie w kłębek i śpi. Przysięgam ci, Richardzie, jest wytrzymała jak wielbłąd... a może to chodziło o kurę...? Wystarczy, jeśli wypuścisz ją do ogrodu rano, a potem wieczorem, kiedy wrócisz z pracy. - Urwała i spojrzała błagalnie na szwagra. - To tylko dwa i pół dnia!

Richard wywrócił oczyma i spojrzał na Davida, jakby wzywał go na świadka swej udręki, po czym jednym haustem osuszył kieliszek wina.

- A niech tam! Dobrze, zgadzam się, ale pod jednym warunkiem.

- Jakim?

- Że dasz mi *carte blanche* na użycie szamponu i pasty do zębów!

- Ciiiiiii! - Carrie przyłożyła palec do ust, zaglądając przez siatkowe drzwi do kuchni, gdzie rozparta na sofie Dodie spała sobie w najlepsze. - Nie mów tego tak głośno, bo usłyszysz! Oczywiście, możesz spróbować, ale to nie pomaga.

- I tak spróbuję. - Richard obrócił się do psa. - P r a w d a , D o d i e ?

Dodie uniosła łebek, zastrzygła uszami, szczeknęła raz i opadła z powrotem na sofę.

- Richard! - wykrzyknęła ze zgrozą Carrie. - Jesteś sadystą! Obiecuj mi, że nie zrobisz z niej pod moją nieobecność kłębka starganych nerwów!

- Już teraz tak wygląda - zaśmiał się Richard, lecz widząc, że szwagierka nabiera powietrza w płuca, szykując gniewną ripostę, pochylił się nad stołem i żartobliwie poklepał ją po ramieniu. - Nie bój się, będę o nią dbał jak o własną.

- Mam nadzieję - Carrie spojrzała na niego podejrzliwie, lecz natychmiast rozplynęła się w przymilnym uśmiechu. - A mógłbyś też od czasu do czasu zerknąć na mój dom?... Oczywiście gdy przypadkiem znajdziesz się w pobliżu!

- Dobrze - rzekł z rezygnacją Richard i dolał wszystkim wina do kieliszków.

- Dzięki! I, Rysiu...

Richard uśmiechnął się szeroko i odparł, naśladowując jej ton:

- Co, złotko?

- Czy istnieje cień szansy - powiedziała wolno, jak gdyby z góry spodziewała się odmowy - że zamówisz mi taksówkę na lotnisko?

- Oczywiście na mój koszt! - Richard parsknął śmiechem. - Na którą godzinę?

- Mniej więcej piętnaście po czwartej.

- W porządku, masz to załatwione. - Richard rozparł się w krześle z miną łaskawego dobroczyńcy. - Szkoda, że nie lecisz w poniedziałek, zapakowałbym cię razem z Davidem.

- Wracasz do Szkocji, Davidzie? - Głos Carrie wpadł w zaległą nagle ciszę. Obaj mężczyźni zerkali na siebie z zakłopotaniem.

W końcu Richard pierwszy odchrząknął i nerwowo potarł policzek.

- Słuchaj, hm... trochę głupio to wyszło, ale, hm... no, w środę dzwoniłem do twojej matki, żeby jej powiedzieć, że czujesz się, no, nie najlepiej. Myślałem, że zechcesz jak najprędzej wracać. Umówiłem się z lady Inchelvie, że zamówię ci bilet i wieczorem odwiozę cię na lotnisko. We wtorek rano ktoś miał cię odebrać w Glas... - głos Richarda stopniowo zamarł, gdy zdał sobie sprawę, że David go nie słucha. Pochylił się, oparł łokcie na kolanach i nerwowo splótł dłonie. - Czuję się dość podle - podjął cicho - bo masz prawo myśleć, że uknułem wszystko za twoimi plecami. Chodzi o to, że... naprawdę się o ciebie bałem i nie byłem pewien, co należałoby zrobić.

David uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- To ja powinienem cię przeprosić. Oboje cackaliście się ze mną jak z dzieckiem. Prawdę mówiąc, nawet wam nie podziękowałem za wszystko, co dla mnie zrobiliście. - Zakołysał się w krześle i wetknął obie dłonie pod uda. - Otóż ja... - Uwolnił jedną rękę i niepewnie potarł kark. - Otóż mam wam do powiedzenia coś, co na pewno was zaskoczy.

Dziś rano wszedłem do biura pośrednictwa pracy tu, w Leesport, i zatrudniłem się jako ogrodnik. Zaczynam w poniedziałek.

Zapadła głucha cisza. Richard i Carrie wpatrywali się w niego z niedowierzaniem.

- A... tego... - wyjąkał w końcu Richard. - To znaczy, że nie wracasz do domu?

David odetchnął głęboko.

- Jeśli mam być zupełnie szczery... - zaczął z oporem - po prostu... wątpię, żebym w tej chwili zniósł powrót do Szkocji. Spacerowałem dziś po Leesport i naprawdę nie wiem, czemu to zawdzięczam, może atmosferze tego miejsca, w każdym razie po raz pierwszy od śmierci Rachel zyskałem pewien dystans do wszystkiego, co zaszło. I uświadomiłem sobie, że jeśli teraz wrócę, to w istocie znajdę się znów w punkcie wyjścia. Wiem, że mam obowiązki, ale wiem też, że w ciągu ostatnich paru dni sięgnąłem dna, a teraz powoli zaczynam się od niego odbijać. Nie chcę tego zmarnować, nie tylko przez wzgląd na siebie, lecz także z uwagi na moje dzieci i rodziców. - Odetchnął głęboko i podjął: - Przypuszczalnie nie zdajesz sobie sprawy, że odkąd Rachel zachorowała, nie byłem w pracy. Wziąłem wolne, żeby ją pielęgnować, a potem... potem, chyba chcąc uciec od rzeczywistości, zacząłem restaurować część naszych ogrodów i robiłem to praktycznie aż do wyjazdu. Przekonałem się, że to lubię. Przyjechałem tu na negocjacje, bo w firmie nie było nikogo innego, kto mógłby się ich podjąć w tym właśnie terminie, a... resztę już znasz. To zupełny przypadek, że dziś zobaczyłem to ogłoszenie i... jak już mówiłem, zaczynam w poniedziałek.

Spojrzał na Richarda i Carrie, którzy utkwili weń wzrok w milczeniu. Zaśmiał się cicho, chcąc rozproszyć ponurą atmosferę.

- Nie zamierzam tu zostać na długo - rzekł lekko - ale chcę zyskać czas, żeby sobie wszystko poukładać. Zresztą nie będę siedział na głowie tobie i Angie. Jak najszybciej wynajmę sobie jakieś lokum.

- Hej! - zawołała nagle Carrie. Richard i David podskoczyli nerwowo. - Hej, hej, hej! - powtórzyła machając rękami, jakby chciała coś powiedzieć, lecz nie potrafiła tego ująć.

- O co chodzi, Carrie? - Richard spojrzał zgorszony na szwagierkę, której radosne okrzyki wydały mu się nieodpowiednie w tak poważnej chwili.

- Ależ to oczywiste! - Carrie zerwała się z krzesła i ruszyła tanecznym krokiem po tarasie. - David może zamieszkać u mnie! Dopilnuje domu, będzie mógł używać mojego samochodu... - Uśmiechnęła się promiennie do obu mężczyzn. - Czy to nie świetny pomysł?

Richard uniósł brwi i przekrzywił głowę.

- Owszem, jest to pewien pomysł. - Zwrócił się do Davida: - Co ty na to?

Podekscytowany David wychylił się z krzesła.

- Jesteś tego pewna?

- Oczywiście, że jestem pewna! - Carrie zatoczyła następne kółko po tarasie. - Oddasz nam wszystkim przysługę, bo Richard nie będzie musiał ciągle sprawdzać, czy chałupka jeszcze stoi, i akumulator w samochodzie nie zdechnie... Jestem genialna! Ach, jaka jestem z siebie dumna!

Wybuchnęli śmiechem. Richard sięgnął po butelkę i dolał wszystkim wina.

- Istotnie masz łeb, Carrie! - rzekł unosząc kieliszek. - Proponuję wznieść toast za nowego mieszkańca Leesport Village!

Stuknęli się kieliszkami i spełnili toast. Potem, jakby ciemna gradowa chmura uniosła się nagle znad tarasu, wszyscy troje rozsiedli się wygodniej i odetchnęli z ulgą.

- Zatem David jest już urządzony - rzekł po chwili Richard - a nam z Angie zostanie na marną pociechę to okropne zwierzę!

- Richard! - Carrie wymierzyła mu sójkę w bok. - Powiedziałeś, że będziesz dla niej dobry! Poza tym to nie jest o k r o p n e z w i e r z ę , tylko r o z k o s z n e z w i e r z ą t k o !!

- Dobrze już, dobrze, niech ci będzie zwierzątko - jęknął Richard - ale czuję się pokrzywdzony!

- Słuchajcie - odezwał się David z namysłem. - Jeśli chcecie, ja mogę się zaopiekować psem. Właściwie im dłużej o tym myślę, tym więcej widzę w tym sensu. Będzie jej na pewno milej we własnym domu, a poza tym mam pracować w ogrodzie i mogę ją brać ze sobą. To dla mnie żaden problem. Poza tym bardzo lubię psy. Od dzieciństwa się z nimi chowałem.

Spojrzał na tamtych dwoje, spodziewając się, że jego propozycja zostanie od razu przyjęta, lecz ujrzał dwie kompletnie oszupiałe twarze i przestraszył się, że popełnił jakąś gafę.

- Mówisz poważnie? - spytała cicho Carrie.

- Naturalnie. Bardzo chętnie się nią zajmę, to jest, do końca mojego tu pobytu. Właściwie to ona odda mi przysługę dotrzymując mi towarzystwa!

Carrie wydała pisk łudzaco podobny do szczęknięć Dodie, zerwała się z krzesła i otoczyła ramionami głowę Davida.

- Jesteś złoty! Wspaniały! - powtarzała, całując go w czubek głowy. - Szczęsny to dzień, w którym zjawileś się w Leesport!

Nagle ożywienie na tarasie do reszty wybiło Dodie ze snu. Szczeknęła cienko, zeskoczyła z sofy, przecisnęła się przez niedomknięte siatkowe drzwi i wbiła oba zęby w nogawkę dzinsów Davida, warcząc groźnie.

- Nie przesadzaj, Carrie! - nadał się pominięty w tych peanach Richard. - W końcu chłopak tylko zgodził się zaopiekować twoim psem! - Tu zerknął z odrazą na zmierzwiony puszek, tarmoszący wściekle swoją zdobycz. - Chociaż właściwie masz rację. Ten człowiek to bohater!

To mówiąc, także zerwał się z krzesła i zamknął w uścisku Davida razem z Carrie jak gracz w rugby. Rozległ się trzask, nogi krzesła rozjechały się pod dodatkowym obciążeniem na cztery strony świata, a trójka przyjaciół wśród pisków i okrzyków runęła na taras. Dodie naturalnie wykorzystała tę wyborną okazję, by mimo głośnych protestów swych chwilowo unieruchomionych ofiar gruntownie oblizać każdemu twarz.

ROZDZIAŁ 16

Nazajutrz w domu Eggarów wszyscy cierpieli na ból głowy, jako że uroczystość przeciągnęła się do wczesnych godzin rannych. W konsekwencji przeprowadzkę Davida do domu Carrie przełożono na popołudnie, albowiem w Richardzie jasne światło dnia budziło silny wstręt.

David wszakże postanowił leczyć się świeżym powietrzem i przy okazji sprawdzić, gdzie będzie pracował. Poszedł spacerkiem do centrum, wypił w bistrze kubek zbawczej czarnej kawy, po czym wypytawszy o drogę do Barker Lane, ruszył w kierunku przeciwnym niż poprzedniego dnia.

Barker Lane była ostatnią przecznicą w lewo przed Leesport Country Club, którego tereny leżały już poza granicą osady. David przeszedł nią aż do samego końca. Parcela, której szukał, leżała na zakręcie, dalej droga znów zbaczała w lewo pod kątem prostym i biegła wzdłuż zatoki aż do odległej o pół mili przystani. Dom nie był widoczny z ulicy; łukowaty podjazd nikał wśród smukłych brzoź i wysokich krzewów laurowych. David przystanął tam na chwilę i obracając na palcu pusty styropianowy kubek zastanawiał się, czyby nie podejść bliżej. Zza zakrętu wyjechał jednak samochód; zrezygnował więc z dokładniejszych oględzin, nie chcąc sprawiać wrażenia, że czai się tu w złych zamiarach. Zdąży to zrobić jutro. Wrócił na North Harlens tą samą drogą, którą przyszedł.

O czwartej po południu Richard wreszcie się pozbierał. Spakowali skromny dobytek Davida do samochodu i podjechali czterysta jardów do domu Carrie. Stał on tuż przy parku, w którym poprzedniego dnia David jadł śniadanie. Carrie i Dodie powitały ich przy furtce; Carrie szarpała się z węzem ogrodowym, podlewając kwiaty po raz ostatni przed wyjazdem.

Otworzyła im i pobiegła zakręcić kran. David wyjął walizkę z bagażnika i ruszył w ślad za Richardem przez wejście w wysokim schludnie przystrzyżonym cisowym żywopłocie.

Gdyby ktoś chciał przyjrzeć się posesji, mógł to zrobić tylko wypłynąwszy łodzią na zatokę. Wschodnią granicę osłaniała ściana wysokich rozkołysanych traw pampasowych, które szeptały i szeleściły w ciepłej przedwieczornej bryzie. Wał dzikiej róży biegnący wokół parku oplatał pochylony pod jego ciężarem plot po stronie zachodniej. Na rabatach kwitły

różaneczniki i azalie, pachnące mocno po niedawnym zroszeniu; niski sprężysty trawnik słał się aż do falochronu z ciężkich bali wbitych w dno zatoki. Niosąc walizkę, David podszedł do miejsca, gdzie grunt opadał stromo ku wodzie. Drewniane stopnie, zapadnięte głęboko w piaszczystą glebę, schodziły na mały pomost, przy którym objając się o podwieszane opony kołysała się stara wiosłowa łódź, pomalowana ciemnoniebieską farbą łuszczącą się już na dziobie.

Richard i Carrie znikli mu z oczu, ruszył więc w stronę domu. Była to właściwie drewniana szopka, upchnięta w kącie ogrodu pod żywopłotem z dzikich róż - maleńka, lecz zadbana: okna, okiennice i rynny lśniły świeżą białą farbą, deski pachniały mocno drewnochronem. Wejście było z boku, od frontu natomiast znajdowała się weranda, na którą prowadziły przeszklone drzwi. Stały na niej dwa stare drewniane leżaki, obrócone tak, by można z nich było patrzeć na zatokę.

Z wnętrza domku dobiegł przeraźliwy krzyk i w drzwiach ukazała się Carrie, taszcząc wielką walizę i składane sztalugi. Wciąż bardzo osłabiony Richard deptał jej po piętach, bez większego przekonania próbując wyjąć szwagierce z rąk bagaże.

- O rany, Davidzie! - wykrzyknęła Carrie, stawiając walizę wprost na nodze Richarda.
- Właśnie przed chwilą uświadomiłam sobie, która jest godzina! Taksówka pewnie już czeka na North Harlens, więc niestety będziesz sobie musiał radzić sam. - Pogrzebała w kieszeni drelichowych spodni i wyciągnęła z niej pęk kluczy. - Tu masz wszystkie: do solniczki do samochodu, a ten mały jest do silnika łodzi. Aha, silnik leży na ganku. W domu masz faks i telefon, nie krępuj się z nich korzystać.

David wziął klucze i zerknął na nią niepewnie.

- Dobrze, tylko gdzie jest ta solniczka i co mam z nią zrobić?

Carrie wyszczerzyła w uśmiechu wszystkie zęby i wskazała na dom.

- Będziesz w niej mieszkać! - oświeciła go. - To właśnie jest solniczka, fakt, niezbyt wielka. Nie pytaj mnie, kto i dlaczego tak ją nazwał. Nie mam pojęcia. - Wzruszyła ramionami. - Jakoś nigdy mi nie wpadło do głowy, żeby o to zapytać. - Obróciła się i pobięła do furtki, przy której stał Richard, rozcierając obolałą stopę. - O mój Boże! - wykrzyknęła i pobięła z powrotem. - Przecież ja się z tobą nie pożegnałam! - Zarzuciła mu ramiona na szyję i ucałowała serdecznie w oba policzki. - Dbaj o siebie, Davidzie, i wracaj do życia. Zaczynaj wszystko od nowa.

- Mam taką nadzieję, Carrie. Dziękuję ci. - David objął ją w pól i mocno przytulił. Odsunęła się od niego zarumieniona.

- Fiu, fiu! Jeśli będziesz mnie tak ścisnął, to zmienię zdanie i zostanę tutaj! -

powiedziała głosem Mae West.

- No chodźże już, Carrie! - zawołał Richard.

- Idę! - Obróciła się i wyfrunęła za furtkę.

Richard ostrożnie przeniósł ciężar ciała na sponiewieraną nogę i bąknął:

- Słuchaj... zadzwoń do matki. Strasznie mi głupio, że wtrąciłem swoje trzy grosze.

- Nic nie szkodzi. Zadzwonię do niej, przyrzekam, i wszystko jej wyjaśnię.

Richard uśmiechnął się.

- Wszystko gra?

- Nie mogłoby być lepiej.

- Jeśli będziesz czegoś potrzebował albo chciał popływać w basenie, po prostu zadzwoń albo najlepiej od razu przyjdź.

- Tak zrobię. I... Richard?

- Tak?

- Jestem ci bardzo wdzięczny. Za wszystko.

Przyjaciel machnął lekceważąco ręką.

- Ostatecznie od czego się ma kumpli!

Zza płotu dobiegł kolejny okrzyk i Carrie galopem wpadła do ogrodu.

- Co znowu? - westchnął z irytacją Richard.

- Nie pożegnałam się z Dodie! Pewnie zamknęliście ją w domu!

- Chodźże już, bo kierowcy znudzi się czekanie!

Carrie otworzyła drzwi, porwała psa w ramiona i wycisnęła pocałunek na czubku kędzierzawego łebka.

- Pa, kochanie. Bądź grzeczna i opiekuj się Davidem. - Wepchnęła mu psa w objęcia i pognęła za Richardem, który czekał w samochodzie.

David wyszedł na ulicę i machał im, aż samochód z piskiem opon zniknął za zakrętem. Dodie zaskomlała, próbując mu się wyrwać i pobiec za panią.

- Chodź, piesku - rzekł, ujmując ją mocniej. - Pokażesz mi wasz dom.

Dodie spojrzała na niego zdziwiona i zaczęła energicznie dyszeć. Pospieszył do furtki, by jak najszybciej wypuścić ją do ogrodu.

To, że Carrie traktowała swój samochód jak śmietnik, nie znajdowało odzwierciedlenia w wystroju domu. David stał w progu, podziwiając pieczołowicie urządzone wnętrza, nagrzane od słońca, które wpadało tu przez okna z zasłonkami w biało-czerwone pasy, podwiazanymi czerwoną wstążką. Na środku pokoju stał okrągły politurowany mahoniowy stół, na nim stosik czasopism, a obok dwa fotele w kolorowych pokrowcach,

zwrócone w stronę żelaznego piecyka, którego poczerniały komin wychodził wprost przez dach.

Na lewo, obok drzwi na werandę, ciągnął się rząd sięgających sufitu półek zrobionych z podpartych ceglami desek. Wypełniały je książki o sztuce i wymięte powieściadła, na samej górze zaś znalazły miejsce stara stereofoniczna wieża i spora kolekcja czarnych płyt. Po przeciwnej stronie drzwi stał otwarty sekretarzyk. Jego przegródki wypełniały rozmaite papierzyska, niemal cały zaś obity skórą blat zajmowały telefon i faks.

Po prawej stronie urządzona została część kuchenna. Miejsca do przygotowywania potraw było tu niewiele, David dostrzegł jednak elektryczną kuchenkę, lodówkę i zlew. Powyżej, wsparte ryzykownie na wbitych w ścianę dziewięciocalowych gwoździach, znajdowały się cztery drewniane półki, przysłonięte pasiastą tkaniną identyczną jak zasłonki w oknach.

David postawił walizkę na podłodze i podszedł do ciężkiej adamaszkowej kotary wiszącej w przeciwległym końcu pokoju. Zobaczył za nią podwójne, choć niezbyt szerokie łóżko, a w nim świeżutką białą pościel, widoczną kusząco spod odgiętej patchworkowej kołdry. W pokoju stały poza tym sosnowa komoda, nocny stolik z lampą oraz przewrócony na bok wielki podróżny kufer, który służył za szafę. Schowane za łóżkiem drzwi prowadziły do maluteńkiej łazienki mieszczącej natrysk, umywalkę i WC - tak stłoczone, jakby miały służyć niezbyt wyrośniętemu akrobacie.

David odsunął kotarę i przyczepił ją do ściany pętlą z sizalowej liny, a następnie, przysiadłszy na brzegu łóżka, jeszcze raz obrzucił wzrokiem wewnątrz. Dopiero teraz spostrzegł, że całe ściany obwieszane są obrazami olejnymi. Przedstawiały one nadmorskie pejzaże, twarze i postacie ludzkie, ulice, egzotyczne zamki - wszystkie namalowane w tym samym charakterystycznym, pełnym rozmachu i światła stylu. Przyjrzał się najbliższemu; w prawym dolnym rogu widniały inicjały CL. A zatem były to prace Carrie.

David uśmiechnął się do siebie, padł na wznak na łóżko, spojrzął na sufit i pokręcił głową z radosnym niedowierzaniem. To jest za piękne, myślał, żeby mogło być prawdziwe. A że psu trochę śmierdzi z pyska...

Uśmiech spełził mu z twarzy. Jezu Chryste, pies! Gdzie ona się podziała? Zerwał się i rzucił do drzwi, po drodze potykając się o walizkę. Otworzył je i właśnie miał wydać przeraźliwy gwizd, gdy Dodie przemknęła między jego nogami, wskoczyła od razu na jeden z foteli i spojrzała na niego, przekrzywiając łebek.

- Dobra psina! - David westchnął z ulgą. Zamknął drzwi i podniósł przewróconą walizkę. - Dobra. Pora się rozpakować.

Nim słońce zaszło, był już zadomowiony: ubrania i przybory porozkładał na miejsca; pustą walizkę wepchnął pod łóżko, żeby nie było jej widać. Podejrzewając, że Dodie może być głodna, wydobyl z lodówki napoczętą puszkę psiej karmy, a przy okazji dwa jajka dla siebie. Karmę nałożył do znalezionej pod fotelem plastikowej miski i podsunął ją Dodie. Sądząc po tempie, w jakim pochłoneła swoją porcję, brak zębów bynajmniej nie przeszkadzał jej w odżywianiu. Kiedy jajka zaczęły wrzeć na kuchence, zdjął z półki kolekcję płyt Carrie i trzymając je w zgięciu łokcia, zaczął przeglądać.

Był to zbiór konesera: najlepsze wydania Jefferson Airplane, Bitlesów, Boba Dylana, Joni Mitchell, Velvet Underground, Rolling Stones... Wybrał *Nashville Skyline* Dylana i położył ją na stole, resztę zaś odniósł z powrotem na półkę. Jedna z nich wysunęła się z okładki i ze złowrogim traskiem spadła na podłogę. David zaklął pod nosem. Schylił się, podniósł płytę i wysunął ją z papierowej koszulki. Na całe szczęście nie była uszkodzona. Wetknął ją w okładkę i już miał odłożyć na stos innych, gdy jego uwagę przykuł napis na okładce. *Motown Greatest Hits*. Zamarł w bezruchu, potem z wolna, jakby kusił los, obrócił płytę. Byli tam, a jakże, Smokey Robinson i The Miracles. Po trzech sekundach ocknął się i zdecydowanym ruchem wepchnął płytę na samo dno, pod inne. „Zacznij wszystko od nowa” - powiedziała mu Carrie.

Kolację zjadł słuchając Boba Dylana z leżaka na werandzie. Na drugim przysiadła Dodie, odprowadzając tęsknym wzrokiem każdy kęs, jaki wkładał do ust. Rzucił jej ścięty czubek drugiego jajka. Nie złapała go, lecz odnalazłszy miejsce, gdzie spadł, pożarła z apetytem. Później David umył naczynia, poukładał je na suszarce i wytarłszy ręce w spodnie podszedł do sekretarzyka. Przesunął telefaks w głąb, zapalił małą lampkę biurkową, wyjął ze swej aktówki arkusz papieru i pióro, po czym usiadł, by napisać długi treściwy list do rodziców.

ROZDZIAŁ 17

- Won, panowie! - ryknęła Alicja, potknąwszy się o psa i omal nie przewróciwszy z tacą, na której niosła do stołu dwie filiżanki kawy. Tego ranka nie była w najlepszym humorze. Zdawała sobie z tego sprawę, a to, że wbrew swym zwyczajom dała temu wyraz, pogłębiło jeszcze jej przygnębienie. Z pewnością przyczynił się do tego telefon, który zadzwonił w środku nocy i umilkł prawie natychmiast, nim zdążyła odebrać, lecz za to obudził George'a. W efekcie prawie już nie zmrużyła oka - George wiercił się w łóżku, ścigał z niej kołdrę, próbował znaleźć pozycję, w której ból krzyży nie będzie aż tak dotkliwy. Alicja czuła, że jego stan się pogarsza; co więcej, skarżył się - a właściwie nie skarżył, zaledwie wspominał - na inne bóle, niezwiązane ze starą raną. Martwiła się o niego, o jego zdrowie, o stres, któremu był stale poddany w związku ze zmianami w firmie. Cały weekend spędził w biurze z Duncanem Caple'em, a teraz, w poniedziałek rano, nie miał czasu nawet na porządne śniadanie.

Postawiła ocalone filiżanki na stole i podeszła do drzwi.

- Georgie! - zawołała, aż w holu odezwało się echo.

- Tak? - dobiegł z salonu przytłumiony głos George'a.

- Co tam robisz? Śniadanie stygnie.

- Już idę!

Wróciła do stołu i ciężko opadła na krzesło. Wzięła chrupką grzanekę ze stojaka, lecz gdy chciała ją posmarować masłem, rozpadła się na drobne okruchy. Alicja zmeła w ustach przekleństwo, włożyła okulary, wzięła gazetę, strzepnęła nią ze złością i zaczęła przeglądać nagłówki. Chwilę potem do jadalni wszedł George.

- Co robiłeś tak długo? - Zerknęła nań znad okularów wstając i podchodząc do kredensu. - Twoje kiełbaski przypominają ofiarę całopalną.

- Wybacz, staruszko - odparł. Wręczyła mu talerz, on w zamian podał jej długi arkusz faksu pokryty ręcznym pismem. - To przyszło wczoraj w nocy. Od Davida. Tak właśnie myślałem, kiedy telefon nagle zamilkł.

- No tak! - bąknęła Alicja, wracając do stołu. - Píše, kiedy wraca?

- Hm... nie. Zresztą sama przeczytaj.

George usiadł do śniadania, a żeby uniknąć wzroku żony, gdy będzie czytała list, sięgnął po gazetę i ją ostentacyjnie ją przeglądał, dziobiąc przypalone kiełbaski. Alicja spojrzała nań podejrzliwie. Znała te gierki; już się domyślała, że nowiny raczej nie pójdą jej w smak. Poprawiła okulary i zaczęła czytać. Nim dobiegła do końca, George odłożył sztucce. Alicja złożyła arkusz, rzuciła go na stół, zdjęła okulary i bez słowa oparła się w krzesło.

- No i? - rzucił mąż, czekając na jej reakcję.

- No cóż... - Alicja z wolna pokręciła głową. - Właściwie nie wiem, co powiedzieć. Z jednej strony... owszem, rozumiem, dlaczego chce się od tego wszystkiego oderwać, i jeśliby wrócił uleczony... no, to byłoby wspaniale. Z drugiej strony jednak pisze o miesiącu, ba, co najmniej miesiącu! Po pierwsze, nie zdąży przed feriami, choć obiecał to dzieciom; poza tym wszystkie te zmiany w Glendurnich... - Urwała. - Chcę powiedzieć, że cieszy mnie to, iż najwyraźniej dochodzi do siebie, ale... cóż, skoro istotnie czuje się już lepiej, powinien wrócić do domu i trochę cię odciążać. - Alicja podniosła arkusik i zaczęła go czytać od nowa. - Naprawdę wydaje mi się, że jego stan się poprawił, a tobie?

George zaczął smarować grzanekę, lecz nie powiodło mu się lepiej niż żonie: naciśnięta nożem kromka wystrzeliła z talerza i spadła na podłogę. Schylił się z wysiłkiem, chcąc ją podnieść.

- Wydaje mi się, że nie powinien jeszcze wracać - wysapał.

- A to dlaczego? - zdziwiła się Alicja. - Georgie, zostaw tę grzanekę. Effie będzie tu dzisiaj sprzątać.

- Psy i tak były szybsze - rzekł prostując się.

- Posłuchaj, kochanie, trudno mi się z tobą zgodzić. Przede wszystkim dlatego, że nie pozwolę ci dalej się tak przepracowywać. Owszem, parę dni zastępstwa, w porządku, ale teraz tyle się przecież dzieje i naprawdę nie idzie ci to na zdrowie. David musi wrócić i pomóc ci w firmie.

George łyknął kawy i spojrzał na żonę.

- Nie, Alicjo. Chcę, żeby tam został. Sam miałem mu zaproponować jeszcze przed wyjazdem, żeby spędził trochę czasu u Richardsonów w Massachusetts albo u Penworthów w Wirginii; dlatego zresztą kupiłem mu otwarty bilet. I dlatego cieszę się, że znalazł sobie tę pracę. - George umilkł na chwilę. - Szczerze uważam, moja droga, że jeśli wróci już teraz, poprawa okaże się krótkotrwała. Zgoda, teraz wydaje się spokojniejszy, lecz zaledwie trzy dni temu wszystko wskazywało na coś wręcz przeciwnego. Jego rany dopiero zaczęły się goić; chcę dołożyć wszelkich starań, żeby wrócił taki, jakim go kiedyś znaliśmy, gotów objąć

kierownicze stanowisko. Ujmując rzecz bez ogródek, to od niego zależy przyszłość Glendurnich.

Widząc błysk niepokoju na twarzy żony, pocieszająco ujął ją za rękę.

- Nie martw się o mnie, kochana, naprawdę nic mi nie będzie. Zresztą dziś przyjeżdża z Londynu nowy szef marketingu, a choć nie jest to może idealne rozwiązanie, przynajmniej odciąży nieco Duncana i mnie. Mówiąc zupełnie szczerze, trochę mi wstyd tych ostrych słów, które ostatnio wypowiadałem pod adresem Duncana. On też się martwi o moje zdrowie, mówił mi wczoraj, i równie stanowczo jak ty obstaje przy tym, abym gdy ten nowy już się trochę otrząska, wziął sobie wolne i nie biegał codziennie do biura. Co się zaś tyczy dzieci, po prostu przywieziemy je tu na ferie. To oczywiście tymczasowe rozwiązania, moja droga. - George dopił kawę, wstał i położył jej dłonie na ramionach. - David podał nam numer faksu. Może powinniśmy mu napisać, że w pełni go popieramy, że powinien zrealizować swoje plany. Zgadzasz się ze mną?

Alicja nakryła jego dłoń swoją, podniosła głowę i uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- No dobrze, zgoda. Ale pod warunkiem że zaczniesz się oszczędzać. Nie chcę, byś się rozchorował.

- Nic mi nie będzie - mruknął, całując ją w czubek głowy. Idąc do drzwi, zaśmiał się pod nosem: - Nie zamierzam jeszcze kopnąć w kalendarz! - Obejrzał się i puścił do niej oko, ciągnąc za sobą obolałą nogę.

ROZDZIAŁ 18

Nazajutrz rano David wstał wcześniej, dosyć brutalnie wyrwany ze snu przez Dodie, która uznała, że szósta rano to odpowiednia pora na dokładne umycie jęzorem twarzy nowego opiekuna. Przerażony zepchnął ją z łóżka, a potem leżał jeszcze przez chwilę, nie od razu uświadamiając sobie, gdzie jest. Za oknem ptaki wyśpiewywały głośno swój poranny hymn.

Z drugiego końca pokoju dobiegło ciche skomlenie. David obrócił głowę na poduszce. Dodie stała wyczekująco pod drzwiami. Odrzucił kołdrę, wstał i poszedł jej otworzyć. Z dwoma krótkimi szczęknięciami popędziła do ogrodu.

Tymczasem zrobił sobie kubek kawy rozpuszczalnej i ruszył do łazienki, gdy nagle zatrzymał się i strzelił palcami. Zerknął na zegarek. W Szkocji powinno być teraz pięć po jedenastej. Usiadł przy biurku, podniósł słuchawkę telefonu i wybrał numer.

Miał właśnie w ustach łyk gorącej kawy, kiedy w słuchawce rozległ się kobiecy głos:

- Dzień dobry, tu szkoła Hatchinga.

- Dzień dobry pani. - Odstawił kubek na podłogę obok krzesła. - Czy mógłbym rozmawiać z Sophie Corstorphine?

- A kto mówi?

- Jej ojciec. Dzwonię z Ameryki.

- Witam pana. Jeśli się pośpieszę, powinnam ją złapać, nim wróci do klasy. Proszę chwilę poczekać, zaraz sprawdzę.

- Dziękuję.

Ciche skrobanie w drzwi obwieściło powrót Dodie. David przełączył rozmowę na głośnik i podszedł do drzwi, żeby wpuścić psa. Niemal jednocześnie z głośnika dobiegł głos Sophie:

- Halo? Tato? Halo!

David pędem dopadł słuchawki i wyłączył głośnik.

- Sophie?

- Cześć, tato!

- Nie spodziewałem się, że tak szybko cię znajdą.

- Właśnie przechodziłam obok gabinetu, kiedy zawołała mnie panna Jenkins. Mówiła, że jeszcze jesteś w Ameryce.

- To prawda.

- Która u was godzina?

David spojrzął na zegarek.

- Dokładnie siedem minut po szóstej.

- Jakie to śmieszne! - zachichotała Sophie. - My już mieliśmy francuski, biologię i matkę, a ty dopiero wstałeś z łóżka!

- Trochę to niesprawiedliwe, prawda? Zaczekaj chwileczkę... - Obrócił się, żeby cisnąć czymś w psa, który uznał jego łóżko za najlepsze miejsce do porannych ablucji. - Co u was słychać? Babcia była w sobotę?

- Tak, i nawet kibicowała mi podczas debła, bo mecz krykieta Charliego został odwołany. W Clevely Hall mają epidemię ospy wietrznej.

- I co, wygrałyście?

- Nie. Pan Hunter mówi, że to dlatego iż Rosie Braithewaite i ja za dużo paplamy na korcie.

- A tak jest?

- Czasami trudno się powstrzymać, tato! Jeśli człowiekowi nagle przyjdzie na myśl coś bardzo ważnego, to musi to powiedzieć od razu, bo potem mógłby zapomnieć!

- I co takiego ważnego miałyście sobie do powiedzenia w sobotę?

- Właściwie... - Sophie znów zachichotała - zastanawialiśmy się, jaki szampon polecić jednej z naszych przeciwniczek, bo miała strasznie tłuste włosy!

David wybuchnął śmiechem.

- O tak, to było naprawdę b a r d z o ważne. Warto było odpuścić sobie mecz?

- Ależ myśmy go wcale nie odpuścili, tato! Po prostu zaczęliśmy się śłaniać ze śmiechu i nie mogliśmy trafić w piłkę... Słuchaj, muszę kończyć, już jest dawno po dzwonku.

- Zaczekaj chwileczkę. Chciałem cię o coś zapytać.

- Tak?

- Co byś... Tylko odpowiedz szczerze: co byś powiedziała, gdybym trochę przedłużył pobyt?

- W Ameryce?

- Tak.

- Dlaczego?

- Powiedzmy, że zrobiłbym sobie krótki urlop.

Sophie milczała przez chwilę.

- Jak krótki? - spytała.

- Nie wiem. Może miesiąc.

- To nie jest k r ó t k i urlop, tato! - wytknęła mu.

- Tak, wiem. Po prostu... załatwiłem sobie pracę, ale nie mogę jej podjąć na okres krótszy niż miesiąc. Jedna uwaga, skarbie: to nie jest najważniejsze. Jeśli uważasz, że powinienem wrócić, wracam natychmiast.

Sophie westchnęła.

- Nie, prawdę mówiąc uważam to za dobry pomysł. Sama powiedziałam tydzień temu babci, że powinieneś tam zostać trochę dłużej. Zresztą ja i tak przez całe ferie będę kuła do egzaminów.

- Naprawdę powiedziałaś tak babci?

- Owszem. Moim zdaniem potrzebna ci jest zmiana dekoracji.

Słyszac tak rozsądne i pełne zrozumienia słowa córki, David poczuł, że wzruszenie dławii go w gardle.

- Ale będziesz pisał? - upewniła się Sophie.

- Oczywiście że będę pisał!

- I wrócisz przed wakacjami?

- Obiecuję.

- Wobec tego nie mam żadnych konkretnych obiekcji. Chcesz, żebyśmy przekazała to Charliemu i Harriet?

- Nie wiem. Może lepiej będzie, jeśli sam z nimi porozmawiam?

- Nie, ty napisz do nich list, a ja im powiem. Charlie co prawda i tak wpuści to jednym uchem, a drugim wypuści, a Harriet jest teraz w dość dobrym nastroju, więc tylko jej o tym delikatnie napomknę. Tato, ja już naprawdę muszę iść. Napisz prędko, a niezależnie od tego, kiedy wrócisz, nie zapomnij o moich szesnastych urodzinach, dobrze? Pa! Całuję cię bardzo mocno!

David odłożył słuchawkę i przez chwilę siedział wpatrzony w ścianę, rozdarty pomiędzy ulgą, że Sophie tak łatwo zaakceptowała jego plan, a poczuciem winy, że zachował się impulsywnie jak dzieciak. No cóż, wszystko może się jeszcze okazać kompletnym niewypałem - w takim razie po prostu wróci wcześniej do domu. Zdjął ręcznik z wezgłowia łóżka i poszedł do łazienki. Graj na wycucie, pomyślał, tak będzie najlepiej.

Właściwie nie musiał brać samochodu - dom Newmanów nie był zbyt oddalony, a dzięki Dodie miał mnóstwo czasu. Chciał jednak zahaczyć o bistro, by zjeść śniadanie i kupić

sobie coś na lunch, a po pracy zamierzał zaopatrzyć się w supermarkecie i wstąpić do „Pomocnej Dłoni”, żeby podać im nowy adres.

Dwadzieścia po ósmej wyszedł z domu. Dzień zapowiadał się tak samo gorący i jasny jak poprzedni. Niebo gorzało błękitem, a słońce wisiało jak ognista kula nad falującym łanem trawy pampasowej. David miał ochotę opuścić dach garbusa, ale się rozmyślił, nie był bowiem pewny, jak Dodie zachowa się w samochodzie. Otworzył drzwi. Psina wskoczyła do środka, precyzyjnie się między fotelami na tylne siedzenie, usiadła i zaczęła dyszeć z podniecenia. David wsiał za nią i przekręcił kluczyk w stacyjce. Okazało się jednak, że lekceważący stosunek Carrie do volkswagena rozciągał się na wszelkie jego podzespoły. Dopiero po licznych bezowocnych próbach silnik zaskoczył i samochód wolno potoczył się ulicą.

Za kwadrans dziewiąta zatrzymał się naprzeciw domu Newmanów, dopił kawę i zjadł sławetną kanapkę z jajkiem sadzonym. Uśmiechnął się sardonicznie na myśl, jakimi spojrzeniami powitali go robotnicy stojący jak zwykle przed bistrem, gdy zajechał tam małym śmiesznym samochodziem z pudłem skaczącym po tylnym siedzeniu. Spakował puste opakowania do papierowej torebki, przekręcił kluczyk i ruszył podjazdem w głąb posesji.

Była to bez wątpienia największa i najzamożniejsza rezydencja, jaką dotąd widział w Leesport. Stujardowy żwirowany podjazd, biegnący przez dobrze utrzymany trawnik aż na tyły domu, ocieniony był listowiem posadzonych na przemian przysadzistych dębów i smukłych brzoź. Na jego końcu wznosił się podłużny budynek w stylu kolonialnym. Cedrowe belki parteru i piętra miały różne odcienie, co dawało ciekawy efekt kolorystyczny. Do zachodniej ściany domu przylegała spora szklarnia, której dach stanowił zarazem otoczony białą balustradą balkon, kąpiący się wieczorem w promieniach zachodzącego słońca. Po wschodniej stronie kryta przewiązka łączyła główny budynek z dawną stajnią. Obsypany różowym kwieciem powojnik piął się po ganku przy drzwiach wejściowych i zaglądał do okien na piętrze. Wzdłuż ścian biegły rabaty, na których pyszniły się kwitnące azalie i karłowate rododendrony.

David jechał powoli, starając się nie zwracać na siebie uwagi. Zatrzymał się na wprost drzwi obok metalicznie błękitnego bmw 318. Po chwili jednak, doszedłszy do wniosku, że zwykły ogrodnik powinien zachowywać się nieco skromniej, cofnął i zaparkował pod drzewami, obok długiej drewnianej obrośniętej milinem szopy. Wyłączył silnik. Dodie, gotowa stawić czoło nowej przygodzie, wskoczyła na przednie siedzenie i spojrzała na niego wyczekująco.

- Na razie tu zostań - rzekł podkreślając szybko tak, by została tylko wąska szpara dla

dopływu powietrza. - Za chwilę po ciebie przyjdę.

Przyjrzał się domowi, próbując zdecydować, którądy doń wejść. Obok zabezpieczonych poręczą schodków wiodących do dawnej stajni stały dwa kubły na śmieci. Uznavszy, iż powinna się tam znajdować kuchnia, David wszedł na schodki i zastukał. Z samochodu dobiegło go stłumione szczeknięcie.

- Cicho! Siad! - rozkazał głośnym szeptem.

Na Dodie wpłynęło to raczej zachęcająco, dotychczasową pantomimę bowiem zastąpił gwóździ program: uniosła łeb i zaczęła przeciągle, żałośnie wyć. David zerknął na drzwi, lecz słysząc, że nikogo za nimi nie ma, zawrócił do samochodu, gestami nakazując psu spokój.

- Dodie! - zawołał, tym razem znacznie głośniej. - Zamknij się, na litość boską!

Dodie spojrzała na niego z urazą, najwidoczniej nieprzyzwyczajona, by zwracano się do niej w tak szorstkich słowach, po czym zjechała łapami po szybie i znikła mu z oczu. David obrócił się w stronę domu i przekonał, że nie jest sam.

- Och, przepraszam! - rzekł, biegnąc z powrotem. U szczytu schodów stała ciemnoskóra szeroko uśmiechnięta kobieta.

- Widzę, że ma pan kłopot? - zaśmiała się.

- Poniekąd - przyznał. - Mam w samochodzie czworonożną jędzę, której się wydaje, że może mną rządzić.

- A... - Kobieta wolno pokiwała głową. - Skoro to „ona”, to pewnie ma rację!

Jego rozmówczyni była tęgą pogodną osobą, odzianą w śnieżnobiałe płócienne spodnie, olbrzymią trykotową koszulkę i niebieskie tenisówki Reeboka. W pierwszej chwili David uznał, że musi być po pięćdziesiątce, bo jej mocno skręcone włosy zaczynały już siwieć na skroniach, lecz przyjrząwszy się z bliska gładkiej jak polerowana ochra twarzy, zdał sobie sprawę, że nie potrafi określić jej wieku.

- Nazywam się David Corstorphine i...

- A tak, oczywiście. - Kobieta ożywiła się na dźwięk jego nazwiska. - Nowy ogrodnik z „Pomocnej Dłoni”, prawda?

- Zgadza się. Zapewne mam przyjemność z panią Newman?

Odrzuciła głowę w tył i zaśmiała się serdecznie.

- Skądże znowu! Jestem Jasmine, prowadzę jej dom. - Wyciągnęła rękę.

- Witam, Jasmine, miło mi cię poznać - rzekł ściskając jej dłoń.

- Mnie także, Davidzie. Wejdz, proszę. - Usunęła się na bok, a gdy wszedł, zamknęła za nim drzwi.

Nie mylił się. Była to kuchnia; długie przestronne pomieszczenie wyposażone w robione na miarę meble i ultranowoczesne urządzenia - stalową kuchenkę z okapem, zamrażarkę, lodówkę i piekarnik umieszczony na poziomie oczu. Odrobinę staroświeckiego nastroju dodawały temu wnętrzu odsłonięte belki dachowe, służące zarazem za podpory wiszących pod nimi reflektorków, oraz posadzka wyłożona szachownicą czarno-białych kafli. Na środku stał długi stół w otoczeniu drewnianych krzeseł. Jego blat zasłany był otwartymi czasopismami, zastawiony talerzami i pudełkami płatków kukurydzianych; środek zaś zdobił duży kwitnący kaktus, tworzący nieco surrealistyczną dekorację wraz z wetkniętym w doniczkę rowerowym pedałem.

Drugi koniec pomieszczenia, zajęty przez telewizor, dwie sofy i dwa wielkie dmuchane fotele, skąpany był w jasnym świetle dziennym, wpadającym przez trzy pary oszklonych drzwi, wypełniające całą węższą ścianę. Wszystkie stały otworem dla ciepłego wiatru, który niósł ze sobą zapach ogrodu.

- A więc - Jasmine nacisnęła włącznik ekspresu do kawy - skąd pochodzisz? Bardzo mi się podoba twój akcent.

- Ze Szkocji.

- Tak? - Oparła się o zlew i skrzyżowała ręce na piersi. - Mówisz zupełnie inaczej niż wszyscy Szkoci, jakich dotąd słyszałam.

- Bo to zależy, z której części Szkocji się pochodzi - uśmiechnął się David.

- Możliwe - Jasmine odepchnęła się od zlewu i wyjęła dwa kubki z wiszącej szafki. - Napijesz się kawy?

- Chętnie, ale nie chcę sprawiać ci kłopotu - odparł wpychając ręce do kieszeni dżinsów.

- Nie sprawiasz - ucięła, zdejmując dzbanek z płytki. - Czarna czy biała?

- Czarną, proszę.

Ledwie zdążyła nalać kawy do garnuszków, w korytarzu rozległ się pospieszny stukot wysokich obcasów i okrzyk:

- Jasmine!

- Tu jestem! - odkrzyknęła Murzynka wychodząc na korytarz.

David wziął swój garnuszek i ostrożnie popijając gorącą kawę podszedł do przeszklonych drzwi, żeby zerknąć na ogród od frontu.

- Na podjeździe stoi jakiś stary samochód, a w nim pies, który za chwilę się wścieknie. Nie wiesz czasem, do kogo należą? - rozległ się za drzwiami obcy głos, a chwilę później padła odpowiedź Jasmine:

- Owszem. Przyjechał David, nasz nowy ogrodnik z „Pomocnej Dłoni”.

David zaklął pod nosem i pospiesznie wrócił do tylnych drzwi, chcąc przez szybę zobaczyć, co się dzieje w samochodzie.

- O Boże, zapomniałam, że on dziś zaczyna. Słuchaj, już jestem spóźniona, a muszę jeszcze podwieźć Benjiego do szkoły. Bądź tak dobra i wytłumacz mu, co ma robić.

- On jest tu, w kuchni.

Nastąpiła krótka chwila ciszy, potem znów zastukały obcasy. David prędko odsunął się od drzwi i stanął prosto, wyjmując rękę z kieszeni. Na myśl o spotkaniu z nową chlebodawczynią poczuł, nie wiedzieć czemu, nerwowy ucisk w żołądku. Jasmine wróciła do kuchni w towarzystwie wysokiej i bardzo atrakcyjnej, mniej więcej trzydziestopięcioletniej kobiety. Miała ona na sobie klasyczny beżowy lniany kostium i kremową jedwabną bluzkę z rozpiętym kołnierzem, z którego wychylała się smukła szyja. Ciemnoblonde włosy spięte były na karku dużą złotą klamrą. Zero makijażu, z wyjątkiem bladej szminki na wargach, a cała biżuteria ograniczała się do małych wysadzanych brylancikami kolczyków. W rękę miała aktówkę, na ramieniu dużą torebkę z krokodylej skóry.

- To jest David - przedstawiła go z uśmiechem Jasmine. - Pochodzi ze Szkocji.

- Ze Szkocji, tak? - mruknęła kobieta, przystanąwszy obok Jasmine i najwyraźniej nie spiesząc się, by do niego podejść. - Czy Szkoci wiedzą o ogrodnictwie więcej od Australijczyków?

- Słucham? - David zmarszczył brwi, nie za bardzo pojmując sens pytania.

- Nasz poprzedni ogrodnik był Australijczykiem. Ściślej mówiąc, nie był ogrodnikiem, lecz rzeźnikiem. Ładnie kosił trawniki, ale wszystkie kwietniki traktował jak kępy chwastów. A czy pan potrafi je rozróżnić?

- Tak myślę. To znaczy, jestem tego pewien. - David skarcił się w duchu za nieprzekonującą odpowiedź.

- To dobrze. - Kobieta popatrzyła na Jasmine, jakby szukała w jej oczach potwierdzenia, że może już zakończyć rozmowę. Potem spojrzała mu prosto w twarz. - No cóż, Jasmine pokaże panu, gdzie co jest, i może pan się brać do pracy. - Kątem oka zerknęła na kuchenny zegar. - O Boże, Jasmine, patrz, która godzina! Gdzie u licha jest Benji? Czy mogłabyś go znaleźć i powiedzieć mu, że czekam w samochodzie?

- Jasne. - Gospościa skinęła głową i znikła za drzwiami.

- Aha, i Jasmine! - zawołała za nią kobieta.

- Tak?

- Dopilnuj, proszę, żeby Germaine odebrała go dziś punktualnie. Benji mówił mi, że w

zeszłą środę czekał na nią pod szkołą pół godziny.

- Przypomnę jej.

Kobieta ruszyła ku tylnym drzwiom kuchni. Stojący wciąż obok nich David prędko je przed nią otworzył. Podniosła wzrok, podziękowała mu przelotnym uśmiechem i zbiegła ze schodków. Idąc do samochodu, ponagliła gestem chłopca, który zatrzasnąwszy za sobą drzwi frontowe szedł za nią, powłócząc nogami. Wrzucił plecak na tylne siedzenie bmw i zajął miejsce pasażera. Kobieta włączyła silnik, ciasnym łukiem zakręciła do tyłu, a potem dodała gazu i syjąc żwirem spod kół znikła za zakrętem podjazdu.

David wrócił do kuchni. W tej samej chwili weszła też Jasmine.

- Co za urwanie głowy! I tak jest w każdy poniedziałek! - westchnęła, biorąc z kredensu kubek z wystygłą kawą. Upiła łyk, skrzywiła się i wylała resztę do zlewu. - Zaczekaj chwilkę, uprzątnę ten bałagan i wtedy ci pokażę, gdzie co jest.

- Jak rozumiem, to była pani Newman?

Jasmine podniosła znad stołu zakłopotaną twarz.

- No tak, psiakość, zapomniałam was sobie przedstawić! - Wzięła stos talerzy i zniosła je do zmywarki. - Tak, to była pani Newman, a właściwie Jennifer; nie lubi, gdy się do niej zwraca po nazwisku. Zwykle pędzi przed siebie jak trąba powietrzna; trudno za nią nadążyć, a tym bardziej dopełnić wszystkich formalności.

- Pracuje?

- I to ciężko. Jest menedżerem w firmie reklamowej na Manhattanie, toteż przeważnie od poniedziałku do środy, czasem czwartku, mieszka w Nowym Jorku. Mają z mężem apartament w West Village.

- Aha. - David zamilkł, niepewny, czy ma na tym poprzestać i czy dalsze pytania nie zostaną poczytane za wścibstwo. Wydało mu się wszakże, iż większym grzechem jest w tym kraju mrukowatość. - A czym się zajmuje pan Newman?

- O, jest jakąś grubą rybą w branży komputerowej. W ogóle rzadko tu bywa. Przyjechał w sobotę wieczór, a już dziś wczesnie rano wrócił do miasta. - Jasmine wepchnęła pudełko z płatkami do szafki i oparła się o blat z zatroskanym westchnieniem. - Chyba obojgu ciężko się tak żyje. Prawie się nie widują, nawet nie w każdy weekend. - Nalała płynu do dozownika zmywarki, zatrzasnęła drzwiczki i włączyła program. - Ale najbardziej cierpi na tym Benji.

- Ich syn? Co z nim?

- A co ma być? Mieszka tu ze mną. - Jasmine wzięła ścierkę, przepłukała ją pod kranem i zaczęła wycierać blat stołu. - Teraz to tylko trzy, cztery dni w tygodniu, zależnie od

tego, kiedy Jennifer wraca, ale zimną siedzę tu prawie non stop. - Jeszcze raz przetarła stół i powiesiła ścierkę obok piecyka. - Dobra, gotowe. Chodź, pokażę ci ogród. - Ruszyła w stronę tarasu.

- Jasmine, czy moglibyśmy wyjść tylnymi drzwiami? Wypuściłbym psa z samochodu.

Zerknęła na niego podejrzliwie.

- Czy to jest jakieś wielkie obronne bydło? Przyznam szczerze, że trochę boję się psów.

- Nie, skądże! - David parsknął śmiechem - To pudel.

- Pudel? - Zaskoczona uniosła brwi. - Po jakie licho przywiozłeś tu ze sobą pudła?

- Nie jest mój. Ja się tylko nim opiekuję.

Jasmine wzruszyła ramionami i podeszła do tylnych drzwi.

- W porządku. Pudel chyba mnie nie zje?

Uszczęśliwiona ich widokiem Dodie zaczęła skakać jak piłka na przednim siedzeniu. Kiedy David wypuścił ją z samochodu, przywitała Jasmine z tak euforyczną radością, że wybaczył jej kolejne dziury wygryzione w kierownicy. Potem jęła się popisywać, chwytając kawał drewna dwukrotnie większy od niej samej i ganiając z nim w kółko.

Jasmine otworzyła z klucza drzwi szopy, obok której stał volkswagen, i pokazała mu, co może w niej znaleźć. Potem razem przeszli do ogrodu. Był on o wiele większy, niż David sobie wyobrażał. Obsadzony drzewami pas trawnika zbiegał aż nad brzeg zatoki. Po prawej, osłonięty od wiatru wysokim zimozielonym żywopłotem, lśnił błękitną taflą basen, a jeszcze dalej malowana na biało siatka ogradzała kort tenisowy. Geometryczny układ ogrodu łągodziły przemyślnie rozmieszczone tu i ówdzie kępy kolorowych kwiatów, choć widoczne luki świadczyły o ciężkiej ręce poprzedniego ogrodnika.

- Ładny, nie? - odezwała się Jasmine, patrząc wraz z nim w dal.

- Piękny. Taki... spokojny.

- Właśnie - mruknęła. - Czasami za spokojny.

Wzięła głęboki oddech, jakby chciała powiedzieć coś ważnego, ale dodała tylko:

- No dobra, nie przeszkadzam. Jeśli będziesz czegokolwiek potrzebował, jestem w domu. - Ruszyła z powrotem do kuchni, lecz po chwili przystanąła, obejrzała się i zapytała: - Wziąłeś sobie coś na lunch?

- Tak, wstąpiłem po drodze do bistra.

- Przyjdź zjeść ze mną w kuchni, a na przyszłość daj sobie spokój z bistro. Ja będę cię karmić.

- Hm, to bardzo miłe z twojej strony, ale... jesteś pewna, że...

Przerwał mu wybuch śmiechu.

- Oczywiście że jestem pewna. Czy ja wyglądam, jakbym nie była pewna tego, co mówię?

David odprowadził ją wzrokiem aż do domu, potem spojrzął na Dodie, która siedziała u jego stóp z zadartym łebkiem i gałązką sterczącą z pyska jak wymięte cygaro.

- Dobra, Dodie - rzekł. - Bierzmy się do roboty.

Wyprowadził z szopy mechaniczną kosiarkę, usadowił się wygodnie na siodełku i rozpoczął od trawników przy podjeździe. W chwili gdy wprawił noże w ruch, ogarnęła go dziwna ulga. Było to jak powrót do domu po długiej tułaczce i natychmiast zerwane nici myśli, które snuł w ogrodzie w Inchelvie, na nowo połączyły go z Rachel. Uśmiechnął się, wdychając słodki zapach świeżo skoszonej trawy. Tego mu brakowało od wyjazdu ze Szkocji; czuł się podniesiony na duchu, a ciepło słońca oblewało mu ciało, dodając sił.

Nim uporał się ze wszystkimi trawnikami, minęło południe. Przez pierwsze pół godziny Dodie biegła za nim, lecz później, zmęczona upałem i nadmiarem ruchu, wycofała się do cienia i obserwowała go leżąc pod niebieską markizą rozciągniętą nad drzwiami kuchni. O pierwszej David udał się na lunch; siedli w trójkę na wyłożonym płytami tarasiku przed dawną stajnią. Z początku rozmawiali o Dodie; David opowiadał, jak „odziedziczył” psa wraz z domkiem i samochodem. Pomiął swój wcześniejszy pobyt u Richarda, a choć Jasmine jego relacja wydała się powierzchowna i niepełna, postanowiła go nie wypytywać. Polubiła go - jego uprzejme, a zarazem bezpretensjonalne maniery, jego szczere zainteresowanie nią samą i tym, co go otaczało. Swobodnie opowiadała o pracy u Newmanów, którą rozpoczęła siedem lat temu jako pomoc domowa, a później, gdy Jennifer zdecydowała się wrócić do pracy, Jasmine w całości przejęła prowadzenie domu. Przerwa na lunch trwała więc znacznie dłużej, niż powinna - o wpół do trzeciej zerwali się oboje z okrzykami zgrozy i David co prędzej wsiadł z powrotem na kosiarkę, Jasmine zaś pobiegła sprzątać na piętrze.

Poświęciwszy bite dwie godziny na doprowadzenie do ładu pokoju Benjiego, Jasmine zносиła właśnie na dół odkurzacz, kiedy posłyszała odgłos odjeżdżającego sprzed domu samochodu, a zaraz potem trzaśnięcie kuchennych drzwi. Wstawiła odkurzacz do schowka pod schodami i udała się do kuchni, gdzie zastała Benjiego z kartonem kakao przy otwartej lodówce.

- Cześć, skarbie - powitała go wesoło. - Jak było w szkole?

- Nudy - odburknął.

- Germaine przyjechała na czas?

- Spóźniła się pięć minut. - Benji gwałtownym ruchem wlał kakao do szklanki, rozlewając je przy okazji na blat.

Jasmine wzięła myjkę spod zlewu i podeszła, by je zetrzeć, gdy Benji podniósł szklankę i plasnął otwartą dłonią w kałużę płynu, rozchlapując go na podłogę.

- Benji! - oburzyła się Jasmine. - Dlaczego to zrobiłeś?

- Dlaczego to zrobiłeś? - przedrzeźnił ją ciekawym głosem, zabrał kakao, postawił je przed telewizorem, rzucił się na dmuchany fotel i pilotem włączył odbiornik.

Jasmine startła podłogę, wypłukała ścierkę pod kranem, a potem oparła się o zlew i założywszy ręce na piersi przyglądała mu się w milczeniu. Bardzo się zmienił w ciągu ubiegłego roku. Dawniej był takim radosnym chłopcem, gotowym do psot i zawsze pełnym najróżniejszych pomysłów, lecz odkąd poszedł do gimnazjum, stał się humorzasty i niekomunikatywny, co byłoby zrozumiałe w okresie dojrzewania, ale nie u jedenastolatka.

Oczywiście przez to, że powtarzał klasę w podstawówce, teraz znajdował się w kłopotliwym położeniu. Wszyscy jego koledzy chodzili do wyższej klasy i - jak się jej kiedyś zwierzył - nikt nie chciał z nim przestawać. Poza tym w ostatnim półroczu bardzo przytył. Był wysoki na swój wiek, nadal więc wyglądał w miarę proporcjonalnie, niemniej wyróżniał się tuszą spośród innych dzieci, co automatycznie dyskwalifikowało go przy naborze do szkolnych drużyn sportowych.

Prawdę mówiąc, Jasmine nie do końca rozumiała, skąd wzięły się te zbędne funty. W domu wcale nie jadł aż tak dużo. Jedynym wyjaśnieniem byłby sklep ze słodyczami w Leesport - musiał chodzić tam w czasie przerwy na lunch, wbrew wyraźnemu zakazowi matki. Nie chciała go o to pytać.

Podeszła do chłopca i poklepała go w ramię.

- Może chcesz popływać?

- Tu mi dobrze - mruknął, nie odrywając oczu od telewizora.

- Jak wolisz. - Pokonana wzruszyła ramionami.

Już miała odejść, kiedy przez głosy dobywające się z odbiornika przedarł się piskliwy jazgot Dodie w ogrodzie. Benji też go posłyszał; wychylił się z fotela, zaciekawiony dziwnym hałasem.

- Co to jest?

- Dodie - wyjaśniła Jasmine. - Pudel. Należy do Davida, naszego nowego ogrodnika, który przyjechał tu ze Szkocji.

Benji zwałkł się z fotela i poczłapał do drzwi tarasowych. Jasmine stanęła za nim i oboje patrzyli, jak Dodie tańczy wokół Davida ze starą piłką tenisową w pysku, starając się

nakłonić go do zabawy. David podniósł się znad rabaty, którą właśnie pełł, i kopnął piłkę na trawnik. Dodie popędziła za nią omal nie gubiąc nóg, po czym mozolnie przytargała ją z powrotem, parokrotnie upuszczając po drodze. Złożyła piłkę u nóg Davida i szczerką ponagłaję. Ten początkowo nie zareagował, lecz po pewnym czasie cała zabawa powtórzyła się od nowa.

Benji oparł się o futrynę, kołysząc się w tył i w przód, i wepchnął ręce w kieszenie workowatych spodenek.

- Jest w spodniach, nie w spódnicy - mruknął z urazą.

- Dlaczego miałby chodzić w spódnicy? - zdumiała się Jasmine.

- Bo Szkoci n o s z ą spódnice - oznajmił Benji wyniośle.

- I tu się pan myli, panie przemądrzalski, bo to się nie nazywa spódnica, tylko kilt.

- Jak zwał, tak zwał, wyglądają w tym jak baby. Psa też ma dziewczyńskiego.

Jasmine potrząsnęła głową z rezygnacją. Odwróciła się od okna.

- Co chcesz na kolację?

- Wszystko jedno.

- Dobrze, dostaniesz muchy w cieście.

- Jasmine?

- Mhm?

- Myślisz, że ten, jak mu tam, zna się na rowerach?

Jasmine zerknęła na chłopca przez ramię. Nadal stał oparty o futrynę i patrzył w głąb ogrodu.

- David? Nie wiem. A dlaczego pytasz?

- Może umiałby przykręcić ten urwany pedał?

- Pewnie tak. - Uśmiechnęła się pod nosem. - O ile go grzecznie poprosisz i spróbujesz zapamiętać, jak ma na imię.

Benji nie ruszył się z miejsca. Uznawszy, że odrobina zachęty nie zawadzi, Jasmine podeszła do niego, wyciągając po drodze pedał z doniczki.

- Coś ci powiem. Idź, przebierz się w kąpielówki, wyprowadź rower i poproś go o pomoc. W czasie gdy będzie przykręcał ten pedał, możesz sobie popływać. Tylko się pospiesz, bo David niedługo pójdzie do domu.

- Dobra! - Z nagłym ożywieniem Benji złapał pedał i popędził przewiązką do domu. Jasmine uniosła wysoko brwi, po czym wróciła do przygotowywania kolacji.

O nadejściu Benjiego uprzedziła Davida Dodie, z ujadaniem biegnąc mu na spotkanie. David podniósł się znad grządki, by zobaczyć, o co ten gwałt, i rozpoznał chłopca, którego

widział rano w bmw. Ubrany tylko w kąpielówki pchał rower, usiłując nim osłonić gołe nogi przed pazurami Dodie.

- Dodie! - zawołał ostro David. - Do nogi!

Tym razem psina usłuchała komendy. Wróciła, choć bardziej po to, by przypilnować swojej piłki. Chłopiec, nie spuszczać z niej wzroku, ostrożnie ruszył dalej, najwyraźniej zmierzając w stronę Davida. Ten podniósł się i otarł ręce o spodnie.

- Cześć! - rzekł, wyciągając dłoń na powitanie. - Jestem David.

Usiłując pospiesznie przełożyć pedały z prawej ręki do lewej, chłopiec wypuścił rower. David schylił się szybko, złapał za kierownicę i delikatnie położył rower na trawie.

- Kogo mam zaszczyt poznać?

- Mam na imię Benji.

- Witaj, Benji. - David ponownie wyciągnął dłoń; chłopiec postąpił krok do przodu i ją uściskał. - Co się stało z tym rowerem?

- Pedały odpadły.

- I chcesz go przykręcić, tak?

Benji zerknął na niego i zakłopotany potarł czoło.

- Ja... to znaczy Jasmine i ja... pomyśleliśmy, żeby pana poprosić... bo widzi pan, ja już próbowałem go przymocować, ale on ciągle spada.

- A, skoro oboje o to prosicie, zaraz się do niego wezmę. Muszę tylko przynieść z szopy odpowiedni klucz.

Benji spojrzał na niego, mrużąc oczy w słońcu.

- Klucz? Do czego?

- Zaraz zobaczysz. - David wyjął mu pedały z dłoni. - Mógłbyś w tym czasie zająć Dodie rzucając jej piłkę?

Już podczas porannej wizyty w szopie zauważył, że jego poprzednik może i nie miał ręki do roślin, lecz z pewnością dobrze wiedział, jak urządzić warsztat. Każda rzecz miała swoje miejsce; narzędzia ogrodnicze wisały rządkiem na kołkach wbitych w poprzeczną belkę, klucze i śrubokręty tkwiły w metalowych uchwytach nad stołem. Każdy został obrysowany, żeby łatwiej go było odłożyć na to samo miejsce lub już na pierwszy rzut oka stwierdzić, czego brakuje. David wybrał na chybił trafił płaską trzynastkę, która jak się okazało, idealnie pasowała do nakrętki. Zabrał pedały i wyszedł z szopy, zasuważąc skobel. Od strony basenu dobiegł go głośny plusk. Zaśmiał się do siebie. Typowy chłopak, już się znudził zabawą z psem.

Dodie nie było przy rowerze. Po chwili nad basenem rozległo się jej szczeknięcie.

David zostawił rower i podszedł do furtki w żywopłocie. Coś mu tu nie grało. Basen był pusty, a przecież przed chwilą słyszał plusk. Dodie znów zaszczekała. Ruszył w jej kierunku. Siedziała, wpatrując się ze zdumieniem w gładką taflę wody. Benjiego nigdzie nie było widać. David odwrócił się, by odejść, lecz przy tym jego spojrzenie podążyło za wzrokiem Dodie i nagły zastrzyk adrenaliny zaszumił mu w żyłach. Na dnie basenu w jego głębszym końcu dostrzegł niewielką ciemną postać, skróconą jeszcze przez załamanie światła w wodzie.

- Jezu, nie! - wrzasnął i zerwał się do biegu, zdzierając po drodze buty. - Boże, nie! Jasmine!!!

Skoczył do wody, zanurkował aż na dno, chwytając nieruchomego chłopca pod ramiona. Pociągnął mocno, przygotowany na opór bezwładnego ciała, kiedy nagle chłopiec ożył, odbił się nogami i obaj wynurzyli się jednocześnie. Benji odgarnął z oczu mokre włosy, wypłuł trochę wody i zerknął na Davida.

- Co się stało? - zapytał niewinnie.

David podpłynął do krawędzi basenu i uchwycił się jej, z trudem łapiąc oddech. Spojrzał na chłopca, który najspokojniej unosił się na wodzie.

- Co ty u licha ciężkiego wyprawiasz?! - ryknął.

Benji wdrapał się na drabinkę przy płytszym brzegu.

Pogłaskał witając go radośnie Dodie i obejrzał się ze zdumioną miną.

- Ale o co chodzi?

David wydzwignął się z wody. Siadł na brzegu basenu, z niedowierzaniem potrząsając głową.

- Co ty najlepszego wyprawiasz, smarkaczu! Myślałem, żeś się utopił! W życiu nie przyszłoby mi do głowy, że ktoś może stroić takie idiotyczne żarty!

- Wstrzymywałem oddech. - Dolna warga chłopca zadrżała. - Potrafię to robić przez półtorej minuty.

- To rób to przy kim innym, ale ostrzegam cię, nie próbuj więcej przy mnie takich wygłupów, rozumiesz?

W tejże chwili z domu nadbiegła Jasmine.

- Co tu się dzieje? - spytała bez tchu, wodząc wzrokiem od Davida do chłopca i z powrotem.

Benji minął ją jak chmura gradowa.

- On jest głupi - warknął ze złością i obejrzał się na Davida, powstrzymując łzy cisnące się do oczu. - To tylko... zwykły głupi robot!

Pobiegł do domu. W ciszy, która zapadła, słysząc było jego urywane łkania.

Gospodyni wzniosła ramiona ku niebu.

- Czy mogłabym cię prosić o wyjaśnienie?

David z irytacją wierzgnął trzymaną w wodzie nogą.

- Poszedłem do szopy po narzędzia, żeby przykręcić mu ten pedał, a kiedy wróciłem, znalazłem go na dnie basenu. Myślałem, że się utopił!

Jasmine przymknęła oczy i uderzyła się ręką w czoło.

- Przepraszam cię - powiedziała cicho, okrążając basen i podchodząc do niego. - Benji wymyślił sobie taką idiotyczną zabawę. Nie wolno mu tego robić, i matka, i ja wielokrotnie mu zakazywałyśmy. Och, dobry Boże, tak mi przykro!

David potrząsnął głową i machnął ręką.

- Darłem się jak opętany, no bo... prawdę mówiąc śmiertelnie się przeraziłem.

- Nic dziwnego. - Jasmine przykucnęła obok i położyła mu rękę na ramieniu. Trwali tak może minutę, po czym David przekręcił się i wstał.

- Wybacz, Jasmine. Nie powinienem był tak na niego wrzeszczeć.

- Wybaczyc? Jestem ci wdzięczna, że zareagowałeś właśnie w taki sposób. A gdyby naprawdę trzeba go ratować?

- Może powinienem go przeprosić?

- O nie. Sama z nim później porozmawiam. A na razie niech trochę pocierpi, to będzie dla niego dobra nauczka. - Ujęła go za ramię. - Chodź, dam ci jakieś suche ubranie. I jedź do domu, należy ci się odpoczynek. - Mrugnęła łobuzersko. - Dość już dziś zrobiłeś jak na jeden dzień.

Kiedy wszedł do biura „Pomocnej Dłoni”, Clive i Dotti popatrzyli na niego z niedowierzaniem, a potem jak na komendę wybuchnęli śmiechem. David, sam niezbyt ubawiony, wznosił oczy ku niebu. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że wygląda komicznie odziany w jaskrawą hawajską koszulę i spodnie sięgające trzy cale powyżej kostek - a na domiar wszystkiego z pudełkiem na smyczy.

- Hm - mruknął kwaśno. - Osobliwe: w sklepie też dziwnie na mnie patrzyli.

Clive wy dostał się zza biurka, teatralnym gestem ocierając łzy z oczu i zmierzył go wzrokiem z góry na dół.

- To niesamowite! A więc pani Newman kazała panu nosić li... liberię! - wydusił i znów zgiął się w pół ze śmiechu.

David też się uśmiechnął i tylko pokręcił głową.

- Ojej... nie, bo umrę! - kwiczał Clive. - Przepraszam, Davidzie, nie chciałem być okrutny... No nie! No nie! - Poklepał się w pierś, żeby złapać oddech, potem pochylił opierając ręce na kolanach i przyjrzał się Dodie. - A cóż to za miłe stworzonko?

- Wabi się Dodie - rzekł ostrożnie David, nie chcąc się narażać na dalsze dowcipne komentarze. - Niestety, musiałem ją zabrać ze sobą, inaczej zżarłaby mi całą tapicerkę w samochodzie.

- O, jaka jestem śliczna! - zagruchał Clive, gdy Dodie podskoczyła, by polizać go po rękach, i zaraz wyprostował się pospiesznie, albowiem owionął go jej soczysty oddech. - Oj-joj! - westchnął. - Pieseczek ma mały problem, co?

- Łagodnie powiedziane. - David ściągnął smycz.

- Pigułki czosnkowe - szepnął mu na ucho Clive.

- Słucham?

- Pigułki czosnkowe. Doskonałe na psią niestrawność!

- O, dzięki za radę. Kupię jej cały wagon.

- Proszę opowiadać, jak panu dzisiaj poszło! I czyje, na Boga, nosi pan ubranie?

David zrelacjonował swe przeżycia, wprawiając oboje słuchaczy w szczerą zgrozę, kiedy w końcu wyjaśnił, jak doszło do tego, iż zmuszony jest paradować w tak dziwnym przyodziewku.

- Jasmine uprzedzała, że pan Newman jest nieco niższy ode mnie, ale nie miałem wyboru. A skoro już o tym mówimy - wstał, włożył rękę do kieszeni i ostrożnie wy dobył z niej przemoknięty arkusz papieru listowego z drukowanym nagłówkiem, który zabrał rano z sekretarzyka Carrie. Rozłożył go delikatnie i wręczył pośrednikowi. - Właściwie to jest główny powód, dla którego wpadłem. Oto mój nowy adres.

- Znakomicie, zatem znalazł pan mieszkanie?

- Owszem; wraz z możliwością użytkowania samochodu... i psa.

- Shore Road! - odczytał Clive z nagłówka. - Wysokie sfery!

- Niezupełnie. Mieszkam w jednej z tych, jak je tam zwa, solniczek.

- To świetnie, ma pan zupełną swobodę. - Clive zaczął się klepać po kieszeniach. - Zaraz... co ja zrobiłem z tą kopertą?

- Jest tutaj. - Dotti odwróciła się od komputera, podając mu kopertę. - Dałeś mi ją, żeby jej nie zgubić.

Clive przewrócił oczyma i westchnął samokrytycznie:

- Kiedyś zgubię własną głowę. - Podszedł do asystentki i wziął od niej kopertę, jednocześnie wręczając jej mokry arkusik. - Bądź moim słonkiem, Dotti, i wrzuc to do akt.

Odwrócił się do Davida.

- Proszę. Pomyślałem, że powinien mieć pan trochę pieniędzy na wydatki. Tu jest zaliczka w wysokości tygodniowego wynagrodzenia.

- Ależ... - David potrząsnął głową i uczynił ruch, jakby chciał zwrócić kopertę.

- Nie, nie, nie! Nalegam! - Clive zasłonił się obiema rękami. - Jeśli to panu pomoże, wyznam, że robię to dla wszystkich moich pracowników. Ot, taki mały kruczek, żeby zyskać ich lojalność! - Zaśmiał się. - W przyszłości proszę wpadać na koniec każdego tygodnia, będziemy się wtedy rozliczać. Zgoda?

- Zgoda. - David włożył kopertę do kieszeni. - I dziękuję.

- Nie ma za co. - Clive wsunął mu rękę pod ramię, prowadząc go do wyjścia. - Tylko błagam: niech pan nie ratuje tonących zbyt często, bo będę musiał wypłacać panu dodatek za pracę w niebezpiecznych warunkach!

Wszedłszy do domu obciążony dwiema torbami pełnymi artykułów spożywczych, David przywołał psa i nogą zatrzasnął za sobą drzwi.

Położył zakupy na suszarce do naczyń, wyłowił z jednej z toreb puszkę piwa i pociągnąwszy spory łyk, poszedł otworzyć drzwi na werandę. Po drodze jego uwagę przykuł zwisający z maszyny odebrany faks. Od razu rozpoznał pismo matki. Oderwał arkusz, wyszedł z nim na zewnątrz i zasiadł w leżaku.

Kochany Davidzie!

Bardzo ucieszył nas Twój list, a zwłaszcza wiadomość, że czujesz się o wiele lepiej. Zawsze miałam przeczucie, że najbardziej wysłoby Ci na zdrowie całkowite odcięcie się od Inchelvie na pewien czas. Rozmawialiśmy dziś o tym z ojcem przy śniadaniu i oboje uznaliśmy Twój plan za doskonały. Ufam, że wrócisz do Szkocji pełen sił i życia.

Zapewne zmartwi Cię nowina (która jednak dla nas jest po części pomyślna), że Duncan Caple zatrudnił tymczasowo szefa marketingu na Twoje miejsce. Oczywiście nie jest to idealne rozwiązanie, ale teraz, gdy wiemy, co zamierzasz, cieszę się, że tak się stało. Nie będziesz czuł żadnej presji, a ojciec wreszcie odetchnie swobodniej. Twój zastępca dziś rozpoczyna pracę. Duncan nalega, żeby ojciec zaczął się oszczędzać, na co i ja mam nadzieję!

Nie wątpię, że rozmawiałeś już o swoich planach z Sophie, a może nawet ze wszystkimi dziećmi. Z radością zabierzemy je do siebie na ferie. A skoro o tym mowa: odwiedziłam je w dniu Twojego wyjazdu. Sophie powiedziała mi wtedy, że tak prędko nie

wrócisz. To dziecko ma prawdziwą kobiecą intuicję - zna cię lepiej niż Twoja rodzona matka!

Bądź z nami w kontakcie. Faks to cudowny wynalazek - oczywiście pod warunkiem że nie nadaje się wiadomości w środku nocy (naszej nocy). To taka drobna aluzja.

Całuję cię bardzo mocno

Mama.

David złożył arkusz i położył go obok leżaka. Przymknął oczy. Czuł wyrzuty sumienia, że zdecydował się tu zostać. Może działał zbyt pochopnie... Cóż, nie mógłby sobie pozwolić na ten luksus, gdyby nie rodzice, zawsze gotowi zastąpić go i wesprzeć. Może powinien się spakować i wrócić? Tylko po co? Nowy dyrektor handlowy już przejął wszystkie obowiązki i póki jego kontrakt nie wygaśnie, dla Davida nie ma miejsca w Glendurnich. Ojciec będzie teraz mniej pracował, nareszcie wypocznie. A on - co on miałby robić? Nie chciał wracać do ogrodu... do TAMTEGO ogrodu. To byłby krok wstecz. Tamto miał już za sobą. Jeśli jednak nie znajdzie sobie żadnego zajęcia, błyskawicznie stoczy się na powrót tam, skąd ledwie się wydzwignął.

No ale dzieci? Czy mają zostać pozbawione nie tylko matki, lecz i ojca? Po namyśle odsunął od siebie tę myśl. Być może dzieci podejmując decyzję nie zastanawiały się nad nią aż tak dogłębnie, lecz one także instynktownie wybrały ucieczkę z Inchelvie. Ich azylem była szkoła.

Wstał, wyszedł do ogrodu i spojrzał na zatokę. Tak, i on, i one postąpiły słusznie. Zmiana będzie początkiem procesu gojenia ran. Latem spotkają się jak nowo narodzeni.

W jego mózgu zaczął dojrzewać pewien plan. Wróci do Szkocji pod koniec czerwca, na tydzień przed wakacjami, i natychmiast po rozdaniu świadectw zabierze dzieci w jakieś piękne nieznanne miejsce, gdzie będą mogli odciąć się od wspomnień i znów stać się rodziną.

Wszedł do pokoju i usiadłszy przy biurku nagryzmołił kilka zdań do matki. Położył je na faksie, żeby rano wysłać. Następnie wyjął z przegródki sekretarzyka papeterię Carrie i zaczął pisać długi list do swojej kochanej, wyrozumiałej córki.

ROZDZIAŁ 19

Benji siedział na ławce przed budynkiem Leesport Middle School i słuchał, jak cichną w dali pokrzykiwania jego kolegów, którzy rozeszli się do domów. Wstał, kopnął leżący pod ławką plecak i spojrzał na zegarek. Bój się Boga, Germaine, jest dwadzieścia po czwartej. Znów będzie tu tkwił sam jak kołek.

Za jego plecami drzwi szkoły zatrzasnęły się z łoskotem. Obejrzał się i zobaczył biegnących w jego stronę dwóch chłopców. Jednym z nich był Sean Dalaglio, jego najlepszy kumpel z podstawówki. Podeszedł bliżej.

- Cześć, Sean! Jak ci leci?

Sean mruknął coś w odpowiedzi i minął Benjiego nawet na niego nie patrząc. Benji widział, jak Sean i ten drugi opowiadają sobie coś na ucho, a potem z głośnym śmiechem biegną w dół ulicy, usiłując się nawzajem zepchnąć z chodnika.

Powłócząc nogami wrócił na ławkę. Miał straszliwe uczucie, że łyzy zbierają mu się w oczach i nie zdoła nad nimi zapanować. Usiadł ciężko, z bocznej kieszeni plecaka wyjął czekoladowy batonik. Dlaczego matka zmusza go, żeby jeździł codziennie z tą głupią Germaine? Wszyscy wracają ze szkoły pieszo i nigdy nic nikomu się nie stało. Tylko ona uważa, że coś mu może grozić. Musiał płacić kolegom, żeby chodzili mu do sklepu po słodycze. W efekcie kosztowały go one dwukrotnie drożej i - ponieważ kieszonkowe nie starczało - musiał zakradać się do sypialni rodziców, kiedy Jasmine była zajęta na dole, i podkraść drobne z biurka ojca. Za każdym razem czuł paskudne wyrzuty sumienia, ale to była i c h wina. Gdyby miał choć trochę więcej swobody, mógłby żyć uczciwie.

Znów zerknął na zegarek. Było wpół do piątej. Na litość boską, Germaine, gdzie jesteś?

Dorośli są tacy... samolubni. Robią tylko to, czego sami chcą, co sami uważają za słuszne. Dlaczego oboje rodzice pracują? Wiedział, że ojciec musi być bogaty, bo zawsze jeździł olbrzymim samochodem i bardzo często woził go kierowca. Poza tym mieli jeden z największych domów w Leesport. Benji mieszkał w nim od urodzenia, a to oznaczało, że kupili go w czasie gdy mama nie pracowała, tylko siedziała w domu i opiekowała się nim,

Benjim. Co za głupota! Gdyby nie poszła do pracy, sama mogłaby się przekonać, że nic mu nie grozi w drodze ze szkoły.

Germaine, gdzie ty się podziewasz!

W sumie wszystko sprowadzało się do tego, że miał tylko jednego prawdziwego kumpla, a była nim Jasmine. Fakt, czasem strasznie się wymądrzała, ale chętnie brała udział we wszystkich zabawach, kiedy tylko zechciał. Tylko że z nią nie było tak samo fajnie jak z Seanem. Poza tym Jasmine gotowa się zabijać w tym durnym Szkocie. Trzeba być idiotą, żeby pomyśleć, że o n się utopił! I jeszcze zaczął na niego wrzeszczeć. Jak śmiał? Pracował przecież u jego rodziców. Głupi i na dodatek niegrzeczny. Pewnie dlatego jest tylko ogrodnikiem. Nie tak jak tato, który potrafi zarządzać wielką firmą komputerową. Z drugiej strony jednak Jasmine nie ma chłopaka. Fuj, nie zniesie tego, jeśli zaczną ze sobą chodzić!

Znów zerknął na zegarek i raz jeszcze kopnął plecak z książkami. Potem wstał z ławki i zaczął spacerować po chodniku tam i z powrotem.

Gdyby mógł w jakiś sposób wykazać się w szkole, przekonać ich wszystkich, że jest już dorosły, dowieść, że się mylą traktując go jak ciamajdę... Próbował grać w futbol, ale był wolniejszy od innych chłopców w drużynie i nigdy za nimi nie nadążał. Z kolei w baseballu nie mógł trafić w piłkę albo wypuszczał ją z rąk. Myślał o tym, żeby wziąć udział w turnieju poetycko-muzycznym zorganizowanym przez nauczycieli, ale każdy ze złożonych utworów puszczany był rano przez szkolny radiowęzeł i Benji po prostu w i e d z i a ł , że na sam dźwięk jego nazwiska wszyscy umrą ze śmiechu. To było po prostu... beznadziejne!

Spojrzał znów na zegarek. Za dziesięć piąta. Zawrócił do ławki i podniósł plecak. Nie ma zamiaru dłużej czekać na tę głupią babę. Wróci do domu pieszo, a Germaine niech go szuka. Dobrze jej tak! Miał nadzieję, że Jasmine dobrze jej nagada. Zrzucił plecak na jedno ramię i zerknąwszy jeszcze raz na jezdnię, by się upewnić, że Germaine nie nadjeżdża, ruszył w stronę centrum Leesport.

Cieszyła go każda chwila zakazanej swobody. Bez pośpiechu oglądał wystawy sklepów przy głównej ulicy, potem wstąpił do bistra na kakao i drożdżówkę z jagodami. Dojadł ją po drodze na Barker Lane. Miał ochotę przejść się aż do klubu i popatrzeć, jak grają w tenisa, ale zrezygnował, wiedząc, że Jasmine będzie się o niego martwić. Poza tym najprawdopodobniej spotkałby na kortach szkolnych kolegów, a na to nie miał najmniejszej ochoty. Skręcił w Barker Lane i powoli ruszył w stronę domu.

Przeszedł dostatecznie długi odcinek podjazdu, by zobaczyć, że samochód ogrodnika wciąż stoi zaparkowany obok szopy, kiedy posłyszał chrzęst opon na podjeździe. Zielony dżip zahamował gwałtownie tuż obok niego. Nie gasząc silnika, wyskoczyła z niego

Germaine z furią malującą się na szurzej twarzy.

- Gdzie się u licha podziewasz? Piętnaście minut czekałam pod szkołą, jakbym nie miała tysiąca ciekawszych zajęć niż niańczenie jakiegoś gówniarza!

- Bardzo długo cię nie było - rzekł cicho Benji.

- I co z tego? Twoja matka płaci mi, żebym cię woziła, więc masz czekać, aż przyjadę, zrozumiano?

- Mhm - mruknął chłopiec wbijając wzrok w czubki butów. Posłyszał szcęk kuchennych drzwi i podniósł oczy na tyle, by zobaczyć nogi Jasmine, biegnącej ku nim ścieżką.

- Żebyś mi się na przyszłość nie ważył nigdzie ruszać! - krzyczała dalej Germaine. - Zrozumiano?

- Co tu się dzieje? - zapytała zdyszana Jasmine.

- Ten głupi szczeniak wrócił dziś ze szkoły pieszo - syknęła Germaine ze złością. - Czekałam na niego k w a d r a n s pod tą kretyńską budą i co? Smarkacz poszedł sobie na spacer, wbrew w y r a ż n e m u zakazowi matki! Na twoim miejscu dałabym mu zdrowo do wiwatu!

- Ach, tak? - Jasmine wolno pokiwała głową, splotła ręce na piersi i spytała spokojnie:

- A o której godzinie dziś się pojawiłaś?

Germaine przygryzła wargę.

- To nieistotne - odparła napastliwym tonem. - Ma tam siedzieć i czekać, dopóki nie uznaję za stosowne przyjechać!

- A o której dziś uznałaś za stosowne przyjechać? - ponowiła pytanie Jasmine.

Germaine poczerwieniała.

- Dostatecznie wcześnie, żeby...

- Skoro ty nie chcesz mi odpowiedzieć - przerwała jej Jasmine - zapytam Benjiego. - Położyła chłopcu rękę na ramieniu. - Benji?

- Poszedłem za dziesięć piąta, bo myślałem, że już jej nie będzie...

- Za dziesięć piąta! - Jasmine podniosła głos, mierząc Germaine morderczym spojrzeniem. - Za dziesięć piąta! Znowu spóźniłaś się ponad pół godziny! Wiesz doskonale, że chłopak kończy lekcje piętnaście po czwartej!

- Jak śmiesz do mnie pyskować! Za kogo ty się w ogóle uważasz, ty czarna...

- Dostyc tego! - wtrącił się obcy głos. Nikt nie dostrzegł Davida, który zbliżył się ku nim z grabiami w rękę i nieodstępną Dodie u nogi.

Germaine obrzuciła ich szyderczym wzrokiem.

- A ten to niby kto? - spytała pogardliwie.

- Nieważne. - David mówił cichym, opanowanym tonem. - Sądzę, że powiedziała już pani i tak za wiele. Proszę wsiąść do swojego samochodu i natychmiast stąd odjechać, z r o z u m i a n o ?

Germaine powiodła spojrzeniem od niego do Jasmine i z powrotem, obróciła się na pięcie, wskoczyła do dżipa, po czym z wściekłością zatrzasnęła drzwi. Po chwili wychyliła się jeszcze przez okno, by zawołać:

- Bądźcie pewni, że Jennifer się o tym dowie! Zaraz zadzwonię do niej do biura!

- Tak zrób - odparła cynicznie Jasmine.

Germaine mruknęła coś pod nosem, zawróciła samochód, puszczając spod kół fontanny żwiru, i odjechała, na pożegnanie wystawiwszy przez okno środkowy palec.

Pozostała trójka patrzyła za nią w milczeniu. Kiedy dżip zniknął za zakretem podjazdu, Jasmine obróciła się do Benjiego i położyła mu rękę na ramieniu.

- Wszystko w porządku?

- Mhm - mruknął.

- No to dobrze. Ja tam nie mam do ciebie pretensji. Postąpiłeś całkiem dorośle i jestem z ciebie dumna.

Benji podniósł głowę i uśmiechnął się nieśmiało.

- A teraz idź, weź sobie z lodówki kakao czy co tam chcesz. Ja zamienię tylko parę słów z Davidem i zaraz do ciebie przyjdę.

Twarz chłopca sposepniała. Rzuciwszy Davidowi chmurne spojrzenie, powlókł się do kuchni. Oboje stali patrząc za nim, póki nie wszedł do domu.

- Jasny szlag! - syknęła Jasmine, uderzając dłonią w udo. - To już przekracza wszelkie granice!

David pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Kto to był?

- To była Germaine. Wozi... a właściwie woziła Benjiego codziennie ze szkoły. Oczywiście dziewczucha zawsze się spóźniała, a dziś nie było jej tak długo, że chłopak wrócił piechotą. I o to cały wrzask. Wredna dziwka! Tylko co my teraz zrobimy?

- Możesz brać mój samochód i sama po niego jeździć - zaproponował David.

Jasmine westchnęła.

- To bardzo miłe z twojej strony i faktycznie problem byłby rozwiązany, tylko że ja nie mam prawa jazdy.

- Aha. - David pokiwał głową ze zrozumieniem. - No tak. Cóż, wobec tego ja mogę go

wozić do szkoły i z powrotem; oczywiście jeśli się zgodzisz. Jestem tu codziennie, byłoby to więc najsensowniejsze wyjście, nie uważasz?

Jasmine patrzyła na podjazd, rozważając w duchu jego propozycję. Po chwili rozpogodziła się nieco.

- Nie miałbyś nic przeciwko temu?

- Oczywiście że nie. To żaden kłopot.

- Musimy najpierw ustalić to z Jennifer.

- Naturalnie. - David zawahał się. - A skoro już o tym mowa, to może najpierw spytajmy o zdanie chłopca? Chodzi o to, że... hm, chyba nie mam u niego najlepszych notowań.

- Istotnie. - Jasmine uśmiechnęła się szeroko. - Powinam była sama o tym pomyśleć. Dobra, chodźmy do niego.

David nie ruszył się z miejsca.

- Może sam go zapytam? Chciałbym z nim wyjaśnić wczorajsze nieporozumienie.

- W porządku - Jasmine kiwnęła głową i ruszyła w stronę domu. Wchodząc do kuchni, obróciła się do Davida. - Dzięki za interwencję.

- Nie ma o czym mówić. - Machnął ręką, bagatelizując całe zajście. - Baba plotła bzdury i tyle.

- Nie, naprawdę wiele to dla mnie znaczyło. Dla Benjiego też. Dlatego dziękuję ci w imieniu nas obojga.

Kuchnia nosiła ślady pobytu Benjiego: lodówka była uchylona, na stole stał otwarty karton koktajlu czekoladowego. Najwyraźniej jednak chłopiec znalazł sobie inne zajęcie niż oglądanie telewizji. Jasmine podeszła do drzwi na taras, wyrzała do ogrodu. Nie było go tam. Skinęła na Davida, żeby szedł za nią i ruszyła przewiązką do głównego budynku. Przystanęli oboje u stóp schodów; na wołanie Jasmine odpowiedział gdzieś z góry stłumiony głos chłopca.

- Jest w swoim pokoju - powiedziała cicho. - Na piętrze skręć w lewo i ostatnie drzwi po prawej stronie. Kiedy skończycie rozmawiać, powiedz mi, jak poszło, wtedy zadzwonię do Jennifer. Powodzenia!

David wystawił oba kciuki w górę i wspiął się na schody. Pod drzwiami Benjiego zawahał się na chwilę, główkując, jak nawiązać rozmowę z nadąsanym dzieckiem; potem zapukał.

- Co? - dobiegło ze środka.

- To ja, David. Mogę na chwilę wejść?

Cisza.

- Benji?

- Jeśli musisz.

David wzniósł oczy ku niebu i wszedł. Benji leżał na brzuchu na łóżku, naciskając zawzięcie klawisze konsolki Game Boy, i nawet nie podniósł oczu. David przystanął na środku, rozejrzał się po pokoju, chcąc znaleźć jakiś punkt zaczepienia, za pomocą którego mógłby przełamać lody. Tapeta na ścianach upstrzona była wizerunkami Supermana w kaskaderskich pozach, zaprzeczającego prawu grawitacji z coraz to inną piękną kobietą pod obleczoną w kostium z lycry pachą. Światło wpadało tu przez duże okno, z którego rozciągał się widok na zatokę aż po Fire Island. Na lewo od okna stał regał wypełniony różnymi technicznymi zabawkami i plastikowymi modelami groteskowych postaci z komiksów. Całe biurko zajmował system komputerowy, dostatecznie szybki i pojemny, by obsłużyć start rakiety kosmicznej. Wygaszacz kreował powtarzające się obrazki, które rosły wypływając z głębi ekranu, a potem nikły.

- Imponujący - bąknął David wskazując komputer i obejrzał się, chcąc zobaczyć reakcję Benjiego.

Chłopiec w ogóle nie zareagował, zajęty grą. Co chwilę odzywała się melodyjka, obwieszczając jego wygraną lub porażkę. David postanowił drażnić temat, podpierając się nabytą wiedzą.

- Dziwię się, że wciąż się bawisz tym maleństwem - zauważył. - Masz tu przecież CD-ROM. - Podszedł do biurka i podniósł jedną z leżących obok komputera gier na CD.

Benji westchnął głęboko, dając do zrozumienia, że nie jest zachwycony tym najściem.

David zdał sobie sprawę, że w ten sposób niczego nie osiągnie. Pozostało mu wziąć byka za rogi i rozpocząć wprost. Nabrał powietrza w płuca, gdy wtem zauważył wciśniętą na górnej półkę regału małą hawajską gitarę ozdobioną jaskrawym napisem „Pozdrowienia z Honolulu!” Sięgnął po nią i przejechał palcami po strunach. Była zupełnie rozstrojona. Podokręcał kołeczki, wypróbując dźwięk to tej, to innej struny, a gdy brzmiały już względnie dobrze, zagrał kilka akordów i odwrócił się, by odłożyć ukulele na półkę.

- Jak to zrobiłeś?

Benji patrzył nań z otwartymi ustami, zapomniawszy o trzymanej w dłoni konsolce.

- Co?

- Myślałem, że to tylko zabawka. A ty na niej zagrałeś. David zadarł głowę.

- Wątpię, czy akurat tę robiono z myślą o graniu - rzekł, ponownie zdejmując instrument z półki. - To zwykła pamiątka, ale ma wszystkie struny i jak widzisz, działa.

Wziął serię szybkich akordów, mocno uderzając palcami o struny, zakończył trelem i skłonił się jak przed bijącą brawo widownią.

- Gdzie się tego nauczyłeś? - spytał Benji wytrzeszczając oczy. Zsunął się z łóżka, odłożył konsolkę i zaciekawiony podszedł do Davida.

- Miałem takiego dosyć ekscentrycznego wujka, który często nas odwiedzał, kiedy byłem dzieckiem. Zawsze przywoził swoje ukulele i układał dla mnie śmieszne piosenki. Najpierw nauczył mnie, jak się ją stroi. - David szarpnął po kolei każdą strunę, śpiewając do wtóru: - Mój-pies-ma-pchły!

Benji roześmiał się, wyjął mu z ręki instrument i zaczął niezgrabnie przebierać palcami po strunach, powtarzając stroikową piosenkę.

- Otóż to - rzekł David. - Odbyłeś już pierwszą lekcję.

Oczy chłopca załśniły z radości, że opanował nową umiejętność.

- A kiedy będziesz już sobie radzić z ukulele - ciągnął David - możesz zacząć grać na gitarze.

- Poważnie? - Oczy Benjiego były coraz większe. - A ty umiesz?

- Już od dawna nie grałem, ale chyba bym potrafił. To jak jazda na rowerze: tego się nie zapomina. - David urwał, spostrzegłszy, iż trafia mu się wspaniały pretekst, żeby przejść do tematu, który zamierzał poruszyć.

- A skoro już o tym mowa, Benji... - podjął - to, co się zdarzyło wczoraj, kiedy naprawiałem twój rower... No cóż, przepraszam, że na ciebie krzyczałem. Skąd mogłem wiedzieć, że jesteś mistrzem wstrzymywania oddechu?

Benji uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- Nic nie szkodzi. Powiedz lepiej, grałeś w zespole?

- Owszem, w czasie studiów.

- O rany! I pisałeś piosenki?

- Jasne. Dosyć kiepskie, ale śpiewaliśmy je tak głośno, że nie brzmiały źle.

- Niesamowite! A ja myślałem, że jesteś zwykłym ogrodnikiem!

- Mam parę ukrytych talentów - zachichotał David.

Benji zerknął na swoje ukulele.

- Ile miałeś lat, kiedy zacząłeś na tym grać?

- Około ośmiu.

- A ja mam już jedenaście! - oznajmił Benji podniecony.

- Najwyższy czas, żeby zacząć się uczyć, nie sądzisz?

- To znaczy, że mógłbyś mnie nauczyć?

- Jeśli zechcesz.

- Chcę! I nauczysz mnie pisać teksty piosenek? Potrafię pisać wiersze, czy to się na coś przyda?

- To wystarczy. Jeśli to umiesz, możesz pisać piosenki.

Tym razem Benji tylko westchnął z zachwytu. Spojrzał błagalnie na Davida.

- Mógłbyś zacząć mnie uczyć już teraz?

David spojrział w okno i potrząsnął głową.

- Nie, teraz nie. Jest zbyt piękna pogoda, żeby siedzieć pod dachem i grać na ukulele.

Mina chłopca wydłużyła się.

- Pomyślałem, że moglibyśmy zagrać w tenisa - dokończył David.

Benji spojrział na niego z rozdziawioną buzią.

- Chciałbym zagrać w tenisa. Czy to coś złego? - zdziwił się David.

- W tenisa też umiesz grać?

- Jasne, dlaczego nie?

- To ekstra! - Benji zawahał się, jego ożywienie nagle zgasło. Zaczął skubać kołki ukulele.

- O co chodzi? - zapytał David. - Nie masz ochoty na grę, tak?

- Mam, tylko...

- Tylko co?

- Nie umiem szybko biegać, bo jestem... no wiesz... gruby. - Chłopiec nerwowo obracał kołki w palcach.

David przechylił głowę na ramię i ostentacyjnie zmierzył go wzrokiem.

- Nie wydaje mi się, żebyś był gruby. Mocno zbudowany, to owszem.

Benji spojrział na niego z nadzieją.

- Naprawdę tak uważasz?

- Oczywiście. Powiem ci, że za cztery lata nie chciałbym się z tobą spotkać w ciemnym zaułku.

- Dlaczego?

- Bo przypuszczalnie bez trudu byś mnie pobił.

Benji wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Nie, no co ty! Mógłbym pobić wroga, ale nie przyjaciela! - Delikatnie odłożył ukulele na łóżko i podbiegł do drzwi. - To chodźmy grać!

- Benji... - David przywołał go skinieniem palca.

- Tak? - Chłopiec powiódł wzrokiem w ślad za jego spojrzeniem, zastanawiając się, co

znów zrobił źle.

- Widziałem, że rozstroił instrument.
- Przepraszam... - Benji zwiesił głowę, przybity.
- Nic nie szkodzi. Tylko chciałbym, żebyś ją na jutro nastroił, dobrze?
- Jasne! - rozpogodził się chłopiec. - Teraz możemy zagrać?
- Jeszcze jedna sprawa.

Benji ponownie zawrócił od drzwi, tym razem wzdychając ze zniecierpliwieniem. David uśmiechnął się do niego i podjął:

- Jak pewnie słyszałeś, Germaine nie będzie cię już wozić do szkoły, w związku z czym, hm... wpadliśmy z Jasmine na pomysł, żebyś jeździł ze mną.

- Co? Tym volkswagenem?
- Jeśli nie masz nic przeciwko temu.
- Jasne że nie! On jest super! Można spuścić dach?
- Podejrzewam, że można. A czemu ci na tym zależy?
- Bo bez dachu jest jeszcze większy szpan, a poza tym...
- Co poza tym? - zagadnął David, nie doczekawszy się dalszego ciągu zdania.
- Bo widzisz, wczoraj bawiłem się z Dodie i polizała mnie po twarzy, kiedy schyliłem się po piłkę, no i... brzydko jej pachnie z buzi. Dlatego poszedłem pływać.
- W porządku - zaśmiał się David. - Umowa stoi. A teraz chodźmy na kort.

Przybili umowę klepieniem dłoni. Benji jak na skrzydłach wypadł z pokoju i sfrunął po schodach, wołając głośno Jasmine. David dotarł do szczytu schodów akurat w porę, by zobaczyć, jak chłopiec czterema wielkimi susami pokonuje hol,omal nie przewracając gospodyni, która przerażona przybiegła z kuchni.

- Jasmine! David nauczy mnie grać w tenisa, a oprócz tego nauczy mnie grać na u... uke... - obrócił się, szukając pomocy.

- Ukulele - odpowiedział mu David.

- Właśnie. Nauczy mnie grać na ukulelele! Już pokazał mi, jak się je stroi! - Benji w podskokach wybiegł do kuchni.

David zszedł do holu i zastał w nim Jasmine zastygłą jak żona Lota z wyrazem niedowierzania na twarzy.

- Rany boskie, coś ty mu zrobił? - wyjąkała.

- O, porozmawialiśmy sobie jak mężczyzna z mężczyzną - odparł wyniośle David - i nie wiem, czy już słyszałaś, że mój samochód jest szpanerski i super, i w ogóle. Możesz więc spokojnie zadzwonić do Jennifer. - To rzekłszy, dmuchnął na swoje paznokcie i łaskawie

skinął ręką, gestem tym podkreślając własną doskonałość, po czym mrugnął łobuzersko i wyszedł w ślad za Benjim.

ROZDZIAŁ 20

Sam Culpepper odłożył dokumenty na stół konferencyjny i poprawił się na wyściełanym skórą krześle z wysokim oparciem. Zerknął po kolei na zamyślane twarze swoich dwojga menedżerów, którzy również spoglądali na niego w milczeniu.

- Wiem, wiem: to nie jest duże zlecenie. Ale naprawdę chcę, żebyśmy je dostali. - Sam pochylił się, podniósł tłące się w popielniczce cygaro i zaciągnął się nim. - Dlaczego? Ponieważ chodzą słuchy, że interesują się nim zarówno Bates, jak i Young & Rubicam. A dla nas byłoby to niezłe trofeum. Już ja bym dopilnował, żeby pisała o tym cała prasa branżowa! - Zaśmiał się i natychmiast targnął nim brzydki kaszel.

- Mówiąc zupełnie szczerze, Sam - odezwał się pierwszy Russ Hogan - nie sądzę, byśmy w ogóle mieli szansę je dostać. Nigdy dotąd nie zajmowaliśmy się spirytualiami, jeszcze na dodatek angielskimi. Chodzi mi o to, że musielibyśmy przeorać się przez sterty całkiem nowych danych. Zastanawiam się, czy warto.

Culpepper pokiwał głową. Mógłby się założyć o sto dolarów w ciemno, że to właśnie Russ wyskoczy z takim stwierdzeniem. Był to solidny menedżer zleceń, a co więcej, klienci wprost jedli mu z ręki, ale jednocześnie potrafił skreślić całkiem obiecujący projekt nie zastanawiając się wiele nad tym, co mówi. To był właśnie najlepszy przykład.

Wstał i podszedł do okna. Pykając cygaro, spoglądał przez chwilę w dół, na zatkaną samochodami Piątą Aleję. Potem obrócił się do Russa.

- Uważam, że nie masz racji, Russ. Moim zdaniem warto. - Wrócił do stołu, strzepnął popiół do popielniczki i oparł się o przechylone krzesło. - Doprowadzenie firmy Culpepper Rowan do takiego statusu, jaki ma obecnie, zajęło nam dwadzieścia lat. Osiągnęliśmy szczyt i dzisiaj po raz pierwszy martwię się o operatywność firmy... a raczej jej brak. Mogę się mylić, ale wydaje mi się, że zbyt łatwo zadowolamy się tym, co samo do nas przychodzi. Mamy liczne zlecenia, lecz większość to drobnica. Przydałaby się jakaś większa ryba na patelnię.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że Tarvy's Gin to duże zlecenie? - przerwał mu Russ, rozdrażniony ukrytą aluzją, a zarazem z natury nie dość taktowny, by pozwolić szefowi dokończyć. - Dopiero co czytałeś nam wyniki sprzedaży w Wielkiej Brytanii. Nie

powiedziałbym, że są imponujące. W porządku, przyznaję, że na ich wysokość ma wpływ to, iż jest to całkiem nowy produkt na tamtejszym rynku, ale tutaj także będzie całkiem nowy i musielibyśmy go wypromować wśród takich marek jak Gordon czy Beefeater.

Doprowadzony do ostateczności Sam wznosił ręce do góry.

- Nie rozumiesz, Russ? Pomyśl chwilę! Co jeszcze wam czytałem?

Russ oparł się łokciem o poręcz fotela i przygryzł paznokieć, niepewny, co szef ma na myśli. Sam spojrział z wyrzutem na swoich podkomendnych.

- Czy naprawdę żadne z was nie rozumie, do czego zmierzam?

Ciszę przerwał odgłos pióra, którym Jennifer Newman stuknęła w swój notes.

- Do tego, jak sędzę - zaczęła powoli - że nie chodzi tu o sam dżin; bardziej o to, że jest to nowy produkt Gladwin Vintners, którzy mają w swej ofercie również Glentochry Blend Whisky oraz wódkę Valischka. A te dwa trunki zdobyły już dość znaczny udział w rynku Wielkiej Brytanii, choć żaden z nich nie jest prestiżowy. Ten dżin to rzecz świeża; chcą zatem promować go w niskobudżetowej kampanii, a jeśli się powiedzie, zapewne rozszerzą ofertę o whisky i wódki. I zapewne wybiorą tę samą agencję. To oznacza, że ktokolwiek wygra przetarg na Tarvy's Gin, najprawdopodobniej zyska zlecenie na pełną ofertę produktów Gladwin Vintners.

Sam strzelił palcami i wycelował wskazujący w Jennifer.

- Właśnie. Dziękuję ci, Jennifer. Oczywiście wiedzą o tym wszystkie czołowe agencje na Manhattanie i dlatego wokół tego dżinu zrobił się taki ruch.

Russ mlasnął przeżuwaną gumą i zerknął na Jennifer z udawaną odrazą.

- Daj spokój, Sam. Nie ma dowodów na poparcie tej teorii. To tylko przypuszczenia.

- Może i tak. Ale naprawdę uważam, że musimy od czasu do czasu podjąć ryzyko i poświęcić więcej czasu i środków na badanie rynku, inaczej spoczywanie na laurach może się na nas zemścić. Potrzeba nam wyzwania, czegoś, co wyrwie nas z marazmu, i tym czymś może być właśnie Tarvy. Ponadto, jak już wspomniałem, będzie o tym pisać prasa.

- W porządku, nie będę się spierał. - Russ wzruszył ramionami z rezygnacją. - Kto ma się tym zająć?

- Chciałbym, żebyś ty to wzięła, Jennifer.

- Czemu nie? - Jennifer uniosła brwi. - Ile mam czasu?

- Równo miesiąc - bąknął Sam, obserwując jej reakcję. Oczy Jennifer rozszerzyły się, gdy dotarło do niej, co przed chwilą usłyszała.

- Chcesz powiedzieć, że oferta ma zostać opracowana w ciągu m i e s i ą c a ?

- Niestety, tak. Przetarg ogłoszono już trzy tygodnie temu, choć ja dopiero teraz

położyłem na tym łapkę. - Otworzył dokument na pierwszej stronie i zaczął czytać: - „Oferta musi zostać złożona najpóźniej w sobotę czwartego lipca. Siódmego lipca Gladwin Vinners ogłosi zwycięzcę przetargu”. Tak więc, moje dzieci, obawiam się, że w tym roku nici z wolnego na Dzień Niepodległości. - Spojrzał na Jennifer, która zagwizdała przeciągle, potem na Russa. - Może to i za daleki strzał, ale proponuję, żebyśmy się wszyscy wzięli do roboty!

Pół godziny później Jennifer wyszła z sali konferencyjnej obciążona dokumentami i notatkami do pierwszego konspektu kampanii reklamowej Tarvy's Gin. Właśnie otworzyła drzwi swego gabinetu, gdy z pokoju naprzeciw wyjrzała jej sekretarka.

- Jennifer, Jasmine do ciebie na drugiej linii.

- Zaraz odbiorę. Aha, Mandy! - Podała sekretarce notes. - Mogłabyś to przepisać na maszynie?

- Już się robi.

- Dzięki. - Jennifer weszła do gabinetu, rzuciła papiery na biurko, podniosła słuchawkę i wcisnęła migający klawisz. - Jasmine?

- Cześć, Jennifer.

- Czy coś się stało?

- Właściwie nic.

- Co to znaczy? - Jennifer odplątała kabel telefoniczny zawinięty wokół lampki i usiadła przy biurku. - Stało się czy się nie stało?

- Z Benjim wszystko w porządku, bo pewnie o to pytasz. Chodzi o to, że Germaine spóźniła się dziś ponad pół godziny i... i Benji wrócił do domu pieszo.

- Och, na litość boską!

- Tylko nie wsiadaj na tego swojego konika, dobrze? Chłopak postąpił słusznie. Skąd miał wiedzieć, czy ona w ogóle się pojawi?

- No i co dalej?

- Germaine przyjechała tu pięć minut po nim i zaczęła go mieszać z błotem. No i... trochę się na nią zdenerwowałam, skutkiem czego odjechała wściekła, zapowiadając, że o wszystkim ci opowie. Domyślam się, że jeszcze nie dzwoniła?

Jennifer przejrzała wiadomości na biurku.

- Nie. Zresztą i tak przez ostatnią godzinę miałam naradę. Pewnie nie zadzwoni. Zdaje sobie sprawę, że nie była w porządku.

- Powiedziałabym, że była bardzo nie w porządku... - Jasmine urwała. - Problem polega na tym, że nie będzie go już wozić.

- O mój Boże. - Jennifer znużonym gestem przeczesła palcami włosy. - No i co ja

mam teraz zrobić? Nie pozwolę; powtarzam, Jasmine: nie pozwolę mu chodzić pieszo.

- Tego się mniej więcej spodziewałam. W takim razie mam inny pomysł.

- Jaki?

- David będzie go wozić.

- Jaki znowu David?

- Ogrodnik.

- Jasmine! - Jennifer uderzyła dłonią w blat. - Ty chyba nie mówisz poważnie?

Przecież nic o nim nie wiemy! To może być morderca, pedofil albo Bóg wie kto!

- On n i e jest pedofilem, Jennifer. Prawdę mówiąc, znam niewielu facetów robiących wrażenie normalniejszych niż on. To naprawdę porządny człowiek.

- Tak? A kiedy go zdążyłaś tak dobrze poznać?

W słuchawce zapadła cisza.

- A wtedy - odezwała się w końcu Jasmine - kiedy Germaine wyzywała twojego syna od kretynów, a mnie od czarnuchów. To David kazał jej zamknąć buzię i wynosić się na cztery wiatry.

- Aha. - Jennifer zmeła pod nosem przekleństwo. - Przepraszam cię, Jasmine, nie zdawałam sobie sprawy... A to suka!

- To już nieważne. W każdym razie ja optuję za Davidem. Wiesz, co on teraz robi? Jest z Benjim na korcie i uczy go grać w tenisa.

- Żartujesz!

- Wcale nie. Poza tym obiecał nauczyć go grać na gitarze.

- Nie mamy gitary, Jasmine.

- No, na tym podobnym. Uke... uke... coś tam.

- Ukulele?

- O, właśnie. Tym, co się poniewiera w pokoju Benjiego.

- Niewiarygodne! - Jennifer wyprostowała się. - A co na to Benji? Zadowolony?

- Skarbie, ten chłopak dawno nie był tak szczęśliwy!

Drzwi gabinetu się otworzyły. Jennifer obróciła się na krześle i ujrzała w nich Sama i Russa.

- Zaczekaj chwileczkę. - Nakryła dłonią słuchawkę, ale Sam dał jej znak, żeby się nim nie przejmowała. Podziękowała uśmiechem. - Jasmine? No dobrze, skoro ty tak twierdzisz. Chcę powiedzieć, że polegam na tobie. Niech ten David go wozi.

- Bardzo się cieszę. Mówię ci to ze szczerego serca, Jennifer: David może się okazać darem niebios dla twojego synka.

- No, no, nie przesadzaj. Pożyjemy, zobaczymy.

- Sama zobaczysz! - zaśmiała się Jasmine. - Dobrze, idę im powiedzieć, że się zgadzasz.

- Ucałuj mocno ode mnie Benjiego. - Odłożyła słuchawkę i spojrzała na obu mężczyzn, którzy tymczasem usadowili się naprzeciw jej biurka.

- W domu wszystko w porządku? - zatroskał się Sam.

- Chyba tak - skinęła głową. - Mamy nowego ogrodnika, ostatnie wcielenie Supermana. Właśnie uczy Benjiego grać w tenisa.

- To znakomicie! À propos, musimy kiedyś zagrać. W tym sezonie nie zdążyłem jeszcze wziąć rakiety do ręki.

- Wpadnijcie do nas. - Jennifer przekartkowała leżący na biurku kalendarz. - Może nie w ten weekend, bo chcę to przemyśleć - wskazała na dokument - ale, powiedzmy, w następny?

Sam wyciągnął z kieszeni terminarz i zajrzał do niego.

- Nie mam nic w planie. Bardzo chętnie przyjedziemy z Molly.

- A zatem jesteście umówieni.

- Alex będzie? - zapytał Russ, wyjmując swój terminarz.

Jennifer uśmiechnęła się.

- Postaram się go złapać telefonicznie i zapytam. Chcesz spuścić mu doroczne lanie?

- To prawie jedyny facet, z którym mogę sobie porządnie pograć.

Jennifer i Sam wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

- Naprawdę! - bronił się Russ unosząc w górę rękę.

- Dobrze, zadzwonię do niego. - Jennifer zanotowała to i rzuciła długopis na biurko. - A teraz chciałabym wiedzieć, czemu zawdzięczam tę miłą wizytę?

Sam wstał i przeciągnął się.

- Właściwie wpadliśmy bez powodu. Wybieramy się z Russem na szybkiego drinka i chcieliśmy zapytać, czy nie poszłabyś z nami. W najbliższym czasie nie będziemy mieli wielu okazji.

Jennifer uśmiechnęła się, lecz pokręciła głową.

- To ładnie, że o mnie pomyśleliście, ale nie, dziękuję. - Podniosła teczkę z dokumentami. - Chcę to przejrzeć.

- Bravo! Cieszę się, że to słyszę! - Sam wyszczerzył zęby w uśmiechu, podszedł do Russa i wyciągnął rękę. - To się nazywa prawdziwe zaangażowanie, prawda, Russ?

Russ prychnął gniewnie i po chwili wahania manifestacyjnie wyjął z kieszeni

marynarki dziesięciodolarowy banknot, po czym wepchnął go w dłoń Sama.

Jennifer wręcz osłupiała. Cisnęła papiery na biurko i potrząsnęła głową z niedowierzaniem.

- Założyliście się, że z wami pójdę, dranie?

- Nie, nie, bądźmy ściśli. - Sam puścił do niej oko. - To Russ zakładał się, że pójdziesz, podczas gdy ja jak zawsze pokładałem w tobie pełne zaufanie, skutkiem czego... - Złożył banknot w pół, wetknął go do kieszonki na piersi i poklepał czule. - Wygrałem!

- Ależ z was dzieci! - Jennifer zerwała się, chwyciła długopis z biurka i zamierzyła się nim.

- Uciekajmy! - Russ osłonił głowę rękami i popędził za Samem, który krztusząc się ze śmiechu pierwszy dopadł drzwi. Z korytarza dobiegły szmery i szepty, po czym Russ wsadził głowę do środka.

- Nie zapomnij zadzwonić do Alexa!

Długopis uderzył w drzwi o dłoń od jego nosa. Russ obejrzał się zaskoczony, pokazał jej język i zniknął, nim zdążyła chwycić następny pocisk.

- Cholerne sztabaki! - zaśmiała się do siebie Jennifer. Poszła po długopis, a potem zasiadła znów za biurkiem i sięgnęła po słuchawkę. Nacisnęła klawisz automatycznego wybierania numeru i otworzyła teczkę, lecz zamknęła ją natychmiast, słysząc:

- Halo?

- Cześć, kochanie, to ja.

- Cześć! Zaczekaj, Jennifer, tu jest za głośno. Nie rozłączaj się.

- Gdzie jesteś?

- Na lotnisku w San Francisco. Za chwilę mam samolot do Houston. Teraz lepiej słychać?

- O wiele.

- Jak ci leci?

- Świetnie. Sam dał mi do opracowania nowe zlecenie. Szykuje się większy strzał.

- Cieszę się razem z tobą. Słuchaj, musisz się streszczać, bo mam mało czasu.

- Aha. W takim razie... mógłbyś zerknąć do kalendarza i powiedzieć mi, czy w weekend za dwa tygodnie będziesz w Leesport? Zaprosiłam Sama i Molly na tenisa, a hm... Russ domaga się twojej obecności.

- Do diabła, czy ja muszę z nim grać? Ten facet podbudowuje sobie ego moim kosztem. Zawsze ze mną wygrywa.

- Wiem, kochanie. Ale możesz to zrobić dla mnie?

- Nie mam w tej chwili przy sobie terminarza, ale postaram się przyjechać.
- Bardzo się cieszę.
- Dobra. Słuchaj, muszę lecieć.
- Miłej podróży.
- Dzięki. To do zobaczenia.
- Do zobaczenia. - Jennifer nagle boleśnie odczuła brak ciepła w tej rozmowie. -

Kocham cię - dokończyła szeptem i odłożyła słuchawkę.

Ktoś zapukał; do gabinetu weszła Mandy.

- Przepisałam te notatki. - Położyła plik kartek na biurku.

- Dzięki, Mandy. Idziesz już do domu?

- Tak, jeśli nie będę potrzebna.

- Naturalnie, leć. Do zobaczenia jutro. - Jennifer uśmiechnęła się znad swoich papierów.

Kiedy drzwi się zamknęły, zerknęła na telefon, zastanawiając się, czy powinna jeszcze raz zadzwonić do Alexa. Nie, przecież powiedział, że nie ma czasu. Energicznie kiwnęła głową, by się utwierdzić w tej decyzji, i przysunęła do siebie teczkę z dokumentami.

ROZDZIAŁ 21

Jeszcze przed weekendem atmosfera w domu Newmanów uległa znacznej poprawie. Po pierwsze, tenisowe umiejętności Benjiego osiągnęły poziom, na którym chłopiec był w stanie sprostać dłuższej wymianie piłek, chociaż David musiał uważać, żeby grać mu na forhend, inaczej piłka zwykle lądowała w basenie. Kunszt muzyczny Benjiego także się rozwijał; bez instrumentu widywano go tylko wtedy, kiedy grał w tenisa albo siedział w szkole, nie był bowiem jeszcze gotów poddać swych świeżych osiągnięć krytycznemu osądowi kolegów. Pomimo to po długim wahaniu zdecydował się wziąć udział w szkolnym konkursie występując z napisaną przez siebie piosenką. Bodźcem stała się śpiewka o Dodie, skomponowana przez Davida na trzy poznane dotychczas przez chłopca chwytły. Podczas pierwszego wykonania Benji skrytykował ją bezlitośnie za wątłe rymy i mijający się z prawdą tekst.

- Akordy idą kolejno - mówił David - G, C i D₇, o, tak. Będziesz pamiętał?
- Jasne. Mogę już zagrać?
- Czeka! Nie znasz jeszcze słów.
- No dobrze. Ale następnym razem ja będę grał.
- Oczywiście. Słuchaj.

*W życiu pięknych jest rzeczy bez liku,
Tak jak lody, piwo i strudel...*

- Co to jest strudel?
- Niemieckie ciasto z jabłkami.
- I je się je z piwem?
- Raczej nie.
- No to czemu piwo i strudel?
- Bo strudel mi się rymuje.
- Z czym?

- Czekaj! Pozwolisz mi dokończyć?

*Ale ósmym cudem świata
Koleżanka ma kudłata,
Panna Dodie, nasz figlarny pudel!*

- To śmieszne. Nie znasz innego słowa, które by się rymowało z pudlem?

- Odczep się! Siedziałem nad tym zaledwie godzinę.

- Przez godzinę pisałeś pięć linijek?

- Chwileczkę, panie Rice*! To jeszcze nie wszystko.

- Kto to jest pan Rice?

- Mam śpiewać dalej czy nie?

- Śpiewaj.

*Gdy jedziemy po mieście,
Pudel w wozie się zmieści
I choć mroźny wiatr świszczuje nam w uszach...*

- To nieprawda!

- Co: nieprawda?

- Tu nie ma mrozów. W każdym razie nie w lecie. Zimą temperatura czasem spada do minus...

- Benji!

- No dobrze już, dobrze, śpiewaj.

*Nagle robi się duszno,
Wszystkim nam nosy puchną,
A to Dodie tak wonnie na nas chucha!*

- Hej! To mi się podoba!

- Nareszcie!

- Chociaż nie mówi się: nosy puchną. To uszy puchną, a nosy więdną.

- No nie, to nie są warunki dla artysty! Koniec śpiewu na dzisiaj!

* Tim Rice - jeden z twórców rock-opery *Jesus Christ Superstar* (wraz z A. Lloydem Webberem, 1971).

- Ale Davidzie, p r o s z ę , zaśpiewaj resztę! Obiecuję, że już nie będę ci przerywał.
- Obiecujesz?
- Obiecuję. Śpiewaj od początku.

*W życiu pięknych jest rzeczy bez liku,
Tak jak lody, piwo i strudel,
Ale ósmym cudem świata
Koleżanka ma kudłata,
Panna Dodie, nasz figlarny pudel!*

*Gdy jedziemy po mieście,
Pudel w wozie się zmieści
I choć mroźny wiatr świszczę nam w uszach...*

- Choć jest ciepło!
- Miałeś nie...
- Przepraszam!

*Nagle robi się duszno,
Wszystkim nam nosy puchną,
A to Dodie tak wonnie na nas chucha!*

- I razem!

*W życiu pięknych jest rzeczy bez liku,
Tak jak lody, piwo i strudel,
Ale ósmym cudem świata
Koleżanka ma kudłata,
Panna Dodie, nasz figlarny pudel!*

*Dodie jedzie i warczy
Na smarkaczy i starszych,
Na nas nie, chociaż ludzie się dziwią,
Bo choć stroszy się srogo,
Można wziąć ją za ogon*

I przetkać zlew lub ślicznie wyszorować kibel!

- Co to jest kibel?
- Toaleta. Nie wiem, jak ją tu nazywacie.
- Biedna Dodie!
- To tylko słowa.
- Super! Ale założę się, że też bym tak potrafił.
- Napisz własne!
- Napiszę. A teraz mogę zagrać?

Piosenka ta stała się ich hymnem; śpiewali ją głośno podczas jazd do szkoły i z powrotem, a Dodie na tylnym siedzeniu pławiła się w blasku poetyckiej chwały.

W czerwcu ogród rozkwitł całą gamą barw, podkreślając świeżymi akcentami piękne położenie domu. Róże wszelkich odcieni kwitły majestatycznie, floksy i japońskie irysy zaś, zachęcone ciepłem, wyciągały smukłe szyjki spoza kęp hortensji i pachnącego geranium, pstrząc plamkami koloru błękitne tło zatoki. Milin obrastający szklarnię wypuścił długie tutki, które jak drobne języczki płomieni lizały białą balustradę balkonu i sięgały do okien na piętrze.

Wszystko to dodało Davidowi jeszcze większego zapału do pracy. Znalazł niewielkie centrum ogrodnicze pięć mil za Leesport, przy Montauk Highway, gdzie kupił wiele kwitnących krzewów i roślin okrywowych, by zasłonić puste miejsca pozostawione przez poprzedniego ogrodnika. Ponieważ zaś prezentował się dość ekscentrycznie, robiąc zakupy z pudelkiem na smyczy, wkrótce zwrócił na siebie uwagę młodego małżeństwa, które prowadziło sklep. Już podczas trzeciej wizyty zaprosili go na kawę i babeczki. Kolejne odwiedziny stopniowo stawały się coraz dłuższe i choć bardzo się zaprzyjaźnili, David starał się komasować zakupy, by ograniczyć zarówno czas spędzany poza ogrodem Newmanów, jak i ilość spożywanej kofeiny.

To właśnie życzliwi, szczerzy przyjaciele, jakich zdobył podczas krótkiego pobytu w Leesport, stali się dlań dowodem, że wydzwignął się z upadku, odbił od dna. Po pracy nie gnał już do domu, by samotnie spędzić wieczór. Aktywnie szukał towarzystwa. Kiedy nie jadł kolacji z Jasmine i Benjim, albo wpadał do baru na piwo i pogawędkę, albo odwiedzał nowych znajomych. Któregoś dnia na przykład został zaproszony do domu Clive'a i jego przyjaciela Petera. Usadziwszy go przy stole w kuchni, dwaj mężczyźni okrasili przygotowanie posiłku wesołą i doskonale przygotowaną scenką z tańcem, śpiewem i wystukiwaniem rytmu chochłą przy wtórce zdartej płyty z musicalem *My Fair Lady*.

Najściślej jednak więź połączyła go przez codzienny kontakt z Jasmine i Benjim. Przyjaźń z chłopcem bez przerwy przywodziła mu na myśl własne dzieci. Co drugi dzień siadał wieczorem przy stole i pisał do nich list, zaczynający się niezmiennie liczbą dni, jakie pozostały do końca roku i wielkim wykrzyknikiem: A POTEM WAKACJE!!! Bardzo za nimi tęsknił, i choć myśl o powrocie do Szkocji nie była mu jeszcze zbyt miła, czuł radosne podniecenie wiedząc, że znów je zobaczy.

Obecnie jednak to w domu Newmanów przekonywał się najdobitniej, iż staje się na powrót normalny; nieskomplikowana praca i serdeczne układy z przyjaciółmi pomagały mu rozwikłać kłęby drutu kolczastego raniące umysł i odzyskać jasny, prosty tok myślenia.

Jego życie towarzyskie także koncentrowało się zatem wokół ogrodu: grał w tenisa z Benjim, podczas gdy Jasmine na prośbę chłopca przysiadła na składanej drabinie ustawionej przy siatce i wykrzykiwała wynik - zawsze się myląc, ale dodawało to grze autentyczności. Pływali promem na Fire Island i często się zdarzało, że Benji miał okazję popisać się kunsztem żeglarskim, kapitan bowiem pozwalał mu się zastąpić przy sterze. Wieczorami siadywał z Jasmine w kuchni lub na tarasie, popijając wino, a Benji co chwila przerywał im rozmowę śpiewając piosenkę o Dodie lub jakiś własny szlagier. David uczył Jasmine prowadzić samochód na podjeździe - ściślej mówiąc, odbyło się zaledwie półtorej lekcji, bo w połowie drugiej Jasmine wysiadła z samochodu, pozostawiając swych pasażerów zgiętych w pół ze śmiechu nad jej kompletnym brakiem wyczucia sprzęgła.

Pomimo jednak iż więzy te były coraz mocniejsze, David nigdy nie wspominał o swojej przeszłości, nie zwierzał się z najskrytszych myśli. Nie dlatego, by brakło mu okazji czy zaufania do Jasmine; bardziej obawiał się własnej reakcji, czuł, że mógłby rozdrapać gojące się rany i powtórnie zakazić umysł nieuleczalnym smutkiem.

Przez cały tydzień Leesport spowijała ciepła lepka wilgoć, ale w piątek zerwał się wiatr od morza i pogoda zrobiła się tak piękna, że za zgodą Jasmine David, odebrawszy Benjiego ze szkoły, pojechał z nim wprost do przystani, a stamtąd na wyspę. Popołudnie spędzili grając w piłkę na plaży i pływając w morzu, i omal nie spóźnili się na ostatni powrotny prom. Ponieważ zrobiło się za późno na pracę w ogrodzie, David postanowił przyjść również nazajutrz, by dokończyć to, co zaplanował.

Piętnaście po ósmej rano w sobotę powitał go Benji, jeszcze w piżamie, terkocząc, że na razie nie może mu towarzyszyć, bo przyjechał jego tato i chce mu zaśpiewać swoją nową piosenkę. David rozgrzeszył go natychmiast, w głębi ducha czując ulgę, że będzie mógł bez zakłóceń przystrzyc resztę trawników.

Okolo południa kosiarka była już z powrotem w szopie, David zaś ulokował się za

kortem tenisowym, gdzie zamierzał posadzić resztę krzewów kupionych w centrum ogrodniczym dwa dni wcześniej. Właśnie kopał dołek pod nowy karłowaty różanecznik, kiedy posłyszał dobiegające zza żywopłotu głosy i ujrzał pięć osób w białych tenisowych kostiumach, które gawędząc szły powoli w stronę niewielkiej altany stojącej na przeciwległym krańcu kortu. Dodie szczeękła krótko, ostrzegając go, że w ogrodzie są obcy.

- Cicho! - skarcił ją półgłosem, obserwując grupę. Zza zakrętu wyjechał rozpedzony Benji na rowerze.

- Benji, uważaj! Omal nie przejechałeś Sama!

- Przepraszam, Sam! Przepraszam, tato! Cześć, David!

David podniósł głowę i pomachał mu na przywitanie.

- Kto to jest, Jennifer? - doleciał go kobiecy głos.

- David, nowy ogrodnik. Chyba powinnam zamienić z nim parę słów. Właściwie dotąd nie miałam okazji z nim porozmawiać. Alex, kochany, zagraj z Molly... Nie, to byłoby niesprawiedliwe. Russ zagra z Molly, a ty graj z Samem.

- Chryste, Jennifer, mamy grać w tenisa w samo południe? Jest za gorąco!

- Nie narzekaj. Znów cały tydzień spędzisz w klimatyzowanych samolotach. Zresztą wyjdzie ci to tylko na zdrowie, jeśli wypocisz trochę sadełka, leniuchu!

Rozległ się śmiech i urażony głos Alexsa:

- Piękne dzięki!

- Mamo, mogę przedstawić tacie Davida? - wtrącił się Benji.

- Właśnie, sam chciałbym poznać tego supermana!

- Cicho, Alex! Na litość boską, przecież on to słyszy. Idźcie już grać.

Dalsza rozmowa rozplynęła się w ogólnym gwarze i chrzęście rozpinanych pokrowców na rakiety. Nagle przykucnięty nad grządką David usłyszał szczeęk furtki i czyjś głos odezwał się tuż nad nim:

- Dzień dobry!

Ujrzał parę długich opalonych nóg, przysłoniętych w górze rąbkiem białej tenisowej spódniczki. Zerwał się, nie chcąc zostać posądzony o wykorzystywanie swej dogodnej pozycji do niecnych celów, i zobaczył przed sobą Jennifer. Od pierwszego spotkania widział ją tylko raz, przez chwilę, w zeszłą sobotę, kiedy przyjechał specjalnie na lekcję tenisa z Benjim. Wyszła na balkon, przyglądała im się przez kilka minut, a potem znikła w domu. Benji mówił coś o ważnym zleceniu, nad którym pracuje.

- Witam - odparł. - Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Przyjechałem, bo...

- Nie, oczywiście że nie! - wpadła mu w słowo. Spojrzała na wkopany przed chwilą

różanecznik. - Sadzi pan nowe rośliny?

Powiódł wzrokiem w ślad za jej spojrzeniem.

- Tak; niestety, poprzedni ogrodnik zostawił jednak tu i ówdzie puste miejsca.

Pomyślałem, że je wypełnię. - Zerknął na nią. - Mam nadzieję, że się pani zgadza?

- Ależ naturalnie! Gdzie pan je kupił?

- Znalazłem centrum ogrodnicze przy Montauk. Mają tam bardzo dobry towar.

- Ile pan zapłacił?

- Och, nie tak wiele - zastrzegł się z obawy, że będzie mu miała za złe zbyt wysoki rachunek. - Sam pokryję koszt tych paru krzewów...

- Proszę mi dać rachunek. Nie może pan przecież za mnie płacić.

- Ależ ja z przyjemnością...

Piłka przeleciała nad siatką i wylądowała na trawniku o dziesięć stóp od Davida.

Podszedł, podniósł ją i przerzucił z powrotem.

- Naprawdę musisz mi powiedzieć, ile ci jestem winna, Davidzie.

Po raz pierwszy zwróciła się do niego po imieniu. Uśmiechnął się zakłopotany i potarł dłonie, otrzepując z nich sproszkowaną ziemię.

- W porządku - zgodził się.

- A na przyszłość otwórz tam rachunek na moje nazwisko.

- Dobrze.

Obróciła się i powiodła wzrokiem po ogrodzie.

- Pięknie tu.

- Dopiero będzie ładnie.

- Już jest pięknie. Ty naprawdę znasz się na ogrodnictwie, co?

David podrapał się po karku.

- Hm, mam trochę doświadczenia.

Stali, patrząc sobie w oczy. Po chwili David speszony chwycił łopatę i znów nachylił się nad grządką.

- Davidzie?

Wyprostował się.

- Ja... - podjęła Jennifer z wahaniem - chciałam tylko powiedzieć, jak bardzo jestem ci wdzięczna za to, co robisz dla Benjiego. Uwielbia grać z tobą w tenisa i na ukulele, i... chętnie zapłacę ci ekstra za te jazdy do szkoły i w ogóle...

- Wykluczone! - odparował David trochę za ostro. Uśmiechnął się, żeby złagodzić ton.

- Ja naprawdę nie chcę za to brać pieniędzy. To dla mnie przyjemność. Benji jest wspaniałym

chłopcem.

Ta ostatnia uwaga wywarła na Jennifer nieoczekiwany efekt, objawiła bowiem w pełnej krasie jej naturalną urodę. Usta ułożyły się w szeroki uśmiech, ukazując lśniące równe białe zęby, na policzkach pojawiły się dołeczki, w kącikach oczu zaś sympatyczne drobniutkie kurze łapki, których przedtem nie było widać. David omal nie jęknął z wrażenia. Wbił wzrok w ziemię i zaczął ją dziobać szpadlem.

- No cóż, wobec tego dziękuję. - Westchnęła. - Ale obiecaj przynajmniej, że otworzysz mi rachunek w centrum ogrodniczym.

- To mogę obiecać. - Zerknął na nią z uśmiechem.

- Jennifer! - zawołał z kortu Alex.

- Tak?

- Wszystko w porządku?

- Tak!

- Co ty tam robisz? Gerry przyszedł, chodź się z nim przywitać!

Oboje zerknęli na przeciwległy kraniec kortu, gdzie sadowił się właśnie na leżaku wysoki i chudy młody człowiek o gładkich długich włosach zebranych w koński ogon.

- Już idę! - Jennifer uśmiechnęła się do Davida. - To na razie.

- Na razie.

Patrzył za nią przez chwilę, gdy okrążała siatkę, po czym znów nachylił się nad rabatą.

Gracze rozpoczęli właśnie drugiego seta, gdy na taras wyszła Jasmine, wołając Alexa do telefonu. Ten pospiesznie zszedł z boiska, prosząc mężczyznę z kucykiem, by zajął jego miejsce, i pobiegł w stronę domu. Jennifer, która odbijała piłkę z Benjim na trawniku, odprowadziła go przeciągłym spojrzeniem.

Po krótkiej dyskusji na temat wyniku gra na korcie potoczyła się dalej. Serwował starszy mężczyzna imieniem Sam, odbierał zaś wysportowany i bardzo ambitny Russ, któremu na połowie bliższej Davida partnerowała niska okrągłutka żona Sama, Molly.

Już po pierwszym serwie Russ podbiegł do Molly wyłuszczając jej szeptem swe nowe koncepcje taktyczne. Efekt był natychmiastowy: z następnych dwóch piłek, które powinna była odebrać, w jedną nie trafiła w ogóle, druga zaś potoczyła się leniwie pod siatkę. Russ obrócił się z rakieta na ramieniu i spojrzał na nią zdziwiony.

- Co ci się stało, Moll? Przedtem grałaś lepiej!

- Przepraszam - bąknęła słabo Molly wracając za linię podania, gdzie przyjęła skupioną pozę, by dowieść, że się stara. Sam zamachnął się mocno z góry; Molly odebrała bekhendem i piłka przeleciała ponad ogrodzeniem, lądując u stóp Benjiego na trawniku.

- O mój Boże! - wyjąkała nieco drżącym głosem. - Naprawdę cię przepraszam, Russ.

- To jest gra! - zawołał zza siatki Sam, ponownie serwując na pole Molly, skutkiem czego dwie następne piłki zgromadziły się pod ogrodzeniem tuż obok rabaty, na której pracował David.

- Teraz ty serwujesz, Moll - odezwał się Russ, sposepniały na myśl o czekającym ich pogromie. - Postaraj się im dokopać.

Molly udała się po piłki, mamrocząc pod nosem:

- Psiakość! Chciałabym wiedzieć, co ja takiego robię źle!

David podniósł głowę, nie przerywając pracy.

- Nic takiego - rzekł cicho.

Schylona po piłkę Molly zerknęła na niego spłoszona.

- Słucham?

- Proszę grać na bekhend pani męża, jest bardzo słaby.

- Ale ja nawet nie umiem przerzucić piłki nad siatką!

- Bo oni grają na pani bekhend. Niech pani przepuści piłkę i uderza forhendem.

Zobaczymy, co wtedy zrobią.

Stojący pod siatką Russ obejrzał się.

- Molly! Co ty tam robisz?

- Już idę! - odrzyknęła, uśmiechając się do Davida.

Nie przyglądał się dalszej grze, ale słyszał serię szybkich mocnych uderzeń. Wymiana piłek zakończyła się jękiem rozpaczy Sama i radosnym okrzykiem Russa:

- Brawo, Moll! Tak trzymać!

David zaśmiał się pod nosem z satysfakcją, wbijając palce w ziemię, aby poluzować korzeń wyjątkowo opornego szczawiu. Posłyszał chrzęst kroków. Molly podniosła kolejną piłkę.

- Bardzo panu dziękuję - powiedziała cicho. Podniósł głowę i widząc jej rozpromienioną minę puścił do niej oko. Zaraz potem szczaw został mu ręku.

Jasmine czekała na Alexa w drzwiach do holu.

- W gabinecie - oznajmiła, gdy wbiegł na taras, i odsunęła się, żeby go przepuścić.

- Dzięki. - Alex wszedł do gabinetu, starannie zamykając za sobą drzwi.

Jasmine wróciła do kuchni. Przełożyła z lodówki do przenośnej chłodziarki butelki z piwem i mrożoną herbatą, po czym zamknęła drzwi lodówki biodrem, trzymając w jednej ręce miskę sałatki, a w drugiej półmisek, na którym piętrzyły się kanapki z tuńczykiem. W

też chwili do kuchni wpadł Benji.

- Widziałaś gdzieś tatę?

- Jest w gabinecie.

- Fajnie! Chcę go poznać z Davidem! - rzucił, biegnąc do holu.

- Nie przeszkadzaj mu teraz, rozmawia przez telefon! - zawołała za nim, ale jednocześnie rozległ się okrzyk chłopca:

- Tato! Chodź, poznasz Davida!

Jasmine uśmiechnęła się i pokręciła głową. Postawiła talerz z kanapkami na misce, w drugą rękę wzięła chłodziarkę i ostrożnie ruszyła do holu.

Drzwi gabinetu były uchylone; widocznie Benji nie domknął ich, nim wrócił do ogrodu. Jasmine postawiła chłodziarkę na podłodze, podeszła i już prawie chwyciła za klamkę, gdy posłyszała cichy śmiech Alexa.

- Ty czarownico! - mówił półgłosem do słuchawki. - Nie wstyd ci opowiadać takie rzeczy przez telefon? Jesteś pewna, że nikt cię nie podsłuchuje?

Jasmine cofnęła wyciągniętą rękę, wahając się, czy przytknąć drzwi czy zostawić je tak, jak są.

- Słuchaj, naprawdę nie mogę. Obiecałem Jennifer, że ten weekend spędzę w domu. - Alex znów się zaśmiał. - Ja też się stęskniłem. Masz takie zręczne łapki, skarbie... ale musimy poczekać z tym do poniedziałku.

Jasmine przycisnęła rękę do ust i przerażona odwróciła się powoli, czując palące wypieki na policzkach.

- Wyjeżdżasz w poniedziałek?... Dlaczego mnie nie uprzedziłaś? Niech to szlag!... No jasne że chcę się z tobą spotkać. Słuchaj, jakoś się stąd wypłaczę... Nie, powiem, że wzywają mnie z firmy... Pozostaw to mnie. Naprawdę chcę się z tobą zobaczyć, nim wyjedziesz... Dobra, jestem u ciebie za jakieś dwie godziny.

Jasmine uznała, że słyszała już dość. Na palcach wróciła po chłodziarkę i pośpiesznie wyszła do ogrodu.

Alex odłożył słuchawkę. Siedział przez chwilę, bębniąc palcami w blat biurka. Po chwili wstał i podszedł do okna. Na trawniku przed domem Jennifer i Benji odbijali piłkę tenisową, licząc na głos odebrane podania. W końcu Jennifer posłała piłkę wysoko ponad głowę syna; chłopiec podrzucił raketę w powietrze, bezskutecznie próbując jej dosięgnąć. Potem skoczył, by podnieść raketę i piłkę, i zawołał coś do ogrodnika pielącego rabatę z tyłu za kortem. Jennifer także obejrzała się ze śmiechem, a mężczyzna podniósł się znad grządki i pomachał im ręką na znak, że słyszał i zgadza się z Benjim. Alex poczuł nieoczekiwane

ukłucie zazdrości, pałace i obezwładniające jak wstrząs elektryczny. Potrząsnął głową i ruszył w stronę drzwi, po drodze kopniakiem zasuwał krzesło.

- Psiakrew! Ale się porobiło! - syknął, ze złością trzasnąwszy drzwiami.

Na tarasie spotkał wracającą do domu Jasmine. Minęła go bez słowa, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Obejrzał się za nią, zaskoczony tym niezwykłym, odpychającym zachowaniem, po czym wzruszył ramionami, zszedł na trawnik i skierował się w stronę okalającego kort żywopłotu. Gracze właśnie postanowili odpocząć w altanie. Jennifer i Benji też skończyli grać i szli im naprzeciw.

- Hej, Alex! - zawołał do niego Russ. - Żałuj, że tego nie widziałeś! Molly grała jak w transie! Sama wygrała mecz! - Odwrócił się i wycisnął całusa na policzku zarumienionej partnerki.

- To faktycznie szkoda, że mnie nie było. - Alex uśmiechnął się blado i wepchnął ręce w kieszenie szortów.

Jennifer spojrzała na niego niespokojnie.

- Czy coś się stało?

- Poniekąd. - Alex zerknął na czubki swoich tenisówek. - Niestety, mam złe wieści, Jennifer. Muszę jechać.

Jennifer bezwładnie opuściła ręce, a Benji podbiegł do ojca i uczepił się jego dłoni.

- Nie możesz teraz nigdzie jechać, tato. Jeszcze ci nie pokazałem, jak dobrze gram w tenisa! Poza tym chciałem cię poznać z Davidem. Proszę, zostań!

- Wiem, Benji, i naprawdę strasznie mi przykro. Chciałem zobaczyć, jak grasz, ale to pilna sprawa.

- Aż tak pilna? - odezwała się Jennifer.

- Dzwonił Harry. Mówi, że gotów nam przepaść kontrakt w Dallas. Mam się z nim spotkać w biurze za dwie godziny. Podobno to nie może czekać do poniedziałku.

Jennifer cisnęła rakietę na trawnik.

- Na litość boską! Czy choć raz nie mogą się obyć bez ciebie?

- Wygląda na to, że nie mogą. Pewnie będę musiał polecieć do Dallas; jeszcze nie wiem.

Jennifer odwróciła się do znajomych i rozłożyła ręce.

- Przepraszam was, kochani.

- Tak, przepraszam wszystkich - dołączył się Alex. - Niestety, taka jest uroda tej pracy!

Wziął żonę pod rękę i przeszedł z nią w stronę tarasu.

- Słuchaj, naprawdę jest mi bardzo przykro.

Jennifer uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

- To nie twoja wina. Czasem tylko żałuję, że nawet weekendów nie spędzamy jak normalna rodzina, choćby tylko przez wzgląd na Benjiego.

- Rozumiem. - Alex się zawahał. - Słuchaj, nie wiem jeszcze, czy będę w Dallas, ale na pewno w środę wieczorem wylatuję stąd do San Francisco. Może zjedlibyśmy razem wczesną kolację?

Jennifer milczała przez chwilę, myśląc o pracy, jaką jeszcze miała do wykonania nad ofertą dla Tarvy'ego. Potem skinęła głową.

- Dobrze. Gdzie?

- Możemy wypróbować nową rybną restaurację na Czterdziestej Ósmej, między Lexington a Park Avenue. Nazywa się bodajże „Ocean”. Podobno jest dobra.

- O której?

- Nie będę mógł siedzieć zbyt długo. Zdażysz na siódmą?

- Jasne.

- Dobrze. Słuchaj, muszę lecieć. Przepróż Russa, że w końcu z nim nie zagrałem.

- Przeżyje to jakoś - Jennifer westchnęła. - Wszyscy przeżyjemy.

Alex uśmiechnął się nie patrząc jej w oczy.

- To do zobaczenia w środę. - Wbiegł na schodki.

- Alex?

- Tak?

- Czy mogłabym dostać buziaka?

Zawrócił i cmoknął ją w policzek.

- Do środy.

Ponownie wbiegł na taras, przeskakując po dwa stopnie, i nie oglądając się zniknął w domu. Jennifer stała jeszcze przez chwilę ze skrzyżowanymi ramionami, patrząc na pusty taras. Potem potrząsnęła głową i powoli wróciła do zebranego na koczku towarzystwa.

- Straszna szkoda. - Russ pociągnął łyk piwa z butelki. - I z kim ja teraz zagram?

- Na mnie nie licz! - roześmiał się Sam, który palił cygaro, rozparty na leżaku. - Nie mam zamiaru psuć sobie tak miłego popołudnia zawałem serca!

- Do tego wcale niepotrzebny ci tenis, Sammy - upomniała go stanowczo Molly. - Wypalasz za dużo tego świństwa, żeby wyszło ci to na zdrowie!

- Tylko nie zaczynaj, Moll! Gerry - zwrócił się do mężczyzny z kucykiem. - A może ty byś z nim zagrał?

Gerry potrząsnął głową.

- Nie, dla mnie tenis nie jest grą o zwycięstwo - rzekł z leciuteńkim irlandzkim akcentem. - Robię to czasem, żeby się trochę poruszać.

- Mamo? - odezwał się nagle Benji, który siedział po turecku na ziemi, skubiąc kępkę trawy.

- Tak, kochanie?

- Czy mogę ci coś powiedzieć na ucho?

Wszyscy obrócili się do nich, zaintrygowani.

- Dobrze.

Benji zerwał się podskokiem, podbiegł do matki i zarzuciwszy jej rękę na szyję, szepnął coś do ucha.

- Oj, nie sądzę, Benji.

- Dlaczego? To dobry pomysł.

- Wiem, kochanie, ale on jest teraz bardzo zajęty.

- Zapytajmy go. Albo przynajmniej zapytajmy Russa.

- O mnie mówicie? - Russ zbliżył się z groźną miną, wyciągając ręce, jakby go chciał udusić. Benji wrzasnął i schował się za matkę.

- Prędko, mamo, spytaj go, zanim mnie złapie!

- No, dobrze - zaśmiała się Jennifer. - Russ, Benji proponuje, żebyś zagrał z Davidem.

Russ zatrzymał się i spojrzał na nią pytająco.

- Kto to jest David? Słyszałem już dziś to imię.

- Ogrodnik. - Jennifer wychyliła się na bok i spojrzała na Davida, który rękami ubijał ziemię wokół świeżo posadzonych krzewów. - Słuchaj, Benji, on chyba nie zechce, żeby mu przeszkadzać. Naprawdę jest bardzo zajęty.

Russ obrócił się i zerknął w drugi koniec kortu.

- Umie grać?

- Jeszcze jak! - Benji podbiegł do Russa, chcąc go przekonać do swojego pomysłu. - Jest świetny! Daje mi lekcje i potrafi bardzo mocno uderzać!

- To chyba dobry pomysł - odezwała się cicho Molly i teraz wszyscy spojrzeli na nią.

- A ty skąd wiesz? - zdziwił się Sam.

Molly uśmiechnęła się.

- Powiedzmy, że udzielił mi paru cennych rad w czasie poprzedniej rozgrywki.

- Hm? - Russ spojrzał wyczekująco na Jennifer.

- Dobra, Benji, wygrałeś - poddała się. - Idź go zapytać.

Z radosnym okrzykiem Benji pobiegł do furtki.

Dodie, myszkująca wśród sosen na skraju zatoki, szczeknęła krótko na widok chłopca i popędziła go przywitać. David podniósł głowę.

- Cześć, Benji. Jak się bawicie?
- Dobrze. Słuchaj...
- Gdzie twój tato? Miałem nadzieję, że mi go przedstawisz.
- Tak, wiem. - Benji posmutniał. - Musiał jechać do pracy.
- Oj, to przykre. Może poznamy się następnym razem.
- Tak. Słuchaj...
- Słucham.
- Russ zwykle gra z tatą mecz, a taty nie ma.
- To szkoda.
- Tak, ale Russ... może być z nim zagrał?

David wstał z kolan i zerknął w drugi koniec kortu, gdzie wszyscy patrzyli na niego. Obrócił się do chłopca.

- Raczej nie.
- Dlaczego?
- Po pierwsze nie jestem odpowiednio ubrany.
- Możesz grać w tym, w czym jesteś, prawda?
- Poza tym nie mam butów.
- Przecież nie jesteś boso!
- Wiem, ale... Nie powinienem, Benji, mam robotę.
- Mama też cię prosi. Zagraj z nim, błagam, bo inaczej będzie marudził aż do wieczora!

David uśmiechnął się i po krótkim zastanowieniu skinął głową.

- Właściwie czemu nie?

Benji wydał triumfalny okrzyk.

- Zagra z tobą, Russ! Mówi, że zagra! - Złapał Davida za rękę i zaczął go ciągnąć wzdłuż bocznej siatki.

Jennifer wstała i wyszła im na spotkanie.

- Przepraszam, Davidzie, mam nadzieję, że nie budzi to twoich zastrzeżeń. To był pomysł Benjiego.

- Domyśliłem się. Niestety, brakuje mi odpowiedniego obuwia.
- Mówiłem mu, że może grać w tych butach, które ma na sobie, mam - wtrącił Benji,

wciąż trzymając go za rękę. - Buty taty będą na niego za małe.

- Raczej tak - Jennifer zerknęła na sfatygowane adidasy Davida. - Te będą dobre. Chodź, poznasz swego przeciwnika.

Przedstawiła go Russowi i reszcie towarzystwa. Molly obdarzyła go szerokim uśmiechem, ściskając mu dłoń. Gerry zerwał się z leżaka i podał mu swoją raketę.

- Będzie panu potrzebny oręż.

David schylił się i dokładnie wytarł ręce o trawę, nim ujął raketę.

- Dzięki. - Zerknął na kort, gdzie Russ ćwiczył już bezbłędne mocne serwy w róg pola przeciwnika. - A zatem do boju!

Po krótkiej wymianie piłek posyłanych to w jeden, to w drugi róg, by zorientować się w słabościach przeciwnika, Russ uznał, iż w dostatecznym stopniu ocenił już grę Davida i przerzucił piłki na jego połowę.

- Dobra, nie traćmy czasu - mruknął. - Serwuj. - Cofnął się i puścił do Jennifer oko, przygotowując się do odebrania pierwszego serwu.

Nie udało mu się w ogóle dotknąć piłki - w każdym razie nie raketą. Nadleciała wprost na niego jak kula karabinowa, złośliwie odbiła się od linii podania i tylko dzięki temu, że odchylił głowę, nie trafiła go w oko, lecz z głuchym plaśnięciem odbiła się od kości policzkowej. Kobiety jęknęły, Sam chrząknął z ukontentowaniem, Benji zaś - o wiele mniej taktownie - wydał triumfalny okrzyk.

- Psiakrew! - syknął Russ, stojąc jak słup i spoglądając z niedowierzaniem na Davida. Ten przepaszająco uniósł ręce.

- Wybacz!

Pocierając bolący policzek, Russ cofnął się jeszcze głębiej i obróciwszy raketę w dłoni przygotował do odebrania kolejnego serwu.

Tym razem piłka nie była podkrecona. Uderzyła w róg pola i Russ, który oczekiwał, że znów odbije się w jego stronę, musiał rzucić się za nią, chcąc jej dosięgnąć. Nie udało mu się; nie zdołał również wyhamować przed boczną siatką i wpadł na nią z impetem, osłaniając rękami twarz.

Widownia milczała jak zaczarowana, jeśli nie liczyć paru stłumionych chrząknięć. Russ podniósł upuszczoną raketę i wrócił na kort, zerkając po drodze na Jennifer.

- Skąd wzięłaś tego gościa? - szepnął.

- Ze Szkocji - odparła również szeptem.

- Jezu! Nie wiedziałem, że tam w ogóle znają tenisa!

Trzepnął raketą o podeszwę buta - bardziej po to, by odreagować wściekłość niż dla

jakiegokolwiek wyraźnego pożytku - i ponownie przygotował się na odebranie potężnego serwu, czując w duchu, że jest to niewykonalne.

Przed końcem czwartego gema zdawał już sobie sprawę, że nie dorównuje przeciwnikowi. W ogóle nie był w stanie przewidzieć, co tamten zrobi. Jeśli serwował mocno z góry, David odbierał piłce cały impet i przerzucał ją nad siatką pod takim kątem, że Russ nie mógł jej dosięgnąć ze środka kortu. Wolne, podkreścone piłki ogrodnik potrafił odebrać tuż przy siatce, waląc w nie z woleja jak młot parowy, nim jeszcze Russ zdążył dotrzeć do połowy swego pola. Klnąc pod nosem i unikając spojrzeń widzów przyglądających się temu w grobowej ciszy, Russ odbijał piłkę byle dalej, przygotowując się na nieuchronny *coup de grâce*.

Od tego momentu coś bardzo złego zaczęło się dziać z grą Davida. Serwy trafiały o cal poza linię lub grzęzły w siatce, odebrane piłki zaś albo leciały za daleko, albo też trafiały w obręcz rakiety i kiksowały na aut. Russ, ośmielony nagłą zmianą passy, znów zaczął grać pod publikę, puszczając do przyjaciół oko, ilekroć wygrał gem, i kwitując radosnym okrzykiem każdy zepsuty serw Davida. W ciągu dwudziestu minut doprowadził do piłki meczowej; zwycięstwo miał już w zasięgu ręki. Zaserwował z góry tuż za siatkę, wychylony w przeciwną stronę David zupełnie minął się z piłką. Russ triumfalnie podrzucił raketę i podbiegł do siatki z wyciągniętą ręką, szczęśliwy, że udało mu się rozstrzygnąć mecz na swoją korzyść.

David podszedł do niego i uścisnął mu dłoń.

- Świetna gra, Russ. Miło mi było.

- Mhm, mnie też. Całe szczęście, że w końcu cię rozszyfrowałem. Przez chwilę myślałem, że już po mnie.

Zeszli z kortu wśród oklasków i wielu pochwalnych uwag na temat poziomu i dramatyizmu gry. Benji wszakże zbliżył się do Davida z zawiedzioną miną.

- Myślałem, że go pobijesz, a ty nagle zacząłeś grać tak jak ja!

David roześmiał się.

- To się czasem zdarza w tenisie, Benji. Z początku wszystko idzie dobrze, a potem nagle bum! i już nie możesz sobie poradzić.

Russ rzucił raketę na trawę i wyjął piwo z przenośnej chłodziarki.

- Napijesz się piwa, David?

- Nie, dzięki, muszę dokończyć to, co robiłem.

- Chyba nie będziesz się zamartwiał porażką, co? - Russ zdjął kapsel i pociągnął łyk piwa. - Mecz był przez cały czas bardzo wyrównany.

- Nie, to ci mogę obiecać! - uśmiechnął się David.

Jennifer spojrzała na nich z leżaka.

- Naprawdę nie musisz wracać do pracy, Davidzie.

- Szczerze mówiąc, muszę. Chcę posadzić dziś resztę tych krzewów, bo do jutra zwiędną.

- No cóż... w każdym razie dziękuję, że zgodziłeś się zagrać z Russem.

Kiwnął głową i wrócił na swoją grządkę.

O piątej ostatni krzew tkwił już w ziemi. David jeszcze raz podlał wszystkie, potem zebrał narzędzia, gwizdnął na Dodie i obszedł kort kierując się w stronę szopy. Pod altaną nikogo już nie było; rozgrywki tenisowe skończyły się godzinę wcześniej.

Kiedy doszedł do naroża żywopłotu, naprzeciwko ujrzał Jennifer w towarzystwie Gerry'ego. Na jego widok przystanęli, czekając, aż się z nimi zrówna.

- Gotowe? - zapytała Jennifer.

- Tak, wszystkie już rosą.

Uśmiechnęła się.

- Davidzie, nie wiem, czy zostaliście sobie przedstawieni. To jest nasz szalony Irlandczyk, Gerry Reilly.

David przełożył narzędzia do lewej ręki i wyciągnął prawą.

- Miło mi cię poznać, Gerry.

- Gerry - ciągnęła Jennifer - ma tu niedaleko studio nagraniowe i właśnie dostarczono mu nowy... co to było?

- Mikser.

- Aha. No więc dostarczono mu nowy mikser, którego nie jest w stanie sam wnieść do studia i chciał zapytać, czybyś mu nie pomógł. To znaczy, jeżeli nie masz innych planów na wieczór.

- Naturalnie. To żaden problem.

- Będę ci dozgonnie wdzięczny! - Gerry zatarł ręce. - Chcę go podłączyć, bo jutro przyjeżdża zespół, i musiałbym się z nim szarpać sam. Wezmę tylko moje rzeczy z domu i spotkamy się przy samochodzie. Masz tu wóz?

- Tak.

- To będziesz jechał za mną. Naprawdę z niczym ci to nie koliduje?

- Naprawdę. Jestem wolny jak ptak.

- No to świetnie. Zaraz będę! - Gerry wbiegł na taras i zniknął w wnętrzu domu.

Jennifer ruszyła za nim, ale zatrzymała się i obróciła do Davida.

- Mogłeś z nim wygrać, prawda?

- Słucham?

- Daj spokój, wiesz, o czym mówię. Mogłeś pokonać Russa.

David uśmiechnął się, przekrzywił głowę na jedno ramię, potem na drugie.

- Może i mogłem...

- Dlaczego więc tego nie zrobiłeś?

- Bo doszedłem do wniosku, że to nie byłoby, hm...

- Dyplomatycznie?

- Mniej więcej.

Jennifer przesunęła czubkiem buta po żdźbłach traw.

- To bardzo nieamerykańskie, lecz zarazem bardzo uprzejme z twojej strony. W poniedziałek miałabym piekło w pracy, gdyby Russ przegrał.

David skinął głową.

- Domyślałem się, że mógłby to znieść nie najlepiej.

- Słusznie się domyśliłeś. - Jennifer zaśmiała się cicho. Splotła ramiona i znów spojrzała pod nogi, wygładzając podeszwą trawnik. - No to... do następnego weekendu.

- Do zobaczenia.

Patrzył przez chwilę na jej długie nogi, bez wysiłku pokonujące po dwa stopnie na raz. Potem gwizdnął na Dodie i ruszył w stronę szopy.

ROZDZIAŁ 22

Słowa „szalony Irlandczyk”, jakimi Jennifer określiła Gerry'ego Reilly'ego, okazały się trafne w stu procentach. David miał okazję się o tym przekonać, kiedy stał za jego nie najmłodszym już maserati, czekając na wolny wyjazd z Barker Lane. Gerry nagle wystartował z piskiem opon, celując w ledwie widoczną lukę między dwoma samochodami, skutkiem czego nadjeżdżająca furgonetka zatoczyła się na pobocze, a jej kierowca z całej siły nacisnął klakson. Gerry tylko dodał gazu, aż dym poszedł z asfaltu, i zanim David sam wydostał się na główną drogę, zobaczył już tylko czerwoną plamkę na horyzoncie. W efekcie musiał wycisnąć z volkswagena prędkość, z jaką stary garbus przypuszczalnie nie jeździł nawet w latach młodości, bezowocnie usiłując doścignąć Irlandczyka.

Trzy mile na wschód od Leesport porzucił nadzieję, iż ujrzy jeszcze Gerry'ego lub jego wóz, gdy pokonując z nadmierną prędkością ciasny zakręt w prawo spostrzegł na poboczu maserati. Na szczęście Gerry musiał zerknąć w lusterko i zorientować się, że go zgubił. Gdy David zwolnił, Gerry włączył się znów do ruchu, tym razem utrzymując rozsądne tempo, i po stu jardach zasygnalizował zjazd w prawo. David skręcił za nim w zarośniętą wyboistą dróżkę prowadzącą do dużej drewnianej stodoły. Tam Gerry zatrzymał się, wyskoczył z wozu i podbiegł do volkswagena, by otworzyć Davidowi drzwi.

- Strasznie ci jestem wdzięczny - powtórzył. - Próbowałem go wczoraj sam przesunąć, ale omal nie pozbyłem się sprzętu i kręgosłupa za jednym zamachem!

David wysiadł, naciągnął dach, żeby zatrzymać Dodie w samochodzie, i ruszył za Gerrym ku wielkim podwójnym wrotom stodoły.

- We dwóch powinniśmy dać sobie radę - ciągnął Irlandczyk. - Trzeba go po prostu wstawić i podłączyć. - Otworzył małe drzwiczki wycięte we wrotach i gestem zaprosił Davida do środka.

Część stodoły została przekształcona w otwarte wnętrze mieszkalne. Na środku stare sofy i fotele otaczały olbrzymi dębowy stół. Z boku ciągnęła się odgradzona barem część kuchenna, jadalnia zaś mieściła się pod otoczoną balustradą antresolą, na której widać było tylko wezglowie wielkiego podwójnego łóżka. W powietrzu unosił się zastarzały odór piwa i

papierosów, jakby poprzedniej nocy odbyła się tu libacja.

Gerry podszedł do lodówki, wyjął z niej dwie butelki piwa, odkapslował je zręcznie trzonkiem łyżki i podał jedną Davidowi.

- Robota nie zajac - oznajmił. - Nie ucieknie.

- Pociągnął łyk i kiwnął na Davida, żeby szedł za nim.

Za drzwiami w przeciwległej ścianie, obok części jadalnej, znajdowały się kolejne drzwi. Gerry pchnął je, nacisnął kilka włączników i potoki światła zalały wnętrze studia nagrań. Miało ono tylko połowę wysokości i trzy czwarte powierzchni części mieszkalnej. Na końcu wydzielono mniejsze pomieszczenie odgródzone dźwiękoszczelną ścianą, w którą wprawiona była duża podwójna szyba. Przednią salkę wypełniały instrumenty: stały tu dwa keyboardy, perkusja, sporo gitar rozmieszczonych chaotycznie na metalowych stojakach. Płatanina przewodów łączyła to wszystko z wielką tablicą umieszczoną pod oknem reżyserki. Za szybą dwie silne lampy oświetlały konsolę z ziejącą pośrodku wielką dziurą.

- Przepraszam cię za ten bałagan - rzekł Gerry, zręcznie klucząc pomiędzy instrumentami. - Chłopcy mieli tu wczoraj próbę, wyjechali dopiero o trzeciej nad ranem. Nie są zbyt porządnicy.

- Co właściwie nagrywasz? - spytał David idąc w ślad za nim.

Gerry roześmiał się.

- Wszystko, na czym można zarobić. Generalnie płyty, ale także przerywniki dla rozgłośni radiowych i tym podobne. - Otworzył podwójne drzwi do reżyserki. - Tak zresztą poznałem Jennifer. Nagrywałem dla nich kilka reklam.

Przeszedł w kąt pokoju i ostrożnie zdjął płótno okrywające mikser.

- To moja nowa zabawka - obwieścił z dumą. - Śliczna, prawda?

David przytaknął ruchem głowy. Co prawda zupełnie się na tym nie znał, ale doszedł do wniosku, że jeśli piękno mierzyć ilością pokręteł i ciekłokrystalicznych wyświetlaczy, rzeczywiście było to urządzenie rzadkiej urody.

- Dobra. - Gerry wcisnął się między mikser a ścianę. - Spróbuj złapać go od spodu.

David odstawił piwo i pochylił się. Po kilku manewrach mikser stał w odpowiedniej pozycji, po czym został wsunięty prosto w lukę w pulpicie.

- I już! Idealnie! Dzięki, stary! - Gerry wlaź za konsolę i wyciągnął snop luźnych przewodów. - Teraz muszę tylko powtykać te kable w odpowiednie dziurki.

David wziął swoje piwo i oparł się o ścianę patrząc, jak Gerry podłącza przewody do właściwych wejść.

- Zatem nagrywasz różne gatunki muzyki?

- W sumie tak. W ogóle mam trochę szczęścia, bo jestem w branży już na tyle długo, że ludzie sami mnie szukają. Dlatego mogłem się przeprowadzić na wieś. - Gerry uśmiechnął się szeroko. - Pozwól, niech się pochwalę. W branży nazywają mnie Szczurołapem, bo wywabiam im kapele z miasta!

- To jesteś w dobrej sytuacji. Gdzie przedtem pracowałeś?

- Miałem małe studio w Greenwich Village, ale zrobiło się tam za drogo. Kupiłem tę budę jakiś rok temu, no i zaraz obudziłem się z ręką w nocniku, bo okazało się, że żadne towarzystwo nie ubezpieczy mi sprzętu, jeśli będzie stał w drewnianym budynku. - Gerry machnął ręką dokoła. - Musiałem obudować to od wewnątrz cegłą; dlatego ta część jest o wiele mniejsza. Plus, oczywiście, dźwiękochłonna wyściółka. Mówię ci, kosztowało mnie to fortunę!

- I zespołom chce się jechać taki kawał drogi?

- Trochę ryzykowałem, ale wyobraź sobie, że najwyraźniej im to odpowiada. Wynajmują sobie pokoje w pensjonatach, a potem, ponieważ większość nagrań odbywa się wieczorem lub nocą, byczą się na plaży. Ci bardziej usportowieni idą pograć w tenisa albo golfa w tutejszym klubie. - Zachichotał. - Ubaw po pachy, mówię ci! Klub ma ścisłe zasady, jeśli chodzi o ubiór, a wyobrażasz sobie, w jakich strojach wchodzi tam co poniektórzy rockmeni?

David się roześmiał.

- I klub przymyka na to oko?

- Sam nigdy przy tym nie byłem; wolę, żeby tubylcy nie zorientowali się, kto jest winny najazdowi tych gości. Ale wiesz: zawsze ktoś ich pozna, członkowie klubu albo ich dzieci, i naginają nieco zasady. Podejrzewam, że prowadzą ich na kort albo pole golfowe o świcie, zanim zjawią się stare pierniki i zaczną narzekać. - Przebierając w palcach garść przewodów Gerry przez minutę kalkulował w duchu, jak powinny biec. - Potrzymaj na chwilę! - Podał mu przewody, obszedł konsolę z drugiej strony i przykucnął za nią.

- Zatem większość tych zespołów jest znana?

- Można tak powiedzieć. - Gerry wychylił się zza konsoli. - Ci jutrzejsi mają tu nawet nieoficjalny fanklub. Grają coś między folkkiem a rockiem. Nazywają się Dublin Up. Może o nich słyszałeś?

- Niestety, nie. Mówiąc szczerze, dosyć dawno wziąłem rozbrat z muzyką.

- Grałeś?

- A! - David lekceważąco machnął ręką. - Mieliśmy zespół w czasach studenckich, ale to stare dzieje.

- Na jakim instrumencie?

- Gitara prowadząca.

- Świetnie! - Gerry podłączył dwa ostatnie przewody i podniósł się z kłęczek. Przerzucił kilka przełączników na konsoli i z dwóch wielkich kolumn za plecami Davida dobył się przeraźliwy zgiełk. Gerry szybko przekręcił dwie gałki i hałas ucichł, pozostał tylko głośny szum. Irlandczyk wskazał widoczne za szybą studio.

- Tam masz gibsona. Chcesz spróbować?

David przyjrzał się stojącej na środku błękitnej gitarze.

- Można?

- Jasne. Zaraz sam do ciebie dołączę.

David przeszedł do studia, zdjął gitarę ze stojaka, zarzucił sobie pasek na szyję i wyjął zatknięte między struny piórko, wydając dysharmoniczny dźwięk, który rozległ się w głośnikach. Zagrał kilka akordów, by się upewnić, że instrument jest nastrojony, potem na próbę przebiegł palcami po strunach. W tejże chwili wszedł Gerry.

- Bert Jansch, co?

- Widać nie było tak źle, skoro poznałeś - uśmiechnął się David.

- Nieźle? Człowieku, znam parę gwiazd, które wcale nie grają lepiej! - Gerry zdjął ze stojaka półakustyczną gitarę ovation i przysiadł na chromowanym stołku z obitym skórą siedzeniem. - Ładnie jak na ogrodnika! Najpierw tenis, teraz gitara... Co jeszcze umiesz?

- To już chyba wszystko. - David parsknął śmiechem. - Miałeś pecha być świadkiem sumy moich umiejętności w jednym dniu.

- I dzięki Bogu! - wykrzyknął Gerry, dostrajając gitarę. - W zupełności mi to wystarczy. Jeszcze trochę i wpędziłbyś mnie w kompleksy. - Zagrał trzy szybkie akordy. - Dobra, Davie, zasuważ! Noc jeszcze młoda!

ROZDZIAŁ 23

Duncan Caple szedł przez pusty parking Glendurnich i obracał w palcach pęk kluczy, chcąc wyłowić ten od głównego wejścia do biurowca. Była siódma rano w poniedziałek. W pracującej non stop gorzelni panował ruch, lecz część administracyjna była jeszcze zupełnie pusta.

Duncan udał się wprost do swojego gabinetu. Położył aktówkę na biurku, zdjął marynarkę i powiesił ją na oparciu krzesła, po czym nacisnął samowybierający przycisk na aparacie telefonicznym. Czekał na połączenie rozpiął aktówkę i wyjął z niej gruby napisany na maszynie dokument. Zaczął go przeglądać, słuchając zniekształconego długiego sygnału, który rozlegał się z głośnika.

Po dziesiątym dzwonku zaklął cicho i pochylił się, by wyłączyć telefon, lecz w tej samej chwili ktoś odebrał.

- Halo?

Duncan szybko podniósł słuchawkę.

- John? Tu Duncan.

- Duncan! Dobrze, że mnie złapałeś, właśnie szedłem do samochodu. Jak ci leci? Miałem dziś do ciebie dzwonić, ale prawdę mówiąc nigdy nie wiem kiedy.

- Wybacz, że się nie odzywałem, ale chciałem najpierw mieć w rękach komplet papierów.

- Są gotowe?

- Tak. I powiem ci, że wygląda to bardzo przekonująco. Giles odwalił kawał dobrej roboty, żeby sprzedać pomysł, a Keith to samo, jeśli chodzi o liczby. Oczywiście projekt przedstawiony jest w dość uproszczonej formie, ale musi taki być, żeby robotnicy połapali się, o co w tym wszystkim chodzi. Przeczytałem go od deski do deski i śmiem twierdzić, że nie powinniśmy mieć większych trudności z jego przepchnięciem.

- Ależ to wspaniale! Moje gratulacje! Mogę dostać kopię?

- Prześlę ci dziś kurierem.

- Świetnie! Zdecydowałeś się już, kiedy przejdziemy do ataku?

- Którego dziś mamy? Piętnasty czerwca... - Duncan przysunął sobie kalendarz biurkowy i przerzucił stronę. - Nie chcę działać pochopnie, John. Potrzebny mi miesiąc, żeby wszystko przygotować. Chcę mieć pewność, że plan się powiedzie. Ty chyba też, prawda? W związku z tym wolałbym nie naciskać zbyt mocno. A zatem... co powiesz na piątek siedemnastego lipca?

- Nie da rady wcześniej?

- Nie. Uwierz mi: im ostrożniej działamy, tym większa szansa, że obejdzie się bez przykrych niespodzianek.

- Jesteś pewien, że ich unikniemy?

- John, pracuję tu od roku i wiem, jak to wszystko działa. Rodzina Inchelvie szczyci się tym, że oparła firmę na dobrych stosunkach z załogą i jest to dla nich kwestia priorytetowa. I mimo że załoga ma tylko trzydzieści jeden procent udziałów, jeśli jednogłośnie opowie się za naszym projektem, Inchelvie się ugnie. Na to mogę ci dać słowo. Zresztą kiedy przeczytasz projekt, sam się przekonasz, że warunki umowy także dla niego są nader atrakcyjne.

- Wiadomo coś o Corstorphinie?

- Ani słychu. O ile wiem, zaszły się gdzieś w Stanach i z pewnością nadal roni gorzkie łzy. Nie sądzę, byśmy musieli się z nim liczyć.

- W porządku, ty to wiesz najlepiej. Umawiamy się więc na piątek siedemnastego lipca. Jest jeszcze jedna rzecz, o którą chcę cię prosić.

- Tak?

- W ciągu tego miesiąca muszę mieć z tobą względnie stały kontakt. Rozumiem przez to swobodny dostęp przez telefon, faks i pocztę elektroniczną. Trudno mi trzymać rękę na pulsie, gdy jestem zdany na twoje sporadyczne telefony.

- To prawda.

- A stały kontakt jest niemożliwy, dopóki ta twoja stara wiedźma siedzi przy centralce.

- Mhm - Duncan pokiwał głową.

- Musisz się jej pozbyć. To ważne. Jak sam powiedziałaś, potrzeba nam czasu, żeby wprawić tryby w ruch, i nie możemy sobie pozwolić na przeciek przed wyznaczoną datą. Ta... jak jej tam?

- Margaret.

- Właśnie. Jak szybko możesz dać jej kopa?

- Hm... wolałbym uniknąć wiążącej odpowiedzi. Babsko już jest w wieku emerytalnym, ale cieszy się olbrzymim poparciem zarówno tu, w firmie, jak i u starego

Inchelviego.

- Nic na to nie poradzę. Po prostu przez najbliższy miesiąc trzymaj starego z dala od Glendurnich. Dzwon do niego, odwiedzaj go, jeśli będziesz musiał; po prostu informuj go dostatecznie często i wyczerpująco, żeby nie czuł potrzeby kontaktowania się z firmą. Co się zaś tyczy Margaret, daj jej o wiele większą odprawę, niż jej przysługuje, i oczywiście rozgłoś, że otrzymała hojną gratyfikację. I niech ci to nie spędza snu z powiek. Po prostu zwolnij ją i już. Rozumiemy się?

- Dobrze.

- Świetnie. A zatem czekam na dokumentację. Pogratuluj ode mnie chłopcom.

Duncan odłożył słuchawkę i okręcił się na krześle, żeby spojrzeć przez okno. Siedział tak przez chwilę, pocierając machinalnie policzek i układając w myśli wypowiedzenie dla Margaret. Potem z lekkim uśmieszkiem w kąciku ust wyjął pióro z wewnętrznej kieszeni marynarki i zaczął przelewać je na papier.

ROZDZIAŁ 24

Benji wpadł zdyszany do kuchni, rzucił raketę na stół i obrócił się do Davida, który wbiegł tuż za nim.

- Pierwszy! - zawołał triumfalnie.

- W porządku, ale dałem ci fory.

- Bo jesteś szybszy ode mnie.

- Nie bardzo. Chyba byłoby sprawiedliwiej, gdybyś to ty dał mi fory.

- Akurat! - Benji podszedł do lodówki i wyjął z niej dwie oszronione puszki coca-coli.

- Łap!

David wychylił się do przodu, by chwycić rzuconą niedbale puszkę, lecz ta wyśliznęła mu się z ręki, uderzyła o kant stołu i spadła przedziurawiona na podłogę, plując naokoło spienionym płynem. Jasmine, która właśnie wyjmowała zapiekankę z piekarnika, obróciła się, by zobaczyć, jak słodki lepki potok zalewa wypolerowane płytki.

- Na litość boską, Benji, co ty wyprawiasz? - huknęła, z łoskotem stawiając rynkę na blacie. Cisnęła rękawice w ślad za rynką i schyliła się po ścierkę. - Idź, odłóż tę raketę na miejsce! I to już!

Benji, zaskoczony jej nerwową reakcją, zerknął ostrożnie na Davida, który ruchem głowy pokazał mu, że tym razem powinien usłuchać bez gadania..

David pochylił się i podniósł puszkę, zatkawszy palcem otwór przeniósł ją nad zlew i wylał resztę jej zawartości.

- Przepraszam - bąknął. - To także moja wina.

- Jasne! Powinieneś być ją złapać! - odwarknęła Jasmine przyklękając, żeby zetrzeć podłogę.

Zrobił zdziwioną minę, równie jak Benji zaskoczony jej wybuchem. Przykucnął obok niej.

- Daj, ja to zrobię.

Odsunęła się.

- Dam sobie radę!

David wstał i patrzył przez chwilę, jak Murzynka z furją jeździ ścierką po podłodze.

- Jasmine?...

- Czego znowu?

- Czy coś się stało?

Znieruchomiała na moment, po czym zdwoiła wysiłki.

- M n i e nic. - Znow się zatrzymała, pociągnęła nosem i otarła oczy wierzchem dłoni.

David ponownie przykucnął i położył jej dłoń na ramieniu.

- O co chodzi? - spytał.

Podniosła na niego oczy pełne łez.

- Właściwie nic takiego. Przypadkiem podsłuchałam coś w sobotę i... chciałam cię poprosić o radę... - Zerknęła przez jego ramię. - Ale nie teraz.

W drzwiach kuchni stał Benji.

- Przepraszam - rzekł cichutko. - Ja naprawdę nie chciałem.

Jasmine wstała, wyjęła ścierkę i pochyliła się nad nogą stołu.

- Wiem, że nie chciałeś - mruknęła. - David też nie chciał. A ja nie chciałam na ciebie krzyczeć. Po prostu mam dziś zły humor.

Chłopiec podbiegł, uwiesił się jej na plecach i zaczął raz po raz całować ją w skręcone włosy. Musiała się podeprzeć obiema rękami, żeby nie paść plackiem na podłogę.

- Już dobrze, Benji, zejdz ze mnie. Mówię ci, złaż! Przyjmuję twoje przeprosiny!

- Hura! - Benji zsunął się z jej pleców. - To co, David, przyjdiesz posłuchać?

- Za chwilę. Teraz poćwicz. Ja tylko zamienię słówko z Jasmine.

- Dobra! - Benji odwrócił się i popędził na piętro.

Jasmine dźwignęła się na nogi, nieufnie oglądając wytartą podłogę.

- Co wy tam znow knujecie?

- Chodzi o jego piosenkę. Na jutro ma być gotowa. Będą ją puszczać w szkolnym radiowęźle za kwadrans dziewiąta.

Jasmine uśmiechnęła się i podeszła do zlewu, żeby wypłukać ścierkę.

- W jakiej sprawie chciałaś się mnie poradzić? - podjął.

Potrząsnęła głową, rozwieszając ścierkę na zlewie.

- To może poczekać. Pogadamy kiedyś, gdy Benjiego nie będzie w domu. Nie chcę ryzykować, że mógłby to usłyszeć. - Wzięła zapiekanke, wstawiła ją na powrót do piekarnika i przekreśliła programator. - Zresztą i tak masz ważniejsze zajęcia niż słuchanie starej baby.

David wzruszył ramionami i udał się na górę. Benji siedział na łóżku z ukulele,

wpatrując się w rozpostartą na kolanach kartkę.

- To jest głupie! - Odepchnął od siebie instrument, a kartkę zmiażdżył i rzucił na podłogę, po czym padł na wznak na łóżko.

David schylił się, podniósł kartkę i rozprostował ją w palcach.

- Wcale nie jest głupia - rzekł po chwili. - Całkiem niezła. Co ci się w niej nie podoba?

- Jest o m i ł o ś c i - mruknął cicho Benji.

- I co z tego? Wszystkie dobre piosenki są o miłości. O czym chcesz pisać? O tenisie?

Benji zerknął na niego ponuro.

- Nie gadaj głupstw. Kto by chciał słuchać piosenki o tenisie?

- No właśnie. Słowa są fajne, nawet trochę nietuzinkowe. Poza tym masz tu bardzo dobry rytm w pierwszej frazie: ko-cham-cię, ale serce mi pęka, serce z rozpaczy się gniew! - Wystukał dłońmi takt. - Wpada w ucho.

- Ale wszyscy się będą ze mnie śmiali, jeśli to pójdzie przez radiowęzeł.

- Dlaczego? Melodię znasz, potrafisz ją dość dobrze zagrać, śpiewać też umiesz.

- Ale nazwą mnie babą, że śpiewam o miłości.

David przysiadł na łóżku, opierając się o ścianę.

- Ile to jest dla ciebie warte? - spytał.

- Nie rozumiem.

- Powiedzmy, że jestem producentem i mówię ci: „Dobra, Benji, dam ci dziesięć dolarów, jeśli będą się z ciebie śmiać, a dwadzieścia, jeśli nie będą. Idziesz na to?”

Benji spojrzał na niego, marszcząc brwi.

- To głupia umowa. W obu wypadkach tracisz.

- Może ja po prostu wiem, że nie będą się z ciebie śmiać. Dobra, wydam dwadzieścia dolarów, ale zyskam hit, na którym zarobię masę forsy. Inaczej nie składałbym ci takiej oferty.

Benji milczał przez chwilę.

- Naprawdę uważasz, że jest aż tak dobra?

David z powagą skinął głową, unosząc brwi.

- Jejku... - W oczach Benjiego zalśnił miraż przyszłej sławy.

- To jak? Umowa stoi?

- Stoi! - Chłopiec zerwał się z łóżka, chwycił ukulele i zagrał kilka pierwszych akordów. - Co teraz?

- Teraz musimy znaleźć magnetofon.

Benji namyślał się przez chwilę, po czym skoczył do szafy stojącej w kącie pokoju,

gwałtownie otworzył drzwi i zaczął z niej wygarniać dawno już nieużywane zabawki. W końcu z czeluści wyłonił się niewielki plastikowy magnetofon.

- Może być ten?

David podszedł, wziął od niego magnetofon, przyjrzał mu się i pogardliwie odrzucił go na łóżko.

- Do niczego, co? - Benji zwiesił głowę.

- Niestety, tak. Jeśli chcemy nagrać przebój, musimy to zrobić profesjonalnie.

Benji z wysiłkiem przełknął ślinę.

- To znaczy jak? - szepnął.

- Chodź. Sam zobaczysz.

Dwadzieścia minut później ukryty za plecami Davida Benji zaglądał do studia nagrań Gerry'ego. Jak zaczarowany wpatrywał się z otwartą buzią w czterech obecnych w studiu muzyków. David, czując, że chłopiec ciągnie go za koszulę, nachylił się, lecz musiał przytknąć ucho do jego ust, by cokolwiek usłyszeć w powodzi ogłuszających dźwięków.

- David, ci faceci to Dublin Up - wyszeptał gorączkowo Benji. - Oni są n a p r a w d ę sławni!

David mrugnął do niego i potwierdził skinieniem głowy. Buzia chłopca otwarła się jeszcze szerzej.

Gerry dostrzegł ich z realizatorki, zamachał gwałtownie rękami dając znak muzykom, że mają przerwać, wyłączył jakiś przycisk, zdjął słuchawki i po chwili także wszedł do studia.

- Co do k...

Gerry ruchem ręki powstrzymał długowłosego skrzypka.

- Spokój, panowie. Młodziez słucha. - Podszedł bliżej i rzucił okiem na Benjiego, który starał się całkiem schować za Davidem razem ze swoim ukulele. - Cześć, Benji. Słyszałem, że napisałeś piosenkę i chciałyś ją nagrać.

Chłopiec nie zdołał wydobyć z siebie głosu; podniósł tylko udręczony wzrok na Davida i skinął głową.

Gerry mrugnął do Davida porozumiewawczo.

- Zdenerwowany, co? Nic dziwnego, każdy się na początku denerwuje. - Zwrócił się do muzyków, którzy tymczasem pozbyli się instrumentów i gremialnie ciągnęli w stronę drzwi, szukając po kieszeniach papierosów. - Patrick, jak się czułeś, kiedy pierwszy raz nagrywałeś w studiu?

- Mało się nie ze... to jest, nie zemdlałem ze strachu!

Gerry odwrócił się do Benjiego.

- Sam widzisz. Nawet wokalista Dublin Up się bał. Trudno w to uwierzyć, nie? - Ujął chłopca za ramię, podprowadził go do mikrofonu i podsunął mu wysoki stołek. - Usadź tu pupę, nastawię ci mikrofon.

Benji zrobił, co mu kazano, starając się, by nikt z zespołu nie zobaczył jego skromniutkiego ukulele. Zauważył je jednak chudy młodzian ze sterzącym irokezem na głowie i srebrnym kolczykiem wpiętym w brew.

- Hej, masz ukulele! - Podskoczył do Benjiego i wyjął mu instrument z rąk. - To są fajne pudła! Uczyłem się grać na takim! - Szarpnął struny.

Na twarz Benjiego wypłynął błogi uśmiech, kiedy zorientował się, że muzyk gra tylko akordy G, C i D₇.

- Ja też znam te chwyt - pochwalił się.

- W takim razie wiesz o ukulele dokładnie tyle samo co ja. - Gitarzysta uśmiechnął się i oddał mu instrument. - Dobra, posłuchajmy, co potrafisz.

Gerry nałożył chłopcu wielkie słuchawki i wycofał się za dźwiękoszczelną ścianę, a w ślad za nim David i cała grupa Dublin Up. Gerry przeczucił kilka przełączników na konsoli.

- Benji, słyszysz mnie?

Chłopiec skinął głową.

- W porządku. Kiedy będziesz gotowy, zaśpiewaj kawałek, żebyśmy mógł zbilansować dźwięk.

Benji zrobił przerażoną minę. David nachylił się do mikrofonu.

- Po prostu weź głęboki oddech i śpiewaj. Nie szkodzi, jeśli się pomylisz. Gerry ma czas i może to nagrywać tyle razy, ile będzie trzeba.

Benji uśmiechnął się mężnie i uderzył w struny. Pierwszą zwrotkę zagrał bezbłędnie. Na początku drugiej pomylił chwyt i aż skulił się ze wstydu. Gerry włączył mikrofon.

- Nie przejmuj się, Benji. Bardzo dobrze ci idzie. Zaczniemy jeszcze raz, tylko tym razem patrz na mnie, będę ci podawał rytm. Trochę się tam pospieszyłeś.

- Przepraszam - rozległ się wzmocniony głos Benjiego.

- Nie ma za co - uśmiechnął się Gerry. - Po prostu kątem oka patrz na moją rękę. Gotowy?

Tym razem chłopiec odśpiewał całą piosenkę jak z nut. Na koniec Gerry położył palec na ustach, odczekał kilka sekund, a następnie wyłączył aparaturę i podniósł oba kciuki. W reżyserce zerwała się burza oklasków. Wszyscy wysypali się do studia, gratulując rozpromienionemu chłopcu i klepiąc go po plecach.

- Dobra robota, Benji! - Gerry pstryknął go w ucho. - Gotowe w dwóch podejściach!

Niewielu zawodowców to potrafi. - Odwrócił się do lidera grupy. - Prawda, Patrick?

- Do mnie pijesz? - roześmiał się wokalista.

Benji spytał podekscytowany:

- Mógłbym tego posłuchać?

- Jasne!

Gerry wrócił do reżyserki i przełączył taśmę na potężne kolumny w studiu. Benji słuchał z niedowierzaniem, a gdy utwór się skończył, znów został nagrodzony oklaskami.

Po chwili zza przepierzenia wrócił Gerry.

- No i tak - zaczął. - Możesz zabrać ją teraz albo jeśli chcesz, mógłbym wgrać na nią jeszcze to i owo.

Benji milczał przez chwilę.

- To znaczy co? - spytał w końcu.

- Na przykład perkusję i może trochę basów.

Chłopiec niepewnie zagryzł wargę.

- To twoja piosenka - uśmiechnął się Gerry. - Ty ją napisałeś i wykonałeś. Ja jestem tylko mechanikiem; na życzenie mogę ją trochę ubarwić.

- A nie będzie brzmieć głupio?

Gerry się roześmiał.

- Jeśli będzie brzmieć głupio, spakuję manatki i poszukam sobie innej pracy.

- Dobra! - Benji zeskoczył ze stołka. - Teraz będziesz ubarwiał?

- Nie, nie teraz. - Gerry kiwnął głową w stronę czterech muzyków. - Muszę się najpierw pozbyć tej bandy. Jeśli David wpadnie do mnie wieczorem, dam mu gotową taśmę, tak że będziesz miał ją rano. Pasuje?

Chłopiec przytaknął z zapalem.

- No to w porządku! - Gerry klepnął go w ramię. - Dobrze się spisałeś, młodzieńcze. Masz przed sobą wielką przyszłość!

Kiedy wyszli ze studia, podniecenie Benjiego ulotniło się jak powietrze z przekłutego balonika. Powlókł się do samochodu, w zadumie wbijając wzrok w ziemię.

- Co jest? - zagadnął go David, obracając kluczyki na palcu.

- Słuchaj... - Benji się zawahał. - Czy ja nie wyjdę na głupka?

David potrząsnął głową.

- Obiecuję ci, że jutro o tej porze będziesz w szkole gwiazdą. - Wskoczył do samochodu i uruchomił silnik. - I to gwiazdą bogatszą o dwadzieścia dolarów!

Nazajutrz David przyjechał na Barker Lane pół godziny wcześniej niż zwykle, chcąc dać Benjiemu dość czasu na dostarczenie kasety do sekretariatu. Dwukrotnie nacisnął klakson, po minucie jeszcze raz, lecz z drzwi kuchennych wyjrzała tylko Jasmine, dając mu gorączkowe znaki, żeby wszedł do środka.

Wyskoczył z samochodu i wbiegł po schodkach, przesadzając po dwa stopnie na raz. Jasmine tłumiąc uśmiech przewróciła oczyma i wskazała chłopca, który leżał twarzą w dół na sofie.

- Co się dzieje? - szepnął David.

- Trema - odparła samym ruchem warg.

David uniósł brwi i podszedł do sofy.

- Gotowy, kolego? Jedziemy!

Benji jęknął głośno i zwlókł się na nogi.

- Czuję się, jakbym szedł na stracenie.

David bardzo się starał zachować powagę, lecz słysząc za plecami zduszony chichot Jasmine, nie wytrzymał i parsknął śmiechem.

- Przepraszam cię, Benji, nie chciałem się z ciebie śmiać. - Ujął chłopca za ramię i obrócił w stronę drzwi. - Chodź. Wszystko będzie dobrze.

Benji poczłapał we wskazanym kierunku. Kiedy mijał Jasmine, ta pochyliła się i ucałowała go w czubek głowy.

- Śmiało, maestro. Zniszcz ich.

- Bardziej prawdopodobne, że to oni mnie zniszczą - mruknął wychodząc.

Jasmine zdjęła z szafki jego plecak i podała go Davidowi.

- Nie wyśmieją go?

- Mam nadzieję! - David uniósł w górę zaciśnięte kciuki i pobiegł w ślad za chłopcem do volkswagena.

Choć do rozpoczęcia lekcji pozostało jeszcze pół godziny, wokół wejścia do szkoły kłębił się już tłum uczniów. David zatrzymał samochód przy chodniku, sięgnął do schowka i podał Benjiemu kasetę.

- Proszę. Gotowa i przewinięta. Aha, za okładką jest kartka. Powiedz temu, kto będzie puszczał taśmę, żeby najpierw przeczytał to, co jest na niej napisane.

Benji w milczeniu skinął głową. Niechętnie wysiadł z samochodu i podszedł do drzwi Davida, który podał mu plecak.

- Zaczekasz? - bąknął.

- Dobrze. Będę tu czekał do dziewiątej.

Benji wziął głęboki oddech, obrócił się i wolno ruszył do budynku. Kiedy był już w drzwiach, wypadł z nich jakiś chłopiec, ścigany przez innego. Zderzył się z Benjim i wytrącił mu kasetę z ręki. Benji widział jakby w zwolnionym tempie, jak kasetka koziółkuje w powietrzu. Rzucił się, by ją złapać, ale wokół tłoczyły się inne dzieci. Nie zdołał jej dosięgnąć. Wydał zduszony okrzyk widząc, że nieubłagane zbliża się do ziemi, lecz nim dotknęła betonowych schodów, schwyciła ją czyjaś ręka. Sean Dalaglio wyprostował się i z szerokim uśmiechem podał mu pudełko.

- Uff! - Benji sapnął z ulgą. - Dzięki, Sean.

- To ta twoja piosenka?

- Skąd wiesz?

- Zapowiadali ją już przez radiowęzeł. Sam ją napisałeś?

Benji skinął tylko głową.

- Fajna?

Nie potrafił odpowiedzieć. Obejrzał się, lecz Davida nie było w samochodzie. Spacerował z Dodie. Spojrzał znów na Seana.

- No, powiedz coś! - naciskał kolega.

- Sam nie wiem. - Benji wyminął go i wbiegł do szkoły.

Zapukał do drzwi sekretariatu. Otworzyła mu szkolna sekretarka, panna Trimble.

- Witaj, Benji.

Chłopiec bez słowa wręczył jej kasetę.

- A, to pewnie twoja piosenka. Wchodzi za pięć minut. Najpierw mamy jeszcze wiersz Chestera Todda *Mewa nad zatoką*, a zaraz po nim jest twoja kolej.

Benji skinął głową i już był za drzwiami, kiedy przypomniał sobie, o co prosił go David.

- Aha... panno Trimble...

Drzwi uchyliły się z powrotem.

- O co chodzi, Benji?

- Tam w środku jest karteczka. Trzeba ją przeczytać przed odtworzeniem taśmy.

Panna Trimble uśmiechnęła się do niego.

- W porządku. Ja dziś zapowiadam i na pewno o niej nie zapomnę. Coś jeszcze?

Pokręcił głową i panna Trimble zamknęła drzwi. Benji przez chwilę patrzył na matową szybę, potem z westchnieniem rezygnacji powlókł się do swojej szafki. Kiedy przekręcał kluczyk w zamku, głośnik zatrzeszczał i dobiegł z niego głos panny Trimble:

- Dzień dobry, dziewczęta i chłopcy. Dziś pierwszym utworem w naszym konkursie

artystycznym jest wiersz Chestera Todda pod pięknym tytułem *Mewa nad zatoką*.

Głośnik zatrzeszczał ponownie; rozległo się kliknięcie magnetofonu, a zaraz potem głos Chestera, który deklamował:

*Nad zatoką mewa leci,
Ledwie widać ją przez lupę,
Ale musi wylądować,
Kiedy zechce zrobić kupę.*

Choć nadyma się i pier...

Głos urwał się nagle, a w całym korytarzu buchnął gromki śmiech. Chłopcy zataczali się na szafki, padali na ziemię i trzymali się za brzuchy; dziewczęta zbijały się w grupki i chichotały, zakrywając dłońmi usta. Potem rozległ się drżący z irytacji głos panny Trimble:

- Chester Todd jest proszony do gabinetu dyrektora. Natychmiast. A teraz bez dalszych komentarzy przechodzimy do następnego utworu. Jest nim piosenka napisana przez Benjiego Newmana, zatytułowana *Kocham cię*.

W korytarzu poniosło się głośne „Uuu!”. Chłopcy otoczyli Benjiego pogwizdując, kręcąc biodrami i puszczając do niego całuski.

Teraz miał już całkiem przechlapane! Dlaczego w ogóle posłuchał Davida? Sam się im podłożył jak kompletny idiota. Benji zatrzasnął szafkę i pobiegł do ubikacji. Niestety, tu też był głośnik. Wpadł do pustej kabiny, zamknął się, usiadł na pokrywie muszli, zacisnął powieki i zatkał palcami uszy. Mimo to wciąż docierał do niego stłumiony głos panny Trimble. O czym ona jeszcze mówi? Pewnie czyta tę kartkę. Urwał kawałek papieru toaletowego, napchał nim sobie uszy i przydusił je dłońmi.

Kiedy siedział tak skulony, z łokciami na kolanach, poczuł nagle silne rytmiczne dudnienie. Drzwi kabiny zdrząły, jakby ktoś próbował je otworzyć.

- Zajęte! - wrzasnął, odejmując ręce od uszu.

Za drzwiami nie było nikogo. Dudnienie dochodziło z umieszczonego wysoko w rogu głośnika i stanowiło element przygrywki do szybkiego utworu w stylu funky. Benji wstał i wyjął papier z uszu. Posłyszał słowa: *Ko-cham cię, ale serce mi więdnie, serce z rozpacz się gnie...* Odsunął rygiel, wyszedł z kabiny i stanął, słuchając własnej piosenki.

Była fantastyczna! Była... zupełnie jak prawdziwa! Słysząc było perkusję, głębokie tony gitary basowej, a od czasu do czasu wchodziło coś jakby trąbka. Lecz na pierwszy plan

wybijały się jego g ł o s i j e g o ukulele. Musi iść powiedzieć o tym Davidowi!

Zagryzł paznokiec. David czeka na zewnątrz. Miałby przedelfilować przez cały korytarz wśród tych wszystkich dzieciaków? Podszedł do drzwi. Po chwili wahania otworzył je na oścież i natychmiast się cofnął. Pierwszym, co zobaczył, był czarny chłopak chodzący o klasę wyżej, który minął drzwi poruszając się w takt muzyki. Benji podsunął się bliżej i wyjrzał na korytarz. Dzieci kiwały się w rytm, wiele tańczyło. Wymknął się z toalety i trzymając się ścian ruszył w stronę wyjścia usiłując w miarę możliwości stać się niewidzialny.

Pierwszy namierzył go Sean Dalaglio.

- Te, Benji! - ryknął, biegnąc ku niemu. - To jest boskie! Jak ci się udało namówić Dublin Up, żeby z tobą zagrałi? Błagam, skombinuj mi ich autografy! To moja ulubiona kapela!

Benji wytrzeszczył na niego oczy.

- Chcesz powiedzieć, że Dublin Up... - Głośno przełknął ślinę. - Przepraszam, Sean, muszę lecieć.

Ruszył biegiem do drzwi, odprowadzany okrzykami: „Świetna piosenka, Benji!” albo „Człowieku, wygraną masz jak w banku!”

David stał u wylotu ścieżki, oparty o samochód, z szerokim uśmiechem na twarzy. W dwóch palcach prawej ręki trzymał dwudziestodolarowy banknot. Benji popędził ku niemu, ale David zatrzymał go gestem i wsadził banknot do kieszeni na piersi. Chłopiec przystanął, zdezorientowany. David na migi pokazał mu, że ma się odwrócić.

Przez chwilę stał nieruchomo, potem z gorzko zawiedzioną miną obrócił się. Na szerokich stopniach przed wejściem podrygiwał tłum uczniów, a w pierwszym rzędzie Sean Dalaglio. Benji rzucił Davidowi przez ramię szczęśliwy uśmiech, po czym zniknął wśród entuzjastycznie witających go kolegów.

ROZDZIAŁ 25

Taksówka w ślimaczym tempie pełzła w korku na Park Avenue. Jennifer spojrzała na zegarek. Była już za pięć siódma, a od restauracji dzieliło ją jeszcze dwanaście przecznic. Nie ma szans zdążyć. Przechyliła się na bok, czując, jak wilgotna bluzka odlepia się od brudnej tapicerki siedzenia, i spojrzała kierowcy przez ramię. Korek ciągnął się aż do Grand Central Station. Przesunęła się do przodu i zapukała w szybę dzielącą ją od kierowcy.

Taksówkarz odsunął szybkę i zagadnął: - Co, pani? - z tak koszmarnym akcentem, że zwątpiła, by potrafił odnaleźć Empire State Building, nie mówiąc o restauracji „Ocean”.

- Czy mógłby pan skrócić i pojechać przez Lexington albo Trzecią? Stanie tu jest bez sensu.

Kierowca uśmiechnął się i przytaknął skinieniem głowy, bębniąc palcami w obciążoną pomarańczowym akrylowym pokrowcem kierownicę.

- Bez sensu - stwierdził pogodnie.

Jennifer przez chwilę patrzyła na tył jego głowy, oczekując, że skróci kierownicę i spróbuje przedostać się na prawy pas, lecz taksówkarz najspokojniej czekał, aż kolumna samochodów przesunie się znów o parę jardów do przodu. Kiwał przy tym głową w rytm gardłowych pokrzykiwań jakiegoś arabskiego śpiewaka, dolatujących z odtwarzacza. Po chwili obrócił się do niej jeszcze raz.

- Bez sensu! - oznajmił z zadowoleniem, jeszcze energiczniej kiwając głową.

Rozejrzała się, szukając innej taksówki, ale wszystkie, które miała w zasięgu wzroku, były zajęte. Zresztą i tak najpewniej wpadłaby z deszczu pod rynnę. Odgarnęła włosy ze spoconego czoła, czując na dłoni nieprzyjemną wilgoć, sięgnęła po torebkę i wyjęła z niej telefon. Wystukała numer Alexa. Zajęte. Wrzuciła telefon z powrotem do torebki. Po chwili nachyliła się do kierowcy.

- Nie mógłby pan przynajmniej włączyć klimatyzacji? - spytała ze złością.

Siódma. Alex jest już na miejscu. Nigdy się nie spóźniał. Wiedziała o tym i dlatego wyszła z biura znacznie wcześniej, żeby zdążyć przed nim. Tylko że od dwudziestu pięciu minut tkwiła w tej taksówce. Spuściła szybę. Uderzył ją podmuch powietrza, gorący, jakby

pochodził z suszarki do włosów. Poczuli się jeszcze bardziej udęczeni. Podkreśliła okno i postanowiła czekać.

Nie widziała Alexa od tamtego weekendu, kiedy grali w tenisa. Zostawił jej wiadomość na automatycznej sekretarce w nowojorskim mieszkaniu, że jednak leci do Dallas. Użył, zdaje się, słowa: „nieuniknione”. Nic nowego. Jego wyjazdy zawsze były nieuniknione. Co w sumie nie miało większego znaczenia. Ona każdą chwilę poświęcała dzinowi Tarvy'ego, przypuszczalnie więc i tak niewiele czasu mogliby spędzić razem. Cholerny przetarg! Żadne z jej dotychczasowych dokonań nie napawało otuchą, że jednak dostaną ten kontrakt. Może Russ jednak miał rację. Może porywali się z motyką na słońce.

Bez żadnej widocznej przyczyny sznur samochodów drgnął i zaczął się posuwać. Kierowca odwrócił się, najwidoczniej przekonany, iż po tak udanej wymianie zdań łączy ich już serdeczna przyjaźń.

- Pani patrzy, jedziemy! - rzekł radośnie, wrzucając pierwszy bieg.

Nim dotarli do restauracji „Ocean”, zrobiło się dwadzieścia po siódmej. Jennifer zapłaciła początkującemu lingwiście, wyskoczyła z taksówki i wbiegła do środka.

Połowa stolików była pusta, skutkiem czego już przy wejściu obskoczyło ją trzech kelnerów w białych fartuchach, z których każdy zapraszał do swego rewiru. Na szczęście wypatrzyła Alexa; śmiał się rozmawiając przez telefon komórkowy. Jennifer wyminęła gorzko zawiedziony komitet powitalny i ruszyła w głąb sali.

Na jej widok Alex zakończył rozmowę i schował telefon do kieszeni.

- Wybacz, że się spóźniłam, kochanie - powiedziała, wieszając torebkę na oparciu krzesła. - Był potworny korek.

Wstał, przechylił się nad stołem i cmoknął ją w policzek.

- Widzę, że jesteś zadowolony - ciągnęła. - To znaczy, że w Dallas wszystko dobrze poszło?

- Niezupełnie. Rozmawiałem z tym, no, z Johnem - zająknął się. - Towarzysko. Słuchaj: nie wiedziałem, kiedy się pojawisz, zamówiłem więc dla ciebie małże i miecznika. Może być?

- Jasne. - Jennifer sięgnęła po serwetkę, lecz ubiegł ją kelner, który schwycił serwetkę, rozłożył i własnoręcznie rozpostarł jej na kolanach.

- Dobry apetyt! - oznajmił z szerokim uśmiechem i truchcikiem odbiegł w stronę kuchni.

Jennifer patrzyła za nim przez chwilę.

- Czy w tym mieście już nikt nie mówi po angielsku?

- Nie rozumiem. - Alex zmarszczył brwi.

- A, nic takiego - westchnęła, potrząsając głową. Oparła łokcie na stole, a brodę na złożonych dłoniach. - Zatem Dallas okazało się niewypałem?

- W gruncie rzeczy tak. - Alex sięgnął po butelkę z winem i napełnił jej kieliszek. - Prędzej czy później dostaniemy to zlecenie, ale na razie firma, z którą prowadzimy rozmowy, boi się nowych systemów jak ognia. Musimy popracować nad zdobyciem ich zaufania.

Jennifer powoli pokiwała głową.

- Co oznacza, że w najbliższym czasie będziesz ich dopieszczał?

Alex westchnął.

- Niestety, tak. Prosto z San Francisco polecę znów do Dallas. - Rozejrzył się za kelnerem, podgiął rękaw koszuli i spojrzął na zegarek. - Mam nadzieję, że się pospieszą. Niedługo muszę iść. - Spojrzął na Jennifer. - A jak tam twój nowy kontrakt?

- Jeszcze go nie mamy. Na razie przygotowuję ofertę, ale problem polega na tym, że jest to dla mnie zupełnie nowa branża i nie wiem, czy uderzam we właściwe tony... - Urwała, zdając sobie sprawę, że Alex jej nie słucha. Znowu zerknął na zegarek i raz jeszcze się obejrzał w nadziei na oczekiwane danie.

W tej samej chwili obsługujący ich kelner wyszedł tyłem z kuchni i balansując dwoma talerzami na wysoko uniesionych dłoniach skierował się do ich stolika.

- Małże?

Jennifer skinęła głową i kelner postawił przed nią parującą miszkę.

- Zaraz przynosi woda na ręce. A pana sałatka z owoców morza?

- Tak, dziękuję. - Alex spojrzął na kelnera. - Czy mógłby pan poprosić, żeby podano nam główne danie najszybciej, jak to możliwe? Spieszę się na samolot.

Kelner skłonił się z uśmiechem i podreptał do kuchni.

- Wygląda apetycznie - rzekł Alex, ujmując widelec. Spojrzął na Jennifer, która wyraźnie nie paliła się do jedzenia. - Co się stało? Nie masz na nie ochoty?

- Alex, jak długo jesteśmy małżeństwem?

- Sso? - rzekł z ustami pełnymi sałatki.

Nie odpowiedziała, dając mu czas, żeby sam zrozumiał. Wzięła małża z talerza, rozchyliła skorupkę i zębami zgarnęła go do ust.

- O co ci chodzi? - spytał.

- Jesteśmy małżeństwem od trzynastu lat - podjęła cicho. - Mówię to na wypadek, gdybyś zapomniał. Ale dam głowę, że każda z siedzących tu osób, gdyby ją zapytać, powiedziała, że widzimy się po raz pierwszy. Zachowujemy się jak obcy sobie ludzie. O

czym my mówimy? O twojej pracy i mojej pracy. - Nachyliła się nad stołem. - Alex, my jesteśmy rodziną. Od trzynastu lat, na litość boską!

Alex wznosił oczy ku niebu i z brzękiem odłożył widelec na talerz.

- Uspokój się - szepnęła. - Nie rób scen. Ludzie usłyszą.

- Nie robię żadnych scen! - syknęła przez zaciśnięte zęby i umilkła na chwilę, żeby się opanować. - Po prostu za każdym razem, kiedy się spotykamy, mam wrażenie, że coraz bardziej oddalamy się od siebie. Nie mamy już ze sobą prawie nic wspólnego. A może ja się mylę? Gdzie tkwi błąd? Było... nie, to złe słowo: przecież j e s t nam ze sobą dobrze. Jesteś moim najlepszym przyjacielem. Także kochankiem, choć ostatnio nikt by się tego nie domyślił. Poza tym tak się składa, że jesteś również moim mężem i ojcem mego dziecka. Ale rozmawiamy ze sobą jak... kontrahenci.

- To ty postanowiłaś, że wrócisz do pracy - rzekł po chwili Alex, nie przerywając jedzenia. - Ja cię nie zmuszałem.

- Mój drogi, ja nie szukam winnego. Chcę po prostu... - Przerwał jej kelner, który postawił obok miseczkę z wodą do umycia rąk.

- Czy możemy już prosić o danie główne? - spytał Alex.

- Tak, pan. Idzie. - Kelner uklonił się i odszedł.

Jennifer podjęła:

- Chcę, żebyśmy więcej czasu spędzali razem, choćby tylko w weekendy.

- Dlaczego nie zrezygnujesz z pracy? Jesteśmy zamożni. Mogę się uważać za człowieka sukcesu.

- A czym się mierzy sukces? - odparowała głośniejszym głosem, niż zamierzała. Alex rozejrzał się szybko, czy nikt na nich nie patrzy. - Liczbą zer na czeku, który dostajesz pod koniec miesiąca? Czy tym, ile czasu spędzasz ze swoim dzieckiem, na ile uczestniczysz w jego wychowaniu? Bo jeśli o to chodzi, naszemu synowi więcej z siebie dają Jasmine i David, zwłaszcza David, który...

Alex rzucił serwetkę na stół.

- Jennifer, porównujesz mój wkład w wychowanie Benjiego z jakimś... jakimś nikim, który przyszedł z ulicy? Bo jeśli tak, to mnie obraża. Owszem, Jasmine poświęca Benjiemu sporo czasu, ale za to się jej płaci. I nie wciskaj mi bzdur o jakimś ogrodniku. Zresztą Jasmine pracuje u nas po to, żebyśmy oboje mogli pracować. Bo to, co mówisz, dotyczy nas obojga. No, pochwal się, idealna matko, ile czasu ty spędzasz ze swoim dzieckiem?

Jennifer przełknęła ostatniego małża, opłukała ręce i wytarła je w serwetkę.

- Masz rację - westchnęła. - To dotyczy nas obojga. Tylko że mnie to martwi; ciebie,

jak widzę, nie.

Alex milczał wiedząc, iż cokolwiek powie, zostanie mu wzięte za złe. Pauza była na tyle długa, że Jennifer uświadomiła sobie, iż to, co miało być rozsądną dyskusją, przerodziło się w kłótnię. Dotknęła jego dłoni.

- Przepraszam, kochanie, nie chciałam, żeby to tak wyszło. Po prostu... chciałabym, żebyśmy częściej byli rodziną. Wiem, że to brzmi banalnie, lecz ostatnio zdaje mi się, że już nią nie jesteśmy.

Kelner postawił przed nimi półmiski z rybą. Alex spojrział na zegarek.

- Chryste, już ósma. Nie zdążę tego zjeść. Muszę pędzić, bo spóźnię się na samolot.

Jennifer bez słowa skinęła głową.

- Zostajesz tu czy wyjdziemy razem?

- Nie, też już pójdę. Nie jestem głodna. Zresztą nie jestem przekonana do tutejszej kuchni. Te małże miały jakiś dziwny smak.

Alex zawrócił kelnera.

- Niestety, musimy już iść. Nie mamy więcej czasu.

- Ale pan zamówił ryba!

- Wiem, ale nie zdążę jej zjeść.

- Ale pan płaci za ryba!

- Dobrze! - warknął Alex. - Ale ty daj rachunek!

Kelner oddalił się z urażoną miną. Alex i Jennifer patrzyli na siebie przez chwilę, po czym obydwój zaczęli chichotać.

- Teraz sam widzisz! - wykrztusiła Jennifer. - To jest zaraźliwe!

Alex schylił się po aktówkę, podniósł ją i spojrział na żonę z powagą.

- Jakoś to rozwiążemy, kochanie. Obiecuję ci. Bądź cierpliwa, dobrze?

- Dobrze. - Przytaknęła ruchem głowy.

Odsunął krzesło i wstał.

- Chodźmy. Złapię ci taksówkę.

Ruch był już o wiele mniejszy i Alex bez trudu przywołał dwie puste taksówki. Podszedł do Jennifer zamierzając pocałować ją w policzek, lecz obróciła głowę tak, że zetknęły się ich usta.

- Kocham cię - szepnęła.

- Wiem - uśmiechnął się. - Zadzwoń do ciebie, kiedy wrócę, dobrze?

- Jasne. Szczęśliwej podróży.

Odwrócił się i wszedł do samochodu. Taksówka ruszyła, nim zdążył zamknąć drzwi.

Jennifer odprowadziła ją wzrokiem aż do świateł przy Park Avenue. Och, Alex, pomyślała. Mogłeś też to powiedzieć. Nie tylko: „wiem”...

Przyłożyła dłoń do czoła, czując narastający ból głowy. To pewnie ta duchota. Albo efekt ich głupiej kłótni. Tak właśnie było - oboje zachowali się głupio. Zacisnęła powieki i delikatnie pochyliła głowę. Mimo upału zrobiło jej się chłodno. Przeszył ją mimowolny dreszcz.

- Jedzie pani? - spytał taksówkarz.

Otuliła się ramionami, skinęła głową i wsiadła do samochodu.

- Dokąd?

- Barrymore Street.

- W West Village?

- Tak.

Kierowca ruszył z piskiem opon i zdążył przeskoczyć skrzyżowanie z Park Avenue na żółtym świetle. Nim zatrzymał się przy Piątej Alei, Jennifer dygotała na całym ciele, w głowie jej dudniło, jakby walił w nią młot pneumatyczny. Zastukała w szybę dzielącą ją od kierowcy. Obejrzał się.

- Słucham?

- Czy mógłby pan wyłączyć nawiew?

- Proszę pani, na dworze jest jak w piecu!

- Wiem, ale nie czuję się zbyt dobrze.

Taksówkarz wzruszył ramionami i przekręcił jakąś gałkę na tablicy rozdzielczej. Światła zmieniły się na zielone. Dodał gazu skręcając w Piątą Aleję; samochodem zarzuciło i Jennifer zatkała ręką usta, czując, jak zbiera się jej na wymioty. Załomotała w szybę.

- Proszę, niech się pan zatrzyma!

Podjechał do krawężnika; Jennifer jeszcze w biegu otworzyła drzwi, wychyliła się i gwałtownie zwymiotowała na jezdnię. Kilkoro przechodniów, którzy byli świadkami tej sceny, odruchowo usunęło się na przeciwległy brzeg chodnika, mrużąc z odrazą. Jennifer zatrzasnęła drzwi i wyczerpana opadła na siedzenie. Kierowca odwrócił się i zmierzył ją nieprzyjaznym wzrokiem.

- Czy pani piła?

Jennifer z wysiłkiem potrząsnęła głową.

- Bo jeżeli pani piła, proszę wysiąść z mojej taksówki.

- Nie piłam. Chyba zjadłam coś niedobrego.

- Na litość boską, tylko niech pani mi nie rzyga w samochodzie! - Gwałtownie wdusił

pedał gazu, zdecydowany dowieźć ją do domu, nim zdarzy się to nieszczęście.

Zanim dotarli do świateł przy Czterdziestej Trzeciej, musiał zjeżdżać na bok jeszcze dwa razy. Każdy atak torsji był silniejszy niż poprzedni. Jennifer skuliła się, próbując ulżyć nieznośnemu bólowi brzucha. Pewnie zaszkodziły jej te... Czuli coraz mocniejsze parcie w trzewiach. Panie Boże, nie, tylko nie to!

Zwinięta w pół, pochyliła się do przodu i zastukała w szybę. Kierowca momentalnie zjechał na krawężnik.

- Nie, niech się pan nie zatrzymuje. Chciałam tylko wiedzieć, gdzie jesteśmy.

- Zbliżamy się do skrzyżowania z Czterdziątą Drugą.

- Proszę tam skręcić w lewo.

- W lewo? Przecież chciała pani jechać do West Village!

- Nie, proszę skręcić. Pojedziemy do Leesport.

Taksówkarz obrócił się oburzony.

- Leesport? Ma pani na myśli Leesport na Long Island? Nie pojedę tak daleko! O tej porze mam największy obrót!

- Musi pan. Proszę. Tam mieszkam. Ja naprawdę jestem chora. Zapłacę panu podwójnie, przysięgam. Tylko proszę mnie tam zawieźć. - Bezwładnie opadła na oparcie fotela.

Kierowca przyglądał się przez chwilę w lusterku jej poszarzałej twarzy, po czym przedarł się na lewy pas i skręcił w Czterdziątą Drugą Ulicę kierując się ku Midtown Tunnel.

Jasmine postawiła przed Davidem filiżankę gorącej kawy i usiadła naprzeciw.

- Teraz wiesz, dlaczego nie chciałam ci o tym mówić, kiedy Benji się tu kręcił.

David patrzył przez chwilę w parę unoszącą się znad filiżanki. Westchnął.

- Tak, doskonale to rozumiem. Nieźle się złożyło, że nocuje dziś u Seana.

- Właśnie. Skądinąd ta wizyta dobrze mu zrobi. W tej sprawie udało ci się dokonać drobnego cudu. - Napiła się kawy. - No i powiedz mi, co ja mam teraz zrobić?

David potrząsnął głową.

- Nie wiem, Jasmine. Naprawdę nie wiem. Szczerze mówiąc, uważam, że nie powinniśmy czy raczej ty nie powinnaś się mieszać do czegoś, co w gruncie rzeczy nie jest twoją sprawą.

- Kiedy, widzisz, to jest także moja sprawa. Kocham tego malca i nie chcę, żeby go skrzywdzili.

- Tak, rozumiem, ale... Cóż, Jennifer i Alex są dorośli. Muszą to rozwiązać sami,

między sobą. Jak myślisz, czy Jennifer coś podejrzewa?

- Nie. Co prawda nie rozmawiam z nią o jej małżeństwie, ale moim zdaniem wciąż jej się wydaje, że wszystko jest cacy.

- I tu dotknęłaś sedna sprawy. Jesteś bez wątpienia najlepszą, najbardziej lojalną przyjaciółką, jaką ma Jennifer, ale nie rozmawiasz z nią o jej małżeństwie, bo to jest jej małżeństwo. - David wstał, bezradnie zakręcił się w miejscu i usiadł z powrotem. - Nie jestem pewien. Może to ja się mylę. Wiem jedno: nie chciałbym, żeby nawet najlepszy przyjaciel udzielał mi rad w sprawach dotyczących tylko mnie i... - Urwał czując, że się czerwieni.

- I kogo, Davidzie? - spytała cicho Jasmine, odstawiając filiżankę na stół.

Milczał, starając się zachować kamienną twarz i desperacko próbując znaleźć wyjście z pułapki, w którą się wpakował. W tejże samej chwili dzwonek nad głównym wejściem zadzwonił trzykrotnie, prędko, raz po razie.

Oboje instynktownie spojrzeli na zegar. Jasmine zmarszczyła brwi.

- Kogóż to lichy niesie? Jest za kwadrans dziesiąta! - Podniosła się i pospieszyła do holu.

Kiedy wyszła, David odetchnął z ulgą. Omal się nie wygadał. Przeszłość drażyła sobie drogę do terażniejszości, choć on w ogóle sobie tego nie uświadamiał.

- David!!! Chodź tu, prędko!

Słyszac jej naglacy przerażony ton zerwał się z krzesła, które przewróciło się na posadzkę. Kiedy wbiegł do holu, Jasmine wraz z tęgim rumianym mężczyzną sadzała właśnie Jennifer na schodach, opierając ją delikatnie o poręcz. Jennifer miała twarz barwy popiołu, spódnice zbryzganą lepkiem żółtym paskudztwem. W powietrzu unosił się mdlący odór.

- Co się stało? - spytał David, spoglądając to na jedno, to na drugie.

Mężczyzna wyprostował się i ruszył w stronę drzwi.

- Ta pani pojechała do Rygi, ot, co się stało, a tego, co mi narobiła w wozie, ludzkie słowo nie opisze. Jezu! W ogóle nie chciałem tu jechać, ale obiecała, że zapłaci mi podwójnie. Ciekawe, jak długo będę to wszystko sprzątać...

- Momencik - przerwał mu David. - Po kolei. Najpierw proszę nam powiedzieć, co z nią. - Spojrzał na Jennifer, zgiętą w pół na schodach z błędnym, półprzytomnym wzrokiem. Przerazona Jasmine przysiadła obok niej, podtrzymując ją ramieniem.

- Wsiadła pod restauracją naprzeciwko Intercontinentalu. Jakaś nowa rybna knajpa, nie pamiętam, jak się nazywa. Najpierw zamówiła kurs do West Village, potem trzy razy rzygała jak kot i w końcu kazała mi przyjechać tutaj. Mówi, że zjadła coś, co jej zaszkodziło.

David spojrział na Jasmine.

- Rzeczywiście wygląda to na zatrucie pokarmowe. Lepiej prędko zadzwoń po lekarza.

- Nie może tu przecież siedzieć. Muszę położyć ją do łóżka.

- A ja muszę wracać do miasta - wtrącił taksówkarz. - I wyczyścić cały tył samochodu, co mi zajmie większą część nocy.

- Ile się panu należy? - spytał David, wyciągając portfel z tylnej kieszeni spodni.

- Sto dolców; to jest tylko opłata za przejazd. A będę jeszcze musiał...

Jennifer jęknęła głośno i gwałtownie pochyliła się do przodu. Strumień żółtej cieczy trysnął jej z ust, ochlapując spódnicę i podłogę dookoła. Jasmine odskoczyła pospiesznie.

David poczuł dreszcz rozpoznania; cała ta scena objawiła mu się niczym *déjà vu*, otwarte nagle okno w przeszłość.

„Musisz być przygotowany na paskudne efekty uboczne” - mówił doktor Spiers. - „Po chemoterapii będzie przygnębiona, przerażona i bardzo słaba. Musisz jej pomóc, Davidzie; okazać tyle miłości i wsparcia, ile tylko zdołasz.”

Boże, jak on to dobrze znał. Miał wystarczająco duże doświadczenie, by wiedzieć, jak należy postąpić. Jakby otworzyła mu się jakaś klapka w mózgu; teraz działał już automatycznie.

Podał Jasmine swój portfel.

- Zapłać mu dwieście i dzwoń po lekarza.

- Nie mogę jej tak zostawić. - Zawahała się. - Muszę ją zaprowadzić do łóżka.

- Ja to zrobię.

Spojrzała na niego niepewnie.

- Nie martw się, wiem, co robię. - Obrócił się do kierowcy. - Bardzo jesteśmy wdzięczni, że pan ją tu przywiózł.

Taksówkarz mruknął coś ponuro i ruszył do drzwi, odprowadzany przez Jasmine, która jeszcze parokrotnie oglądała się z troską w oczach. David obszedł dokoła kałużę wymiocin i przykucnął obok Jennifer.

- Posłuchaj mnie - rzekł cicho. - Musisz się położyć. Dasz radę iść?

Z wysiłkiem podniosła głowę, ale nie miał pewności, czy go w ogóle widzi. Ujął ją pod pachy, podniósł delikatnie, lecz nogi się pod nią ugięły i zatoczyła się mu na pierś. Zmarszczył nos, odsunął ją nieco od siebie i podniósł, ujmując jedną ręką pod plecy, drugą pod kolana. Potem szybko wszedł na schody. Uświadomiwszy sobie jednak, że nie wie, dokąd się kierować, zawołał do Jasmine:

- Który to pokój?

- W prawo i drugi po lewej. Poradzisz sobie?

- Tak. - Kolanem otworzył drzwi, potem łokciem wymacał kontakt na ścianie i ułożył

Jennifer na łóżku.

- Wyżej - wymamrotała. - Tak niedobrze.

Posadził ją, podparł poduszkami, opanowując odruch wymiotny, ilekroć doleciał go jej zapach.

- Wytrzymaj tak przez chwilę. Puszczę tylko wodę do wanny i zaraz ściągnę z ciebie te szmaty. - Zerknął na drugie drzwi. - Tam jest łazienka?

Skinęła słabo głową. Odprowadziła go kawałek wzrokiem, potem zamknęła oczy.

David odkręcił krany, złapał duży kąpielowy ręcznik i wrócił do sypialni. Jennifer bezradnie zaciskała dłonie na dekolcie bluzki; na jej twarzy malowała się rozpacz. Pochylił się nad nią, opierając ręce na kolanach.

- Jennifer, musisz mi zaufać. Mam zamiar cię rozebrać i wsadzić do wanny. Potem zajmie się tobą Jasmine, ale wątpię, by zdołała cię udźwignąć.

Jego łagodny ton był kroplą, która przepełniła czarę. Po policzkach Jennifer pociękiły łzy, głowa opadła w przód, opierając się na jego ręce.

- To takie... upokarzające... - wyszlochała.

- Nieprawda. - Ujął ją pod brodę i unióś lekko, żeby spojrzeć jej w oczy. - Nie masz się czym przejmować.

- Ale... - Odwróciła głowę. - Ja chyba... nie tylko wymiotowałam...

Przykucnął przed nią zaglądając jej w twarz.

- Jennifer, przysięgam ci, że mnie to nie wzrusza. Widziałem już o wiele gorsze rzeczy. Skoro więc ja się nie przejmuję, ty też się nie przejmuj.

Chlipnęła i skinęła głową.

- Dobra. Dawaj, ściągamy to wszystko.

Jennifer opuściła bezwładnie ręce. David wprawnie rozpiął guziki bluzki, którą następnie zdjął z jej ramion i rzucił na podłogę. Potem rozpiął zatrzask i zamek spódnicy i unióś biodra Jennifer na tyle, by zsunąć z nich spódnicę razem z półhalką.

Z korytarza dobiegł głos Jasmine:

- Dzwoniłam do doktora. Na szczęście mieszka niedaleko, więc powinien tu być lada... - Urwała na widok Jennifer w samej bieliźnie i pochylonego nad nią mężczyzny. - David! Co ty robisz? Nie...

- Jasmine - przerwał jej spokojnie - czy mogłabyś zakręcić wodę? Zaraz zacnie się wylewać z wanny. Zaniosę Jennifer do kąpieli, a potem już ty przejmiesz pałeczkę.

Jasmine zerknęła na chorą, która krótko skinęła głową. Weszła do łazienki, zakręciła kran i zamieszała ręką wodę w wannie, żeby sprawdzić temperaturę. Potem cofnęła się i

stanęła tak, by przez otwarte drzwi widzieć, co się dzieje w sąsiednim pokoju.

- Teraz okryję cię ręcznikiem i zdejmujemy resztę, dobrze?

David owinał ręcznikiem ramiona Jennifer, sięgnął jej za plecy, rozpiął stanik, zdjął go i rzucił obok łóżka. Następnie uniósł ją odrobinę, obciągnął ręcznik poniżej bioder, delikatnie zsunął jej majtki, zawinął wszystko w spódnicę i cisnął w stronę drzwi. Poprawił spowijający ciało Jennifer ręcznik, dźwignął ją i poniósł do łazienki.

Ośłupiała Jasmine przepuściła go bez słowa. Robił to wszystko tak delikatnie, tak troskliwie, że poczuła wstyd, iż mogła go posądzać o jakieś niskie motywy. Każdy ruch był pewny, wręcz rutynowy - ten człowiek wiedział, jak możliwie najmniejszym wysiłkiem unieść chorą, jak umocować ręcznik, żeby się nie zsunął...

- Ty już to robiłeś, chłopcze - mruknęła pod nosem, patrząc, jak David stopniowo zanurza stopy Jennifer w wodzie. - O tak, to dla ciebie nie pierwszyczna.

- Nie za gorąca? Nie za zimna? - spytał.

Jennifer pokręciła głową. David posadził ją w wannie i zwrócił się do Jasmine:

- Dasz sobie radę dalej?

- Myślę, że tak. - Nachyliła się i zastąpiła go, podtrzymując Jennifer pod pachę.

- Dobrze. Ja tymczasem zejść na dół i posprzątam. Kiedy będziecie gotowe, zawołaj; przeniosę ją do łóżka.

Jasmine powoli pokiwała głową, odprowadzając go spojrzeniem. Potem odwinęła ręcznik i zaczęła mydlić gąbkę.

Piętnaście minut później, gdy Jennifer była już z powrotem w łóżku, rozległ się dzwonek u drzwi. David otworzył, wpuszczając młodego lekarza, którego zadyszka i krople potu na czole świadczyły, iż nie jest to dziś jego pierwsza wizyta.

- Przepraszam, nie mogłem szybciej. Zastali mnie państwo u pacjenta. Gdzie chora?

David wskazał na schody.

- Na górze w prawo i drugie drzwi po lewej stronie.

W połowie schodów lekarz się odwrócił.

- Czy po państwa telefonie miała jeszcze torsje?

- Tak, co najmniej raz. Jasmine panu powie. Jest na górze z panią Newman.

- Dobrze. - Lekarz skinął głową. - Powinna wszystko z siebie wyrzucić.

David stał w holu, dopóki nie postyszał zamykających się drzwi sypialni, po czym wepchnął ręce w tylne kieszenie dżinsów, poszedł do kuchni i nastawił czajnik. Potrząsnął głową. Potrzebował czegoś mocniejszego niż kawa. Najlepiej dużej whisky. Wyjął z lodówki puszkę piwa, zerwał zawleczkę i pociągnął długi łyk.

W mózgu szalała mu burza uczuć. Nic w ciągu ostatnich miesięcy tak żywo nie przypomniło mu o Rachel. Była przy nim stale, tuż pod powierzchnią myśli, ale dotychczas wspominał ją szczęśliwą i bez troską. Teraz nawiedziły go obrazy chwil, gdy pocieszał żonę, głaszcząc delikatnie kruchą, rzadką szczecinkę, jaka pozostała z jej pięknych ciemnych włosów, podczas gdy ona zwijając się z bólu wisiała nad przystawioną do łóżka miednicą. Gdy już było po wszystkim, układał ją delikatnie i ocierał jej twarz wilgotną myjką. Wtedy jej dłoń szukała jego dłoni; ujmował ją ostrożnie, by nie urazić cienkiej warstewki ciała obciążającej kości, a ona otwierała oczy, które lśniły tak samo jak wtedy w Oksfordzie, kiedy się poznali. Ów blask zgasł w nich dopiero, gdy...

Drzwi otwały się i do kuchni weszła Jasmine. Uśmiechnęła się do niego i sięgnęła po czajnik.

- Przed chwilą się gotowała - rzekł zduszonym głosem. Odchrząknął, by pozbyć się łez dławiących go w gardle.

Jasmine zerknęła na Davida, wyjęła z szafki garnuszek i wsypała do niego dwie łyżeczki kawy rozpuszczalnej.

- Co z nią? - spytał.

- Będzie dobrze. Doktor dał jej coś na sen. Mówi, że sama musi się pozbyć resztek trucizny. To może jeszcze trochę potrwać, nie wiadomo dokładnie, jak długo.

Zalała kawę, podeszła z nią do stołu, podniosła przewrócone krzesło i usiadła na nim, spoglądając na Davida.

- Dobrze się czujesz? - zapytała.

Przytaknął.

- Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

- Nie, nic mi nie jest.

- Teraz raczej nie mogę jej powiedzieć o tym, o czym rozmawialiśmy.

David usiadł obok niej i potrząsnął głową.

- Nie, teraz nie.

Jasmine przez chwilę bawiła się kubkiem, obracając go na blacie stołu.

- Czy mogę cię o coś zapytać?

- Mhm? - mruknął, sięgając po swoje piwo.

- Jesteś lekarzem, pielęgniarzem czy kimś takim?

Popatrzył na nią z puszką przytkniętą do ust.

- Co?

Jasmine pochyliła się ku niemu, spoglądając mu prosto w oczy.

- Mój drogi, ty wiedziałaś, co robisz tam, na górze. Zresztą sam tak mówiłeś, a ja widziałam wszystko na własne oczy. Nie była to dla ciebie nowość. Powiedziałabym raczej, że masz spore doświadczenie. Skąd?

David patrzył na nią bez słowa.

- Jesteś żonaty?

Milczał.

- Tuż przed przyjazdem Jennifer zaczęłaś opowiadać o sobie i o kimś jeszcze. Te dwie rzeczy są powiązane, prawda? I dlatego masz teraz taką minę?

Obrócił się i utkwiał wzrok w ciemne okno.

- Nie chcesz o tym mówić? - spytała cicho.

Spojrzał na nią i rzekł łamiącym się głosem:

- Byłem żonaty. Do kwietnia tego roku. - Wzjął głęboki oddech. - Rachel... - urwał i otarł oczy wierzchem dłoni - miała raka jajników. Wykryto go zbyt późno. Przez sześć miesięcy poddawano ją chemoterapii. Przez cały ten czas pielegnowałem ją... tylko ja, nikt inny... Stąd mam pewne doświadczenie w tych sprawach. Ale wiosną umarła. - Znów obrócił się do okna. - I to wszystko. Teraz już znasz całą historię Davida Corstorphine'a.

Jasmine przycisnęła dłoń do ust.

- Dobry Boże... Przepraszam, Davidzie, nie wiedziałam... Nie chciałam...

- Nie masz mnie za co przepraszać. I tak zamierzałem ci o tym powiedzieć, tylko że nie czułem się gotowy. Nie zdołałem się jeszcze uwolnić od duchów przeszłości. Dlatego podjąłem tę pracę - żeby móc się oderwać od wspomnień. Nie chciałem o nich myśleć, cóż dopiero mówić.

- A ja oczywiście wlażłam ci z butami w duszę. Jest mi strasznie głupio. Nie miałam zamiaru wydzierać z ciebie zwierzeń.

David się uśmiechnął.

- Wiesz, Jasmine, pomogłaś mi bardziej niż ktokolwiek inny. Ty i Benji. Zaakceptowaliście mnie, nie każąc mi się odsłaniać. Nie pytaliście, skąd przybyłem ani co robiłem. Mówię szczerze: oddaliście mi ogromną przysługę. A Benji... Przebywając z nim uświadomiłem sobie, jak bardzo tęsknię za swoimi dziećmi.

Ręce Jasmine opadły bezwładnie na blat stołu. Rozdziawiła usta.

- Dzieci? Ty masz dzieci? - spytała z niedowierzaniem.

- Trójkę. Sophie, Charliego i Harriet.

- No dobrze, ale gdzie one są?

- W szkole.

- Tego się domyślam, ale kto się nimi opiekuje?

- Są w szkole z internatem.

- M i e s z k a j ą w szkole?

David skinął głową.

- Chcesz powiedzieć, że po śmierci matki wysłałeś je do internatu?

- Tak, ale...

- To jest... - Jasmine urwała, szukając odpowiedniego słowa. - To jest niewybaczalne!

Jak mogłeś! Ile lat ma najmłodsze?

- Dziewięć.

- Dziewięć? Mniej niż Benji! D z i e w i ę ć ?

- Posłuchaj, Jasmine, być może trudno ci to zrozumieć, ale dzieci uczyły się w tej szkole, jeszcze zanim ich matka zachorowała. Kiedy trzeba było zdecydować, czy tam wrócić czy przeniosą się gdzieś bliżej domu, to one postanowiły wrócić. Widzisz, mają tam wielu przyjaciół, czują się pewnie i bezpiecznie; dla mnie to najważniejsze. I chociaż sam wolałbym je mieć blisko siebie, nie mogłem się sprzeciwić ich życzeniu, bo dopiero to byłoby okrutne i samolubne.

Jasmine wstała i przyjrzała mu się, kręcąc głową.

- Możliwe. Nie rozumiem tylko, jak mogłeś ot, tak wyjechać i bawić się tu z Benjim, kiedy twoje własne dzieci są zamknięte w jakiejś... ochronce!

Ta uwaga potrafiła czuć nerw, dopiekła mu do żywego. Zerwał się i wyrzwał pięścią w stół.

- To, co mówisz, jest... niesprawiedliwe! Kocham moje dzieci, bardziej, niż jesteś to sobie w stanie wyobrazić! Odkąd tu przyjechałem, jestem z nimi w stałym kontakcie, a one ze mną. A skoro już tak bardzo się tym interesujesz, wiedz, że na początku przyszłego miesiąca wracam do Szkocji i zabieram je na wakacje! Zresztą zamierzałem spędzić w Stanach tylko kilka dni, ale zdałem sobie sprawę, że nie mogę tam wrócić, bo... bo...

Opadł na krzesło wyczerpany, niezdolny się dłużej bronić.

- Bo nie potrafiłem sobie wyobrazić życia bez mojej żony - dokończył cicho.

Potańczał palcami czoło, wpijając je tak mocno, by móc się opanować, skoncentrować na bólu, który sam sobie zadawał. Wciągnął głęboko powietrze.

- Przepraszam, Jasmine. Nie chciałem na ciebie krzyknąć.

Nie słyszał, kiedy do niego podeszła; poczuł tylko jej dłoń na ramieniu.

- To ja cię przepraszam. Jestem głupia; za głupia, żeby pojąć wszystko to, co przeszedłeś. Nie do mnie należy osądzanie twoich czynów. To ty znasz i rozumiesz swoje

dzieci, nie ja; i to prawda, że nawet nie wyobrażam sobie, jak można kochać dziecko z własnej krwi. Nie powinnam była zabierać głosu.

David wyprostował się i odetchnął ciężko.

- Nie, twoja reakcja była całkiem usprawiedliwiona. To rzeczywiście zabrzmiało dość cynicznie. Na tym polega jedna z różnic kulturowych między wami a nami. Jak to Amerykanie mówią o Brytyjczykach? Że trzymają psy w domu, a dzieci w psiarniach? - David zaśmiał się sucho. - Nie staram się tłumaczyć, Jasmine, ale znasz mnie chyba już na tyle długo, by uwierzyć, gdy mówię, że w danych okolicznościach to było najlepsze wyjście.

Jasmine westchnęła, uniosła brwi, siadła z powrotem.

- Może i tak - westchnęła. - Szkoda, że ich nie poznamy. Ile mają lat?

- Sophie prawie szesnaście, Charlie dwanaście, a Harriet, jak już wiesz, dziewięć.

Pokiwała głową.

- Charlie ma dwanaście, mówisz... Powinniśmy go poznać z Benjím.

- Pasowaliby do siebie. Obaj to urodzeni entuzjaści. Jedyne problem polega na tym, że Charlie dosłownie na każdym kroku wywołuje katastrofy. Dlatego zareagowałem tak ostro, kiedy zobaczyłem Benjiego na dnie basenu. Oczywiście duszy widziałem tam swojego syna.

- Ależ musiałeś się przestraszyć!

- Mało powiedziane! - zaśmiał się.

- To gdzie zamierzasz spędzić z nimi wakacje?

- Jeszcze nie wiem. Zaplanuję po powrocie.

- Mam pomysł! - Jasmine podniosła na niego błyszczące oczy. - Niech przyjadą tutaj!

- Co? - David zaskoczony rozdziawił usta.

- Zabierz je tu, do Stanów, do Leesport! Po co miałbyś je wieźć gdzie indziej? Znasz to miejsce, masz tu nas i wielu innych przyjaciół. Tu jest słońce, plaża i morze, basen i kort tenisowy. Naprawdę będą się tu dobrze bawić!

David uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- Nie, Jasmine, wolałbym nie.

- Dlaczego? Podaj mi choć jeden rozsądny powód!

- Bo...

- Wiem, co zaraz usłyszę. Bo nikt tutaj nie zna ciebie ani twojej przeszłości, a chcesz ją zachować w tajemnicy. Tak?

- W pewnym sensie tak.

- W takim razie argument upada, bo ja już znam. Masz jeszcze jakieś inne wymówki?

David wzruszył ramionami i poskrobał się po głowie.

- Nie wiem, Jasmine. Chyba byłoby lepiej, gdybym zakończył swoje sprawy tutaj, wrócił i tam zaczął wszystko od nowa.

- Wcale nie byłoby lepiej - ucięła tak ostro, że David poderwał głowę. Podniosła ołówek, który leżał na stole, i zaczęła go obracać w palcach. - Posłuchaj, co ci powiem - podjęła. - W tym domu nigdy nie było tyle śmiechu i radości co od dnia, gdy przekroczyłeś jego próg. Naprawdę chcemy cię zatrzymać tak długo, jak tylko zdołamy. I nie mówię wyłącznie o sobie i Benjiminie.

- To znaczy? - spojrzał na nią pytająco.

- To znaczy, że po wyjściu lekarza zostałam z Jennifer. Dałam jej tę pastylkę nasenną, ale ona ciągle próbowała się podnieść z łóżka. Była półprzytomna, pytała co chwilę: „Gdzie on jest? Gdzie on jest?” Odparłam, że nie wiem, dokąd teraz poleciał, myśląc, że chodzi jej o Alexa, ale ona potrząsnęła głową. „Gdzie David?”, zapytała. Powiedziałam jej, że jesteś tu, na dole. Opadła na poduszkę i zasnęła z uśmiechem, ot tak, w ciągu pięciu sekund!

- Jasmine rzuciła ołówek na stół. - Pigułka na pewno nie działa tak szybko.

David siedział w milczeniu, patrząc na nią uważnie.

- W dwóch kwestiach masz rację - ciągnęła Jasmine.

- Po pierwsze, nie możemy jej teraz powiedzieć o Aleksie. Zresztą fakt, to nie do nas należy. Po drugie, owszem, jestem jej najlepszą przyjaciółką. Znam ją dobrze, jak siostrę. Ba, traktuję ją całkiem jak młodszą siostrę! I wątpię, żeby poradziła sobie sama, kiedy wybuchnie ta sprawa z Alexem. Ona też sobie nie poradzi, zwłaszcza gdy jest chora. Czy ci się to podoba czy nie, wszyscyśmy się do ciebie przywiązali. Stałeś się naszym aniołem stróżem, naszym... jak to nazywa cię Jennifer? Aha, naszym Supermanem! Za twoją przyczyną dzieją się tu rzeczy, o jakich jeszcze w tym domu nie słyszano. Jeśli teraz wyjedziesz, a Alex odejdzie, nasza arka Noego pójdzie na dno!

David wolno pokręcił głową.

- Nie mogę tu zostać na zawsze, Jasmine.

- Nie proszę cię, żebyś został na zawsze. Zdaję sobie sprawę, że masz własne życie w Szkocji, ty i twoje dzieci. Ale jeśli tu przyjadą, jeśli dzięki temu zostaniesz jeszcze przez tydzień lub dwa, może w tym czasie między nią i Alexem wszystko się uładzi... a może wręcz przeciwnie.

- Jasmine nakryła dłonią jego dłoń. - Proszę cię, Davidzie, przemyśl to. Wyobraź sobie, jaką dzieci będą miały frajdę.

Uśmiechnął się.

- W domku Carrie jest bardzo mało miejsca.

- To co? - Jasmine rozpromieniła się czując, że szala zaczyna się przechylać na jej stronę. - Dzieci uwielbiają spać w polowych warunkach! Zresztą mogą nocować tutaj. Jennifer nie...

- Nie - uciał David.

- Znowu „nie”?

- Zrozum, że chciałbym jak najdłużej pozostać dla wszystkich Davidem-ogrodnikiem, nie Davidem-wdowcem. Powiem Jennifer, kiedy dzieci tu będą; powiem wszystkim, ale w swoim czasie. W sumie miałem zamiar się zwierzyć tylko tobie. - Zerknął na nią z uśmiechem. - Odkryłaś mój sekret wcześniej, niż planowałem.

Jasmine z namysłem pokiwała głową.

- To kiedy byś się ich spodziewał?

- Mniej więcej za dwa tygodnie.

- To świetnie! - Oczy Jasmine znów zapłonęły entuzjazmem. - Pomogę ci dostawić parę łóżek. Ech, już nie mogę się doczekać! Wyobrażasz sobie, jak będzie wesoło? Czwórka dzieci i pies, i... - Wyprostowała się nagle. - A skoro o psie mowa, gdzie ona jest?

Trzepnąwszy się w czoło, David się zerwał i rozejrzał dookoła. Jego nagły ruch zbudził Dodie wtuloną głęboko w dmuchany fotel przed telewizorem. Podniosła kędzierzawy łebek i ziewnęła głośno.

- Zawsze w zasięgu ręki - zaśmiał się i przeciągnął, nagle odczuwając zmęczenie. - Chyba już pójde, Jasmine. - Podeszedł do niej i położył jej dłoń na ramieniu. - Dzięki za rozmowę i za pomysł... i za to, że jesteś. Bardzo sobie cenię twoją przyjaźń.

Jasmine poklepała go po dłoni.

- I wzajemnie, mój drogi. I wzajemnie.

David gwizdnał na psa i ruszył w stronę drzwi.

- Będziesz tu jutro o zwykłej porze? - spytała.

- Oczywiście - odparł i pomachawszy jej na pożegnanie, wyszedł wraz z Dodie w ciepłą letnią noc.

ROZDZIAŁ 26

Ponieważ Benji nocował u Seana i mógł dzięki temu spełnić swoje marzenie - iść pieszo do szkoły - David postanowił udać się do pracy później niż zwykle, a wolny czas poświęcić na przygotowania do przyjazdu dzieci. Zadzwoił do biura linii lotniczych w Glasgow i zarezerwował im bilety, po czym zdał sobie sprawę, że być może postąpił nieco pochopnie i powinien najpierw porozumieć się z całą trójką, natychmiast więc wykręcił numer szkoły.

Dyrektor Hunter był zachwycony pomysłem. Stwierdził, że podróż do Ameryki będzie dla dzieci niezapomnianym przeżyciem, a zarazem w pełni zasłużoną nagrodą - zwłaszcza dla Sophie, która przez cały semestr pracowała jak mrówka, dzięki czemu nie miał żadnych obaw co do wyniku jej końcowych egzaminów. Następnie David postępszał, jak woła sekretarkę i prosi, by sprowadziła młodych Corstorphine'ów do jego gabinetu. W czasie oczekiwania dyrektor nadmienił, że dzieci mają się znakomicie i jest dumny nie tylko z nich, lecz także z ich przyjaciół, którzy w tak trudnej sytuacji byli im wielką pomocą. Gdy w końcu zaczął opowiadać o wynikach Charliego w krykiecie, w tle rozległy się odgłos otwieranych drzwi i ożywione głosy zbliżające się do telefonu.

- Już są - oznajmił dyrektor. - Przełączę na głośnik, żeby mógł pan rozmawiać z całą trójką naraz.

Usłyszał kliknięcie, a potem zadyszane oddechy.

- Jesteście tam wszyscy? - spytał.

- Cześć, tato! - przywitał go chór rozentuzjasmowanych głosów.

- Jak się miewacie?

- Świetnie! Fajnie! - odparli jednocześnie Charlie i Harriet.

- Czy wszystko u ciebie w porządku, tato? - w głosie Sophie brzmiał niepokój.

- W jak najlepszym, kochanie! Prawdę mówiąc, dzwonię dlatego, że wpadł mi do głowy pewien pomysł, którym chcę się z wami podzielić. Pamiętacie, pisałem wam, że kiedy wrócę, wszyscy pojedziemy na wakacje. Otóż zastanawiam się właśnie, czy nie byłoby miło, gdybyśmy spędzili je tutaj.

- W Ameryce? - pisał Charlie.

- Tak, w Ameryce.

- Jejku! To byłoby bombowo! Czy tam, gdzie mieszkasz, są kowboje?

David się roześmiał.

- Niestety, nie. Jest to dość cywilizowana okolica na wschodnim wybrzeżu, niedaleko Nowego Jorku. Nazywa się Long Island; geograf pokaże wam ją na mapie. No i co wy na to?

- A czy ty będziesz z nami? - spytała niepewnie Sophie. - To znaczy, nie będziesz całych dni spędzał w pracy?

- W ogóle nie będę chodził do pracy. To mają być nasze wspólne wakacje. A mimo braku kowbojów jest tu co robić. Są baseny, łódki, korty tenisowe, deski do windsurfingu...

- Nie mam tu kostiumu kąpielowego! - rozległ się zrozpaczony głos Harriet.

- Nie szkodzi, kochanie. Zaraz zadzwonię do babci i ona wam wszystko przyśle.

- Hurra! - krzyknęła unisono młodsza dwójka.

- A ty co o tym myślisz, Sophie?

- Jestem za. - W głosie Sophie też słychać było podniecenie. - Myślę, że to świetny pomysł.

- W takim razie mogę się wam teraz przyznać, że już zarezerwowałem dla was bilety. Poproszę pana Huntera, żeby zorganizował wam przejazd na lotnisko, a ja będę na was czekał w Nowym Jorku. Nie macie pojęcia, jaki jestem szczęśliwy. Już nie mogę się was doczekać! Ale teraz wracajcie do swoich zajęć i... do zobaczenia!

- Do zobaczenia, tato! Do zobaczenia w Ameryce!

- No cóż - dyrektor podniósł słuchawkę - lepszej reakcji nie mógłby pan sobie życzyć.

- To prawda. Tylko Sophie z początku nie była przekonana.

- Za to szkoda, że nie widział pan jej miny, kiedy stąd wychodziła! Świeciła własnym światłem. Może potrzebne było jej tylko pańskie zapewnienie, że będzie pan miał dla nich czas.

- Bardzo się cieszę, panie Hunter. Mam jeszcze prośbę: byłbym niezmiernie wdzięczny, gdyby zamówił pan samochód, który zawiezie ich na lotnisko. Bilety mają na pierwszego lipca... albo nie, wszystkie dane prześlę panu faksem, tak będzie prościej.

- Oczywiście. Proszę się nie obawiać, wszystko tu załatwię. Mam nadzieję, że wakacje się udadzą. Dzieciom bardzo tego trzeba.

- Ba, wszystkim nam tego trzeba, panie Hunter. Jeszcze raz bardzo panu dziękuję.

Rozłączył się i od razu wykręcił numer Inchelvie. Odebrała matka i już w pierwszych jej słowach David wychwycił radosną nutkę, której nie słyszał od kilku miesięcy. Jego

pomysł przyjęła z równym entuzjazmem jak dzieci, a potem westchnęła z ulgą mówiąc, że wszystko idzie ku lepszemu. Ojciec już dwa tygodnie nie jeździł do firmy, a to dzięki Duncanowi, który zadawał sobie wiele trudu, by informować go o wszystkim na bieżąco. Nieraz nawet odwiedzał go w domu, by ustalić to czy tamto. Zapytała, kiedy wróca; David odparł, że na razie nie ustalił dokładnej daty, ale planuje powrót w pierwszej połowie sierpnia. Poprosił ją, by zabrała z Domu Pod Bukami paszporty całej trójki i wysłała je do szkoły wraz z letnią odzieżą dzieci. Matka pożegnała go wesołą uwagą, że zaczyna już mieć amerykański akcent, i na tym zakończyli rozmowę.

Pojechał na Barker Lane radośnie podniecony nie tylko myślą o przyjeździe dzieci, lecz także otuchą, jakiej nabrał słuchając matki - i ulgą, że już przynajmniej przed Jasmine nie musi niczego ukrywać.

Zastał ją w kuchni. Ustawiała na tacy śniadanie dla Jennifer.

- Wszystko załatwione! - obwieścił triumfalnie, podchodząc do ekspresu, żeby nalać sobie kawy. - Dzieci będą tu pierwszego lipca.

Jasmine podskoczyła i z gromkim „Ju-hu!” zamknęła go w niedźwiedzim uścisku.

- To wspaniale! - Klasnęła w ręce, już gotowa do czynu. - Słuchaj, jak tylko tu się trochę unormuje, pomogę ci znaleźć składane łóżka i śpiwory. Chyba mamy je upchnięte gdzieś na strychu.

- Świetnie. - Uśmiechnął się, widząc jej podniecenie. Oparł się o szafkę z filiżanką w ręku. - A jak tam nasza pacjentka?

- Znacznie lepiej. Spałam w pokoju obok, na wypadek gdyby mnie potrzebowała. Wymiotowała jeszcze raz, ale poza tym przespała noc bez zakłóceń. Teraz siedzi w łóżku i upiera się, że chce wstać. Powiedziałam jej, że jeśli zobaczę ją tu na dole, tak ją pogonię, że ocknie się dopiero pod pierzyną. - Jasmine podniosła tacę z herbatą, grzankami i marmoladą i wręczyła ją Davidowi. - Wybierałam się właśnie, żeby jej to zanieść, ale skoro tu jesteś, a ona już dwa razy pytała o ciebie, połączmy przyjemne z pożytecznym. Marsz na górę, s i o s t r o ! - Mrugnęła łobuzersko.

David pokiwał tylko głową, wziął tacę i udał się na piętro.

Balansując tacą na jednej ręce, zapukał do sypialni Jennifer. Postyszawszy niewyraźną odpowiedź wszedł i ujrzał, że Jennifer speszona chowa coś pod kołdrę. Miała na sobie białą bawełnianą koszulę nocną z krótkimi rękawkami, rozwichrzone włosy spadały jej na blade policzki. David odniósł wrażenie, jakby właśnie przyłapał psotne dziecko na czymś, czego matka stanowczo mu zabrania.

Na jego widok chora westchnęła z ulgą.

- Całe szczęście, że to ty! - wyciągnęła spod kołdry gruby, oprawiony w plastikową okładkę plik dokumentów. - Myślałam, że Jasmine mnie z tym nakryła. Dałaby mi popalić!

David zaśmiał się, podchodząc z tacą.

- Gdzie ci to postawić?

- Czekaj. - Jennifer odrzuciła kołdrę. - Tylko schowam to do teczki. - Przeczłoła się na brzeg łóżka i wyjęła spod niego aktówkę. - Rano, kiedy Jasmine jeszcze spała, na paluszkach zesłam na dół i zorganizowałam sobie zajęcia. Tyle że muszę się z nim ukrywać. Włóż ją, proszę, pod łóżko. Sprytnie, co?

David postawił jej tacę na kolanach i umieścił aktówkę we wskazanym miejscu.

- Jak się dziś czujesz?

- Dobrze. Trochę słabo, ale głowa mnie nie boli i chwala Bogu, nie mam już torsji. - Odgryzła kawałek grzanki.

- Bardzo się cieszę, że to słyszę. No cóż, w takim razie pójde trochę popracować. - Obrócił się ku drzwiom.

- E, hekaj! - zawołała z ustami pełnymi suchej grzanki. Przełknęła ją z wysiłkiem. - To znaczy, czy mógłbyś zostać na chwilę i trochę ze mną porozmawiać? - Klepnęła w kołdrę na znak, by siadł przy niej.

- Hm, jasne, czemu nie. - Z przyzwyczajenia otrzepał spodnie, nim usiadł.

Jennifer sięgnęła po dzbanek, naląła sobie herbaty i przez chwilę spoglądała na tacę w zadumie.

- Davidzie... - powiedziała w końcu, nie podnosząc wzroku - właściwie nie wiem, co mam ci powiedzieć. To znaczy, wiem - zaśmiała się skrzepowana. - Chcę powiedzieć, że to wczoraj... że... no, że chyba nikt nigdy nie traktował mnie z taką... troską. - Zerknęła na niego i nim znów spuściła głowę, na jej twarzy błysnął uśmiech. - Chciałam ci za to podziękować. Nie umiem wyrazić, jak...

- Nie, słuchaj, to naprawdę nie było nic takiego - przerwał jej, machnąwszy ręką. - Bardzo martwiliśmy się z Jasmine o ciebie. Zresztą ona ma rację, powinnaś odpocząć przez dzień lub dwa.

- Mhm - Jennifer skinęła głową, popiła herbaty i przełknęła resztę grzanki. - Aha, wiem, o czym chciałam z tobą porozmawiać. O piosence Benjiego. Jasmine mówiła mi, że jest śliczna.

- Już o niej wiesz? Skąd?

- Idąc po aktówkę zakradłam się do pokoju Benjiego, a ponieważ go tam nie było, więc zaraz rano zagadnęłam o niego Jasmine. Powiedziała mi, że nocował u Seana, a ja na to,

że jakim cudem, skoro Sean się już z nim nie przyjaźni. I wtedy opowiedziała mi o piosence. Jak ty to zrobiłeś?

- Ja nic nie zrobiłem! Benji sam ją napisał i wykonał, a Gerry trochę ją zaaranżował z pomocą tej bandy zbikowanych Irlandczyków, która nazywa się Dublin Up. Ja tylko snułem się po studiu i wszystkim przeszkadzałem.

- Och, nie pleć bzdur! Zupełnie jak z tym tenisem. Do szału mnie doprowadza ta wasza szkocka skromność! Wobec tego powiem wprost, co udało ci się osiągnąć, Davidzie, choć sam o tym doskonale wiesz. Benji jest znów akceptowany przez kolegów. I zawdzięcza to tobie.

David przewrócił oczami.

- Nie emocjonuj się tak. Nie doszłaś jeszcze do siebie po tym zatruciu i...

- A niechże cię diabli, ty przemądrzała bestio! - z głośnym śmiechem Jennifer wyciągnęła zza siebie poduszkę i dzieliła go nią w głowę. - Nie zmieniaj tematu! No, przyznaj się! - dzieliła go ponownie.

- Dobrze, już dobrze! - zawołał, ze śmiechem osłaniając głowę przed jej słabymi ciosami. - Przyznaję się.

- No widzisz - wyszeptwała i opadła wyczerpana na wznak, choć poduszkę nadal ścisnęła w dłoni. - To nie było takie trudne, prawda? - Zgrzytnęła zębami, zbierając siły. - Właściwie powinnam cię huknąć jeszcze raz, żebyś miał za swoje.

Dokładnie w chwili gdy poduszka sięgnęła celu, drzwi sypialni się otworzyły i weszła Jasmine.

- Co to za hałasy... No nie! Co wy tu oboje wyprawiacie?!

Jennifer pospiesznie zanurkowała pod kołdrę. Jasmine podeszła do łóżka, po drodze wymierzywszy Davidowi szcztka w ucho.

- Doprawdy, jak dziecko! - gderała, poprawiając pościel i otulając Jennifer po samą brodę. - Nawet na chwilę nie można cię zostawić samej. A ty też nie jesteś lepszy! Przecież wiesz, jaka jest jeszcze słaba. Nie powinienes jej zachęcać do wygłupów. - Spojrzała surowo na dwie roześmiane twarze.

- Przepraszam, pani psorko! - pisnął cienko David.

To wystarczyło, by Jennifer dostała ataku śmiechu. David zerknął na Jasmine starając się powstrzymać chichot, lecz na twarzy Murzynki także wykwitł szeroki uśmiech i po chwili cała trójka piała z radości.

- No, starczy już tego! Co za dużo, to niezdrowo! - wysapała Jasmine, ocierając łzy z oczu. Jej ciężka dłoń spadła na ramię Davida. - Kysz mi stąd! - Postawiła go na nogi i pchnęła

w stronę drzwi. - A ty prześpij się trochę - zwróciła się do Jennifer, grożąc jej palcem. - I nie waż się wstawać z łóżka!

- Ani włączyć pod łóżko! - dorzucił David z progu.

Jennifer znów parsknęła śmiechem, a Jasmine wypchnęła go za drzwi i zamknęła je za sobą.

- Co to miało znaczyć? - spytała podejrzliwie.

- Pewnego dnia, Jasmine - rzekł gawędziarskim tonem, ujmując ją pod ramię i prowadząc ku schodom - wszystkie tajemnice ujrzą światło dzienne... Jasmine wyrwała mu się i szturchnęła go w bok.

- A idźże ty! - wykrzyknęła. - Chyba cię już nie lubię. Zrobiłeś się stanowczo zbyt rozbrykany!

ROZDZIAŁ 27

Po trzech dniach przymusowego leżenia w łóżku Jasmine uznała wreszcie kondycję Jennifer za dostatecznie dobrą, by pozwolić jej zejść na dół. Przyczyną zaostrzonych rygorów stało się w pewnym stopniu pogorszenie samopoczucia chorej po południu pierwszego dnia rekonwalescencji, które Jasmine początkowo przypisała porannym wygłupom z Davidem. Wieczorem wszakże, gdy Jennifer siedziała w wannie, a Jasmine zmieniała jej pościel, znalazła ukrytą aktówkę. Na nic nie zdały się protesty Jennifer, że traktuje się ją jak dziesięcioletnie dziecko. Teczka została zniesiona do kuchni i schowana w miejscu znanym tylko Jasmine.

David również musiał podporządkować się dyktatorskim zapędom Jasmine, choć w duchu był tym setnie ubawiony. Nie wolno mu było odwiedzać Jennifer sam na sam - nie tyle dlatego, iżby podejrzewano go o nieczne zamiary, co na wypadek gdyby był w zмовie z Jennifer i chciał przeszmułować jej teczkę z powrotem do sypialni.

Dopiero w sobotę stan wyjątkowy został uchylony i podczas krótkiej ceremonii przekazania, jaka odbyła się w kuchni, Jennifer odzyskała aktówkę i otrzymała od „głowy domu” pozwolenie na pracę w gabinecie. Jednakże osłabienie, przerwa w pracy, jak i obecność Benjiego w domu nie pozwalały jej w pełni skupić myśli na dzinie Tarvy'ego. Postanowiła odłożyć to do poniedziałku, gdy wróci do biura.

W konsekwencji mogła cały weekend poświęcić Benjiemu. Pływali razem łodzią, przyglądała się z brzegu jego coraz pewniejszym popisom na desce windsurfingowej i oczywiście kilka razy dziennie słuchała Piosenki. Za każdym zaś razem Benji wciąż z tym samym podnieceniem komentował niemal każdy dźwięk, który znalazł się w nagraniu.

Ponad wszystko jednak cieszyły ją te chwile, kiedy był z nimi David. Z początku nie umiała sobie tego wyjaśnić. Ale w sobotę po południu, gdy usadowiona na drabinie sędziowała mecz tenisa, wydając głośne i stronnicze orzeczenia na korzyść syna i zwijając się ze śmiechu, gdy David, udatnie naśladowując Johna McEnroe, kwestionował dobrą wiarę sędziego, uświadomiła sobie nagle, że to było właśnie to, do czego tęskniła w małżeństwie z Alexem. To była rodzina. To było szczęście. Przez chwilę żałowała, że go z nimi nie ma,

potem z lekkim poczuciem winy zdała sobie sprawę, że obecność Alexa natychmiast zwarzyłaby nastrój. David uciekłby, nie chcąc się narzucać, a gdyby nalegała, żeby został, Alex pewnie by się obraził.

Wieczorem wymogła na Jasmine zgodę na całonocne garden party z grillowaniem, które się miało odbyć nazajutrz - głównie jako impreza dziękczynna dla Gerry'ego za jego pomoc w nagraniu Piosenki. Jak się okazało, grupa Dublin Up też gościła w Leesport, muzycy kończyli bowiem pracę nad nowym albumem, zaproszenie objęło więc również ich. Benji był zachwycony i od razu wykorzystał to do podbudowania swojej pozycji w szkole, zapraszając na niedzielę pół klasy.

Bawili się szampańsko. Zaczęło się od tego, że nareszcie odkryto, do czego David nie ma za grosz talentu. Jego próby smażenia hamburgerów zakończyły się totalną katastrofą - Benji oraz jego koledzy nakarmili chyba wszystkie ryby w zatoce kawałkami przypalonego mięsa. Za każdym razem David mówił: „Już wiem, na czym to polega; następne będą dobre”. W końcu Jennifer uzbrojona po zęby w widelec i łyżkę musiała siłą usunąć go ze stanowiska. Następnie sprawę wzięły we własne ręce panie. Jasmine po raz kolejny dowiodła swego kulinarnego mistrzostwa; sekundowała jej dzielnie Jennifer, używając spryskiwacza nie tylko do utrzymywania odpowiedniej temperatury żarzących się węgli, lecz także do odstraszenia Davida, ilekroć podkraść się w pobliże grilla, chcąc podjąć jeszcze jedną próbę.

Ogrodowy piknik trwał aż do zmierzchu. Błogie byczenie się na trawie lub leżaku urozmaicone zostało turniejem debła, najdzikszyimi wygłupami w basenie oraz gorąco komentowanym meczem europejskiej piłki nożnej. Wiek stał się nieistotny - dorośli partnerowali dzieciom, dzieci zwyciężały dorosłych, nieraz w atmosferze zawziętej rywalizacji (podsycanej głównie przez dorosłych członków drużyn).

Tylko raz Jennifer miała powód do niepokoju, a to za sprawą koleżanki z klasy Benjiego, która wyraźnie zagięła parol na gitarzystę Dublin Up. Odnalazłszy go na leżaku, dziewczuszka śmiało usadowiła mu się na kolanach, po czym między innymi zapytała go wprost, dlaczego jego papieros tak dziwnie wygląda i tak dziwnie pachnie. Siedząca tuż obok gospodyni przyjęcia nie musiała jednak interweniować, albowiem muzyk zdusił w palcach podejrzanego skręta i zatknął go za ucho. Następnie, chcąc się ustrzec dalszych pytań swej młodej wielbicielki, zerwał się, wziął ją na ręce i celnym rzutem umieścił dokładnie w środku basenu.

Gdy umilkły już głośnie pożegnania i przed domu odjechał ostatni samochód, Jennifer powoli zeszła do ogrodu po czyjąś koszulę porzuconą na trawniku. Podniósłszy ją, ruszyła dalej, aż na brzeg zatoki, i tam zeszła na drewniany pomost. Stała tuląc do piersi dziecięcą

koszulkę i wsłuchując się w kakofonię świerszczy patrzyła, jak ostatnie promienie zachodzącego słońca gasną różowo w łagodnie falującej wodzie.

Cudowny koniec cudownego dnia, pomyślała. Nie, poprawiła się w duchu, cały ten weekend był chyba najbardziej radosnym, odprężającym i... (tu powstrzymała się, sama przed sobą nie chcąc tego przyznać; choć właściwie - stwierdziła - psia krew, dlaczego nie?) najbardziej r o d z i n n y m weekendem od wielu lat. Zadrzała, choć wieczór był spokojny i ciepły. Wciągnęła głęboko w płuca upajający aromat sosen zmieszany ze słoną wilgocią morza. Potem, ignorując rój komarów, które wściekle cięły ją po kostkach, bez pośpiechu wspięła się znów do ogrodu i okrężną drogą wróciła do domu, przesuwając po trawie bose stopy w takt refrenu piosenki, która nagle wypłynęła z jej pamięci:

Oh it's a perfect day

I'm glad I spent it with you

Just a perfect day

But you keep me hangin' on

You just keep me hangin' on...

Kiedy David nazajutrz stawiał się na Barker Lane, Jennifer już nie było. Wyjechała do Nowego Jorku i - jak z radosnym błyskiem w oku napomknęła Jasmine - po raz pierwszy, odkąd pamięć sięga, wyjeżdżała z ociąganiem.

Chociaż Jennifer witała nowy tydzień w minorowym nastroju, David i Jasmine podekscytowani czynili przygotowania do przyjazdu dzieci. Benji miał im za złe ciągle ukradkowe szeptki, David postanowił go więc wtajemniczyć. Któregoś dnia posadził go przy stole w kuchni i opowiedział mu o Rachel, o dzieciach i o ich wyprawie do Ameryki.

Benji przyjął to z mieszanymi uczuciami. Nie mógł uwierzyć, że David ma własne dzieci i nikomu o nich nie powiedział; poza tym kiedy myślał, że niebawem przyjadą i że David cały czas będzie spędzać z nimi, w głębi ducha czuł się pokrzywdzony. Trudno było mu też zrozumieć, dlaczego David nie chce powiedzieć o tym jego mamie, był bowiem pewien, że będzie to dla niej nowina zdumiewająca i zarazem radosna.

David wyjaśnił mu najzwięźlej, jak umiał, że oczywiście zdradzi swe plany Jennifer, ale chce jej wytłumaczyć wszystko po kolei, tak jak jemu, a to zajmie nieco czasu. Benji był zawiedziony, że nie może sam jej przekazać ekscytujących wieści, ale kiedy Jasmine zdarzyło się napomknąć, w jakim wieku jest Charlie, chłopiec zastrzygł uchem i rozchmurzył się.

- Ma dwanaście lat?

- Mhm.
- To mniej więcej tyle co ja!
- Jest odrobinę starszy.
- Jak myślisz, Davidzie, czy moglibyśmy się zaprzyjaźnić?
- Na to liczę!
- Ekstra! Kiedy ma przyjechać?
- W przyszły czwartek.
- To fan-tas-tycz-nie!

Zupełnie już przekonany, Benji z równym jak oni entuzjazmem pomagał przeszukiwać strych, skąd wydobyto śpiwory, składane łóżka, a także namiot, o którym Jasmine pomyślała na wypadek, gdyby domek przy Shore Road nie pomieścił jednak wszystkich nowych gości.

David szybko jednak zdał sobie sprawę, że nie może ciągle angażować Jasmine, zwłaszcza gdy Jennifer i Alex będą w domu. Chciał też, by jego dzieci mogły się swobodnie poruszać po Leesport. Postanowił więc wykorzystać też innych tutejszych przyjaciół, by dzieci nie były skazane wyłącznie na niego, Jasmine i Benjiego, a w razie nagłej potrzeby miały się do kogo zwrócić. Zadzwoił do Gerry'ego Reilly'ego, choć ten mieszkał na uboczu, a także do Billy'ego, młodego dowcipnisa z bistra, i w krótkich słowach nakreślił im sytuację. Po południu wyskoczył też w odwiedziny do Clive'a i Dotti. Wbrew wcześniejszym zamiarom opowiedział im całą swoją historię, wzruszając Clive'a do łez, które ocierał wielką jedwabną chustką w kwiaty.

Wieczorem przed przyjazdem dzieci czuł się tak, jak gdyby sam wybierał się na wakacje. Nocą budził się kilkakrotnie, spoglądał na budzik i obliczał w duchu, za ile godzin będzie musiał wstać, albo gdzie może teraz być ich samolot. O szóstej, stwierdziwszy, że już nie zaśnie, wziął prysznic, ubrał się i poszedł z Dodie na spacer do przystani. Tam, by zabić czas, oglądał wschód słońca z najdłuższego pomostu, założywszy z góry, że nie odejdzie, dopóki czerwona tarcza nie oderwie się od widocznych w dali piaszczystych wydm Fire Island.

Po powrocie do domu skubnął nieco śniadania, resztę oddał Dodie. Sprawdzał kuchenne szafki, by się upewnić, że zgromadził w nich wszystkie ulubione przysmaki swych trojga latorośli, poprawił świeżą pościel w dwóch łóżkach na werandzie i trzecim w rogu saloniku, za biurkiem. Następnie zamknął drzwi na klucz i pojechał na stację benzynową napełnić bak volkswagena.

Kiedy wrócił, przed domem czekali nań Jasmine i Benji trzymając rozpostarte prześcieradło z wypisanym wielkimi czarnymi literami hasłem: WITAJCIE SOPHIE, CHARLIE I HARRIT! Między „I” a „T” w imieniu Harriet widniał ptaszek, a nad nim pominięte „E”.

- Powiesimy to przed domem, żeby od razu zobaczyli! - rzekł Benji z dumą, przekrzywiając głowę, by spojrzeć na swoje dzieło. - Jak ci się podoba?

- Majstersztyk! - David obejrzał transparent z taką miną, jakby podziwiał co najmniej obraz van Gogha. - Wspaniały początek ich wakacji!

- Złożmy to, Benji, zanim się ubrudzi - wtrąciła Jasmine i zaczęła składać transparent w równe fałdy. - Zrobić ci kawy przed wyjazdem? - zwróciła się do Davida.

- Nie, dzięki. Wolę mieć trochę więcej czasu. Napiję się kawy na lotnisku, jeśli będę tam za wcześnie. Z lotami na tę odległość nigdy nie wiadomo, godzina w tę lub w tę stronę to prawie norma.

- O której mają planowo wylądować?

- Dziesięć po dwunastej. Zanim przejdą przez biuro imigracyjne i odbiorą bagaż, będzie pewnie pierwsza. Kwadrans, nim wydostaniemy się z lotniska... o tej porze nie będzie raczej wielkiego ruchu, powinniśmy zatem dotrzeć tu mniej więcej za piętnaście trzecia.

- Dobra, postaramy się być tu o wpół do trzeciej. - Jasmine uśmiechnęła się do niego. - Podekscytowany?

- Jeszcze jak!

- W takim razie jedź ostrożnie. Do zobaczenia po południu. Sama czuję się tak, jak gdybym miała w środku rój motyli.

- To już jest nas dwoje - zaśmiał się, wsiadając do samochodu.

Jak się okazało, całe szczęście, że wyjechał wcześniej. Na nowojorskiej obwodnicy był jakiś wypadek, skutkiem czego korek ciągnął się aż do Malverne. Przez godzinę posuwał się w żółtym tempie, bębniąc niecierpliwie palcami po kierownicy, podczas gdy Dodie zabawiała się szczerząc resztkę uśmiechu i warcząc na brodatego kierowcę ciężarówki, która kroczył po kroczeniu posuwała się na sąsiednim pasie.

Nim znalazł zacienione miejsce na parkingu najbliższym jego terminalu, było już piętnaście po jedenastej. Uchylił okna, naciągnął dach i zabezpieczył go, zamknął też drzwi pozostawiając na pastwę Dodie kierownicę i gałkę dźwigni zmiany biegów, i pobiegł do budynku. Przepchnąwszy się przez tłum ludzi czekających w długich ogonkach na odprawę, spojrzął na tablicę i przekonał się, że jest w hali odlotów. Rozejrzał się wokoło. Dostrzegł w końcu strzałkę z napisem PRZYLOTY u stóp schodów jakieś dwadzieścia jardów dalej.

Przeskakując po dwa stopnie na raz, wbiegł na wyższe piętro.

Panował tu o wiele mniejszy tłok niż w hali odlotów, niemniej za chromowaną poręczą przed drzwiami biura odprawy celnej zgromadziła się już grupa oczekujących. Z komunikatu na ekranie wynikało, że samolot wylądował przed chwilą z półgodzinnym wyprzedzeniem w stosunku do planu. David stanął na końcu barierki, uświadomiwszy sobie jednak, że dzieci będą jeszcze musiały przejść odprawę celną i paszportową, zawrócił i udał się na poszukiwanie baru kawowego. Zamówił sobie kawę i ciastko i usiadł tak, by widzieć, kiedy zaczną wychodzić pasażerowie z Glasgow.

Dwadzieścia pięć minut i dwie kawy później drzwi wreszcie się otworzyły i w hali zabrzmiały pierwsze powitalne okrzyki. Jakieś dziecko, przepchnięte pod barierką, nieśmiało wyszło naprzeciw parze staruszków, którzy bohatercko próbowali pogodzić wymogi powitania z utrzymaniem na kursie przeładowanego bagażami wózka. W drzwiach zaczęli się pojawiać kolejni podróżni. Jednych natychmiast otaczali przyjaciele lub krewni, poganiając ich do czekających samochodów, inni kręcili się bezradnie jak owce pozbawione pasterza.

Charlie i Harriet wyszli tyłem; nakładając na ramiona plecak, Charlie wołał do niewidocznej w głębi Sophie, żeby się pospieszyła. David zsunął się z barowego stołka i ruszył ku nim powoli, po tak długim rozstaniu smakując ostatnie sekundy dzielące go od chwili, gdy porwie ich w objęcia. Dzieci jeszcze go nie widziały, rozglądały się po uśmiechniętych obcych twarzach. Wtem Charlie dostrzegł ojca i z głośnym okrzykiem „Tato!” zanurkował pod barierką, oczywiście zaczepił się plecakiem, ale w końcu wypłatał i biegiem ruszył w jego stronę. David czekał z wyciągniętymi ramionami, patrząc, jak się zbliża, szczypty i patykowaty w porównaniu z Benjim i bardzo brytyjski w opiętych dżinsach i kraciastej koszuli. Chłopiec wpadł na niego w pełnym biegu, objął go rękami w pasie.

- Tato! Jak było fajnie! Pozwolili mi pójść do kabiny pilotów i popatrzeć, jak pilotują! Ale zabronili mi czegokolwiek dotykać!

- Bardzo mnie to cieszy! - zaśmiał się David. Przytulił synka i ucałował go w czubek głowy, wdychając z przyjemnością lekki zapach chłopięcego potu.

Po chwili Charlie wyrwał mu się i pobiegł z powrotem po Harriet, która stała tam, gdzie ją zostawił. Zafascynowana przyglądała się małej dziewczynce, która leżała na posadzce hali i wrzeszczała wniebogłose, z furią kopiąc wózek bagażowy, podczas gdy rodzice bezskutecznie starali się ją uspokoić.

- Harriet! Chodź! Jest tata!

Harriet ocknęła się nagle; na jej buzi odmalowało się podniecenie zmieszane z tęsknotą. Pobiegła okrężną drogą naokoło barierki, a kiedy David się schylił i ją podniósł,

oplotła go rękami i nogami jak mała przylepna ośmiorniczka.

- Witaj, promyczku! - zanurzył twarz w rozwichrzonej gęstwie ciemnych loków i ucałował ją w gładki karczek. - Jak się masz?

Harriet podniosła głowę z jego ramienia i spojrzała mu w twarz z odległości paru cali.

- Tatusiu?

- Tak?

- Patrz, jaka tamta dziewczynka jest niegrzeczna! - kiwnęła głową w stronę drzwi.

David się roześmiał.

- Widzę. Mam nadzieję, że ty lepiej się zachowywałaś w samolocie.

- O c z y w i ś c i e ! - oznajmiła z szerokim uśmiechem, lecz zaraz spoważniała. - Ale bardzo się bałam.

- Dlaczego?

- Bo Charlie wciąż powtarzał, że w samolocie jest bomba.

David uniósł brwi.

- No tak, to do niego podobne. - Postukał w ramię syna, który nachylony nad barierką, chuchał na nią, aż pokrywała się mgłą, a następnie polerował dłonią do połysku. - Gdzie zgubiliście Sophie?

- Idzie ze stewardesą. Cały czas ktoś nas pilnował; powiedzieli, że jesteśmy za młodzi, żeby chodzić samopas. Jaki wstyd! Przywiesili nam plakietki z nazwiskami! Zdjąłem swoją i Harriet zaraz po wylądowaniu.

- A ja chciałam swoją zatrzymać! - pisnęła Harriet.

- Nieprawda! Też uważałaś, że to głupie! O, jest Sophie. Sophie!!! No, chodź! Znaleźliśmy tatę!

David stanął na palcach, żeby ją zobaczyć. Kiedy ukazała się w wyjściu, rozmawiając z ożywieniem ze stewardesą, która pomagała jej pchać wózek bagażowy, poczuł niewiarygodną dumę rozpierającą mu pierś. Tak bardzo się zmieniła; nie tylko urosła, ale nabrała kształtów. Długie kasztanowe włosy, spięte z tyłu kłamrą, miękko opływały jej twarz, podkreślając jej owal. Boże, widział ją ledwie miesiąc temu, lecz to wystarczyło, by niezgrabna, patykowata nastolatka zmieniła się w uroczą młodą pannę. David postawił Harriet na ziemi nie spuszczając oczu z najstarszej córki, która zbliżała się do nich w towarzystwie stewardesy. Kątem oka zauważył, że jakiś chłopak, stojący nieopodal z rodzicami, także odprowadza ją pełnym podziwu spojrzeniem.

Pozostawiwszy wózek stewardesie, Sophie przyspieszyła na ostatnich jardach i podeszła do ojca z radosnym uśmiechem iskrzącym się w oczach. Miał wrażenie, że stoi

przed nim zmartwychwstała Rachel.

- Cześć, tato - powiedziała cicho.

Patrzył na nią jak w transie, kręcąc z niedowierzaniem głową, a potem postąpił krok naprzód i przytulił ją do siebie.

- Mój Boże, jakaś ty piękna! - rzekł, kołysząc ją w ramionach. - Tak strasznie się cieszę! Nie potrafię ci nawet powiedzieć, jak bardzo się cieszę!

Stojący obok Charlie zacmokał z niesmakiem i pociągnął go za rękaw.

- Tato, nie rób wstydu. Chodźmy już.

- Jasne. - David wycisnął na policzku córki głośnego całusa. - Siodłać konie i wiejmy z Dodge City!

Nim to jednak uczynili, podziękował stewardesie za pomoc i wziął od niej wózek, po czym ruszył do wyjścia w otoczeniu obu córek. Charlie kroczył na przedzie.

- Czy to już Ameryka, tatusiu? - spytała Harriet, podskakując obok i podbiegając, żeby za nim nadążyć.

- Tak, skarbie. Ojczyzna hot dogów, hamburgerów i... co by tu jeszcze na „h”?

- Hollywood - poddała Sophie, przeciągając się z ulgą, kiedy z klimatyzowanego budynku wyszli w południowy upał.

- O, właśnie! - podchwycił David. - A muszę wam powiedzieć, że jest tu prawie tak ciepło, jak w Kalifornii!

W listach przekazał im barwny opis volkswagena, toteż Charlie i Harriet wypatrzyli go już z daleka na parkingu i pobiegli doń na wyścigi. Oboje wszakże odskoczyli gwałtownie, kiedy powitało ich głośne ujadanie i w oknie pojawił się pysk Dodie.

- To jest Dodie? - Charlie zaśmiał się niepewnie.

- We własnej osobie.

- Pasuje.

- Nie rozumiem.

- Jest tak samo, hm... sponiewierana jak ten wóz.

- Jak możesz! Nie mów tego głośno. Dodie jest bardzo czuła na punkcie swego wyglądu. Kiedyś zaproponowałem jej fryzjera i przez trzy dni nie chciała ze mną gadać!

- Naprawdę? - Harriet rozdziawiła buzię.

- Nie, głuptasie! - zachichotał Charlie. - Tato żartuje!

David otworzył samochód, przegnał psa na tylne siedzenie i sięgnął do dźwigni otwierającej bagażnik.

- Tato, możemy spuścić dach? - Charlie zdjął walizkę z wózka i postawił ją przed

maską volkswagena.

- Chyba nawet musimy, bo tu nie ma dość miejsca na wszystkie wasze pakunki!

- To fajnie!

David wepchnął plecak Harriet w ostatnią lukę i starannie zamknął bagażnik. Następnie odczepił i złożył plandekę, wypuszczając na świat aromat Dodie.

- Fuj! - Sophie zmarszczyła nos. - Ja jej nie biorę na kolana!

David uśmiechnął się szeroko.

- Fakt, nie pachnie różami. Radzono mi, żebym dawał jej pigułki czosnkowe, ale chyba się na nie uodporniła.

- Ja ją wezmę! - Charlie pogłaskał pudła i spojrzał z ukosa na starszą siostrę. - Ale tylko jeżeli będę mógł siedzieć z przodu.

Targu dobito, resztę bagażu upchnięto za oparciem tylnego fotela i mogli ruszyć w drogę do Leesport.

Na Southern State Parkway ruch był o wiele niniejszy i prowadząc statecznie garbusa na wschód, David uznał, że jest to wymarzona okazja, by nauczyć ich piosenki o Dodie. Za trzecim razem Charlie i Harriet śpiewali już z nim, kołysząc się do taktu. Sophie nie przyłączyła się do chóru. David zerkał na nią w lusterku: siedziała oparta łokciem o bok samochodu i z roztargnieniem przyglądała się mijanym krajobrazom.

Punktualnie o wpół do trzeciej byli już na głównym skrzyżowaniu w Leesport. Chcąc dać Jasmine i Benjiemu nieco więcej czasu na zawieszenie powitalnego transparentu, David zatrzymał się przed biurem „Pomocnej Dłoni” i dwukrotnie nacisnął klakson. Clive i Dotti podnieśli głowy, a rozpoznawszy jego samochód, natychmiast zerwali się z za biurek.

- Dlaczego się tu zatrzymujemy? - spytał Charlie.

- Chcę, żebyście poznali dwoje moich przyjaciół.

W tejże chwili drzwi agencji otwarły się i wypadł z nich Clive, a tuż za nim Dotti.

- A więc to są twoje dzieci? - Clive przyłożył dłoń do policzka, przyglądając się trzem twarzom, wpatrzonym w niego z lekkim niedowierzaniem. - Śliczne! - Wyciągnął rękę. - Witajcie, jestem Clive, a wy? Sophie? Witaj, Sophie. Witaj, Charlie. Witaj, Harriet. Trudno mi opisać, jak się cieszę, że mogę was poznać. À propos, to jest Dotti. - Wypchnął naprzód swą nieśmiałą asystentkę, która nerwowo poprawiła okulary. - To gdzie teraz zmierzacie? - ciągnął z ożywieniem. - Pewnie prosto na plażę, co? David spojrzał na dzieci, które nie odrywały wzroku od Clive'a, zafascynowane jego jowialnym entuzjazmem.

- Najpierw do domu, rozpakować bagaże, ale potem chyba skoczmy się ochłodzić.

- Bardzo dobry pomysł - orzekł Clive. Oparł dłoń na karoserii i ciągnął: - Wpadajcie

do nas, kiedykolwiek przyjdzie wam ochota. Dottie chłodzi już coca-colę w lodówce, więc nie kaźcie nam długo czekać!

Dzieci podziękowały mu, uśmiechając się niepewnie. David przekręcił kluczyk w stacyjce.

- No, jedziemy dalej. W domu czekają Jasmine i Benji, rozumiesz.

- Jasne! - Clive przezornie odsunął się od samochodu. - Pamiętajcie, dzieciaki, zawsze będziecie tu mile widziane!

Kiedy skręcili w Shore Street, biały brzeżek transparentu był już widoczny z za żywoplotu. David zaparkował przed furtką. Z głębi ogrodu dobiegł głośny okrzyk:

- Już są!

Furtka otworzyła się gwałtownie, wybiegł z niej Benji. Wyhamował w pewnej odległości od samochodu i jakby czując na sobie spojrzenia nowo przybyłych, przestąpił niepewnie z nogi na nogę. David wyskoczył z samochodu.

- Poznajcie się. To Sophie, Charlie i Harriet - rzekł wskazując po kolei na każde ze swych dzieci. - A to jest Benji.

Witali się z rezerwą, a David przyglądał się temu rozbawiony. Potem sięgnął w głąb volkswagena i otworzył bagażnik.

- Wysiadać, dziatwo! Trzeba wnieść walizy do domu. Benji, gdzie jest Jasmine?

- Tutaj! - rozległo się z za żywoplotu i w bramce ukazała się Jasmine z młotkiem w ręku. Otarła spocone czoło wierzchem dłoni. - O mały włos przyłapałibyście nas tu w proszku. - Uśmiechnęła się szeroko. - Witajcie wszyscy. Jestem Jasmine. Benji, słyszałam, że już się znacie. Czy możesz dokonać prezentacji?

W miarę jak dzieci gramoliły się z samochodu, Benji kolejno wymieniał ich imiona, a Jasmine ścisnęła im ręce.

- Gotowe! - David wyjął ostatnią walizkę z samochodu i postawił na chodniku. - Każdy coś bierze i naprzód!

Charlie i Benji, pragnąc oczywiście udowodnić sobie, kto jest silniejszy, chwycili dwie największe walizy i ponieśli je w stronę domu.

- Hej, Sophie! Harriet! Chodźcie tu szybko! - dobiegł z ogrodu głos Charliego.

Dziewczęta wzięły swoje plecaki i wbiegły za furtkę. Charlie stał na środku ogrodu, rozglądając się wokół z podziwem.

- Tu jest świetnie! Zaraz za płotem mamy morze! I popatrzcie tylko na ten transparent! Benji sam go zrobił!

- Opuściłeś „E” w moim imieniu - wytknęła Harriet.

- Harry, jesteś nietaktowna! - upomniała ją Sophie.

- Przepraszam - bąknął Benji wpychając ręce głęboko w kieszenie szortów. - Pomyliłem się... Ale potem poprawiłem!

- Jest bardzo ładny, Benji - Sophie uśmiechnęła się do niego. - Naprawdę dobra robota.

Benji spuścił wzrok, czerwieniąc się z zażenowania.

- Mnie też się podoba! - Charlie złapał go za rękę. - Chodź, pokażesz mi wszystko!

Chłopcy wystartowali w stronę skarpy, lecz w tej samej chwili do ogrodu wszedł David niosąc ostatnie dwie walizki.

- Halo, panowie, dokąd to?

- Pozwiedzać!

- Za chwilę. Najpierw wnieśmy manatki do domu i pokażę wam, gdzie będziecie spali.

- Dobra! - wykrzyknął z równym entuzjazmem Charlie i obaj zawrócili w stronę domu.

Jak się okazało, Jasmine zdążyła nie tylko powiesić transparent, lecz także poprawić poduszki na sofie i schować zostawione na suszarce naczynia. Charlie i Harriet byli zachwyceni swoją sypialnią na werandzie. Oboje natychmiast rzucili się na łóżka, żeby sprawdzić, jaki widok będą mieli z tej pozycji. Sophie jednak nie wykazała zbytniego poruszenia. Położyła swoją walizę na łóżku w salonie i zaczęła ją metodycznie rozpakowywać.

- Dobra! - David klasnął w dłonie, żeby zebrać wszystkich wokół siebie. - Na razie możecie zostawić te walizki. Jak myślisz, Jasmine? Promem na Fire Island?

Benji wydał radosny okrzyk, natychmiast podjęty przez Charliego i Harriet, którzy co prawda nie mieli pojęcia, czym ani też gdzie jest Fire Island, ale skoro Benji uznał pomysł za dobry, a ponadto trzeba tam było płynąć promem, to z pewnością warto było go poprzeć.

- Zdaje się, że trafiłeś w dziesiątkę! - zaśmiała się Jasmine.

- A zatem na Fire Island! Przebierzcie się tylko w stroje kąpielowe i ruszamy!

Charlie i Benji już byli na werandzie i przewracali do góry nogami zawartość plecaka Charliego. Jasmine pomogła Harriet odnaleźć jej kostium.

David wyjął swoje kąpielówki z komody w alkowie. Kiedy wrócił, spostrzegł, że Sophie siedzi bez ruchu na łóżku.

- Nie możesz znaleźć kostiumu, kochanie?

Sophie podniosła na niego wzrok, kąciki jej ust wygięły się w słabiutkim uśmiechu.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, tato, wolalabym zostać w domu.

- Ojej - zmartwił się David. - Chodź z nami, proszę. Tam naprawdę jest bardzo ładnie. Śliczna plaża, morze...

- Ale ja po prostu nie chcę! - Sophie wyjęła z walizki bluzę i rzuciła ją na łóżko. - Naprawdę aż tak ci na tym zależy?

David milczał przez chwilę, zaskoczony jej ostrym tonem. Już zbierał się do odpowiedzi, kiedy poczuł na ramieniu czyjaś dłoń. Jasmine dała mu znak, żeby wyszedł za nią.

- Chodźcie, dzieci - gestem zgarnął pozostałą gromadkę. - Pobawcie się trochę w ogrodzie.

Znalazłszy się za drzwiami, cała trójka popędziła z wrzaskiem na pomost.

- Chcesz z nią na chwilę zostać? - spytała cicho Jasmine.

- Chyba tak. Czy mogłabyś ich w tym czasie przypilnować?

- Oczywiście. Najlepiej zaprowadzę ich do nas, niech popływają w basenie. A wy dołączycie później. Co ty na to?

- Świetnie. Dzięki, Jasmine.

Podeszli na brzeg skarpy. Dzieci były na pomoście; Charlie i Benji prześcigali się w puszczaniu kaczek, a Harriet przyglądała im się z boku.

- Hej, hałastro, drobna zmiana planów! - zawołał David. - Pójdziecie teraz do Benjiego popływać w basenie.

Chłopcy wydali dzikie okrzyki, wspięli się na skarpe i popędzili wprost do furtki. Harriet sapiąc pokonała schodki na czworakach. Przystanęła obok ojca i zadarła głowę.

- A ty i Sophie nie pójdziecie z nami, tatusiu?

Pochylił się nad nią, opierając dłonie na kolanach.

- Za chwilę, kochanie. Ale ty idź już z Jasmine.

Harriet skinęła główką. Bez cienia obawy wsunęła rączkę w dłoń Jasmine. Ta z zadowoleniem uniosła brwi i puściła oko do Davida.

- Chodź, Harriet. Dogonimy chłopców i będziemy się razem bawić.

Znikły za bramką. Zza żywopłotu dobiegały jeszcze przez chwilę cichnące w dali wesole głosy.

David wrócił do domu. Sophie nadal stała obok łóżka, rozkładając swoje rzeczy. Wziął czajnik i napełnił go pod kranem.

- Robię sobie herbatę. Masz ochotę?

Pokręciła głową, nie odwracając się.

- Nie?

Odwróciła głowę z bladym uśmiechem.

- Nie, dziękuję.

David oparł się o zlew i założył ręce na piersi.

- Kiedy rozmawiałem z panem Hunterem, mówił, że nie ma żadnych obaw co do wyniku twoich egzaminów. A zatem wszystko poszło dobrze?

- Chyba tak.

Zdziwiony tym, że tak go zbyła, podszedł do córki i położył jej rękę na ramieniu.

- Kochanie, czy ty się dobrze czujesz?

- Nie bardzo - przyznała cicho. - Strasznie boli mnie brzuch.

- Dlaczego nie mówiłaś od razu? Zaszkodziło ci coś, co zjadłaś w samolocie?

- Nie, to nie to. - Zerknęła na niego z zakłopotaniem. - Mam, ten... no... okres - szepnęła.

David milczał przez chwilę, póki nie dotarły do niego jej słowa.

- No jasne - rzekł. - Przepraszam cię, córeczko. Powinienem być sam się domyślić. Nic dziwnego, że czujesz się podle. Czy masz, eee... wszystko, co trzeba?

Uśmiechnęła się, wyjmując z walizki parę spodni.

- Tak, mam. Tylko... A, mniejsza z tym - umilkła i włożyła spodnie do szuflady.

- Mów, proszę.

- Po prostu wciąż nie jestem w tych dniach zbyt pewna siebie i trochę się boję, zwłaszcza gdy chodzi o pływanie i tym podobne rzeczy. - Zerknęła na ojca i zaśmiała się nerwowo, przygryzając wargę. - Pewnie mało która dziewczyna rozmawia o takich sprawach z ojcem. Tylko że ja już nie mam mamy...

Głos jej się załamał. Tak długo była dzielna, lecz teraz huśtawka hormonów, różnica czasu i długi męczący lot zachwiały jej obroną. Poważna młoda kobieta stała się znów osieroconą dziewczynką.

- Tak bardzo za nią tęsknię! - Podbiegła i padła mu w ramiona; jej ciałem wstrząsnęły gwałtowne łkania. Wyrzucała z siebie cały żal, cały ból, który tak długo się w niej gromadził.

David tulił ją w milczeniu, całując raz po raz w czubek głowy i czując jak jej łzy z wolna przesiąkają przez koszulę, mocząc mu pierś. On też miał oczy pełne łez.

- Wiem, kochanie. Wiem - rzekł cicho, kołysząc ją w ramionach. - Ja też za nią tęsknię; tak bardzo, że aż boli, że chyba nigdy nie przestanie boleć. Nie ma takiej chwili, bym o niej nie myślał. - Odsunął ją delikatnie i ująwszy pod brodę, podniósł ku sobie jej twarzyczkę. - Ale masz jeszcze mnie, córeczko, jestem przy tobie, przy was wszystkich. W Szkocji niewiele było ze mnie pożytku, ale to się zmieniło, wciąż się zmienia na lepsze,

przysięgam. Żadne modlitwy, żadne łzy nie zwrócą nam mamy, lecz najważniejsze, że wciąż mamy siebie, jesteśmy rodziną. Mamie na pewno zależałoby na tym, byśmy żyli dalej, przeżywali również szczęśliwe chwile, śmiali się i żartowali tak jak dawniej. - Rozejrzał się po pokoju. - Wiesz, ona tu jest. Czuję to. Jest tu z nami, w tym pokoju, i mówi: „Dość smutków! Uszy do góry, dzieci, zróbcie to dla mnie! ŚmieJCie się, żartujcie i bądźcie szczęśliwi, bo smutni i przygnębieni nie jesteście podobni do mnie, a ja chcę wam przekazać moją radość życia, chcę, żebyście byli weseli, dowcipni i piękni jak ja.”

Na twarzy Sophie pojawił się smutny uśmiech. Oderwała twarz od piersi ojca i obejrzała się.

- Naprawdę myślisz, że tak mówi? - spytała cichutko.

David uśmiechnął się.

- Mniej więcej tak, tylko pewnie ujmuje to bardziej dosadnie.

Sophie parsknęła i zaraz głośno pociągnęła nosem. David podszedł do szafki, urwał potężny kawał papierowego ręcznika i podał go córce.

- Masz. „Utrzyj nosek”, jak by powiedziała Effie.

Sophie znów się zaśmiała. Otarła łzy, wzięła głęboki wdech i porządnie wydmuchwała nos.

- Już w porządku? - zapytał, obejmując ją ramieniem.

Skinęła głową i oddała mu przemoknięty ręcznik. Wrzucił go do kosza.

- Tak właśnie myślałem - podjął - że ponieważ nie byłem na twoich urodzinach, urządzimy ci tu przyjęcie. - Puścił do niej oko. - Wiesz, szesnastka to bardzo ważne urodziny; podłotek staje się wtedy młodą damą. Powinniśmy to uczcić, jak należy.

- Czy ja wiem... - westchnęła Sophie.

- Czemu nie? Byłaby świetna zabawa! Zaprosilibyśmy Jasmine i Benjiego...

- Tato, miło, że o tym myślisz, ale... czy ja nie jestem już troszkę za duża na przyjęcie urodzinowe? - Sophie podeszła do łóżka i wyjęła z walizki następny stosik ubrań. - Co będziemy robić? Bawić się w chowanego?

David wolno pokiwał głową.

- No tak, rozumiem, co masz na myśli. Wolalabyś pewnie potańcówkę czy coś w tym guście?

- Pewnie tak. - Wzruszyła ramionami.

- Dobrze, wobec tego mam inny pomysł. Tu zrobimy małą, kameralną imprezę, zwykłe spotkanie towarzyskie, nic dziecinnego. Zaproszę znajomych, którzy chcą cię poznać. A po powrocie do Szkocji urządzimy wielki bal, prawdziwą dyskotekę, albo Pod Bukami,

albo w Inchelvie, zależnie od tego, ile osób zaprosisz. To będzie wydarzenie roku... Co ja mówię! Stulecia! Jak się na to zapatrujesz?

- Naprawdę? - W oczach Sophie błysnęło podniecenie.

- Oczywiście!

- I będę mogła zaprosić wszystkich przyjaciół ze szkoły?

- Naturalnie. Na tak długo, jak tylko zechcesz. Podbiegła i zarzuciła mu ręce na szyję, całując w policzek.

- Ojejku, tatusiu, to będzie naprawdę *cool!* Kiedy je zrobimy?

- To ustalimy już po powrocie, ale obiecuję ci, że zabawa będzie huczna! - Przyciągnął ją do siebie i ucałował w czoło. - A teraz wybierzmy dzień na przyjęcie tu, w Stanach. - Uwolnił się z jej objęć. - Nie ma sensu robić go w ten weekend, bo przypada właśnie Czwartego Lipca i wszyscy będą urządzać przyjęcia. Co powiesz na wtorek? Starczy nam czasu, żeby wszystko zorganizować.

- Dobrze, ale... jak ono właściwie ma wyglądać?

- Myślałem o grillu. Co prawda nie umiem smażyć hamburgerów, ale ty i Jasmine mi pomożecie. Potem popłyniemy promem na Fire Island i resztę popołudnia spędzimy na plaży.

- Zastanowił się. - Zróbmy tak: wy z Jasmine zajmiecie się stroną kulinarną, a ja sproszę gości. No jak?

- W porządku. - Sophie się zawahała. - Tylko niech to będzie przyjęcie na cześć nas wszystkich. Nie róbmy krzyku w związku z moją szesnastką, skoro i tak nie ma tu nikogo innego w moim wieku.

- Rozumiem. - Skinął głową. - A zatem umowa stoi?

- Stoi! - Sophie splunęła w dłoń i wyciągnęła ją ku niemu.

Przez chwilę stał jak porażony. W ten sam sposób on i Rachel przybijali swoje umowy. Powoli uniósł dłoń do ust, splunął lekko i położył ją na dłoni córki.

- Chodźmy teraz do nich - rzekł. - Później skończysz się rozpakowywać.

Ruszyli do wyjścia objęci ramionami. Kiedy David otworzył drzwi, Sophie zatrzymała się i obejrzała przez ramię.

- Jak myślisz, czy mama z nami pójdzie?

Uśmiechnął się i też odwrócił, spoglądając na pusty pokój.

- Mama jest z nami przez cały czas.

ROZDZIAŁ 28

Jennifer przekręciła lusterko w bok, żeby nie oślepiła jej odbijające się w nim zachodzące słońce, i włączyła radio, czekając na komunikat o sytuacji na drogach. Może zamiast trzymać się Long Island Expressway powinna odbić do Grand Central, przeskoczyć na Van Wyck Expressway i dojechać do Leesport od południa.

Sądząc po natężeniu ruchu, jakie miała okazję obserwować, choć dotarła dopiero do Queens, nie warto było się szarpać. Obie drogi będą zatkane. W ogóle pomysł, by wyjeżdżać z Manhattanu po południu w piątek przed Czwartym Lipca, z góry kwalifikował się jako idiotyczny. Wszyscy próbowali się wydostać z miasta. Tyle że nie miała wyboru. Sam prosił ją specjalnie, żeby przysłała w sobotę, tak by jeszcze wspólnie przejrzeni ofertę dla Tarvy'ego, nim zostanie wysłana pocztą kurierską do Londynu. Początkowo miała zamiar jechać do Leesport w sobotę, ale kiedy z kolei Russ poprosił ją, by wzięła udział w spotkaniu z nowymi klientami w poniedziałek rano, uznała, że lepiej udać się na weekend do West Village, niż od świtu w poniedziałek znów tkwić w korkach.

A jednak buntowała się na samą myśl, że miałyby spędzić cały świąteczny weekend z dala od Benjiego. Pod wpływem impulsu zdecydowała się więc wyruszyć do Leesport od razu, żeby być z synem przynajmniej kilka godzin, nim nazajutrz rano wróci do miasta.

Zerknęła na gruby skoroszyt, który leżał obok niej na fotelu pasażera. Podniosła go i w zadumie przekartkowała w palcach, jakby tą drogą mogła wchłonąć i jeszcze raz przemyśleć jego treść. Potrząsnęła głową. Odrzuciła dokument i lekko nacisnęła gaz, by przesunąć bmw o kilka jardów.

Miała nadzieję, że dostaną to zlecenie. Samowi bardzo na nim zależało, lecz Jennifer wciąż nie była pewna, czy ich oferta jest dostatecznie atrakcyjna. Zatrucie i rekonwalescencja wcale jej nie pomogły; kompletnie wybiła się z rytmu, musiała potem od nowa koncentrować się na przedmiocie analizy i pracować w pośpiechu, żeby zdążyć na czas. Wciąż jeszcze miała w ręku kilka zestawień, które chciała włączyć do końcowej redakcji, ale mogła to zrobić w domu na laptopie i wydrukować w biurze nazajutrz rano.

Puściła kierownicę, splotła ręce nad głową i wyprostowała obolałe plecy.

Warto było jednak stracić te parę dni pracy, choć zatrucie bynajmniej nie było przyjemne. Przebywając z Benjim przez tyle dni z rzędu, spostrzegła zmiany, jakie w nim zaszły - nie tylko w psychice, ale też fizyczne. Rano, kiedy siadywał koło niej przed wyjściem do szkoły, a ona tuliła go na pożegnanie, nie ścisnęła pulchnego dziecięcego ciała, lecz raczej zaczątki młodych sprężystych mięśni.

Ale ta przemiana nie była jej zasługą. Sprawił ją wyłącznie David, który nie tylko natchnął znów jej syna pewnością siebie, lecz również zdołał mu wszczepić niemal namacalną energię.

David. Wypowiedziała jego imię na głos, czując nieoczekiwany dreszczyk podniecenia spływający wzdłuż kręgosłupa. Uśmiechnęła się i potrząsnęła głową. To nie było t a k i e podniecenie. Chociaż może... Nie potrafiła tego rozgryźć. Czuła się przy nim zadowolona, wypoczęta, wręcz rozkosznie odprężona, choć przecież wcale się o to nie starała. Może to właśnie go wyróżniało spośród innych. Nie był zmanierowany. Wiedziała, czego się po nim spodziewać. Był życzliwy, spontaniczny, miał poczucie humoru i można mu było w stu procentach zaufać. Ponadto - no, Jennifer, przyznaj! - był też niewątpliwie atrakcyjny. Tę wariacką wyprawę podjęła nie bez ukrytej myśli, że chętnie się z nim zobaczy.

Stojący za nią kierowca nacisnął mocno klakson. Wzdrygnęła się, wracając do rzeczywistości. Przed bmw otwarła się luka długości trzydziestu jardów, w którą wjeżdżali kierowcy z innych pasów w złudnej nadziei, że tu będą przemieszczać się szybciej. Jennifer zerknęła w prawo i zobaczyła zjazd na Grand Central Parkway. Wrzuciła kierunkowskaz i odwracając się do kierowcy na sąsiednim pasie, obdarzyła go promiennym uśmiechem, pokazując na migi, że chce zjechać z trasy. W ciągu minuty posiłkując się swoim wdziękiem przedarła się przez trzy pasy ruchu, opuściła autostradę i ruszyła na południe ze stałą prędkością trzydziestu mil na godzinę.

Kiedy zajechała pod dom, dochodziła dziewiąta. Zebrała papiery i komputer z tylnego siedzenia i wbiegła do holu z okrzykiem:

- Dobry wieczór!

Udała się do gabinetu, żeby zostawić tam swoje rzeczy, a wracając natknęła się na Jasmine, która właśnie wyszła z kuchni.

- Cześć, Jasmine - powitała ją wesoło.

- Cześć! Nie wiedziałam, że wybierasz się do domu w ten weekend.

- Prawdę mówiąc wcale się nie wybierałam, ale stęskniłam się za Benjim. Dotąd zawsze spędzaliśmy Czwartego Lipca razem. Gdzie on jest?

- Wyszedł z Davidem. Lada moment powinni wrócić.

- Jak wam tu leci?

- Znakomicie. Lepiej powiedz, jak ty się czujesz.

Jennifer się uśmiechnęła.

- Jeszcze nie mogłabym przenosić gór, ale kiedy wreszcie złożę tę ofertę, trochę sobie odpocznę.

Jasmine pokiwała głową.

- Jesteś głodna?

- Oj, tak. Gdybyś mogła mi zrobić kanapkę z czymkolwiek... Mam jeszcze trochę pracy; przyniesiesz mi ją do gabinetu?

- Jasne. Kanapka już się robi. - Jasmine zawróciła do kuchni.

Jennifer weszła do gabinetu i ledwie zdążyła uruchomić komputer, kiedy ponownie zjawiała się Jasmine z talerzem pełnym kanapek z szynką i wysoką szklanką piwa.

- Smacznego - powiedziała, stawiając je na biurku.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi wejściowe i podniecony głos Benjiego zawołał:

- Mamo!

- Tu jestem! - odkrzyknęła.

Wpadł do gabinetu i od razu uwiesił się jej na szyi.

- Cześć, kochanie! Gdzie byłeś?

- Spędziliśmy dziś c a l u t k i dzień na plaży. Ledwie zdążyliśmy na ostatni prom! A potem przeszliśmy się przez Leesport, żeby zobaczyć, jak przygotowują fajerwerki na jutro. Wystrzelili kilka na próbę, nie słyszałaś? Zresztą David mówi...

Drzwi gabinetu otworzyły się i wszedł David we własnej osobie. Benji podbiegł do niego.

- Mogę już powiedzieć?

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, sam jej powiem. - David żartobliwie zmierzwił mu włosy.

Chłopiec jęknął zawiedziony, lecz nim zaczął protestować, na scenę wkroczyła Jasmine.

- Chodź, Benji. Pozwólmy im spokojnie porozmawiać.

- Dobrze. Ale pamiętaj, że dziś masz powiedzieć. - Wybiegł z pokoju; Jasmine wyszła za nim.

Jennifer odprowadziła ich wzrokiem i uśmiechnęła się do Davida.

- Witaj!

- Jak się masz! - David wsadził ręce do kieszeni i podszedł do biurka. - Wybacz, że nie odprowadziłem go wcześniej, ale nie wiedziałem, że będziesz dziś w domu.

- Właściwie miało mnie nie być. Jutro musimy wysłać tę ofertę, ale chciałam zobaczyć się z Benjim, pomyślałam więc, że przyjadę choćby tylko na jedną noc. - Westchnęła. - Wiele tej nocy nie będzie. Muszę jutro wyjechać o wpół do szóstej rano.

Spojrzał na nią współczująco.

- Doszłaś już do formy?

- Tak, tylko że zdążyłam zużyć cały zapas kalorii, którymi naszpikowała mnie Jasmine w zeszłym tygodniu. Spędziłam kupę czasu nad tą cholerną ofertą, żeby nadgonić stracony czas.

- I jak wyszła?

Jennifer spojrzała na ekran komputera.

- Prawdę mówiąc, nie wiem. Problem polega na tym, że nie mam żadnego punktu odniesienia. Mam nadzieję, że jest dobra, bo Sam bardzo na mnie liczy. Chce wygrać ten przetarg. Potrzebny jest nam jakiś nowy duży kontrakt.

- I co to ma być?

- Londyńska firma produkująca dżin. Nazywa się Tarvy's. Znasz może tę nazwę?

- Tak, znam ich dobrze. - Urwał. - To znaczy, dobrze znam tę markę.

- Chwała Bogu! Przynajmniej ty o nich słyszałeś. - Podniosła z biurka raport z wyników badania rynku. - Tu nie ma nawet słowa o Tarvym, ale daje mi to chociaż pojęcie, do jakich wielkości sprzedaży powinniśmy dążyć. Mówię ci, strach mnie oblatuje! - Rzuciła raport z powrotem na biurko i westchnęła: - Nic więcej nie jestem w stanie zrobić. Jeśli przegramy, trudno. Choć ze względu na Sama wolę wierzyć, że mamy cień szansy. - Uśmiechnęła się do niego. - Masz ochotę na piwo albo coś w tym rodzaju?

- Nie, nie chcę ci przeszkadzać.

Wstała i ruszyła do drzwi.

- Zaraz ci przyniosę. Poza tym chcę wreszcie poznać ten wielki sekret!

Gdy jej kroki ucichły w korytarzu, David sięgnął po leżący na biurku raport Morgana-Graza. Boże, od wieków go już nie czytał! Dawniej od tych właśnie zestawień rozpoczynał lekturę codziennej prasy. Przerzucił kilka stron, gdy jego uwagę przykuła znajoma nazwa Glendurnich. Zerknął na nagłówek. Była to lista pierwszej dziesiątki najlepiej sprzedających się na świecie marek jednoskładnikowej szkockiej whisky. Przebiegł wzrokiem liczby i z zastanowieniem zmarszczył brwi.

Coś tu się nie zgadzało. Glendurnich było na czwartym miejscu, podobnie jak przed

rokiem. Zerknął na umieszczoną u dołu strony datę. Raport pochodził z czerwca. No dobrze: zestawienie obejmowało cały eksport, nie tylko do USA, ale z drugiej strony kraj ten był ich największym odbiorcą, co musiało znaleźć bezpośrednie odbicie w podanych tu wynikach. Podrapał się po głowie, próbując wyjaśnić tę zagadkę. Może rozumował błędnie; może Glendurnich wydzwignęło się z powrotem na czwartą pozycję w czasie jego nieobecności w firmie; w takim razie, jeśli wcześniej sprzedaż spadła, Duncan słusznie wyrażał zaniepokojenie. Chociaż z drugiej strony... niczego nie mógł być pewien.

Z zastanowieniem uniósł brwi i pobieżnie przerzucił pozostałe strony. Już miał zamknąć raport, gdy wpadła mu w oko inna znajoma nazwa. Deakin Distribution. Otrząsnął się, z niechęcią przypominając sobie ów dzień w Nowym Jorku, kiedy wszystko - jego czyny i okoliczności zewnętrzne - sprzysięgło się, by przyspieszyć jego upadek. Nerwowo wypuścił powietrze i zaczął czytać. Była to krótka notatka na samym dole strony, w rubryce „Przekształcenia i nominacje”.

Trzecie co do wielkości brytyjskie konsorcjum w branży monopolowej, Kirkpatrick Holdings Plc., nabyło ostatnio nowojorską firmę handlową Deakin Distribution Inc.

Prezes Kirkpatrick Holdings, John Davenport, mówi, że sprawdzone umiejętności Deakina pozwolą im rozpocząć nową, agresywną promocję coraz bogatszej oferty Kirkpatricka na rynku amerykańskim.

David chrząknął ironicznie, zastanawiając się, czy Deakin wie, komu oddał się w ręce. Słowo „agresywne” było stanowczo za łagodne w odniesieniu do działań Kirkpatricka, zwłaszcza gdy na czele konsorcjum stał ten rekin Davenport. Zagryzł wargi. Nagle zaświtało mu, że pomimo jego nieudanych negocjacji Deakin prawdopodobnie jest już przedstawicielem Glendurnich w Stanach. Przymknął oczy, próbując się skoncentrować na możliwych reperkusjach tego faktu dla firmy. Nie, chyba nic nie powinno się stać - przynajmniej na razie. Kirkpatrick z pewnością nie ma w swej ofercie jednoskładnikowej whisky, nie grozi im więc natychmiastowy konflikt interesów. Niemniej myśl o tej nowej konfiguracji napełniała go niepokojem. Powinien zaraz po powrocie do Szkocji uważnie się tym zająć.

Postyszał szybkie kroki Jennifer w holu. Zamknął raport i odłożył go na biurko.

- Przepraszam, że to trwało tak długo - powiedziała, podając mu szklanę z piwem. - Nie uwierzyłybyś: napadła mnie kobieta handlująca po domach kosmetykami. O wpół do dziesiątej wieczorem przed świętem!

David uniósł brwi i pociągnął długi łyk.

- Kiedy spodziewasz się odpowiedzi w sprawie Tarvy'ego?

- We wtorek. Śmieszne, prawda? Nie wiem, jak zdołają w tak krótkim czasie przestudiować wszystkie oferty. Ale cóż, to oni dyktują warunki.

David zerknął na zegarek. Nie mógł przestać myśleć o tym, co wyczytał w raporcie; ponadto był dotkliwie świadom, że zostawił dzieci same w domu. Wychylił szklanekę do dna i odstawił ją.

- Słuchaj, muszę już iść.

Jennifer podniosła na niego zaskoczony wzrok.

- Czekaj, miałeś mi coś powiedzieć!

David podrapał się po głowie.

- Będziesz tu w czwartek?

- Tak, raczej tak. Miałam nadzieję, że Alex też przyjedzie, ale wczoraj dzwonił, że przez najbliższe dwa tygodnie zostanie w Dallas.

Skinął głową.

- Może więc odłożmy to do czwartku? Sprawa jest dość istotna, wolałbym jej nie tłumaczyć w pośpiechu.

Jennifer z rezygnacją wzruszyła ramionami.

- Dobrze. W takim razie z zapartym tchem będę oczekiwać dnia, gdy tajemnica wreszcie się wyjaśni.

Uśmiechnął się i podszedł do drzwi.

- Powodzenia w przetargu! Sądząc po tym, ile pracy włożyłaś w tę ofertę, jestem pewien, że kontrakt masz w kieszeni.

- Dzięki za zaufanie. - Zagryzła wargi. - Szkoda, że tego nie jesteś w stanie załatwić!

- Słucham? - spojrzał na nią pytająco.

- Nie, nic, żartowałam. Wyobraziłam sobie nagle, że machniesz czarodziejską różdżką jak już tyle razy dotąd! - Pomachała mu na pożegnanie i nachyliła się znów nad komputerem.

W małym domku przy Shore Street panowała nienaturalna cisza. David natychmiast się przeraził, że coś musiało się stać. Biegiem dopadł drzwi, otworzył je gwałtownie i westchnął z ulgą. Cała trójka siedziała po turecku na podłodze i grała w monopol.

- Co za harmonia! - zaśmiał się.

Charlie obrzucił go nieprzyjaznym spojrzeniem.

- Tu nie ma telewizora, a znudziło się nam na ciebie czekać. Gdzie się podziewałeś?

Miałeś tylko odwiedzić Benjiego.

- Przepraszam. Akurat przyjechała...

- Hej, Harriet! - przerwał mu krzyk Charliego. - Nie możesz tego robić! Marsz do więzienia!

- Odczep się. Ona nie wiedziała - ujęła się za siostrą Sophie. Sięgnęła na planszę i cofnęła pionek Harriet o jedno pole. - Harry, musisz czekać, aż będzie twoja kolej!

Harriet przewróciła się na plecy i zrobiła nogami rowerek w powietrzu, siejąc wokół piaskiem, który przylgnął do nich na plaży. Wystarczyły dwa dni, a dzieci już zaczęły się pokrywać zdrową opalenizną, widoczną nawet w przyćmionym świetle.

- Chcesz z nami zagrać, tatusiu?

- Nie, skarbie, nie teraz. - Udał, że chce ją nadepnąć. Harriet pisnęła przeraźliwie. - Muszę jeszcze gdzieś zatelefonować.

Przecisnął się obok łóżka Sophie do biurka i wyjął swój notes adresowy z teczki. Następnie przysiadł na brzegu łóżka i odnalazł w notesie Gladwin Vinmers. Był prawie pewien, że ma zapisany numer domowy Williama Lawrence'a. Rzeczywiście, był tu.

Podniósł słuchawkę i wykręcił numer, przyglądając się poczynaniom dzieci na planszy.

- Halo? - odpowiedział męski głos.

- Witaj, Will. Tu David Corstorphine.

- Cześć, David, stary draniu! Co cię napadło, że dzwonisz o drugiej w nocy?

David spojrzął na zegarek i palnął się w czoło.

- O Boże, Will, przepraszam! Jestem w Stanach i na śmierć zapomniałem o różnicy czasu. Słuchaj, zadzwonię do ciebie rano.

Will roześmiał się.

- Nic nie szkodzi. Byliśmy na prozowanej kolacji, która zmieniła się w maraton, tak że dopiero przed chwilą weszliśmy do domu. Co słyhać? Podróżujesz w interesach?

- W pewnym sensie. Słuchaj, naprawdę chcesz teraz rozmawiać?

- Jasne. Mówię ci, że nie zdążyłem jeszcze nawet zdjąć marynarki. Czego żadasz ode mnie, przyjacielu, o tej bezbożnej godzinie?

- Hm, zważywszy na okoliczności, moje pytanie może ci się wydać śmieszne, ale właśnie się zastanawiałem... nadal masz pod sobą dział eksportu Glentochry?

- Owszem.

- A czy przypadkiem masz coś wspólnego również z Tarvy's Gin?

- Przepadkiem mam. I to rzeczywiście bardziej przypadkiem niż z jakichkolwiek

innych względów. Gladwin ostatnio utworzyło dla tej marki coś w rodzaju zespołu marketingowego z myślą o wejściu na rynek amerykański, no i zostałem do niego powołany, przypuszczalnie chyba właśnie z uwagi na moją znajomość tego rynku. Dlaczego pytasz?

- Poczta pantoflową doszła do mnie wieść, że Tarvy ogłosił tu przetarg na kampanię reklamową.

- Jakim cudem już wiesz o tym? Ja sam dowiedziałem się ledwie parę dni temu!

- A, słyszałem na jakiejś konferencji.

- Wszystko się zgadza. Gladwin strasznie się spieszy, żeby wejść z tym dżinem do Stanów, chcą więc jak najprędzej rozpocząć kampanię. Prawdę mówiąc, w poniedziałek i wtorek będę właśnie ślęczał nad pięcioma ofertami. - Will umilkł na chwilę. - Interesujesz się Tarvym?

- Właściwie nie. Natomiast... znam jedną z firm, która bierze udział w przetargu, i mogę ci powiedzieć, że zyskała sobie renomę inteligentnej i operatywnej.

- Jak się nazywa?

- Culpepper Rowan.

- Fakt, ta nazwa coś mi mówi. Masz w niej udziały?

- Boże broń! Po prostu dobrze znam jej szefów. Z tego, co wiem, firmie wiedzie się doskonale, ale w tej chwili potrzebują dużego zlecenia; czegoś, co pozwoli im rozwinąć skrzydła i dać się poznać na światowym rynku. Podejrzewam, że jeśli wygrają przetarg, będą wychodzić ze skóry, żeby wypchnąć was w górę tak szybko, jak to tylko możliwe.

Na drugim końcu linii zapadła chwilowa cisza.

- Nie mogę ci niczego obiecać, Davidzie.

- No, naturalnie! Proszę tylko, żebyś przejrzał ich ofertę nieco mniej pobieżnie od reszty.

Will parsknął śmiechem.

- W porządku, stary intrygancie. Przeczytam ją uważnie.

- Dzięki, Will.

- A skoro już mówimy o poczcie pantoflowej i mam cię przy telefonie, chciałem spytać, czy na Glendurnich też ktoś ostrzy sobie zęby?

- Co masz na myśli? - David zmarszczył brwi.

- Z tego wniosek, że nie. Jadłem ostatnio lunch z Fraserem Campbellem z Dunmorran Malt. Mówił mi, że jedno z konsorcjów węszy wokół jego firmy.

- Chryste, tylko tego nam potrzeba w branży! Które?

- Kirkpatrick.

David poczuł, że w ustach mu zasycha.

- Powiedziałeś: Kirkpatrick? - spytał cicho.

- Tak. Podobno chcą nabyć wytwórnię jednoskładnikowej whisky. Ale skoro nic o tym nie słyszałeś, to znaczy, że jesteś bezpieczny.

David nie odpowiedział. Stał patrząc na obraz Carrie wiszący nad sekretarzykiem. W słuchawce rozległo się ziewnięcie.

- Słuchaj, stary, jestem już trochę przymulony. Potrzebne ci jeszcze jakieś informacje, czy mogę się walnąć do łóżka?

- Nie, oczywiście. Dzięki, Will. - David ocknął się z zadumy. - I przepraszam, że napadłem cię o tak nieprzyzwoitej porze.

- Nie ma o czym mówić. I będę pamiętał o Culpepper Rowan.

David odłożył słuchawkę, usiadł wygodniej i przecesał palcami włosy. Jezu, chyba Kirkpatrick nie zamierza wykupić Glendumich? To niemożliwe, ktoś by go o tym poinformował, ojciec albo Duncan.

- Dobrze się czujesz, tato? - posłyszał cichy głos starszej córki.

Obrócił się. Cała trójka wpatrywała się w niego z zaniepokojonymi minami.

- Strasznie zbladłeś - dodała Sophie.

David uśmiechnął się i dźwignął z łóżka.

- Nie, wszystko w porządku - bąknął. Klasnął w ręce. - No, dzieci! Charlie, Harriet, czas spać!

Ignorując ich głośnie protesty, złapał Harriet pod pachę i wyniósł na werandę. Tam rzucił ją na pościel i zaczął łaskotać po brzuszku. Z piskiem podciągnęła kolana pod brodę.

- Tatusiu?

- Co, skarbie?

- Zagrasz ze mną jutro w monopol?

- Zagram.

- Ale nie będziesz na mnie krzyczał?

- Oczywiście że nie, kwiatuszku. A teraz myć się i spać!

Ucałował ją w czoło i wrócił do pokoju, po drodze klepnąwszy Charliego w ramię. Wysunął łóżko Sophie na środek, żeby zrobić sobie miejsce przy biurku, wyjął z aktówki arkusz papieru i usiadł, starając się zebrać w myśli rozrzucone fragmenty układanki.

Nie miał żadnych uchwytnych powodów do niepokoju. Każda hipoteza oparta była wyłącznie na przypuszczeniach. Jedynym konkretnym wątkiem był wybór Deakina na nowego przedstawiciela w Stanach, a następnie przejęcie tej firmy przez Kirkpatricka.

Duncan naciskał na zmianę dystrybutora motywując to spadkiem sprzedaży w USA - ale David nie miał pod ręką żadnych pewnych danych stwierdzających, czy taki spadek nastąpił czy też nie.

Zamknął oczy i obiema rękami podrapał się po głowie. Robisz z igły widły, głupcze! - skarcił się w duchu. Nieużywany od ośmiu miesięcy mózg wpędza cię w paranoję. Zresztą Kirkpatrick nie ma prawa tknąć Glendurnich. Firma jest prywatna, udziały w niej ma ojciec i on sam. Prawda, część przeszła w ręce załogi, ale to niewielki procent. Nie, Glendurnich z pewnością nic nie grozi.

Choć z drugiej strony, skąd pewność, że nie padli ofiarą spisku? Z kim, u licha, mógłby o tym porozmawiać? Na pewno nie z Duncanem - gdyby miał po omacku szukać ogniwa łączącego Glendurnich z Kirkpatrickiem, w pierwszej kolejności wskazałby na niego. I na pewno nie z ojcem. Nie ma powodu niepotrzebnie denerwować go czymś, co może się okazać jedynie wytworem wyobraźni.

Mógł zadzwonić do Margaret; jej lojalności był pewny w stu procentach. Niemniej otwarty i dość żywiołowy sposób bycia recepcjonistki niespecjalnie kwalifikował ją na wywiadowcę. Jednakże za jej pośrednictwem mógł bezpiecznie przesłać faks we właściwe ręce. Ale czyje? Znów przymknął oczy i zaczął strzelać palcami. Jak się nazywał ten młody człowiek, którego ojciec przedstawił mu przed wyjazdem? Palnął się pięścią w czoło, chcąc zmusić szare komórki do efektywniejszej pracy. Jak on się u diabła nazywał? Zaraz... jego dziadek pracował w gorzelnii. Mc... Mc... tak, McLachlan! Archie McLachlan!

- Tato...

Sophie stała za nim ubrana w piżamę.

- Tak, kochanie?

- Długo jeszcze? Trochę już mnie morzy, chętnie bym się położyła.

Obejrzał się. Fakt, łóżko Sophie stało wypchnięte na sam środek pokoju.

- Przepraszam. Słuchaj, jeszcze tylko pięć minut. Chcę wysłać faks do biura. Połóż się na razie u mnie, zaraz się z tym uporam. Jeśli w łóżku jest Dodie, po prostu ją wyrzuć.

Sophie wzruszyła ramionami i poczłapała za zasłonę. Po chwili dobiegło stamtąd warknięcie i odgłos czterech łap spadających na podłogę. David wziął pióro i zaczął pisać:

Do: Archie McLachlan, Glendurnich Distilleries Ltd.

(MARGARET, PROSZĘ, PRZEKAŻ MU TO DO RĄK WŁASNYCH!)

Od: David Corstorphine

Drogi Archie,

chciałbym Cię prosić, żebyś zebrał dla mnie garść informacji. Właśnie dowiedziałem się od znajomego z Londynu, że firma o nazwie Kirkpatrick Holdings Plc. planuje wykup jednej z gorzelni. Wiem, że Glendumich raczej nie ma się czego obawiać, ale czy mógłbyś dyskretnie wypytać współpracowników, czy coś na ten temat obišo im się o uszy?

Będe wdzięczny, jeśli wszystko to zostanie między nami. W szczególności proszę, byś nie konsultował się z nikim z zarządu. Jeśli coś wykryjesz, proszę, daj mi natychmiast znać (numer faksu znajdziesz na potwierdzeniu). Jeśli nie otrzymam od Ciebie wiadomości, uznam, że wszystko jest w porządku.

Pozdrawiam serdecznie

David Corstorphine.

Włożył kartkę do maszyny i wybrał numer faksowy Glendumich. Kiedy arkusik zaczął się przesuwac, wstał i nogą przepchnął łóżko Sophie na poprzednie miejsce.

- Sophie?
- Tak? - doleciał zza zasłony jej senny głos.
- Gotowe. Możesz się przenieść.

ROZDZIAŁ 29

Od objęcia posady w Glendurnich Distilleries Doreen McWhirter przychodziła codziennie do pracy punktualnie o wpół do dziewiątej, choć zgodnie z umową miała ją zaczynać dopiero o dziewiątej, tak jak inni pracownicy administracji. Uważała jednak, że dobra recepcjonistka powinna być już na stanowisku, gdy szefowie wchodzą do firmy. Zyskuje tym ich uznanie, a zarazem szacunek współpracowników, którzy zwykle ściągali tuż przed dziewiątą.

W poniedziałek rano Doreen była więc bardzo zaskoczona, widząc, że nie jest pierwsza. Drzwi biurowca były już otwarte; uchyliły się, gdy włożyła klucz do zamka. Przeszła przez hol do swej lady i zerknęła na centralkę telefoniczną. Jako jedyne paliło się światełko połączone z aparatem w gabinecie pana Caple'a. Doreen uśmiechnęła się lekko i wzięwszy torebkę, przeszła szybko do damskiej toalety. Tam postawiła torebkę na półeczce przed lustrem, wyjęła puderniczkę i szminkę, zdjęła okulary i zaczęła poprawiać dyskretny makijaż.

Polubiła pana Caple'a już w chwili, gdy przyjął ją w sprawie pracy. Miło było spotkać tak dokładnego i dobrze zorganizowanego młodego człowieka. Była pewna, że dał jej tę posadę, ponieważ zauważył te same cechy u niej.

Zatrzasnęła puderniczkę i schowała ją do torebki. Następnie, podrzuciwszy nieco palcami krótko ścięte siwiejące włosy, wróciła do recepcji. Starannie ułożyła torebkę w dolnej szufladzie biurka i zasunęła ją powoli, uważając, by nie przyciąć miękkiej skóry. Potem wyprostowała się i lekko klasnęła w dłonie, który to gest oznaczał u niej początek nowego dnia.

Zaczęła go od wyjęcia prasy ze skrzynki na drzwiach wejściowych. Rozłożyła gazety na stoliku pomiędzy skórzanymi siedziskami, wygładzając każdą dwoma szybkimi ruchami dłoni. Cofnęła się, by sprawdzić, czy leżą symetrycznie również widziane od przodu. Tak, idealnie. Sprawdziła też, czy podczas weekendu nie przyszedł jakiś faks. W aparacie była tylko jedna wiadomość, oderwała ją i wróciła do biurka, przebiegając ją wzrokiem. Zmarszczyła brwi i przeczytała faks jeszcze raz, zaciskając z dezaprobatą świeżo umalowane

usta.

Światelko na centralce zgasło, pan Caple skończył już rozmowę. Po krótkim wahaniu Doreen przeszła przez hol i ruszyła schodami na górę do jego gabinetu. Zapukała krótko, nastawiając ucha.

- Proszę! - odpowiedział stłumiony głos.

Doreen uchyliła drzwi i zajrzała do środka.

- A, Doreen! Witam. Proszę wejść.

Recepcjonistka uśmiechnęła się wdzięcznie.

- Widzę, że ranny ptaszek z pana, panie Caple - zażartowała, rumieniąc się odrobinę.

- Praca czeka, Doreen! Bez pracy nie ma kołaczy!

- Ma pan rację - zaśmiała się. - Absolutnie się z panem zgadzam.

- A zatem co panią do mnie sprowadza?

Podeszła bliżej, przyciskając do piersi kartkę wydartą z faksu.

- Mam nadzieję, że dobrze zrobiłam. Chodzi o to, że w nocy przyszedł faks i... no cóż, moim zdaniem jego nadawca nie miał na sercu dobra naszej firmy.

Uśmiech Duncana ustąpił miejsca marsowi. Wyciągnął rękę. - Proszę pozwolić, że sam przeczytam.

Podala mu arkusz i cofnęła się, splatając nerwowo dłonie.

Duncan poczuł, że żołądek ścisną mu się w twardy supeł. Siłą pohamował się, by nie zakląć głośno. Zerknął na recepcjonistkę, zmuszając się do uśmiechu, i przeczytał wiadomość jeszcze raz.

- A-ha! - Rzucił arkusz na biurko. - Bardzo dobrze pani zrobiła, przychodząc z tym do mnie. - Obrócił się na krześle i spojrzał w okno.

- Moim zdaniem to graniczy z przestępstwem! - oznajmiła kwaśno Doreen uznając, iż to, że szef przyznał jej słuszność, upoważnia ją do wygłaszania własnych opinii. - Jak można nakłaniać pracowników do lekceważenia kierownictwa! I za kogo on się w ogóle uważa, ten...

- Doreen rzuciła okiem na biurko - ten pan Corstorphone!

- Proszę posłuchać - przerwał jej Duncan, obracając się do poprzedniej pozycji. - Dopóki nie zbadam tej sprawy, powinna ona pozostać wyłącznie między nami. Proszę nikomu o tym nie wspominać, szczególnie temu... - nachylił się nad faksem - Archiemu McLachlanowi. - Zerknął na recepcjonistkę. - Nie znam go. Kto to jest?

- Młody człowiek, pracuje w dziale zbytu. O ile wiem, jest tu na rocznym stażu i nie ma jeszcze podpisanej standardowej umowy o pracę.

- Ach, tak... - Duncan z namysłem pokiwał głową. - No cóż, jak już mówiłem, proszę

to zachować w tajemnicy, a tymczasem czy mogłaby pani coś dla mnie zrobić?

- Oczywiście.

- Proszę sprawdzić, kiedy kończy się staż młodego McLachlana.

- Słusznie. - Doreen uśmiechnęła się porozumiewawczo. - Bardzo rozsądne posunięcie, jeśli wolno mi to powiedzieć.

- To na razie wszystko. Dziękuję, że zwróciła pani moją uwagę na tę sprawę. Mam przeczucie, że ta informacja może się okazać bezcenna.

- Też mam taką nadzieję, panie dyrektorze. - Recepcjonistka uśmiechnęła się przymilnie i z podniesionym czołem wyszła z gabinetu.

Usłyszawszy jej kroki cichnące na schodach, Caple zerwał się na równe nogi, omal nie wywracając krzesła. Złapał je w ostatniej chwili, nim uderzyło o ścianę.

- Psiakrew! - syknął.

Podniósł arkusz faksowy i chodząc w tę i z powrotem po pokoju odczytał go jeszcze raz. Przystanął.

- Niech to jasna cholera!

Zmiał arkusz w kulkę, którą zacisnął w pięści, stanął przy oknie i zapatrzył się na wysokie sosny za ogrodzeniem parkingu.

Jak u licha David dowiedział się o Kirkpatricku? Nikt inny nawet nie podejrzewał! I od jak dawna prowadził tajną korespondencję z tym McLachlanem? Być może to nie pierwszy faks, który został mu dostarczony bez wiedzy Duncana przez tę starą wiedźmę Margaret. Cholera, a jednak nie docenił Davida! Myślał, że pozbędzie się go z branży na znacznie dłuższy czas!

Podszedł do biurka, rozprostowując pognieciony faks. Wysunął krzesło, usiadł i przeczytał go jeszcze raz.

David nie miał pewności. Napisał przecież: „Glendurnich chyba nic nie grozi”. Z drugiej jednak strony musiał coś przewąchać, skoro jawnie prosił McLachlana, żeby zataił jego list przed zarządem.

Potrząsnął głową, nacisnął klawisz automatycznego wybierania numeru i przełączył rozmowę na głośnik. Potem zamyślił się głęboko.

Z telefonu dobiegł śpiewny nosowy głos telefonistki:

- Dzień do-bry, tu Kirkpatrick Hol-dings!

- Proszę z gabinetem pana Davenporta.

- Czy mogę spytać, kto mówi?

- Duncan Caple, Glendurnich.

W telefonie coś pstryknęło i przez dziesięć sekund dolatywały z niego tony przetworzonej elektronicznie muzyki Mozarta. Potem odezwał się John Davenport:

- Witaj, Duncan. Co słysząc?

- Niestety, nic dobrego. Mamy problem, John. Recepcjonistka przed chwilą przyniosła mi faks, który nadszedł w weekend.

- Od kogo?

- Od Davida Corstorphine'a ze Stanów.

- Mów dalej.

Duncan nachylił się nad mikrofonem i powoli odczytał treść listu. Potem oparł się i czekał. Na drugim końcu linii panowała cisza, jeśli nie liczyć wysiłonego oddechu Davenporta.

- Chryste! - powiedział w końcu. - Mówiłeś, zdaje się, żeśmy się go pozbyli!

- Bo tak mi się wydawało. Z drugiej strony nie ma żadnych dowodów, że z powrotem wkroczył do akcji.

- Rzekłbym, iż ten faks wyraźnie na to wskazuje.

- Wcale nie. Przede wszystkim David wyraża w nim tylko mgliste przypuszczenia. Podejrzewam, że przypadkiem usłyszał plotkę o twoich planach zakupu wytwórni jednoskładnikowej whisky i chce ją sprawdzić, to wszystko. Zresztą wątpię, aby był już w stanie logicznie myśleć. Wielokrotnie podpytywałem starego, co z nim, i za każdym razem mówił, że syn nie jest jeszcze gotów wrócić do pracy.

- Mhm. - Davenport zamilkł na chwilę. - To dlaczego, twoim zdaniem, tak mu zależało, żeby ukryć to wszystko przed zarządem? Dlaczego nie napisał bezpośrednio do ciebie?

- Nie wiem. Też nie bardzo to rozumiem. Z początku myślałem, że kontaktował się z Deakinem, ale w takim wypadku Deakin dałby nam znać. Jeśli miałbym zgadywać, powiedziałbym, że facet czuje, iż cała sprawa jest nieprawdopodobna i nie chce przede mną wyjść na kompletnego idiotę, tak jak to zrobił w Nowym Jorku.

Davenport westchnął.

- No cóż, bądźmy dobrej myśli. Chwała Bogu, że wysłał faks i że myśmy go przechwycili.

Duncan ujął pióro i zaczął nim postukiwać w blat biurka.

- Co proponujesz? Działamy zgodnie z planem czy... wycofujemy się?

- Wykluczone! - buchnął z głośnika wściekły głos Davenporta. - Sam powiedziałaś, że Corstorphine strzela po omacku. Kirkpatrick musi mieć Glendurnich i nie zamierzam ot, tak

zmarnować rocznych przygotowań! Ty chyba też nie chciałbyś się pożegnać ze swoim pół miliona funtów, prawda? Działamy zgodnie z ustaleniami, tyle że trzeba całą rzecz przyspieszyć. Nie zaryzykuję jeszcze dwutygodniowej zwłoki.

- Słusznie. Zatem chcesz sfinalizować sprawę w tym tygodniu?

- Niestety tak, Duncanie. Co o tym myślisz? Zdasz?

Duncan rzucił pióro na biurko i oparł się wygodniej.

- W porządku! - zdecydował. - Przyspieszamy plan o tydzień. Zbiorę cały personel na parking w piątek po pracy i przedstawię im waszą ofertę. Będą mogli ją przemyśleć przez weekend. W sobotę zaś odwiedzę starego Inchelwiego i złożę mu propozycję nie do odrzucenia.

- Dobrze, ale na miły Bóg, naciśnij go trochę! M u s i s z go przekonać, że to jedyny sposób na przetrwanie firmy i że mamy na względzie wyłącznie dobro jego rodziny i pracowników. Kiedy będziesz już znał decyzję załogi, możesz użyć tych trzydziestu jeden procent jako karty przetargowej. A skądinąd spróbuj go skłonić, żeby jak najszybciej scedował na nas część swoich udziałów. Byłbym spokojniejszy, gdybyśmy dysponowali częścią bliższą pięćdziesięciu procent.

- Nie martw się. Obmyśliłem już sposób.

- Mam nadzieję. Chcę cię ostrzec: stąpamy po cienkim lodzie. Co prawda nie robimy nic nielegalnego, jednakże nasze działania mogą zostać uznane za nadużycie.

- Zdaję sobie z tego sprawę, John.

- To dobrze. Co zamierzasz zrobić z faksem Corstorphine'a?

- Początkowo nosiłem się z myślą, żeby odpowiedzieć mu z komputera; nie mógłby wtedy stwierdzić, czy podpis jest autentyczny. Ale to zbyt niebezpieczne, byłoby to bowiem rzeczywiście fałszerstwo. Toteż mam zamiar po prostu zostawić go bez odpowiedzi. David nieco ułatwił nam zadanie stwierdzając, że jej nie oczekuje.

- Zgadza się z tobą w tej kwestii. A co z tym, jakże mu, McLachlanem?

- Nie martw się. Już ja sobie z nim poradzę.

- Dobrze. Tylko staraj się zabezpieczać sobie tyły. Ja robię to przez całe życie, więc wiem, w co możesz wdepnąć. I odtąd dzwoń do mnie codziennie, a nawet częściej, jeśli będziesz potrzebował rady.

- Tak zrobię.

- Zatem życzę ci powodzenia i do dzieła, chłopcze!

Nim Duncan zdążył odpowiedzieć, w głośniku szczęknęła odkładana słuchawka. Wyłączył głośnik i starannie podarł faks na drobne kawałeczki. Nacisnął guzik interkomu.

- Doreen?

- Słucham, panie dyrektorze.

- Czego dowiedziała się pani o McLachlanie?

- Jego staż trwa do końca przyszłego miesiąca.

- Cóż, w takim razie będę musiał zakończyć go przed czasem. Proszę go do mnie przysłać, dobrze?

- Tak, panie dyrektorze.

- Aha, Doreen?

- Słucham?

- Dziękuję za pani pomoc. Istotnie, ten faks mógł bardzo zaszkodzić naszej firmie.

- Tak też myślałam. Zaraz przyślę panu młodego McLachlana.

ROZDZIAŁ 30

We wtorek już od rana w siedzibie Culpepper Rowan panowała napięta atmosfera przypominająca nieco oczekiwanie skazańca na ułaskawienie. Nie było słyhać śmiechów ani pogaduszek; szefowie siedzieli za zamkniętymi drzwiami w swoich gabinetach, a pracownicy, jeśli już poruszali się po biurze, to w milczeniu, wymieniając tylko nerwowe uśmiechy zamiast zwykłych żartobliwych pozdrowień i docinków.

Sam Culpepper odezwał się do personelu tylko raz, rozsyłając w wewnętrznej sieci e-mail z poleceniem, by natychmiast go informować, jeśli odezwie się ktoś od Tarvy'ego. W efekcie, ilekroć dzwonił telefon, Jennifer przerywała pracę i jak zahipnotyzowana wpatrywała się w światelko na aparacie, ogryzając paznokcie, dopóki nie zgasło. Potem z westchnieniem rezygnacji próbowała się ponownie skupić na ofercie dla klientów Russa.

W południe wciąż nie było żadnych wieści i uświadomiwszy sobie, że w Londynie jest już piąta, Jennifer powoli zaczęła się godzić z myślą, że w jakimś innym biurze, może nawet niedaleko, właśnie odbywa się huczna impreza dla uczczenia wygranego przetargu na kampanię reklamową Tarvy'ego. Raz po raz analizowała w myśli wszystkie, nawet najdrobniejsze szczegóły oferty, które znała na pamięć, bez mała jak osobisty dziennik. Im dłużej zaś o nich myślała, tym więcej przychodziło jej do głowy pomysłów, które zostały odrzucone w toku pracy. Żałowała teraz, że jednak nie ujęła ich w końcowej wersji. Jej nastrój pogarszał się z minuty na minutę.

O pierwszej telefon w ogóle przestał dzwonić. To koniec, stwierdziła, teraz już jest wszystko jasne. Definitywnie przegrali. Oparła łokcie na biurku i potarła twarz dłońmi. Co za marnotrawstwo sił i starań! Jak Sam mógł choć przez chwilę pomyśleć, że mają szansę w starciu z wielkimi firmami? To było jak... pojedynek Dawida z Goliatem! Parsknęła śmiechem, uświadamiając sobie, że Dawid jednak zwyciężył, i zaraz mimo woli wyobraziła sobie s w o j e g o Davida stojącego przed olbrzymim Filistynem z ogrodową motyką w dłoni. Znając go, pewnie też by wygrał!

Odsunęła krzesło od biurka, przygładziła włosy i splótłszy ręce na karku, zapatrzyła się na dwoje ludzi, myjących okna z ławeczki bosmańskiej podwieszanej u dachu sąsiedniego

wieżowca. Gawędzili wesoło, jakby nie zdawali sobie sprawy z ziejącej pod nimi przepaści.

Nagle drzwi gabinetu otworzyły się z impetem, uderzając o stojącą za nimi biblioteczkę. Obróciła się wystraszona. Za drzwiami nikogo nie było, ale z korytarza dobiegały jakieś szmery.

- Kto tam? - zapytała, wychylając się nad biurkiem, żeby dojrzeć, co się dzieje.

- No, Russ, dawaj! - szepnął czyjś głos.

- Nie mogę! Tkwi jak wmurowany!

- Potrząśnij!

- Co tam się u licha dzieje? - Jennifer wstała i obeszła biurko dookoła. Kiedy zbliżyła się do drzwi, rozległ się głośny wystrzał. Korek szampana rykoszetem odbił się od sufitu i uderzył ją boleśnie w nogę. Odskoczyła z okrzykiem przestachu. - Co, do diabła...!

W drzwiach ukazała się łysiejąca głowa Sama.

- No i kto tu jest geniuszem? - rzekł uroczyście. Na twarzy miał tak głupkowaty uśmiech, jakby usiłował się przyzwyczaić do za dużej sztucznej szczęki. - Kto wygrał dla nas kontrakt Tarvy'ego?

Jennifer poczuła, że broda sama jej opada. Zakryła dłonią rozdziawione usta.

- Co? Ale jak?... Skąd?... Przecież od ponad godziny nikt nie dzwonił!

Sam wkroczył do pokoju, powiewając trzymanym w górze faksem.

- A kto powiedział, że koniecznie będą dzwonić?

Jennifer złapała się za głowę.

- O mój Boże! Chcesz powiedzieć, że wygraliśmy przetarg? - wyszeptała bez tchu, nie wierząc własnym uszom.

- Nie! - wykrzyknął Sam, potrząsając kartką w powietrzu. - To ty go dla nas wygrałaś! Ty go wygrałaś, Jennifer!

Jennifer na miękkich nogach dotarła do biurka i przysiadła na nim, żeby się nie przewrócić.

- Mamy to zlecenie?

- Ile razy mam jeszcze powtarzać? - zniecierpliwił się Sam. - Tak, mamy je. Mamy - zlecenie - od - Tarvy'ego!

Jennifer patrzyła w punkt nad jego głową.

- Mamy zlecenie od Tarvy'ego - powtórzyła bezmyślnie.

Sam znów wyszczerzył zęby jak kretyn gorliwie potakując głową. Russ wetknął jej do ręki kieliszek szampana i ucałował ją w policzek.

- Niesamowita z ciebie baba, Jennifer Newman! - rzekł puszczając do niej oko.

W miarę jak nowina zaczęła do niej docierać, na twarz Jennifer wpływał coraz szerszy uśmiech. Odstawiła kieliszek, podbiegła do Sama i zarzuciwszy mu ręce na szyję, zaczęła skakać.

- Mamy kontrakt, Sam! Mamy go!

- Wiem! Wiem! - powtarzał, usiłując podskakiwać wraz z nią.

Jennifer odsunęła się nagle i wyrwała mu z ręki faks.

- Sama muszę to zobaczyć! - oznajmiła i zaczęła czytać na głos:

London, dn. 7 lipca

DO: Culpepper Rowan

Sam Culpepper, Dyrektor

OD: Adrian Thompson

Dyrektor Naczelny Tarvy's Gin Ltd.

RE - Kampania promocyjna Tarvy's Gin w USA

Jennifer podekscytowana uśmiechnęła się do kolegów, napiła szampana i czytała dalej:

Drogi Panie Culpepper,

przejrawszy z należytą uwagą przedłożone nam oferty, mamy przyjemność powiadomić Pana, że nasz zespół marketingowy jednogłośnie wybrał propozycję Pańskiej firmy spośród innych przedstawionych nam w przetargu.

Należy zaznaczyć, że decyzja ta została podjęta nie tylko na podstawie analizy Państwa znakomitego projektu, lecz również z rekomendacji, jaką za pośrednictwem jednego z członków zespołu oceniającego wystawił firmie Culpepper Rowan znany i ceniony przez nas przedsiębiorca z naszej branży. Powiedział on, że Wasza firma jest w stanie podjąć natychmiastowe działania w celu wdrożenia kampanii. Uznajemy to zatem za integralną część projektu mającego na celu realne zaistnienie Tarvy's Gin na amerykańskim rynku jeszcze w tym roku.

Pozwoliłem sobie już zamówić bilety do Nowego Jorku na najbliższy poniedziałek dla mnie oraz dla naszego dyrektora handlowego. Przylecimy o 14.00 Waszego czasu. Będę zatem wdzięczny, jeśli potwierdzi Pan zarówno chęć zawarcia umowy, jak i gotowość, by

spotkać się z nami w tenże poniedziałek, 13 lipca, o godzinie 15.30.

*Łączę serdeczne pozdrowienia oraz wyrazy uznania za tak wspaniałe pomysły
projekt!*

Z poważaniem.

Adrian Thompson, Dyrektor Naczelny Tarvy's Gin Ltd.

Głos Jennifer zamarł. Podniosła wciąż niedowierzający wzrok.

- Naprawdę je mamy, Sam - wyjąkała. - Mamy to cholerne zlecenie!

Sam i Russ podnieśli w górę kieliszki.

- Za dżin Tarvy'ego! - wykrzyknął ze śmiechem Sam. - Niech się leje po wsze czasy!

Spełnili toast. Russ natychmiast podszedł, by od nowa napełnić kieliszek Jennifer.

- No, a teraz mów! - rzekł niecierpliwie.

Spojrzała na niego pytająco.

- No! - ponaglił ją Russ. - Kto jest tą twoją tajną bronią?

Jennifer podniosła faks do oczu i przeczytała go jeszcze raz.

- Nie wiem. O to samo chciałam was zapytać.

Sam złapał Russa za zastygłą w powietrzu rękę i przechylił butelkę nad swoim kieliszkiem.

- A co za różnica! - wykrzyknął i wznosił oczy ku niebu. - Lecz ktokolwiek to jest, niechaj dobry Pan Bóg nachyli się nad nim w tej uroczystej chwili i serdecznie ucałuje go w czółko!

Ze śmiechem unieśli kieliszki.

Połączone działanie sporej ilości szampana i nagłej zmiany nastroju z depresji w euforię szybko się dało Jennifer we znaki. Obeszła biurko i ciężko opadła na krzesło.

- Boże! - westchnęła. - Czuję się jak przekłuty balonik! Przez cały dzień myślałam tylko o tym. Ale nawet przez chwilę nie wyobrażałam sobie, że... - Umilkła, nie znajdując sił, by mówić dalej.

Za oknem dwoje czyścicieli nadal trawiło czas na pogawędce, nie zmieniawszy nawet pozycji. Minęły chyba ledwie trzy minuty, a tu, w tym biurze, tyle się zmieniło, bliska i daleka przyszłość - nie tylko jej, lecz także Sama, Russa, całej firmy. Zarazem świat zewnętrzny trwał jakby w fałdzie czasu, jak gdyby ktoś nacisnął klawisz PAUZA w odtwarzaczu wideo.

Zerknęła na kolegów, którzy spowaźnieli i patrzyli na nią z troską. Sam oparł się o jej biurko.

- Słuchaj - rzekł cicho. - Oni przyjadą za tydzień. Zaraz im odpowiem i wszystko potwierdzą. A ty jedź do domu. Nie chcę cię tu widzieć aż do przyszłego poniedziałku.

- A co z kampanią?

- I tak nie mamy nic do roboty, póki nie przyjadą podpisać umowy! Będziemy tylko przeglądać to, co dla nich przygotowałaś. Toteż, jak powiedziałem, zabieraj się stąd, jedź do Leesport i spędź resztę tygodnia z Benjim. Od dawna ci się to należy.

Jennifer przymknęła oczy i opuściła głowę na oparcie krzesła. Myśl, że prawie tydzień spędzi z dala od biura, napełniła ją nagle euforyczną ulgą. Rozchyliła powieki. Zobaczyła obu mężczyzn nachylonych nad nią jak modliszki wpatrzone w następną ofiarę.

- Naprawdę mogę, Sam?

- Jasne! - Uśmiechnął się. - Wypocznij, żebyś była w dobrej formie na poniedziałkowym spotkaniu!

Od tej chwili każda czynność Jennifer pozostawała w całkowitej opozycji do jej zwykłego gorączkowego trybu życia. Wróciła taksówką na Barrymore Street, przez godzinę pakowała walizkę (co w normalnych warunkach zajęłoby jej dziesięć minut), po czym bez pośpiechu wsiadła do samochodu, a po drodze zatrzymała się nawet na kawę w przydrożnym barze. Nic jej nie goniło. Miała dla siebie prawie cały tydzień i zamierzała z rozkoszą smakować każdą jego minutę.

Dojechała na miejsce o wpół do piątej. Wyjęła walizkę z bagażnika, pchnęła frontowe drzwi - były zamknięte. Zdziwiło ją to, lecz po chwili pogodnie doszła do wniosku, że pewnie popłynęli na Fire Island. Zresztą nie miała powodu się martwić; na pewno był z nimi David.

Weszła i przez chwilę stała w holu, napawając się spokojem i ciszą pustego domu. Wniosła walizkę do swojej sypialni, położyła ją na łóżku i udała się do łazienki, by napuścić sobie wody do wanny. Przysiadła na brzegu, wpatrzone w kaskady płynące z kranów, wciąż od nowa rozpamiętując dzisiejszy sukces.

Bulgot wody przelewającej się odpływem przywrócił ją do rzeczywistości. Zakręciła krany, przeszła znowu do sypialni i wybrała numer komórki Alexa. Czekać na połączenie, zrzuciła buty. Potem zaczęła rozpinać bluzkę. W słuchawce rozległ się nagrany na taśmę kobiecy głos: „Abonent nie odpowiada. Proszę spróbować później”. Odłożyła słuchawkę, prędko zrzuciła odzież i zanurzyła się w wannie pełnej ciepłej wody.

Pół godziny później, wymoczywszy się gruntowniej, niż planowała, zeszła do kuchni ubrana w bawełniany szlafrok, związawszy mokre włosy w koński ogon. Zerknęła na zegar. Dochodziło wpół do siódmej. Nie ma sensu, żeby czekała tu, aż wróci. Jeśli popłynęli na Fire

Island, niedługo muszą wsiąść na prom. Wybierze się do przystani i zrobi im niespodziankę.

Początkowo zamierzała udać się tam pieszo, nie będąc jednak pewna, jaką drogą zwykle chodzą, obawiała się, że może się z nimi minąć. A przecież tak bardzo chciała opowiedzieć Davidowi o swoim dzisiejszym triumfie. Pobiegnęła do holu, wzięła ze stolika kluczyki, wskoczyła do samochodu i puszczając spod opon fontannę żwiru ruszyła do przystani.

Zaparkowała przy krawężniku przed wejściem, pewna, że jednak zdążyła, nie widziała ich bowiem nigdzie po drodze. Przysłoniła dłonią oczy przed zachodzącym słońcem i gdy przyzwyczały się już do blasku, ujrzała o jakieś pół mili od brzegu maleńką sylwetkę promu, orzącego powoli wody zatoki. Na maszcie powiewała gwiazdzista bandera.

Przechodząc przez jezdnię ku bramie przystani popatrzyła w lewo i nagle dostrzegła pomarańczowego garbusa stojącego na Shore Street obok parku. Uśmiechnęła się do siebie i pokiwała głową. A zatem tutaj mieszka. Ruszyła w stronę pomostów, lecz przystanąła. A gdyby tak podkraść się tam i zerknąć na jego dom? Obejrzała się. Prom nie dotrze do przystani wcześniej niż za dziesięć minut. Ma dość czasu. Pomaszerowała prędko wzdłuż Shore Street.

Najpierw postyszała muzykę i śmiechy. Myślała, że dochodzą z parku, ale gdy mijała bramę, zobaczyła wewnątrz tylko samotnego staruszka z równie wiekowym psem. Nie, hałasy dobiegały z posesji leżącej nieco dalej przy ulicy.

Zbliżając się do furtki, przed którą stał volkswagen, zwolniła kroku. Zza żywopłotu nic nie było widać; właśnie miała wspiąć się na palce i zajrzeć przez furtkę, kiedy w krzakach tuż obok niej utkwiała wyrzucona z impetem piłka. Cofnęła się nieco i ukryła za większym krzewem.

- Dobra, Benji, wygraliście! - odezwał się za żywopłotem przytłumiony zmęczeniem głos Gerry'ego Reilly'ego. - Starczy na dzisiaj! - Po chwili ten sam głos dodał ciszej, jakby do siebie: - O, nie! Kto u licha wpadł na pomysł, żeby tańczyć kongę?

Jennifer wyplątała się z krzaków. Co tu się dzieje? I co tu robi Gerry? Podeszła do furtki, uchyliła ją cichaczem i wśliznęła się do ogrodu.

Muzyka dochodziła z małego domku wciśniętego w sam kąt posesji. Drzwi na werandę były szeroko otwarte; spływał z niej po schodkach korowód prowadzony przez tęgiego siwowłosego mężczyznę w najjaskrawszej koszuli, jaką Jennifer kiedykolwiek miała okazję widzieć. Drugi mężczyzna, mniej więcej w tym samym wieku, trzymał go w pasie, jego zaś z kolei Jasmine, która śmiała się wniebogłosy, rytmicznie wyrzucając nogi na boki. Sznur tancerzy zakręcił ostro, uczepony na samym końcu Benji wyleciał jak z katapulty i z

radosnym piskiem poturlał się po trawniku. Podskokiem zerwał się na nogi i już ruszył, by dogonić korowód, kiedy nagle zobaczył matkę stojącą o niecałe dziesięć stóp od niego. Podbiegł do niej galopem, otrzepując rękami siedzenie.

- Cześć, mammo! - Odwrócił się do reszty wesołego towarzystwa. - David, mama przyszła!

Jennifer rozejrzała się wokół.

- Co tu się dzieje, Benji?

- Obchodzimy szesnaste urodziny Sophie!

Korowód rozproszył się. Jasmine ruszyła ku niej z szerokim uśmiechem, lecz stanęła jak wryta widząc kompletne osłupienie malujące się na twarzy Jennifer. Ze środka umilkłej grupy wyłonił się David i podszedł, drapiąc się z zakłopotaniem po głowie. Jasmine złapała go za ramię.

- Dotąd jej nie powiedziałaś? - wykrzyknęła, uświadamiając sobie, że Jennifer nie wie ani o przyjęciu, ani w ogóle o przyjeździe dzieci Davida.

David potrząsnął głową.

- Jeszcze nie. Miałem zamiar to zrobić w czwartek.

- Och, ty głupcze! - jęknęła i wymownie palnęła się w czoło.

Jennifer zmarszczyła brwi.

- Co tu się właściwie dzieje? I kim jest ta Sophie, której urodziny obchodzicie?

- Zamierzałem ci o tym... - zaczął David, ale Benji przerwał mu energicznie:

- Sophie to córka Davida, mammo! Najstarsza córka - poprawił się i rozejrzał w poszukiwaniu jubilatki, której jak na złość nie było nigdzie widać. Benji złapał Jennifer za rękę i pociągnął w stronę głównej grupy, omijając Davida i Jasmine. - A to jest Charlie! - obwieścił z podnieceniem, wyławiając spośród gości swego nowego przyjaciela. - A to Harriet! Wszyscy troje są dziećmi Davida. Ekstra, nie?

- To twoja mamusia, Benji? - słodki głosik Harriet wpadł w ciszę jak nóż.

- Tak - odparł Benji z dumą.

Jennifer stała wodząc wzrokiem po zebranych i czując, że głowa jej zaraz pęknie od natłoku różnych, przeważnie sprzecznych uczuć. David jest żonaty? Jej przyjaciel David ma żonę? I dzieci? I nic jej o tym nie powiedział? Wiedzą o nich wszyscy w Leesport oprócz niej?

- Słuchaj, to moja wina... - zaczął David, ale Jennifer powstrzymała go uniesieniem ręki. Oparła łokieć na dłoni i drugą dłonią zakryła usta czując, że dolna warga zaczyna jej drżeć.

W tejże chwili drzwi domku otworzyły się i stanęła w nich wysoka, smukła dziewczynka z dzbankiem lemoniady, w której podzwaniały kostki lodu.

- Co się stało? - spytała widząc, że wszyscy na nią patrzą. - Dlaczegoście tak nagle ucichli?

Jennifer przyjrzała się jej. A więc to zapewne jest Sophie. Nagle zdała sobie sprawę, że zupełnie jej nie obchodzi, kim są ci wszyscy ludzie. Spojrzała na Davida czując, że w oczach zaczynają jej zbierać się łzy.

- Właśnie - wykrztusiła, cofając się w stronę furtki. - Bawcie się dalej... - Odwróciła się i wybiegła.

- Jennifer! - krzyknął za nią David, ale już jej nie było.

- Och, na litość boską, Davidzie! - syknęła ze złością Jasmine.

- Przepraszam, Jasmine, nie myślałem...

- Jasne że nie myślałeś, to widać! Nie przyszło ci do głowy, jak to będzie wyglądało? Jakbyśmy z Benjim celowo ją okłamywali!

- Wiem. Przepraszam. Obiecuję, że jej wszystko wyjaśnię.

- Trochę już na to za późno, nie uważasz? - sarknęła Jasmine, odwracając się.

David zaklął pod nosem i pobiegł do furtki. Po chwili zaklął jeszcze raz i zawrócił.

- Bardzo was wszystkich przepraszam. Wybaczcie, ale muszę was na jakiś czas opuścić. - Spojrzał prosząco na Clive'a. - Odwiezicie potem Jasmine i dzieci na Barker Lane?

- Oczywiście. - Clive poważnie skinął głową.

- Tato, czy mógłbyś mi powiedzieć, co się stało? - rozległ się głos Sophie.

- Zaszło głupie nieporozumienie, kotku, niestety, z mojej winy. Później wszystko ci wytłumaczę.

Wypadł na ulicę i pognał za niknącym w dali samochodem Jennifer. Po chwili stracił go z oczu. Na następnym skrzyżowaniu zawahał się i tylko dzięki temu kątem oka dostrzegł bmw stojące przed bramą przystani.

Jennifer szła w stronę nabrzeża. Dogonił ją i złapał za ramię.

- Jennifer, pozwól mi wytłumaczyć...

Obróciła się unosząc rękę jak do ciosu. Odskoczył pospiesznie.

- Nie dotykaj mnie, słyszysz? - syknęła wściekle. - Nie jestem ciekawa, co masz do powiedzenia.

- Jennifer, proszę...

- Myślałam, że mogę ci zaufać - wyznała z goryczą. - Uważałam cię za przyjaciela.

Ruszyła dalej, lecz po paru krokach odwróciła się.

- Wszyscy o tym wiedzieli! Wszyscy oprócz mnie! Nawet moje własne dziecko! - zawołała, tłumiąc szloch. - Myślisz, że jak ja się teraz czuję?

- Zamierzałem powiedzieć ci w czwartek! Skąd miałem wiedzieć, że dziś będziesz w Leesport?

- Aha, w czwartek. - Jennifer założyła ręce na piersi. - Naturalnie, Jennifer powiemy dopiero po balu. Po co zapraszać nudną starą babę?

- Nie pleć bzdur! - warknął, tracąc panowanie nad sobą, i zaraz przepraszająco uniósł obie dłonie. - To wcale nie tak. Urodziny Sophie były w czerwcu i nie chciałem z tym zwlekać...

Popatrzyła na niego z pogardą i bez słowa ruszyła dalej.

- Hej, wy tam! - Gburowaty portier przerwał oglądanie telewizji i wychylił się ze swojej budki. - To wasz samochód? Zabierać mi go zaraz, bo blokuje wjazd!

- Dziadku - David nie wytrzymał - odstosunkuj się, dobrze?

Staruszek zasepił się nad ową tajemniczą uwagą, lecz po chwili huknął:

- Te! Do kogo tak mówisz, cholerny Brytoli?! Myślisz może, żeś wszystkie rozumy pozjadał? Zaraz ci...

- Nie słyszałeś? - wrzasnęła na niego Jennifer. - Odpieprz się!

Staruszek, najwyraźniej zbity z tropu tym, że kobieta, i do tego Amerykanka, przemawia doń w ten niewybredny sposób, osunął się na swoje krzesło i wlepił wzrok w telewizor.

Jennifer szła szybko wąskim pomostem. David dogonił ją, wyprzedził i zagroził jej drogę. Podniosła na niego płonące gniewem oczy.

- To nie do wiary! D l a c z e g o mi nie powiedziałaś, Davidzie? Nie wzięłabym ci przecież za złe, że masz żonę i dzieci, ale dlaczego nie chciałaś mi o tym powiedzieć? Czuję się taka... zlekceważona...

- Nie jestem żonaty.

- Ach tak? - wykrzywiła się szyderczo, usiłując go minąć. - To jak, rodzisz te dzieci sam czy płodzisz bękarty w całej Szkocji?

- Nie bądź głupia! Oczywiście że nie.

- Co ty powiesz? To gdzie jest ich matka?

- Nie żyje!!!

Wykrzyczał to z taką pasją i udręką, że słowa niemal zawisły w powietrzu. Zaskoczona niespodziewanym zwrotem rozmowy Jennifer pospiesznie przełknęła następną

kąśliwą uwagę, którą już miała na końcu języka. Jej gniew nagle prysł; te dwa krótkie słowa trafiły ją prosto w serce.

Pomostem nadeszło dwóch wracających żeglarzy; musieli odsunąć się od siebie, żeby ich przepuścić. Jennifer odprowadziła ich wzrokiem, wdzięczna za ten wtręt, który pozwolił jej zebrać myśli. Zerknęła na Davida, na jego zrozpaczoną twarz, i przymknęła oczy. Palił ją wstyd, że myślała tylko o sobie, że nie pozwoliła mu się wytłumaczyć.

- Kiedy? - spytała w końcu cichym drżącym głosem.

David milczał przez chwilę.

- W kwietniu - odparł.

- Tego roku?

Zerknął na nią kątem oka i powoli skinął głową.

- Och, Davidzie! Dlaczego...

- Posłuchaj! - przerwał jej, unosząc dłoń. - Zamierzałem ci wszystko wyjaśnić powoli i spokojnie. Nie chciałem, żebyś dowiedziała się w ten sposób. Jasmine odkryła to właściwie przez przypadek, ale prosiłem ją, żeby nikomu nie mówiła, bo... - Urwał, odwrócił się i spojrzał w dal na Fire Island. Po chwili podjął: - Bo nie byłem jeszcze gotowy z kimkolwiek o tym rozmawiać. Dlatego jestem tutaj. Żebym mógł się zgubić, oderwać od przymusu ciągłego myślenia i mówienia o jej śmierci.

Wsunęła rękę w jego dłoń.

- A czy już jesteś gotowy rozmawiać o tym ze mną?

Po chwili wahania przytaknął.

- W takim razie - Jennifer pociągnęła go w stronę lądu - chodźmy znaleźć jakieś spokojniejsze miejsce.

Dwie godziny później wszystko już zostało powiedziane. Siedzieli oboje na maleńkim pomoście przed domem Carrie, lekko wodząc bosymi stopami po powierzchni wody i patrząc w otulający ich coraz szczelniej ciepły mrok. Odpowiadając na dociekliwe, lecz taktowne pytania Jennifer, David zdał sobie sprawę, że wie o nim już niemal tyle co najbliższa rodzina. I jeszcze jedno: w tej chwili czuł taki spokój, jakiego nie zaznał od śmierci Rachel.

Było tak cicho, że pochwycił słuchem lekki, bezgłosny śmiech Jennifer. Spojrzał na nią.

- Co?

- Nic - odparła, wyjmując nogi z wody i przyglądając się kapiącym z nich kroplom. - Przypomniałam sobie szesnaste urodziny.

- Musiały być wyjątkowe. Ja swoich nie pamiętam.

- O tak, były wspaniałe! - Jennifer odchyliła głowę w tył i spojrzała na gwiazdy. - Byłam wtedy w szkole z internatem w Richmond, w stanie Wirginia. Mama przyjechała po mnie rano w dniu moich urodzin i powiedziała, że ma dla mnie niespodziankę. Poleciałyśmy samolotem do Nowego Jorku. Robiliśmy zakupy... - zaśmiała się - a potem znów robiliśmy zakupy. Wieczorem poszłyśmy do teatru na Broadwayu i zobaczyłam swój pierwszy musical. - Urwała, podciągnęła kolana pod brodę. - To był *Jesus Christ Superstar*. Do dziś go pamiętam.

David z uśmiechem pochylił się nad ciemną wodą.

- Wyobrażam to sobie. - Westchnął. - Chyba najbardziej żałuję, że moje dzieci zostały pozbawione takich dni.

- Davidzie... - Jennifer nakryła jego dłoń swoją.

- Mhm?

- Czy pozwoliłbyś Sophie jechać do Nowego Jorku ze mną?

- Co?

- Czy mogłabym w ten weekend zabrać Sophie do Nowego Jorku? Z przyjemnością zabrałabym ją na zakupy, a potem może właśnie na jakiś spektakl na Broadwayu.

- Naprawdę chciałybyś to zrobić?

Jennifer nachyliła się ku niemu. Twarz miała rozjaśnioną tym samym uśmiechem, którym dziękowała mu za pochwałę Benjiego w dniu, kiedy grali w tenisa.

- Nie mam córki - powiedziała - i nigdy nawet przez chwilę tego nie żałowałam... z jednym wyjątkiem. Córce mogłabym podarować taki dzień, jaki podarowała mi moja matka w dniu szesnastych urodzin. Tyle zrobiłeś dla Benjiego, Davidzie. Pozwól mi sprawić przyjemność twojej Sophie, a zarazem i sobie.

- To wspaniały pomysł. Powiem jej. Na pewno będzie zachwycona.

- Świetnie. Pojedziemy do miasta w sobotę rano i będziemy się włóczyć po sklepach do upadłego. Potem wrócimy do naszego mieszkania w West Village. Będziemy je miały tylko dla siebie, bo Alex jest w Dallas. Potem pójdziemy na... zaraz, co by się jej spodobało... Już wiem! - rozpromieniła się. - *Crazy for You!* Grają to u Shuberta!

- O, tak! - zaśmiał się David. - To jej się na pewno spodoba!

Podniósł się i pociągnął Jennifer za rękę, stawiając ją na nogi. Bez pośpiechu wrócili na brzeg i wspięli się po schodkach na skarpe. Gdy znaleźli się w ogrodzie, Jennifer odwróciła się do Davida, który szedł za nią.

- A tak przy okazji... Miałam ci powiedzieć. Wygraliśmy ten przetarg.

- Tak? - ucieszył się. - To świetnie! W pełni na to zasłużyłaś!

Wyciągnął rękę, chcąc jej pogratulować, lecz Jennifer skrzyżowała ramiona i przyjrzała mu się uważnie, jakby oceniała jego reakcję.

- O co chodzi? - spojrzał jej w oczy.

- Davidzie, czy jeśli cię o coś zapytam, odpowiesz mi szczerze?

- Hm... A o co chcesz zapytać?

- Powiedziałeś, że zrezygnowałeś z pracy, żeby się opiekować Rachel, tak?

- Tak.

- Otóż chciałabym wiedzieć, czym się zajmujesz. To znaczy, jaki zawód wykonujesz normalnie.

- Dlaczego pytasz?

Obróciła się i ruszyła w stronę domu.

- Tak sobie - rzuciła lekko. - Widzisz, jednym z powodów, dla których wybrali naszą ofertę, była pochlebna opinia o nas, wyrażona przez kogoś niezmiernie nam życzliwego i cieszącego się uznaniem w Tarvy's Gin. - Jennifer przystanęła i spojrzała mu w oczy. - Tylko że ani Sam, ani Russ, ani ja nie wiemy, kto by to mógł być.

- Aha! - David spuścił głowę, żeby ukryć uśmiech.

- Czy przez przypadek masz może powiązania z gorzelnictwem?

- Poniekąd - bąknął niezobowiązująco.

- Co to znaczy „poniekąd”? Masz czy nie masz?

- Mam. Konkretnie z produkcją whisky.

Jennifer podeszła do niego.

- A czy, również przez przypadek, kontaktowałeś się ostatnio z kimś, kto przypadkiem pracuje dla Gładwin Vintners?

David wsadził ręce w kieszenie spodni i rozejrzał się, unikając jej wzroku.

- Owszem, ale to właściwie była rozmowa towarzyska.

Jennifer patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Znowu to zrobiłeś, prawda? Powiedziałam to ot, tak sobie, dla żartu, ale ty zdołałeś załatwić także to! - Zaśmiała się nerwowo. - Naprawdę nazywasz się David Corstorphine?

- Oczywiście!

- A nie Clark Kent albo jakoś podobnie?

- Na Boga, dziewczyno, jestem zwykłym śmiertelnikiem!

Wzruszyła ramionami.

- Może i tak. - Wspięła się na palce i ucałowała go w policzek. - Ale naprawdę wyjątkowym. Słuchaj! - zawołała, chwytając go za rękę. - Przecież ja jeszcze tego nie

uczciałam! Napijmy się! Boże, po dzisiejszym dniu mam ochotę się napić!

Wszedł za nią na ganek i uderzył się w czoło.

- Z tym może być problem. O ile pamiętam, Gerry wysączył ostatnie piwo. Słuchaj, skoczę do sklepu i kupię butelkę wina.

- Nie, nie trzeba... - bąknęła zawiedziona, wchodząc do saloniku.

- Wezmę samochód i za pięć minut będę z powrotem. - Sięgnął po kluczyki do volkswagena leżące na stole. - Ty się tymczasem rozgość. Ten dom jest tak mały, że wszystko masz w zasięgu ręki.

Jak się okazało, nie było go aż piętnaście minut, albowiem wyjąwszy z chłodziarki w sklepie monopolowym butelkę szampana, zmuszony był wysłuchać długiego wywodu starego Victora, właściciela sklepu, na temat wad i zalet szampanów importowanych obecnie z Francji. W końcu udało mu się wymknąć; resztą swych rozważań starszek uraczył młodego człowieka, który wpadł tylko po sześciopak piw.

Szybko przebiegł przez ogród, bojąc się, że Jennifer poszła do domu. Znalazł ją w fotelu z Dodie na kolanach.

- Przepraszam, zatrzymano mnie! - wysapał, biorąc się od razu do odwijania korka.

- Nie szkodzi. Kiedy wyszedłeś, jak diabełek z pudełka pojawiła się Dodie i dotrzymała mi towarzystwa. Aha, słuchaj, nie wiedziałam, kiedy wrócisz i trochę martwiłam się o dzieci, zadzwoniłam więc do Jasmine. Jak się okazało, dobrze zrobiłam, bo strasznie się zdenerwowała dzisiejszym zajściem. Uspokoiliłam ją i poprosiłam, żeby zapytała dzieci, czy nie przenocowałyby dzisiaj u nas. One nie mają nic przeciwko temu, a ty?

- Nie, oczywiście, że nie. O ile tobie to nie przeszkadza.

- No wiesz! Chętnie będę je gościć tak długo, jak zechcą. Traktuj to jako wiążące zapro...

Urwała, widząc, że David nagłe zamarł, wsłuchany w muzykę płynącą z adaptera. Patrzył na stos płyt, które Jennifer zdjęła z półki i położyła na stole.

- Oj, przepraszam! Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe - zaczęła się usprawiedliwiać. - Pomyślałam, że przyda się jakaś muzyczka. Większość tych płyt jest smutna albo zanadto zmysłowa, a nie chciałam ci narzucać niewłaściwych skojarzeń - zaśmiała się nerwowo. - Uznałam więc, że Martha Reeves... - Znów urwała. Twarz Davida była śmiertelnie blada. - David, co się dzieje?

- Czy mogłabyś zmienić tę płytę? - spytał cicho.

- Dlaczego?

- Czy mogłabyś...

Było już za późno. Piosenka ucichła, igła zatrzeszczała w przerwie przed następnym utworem. David zamknął oczy, jego twarz napięła się, jakby oczekiwał ostatniego, zabójczego ciosu.

W pokoju rozbrzmiała cicha gitarowa przygrywka do *The Tracks of My Tears*. David odwrócił się, spuścił głowę, bezwładnie zwiesił rękę, w której trzymał szampana, drugą położył na oparciu fotela. Jennifer spojrzała na niego, później na adapter. Zaczynała rozumieć. Podeszła, wyjęła mu butelkę z ręki i dotknęła jego ramienia.

- To była wasza piosenka? Twoja i Rachel? Powoli skinął głową.

Odwróciła go do siebie i zajrzała mu w oczy. Miał w nich łzy.

- Nie wiedziałam... - szepnęła. - Chodź do mnie.

Przyciągnęła go do siebie i gdy oparł głowę na jej ramieniu, targnął nim dreszcz - tak silny, że wstrząsnął także jej ciałem. Tamy puściły; łzy popłynęły niepowstrzymaną falą.

So take a good look at my face, can't you see the smile, it's out of place...

Odsunęła go od siebie, łagodnie objęła dłonią jego policzek i uniosła mu twarz tak, żeby na nią spojrzeć.

- Jesteś chyba najdzielniejszym mężczyzną, jakiego znam. Przyjechałeś tu i sam przegnałeś wszystkie dręczące cię upiory. A przy tym wciąż przychodziłeś nam z pomocą, Benjiemu, Jasmine i mnie także. Teraz moja kolej, żeby ci pomóc. To już ostatni duch, Davidzie. Nie bój się. Przez cały czas będę z tobą.

Kiedy utwór dobiegł końca, podeszła do gramofonu i na chybił trafił przestawiła igłę znów na początek. Potem raz jeszcze wzięła go w ramiona. Stopniowo zaczął się wraz z nią kołysać w rytm muzyki.

Since you left me, you see me with another girl, seemin' like I'm having fun...

Przywarł do niej ciasno, czując ciepło jej ciała, zapach emanujący z miękkiej szyi, z włosów. Zamknął oczy. Jej wargi musnęły go za uchem, przesunęły się po policzku, dotknęły kącika ust. Potem poczuł je na swoich wargach. Rozchylił usta. Minęła wieczność, odkąd po raz ostatni czuł ten smak; przez całą wieczność tęsknił za nim jak potępieniec; odkąd Rachel...

Rachel. To za nią tęsknił.

Odsunął się od Jennifer, wbijając wzrok w podłogę.

- Ja... przepraszam cię, Jennifer, nie mogę. Nie tak szybko po...

Podeszła do adaptera i znów przestawiła igłę, tym razem trafiając idealnie na początek. Potem odwróciła się i delikatnie ujęła go za obie ręce.

- Davidzie, przysięgam ci, nic się nie stanie. Sama do tego nie dopuszczę. Będziemy tylko tańczyć, to wszystko. Ale pozostał jeszcze jeden cudowny, piękny duch, któremu

musisz zwrócić spokój.

Pociągnęła go ku sobie. Tym razem nie musiała szukać ustami jego ust; czekał na nią, gotowy, spragniony. Zakołysał i się oboje jak jedno w ciasnej przestrzeni saloniku.

A Smokey wciąż śpiewał...

ROZDZIAŁ 31

W ciągu następnych dwóch dni Jasmine czuła nieustający zawrót głowy. Olbrzymi, przestronny dom zrobił się nagle za ciasny. Korytarzyk łączący hol głównego budynku z kuchnią przypominał teraz ruchliwą autostradę i często musiała uskakiwać z drogi bandzie rozwrzeszczanych dzieci, które pędem przebiegały przez kuchnię niczym stado niesfornych szczeniąt. Niby większość czasu spędzały na dworze - w ogrodzie, na korcie lub w basenie - lecz dziwnym trafem wciąż miała przy sobie jakieś dziecko domagające się odpowiedzi na pytanie, gdzie coś jest lub gdzie ktoś jest, albo kiedy będzie następny posiłek.

Wcale nie miała im tego za złe. Przeciwnie, z rozkoszą płaawiła się w tej atmosferze. Nie tylko dlatego że zawsze chciała mieć gromadkę dzieci; czuła też ulgę, że już nie musi niczego przed nikim ukrywać. Jennifer brała teraz czynny udział we wszystkich figlach, którymi Jasmine, nękana poczuciem winy, cieszyła się w tajemnicy przez ubiegły tydzień.

Co więcej, Jennifer wydawała się odmieniona. Złagodniała, przestała się ciągle spieszyć i porzuciła szorstki, nieraz obcesowy styl bycia kobiety pracującej. Uśmiechnięta i zrelaksowana, całą uwagę poświęcała teraz domownikom. Z jednej strony Jasmine bardzo to cieszyło; z drugiej coraz poważniej się obawiała, jak ta nowa, bardziej wrażliwa Jennifer zniesie cios, jeśli zdrada Alexa wyjdzie na jaw.

Z biegiem czasu Jasmine zyskała stały cień w postaci małej Harriet. Razem piekły ciasta i gotowały gargantuiczne posiłki dla zgłodniałej hordy. Dziewczynkę zafascynował w pierwszym rzędzie jej kolor skóry; często bez żenady przyglądała się Jasmine szeroko otwartymi oczyma.

David tymczasem przestał zajmować się ogrodem - bynajmniej nie dlatego, że stracił zapał. Gdy wszakże rano wyjął z szopy widły i motykę, powitało go gromkie chóralne „Feee!”, przy czym w chórze tym pierwsze skrzypce grała Jennifer. Nie miał wyboru, musiał odnieść narzędzia do szopy. Zamknął ją z ciężkim sercem, czując, że czyni to po raz ostatni. Straciwszy tę wymówkę, odtąd cały swój czas poświęcał dzieciom i Newmanom. Wkrótce zresztą stało się dla niego jasne, że w ich towarzystwie czuje się najlepiej. Pływali razem na Fire Island, jeździli garbusem po Leesport, nawiedzali olbrzymie multikino w Sayville, a na

koniec dnia zawsze wracali na Barker Lane, gdzie też było wiele rozrywek.

Po pierwszej nocy spędzonej w domu Jennifer dzieci doszły do wniosku, iż pod względem komfortu i wyposażenia przewyższa on znacznie solniczkę przy Shore Street i jednogłośnie postanowiły przeprowadzić się tam na dobre. Sophie czuła co prawda wyrzuty sumienia, że zostawią ojca samego i w konsekwencji molestowała Jennifer, by zaprosiła i jego, Jennifer wszakże doskonale rozumiała, dlaczego David woli wracać co noc do małego domku i tam cieszyć się odrobiną samotności. Od razu więc przyjęła jego kulawe tłumaczenia, że oczekuje wiadomości z firmy, a poza tym Dodie woli mieszkać u siebie.

Te samotne wieczory pozwalały mu patrzeć na wszystko z pewnej perspektywy. Widział, jak łatwo jego dzieci zżyły się z rodziną, z którą i on czuł się szczególnie związany. Charlie i Benji stali się nierozłączni; całe godziny spędzali na korcie lub w łodzi na zatoce, gdzie mozolnie ćwiczili też jazdę na desce z żaglem, zachęcając się nawzajem i pomagając sobie, ilekroć zaszła taka potrzeba. Harriet nie odstępowała Jasmine i z każdej wycieczki biegła prosto do niej. Najwięcej jednak satysfakcji dawała mu obserwacja więzi tworzącej się między Sophie a Jennifer. Z początku bał się, że jego córka potraktuje Jennifer z chłodną rezerwą - tym bardziej że ta zepsuła jej przyjęcie urodzinowe. Nie docenił jednak intuicji Jennifer. Jeszcze tego samego wieczoru, wróciwszy z Shore Street do domu, poszła prosto do pokoju Sophie i gawędziła z nią prawie do północy, snując plany wspólnej wyprawy do Nowego Jorku.

Patrząc na tę obcą w sumie kobietę, będącą w tak zażyłej komitywie z jego własną córką, chcąc nie chcąc łączył ją w myśli z Rachel i zamiast odsuwać od siebie tę myśl, z wolna zaczął przyznawać sam przed sobą, jak dużą rolę w jego życiu odgrywa Jennifer.

Ponieważ trzeba było jakoś wynagrodzić Sophie zakończone przedwcześnie wtorkowe przyjęcie, postanowił zaprosić wszystkich gości do restauracji w Leesport. Uroczysta kolacja miała się odbyć w przeddzień wyjazdu obu pań do miasta. Ponieważ wraz z Jennifer byłoby ich trzynaścioro, David, nie chcąc kusić losu, zaprosił również Billy'ego z bistra. Już dawno zauważył, że podczas ich niezliczonych wizyt w bistrze Billy kierował swe żarciki niemal wyłącznie do jego starszej córki, ta zaś słuchała go z błyskiem w oku i rumieńcem na policzkach.

Uroczysty protokół został prawie od razu zawieszony na kołku i spotkanie przybrało nieformalny charakter. Gerry przywiózł dwie gitary, z których jedną po zakończeniu posiłku wręczył Davidowi ku widocznemu zdumieniu jego dzieci. Następnie wezwano ochotników do części artystycznej. Pierwszy zgłosił się oczywiście Benji, który wykonał swoją Piosenkę, co chwila usprawiedliwiając się, że brzmiała o wiele lepiej, gdy wraz z nim grali muzycy Dublin

Up. Potem mimo głośnych protestów Sophie, Billy wyciągnął ją zza stołu i zatańczył z nią *You're the One That I Want*. Zapowiadało się, iż mają sporą szansę na ogólnokrajową nagrodę za wybitne osiągnięcia estradowe, Billy wszakże zaczął nieco zbyt sugestywnie udawać Travoltę i popis zakończył się nagle, gdy Sophie wyrwała mu się z okrzykiem: „To oburzające!”

Następnie David i Gerry wykonali krótką dowcipną piosenkę i zostali surowo zgromieni spojrzeniem przez Jasmine za zawarte w niej różne pikantne aluzje.

Wielki finał był rzecz jasna najlepszy. Na prośbę Davida i zachęceni głośnymi okrzykami widowni, Clive i Peter nieśmiało podnieśli się z krzeseł i naradziwszy się szeptem, w którą stronę zaczną, w idealnej synchronizacji odtańczyli i odśpiewali *All Want Is a Room Somewhere*.

Nazajutrz rano David zjawił się na Barker Lane już o wpół do dziewiątej, by wyprawić córkę w drogę. Okazał się jednak bardziej zawadą niż pomocą, podróżniczki bowiem były już gotowe. Jennifer zarządziła, że biorą tylko piżamy - ostatecznie jechały przecież na zakupy! Skrępowany tym David złapał ją za łokieć i zaczął bąkać coś na temat pieniędzy. Przerwała mu, kładąc palec na ustach, i jednym tchem wymieniła szereg wydatków, które poniósł na ogród i potrzeby Benjiego, nie otrzymawszy za to rekompensaty, po czym oddaliła się tanecznym krokiem. Skutecznie spławiony w ten sposób David ulżył swemu sumieniu, wsuwając do portmonetki Sophie sto dolarów.

Punktualnie o dziewiątej dziewczęta (jak nazywała je Jasmine) wsiadły do samochodu. Niestęchanie podekscytowana Sophie pomachała najpierw Davidowi i Jasmine, a potem trzem zmęczonym twarzyczkom przyklepionym do okna na piętrze. Następnie wskazała ręką przed siebie jak w filmie *Wozy na zachód!* - i wóz potoczył się w drogę do Nowego Jorku. Nim zniknął za zakrętem, ujrzeli jeszcze tylko uniesioną na pożegnanie dłoń Jennifer.

Dokładnie dwie godziny później „dziewczęta” przybyły do West Village. Pozostawiając samochód na parkingu, a bagaże w mieszkaniu, przeszły pieszo krótki odcinek dzielący je od Spring Street. Resztę przedpołudnia Sophie spędziła jak w transie, prowadzona przez Jennifer od jednego do następnego sklepu. Były tu wszystkie słynne salony, o których słyszała i rozmawiała z koleżankami - Agnes B, Replay, Guess... Wchodziły do każdego i w każdym kupowały jakąś rzecz dla niej.

Następnie pojechały taksówką do centrum i zjadły nieco spóźniony lunch w restauracji przy Madison Avenue. Po posiłku Jennifer zamówiła dwie kawy i znalazłszy się po raz pierwszy sam na sam z Sophie, zagadnęła ją o matkę. Z początku niemal przerażona, dziewczynka z wolna zaczęła się otwierać przed kobietą, którą w ciągu minionego tygodnia

zdążyła obdarzyć przyjaźnią i zaufaniem.

Zostawiwszy sprawunki na przechowanie w restauracji, udały się taksówką do Parku Centralnego. Tam podjęły rozmowę, spacerując pod rękę ścieżką nad jeziorem i odsuwając się od siebie tylko po to, by od czasu do czasu przepuścić pędzącego wrotkarza lub zatopionego w myślach amatora biegów. Jennifer czuła wzrastający podziw dla tej młodej dziewczyny, tym większy, że sama nigdy nie przeżyła równie miazdzącej straty.

Kiedy w końcu wyszły z parku, było już za późno, by wracać do West Village. Złapały więc taksówkę i kazały się wieźć wprost na Broadway, zatrzymawszy się tylko po pakunki pozostawione w restauracji. Czas do spektaklu spędziły w przytulnym pubie o nazwie „White Lion” pijąc colę, pogryzając chrupki i przyglądając się wchodzącym gościom. Porównywały ich do sławnych ludzi i co chwila dusiły się ze śmiechu. Potem przeszły już pieszo do teatru Shuberta, gdzie dotarły dziesięć minut przed dzwonkiem. Oddały swoje torby i torebki pod opiekę milej pani w szatni i zaopatrzone w program oraz mnóstwo słodczych zasiadły w pluszowych fotelach na widowni. Zaraz potem rozpoczęła się uvertura.

Crazy for You wydało się Sophie najwspanialszym przedstawieniem świata. Siedziała jak zaczarowana, chłonąc każdą scenę, nucąc każdą melodię i desperacko starając się zapamiętać każdy, nawet najdrobniejszy szczegół. Siedzący przed nią mężczyzna był chyba najwyższą osobą na widowni, ale Sophie to nie przeszkadzało; przesunęła się nieco w bok i oparła wygodnie o ramię Jennifer, czerpiąc z tego kontaktu dodatkową przyjemność.

Po spektaklu przystały na chodniku przed teatrem, czując, jak wciąż gorący wiatr owiewa im twarze. Postanowiły nie brać taksówki; ruszyły pieszo do West Village, machając torbami z zakupami i podśpiewując pod nosem piosenki z musicalu.

W okolicach Dwudziestej Pierwszej Ulicy obciążone sprawunkami ręce bolały je już tak bardzo, że dały się jednak skusić na taksówkę i po kilku minutach wysiadły przed kamienicą przy Barrymore Street. Jennifer otworzyła drzwi mieszkania, zapaliła światło i położyła wszystkie pakunki na podłodze, po czym weszła do salonu i z westchnieniem ulgi opadła na fotel. Zerknęła na Sophie.

- To co teraz robimy?

- Nie wiem. - Sophie wzruszyła ramionami. - Czy nie jest już odrobinę za późno na nowe atrakcje?

Jennifer spojrzała na zegarek.

- O nieba, za dziesięć dwunasta! Nie miałam pojęcia, że już noc! Chyba masz rację. Chcesz się od razu położyć?

- Niekoniecznie. - Sophie z namysłem zmarszczyła nos. - Za to przyznam, że

zголоdniałam.

- Ja też! - Jennifer uderzyła dłońmi o poręcz fotela i skoczyła na równe nogi. - Na co masz ochotę? Lubisz pizzę?

- Jeszcze jak!

- Świetnie! Ja też. Powiem ci, co zrobimy: zamówię najlepszą pizzę pepperoni, jaką można kupić w tym mieście, a zanim ją dostarczą, przeberzemy się w pizamy i wybierzesz dla nas jakiś film na wideo. Zwiniemy się na sofie, będziemy żarły pizzę i gapiły się w telewizor. Co ty na to?

- Jestem za! - przytaknęła Sophie z błogim uśmiechem.

Pięć minut później ubrana w nocną koszulę Jennifer wróciła boso do saloniku i usadowiła się obok dziewczynki. Film już się zaczął; początkowym napisom towarzyszyła niesamowita muzyka. Jennifer zaskoczona obróciła się do swej towarzyszki.

- Sophie, na miłość boską, co my oglądamy?

- Horror to *Amityville* - odparła Sophie z uśmiechem.

Jennifer osłupiała.

- Naprawdę musimy na to patrzeć? Nie ma nic... łagodniejszego?

- Daj spokój, Jennifer, to tylko film! - zaśmiała się Sophie. - Poza tym dość mamy słodkości jak na jeden wieczór. Pora przyprawić ją odrobiną adrenaliny!

- O, ty diablico! - Jennifer pokręciła głową i chwyciła ją za rękę. - Skoro tak, to będę krzyczeć. Nie cierpię horrorów.

Sophie wydała szatański chichot i założywszy sobie rękę Jennifer na ramię, przytuliła się do niej.

- Świetnie! - oznajmiła. - To jeszcze podkreśli atmosferę!

Chwilę potem usłyszały za drzwiami jakiś odgłos. Przypominał bardziej chrobot niż pukanie.

- Przynieśli pizzę! - Jennifer zerwała się z sofy. - Kto się spóźni, ten będzie musiał zjeść pudełko!

Jednocześnie wystartowały do przedpokoju, ale Sophie, mająca świeższe doświadczenia w wyścigach z rodzeństwem, zanurkowała pod ramieniem Jennifer i pierwsza dopadła drzwi. Otworzyła je na oścież z rozmachem; tkwiące w zamku klucze brzęknęły uderzając o klamkę.

Na korytarzu stała spleciona para, tak zajęta sobą, że nawet nie zauważyła, iż drzwi się otwały.

Sophie zmierzyła ich wzrokiem, mimochodem stwierdzając w duchu, że żadne nie

wygląda na dostawcę pizzy, i odwróciła się do Jennifer. Lecz ta stała bez ruchu ze zgrozą, bólem i niedowierzaniem na pobladłej twarzy, poruszając wargami, jakby chciała coś powiedzieć i nie mogła znaleźć słów. Dopiero po chwili wykrztusiła z wysiłkiem:

- Alex?

ROZDZIAŁ 32

Benji i Charlie sarkali przez całą sobotę, że nie zostali zabrani do miasta. Aby więc nie czuli się pokrzywdzeni, ustalono, że niedzielę spędzą u Seana Dalaglio. Jasmine zamierzała w tym czasie udać się wraz z Harriet w odwiedziny do swojej matki w North Leesport, toteż David po raz pierwszy od dwóch tygodni został sam.

Pozwolił sobie na luksus wylegiwania się w łóżku aż do dziewiątej, potem wziął Dodie na krótki spacer do przystani, a następnie zabrał się do porządków w domu. Poskładał wszystkie łóżka i śpiwory i wystawił je na zewnątrz, żeby zapakować do volkswagena. Zajrzawszy do wozu, poczuł jednak wyrzuty sumienia: po prawie dwóch tygodniach wożenia dzieci garbus prezentował się o wiele gorzej niż w dniu wyjazdu Carrie. David rozwinął kabel odkurzacza na całą długość, wyniósł go i dokładnie odkurzył całe wnętrze samochodu, pełne piasku i niezliczonych papierków po cukierkach, które znajdował nawet w najbardziej nieprawdopodobnych załamaniach tapicerki.

Gdy elektroniczne dzwony małego katolickiego kościoła przy Champner Street zaczęły wzywać wiernych na mszę o jedenastej, wziął puszkę coli i zszedł na pomost. Zrzucił buty, siadł zanurzywszy nogi w wodzie i obserwował windsurferowca, który sunął po zatoce jakieś trzysta jardów od brzegu.

Boże, tu naprawdę było fantastycznie. Uśmiechnął się do siebie na myśl, ile razy to powtarzał w ciągu ubiegłych sześciu tygodni. Ale to była prawda. Nigdy nawet na chwilę nie opuścił go czarowny nastrój, który ogarnął go już pierwszego ranka, kiedy zszedł na brzeg i spojrzał na zatokę. Tu rany goiły się same - zarówno rany Davida, jak i rany jego dzieci. Działała tak nie tylko magia tego miejsca, lecz także ludzie. Każdy grał jakąś rolę w przywróceniu mu życia, w połączeniu ich na powrót w spójną rodzinę. Po powrocie do Szkocji będzie im dzięki temu o wiele łatwiej.

Szkocja... Wrócił myślą do Glendurnich, po raz setny plując sobie w brodę, że jednak nie poprosił Archiego o odpowiedź. Jej brak rodził w nim niejasne podejrzenia. Nie, gdyby działo się coś złego, Archie na pewno by go powiadomił.

Wysączył resztkę coli z puszkę i obrócił się raptownie, zdawało mu się bowiem, że

ktoś dobija się do drzwi solniczki.

- Halo! - zawołał.

Czekał pięć sekund, nasłuchując, potem zerwał się na równe nogi i wbiegł na skarpę. Drzwi domku były otwarte.

- Halo! - zawołał ponownie. - Kto tam?

Z domu dobiegł szmer; potem na werandę wyskoczyła Dodie, a tuż za nią Sophie. David patrzył na nią przez chwilę osłupiały.

- Co ty tu robisz? - zdziwił się. - Miałycie wrócić wieczorem!

Sophie podbiegła bez słowa i przytuliła się do niego.

- Co się stało, kochanie?

Podniosła ku niemu strapioną twarz.

- Co się stało? - powtórzył. - Powiedz mi.

Dziewczynka kilka razy odetchnęła głęboko, jakby szykując się do skoku, i wybuchła:

- To straszne, tato! Byliśmy w teatrze, a potem wróciliśmy do mieszkania Jennifer i czekałyśmy, aż przyniosą pizzę. Otworzyłam drzwi, za nimi stali mężczyzna i kobieta, oni... ściskali się na korytarzu... - Sophie urwała i przyłgnęła do niego jeszcze mocniej. - To był mąż Jennifer, tato!

David zamknął oczy. Spodziewał się, że to usłyszy, ale do końca odsuwał od siebie pewność. Tulił córkę w milczeniu.

- Kiedy wróciłyście do Leesport? - spytał cicho.

- W nocy, a właściwie już nad ranem, około trzeciej. Po prostu spakowałyśmy rzeczy i wsiadłyśmy do samochodu. Biedna Jennifer, płakała przez całą drogę.

David schylił się i pocałował córkę w czubek głowy.

- Widziałyście się z Jasmine?

- Nie, nie chciałyśmy jej budzić. Zresztą Jennifer chyba wolała zostać sama. A potem, kiedy wstałyśmy jakąś godzinę temu, zobaczyłyśmy tylko kartkę. Jasmine napisała, że widziała samochód, i wyjaśniła, gdzie się wszyscy podzialiście. Stąd wiedziałam, że cię tu znajdę. Jennifer siedzi w zimowym ogrodzie i patrzy przed siebie. Zapytałam, czy chce cię widzieć; tylko kiwnęła głową bez słowa. Miałam dzwonić, ale pomyślałam, że lepiej sama wszystko ci opowiem. Dlatego pożyczyłam rower od Benjiego i przyjechałam.

David objął córkę ramieniem i ruszył w stronę domu.

- Może zostawmy tu ten rower i jedźmy samochodem? - zaproponował.

Sophie przystanęła i spojrzała na niego niepewnie.

- Prawdę mówiąc, tato, wołałabym, żebyś pojechał sam. Jakoś nie mam odwagi teraz

tam wracać.

- Dobrze. Wobec tego zostań tu i przypilnuj Dodie. Wrócę tak szybko, jak tylko zdołam. I nie martw się. Porozmawiam z Jennifer, zobaczę, czy mogę jej jakoś pomóc.

- Ona jest taka miła. Serce się kraje, kiedy człowiek patrzy na jej rozpacz.

- Wiem. - Ucałował ją w czoło. - Na razie, córciu.

Zobaczył ją już z daleka przez oszklone drzwi, siedziała bez ruchu na sofie, utkwivszy w dali niewidzące spojrzenie. Kiedy wszedł, nawet nie drgnęła, choć przeciął linię jej wzroku. Kolana miała podciągnięte pod brodę, oczy czerwone i zapuchnięte, na policzkach ślady łez. David usiadł naprzeciw przy małym stoliku. Pochylił się i wierzchem dłoni pogładził ją po ramieniu.

- Jennifer, wszystko w porządku?

Pociągnęła nosem, nie patrząc na niego.

- Głupie pytanie jak na Supermana. A co, wygląda na to, że wszystko jest w porządku? Spuścił wzrok i potarł kciukiem o kciuk. Miała rację, to było głupie pytanie.

- Alex od trzech miesięcy ma romans ze swoją współpracownicą - powiedziała głucho.

- Tak, wiem.

Jennifer odwróciła się do niego.

- Co znaczy „wiem”? Wiedziałaś o tym? Skąd?

- W pewnym sensie. - David potarł palcami czoło. - Jasmine to podejrzewała. Niechcący posłyszała, jak Alex rozmawia przez telefon w tym dniu, kiedy graliście w tenisa. Ale nie miała pewności. Radziła się mnie i ja też uznałem, że nie do nas należy informowanie cię o tym.

Jennifer skinęła głową i znów zapatrzyła się w dal.

- Nie, chyba nie - przyznała. - Powinam się była sama domyślić. - Skuliła się i wybuchnęła płaczem.

David wstał, przysiadł obok niej na sofie, wcisnąwszy się między poręcz a jej plecy, po czym objął ją ramieniem i przytulił, kołyszając jak rozżalone dziecko.

- Co ja złego zrobiłam, Davidzie? Czy to moja wina? Co ja takiego zrobiłam?

- Nic. Nie zrobiłaś nic złego. Nie wolno ci tak myśleć. To wina Alexa.

- Ale dlaczego to zrobił? Dlaczego w ogóle c h c i a ł mnie zdradzić?

- Nie wiem. Nie mam pojęcia. Czasami ludzie przestają dostrzegać to, co mają.

- Myślałam, że... Było nam razem dobrze, Davidzie. Może nie idealnie, byliśmy zanedo zapracowani, ale dobrze. Mieliśmy siebie, dom, dziecko... A teraz... - Głos jej się

załamał. - Teraz mówię o tym w czasie przeszłym!

- I w tym właśnie rzecz, Jennifer! - David przesiadł się z sofy na stolik i ujął ją za obie ręce. - Nie wolno ci mówić o tym w czasie przeszłym. Nadal masz to wszystko! Posłuchaj... Trudno mi to odpowiednio wyrazić, ale... Ja już tego nie mam, Jennifer. Mogę mówić wyłącznie w czasie przeszłym, choć dałbym wszystko, aby tak nie było. Wiesz, po śmierci Rachel zamknąłem się w sobie, zgorzkniałem, przestałem dostrzegać innych. Teraz, choć serce wciąż mnie boli, wiem, że moje dzieci to nie tylko obowiązek, lecz także ogromna radość. Ty nadal masz i Benjiego, i Alexa. Co więcej, Benji nadal ma Alexa, a przecież go potrzebuje. Kocha go. Alex jest jego ojcem. Nie zapominaj o tym, Jennifer. Proszę cię: nigdy o tym nie zapominaj. To fakt, że Alex zachował się jak idiota, ale przez wzgląd na szczęście Benjiego i twoje warto to naprawić! Musicie to naprawić, Jennifer. Proszę cię, spróbuj, zrób to dla mnie. Nie mógłbym znieść myśli, że twoją rodzinę, która stała się dla mnie tak... tak szalenie ważna, spotkał ten sam los co moją. Chociaż można było tego uniknąć.

Odwróciła się ze smutkiem i powoli pokręciła głową.

- Ale jak? Od czego powinnam zacząć, skoro nawet nie miałam pojęcia, że coś jest nie tak! Skąd mam wiedzieć, jak to naprawić?

- Nie wiem. Po prostu nie wiem. Boże, my mężczyźni potrafimy być takimi durniami! Zastanówmy się... - Przerwał, żeby zebrać myśli. - Rozmawiałaś z nim wczoraj w nocy?

- Nie. Byłam zbyt wściekła. - Jennifer parsknęła suchym śmiechem. - Prawdę mówiąc, zatrzasnęłam mu drzwi przed nosem, co było idiotyczne, skoro ma własne klucze. Tak czy owak, zanim wszedł z powrotem, odesłał tę... tę kobietę taksówką, a my z Sophie byłyśmy już spakowane i gotowe do wyjazdu.

- Po co wrócił?

- Mówił, że chce ze mną porozmawiać.

- Ale ty nie chciałaś?

- Jasne że nie! Przecież mnie zdradził! A poza tym... - wargi Jennifer zaczęły się trząść.

- Poza tym co? Mów!

- Poza tym bałam się, że zażąda ode mnie rozwodu - wykrztusiła.

David ścisnął jej dłoń i obrócił jej twarz ku sobie.

- I zażądał?

- Nie. Powiedział tylko, że mu przykro i chce porozmawiać.

- A potem?

- A potem wyjechałyśmy.

- I to wszystko?

- Nie. - Jennifer milczała przez chwilę. - Kiedy wsiadałam do samochodu, podbiegł i powiedział, że będzie tu dziś po południu.

- Jennifer, proszę cię, wysłuchaj go! Musisz spróbować! Mówcie o tym, co jest istotne, w twoim życiu i jego! Zmuś go, żeby też cię zrozumiał!

- Dlaczego uważasz, że w ogóle zechcę go jeszcze oglądać?

- Bo dotychczas, ilekroć cię o coś prosiłem, nigdy nie powiedziałaś „nie”.

Zamilkli oboje. Jennifer popatrzyła na niego, przygryzając wargi. Potem uśmiechnęła się blado i skinęła głową.

- Tak, to prawda. Nigdy ci nie odmówiłam.

Pogłaskał ją po twarzy. Chwycił jego dłoń i przytuliła do policzka. Patrzył, jak łza kapie jej z oka i spływa mu po palcu.

- Dlaczego ty jesteś taki wyjątkowy, Davidzie?

- Nie jestem. Tego możesz być pewna.

- O tak, jesteś. - Urwała i zadrżała mu w oczy. - Szkoda, że to nie ja spotkałam cię przed laty w Oksfordzie. - Podniosła jego rękę do ust i ucałowała jej wnętrze, nim znów zbliżyła ją do policzka. - Cóż... dzieliły nas czas, przestrzeń i ocean.

Zarzuciła mu rękę na szyję i wtuliła twarz w jego ramię.

- Ale znaleźliśmy most, prawda, mój najdroższy przyjacielu? - szepnęła. - Po tylu latach znaleźliśmy most nad oceanem.

Odsunął ją delikatnie, ujął jej twarz w dłonie i kciukami otarł łzy.

- Tak, znaleźliśmy most - odszepnął. - I dlatego nigdy, przenigdy cię nie zapomnę.

Siedzieli w milczeniu, wtuleni w siebie. Ciszę przerwał dopiero przenikliwy dzwonek telefonu. Jennifer podniosła się z westchnieniem i wyszła do gabinetu. Zza uchylonych drzwi słychać było jej głos:

- Halo? Cześć, córeczko... Nie, dobrze. A gdzie ty jesteś?... Mhm... Jest tutaj, chcesz z nim rozmawiać?... Tak, już ci go daję. - Nakryła dłonią słuchawkę i zawołała półgłosem: - Davidzie, to Sophie. Chyba coś się stało, bo jest bardzo zdenerwowana.

David wielkimi susami pobiegł do gabinetu i wziął słuchawkę od Jennifer.

- Tak, słucham cię, skarbie.

- Tatusiu, kiedy byłam z Dodie w ogródku, przyszedł faks - wyjąkała pospiesznie Sophie.

- Nie przejmuj się, kochanie, to na pewno od Archiego z firmy.

- Nie, tato. - Sophie urwała. - Słuchaj, czy... czy wylew to coś poważnego?

- Wylew? Tak. Dlaczego pytasz?

- Bo dziadek właśnie miał wylew! - Głos Sophie załamał się i przeszedł w szloch.

ROZDZIAŁ 33

David siedział samotnie na pomoście, spoglądając na zatokę i zaciskając w dłoni zmięty arkusz papieru faksowego. Wziął głęboki oddech, rozwinął kartkę i po raz trzeci zaczął odczytywać wąskie zamaszyste pismo matki.

Kochany Davidzie!

Bardzo mi trudno o tym pisać, lecz niestety, nie ma łatwego sposobu, by przekazać Ci tę nieszczęsną nowinę. Dziś przed południem twój ojciec miał wylew krwi do mózgu. Siedzę właśnie przy nim w szpitalu Raigmore'a w Inverness. Doktor przed chwilą wyszedł; określił stan ojca jako względnie stabilny. Jest strasznie blady, powtykali w niego mnóstwo rurek, lecz teraz śpi spokojnie, korzystam więc ze sposobności, by do Ciebie napisać. List będzie pewnie długi, ale uważam, że najważniejsze jest, byś dokładnie zrozumiał, jak do tego doszło.

Nikt się nie spodziewał. Ojciec naprawdę czuł się bardzo dobrze. Jednakże wczoraj późnym popołudniem odwiedził go Duncan Caple. Myślałam, że wpadł jak zwykle, by zdać ojcu sprawę z tego, co dzieje się w gorzelni, ale kiedy wyszedł, znalazłam Twego ojca w stanie najwyższego podniecenia.

Wiemy teraz, iż Duncan nie był wobec nas tak szczery, jak nam się wydawało. Ojciec streścił mi ich rozmowę, ale jego stan bardzo mnie zaniepokoił i chyba nie wszystko do mnie dotarło.

Otóż zdaje się, że firma o nazwie Kirkpatrick chce wykupić Glendurnich. Nie wiem, od jak dawna Duncan im pomagał, lecz musiało to trwać jakiś czas. W piątek rozmawiał już z robotnikami, którzy jak rozumiem, mają 31 procent udziałów w naszej gorzelni. A potem zaczął naciskać Twego ojca, żeby jak najszybciej przekazał tamtym również swój udział, bo tak będzie najlepiej dla rodziny i dla firmy.

Powiedziałam wczoraj ojcu, że powinien się jak najszybciej się z Tobą skontaktować, ale postanowił odłożyć to do rana i najpierw pojechać do Glendurnich, by usłyszeć o wszystkim nie od Duncana, lecz od samych robotników. Potem miał zamiar wysłać do Ciebie faks.

Co się tyczy dzisiejszych wypadków, mogę ci je dokładnie zrelacjonować, bo ojciec bardzo wzburzony dzwonił do mnie z biura. Wyjechał o dziewiątej (miał czytać lekcję w kościele, ale Roger Spiers go zastąpił) i udał się do destylarni, gdzie rozmawiał z twoim byłym sierżantem, Dougiem Massonem. Dougie oczywiście nie znał szczegółów planu Kirkpatricka, ale również był zdania, że musieli to knuć już od dłuższego czasu. Powiedział też, że rozmawiał z robotnikami po piątkowym zebraniu, na którym Duncan przedstawił im ofertę wykupu udziałów, i że wielu było nią uradowanych, oczekując, iż zarobią na tym trochę pieniędzy. Dougie, jak się zapewne domyślasz, jest wobec nas lojalny i nie ma zamiaru przykładać do tego ręki.

Ojciec bardzo się zmartwił (i chyba wtedy zdał sobie sprawę, że Duncan od początku go okłamywał), kiedy usłyszał, że dwoje pracowników opuściło firmę w niewyraźnych okolicznościach, jak określił to Masson. Chodzi o Margaret i Archiego McLachlana, tego młodego człowieka, którego ojciec prosił, aby był twoim łącznikiem w Glendurnich. Na koniec ojciec oznajmił, że jedzie teraz do domu i stąd do Ciebie zadzwoni. Wtedy ostatni raz z nim rozmawiałam.

Resztę wiem od sierżanta policji, który przyjechał do Inchelvie, żeby mnie o wszystkim poinformować. Jak się zdaje, Twój ojciec zatrzymał się gdzieś na Grantown Road, żeby przepuścić pasterza, który przepędzał przez jezdnię stado owiec. Zamknąwszy je za bramą, chłopiec odwrócił się, żeby podziękować kierowcy. Ponieważ samochód nie ruszył z miejsca, choć droga była już wolna, podszedł bliżej i zobaczył Twojego ojca opartego bezwładnie na kierownicy. Na szczęście chłopiec miał dość oleju w głowie i ujrawszy w samochodzie telefon komórkowy, wezwał od razu policję i pogotowie. Zdaniem sierżanta miał szczęście, że tak daleko od przekaźnika w ogóle złapał sygnał.

Kochana Jane Spiers podwiozła mnie do Inverness i na razie tu zostanę. Niestety, lekarze są dalecy od optymizmu, dlatego muszę Cię prosić, Davidzie: postaraj się wrócić jak najszybciej - nie tylko po to by jeszcze zobaczyć ojca, ale również dlatego aby położyć tamę temu, co się dzieje w Glendurnich. Modlę się, żebyś zdołał uzyskać tu dostateczne poparcie i raz na zawsze pozbył się tego łajdaka Duncana Caple'a oraz wszystkich jego popleczników.

Właśnie przeczytałam ten list od początku i uświadomiłam sobie, że mogłeś poczuć się winny temu, co się stało. Nie wolno Ci tak myśleć. Twój ojciec miał rację, dając Ci czas na dojście do siebie. Gdybyś tu był, nadal grzebałbyś się w ogrodzie nie wiedząc ani co się dzieje w firmie, ani jak wyjść z impasu. I tak by do tego doszło; planowali to od dawna. Za to teraz wiem, że czujesz się lepiej, i wiem też, że wróciwszy będziesz walczyć - przez wzgląd na ojca.

Pójdę teraz do recepcji i poproszę ich, żeby nadali ten list do Ciebie.

Całuję Cię bardzo mocno, kochanie, Ciebie i dzieci.

Mama.

David ponownie zmiął kartkę, zacisnął ją w pięści i uderzył się w czoło. On przecież czuł, co się święci - tydzień temu wysłał w tej sprawie faks do Archiego.

No tak! Archiego i Margaret już nie było, jego list wylądował więc pewnie prosto na biurku Duncana. Ten drań wiedział doskonale, że powinien się spieszyć!

- Niedobrze z nim?

Obrócił się i ujrzał Jennifer, która przyjechała z nim na Shore Street, siedzącą na skarpie obok Sophie.

- Niestety - rzekł. - Musimy wracać.

Znalazłszy się w domu, wyjął z teczki swój notes adresowy i wykręcił numer biura linii lotniczych w Glasgow. Mieli jeszcze cztery wolne miejsca w pierwszej klasie na wieczorny lot. Zarezerwował je i odwrócił się do „dziewcząt” towarzyszących mu jak dwa cienie.

- Jennifer, czy mogłabyś coś dla mnie zrobić?

- Oczywiście.

- Proszę, zawieź Sophie do siebie i dopilnuj, żeby dzieciaki się spakowały.

- Jasne. Coś jeszcze?

Zastanowił się chwilę, próbując zebrać myśli.

- Tak. Gdybyś mogła zadzwonić do mojego przyjaciela... Nazywa się Richard Eggar; dam ci jego numer. Wyjaśnij mu wszystko i poproś, żeby wieczorem odebrał od was psa i volkswagena. Aha, zadzwoń też do firmy Star Limos. Niech przyślą samochód na Barker Lane około... - Szybko dokonał w myśli niezbędnych obliczeń. - Boże, musiałby tu być już za godzinę!

- Dobrze. - Jennifer podeszła i dotknęła jego ręki. - Wszystko w porządku?

- Głupie pytanie. - Uśmiechnął się blado.

- Fakt. Przepraszam.

Wspięła się na palce, by cmoknąć go w policzek, potem wzięła Sophie pod ramię i wyszły.

David znów sięgnął po telefon. Wybrał numer Inchelvie. Słuchawka została podniesiona dopiero po szóstym sygnale i zabrzmiał w niej cichy, drżący głos:

- Halo, Inchelvie.

- Effie, to ja, David.

- Och, paniczu, słyszał pan tę straszną nowinę?
- Tak, Effie, i dlatego wraz z dziećmi wracam dzisiaj do domu.
- Dzięki Bogu! To takie straszne, paniczu. Pański biedny ojciec...!
- Żałuję, że mnie z wami nie było.
- Ale teraz już pan będzie, to najważniejsze.
- Posłuchaj, Effie, potrzebuję twojej pomocy. Mogłabyś załatwić dla mnie parę spraw?
- Ma się rozumieć! Ale chwileczkę, wezmę tylko kartkę i długopis.

Po chwili znów usłyszał jej głos:

- Proszę mówić, paniczu.
- Dobrze. Będę mówił powoli, ale gdybyś nie nadażała, powiedz, żebym przerwał. Po pierwsze, w górnej szufladzie biurka mojego ojca znajdziesz czarny zeszyt zatytułowany „Spis telefonów Glendurnich”. Są tam wszystkie domowe numery ludzi, którzy pracują w gorzelni. Zapisalaś?

- Tak.
- Znajdź w nim numery Dougiego Massona i Archiego McLachlana.
- Dougie... Masson... i Archie... McLachlan. Zapisałam.
- Świetnie. Nasz samolot ląduje w Glasgow jutro rano o siódmej dziesiątej. Najpierw zadzwoń do Massona. Powiedz mu, kiedy przyjeżdżamy. Niech wynajmie dwa samochody u Gillespiego w Grantown, na mój rachunek. Masz?

- Momencik, strasznie dużo pisania!
- David wyobraził sobie, jak Effie gorączkowo stawia na kartce okrągłutkie litery.
- Wiem, Effie, ale tylko ty to możesz zrobić.
 - Proszę na mnie polegać. O, już zapisałam.
 - Niech Dougie skontaktuje się z Archiem i umówi się z nim co do odbioru samochodów. Chcę, żeby obaj byli rano na lotnisku.

- ...Tak. Czy to już wszystko?

- Tak. Zapisałaś?

Effie bez zająknięcia powtórzyła jego dyspozycje.

- Świetnie, Effie. Jeszcze jedno: poproszę Archiego, żeby przywiózł dzieci prosto do Inchelvie. Dojadą tam około południa. Będziesz w domu?
- Oczywiście.
- Bardzo ci dziękuję, Effie. A zatem do zobaczenia jutro.
- Do jutra, paniczu.

David odłożył słuchawkę i westchnął głęboko. Potem zaczął zbierać swoje rzeczy,

rozsiane po małym domku, do którego tak się zdążył przywiązać.

Kiedy dotarł na Barker Lane, limuzyna już czekała. Z zadowoleniem spostrzegł, że znów będzie go wiozł ten sam kierowca, Dan. Nieco oszołomione dzieci biegały tam i z powrotem. Kiedy otworzył drzwi garbusa, Charlie i Benji rzucili mu się naprzeciw, hałaśliwie witani przez Dodie.

- Naprawdę musicie jechać? - Głos Benjiego był nabrzmiały żalem.

- Niestety, tak. Chodźcie, chłopcy, pomóżcie Danowi zapakować moje rzeczy.

Kiedy chłopcy zaczęli wyciągać bagaże z volkswagena, ruszył do domu. W progu spotkał się z Jennifer i Jasmine.

- Dzwoniłaś do Richarda?

- Tak - odparła Jennifer podając mu spakowany dziecięcy plecak. - Wszystko załatwione.

- Wobec tego będziemy musieli się już zbierać.

- Odwieziemy was z Benjim - powiedziała cicho Jennifer.

- Tak? Dzięki. - David zerknął na nią, schylił się, zapiął Dodie smycz i podał ją Jasmine. - Jasmine, mogłabyś się nią zaopiekować do wieczora?

- Oczywiście. - Westchnęła. - Bardzo ci współczuję z powodu ojca, Davidzie. Z całej duszy modłę się za niego. Ale smutno mi też, że już wyjeżdżacie.

David objął jej tęgie ramiona i mocno przytulił.

- Do widzenia, moja droga przyjaciółko, i dziękuję ci za wszystko, co zrobiłaś dla mnie i dla moich dzieci.

- E tam. Nic takiego nie zrobiłam.

- Owszem, więcej, niż przypuszczasz. W pewnym sensie zawdzięczam ci życie. - Odchrząknął czując, że dławi go wzruszenie. - Opiekuj się Jennifer. Wiesz, że nakryła Alexa?

- Mhm. Mówiła mi.

- Wszystko się ułoży. Jestem tego pewien.

- Skoro ty tak twierdzisz, zacynam nabierać otuchy - uśmiechnęła się.

David obrócił się do samochodu.

- Dobra, dzieci. Wsiadajcie.

Po chwili z limuzyny dobiegł głośny okrzyk - to Charlie i Benji jednocześnie odkryli telewizor i barek. David odsunął się, by najpierw wpuścić Jennifer. W tej samej chwili przed dom zajechał ciemnoniebieski mercedes. Jennifer jęknęła głośno i zatrzymała się z jedną nogą już we wnętrzu limuzyny.

Alex wysiadł z samochodu, zdjął okulary przeciwsłoneczne i wrzucił je do kieszonki

na piersi. Na jego widok Benji roześmiał się radośnie, wyskoczył z limuzyny przepychając się obok Jennifer, podbiegł do ojca i objął go w pasie.

- Cześć, tato! Nie wiedzieliśmy, że dziś przyjedziesz! Prawda, mamó?

Jennifer uśmiechnęła się blado i pokręciła głową. Alex ucałował syna w czubek głowy, po czym spojrzał na żonę.

- Dokąd jedziesz? - pytanie było skierowane bezpośrednio do niej.

- Na lotnisko. David wraca do Szkocji.

- A ty? - W głosie Alexa zabrzmiał cień niepewności.

- Chcę ich odprowadzić. - Jennifer z uśmiechem odwróciła się do Davida. - Davidzie, chyba nie miałeś przyjemności poznać mojego męża? Prawda, Alex?

David podszedł do nich i wyciągnął rękę.

- Miło mi cię poznać.

- Mnie również. - Alex ujął podaną mu dłoń, potrząsnął nią i puścił.

- Trudno wyrazić, jak przyjemnie mi się u was pracowało. To wspaniały dom, cudowna rodzina. Musisz czuć się bardzo szczęśliwym człowiekiem - rzekł z naciskiem David.

Alex uśmiechnął się z rozbawieniem i zwrócił do żony:

- Kiedy wracasz?

- Wieczorem.

- Dobrze. - Skinął głową. - A zatem do zobaczenia wieczorem.

Jennifer wsiadła do limuzyny, za nią Benji, a na końcu David, który posłał jeszcze ostatniego całusa Jasmine i zatrzasnął za sobą drzwi.

W drodze na lotnisko nie rozmawiali wiele - głównie dlatego iż Charlie i Benji uparli się oglądać telewizję, a odbiór był tak słaby, że musieli przyciskać uszy do głośnika, chcąc cokolwiek usłyszeć. Ilekroć więc ktoś próbował się odezwać, był stanowczo uciszany. Jennifer zapytała półgłosem o szczegóły wydarzeń w Szkocji. Nie chcąc narażać się chłopcom, David wręczył jej wymięty faks, żeby sama go przeczytała.

Na lotnisko przyjechali dokładnie dwie godziny przed odlotem. Dan zaparkował tuż przed wejściem, znalazł wózek bagażowy, załadował walizki, a następnie się pożegnał, wyjaśniając swym dudniącym slangiem z Bronxu, że woli nie oddalać się od samochodu, w tym miejscu bowiem nie można parkować.

Udało im się trafić na niezbyt długą kolejkę do odprawy, a następnie nadali walizki na bagaż i przeszli przez olbrzymi hol do hali odlotów. Benji i Charlie znaleźli jeszcze dość czasu, aby zrobić sobie kilka wspólnych zdjęć w automacie.

Pierwsza z Jennifer pożegnała się Sophie. Dziewczynka przyłgnęła do niej kurczowo, raz po raz dziękując za cudowną wycieczkę do Nowego Jorku. Potem Harriet ją wycalowała i podała jej odrobinę pognieciony rysunek wyciągnięty z plecaka, z prośbą, aby Jennifer przekazała go Jasmine. Charlie nieco bardziej oficjalnie uściskał jej dłoń, potrząsając nią tak, że omal nie wyrwał jej z barku. Następnie pochylił się wraz z Benjim nad świeżo zrobionymi zdjęciami i obaj zaczęli chichotać, odkrywając, że na którymś mieli wystawione języki.

- Jeszcze tylko ja - rzekł David, stając przed Jennifer.

- Tak, jeszcze ty. - Jennifer splotła ramiona i machinalnie powiodła wzrokiem po sali.

- Strasznie mi przykro, że musicie wracać w takim pośpiechu. Mam nadzieję, że twój ojciec wyzdrowieje.

David zacisnął usta i skinął głową.

- Będziesz z nami w kontakcie? - zapytała.

Spuścił wzrok.

- Nie wiem, czy powinienem. Przynajmniej na razie, dopóki między tobą i Alexem się nie ułoży. Może w przyszłym roku przyjechalibyście do nas z Benjim...? - Zawahał się, widząc błagalny wyraz jej oczu.

- Tylko jeden telefon - szepnęła - żebym wiedziała, że dojechaliście szczęśliwie. To przecież nie grzech, prawda?

- Oczywiście że nie - rzekł z powagą.

Jennifer odetchnęła głęboko i potrząsnęła głową.

- Czuję się zupełnie ogłupiała. W ciągu minionej doby całe moje życie wywróciło się do góry nogami. - Łzy napłynęły jej do oczu. Podeszła i objęła go, chowając twarz na jego ramieniu. - Davidzie, nie mogę się pogodzić z tym, że już nigdy cię nie zobaczę - szepnęła. - Trudno mi uwierzyć, że nie będzie cię już w moim ogrodzie, w moim życiu...

- Chciałabyś, żebym tkwił na trawniku jak gipsowy krasnal?

Zaśmiała się, lecz poczuł, że jej łzy moczą mu koszulę.

- Superkrasnal! - wykrztusiła łamiącym się głosem. - Och, Davidzie, nie wiem, jak sobie bez ciebie poradzimy!

- Poradzicie sobie. - Ucałował ją w oba policzki. - Na pewno sobie poradzicie. Odsunął się od niej i zwrócił do dzieci:

- Pora ruszać.

Benji dopiero teraz w pełni pojął, że muszą się rozstać. Podbiegł do Davida i objął go bez słowa. David podniósł ku sobie jego twarz i rzekł dobitnie:

- Posłuchaj, Benji: za dziesięć lat chcę cię widzieć w roli lidera najślawniejszej kapeli

rockowej na świecie albo też na głównym korcie Wimbledonu. Inaczej uznam, że moje cenne wskazówki poszły na marne. Rozumiemy się?

Benji skinął głową.

- Mądry chłopiec. Kto wie, może w przyszłym roku znów spędzimy razem wakacje?

Benji natychmiast ożywił się i mrugnął porozumiewawczo do Charliego. David klepnął go w plecy, kierując do matki.

- Opiekuj się mamą i pilnuj, żeby za ciężko nie pracowała! - zaśmiał się. Mrugnął do Jennifer, ujął Harriet za rączkę i wraz z dziećmi przeszedł przez automatyczne drzwi. Nim zamknęły się za nimi, obejrzał się jeszcze na dwoje ludzi, dzięki którym wrócił do życia.

ROZDZIAŁ 34

- Pada - rzekł markotnie Charlie przyciskając nos do szyby. Samolot zszedł poniżej pułapu chmur, podchodząc do lądowania w Glasgow.

David przerwał pisanie i też zerknął w okno.

- W Inchelvie może być ładna pogoda. Patrz, tam na północy niebo się przejaśnia.

- W Leesport nigdy nie padało.

David uśmiechnął się i zmierzwił mu włosy. Zamknął notes, uderzył weń dłonią jakby na znak, że skończył. Tak w istocie było. Zajęło mu to cały lot, ale teraz każdy fragment układanki leżał na swoim miejscu. Wszystkie pozornie niezwiązane ze sobą wydarzenia tworzyły spójny ciąg, począwszy od chwili, gdy Duncan zaproponował mu wyjazd do Stanów, aż do dzisiejszego dnia.

Nie miał już wątpliwości, że było to przemyślane i z góry zaplanowane działanie. Przeciwnik wykorzystał to, że ojciec jest już stary, a on sam nie był w stanie opanować sytuacji. Może istotnie sami wystawili się na cios przez zbytnią łatwowierność lub niedostateczną operatywność, ale sposób, w jaki postąpili Duncan i John Davenport, był po prostu haniebny. Widać tak właśnie prowadziło się wielkie interesy - na samej granicy prawa, po trupach ludzi i firm. Przekonał się o tym aż nazbyt dotkliwie; to jego ojciec leżał teraz w krytycznym stanie w szpitalu.

Koła samolotu uderzyły o beton, silniki zawyły na wstecznym ciągu. Siedząca obok Harriet odruchowo złapała go za rękę. Ścisnął jej rączkę i uśmiechnął się na wspomnienie lotu w tamtą stronę w towarzystwie rodziny z Glasgow. Jakże to było dawno... Teraz wraca. Zacisnął zęby na myśl o czekającej go rozprawie z Duncanem. Był do niej przygotowany. Wrócił, w pełnym tego słowa znaczeniu.

Dougie i Archie stali za barierką w hali przylotów. Dougie, wyjątkowo w ciemnym garniturze zdającym się jeszcze bardziej podkreślać jego muskulaturę, z poważnym i skupionym wyrazem twarzy wyglądał jak przebrany agent Specnazu. David uśmiechnął się pod nosem zdając sobie sprawę, że przypuszczalnie tego właśnie rodzaju wsparcie będzie mu dziś potrzebne.

- Cześć, Dougie - rzekł wyciągając rękę.

- Witam, szefie - Dougie mocno uściśnął mu dłoń. - Mieliście dobrą podróż?

- Tak, bez problemów. - Odwrócił się do McLachlana. - Dzień dobry, Archie.

Młody człowiek uśmiechnął się niepewnie i skłonił głowę.

- Proszę przyjąć wyrazy współczucia z powodu choroby pańskiego ojca.

- Dziękuję, Archie. To bardzo przykra sprawa.

- Więcej niż przykra - wtrącił Masson, kręcąc z oburzeniem głową. - Już ja wiem, jak do tego doszło. To jeden wielki pieprzony kryminal! - Speszony zakrył dłonią usta, uświadamiając sobie, że klnie przy dzieciach. - Au! Przepraszam, szefie.

David uśmiechnął się i potrząsnął głową, odbierając Charliemu wózek bagażowy.

- Kiedy to święte słowa, Dougie. No cóż, chodźmy i załatwmy to jak należy.

Wyszli z budynku na zalany deszczem parking. Kiedy zbliżyli się do samochodów, David rzekł do młodszego z mężczyzn:

- Słuchaj, Archie: chciałbym, żebyś zawiózł dzieci prosto do Inchelvie. Zanim stamtąd odjedziesz, upewnij się, że Effie, gosposia, jest już na miejscu, dobrze?

- Dobrze, proszę pana.

- Potem jedź prosto do zakładu. Chcę, żebyście byli przy mojej rozmowie z panem Caple'em. Tylko nie parkuj pod biurowcem, proszę. Jeśli ktoś cię zobaczy, stracimy element zaskoczenia. Jedź na rampę załadunkową i zostaw wóz gdzieś w kącie, na przykład za magazynem pustych beczek.

Archie skinął głową.

- Pojedziemy razem aż do Aviemore - ciągnął David. Tam się rozdzielimy; Dougie i ja ruszymy prosto do Inverness, do szpitala. - Spojrzał na zegarek. - Jest za kwadrans ósma. Powinniśmy być w Inverness około wpół do dwunastej, jeżeli na drodze nie będzie policyjnych patroli. Do Glendurnich dotrzemy mniej więcej wpół do drugiej. Bądź tam nieco wcześniej i wypatruj nas na drodze. Wszystko jasne?

- Tak jest - odparł Archie.

- A zatem w drogę. - Obrócił się do dzieci, które stały cichutko obok; nachylił się i każdemu dal buziaka. - Jedźcie z Archiem. Zobaczymy się wieczorem w Inchelvie.

- Powiedz dziadkowi, żeby zdrowiał - rzekł poważnie Charlie. - Przypomnij mu, że obiecał nauczyć mnie łowić łososie.

- Powiem mu - odparł David siląc się na lekki ton.

Archie otworzył tylne drzwi samochodu i młodsze dzieci wgramoliły się do środka. Sophie odczekała chwilę, ujęła ojca pod ramię i odciągnęła go na bok.

- Jak myślisz, będziemy mogli jutro wrócić Pod Buki? - spytała. - Chyba powinniśmy trochę pomieszkać w domu.

David uśmiechnął się, objął jej ramiona i uściśnął.

- Masz absolutną rację, kochanie. Wszyscy chcemy już wrócić do domu, do mamy.

Pocałował ją w czoło, po czym otworzył przed nią przednie drzwi pasażera.

- Jedź ostrożnie, Archie - rzekł. - Masz na pokładzie wyjątkowo cenny ładunek.

Droga do Inverness trwała nieco dłużej, niż się spodziewali, chociaż w miarę posuwania się na północ pogoda była coraz lepsza, jak przewidywał. Jednopasmowe odcinki trasy zapchane były ciężarówkami, za którymi wlokły się sznury samochodów osobowych, stłoczonych tak, że wyprzedzanie stanowiło nie lada sztukę. Co prawda Dougie umiał zręcznie omijać zatory, nieraz i pół mili jadąc przeciwnym pasem, Archie jednak wziął sobie chyba do serca ostatnią uwagę Davida. Jechał tak ostrożnie, że Dougie dwukrotnie zjeżdżał na pobocze, żeby go nie zgubić, patrząc z rozpaczą, jak mija ich dopiero co wyprzedzona ciężarówka z ogonem ciągnących za nią samochodów.

Za Aviemore ruch się przerzedził. Pożegnawszy Archiego, który skręcił z dziećmi do Inchelvie, Dougie dodał gazu i zatrzymał się dopiero z piskiem opon przed wejściem do szpitala parę minut przed dwunastą.

David poprosił go, by zaczekał na parkingu, i wszedł do recepcji. Powitała go starsza pani, której łagodny uśmiech stwarzał wrażenie, iż urodziła się specjalnie po to, by pomagać innym.

- Dzień dobry, czym mogę panu służyć? - zagadnęła go, podnosząc głowę nad wypełnionego notatkami bloczka.

- Chciałbym prosić, żeby wskazała mi pani drogę do pokoju, w którym leży lord Inchelvie.

Recepcjonistka zapisała nazwisko jego ojca na bloczku.

- A czy wolno mi spytać, jak się pan nazywa?

- David Corstorphine. Jestem jego synem.

- Rozumiem. - Zerwała się. - Proszę chwilę poczekać, znajdę kogoś, kto mnie tu zastąpi, i sama pana zaprowadzę.

Weszła przez znajdujące się za ladą drzwi do biura i powiedziała kilka słów do koleżanki, która piła właśnie herbatę. Kobieta przez szybę rzuciła okiem na Davida, wstała i obie wyszły do recepcji.

- Proszę za mną - recepcjonistka poprowadziła go do windy.

Wjechali na szóste piętro i ruszyli długim nieskazitelnie czystym korytarzem. Wszedłszy na oddział intensywnej opieki, kobieta zatrzymała się przed drzwiami pokoju przyległego do dyżurki pielęgniarskiej.

- Znajdzie pan ojca w tej sali. Jak sądzę, jest przy nim lady Inchelvie.

David podziękował i sięgnął do klamki. W tej samej chwili drzwi się otworzyły i stanął w nich Roger Spiers. Na widok Davida przyłożył palec do ust i wyszedł na korytarz, bezgłośnie zamykając za sobą drzwi.

- David! - powitał go, wyciągając rękę. - Jakże miło cię znów widzieć! Dobrze, że przyjechałeś tak szybko.

- Jak z nim, doktorze? - David uściśnął mu dłoń.

Spiers pokręcił głową.

- Nie najlepiej. Ma tu świetną opiekę i z pewnością nie cierpi, ale... - Uśmiechnął się ze smutkiem. - Jak u wszystkich z naszego pokolenia, mój chłopcze, stary silnik stopniowo się zużywa i coraz trudniej uchronić go przed zatarciem. - Obejrzał się na drzwi. - Jest przy nim twoja matka. To wspaniała kobieta, nie opuszcza go nawet na krok. Na pewno bardzo ją ucieszy twój widok. - Pocieszająco ścisnął ramię Davida i podreptał do wyjścia.

Mały pokój usiany był smużkami światła wpadającymi przez niedomknięte żaluzje. Cienki promyk przecinał policzek nieruchomej postaci na łóżku, podkreślając bladeść ogorzałej niegdyś twarzy. Z kilku kroplówek rurkami sączył się do ciała płyn. Oczy chorego były zamknięte, usta zaś otwarte, lecz oddech nikał zagłuszony przez popiskiwanie elektrokardiografu, którego ekran jarzył się w półmroku.

Alicja Inchelvie wstała właśnie z krzesła, odkładając robótkę, i delikatnie uniosła podbródek męża, żeby zamknąć mu usta. Następnie przesunęła mu dłoń po czole, odgarnęła kosmyk włosów, który nie wiedzieć jak opadł na twarz, i obdarzyła męża uśmiechem, którego nie mógł zobaczyć. Obróciła się, żeby usiąść, i zerwała się natychmiast widząc w drzwiach Davida.

- O, jak to dobrze, że jesteś! - szepnęła, upuszczając robótkę na krzesło i spiesząc mu naprzeciw.

Dostrzegł w oczach matki zmęczenie i smutek. Objął ją i mocno przytulił.

- Czekaj, niech cię obejrzę! - szeptała gorączkowo, wyzwalając się z jego objęć. - Świetnie wyglądasz! Taki opalony!

David uśmiechnął się i spojrzał na ojca.

- Tak mi przykro, że mnie tu nie było, mamó. Nie mogę sobie tego darować.

- Mój drogi, nie ty jesteś winny temu, co się stało - powiedziała cicho, spoglądając w

śląd za jego wzrokiem. - Nawet nie próbuj obciążać się odpowiedzialnością. Właśnie to usiłowałam ci wytłumaczyć w liście. Doktor stwierdził, że to mogło się zdarzyć w każdej chwili.

David pozostawił jej słowa bez komentarza, uznawszy, że nie czas ani miejsce na opowieść, że dociekł sedna intrygi w Glendurnich. Zamiast tego podszedł do ojca i delikatnie ujął go za rękę, uważając, by nie potrącić igieł tkwiących mu w nadgarstku.

- Rozmawiałem z Rogerem Spiersem na korytarzu - rzekł. - Mówi, że nie wygląda to za dobrze.

Alicja stanęła z drugiej strony łóżka.

- Niestety, nie. W nocy jego stan znacznie się pogorszył. Lekarz był tak miły, że pozwolił mi się zdrzemnąć w sąsiednim pokoju, ale około drugiej nad ranem wezwali mnie, bo tak się o niego bali. Chwała Bogu przeżył. - Westchnęła, spoglądając na męża z miłością. - On nigdy się nie poddawał, Davidzie. Jest bardzo słaby, ale mam przecucie, że trzymał się, dopóki... póki nie wrócisz do domu.

David pochylił się i pogłaskał ojca po twarzy. Czuł, jak wzruszenie ścisną go w gardle, a do oczu napływają łzy.

- Wróciłem. Mam nadzieję, że mnie słyszysz, tato. Wróciłem i przysięgam ci, że wszystko będzie dobrze.

Ucałował chłodne pomarszczone czoło. Potem wyprostował się i spojrzał na matkę.

- Muszę teraz jechać do fabryki. Chcę jeszcze dziś zakończyć tę sprawę. Później wpadnę tylko do Inchelvie zobaczyć się z dziećmi i wrócę tutaj. Przywieźć ci coś z domu?

- Nie - uśmiechnęła się. - Mam tu wszystko, czego mi trzeba.

Stanęli oboje u stóp łóżka. David uścisnął matkę i ruszył do drzwi. Po namyśle jednak zawrócił. Jeszcze raz ucałował starego dzielnego żołnierza.

- Nie martw się. Poradzę sobie z nimi - rzekł nie zwracając się wprost do żadnego z rodziców, mając jednak nadzieję, że słyszą go oboje i oboje mogą czerpać z jego słów otuchę. Otworzył drzwi i wyszedł, zamykając je cicho za sobą.

W milczeniu wracali trasą A9. Dougie skupiony prowadził samochód, chcąc jak najszybciej dotrzeć do fabryki. David przeglądał notatki i jeszcze raz porządkował w myślach wszystkie fakty. Kiedy minęli most na rzece Spey i odbili w lewo na Glendurnich, spojrzał na zegarek. Było wpół do drugiej. Odetchnął głęboko. Czas na show.

Skrećili w stronę magazynów. Samochód Archiego stał schowany między dwoma rzędami beczek w północnym kącie wybetonowanego placu. Dougie mrugnął światłami; Archie odpowiedział, drugi wóz wystrzelił pomiędzy beczek i dogonił ich u stóp wzgórza,

nim jeszcze zajechali na parking przed biurowcem.

David wyskoczył z samochodu i rozejrzał się, czy bmw Duncana stoi na swoim miejscu. Stało. Odwrócił się do obu mężczyzn, którzy wysiedli za nim.

- Archie, czy Dougie wytłumaczył ci, co tu zaszło?

- Tak, proszę pana - odparł poważnie Archie.

- Dobrze. Chcę, abyś wiedział, że gdy tylko przywrócimy tu normalny porządek, możesz znowu podjąć pracę w biurze. Jak rozumiem, nie znalazłeś jeszcze innej posady?

- Nie - potwierdził Archie z radosnym błyskiem w oku.

- To już nie szukaj. A teraz wróćmy do chwili obecnej: chcę, żebyście byli obecni przy tej rozmowie na wypadek, gdyby sprawy nieco wymknęły mi się z rąk.

Obaj krótko skinęli głowami, a David nagle uświadomił sobie, że prezentują się o wiele lepiej niż on sam. Wciąż był w tym samym ubraniu, w którym wyjechał z Leesport. Uśmiechnął się sarkastycznie. Do uprzątanania gnoju lepsze są stare dzinsy. Krew też łatwiej się z nich spiera.

- Chodźmy - rzekł.

Ruszył przez parking, o pół kroku za nim na obu flankach Dougie i Archie. David uśmiechnął się do siebie. Pięknie. Jak w westernie. Kabury rozchylone, zaraz zaczną się strzelanina.

Wtargnęli do recepcji jednocześnie, każdy innymi drzwiami. Kobieta za ladą wzdrygnęła się przestraszona. David poszedł do niej, oparł obie dłonie na blacie. Skrzywiła się z niesmakiem na tak obcesowe maniery i na wszelki wypadek odsunęła wraz z krzesłem nieco dalej, poza zasięg rąk tego groźnego przybysza, który nachylał się nad nią jak kat.

- Przepraszam pana, ale jak można...! - zaczęła z oburzeniem.

- Milcz i słuchaj - przerwał jej David. - Dzwon do Duncana Caple'a oraz szefa marketingu i głównego księgowego. Powiedz im, że czekam na nich w sali konferencyjnej. I lepiej niech się pospieszą.

- Ależ to jakaś bzdura! - W prawym oku kobiety pojawił się nerwowy tik.

- Zadzwoń też do Margaret i powiesz jej, żeby natychmiast stawiała się do pracy. A kiedy to już zrobisz, spakujesz się grzecznie i opuścisz to miejsce. Rozumiemy się? - David wygiął wargi w parodii uśmiechu i ruszył do sali narad, a za nim Dougie i Archie.

- Ależ... Chwileczkę! - zawołała za nim recepcjonistka głosem trzęsącym się z gniewu.

- Kim pan właściwie jest?

David mrugnął do Archiego, który wyłamał się z szyku i zawrócił do recepcji. Nachylił się nad biurkiem Doreen, wiernie powtarzając ruchy swego szefa i rozkoszując się

słodką chwilą zemsty.

- Właśnie rozmawiałaś z panem Davidem Corstorphine'em, synem lorda Inchelvie i głównym udziałowcem Glendumich Distilleries Limited - wycedził. - A teraz na twoim miejscu, s k a r b i e , zadzwoniłbym w te pędy do panów Caple'a, Barkera i Archibalda i kazałbym im zasuwąć do sali konferencyjnej. Potem wezwij Margaret. Znajdziesz jej numer w spisie telefonów Glendurnich, przypuszczalnie na samym początku listy.

Doreen odprowadziła go przerażonym wzrokiem. Z wyniosłej, pewnej pozy nie został nawet ślad.

- I co ja jej powiem? - jęknęła.

- Powiedz jej, że panicz David wrócił - rzucił Archie przez ramię. - I to na dobre!

Bez pośpiechu skierował się do sali konferencyjnej, czekając, aż recepcjonistka połączy się z Caple'em. Łamiącym się głosem powtórzyła to, co kazano jej powiedzieć, i niemal natychmiast musiała to powtórzyć jeszcze raz. Archie z niemal sadystycznym uśmiechem wyobraził sobie zgrozę malującą się na obliczu Caple'a, gdy usłyszał, że David jest w budynku. Dźgnął powietrze zaciśniętą pięścią i wszedł do sali narad.

Dwie minuty później pojawił się Duncan Caple w asyście Gilesa Barkera i Keitha Archibalda. David z rękoma splecionymi za sobą patrzył w okno.

- David! - wykrzyknął jowialnie Duncan zmierzając w jego stronę. - Jakże się cieszę, że cię widzę. Serdecznie ci współczuję z powodu...

David odwrócił się i wskazał miejsca za stołem.

- Siadajcie wszyscy.

- Ach, tak. - Duncan zatrzymał się z ironicznym uśmieszkiem. - Mów, co słyhać w Ameryce?

- S i a d a j , Duncan! - syknął David i spojrzał z powrotem w okno.

Dyrektor wzruszył ramionami i wysunął sobie krzesło - pozostali dwaj usłuchali już za pierwszym razem. Nonszalancko skrzyżował ręce na piersi i nagle zauważył Dougiego i Archiego opartych o ścianę z tyłu sali.

- Co my tu mamy? - rzekł szyderczo, oglądając się przez ramię. - Oddział specjalny? Kazesz im mnie pobić? Skopać?

David odwrócił się.

- Nie, Duncanie, przeciwnie. Są tu po to, żeby mnie powstrzymać w razie, gdybym to ja chciał cię pobić.

Duncan zachnął się i uderzył dłońmi o blat.

- Dajże spokój. Jesteśmy obaj dorośli, czyż nie? Zaraz ci wyjaśnię...

- Nie - przerwał mu David. - To ja ci opowiem, co się tu dzieje. Ty będziesz siedział i słuchał. Jeśli się pomylę, w t e d y możesz mnie poprawić.

Powoli obszedł stół dokoła mierząc ich twardym wzrokiem. Barker i Archibald wyraźnie przybledli, w milczeniu czekając, co powie. David odetchnął głęboko. Starał się zapanować nad emocjami. Spojrzał na cienki orli nos Duncana i nie mógł się opędzić od myśli, jak by ten nos wyglądał wgnieciony w głąb czaszki. Oparł się o stół i spojrzał mu w oczy.

- Powiedz, ile miałeś za to dostać?

Dopiero teraz uśmiech spłynął z twarzy Caple'a. Obruszył się:

- Chyba nie...

- Myślę, że sporo - ciągnął David, nie dając mu dokończyć - skoro opłacało ci się zrobić to, co zrobiłeś.

Duncan spuścił oczy pod jego nienawistnym spojrzeniem, zgarbił się i nerwowo zatarł rękę. David wyprostował się i podszedł do okna.

- Nie wiem, jak długo to trwało, ale to akurat niewiele mnie obchodzi - podjął. - Wiem za to, że posłużyliście się moim ojcem i mną dla własnej korzyści. W efekcie mój ojciec leży teraz w szpitalu bliski śmierci. - Obrócił się i znów spojrzał na Duncana; potem powiódł wzrokiem po pozostałych. - Chcę wam uświadomić jedno: cokolwiek się stanie, do końca życia będziecie go mieli na sumieniu. Może teraz was to nie obchodzi, nie dociera do waszych ciasnych mózdków. Ale, na Boga, w końcu to do nich dotrze!

Siedzieli w milczeniu. Keith Archibald nerwowo ogryzał paznokcie. David kątem oka pochwycił spojrzenie Dougiego. Były sierżant przymrużył oko i zachęcił go ruchem głowy.

- Kontynuujmy - podjął David, zwracając w stronę okna. - Sam jestem ciekaw, w jakim stopniu udało mi się przejrzeć wasz plan. W maju wbrew mojej woli i woli mojego ojca ściągnęliście mnie do firmy pod fałszywym pretekstem, że sprzedaż naszych wyrobów w Stanach drastycznie spadła. Tak nie było, ale Robert McLeod, jedyny, który mógł to stwierdzić, został już podstępnie usunięty z firmy i zastąpiony przez... - Spojrzał pytająco na obu urzędników. Keith Archibald z ociąganiem uniósł rękę. - Aha. Przez ciebie. Następnie Duncan postanawia mianować nowego przedstawiciela w Ameryce. Ma nim być Deakin Distribution, firma należąca do niejakiego Charlesa Deakina, który dziwnym zrządzeniem losu sprzedał ją niedawno holdingowi o znanej nam skądinąd nazwie Kirkpatrick. Lecę więc za ocean, a ponieważ przezornie uprzedziłeś Deakina o mojej tragedii i związanym z nią stanie ducha, człowiek ów w najlepsze pogrywa na tej strunie, posuwając się nawet do tego, by podkreślić, jak ważne jest, abym miał żonę!

Potrząsnął głową, jakby dopiero teraz dotarła do niego w pełni perfidia Duncana.

- I co? - podjął. - Pif-paf! Działa! Wybiegam ze spotkania zupełnie załamany nerwowo. Kolejny pionek został usunięty z gry. Deakin dzwoni do ciebie informując, że wszystko poszło zgodnie z planem. Ty dzwonisz do ojca i domagasz się mianowania nowego dyrektora handlowego, argumentując, że nie jestem w stanie wykonywać tej pracy. - Wycelował palec w Gilesa Barkera. - Sprowadził cię od Kirkpatricka, dobrze myślę?

Barker spłoszony uciekł wzrokiem w bok.

- Ponieważ nie słyszę zaprzeczeń, wnoszę, że jak dotąd nieźle sobie radzę. - David sapnął gniewnie i splótł dłonie na karku. - Pozostał wam już tylko stary Inchelvie. Nic łatwiejszego! Po co ma się męczyć? Niech siedzi w domu, dobry Duncan będzie go o wszystkim informował. Cóż za wzruszająca troska, przyjacielu!

Zawrócił i znów podjął marsz po pokoju.

- W ten sposób więc macie firmę dla siebie. A, nie, jest jeszcze Margaret przy centralce. Jak mógłbyś co chwila dzwonić do Davenporta, nie wzbudzając jej podejrzeń? A zatem trzeba się pozbyć Margaret. I Margaret odchodzi.

Przerwał na chwilę, przywołując w pamięci następny punkt.

- Co natchnęło was myślą, że można wykupić Glendurnich? Ach, prawda, udziały pracownicze! Trzydzieści jeden procent, trochę za mało na pakiet kontrolny, ale dość, by w odpowiedniej porze p r z y d u s i ć mego ojca! - David wyrznął pięścią w stół. - Co zamierzałeś mu powiedzieć? Słuchaj, dziadku, starzejesz się, a twój syn ma w nosie firmę, zresztą i tak zbzikował i ukrywa się gdzieś w Stanach. Sprzedaj firmę, może zdążysz jeszcze wydać część tej forsy. Trzydzieści jeden procent i tak należy do załogi, niech ludziska też trochę sobie zarobią. Przecież to się im należy po tylu latach wiernej służby, chyba przyznasz mi rację, d z i a d k u !

David wypluł z wściekłością ostatnie słowo. Odwrócił się od siedzących przed nim trzech mężczyzn, zamknął oczy i potarł palcami czoło.

- Niestety dowiedziałem się o Kirkpatricku i zacząłem dodawać dwa do dwóch. Nie miałem jednak pewności, wysłałem więc faks do Archiego, w ten sposób kończąc jego karierę w firmie, bo Margaret już nie było, a ta twoja... totumfacka w te pędy przyniosła faks do ciebie. Wiedziałeś już, że was przejrzałem. Dziwi mnie tylko, że nie dałeś za wygraną. Choć może nie powinienem się dziwić. John Davenport musiał cię naciskać jak diabli.

Duncan milczał. David pokiwał głową.

- Tak było, co? W piątek więc zacząłeś agitować załogę, a we wtorek złożyłeś wizytę mojemu ojcu. Konsekwencje tej wizyty znamy.

Giles Barker zakaszłał nerwowo.

- I co teraz? - spytał David. - Może ty mi to powiesz, Duncanie?

Caple podniósł się z krzesła, splatając dłonie.

- Nadal możemy sfinalizować tę transakcję - zaczął. - Twoja rodzina odniosłaby znaczny zysk. Rozważ tylko...

Na twarzy Davida odmalowała się zgroza.

- Nie wierzę własnym uszom! Człowieku, ty chyba masz skórę pieprzonego nosorożca! O nie, dosyć tej zabawy. Pozwól, że ci przypomnę, iż trzydzieści cztery i pół procent udziału w Glendurnich należy do mnie. W zaistniałej sytuacji jako pełnomocnik zarządzam też udziałami mojego ojca w tej samej wysokości. To daje razem sześćdziesiąt dziewięć procent, Duncanie; mówię to na wypadek, gdyby twoje zdolności matematyczne nie dorównywały twemu intryganctwu. Choćbyś wylazł ze skóry, nie uda ci się przeprowadzić tej transakcji. Zresztą widzę, że nie zrozumiałeś pytania. Brzmiało ono w istocie: co wy macie teraz zamiar zrobić?

Duncan milczał. Potarł podbródek i wymienił spojrzenia z Barkerem i Archibaldem.

- Nie wiem - rzekł w końcu. - Co proponujesz?

- Jeżeli o mnie chodzi, macie tylko jedną opcję: wyjdziecie stąd natychmiast i nigdy więcej nie zapuście się w pobliże Glendurnich. Ale jeśli ta opcja wam nie odpowiada, zdradzę wam, co zrobić: jutro zaraz z samego rana zadzwonię do szkockiego korespondenta „Financial Times”, a także do redaktorów działów gospodarczych w „The Scotsman” i „The Herald”. Zapewnię im temat na pierwszą stronę, opowiadając, co zaszło w Glendurnich. A chyba przyznacie, że znam tę historię dość dokładnie? Kiedy ukaże się drukiem, żaden z was nie dostanie już pracy w tym kraju. - Oparł się w krzesło. - I nie liczcie na to, że John Davenport zechce się do was przyznać. Spisze was na straty razem z tym projektem i czym prędzej kategorię się od was odetnie. Niestety, panowie: to wy poniesiecie wszystkie koszty.

Spojrzał na Dougiego, który kiwał głową, wpatrując się w dywan. Rozległ się szmer odsuwanych krzesel: Giles Barker i Keith Archibald wstali i skierowali się do wyjścia. David odprowadził ich wzrokiem. Duncan Caple wciąż patrzył na niego z pogardą, jak gdyby gotów był podjąć próbę sił. W tejże chwili ktoś zapukał do drzwi.

- Proszę! - zawołał David.

W drzwiach stanęła Margaret. Zauważył, że ma łzy w oczach.

- Słucham cię, Margaret - rzekł z niepokojem.

- Paniczu, tak mi przykro... Przed chwilą dzwoniła lady Inchelvie. - Głos jej się

załamał. - Piętnaście minut temu pański ojciec rozstał się z życiem.

David spojrział na nią, potem na Duncana.

- Ty sukinsynu!

Jakby nagle przepalił mu się w mózgu bezpiecznik - nagromadzony gniew i nienawiść eksplodowały. Rzucił się na Duncana tak szybko, że ten nie zdążył nawet zerwać się z krzesła, osłonił tylko głowę przed ciosem. David zamachnął się z całej siły, lecz nim posłyszał kojący chrzęst pięści o kość policzkową, jego ramię zatrzymało się o parę cali za wczesnie, uwięzione jak w imadle w sękatej dłoni Massona.

- Nie, Davie!

Obrócił się, usiłując skupić na nim wzrok.

- To nic nie da, chłopcze - rzekł Dowie. - To już teraz nic nie da.

David jęknął głucho, przeciągle. Podniósł wzrok na portret ojca wiszący nad kominkiem. Ogarnęło go życzliwe, uśmiechnięte spojrzenie starego człowieka i nagle zaświtało mu, że matka miała rację. Ojciec sam wybrał porę. Zrobił, co mógł, trzymał się na tyle długo, by się upewnić, że syn godnie go zastąpi.

Odwrócił się. Sala była pusta, pozostały tylko odsunięte do stołu krzesła. Batalia o Glendurnich dobiegła końca.

ROZDZIAŁ 35

Kiedy tęskne tony *The Dark Island* grane przez dudziarza Pierwszego Szkockiego Batalionu poniosły się echem wśród wzgórz nad Dalnachoil, George, czwarty lord Inchelvie, został złożony do grobu nieopodal swej synowej. W osadzie było cicho jak makiem siał, nie poruszał się żaden pojazd, wszyscy bowiem mieszkańcy oraz wszyscy pracownicy Glendurnich Distilleries Ltd. brali udział w pogrzebie, szczerze wypełniając maleńki cmentarz.

Pastor odczytał ostatni werset. David upuścił linę do wykopu i dał znak tym, którzy wraz z nim niesli trumnę, że mogą się już cofnąć. Stojąc u stóp otwartego grobu, skłonił głowę, potem podszedł do matki, ujął jej obleczoną w rękawiczkę dłoń i ścisnął ją krzepiąco. Stojąca za nią Sophie wysunęła się do przodu, trzymając za ręce Charliego i Harriet. Rodzina Inchelvie stała teraz w szeregu przed grobem George'a. Każde skłoniło głowę, potem kolejno odwracali się i omijając inne nagrobki szli w stronę dróżki prowadzącej do bramy.

Gdy stanęli na ścieżce, David zatrzymał się i spojrzał na matkę.

- Lepiej zrobić to teraz - rzekł cicho. - O wiele lepiej tu niż w Inchelvie.

Alicja rozejrzała się po zebranych i skinęła głową.

- Chyba masz rację. A co z miejscowymi? Nie przeszkadza ci, że będą słuchać?

- Mają takie samo prawo usłyszeć, co mam do powiedzenia - Uśmiechnął się. -

Przynajmniej dam im wreszcie jakiś powód do plotek.

Zawrócił w stronę grobu, odchrząknął i głośno zawołał:

- Nie rozchodźcie się jeszcze!

Wszystkie spojrzenia skierowały się na niego. Grabarze, gotowi podjąć pracę, wbili łopaty w ziemię i wycofali się pod mur cmentarny.

David odczekał, aż ucichną zaciekawione szepty.

- Planowałem powiedzieć to wam w Inchelvie po pogrzebie i mam nadzieję, że nie weźmiecie mi za złe, iż przemawiam do was w tym miejscu, w takiej chwili. Jednakże zarówno moja matka, jak i ja uważamy za stosowne, by zostało to powiedziane, nim na żywot mojego ojca raz na zawsze zapadnie kurtyna. Oboje też jesteśmy przekonani, że chciałby

usłyszeć to, co mam wam do oznajmienia. - Odchrząknął. - Wiem, że wielu z was pracuje w Glendurnich, i choć zwracam się w pierwszym rzędzie do nich, uważam za słusne, abyście wszyscy usłyszeli i zrozumieli kilka faktów, niezmiernie istotnych dla przyszłych losów naszej społeczności.

Nad cmentarzem przeleciał podmuch wiatru, szarpiąc liście na drzewach.

- Wiecie - podjął David - jestem bardzo szczęśliwy, że mieszkam właśnie tu, w Szkocji. Wypracowaliśmy tu coś, co nazywa się teraz „jakością życia” i czego zazdroszczą nam mieszkańcy innych części kraju. Ale jak dobrze wiemy, nie wszystko jest zawsze takie, jakie się wydaje. Żyjemy tu w odosobnieniu, co skądinąd pomaga nam zacieśniać wzajemne więzi. Szanujemy się nawzajem i sobie pomagamy. Trudno o lepszy przykład niż dzień dzisiejszy, gdy wszyscy zebraliście się tutaj. Dziękuję wam ze szczerego serca nie tylko za współczucie, jakie okazaliście mojej rodzinie, lecz także za troskę i zrozumienie, z jakim ja sam spotkałem się tylokrotnie w ciągu minionych miesięcy. - Zrobił pauzę. - Jednakże nasze odosobnienie prócz zalet ma i wady. Łącząc nas, równie dobrze może nas podzielić. Bardzo często zależy to od liczby miejsc pracy. Robimy tu, co możemy, jest ich tyle a tyle, a jeśli pracy brak, nie ma innego wyjścia jak przeprowadzka do miasta, gdzie łatwiej ją znaleźć. I to właśnie powoduje rozpad naszych społeczności. Dlatego sprawą najwyższej wagi jest, byśmy chronili każde dostępne i trwałe miejsce pracy. Glendurnich nie stanowi tu wyjątku.

David urwał na chwilę i ciałniej otulił się marynarką.

- W zeszły piątek pracownikom Glendurnich przedstawiono projekt wykupu firmy przez londyńskiego molocha o nazwie Kirkpatrick Holdings Public Limited Company. Uczyniono tak dlatego, że załoga Glendurnich posiada łącznie trzydzieści jeden procent udziału w firmie. Udziały te zostały zakupione przez pracowników dzięki zmianom w statucie spółki, wprowadzonym już ćwierć wieku temu przez mojego ojca. Wiem, że wielu z was pomysł zamiany udziałów na brzęczącą monetę musiał wydać się bardzo atrakcyjny, lecz zapewniam was, iż byłaby to korzyść krótkotrwała. Musicie zrozumieć, że Glendurnich jest swego rodzaju unikatem. Jako zupełnie niezależna firma utrzymuje wysokie miejsce wśród eksporterów whisky na cały świat. Od ponad stu lat nie wstrzymaliśmy produkcji nawet na jeden dzień. Jednakże popyt w tej branży jest cykliczny, co oznacza, że mamy lata tłuste i chude. Powiem wam, co się dzieje z małymi fabrykami będącymi własnością wielkich firm, gdy nadchodzą lata chude. Znikają z rynku. Stają się obciążeniem dla firmy, zbędną pozycją po stronie „Winien” w bilansie. A ponieważ konsorcjum niezbyt na nich zależy, zamyka je. Niekoniecznie na zawsze, może na rok lub dwa, do czasu gdy popyt znowu wzrośnie. Ale fabryka przestaje działać. I wszyscy tracą pracę.

Przerwał i powiódł wzrokiem po otaczających go twarzach, starając się ocenić na podstawie ich wyrazu, czy powiedział dość, by przekonać tych ludzi.

- Teraz nie powiem już nic więcej - podjął - i z pewnością nie będę pytał was o zdanie, albowiem nie mam czasu ani miejsca po temu. Dla tych jednak, którzy zechcą się w tej sprawie wypowiedzieć, powołałam komisję zakładową. Uważam za właściwe, by reprezentowała ona interesy wszystkich pracowników gorzelni. Dlatego też zasiądą w niej Dougie Masson, Archie McLachlan i ja, jako reprezentanci pionu produkcji, administracji oraz zarządu.

David spuścił głowę. Po chwili znów ją podniósł.

- To wszystko - rzekł. - Teraz zapraszam was do Inchelvie, abyśmy tam paroma szklaneczkami whisky z Glendurnich uczcili pamięć wielkiego człowieka. Myślę, że rozumiecie już, dlaczego postanowiłem przemówić do was właśnie tutaj. To samo bowiem powiedziałby wam mój ojciec.

Ludzie potakiwali z poważnymi minami. David spojrzął na grób pod ścianą kaplicy, w którym przed chwilą spoczął jego ojciec. Dał znak grabarzom. Chwycili łopaty i zaczęli zgarniać ziemię do wykopu.

David podszedł do matki. Objął ją ramieniem.

- Przepraszam; wyszło chyba trochę zbyt górnolotnie. Może nie powinienem był jednak robić tego tutaj.

Obróciła się do niego i spojrzała mu w twarz.

- Kochanie, byłeś wspaniały. Doskonale wybrałeś porę i trafiłeś w samo sedno. Tylko twój ojciec potrafił mówić z równie wielkim uczuciem. - Spojrzała w tył, gdzie sterta ziemi szybko kurczyła się pod łopatami grabarzy. - Leży tam obok siebie dwoje ludzi, Davidzie, i oboje byliby dziś z ciebie dumni.

Ujął ją za rękę i oboje ruszyli ku bramie cmentarza, gdzie czekały na nich dzieci.

Tuż przed szóstą David pomógł ostatniemu z zataczających się lekko robotników wsiąść do wynajętego mikrobusu. Stał jeszcze przez chwilę patrząc, jak zatłoczony pojazd niknie za zakrętem alei. Zawrócił do domu, lecz zawahał się i ruszył w stronę furtki wiodącej do ogrodu. Pchnął ją, minął załom wysokiego żywopłotu i po raz pierwszy ujrzał swój różany ogród w pełnym rozkwicie. Wszystkie krzewy się przyjęły, choć sadił je w tak koszmarne warunki.

Uśmiechnął się do siebie. Istotnie, warunki były koszarne i nie odnosiło się to wyłącznie do pogody. Ruszył trawiastą ścieżką między rabatami, od czasu do czasu wyciągając rękę, by zerwać przekwitły kwiat. Wyglądało to dokładnie tak, jak planował.

Każdy włożony tu wysiłek wydał kwiat. A wszystko dla Rachel. Idealny pomnik dla upamiętnienia jej czystej, nieskalanej urody.

Pochylił się i wbił palce głęboko w ziemię, zaciskając je wokół korzeni samotnego mniszka. Chłodna lepka gleba w niczym nie przypominała piaszczystej nagrzanej słońcem, do której przywykł w Leesport. Wyrwał chwast i rzucił go na trawę. Potem roztań w palcach grudkę ziemi myśląc o dwóch tak różnych ogrodach łączących dwie tak podobne kobiety. Jedna była z nim przez lata, druga tylko chwilę; wiedział wszakże, iż ani jednej, ani drugiej nie zapomni.

ROZDZIAŁ 36

Wiatr siekł deszczem w okna biur firmy Culpepper Rowan, pędząc wodę skośnymi strużkami przez przyciemnione szyby i właczając ją w szczeliny ram okiennych. Jennifer stała z założonymi rękami i głową opartą o chłodną taflę szkła. Patrzyła z roztargnieniem na samochody przesuwane się powoli wzdłuż Piątej Alei. Wybiła dopiero trzecia, ale niebo zasnuły niskie, ciężkie chmury i wszyscy już jeździli z włączonymi światłami. Było to koszmarne przygnębiające. Na szczęście za dwa tygodnie zacznie się maj, zaświeci ciepłe słońce, a potem przyjdzie lato.

Szkoda, że zmieni się tylko pogoda, nie jej życie. W nim ciągle panowała zima - chłodna, posępna i bezbarwna. Tak było od listopada, kiedy to Alex odszedł już na dobre, a nawet wcześniej. Wysiłki zmierzające do pogodzenia się z nim wyczerpały ją bardziej niż rozstanie.

Odwróciła się od okna, zbliżyła do biurka i ciężko usiadła na krześle. Przebiegła oczyma stronę widniejącą na ekranie komputera. Zaśmiała się kwaśno. Jedna jedyna stroniczka - tyle tylko udało się jej napisać. Powinna dziś wieczorem skończyć tę ofertę, ale jej organizm nie był w stanie wydusić z siebie ani kropli twórczej adrenaliny. Czuła się tak, jakby jej mózg pływał w gęstym syropie.

Kliknęła „zapisz”, przymknęła pokrywę laptopa i oparła się wygodniej. Nie potrafiła się skoncentrować. Z dnia na dzień było coraz gorzej.

Odsunęła krzesło, wstała i ponownie ruszyła w stronę okna, kiedy ktoś zapukał do drzwi i wszedł Sam.

- Cześć - rzekł składając ręce. - Wpadłem spytać, jak ci idzie z tą ofertą.

Jennifer zerknęła na niego kątem oka i odwróciła się z powrotem do okna.

- Kiepsko, co? - zmartwił się.

Skinęła głową, nie patrząc na Sama.

- No cóż, poproszę Russa, żeby na to zerknął. Razem coś sklecimy i wyślemy im dziś faksem. - Podszedł do telefonu. - Russ? Tu Sam. Czy mógłbyś wpaść na chwilę do pokoju Jennifer? Dziękuję.

Odłożył słuchawkę i podszedł do Jennifer. Oparł się o ścianę przy oknie, wpychając rękę do kieszeni.

- Nie czujesz się zbyt dobrze, prawda?

- Przepraszam, Sam. Nie na wiele się wam przydałam w ciągu ostatniego pół roku.

Sam ujął ją za ramię.

- Nie powtarzaj wciąż tego. Robiłaś, co mogłaś. Ja to rozumiem i nie mam do ciebie pretensji; w końcu życie cię ostatnio nie rozpieszczało. Niedługo znów wrócisz do formy.

Jennifer milczała przez chwilę, patrząc w okno.

- Wątpię - powiedziała. - Jestem już całkowicie wypalona. Nie mam wam nic więcej do zaoferowania. Zaczynam dochodzić do wniosku, że powinnam cichutko się spakować i opuścić firmę. Nie możesz wiecznie mnie utrzymywać. Zresztą chyba pora, bym przetasowała swoją hierarchię wartości.

- To znaczy?

- To znaczy, że chciałabym więcej czasu spędzać w domu z Benjim i Jasmine. Tam jestem teraz najbardziej potrzebna.

Sam syknął przez zęby.

- To też rozumiem, ale prawdę mówiąc, wcale nie chcę cię stracić. - Postukał obcasem w czubek drugiego buta. - Czy... eee... kontaktowałaś się ostatnio z Alexem?

- Nie. W każdym razie nie bezpośrednio. Dwa dni temu dostałam list od jego adwokata z Dallas, który ma go reprezentować w postępowaniu rozwodowym.

Sam ponownie syknął i pokręcił głową.

- Chryste! Ależ ten facet okazał się zimnym draniem!

Jennifer uśmiechnęła się ze smutkiem.

- Nie zawsze taki był - powiedziała cicho.

- Wiem. Przepraszam. Nie powinienem był tego mówić.

W tym momencie do pokoju wszedł roześmiany Russ, kończąc rozmowę z kimś na korytarzu.

- Słucham, Sam, co mogę dla ciebie...

Sam uciszył go przykładając palec do ust i obrócił się do Jennifer.

- Rozumiem powody, dla których chcesz odejść z firmy, ale proszę, żebyś wstrzymała się z decyzją jeszcze na jakiś czas.

- Dlaczego? - Spojrzała na niego ze znużeniem.

Na twarzy Sama nagle wykwitł szeroki uśmiech.

- Dlatego... że właśnie dzwoniли do mnie z Gladwin Vintners. Kampania reklamowa

dzinu tak bardzo ich zachwyciła, że chcą, abyśmy podjęli się promocji ich whisky i wódki.

Russ wydał gromki okrzyk wojenny, uniósł rękę i plasnął nią w wyciągniętą dłoń Sama.

- Skurczybyku! Miałeś rację! Od początku miałeś rację!

- Mówiłem wam, że stać nas na to - uśmiechnął się Sam. - To była tylko kwestia czasu. I dlatego, Jennifer, nie mam zbytnej ochoty wypuścić cię z rąk. Prosili, żebyś to właśnie ty przygotowała projekt.

Jennifer potrząsnęła głową.

- To przemiłe z twojej strony, Sam, i bardzo się cieszę, że dostaliśmy to zlecenie, ale ja już po prostu nie mam w sobie tej iskry. Nie chcę, żebyście przeze mnie stracili duży kontrakt. Sami doskonale sobie poradzicie, chłopcy.

Sam jęknął z irytacją.

- Wobec tego proponuję ci taką opcję: Gladwin zaprasza nas do Londynu. Chce, żebyśmy się z nimi spotkali i przedyskutowali plan działania. Nie musimy im przedstawiać żadnych dokumentów; nie musimy im przedstawiać w ogóle niczego, wystarczy, że fizycznie będziemy tam obecni. Zależy mi na tym, abyś ze mną pojechała, Jennifer. Weź też Benjiego. - Sam wyrzucił ręce w górę nonszalanckim gestem. - A co mi tam! Zabierz również Jasmine! Zatrzymamy się w Ritzu, bo nam się to, psia krew, należy! A dopiero po spotkaniu zdecydujesz, czy chcesz odejść czy nie. No i co ty na to?

Jennifer popatrzyła na niego przez chwilę, tłumiąc śmiech.

- Wybacz, Sam. Nagle oczyma duszy ujrzałam cudowny obraz Jasmine obsługiwanej w Ritzu.

- Dlaczego nie? - Sam rozłożył ręce. - Przeszła przez to samo piekło co wy. No, proszę cię, maleńka, zrób to dla mnie.

Jennifer zastanowiła się.

- Musiałabym zwolnić Benjiego ze szkoły.

- Zrób to! - Sam zatarł ręce widząc, że jego argumenty zaczynają trafiać do celu. - Wszyscy będziemy się świetnie bawić. Jak już powiedziałem, po spotkaniu podejmiesz decyzję: tak czy siak.

- Dobra.

Sam triumfalnie klasnął w dłonie.

- Ale - ciągnęła Jennifer - nie mogę lecieć jutro. Muszę to najpierw omówić z Benjim i Jasmine, no i z dyrektorem szkoły Benjiego.

- Nie ma sprawy. I tak lecielibyśmy dopiero na początku przyszłego tygodnia. Masz

jeszcze trzy dni czasu przed weekendem. - Zajrzał jej w oczy. - A zatem zgoda?

- Zgoda - uśmiechnęła się.

- Świetnie! - Sam opuścił swoje miejsce przy oknie. Załatwię wszystko z Gladwin Vintners, zarezerwuję bilety o r a z pokoje w Ritzu. Aha, Russ... - Ujął go za ramię. - Czy byłbyś tak dobry, wziął od Jennifer kopie tej oferty, nad którą właśnie siedzi, i wydusił z niej coś, co można będzie dziś rzucić na żer klientom? Nic wielkiego; tyle, żeby zatkać im usta na dzień lub dwa.

- Jasne. - Russ skinął głową.

- Dzięki. - Sam puścił oko do Jennifer. - Zatem drzyj, Anglio, przybywamy! - co rzekłszy, dumnie zadarł głowę i wymaszerował z pokoju.

Jennifer podeszła do biurka i otworzyła swojego laptopa.

- Wybacz, że zwałam to na ciebie, Russ. Zupełnie nie wiedziałam, od czego zacząć.

Pokręcił głową.

- Nie przejmuj się. Coś tam dla nich zmontuję. Nie zapominaj, że ja też jestem geniuszem!

Jennifer wepchnęła dyskietkę do komputera, skopiowała na nią dokument i wręczyła Russowi. Stał przez chwilę, postukując dyskietką w czubki palców.

- Jak Benji znosi, hm, nieobecność Alexa?

- Nie najlepiej - Jennifer westchnęła. - Bardzo to przeżył. I tak był już przygnębiony po...

- Po wyjeździe Davida?

Spojrzała na niego zdziwiona.

- Proszę, proszę, co za intuicja! - Uśmiechnęła się. - Owszem. Od wyjazdu Davida. David był jego idolem.

- Miałaś od niego jakieś wieści?

- Tylko raz, wkrótce po ich powrocie do Szkocji. Jego ojciec zmarł tego samego dnia. Od tamtej pory ani słowa. Benji koresponduje z synem Davida, Charliem.

- Słuchaj... - zająknął się Russ, nadal postukując palcami w dyskietkę. - Może nie powinienem tego mówić, ale... chyba nie tylko Benji bardzo go polubił, prawda?

Jennifer poczuła, że się czerwieni.

- Boże, Russ, ty naprawdę wysubtelniałeś! Jeszcze rok temu mogłabym się spokojnie założyć o sto dolarów, że tego nie zauważysz! - Podeszła do okna. - Masz rację. Przyznam szczerze, że to był najbardziej wyjątkowy mężczyzna, jakiego kiedykolwiek spotkałam.

Russ milczał przez chwilę.

- Fakt - rzekł. - On naprawdę był wyjątkowy.

Jennifer obejrzała się.

- Skąd wiesz? Widziałeś go tylko raz w życiu.

- Raz wystarczył. Pamiętasz nasz mecz tenisa?

Przytaknęła ruchem głowy.

- Jakiś tydzień później oglądałem pokazowy mecz na kortach Flushing Meadows. Takie przedstawienie dla publiki, mieszanina dobrego tenisa i dobrego humoru. W drugim secie lepszy tenisista zaczął grać na swoją niekorzyść, żeby mogli przeciągnąć imprezę na trzeci set. Psuł serwy, trafiał o cal poza linię... Robił to celowo, ale tak zmyślnie, że chyba większość widzów w ogóle tego nie zauważyła. Ja tak, bo tydzień wcześniej David robił ze mną to samo.

Russ podszedł do Jennifer i zaczął się bawić sznurkiem żaluzji.

- Boże! - westchnął. - Powiem ci, że nieźle ubodło to moją dumę. Ale pomyślałem sobie, co mi tam jakiś David! Najwyraźniej nie zależało mu na wygranej. Dopiero po jakimś czasie dotarło do mnie, że umiał się poniżyć, bo w sumie był ponad to. Okazał się też wyższy ode mnie. Co więcej, uświadomił mi to bez uciekania się do demonstracji.

Puścił sznurek i zerknął na Jennifer, która przyglądała mu się z uśmiechem. Wspięła się na palce i cmoknęła go w policzek.

- W ten czy inny sposób zmienił życie nas wszystkich - powiedziała. - Wiem, że to brzmi jak cytaty z komiksu o Supermanie, ale czasem naprawdę zastanawiam się, dlaczego spośród milionów drzwi w całych Stanach Zjednoczonych zapukał właśnie do moich. - Zamknęła komputer, wyjęła przewód z gniazdka i zwinęła go, wracając do biurka. - Zresztą gdyby nie on, nie planowalibyśmy dziś wycieczki do Londynu!

- Czemu nie miałybyś się wybrać do Szkocji? - zapytał nagle Russ.

- Co? - Jennifer zamarła z laptopem do połowy wepchniętym do teczki.

- Jedź go odwiedzić! - Russ oparł się na biurku i spojrzał jej prosto w twarz. - Zrób to! Jeśli potrzebny ci pretekst, powiedz, że Benji chciał się z nim zobaczyć.

Jennifer milczała przez chwilę, potem z uśmiechem potrząsnęła głową.

- Nie, Russ, nie mogę. Nawet nie wiem, jak on tam żyje. Chcę powiedzieć, że tam wszystko może wyglądać zupełnie inaczej. To była cudowna, niezapomniana znajomość, lecz przelotna, wyrwana z kontekstu.

Russ spojrział na trzymaną w rękę dyskietkę.

- Może i tak. Pewnie jestem zbyt impulsywny. Ale słuchaj: wybieram się z wami do Londynu, więc gdybyś zmieniła zdanie, możesz jechać, gdzie chcesz; ja cię zastąpię. Zgoda?

- Zgoda, Russ. - Jennifer zapięła teczkę. - Ale raczej nie zmienię zdania.

Russ wyprostował się i ruszył w stronę drzwi.

- Kto wie? W Wielkiej Brytanii też jest mnóstwo drzwi. Może przeznaczenie zaprowadzi cię do niego. - Uśmiechnął się i pomachał dyskieta. - Lepiej już pójde i wezmę się do roboty.

- Russ?

Zatrzymał się z dłonią na klamce.

- Dzięki - szepnęła Jennifer.

W odpowiedzi niedbale machnął ręką i wyszedł.

Jennifer wykręciła numer domu w Leesport.

- Jasmine? Cześć, tu Jennifer. Słuchaj, nie dziw się, ale musisz jak najszybciej wyrobić sobie paszport...

ROZDZIAŁ 37

Wysoki portier w niebieskim uniformie zręcznie jak fordanser zapląsał wokół tęgiej ciemnoskórej kobiety próbującej wydostać się z taksówki, która właśnie przystanęła na zalanym jaskrawym porannym słońcem podejździe przed hotelem Ritz. Portier miał poważny problem: nie wiedział mianowicie, jak pomóc sapiącej z wysiłku kobiecie tak, by zarazem jej nie uszkodzić ani nie obrazić. W końcu zaparł się o drzwi i mocno uchwycił wyciągniętą z samochodu dłoń, na oślep szukającą oparcia. Tym razem pomogło; uwolniona Murzynka obdarzyła go szerokim uśmiechem.

- Pięknie panu dziękuję. Do tych waszych taksówek łatwiej wsiąść niż z nich wysiąść.

- Owszem, bywają ciut niewygodne - bąknął dyplomatycznie portier i przeszedł na drugą stronę samochodu, by zająć się czworgiem pozostałych pasażerów.

Znalazłszy się w holu Jasmine nie mogła powstrzymać westchnienia. Z otwartymi ustami rozejrzała się po urządzonym z przepychem wnętrzu.

- Fiu, fiu! To rzeczywiście wyższe sfery! - sapnęła.

- Tylko bardzo cię proszę, nie zacznij snuć projektów, jak można by zmienić wystrój domu w Leesport! - zaśmiała się Jennifer. Otworzyła torebkę i wyjęła z niej paszporty całej trójki. - Czy mogłabyś rzucić okiem na Benjiego? - dodała, zmierzając ku ladzie recepcji. - Wołałabym, żeby nie zwiedzał Londynu na własną rękę.

Ładna młoda recepcjonistka wręczyła Samowi formularz meldunkowy.

- Proszę to wypełnić... pan Culpepper, tak? Pan Hogan... pani Newman z synem... Czy jest z państwem również panna Washington?

- Ja go wypełnię - zaoferowała się Jennifer. - Panna Washington opiekuje się teraz moim synem.

- Czy zna pani numer paszportu panny Washington?

- Bez obaw, mam tu wszystkie - Jennifer uniosła trzymane w ręce dokumenty.

Kiedy formularze zostały wypełnione, recepcjonistka przeprowadziła ich przez hol i powierzyła wprawnej opiece naczelnego portiera. Ten wyjął z przegródek kilka kluczy.

- Mieszkacie państwo wszyscy na trzecim piętrze. Pan Culpepper w pokoju numer

410, pan Hogan 416, pani i panicz Newman 422, a panna Wshington 427. Boy zaraz państwa zaprowadzi. Bagaże zostaną zaniezione wprost do państwa pokoi.

Wezwany boy otrzymał klucze i ruszył przodem, prowadząc całą grupę do windy znajdującej się w kącie obok klatki schodowej.

Jennifer rozejrzała się nerwowo. Na szczęście Jasmine i Benji byli w zasięgu wzroku; szli wolno przez hol, bezwstydnie gapiąc się na wszystko i wszystkich.

- Chodźcie - ponagliła ich. - Jedziemy do naszych pokoi.

Uświadamiając sobie, że wszyscy nie zmieszczą się w windzie, Sam odsunął się na bok i ujął Russa za łokieć.

- Pójdziemy pieszo. Trochę ruchu dobrze nam zrobi. - Odwrócił się do Jennifer. - W samolocie przyszło mi do głowy, że jednak powinniśmy z Russem spisać parę pomysłów na jutrzejsze spotkanie. Weź Benjiego i Jasmine na wycieczkę po mieście. Spotkamy się w barze około szóstej, dobrze?

- Na pewno nie będę wam potrzebna?

- Na pewno. - Sam z uśmiechem potrząsnął głową. - Gdybyś ty jednak czegoś potrzebowała, będziemy w hotelu. Pokój 410 albo 416.

- Dobrze. Dzięki, Sam. - Jennifer wepchnęła się za Jasmine do ciasnej windy.

- Już? - Benji spojrzał na boya z palcem wycelowanym w guzik trzeciego piętra.

- Już - przytaknął boy i Benji ceremonialnie nacisnął guzik.

Zdążyli odpocząć ledwie pół godziny. Benji rwał się do zwiedzania, tak więc, wstąpiwszy po Jasmine, ruszyli spacerkiem wzdłuż Piccadilly w kierunku Green Park. Naprzeciw stacji metra wsiedli do piętrowego autobusu wycieczkowego i mimo że wiatr był przenikliwie zimny, na prośbę Benjiego usadowili się wszyscy na niezadaszonym górnym pokładzie. Jennifer i Jasmine, skulone, otulały się szczelnie płaszczami, za to Benji uszczęśliwiony biegał z prawa na lewo, oglądając anonsowane przez przewodnika znane miejsca - Hyde Park Corner, pałac Buckingham, Whitehall, parlament... Zanim dojechali Nabrzeżem Wiktorii do Tower, Jasmine, która cały czas dzielnie udawała, że bawi się znakomicie, wykazywała już pierwsze objawy hipotermii - była szara jak popiół i nie mogła opanować dreszczy. Zrezygnowali więc z autobusu na rzecz bardziej zacisznego metra i dotarłszy na Baker Street, resztę przedpołudnia spędzili oglądając bez pośpiechu woskowe figury madame Tussaud i pstrykając Benjiemu zdjęcia z każdą znaną postacią.

O wpół do trzeciej, powłóczęc obolałymi nogami, wrócili do hotelu. Ignorując głośne protesty Benjiego, który już był gotów do dalszych eskapad, obie panie zaszyły się w pokojach, by nabrać sił na resztę dnia.

- Ale ja się będę nudził! - jęknął rozpaczliwie Benji, rzucając się na łóżko.

- Nie każe ci spać. - Jennifer wyjęła z walizki kosmetyczkę i ruszyła do łazienki. - Włącz sobie telewizor. Musisz trochę odpocząć, bo wieczorem padniesz jak przekłuty balonik.

- Nieprawda! - Benji sięgnął po pilota. - Wcale nie jestem zmęczony.

Przerzucił szybko kilka kanałów. Nadawano stary czarno-biały film wojenny, jakiś australijski serial, program dla amatorów dobrej kuchni i wiadomości zatytułowane „Dziś w Westminsterze”.

- Nic nie ma! - zawołał.

- Nie marudź, Benji! - odskrzyknęła Jennifer znad umywalki. - Miałeś już dziś dość atrakcji jak na pół dnia. Wybierz sobie coś.

- Same nudy! - oznajmił głośno Benji, cisnął pilota na łóżko, a potem wepchnął głowę w poduszkę i stanął na niej, opierając się nogami o ścianę i przy okazji przekrzywiając wiszący nad łóżkiem obraz przedstawiający konia w pełnym galopie. Z telewizora sączył się dziwnie akcentowany kobiecy głos:

Witamy państwa w programie „Dziś w Westminsterze”. Na początek transmisja na żywo z Izby Lordów, gdzie od dwóch dni toczy się wyjątkowo gorąca debata na temat przedstawionego przez rząd projektu ustawy o spółkach. Pod dyskusję zgłoszono sto dwadzieścia poprawek.

- Nuududy! - Benji opuścił nogi i po chwili znów stanął na głowie. - Mamo?

- Tak?

- Co to jest Izba Lordów?

Jennifer pojawiła się w drzwiach łazienki, ocierając twarz ręcznikiem, i zerknęła na ekran.

- Najprościej można ją porównać do Senatu. Wiesz, że w Stanach mamy Kongres i Senat. Kongres jest odpowiednikiem Izby Gmin, a Senat Izby Lordów. Nazywa się to wyższą izbą parlamentu. Mijaliśmy dziś parlament, pamiętasz? - Uśmiechnęła się i wróciła do łazienki.

- Po co to puszczacie w telewizji? - sarknął Benji, nie zmieniając pozycji. - Przecież nikt tego chyba nie ogląda!

Przechodzimy do poprawki dwudziestej czwartej. Lord Inchelvie. - Kamera zrobiła najazd, prezentując Benjiemu odwróconą do góry nogami postać mężczyzny w długiej białej peruce, siedzącego na wielkiej czerwonej sofie.

- Laaard Inchelvie. - Benji przedrzeźnił mówcę. - Laaard Inchelvie.

Pragnę zwrócić uwagę waszych lordowskich mości na pewien aspekt ustawy, ujęty na stronie pięćdziesiątej pierwszej, wiersz siódmy. Dotyczy on fuzji dwóch spółek, przy czym zakłada się, że zwierzchnik każdej z nich...

Benji opadł na łóżko, z namysłem wsłuchując się w głos płynący z odbiornika.

Przeoczono fakt, iż nawet w krótkim okresie struktura zarządu firmy może zostać utajniona...

Benji zeskoczył z łóżka i podbiegł do telewizora, starając się rozpoznać twarz mówcy, filmowaną teraz z dużej odległości. To nie był żaden lord Inchel... jak mu tam! To David! To jego głos!

Kamera ponownie najechała na twarz mężczyzny w białej peruce. Benji podskoczył i zamachał rękami w powietrzu, z podniecenia nie mogąc wydobyć głosu. W końcu wrzasnął:

- Mamó!!!

Jennifer wypadła z łazienki z opaską na włosach i twarzą wysmarowaną kremem.

- Co się stało?! - zawołała przestraszona.

Benji wskazał na telewizor.

- To David! Patrz, to David! Jest w telewizji! W Izbie Lordów! Popatrz tylko! - Złapał ją za śliską od kremu rękę i pociągnął przed ekran. - To David, prawda? Ubrany jak do filmu, ale to on!

Jennifer z wolna obróciła się do ekranu i przyjrzała wysokiej wyfraczonej postaci. Na dźwięk znajomego głosu serce jej zatrzępotało, a twarz rozplynęła się w uśmiechu.

- To on - przyznała ze zdumieniem.

- Chodźmy! - Benji pociągnął ją w stronę drzwi.

- Dokąd? - roześmiała się.

- Do Izby Lordów! To niedaleko, przejeżdżaliśmy dziś obok!

Jennifer uwolniła dłoń z jego uścisku. Potrząsnęła głową.

- Benji, to na pewno nagranie. Davida teraz tam nie ma!

- A właśnie że jest! - wykrzyknął zniecierpliwiony chłopiec. - Mówili, że nadają na żywo!

Jennifer znów zagapiła się na ekran telewizora.

- Na żywo? - powtórzyła.

- Tak!!! No chodźże, mamó, zanim nie skończy! Musimy się z nim zobaczyć!

Zbliżenie kamery objęło teraz twarz Davida, uśmiechniętą po jakiejś żartobliwej przyganie lorda z przeciwnej strony izby. Tak dobrze знаła tę twarz, ten uśmiech...

- Czekaj! - Pobiegnęła do łazienki, złapała ręcznik i wpadła znów do sypialni, wycierając

krem z twarzy. - Albo nie, pędź do recepcji, niech zamówią taksówkę. Ja zaraz zejść, muszę tylko uprzedzić Jasmine i Sama.

Benji już był w drzwiach. Z korytarza dobiegł jego tupot i głośny okrzyk: „Do Izby Lordów!” Jennifer podniosła słuchawkę i wykręciła numer pokoju Jasmine.

- Halo, tu Jasmine - odezwał się senny głos.

Jennifer uśmiechnęła się do siebie, zastanawiając przelotnie, czy Jasmine każdemu się tak przedstawia.

- Mówi Jennifer. Słuchaj, wychodzimy teraz z Benjim.

- Dokąd?

- To niespodzianka. Powiem ci, kiedy wrócimy.

- Mhm. - W głosie Jasmine nie było nawet cienia zainteresowania. - Wobec tego obudźcie mnie, jak wrócicie.

- Dobrze. - Jennifer nacisnęła widełki i wybrała numer Sama. Odebrał Russ.

- Russ? Tu Jennifer.

- Cześć. Coś taka podekscytowana?

- Przed chwilą widziałam w telewizji Davida! Przemawiał w Izbie Lordów. Na żywo! Na drugim końcu przewodu zapadła cisza.

- Russ, jesteś tam?

- Tak, skarbie, przepraszam. David jest w Londynie?

- Tak!

- A co ci mówiłem?! Wygląda na to, że trafiłaś do właściwych drzwi. Jedź tam, dziewczyno! Zostaw wszystko i pędź! Sam i ja damy sobie radę ze spotkaniem. Zresztą o czym ja w ogóle mówię? Zapomnij o spotkaniu, Jennifer. Zapomnij o nas. Pędź!

- Wytłumaczysz mnie przed Samem?

- Już wie. Siedzi tu i kiwa głową tak, że omal jej nie urwie.

Jennifer roześmiała się, łykając łzy wzruszenia.

- Dobra. Jadę!

- Powodzenia, staruszko - rzekł Russ serdecznie.

- Dzięki, Russ.

Odłożyła słuchawkę i pobiegła do drzwi. Po chwili wróciła się pędem po torebkę. Zerknęła w telewizor, gdzie David znów przemawiał, posłała mu całusa i wybiegła z pokoju.

Benji siedział już w taksówce, podrygując ze zniecierpliwienia. Jennifer pospiesznie wskoczyła do samochodu i gdy nachyliła się do kierowcy, chłopiec wpadł jej w słowo:

- Powiedziałem już panu, gdzie chcemy jechać! Mówi, że trafi!

- Mam nadzieję! - zaśmiała się Jennifer, wyjęła z torebki puderniczkę i szminkę, po czym wcisnęła się w róg fotela koło drzwi, by podeprzeć trzęsącą się rękę.

Nim minęli Whitehall, skończyła się malować, jednym uchem słuchając gorączkowych domysłów Benjiego, dlaczego David Corstorphine został nagle lordem Inchelvie (czy jak mu tam). Taksówka zatrzymała się przed gmachem parlamentu obok pomnika mężczyzny na koniu. Kierowca odsunął szybkę.

- Chcecie iść do Izby Lordów?

- Tak. - Jennifer wyjęła z torebki dziesięciofuntowy banknot.

- Tam jest kolejka. - Taksówkarz wskazał odgradzony sznurami fragment chodnika. - Nie ma dziś wielu chętnych, powinniście wejść z następną grupą.

- Dzięki. - Podała mu banknot. Sięgnął do kieszeni po drobne, lecz pasażerowie stali już na chodniku. Jennifer obejrzała się wołając z uśmiechem: - Proszę zatrzymać resztę! Mam dziś dobry dzień!

- Byle tak dalej! - odkrzyknął rozbawiony.

Ledwie stanęli w kolejce, z budynku wyszedł mężczyzna w uniformie, odpiął sznur i zaczął wpuszczać zwiedzających. Znaleźli się w wielkim holu, posuwając się gęsiego między posągami dawnych mężów stanu. U stóp schodów zostali zatrzymani i uprzejmie poinformowani, że będą musieli poczekać, aż poprzednia grupa zwiedzających opuści galerię dla publiczności. Bynajmniej niespieszony Benji przeszedł do przodu i oznajmił:

- Przepraszam pana, ale moja mama i ja znamy jednego lorda i chcemy się z nim zobaczyć.

W kolejce rozległy się śmieszki, a mężczyzna w uniformie nachylił się do chłopca i odparł z powagą:

- Obawiam się, że będziesz musiał jednak poczekać, kawalerze, mimo że masz znajomych pośród parów królestwa.

Zawiedziony Benji powłócząc nogami wrócił do matki. Oparł się o cokół najbliższego posągu, nie spuszczać oczu ze schodów. Pięć minut później pojawili się na nich pierwsi wychodzący. Benji westchnął niecierpliwie, uświadamiając sobie że, nie uda im się wejść tak szybko, jak by chcieli, i obrócił się, chcąc przeczytać napis na cokole.

- Benji?!!! - Głośny okrzyk poniósł się nad głowami oczekujących i wszyscy, nie wyłączając portiera, podnieśli wzrok. Na schodach, mocno uchwyciwszy się poręczy, stał jak wryty Charlie, skutecznie blokując zejście siostrze i idącej za nimi grupie.

- Charlie! Sophie! Harriet! - wrzasnął Benji i pędem runął ku schodom, z których

zbiegali już jego przyjaciele, bezceremonialnie przepychając się przez tłum.

Spotkali się u stóp schodów; przystanęli naprzeciw, mierząc się wzrokiem z niedowierzającymi uśmiechami na twarzach.

- Co ty tutaj robisz? - zapytał osłupiały Charlie.

- Widzieliśmy z mamą w telewizji twojego tatę. Przyszliśmy się z nim spotkać!

- Twoja mama też tu jest? - Sophie rozejrzała się dookoła. Dostrzegłszy wychyloną z kolejki Jennifer, podbiegła i rzuciła jej się na szyję.

- Ale co wy tu robicie? - spytał nie mniej zdziwiony Benji. - Myślałem, że siedzicie w szkole!

- Bo tak jest, ale babcia zwolniła nas na dwa dni, żebyśmy mogli zobaczyć, jak tato przemawia w Izbie Lordów.

Benji zerknął mu przez ramię i zobaczył wysoką starszą panią, która schodziła ze schodów przytrzymując Harriet za rękę. Charlie obejrzał się.

- Babciu, to jest Benji, mój przyjaciel z Ameryki! Przyjechał do Londynu!

- Widzę, kochanie! - zaśmiała się starsza pani, wyciągając rękę do Benjiego. - Jak się masz, Benji! Miło mi cię poznać.

Benji uściśnął jej dłoń i odsunął się na bok, robiąc miejsce matce, która podeszła z Sophie.

- Babciu, to jest Jennifer - przedstawiła ją uradowana dziewczynka.

Alicja uśmiechnęła się ciepło do Jennifer i ucałowała ją w oba policzki.

- Tak się cieszę, że nareszcie mogę cię poznać, moja droga. Wiele o tobie słyszałam i od Davida, i od Sophie. - Odstąpiła o krok, ze zdumieniem potrząsając głową. - Nie do wiary, że się tu spotykamy! Benji pociągnął matkę za rękę.

- Mamo, mogę iść z Charliem pooglądać Davida? Charlie zna drogę.

- Za chwilę, kochanie. Ludzie wciąż jeszcze schodzą z góry.

Alicja wtrąciła się:

- Zobaczą, może uda mi się pociągnąć kilka sznurków. - Podeszła do portiera i półgłosem zamieniła z nim parę słów. Mężczyzna skinął głową i podszedł wraz z nią do reszty towarzystwa. Alicja oznajmiła: - Ten bardzo miły pan zaprowadzi was na galerię. Tylko pamiętaj, Charlie, macie być cicho jak myszki!

- Jasne! - wykrzyknął Charlie i puścił się biegiem po schodach. Za nim popędził Benji, za nimi zaś, posapując z wysiłku, szedł spieszenie starszawy portier.

Przed wejściem następnej grupy zwiedzających galeria była zupełnie pusta. W ciszy jaka tu panowała, słyhać było jedynie namaszczonego głos mówcy ze znajdującej się poniżej

sali. Porządkowy usadził obu chłopców w pierwszym rzędzie i stanął obok nich. Charlie dyskretnie wskazał Benjiemu ojca. Chłopiec wiercił się w miejscu, bezskutecznie próbując zwrócić uwagę Davida; w końcu zapytał szeptem:

- Nie możemy go zawołać?

- Nie, to zabronione - odparł poważnie Charlie, szepcząc mu wprost do ucha. - Babcia mówi, że nie wolno nawet machać.

- To jak mamy dać mu znać, że tu jesteśmy?

- Nijak. Musimy czekać, aż sam nas zauważy.

Benji powiódł wzrokiem po sali, przyglądając się kolejno każdemu z zebranych lordów.

- On tu jest najmłodszy! - skostatował.

Charlie zakrył usta, tłumiąc chichot.

- Babcia mówi, że niektórzy siedzą tu już tak długo, że zdążyli obrosnąć pajęczyną!

Benji pospiesznie zatkał ręką buzię, lecz wyrwało mu się głośne parsknięcie. Obejrzał się skruszony na mężczyznę w uniformie, który znacząco przyłożył palec do ust.

David wszakże wcale nie patrzył na galerię. Benji przesuwiał się to w tę, to w tamtą stronę - na próżno. Zupełnie jak gdyby był niewidzialny. Tego było mu za wiele. Wstał.

- David!!! - wrzasnął.

Charlie złapał go za rękę i ściągnął za osłonę balustrady. Głowy lordów podniosły się w stronę galerii, rozległy się głośne pomruki: „Cisza! Cisza!” Porządkowy lekko zdzielił chłopca w kark i wskazał mu drzwi. Ale było już za późno. Benji dopiął swego. Zaskoczony David dostrzegł jeszcze, jak rozpromieniony chłopiec macha mu z galerii, nim go wyprowadzono. Na Boga, to Benji! Ale skąd on tutaj? Nad balustradą pojawiła się głowa Charliego; dał ojcu znak, żeby wyszedł. David pokręcił głową z niedowierzaniem i zerknął dookoła - wszystkie oczy patrzyły teraz na niego. Przekazał dokumenty parowi siedzącemu tuż przed nim, wstał i starając się nadmiernie nie spieszyć, ruszył do wyjścia.

W głównym holu znalazł się jednocześnie z dwójką winowajców. Benji natychmiast wyłowił go spośród tłumu, podbiegł i mocno objął w pasie. David przytulił go, pochylił się i ucałował chłopca w czubek głowy.

- Benji - rzekł ze śmiechem - jakim cudem się tu znalazłeś?

- Zobaczyliśmy cię w telewizji. Mieszkamy w Ritzu, włączyłem telewizor i tam byłeś ty - tłumaczył nieskładnie chłopiec, wyplątując się z jego objęć. - Zmieniłeś nazwisko!

- W zasadzie tak. „My” to znaczy kto?

- Mama, Jasmine i ja.

- Wszyscy jesteście w Londynie?

- Aha. Jasmine została w hotelu, ale mama gdzieś tu jest, czekaj... - Benji obrócił się i rozejrzał po zatłoczonym holu.

- Tam są! - wykrzyknął Charlie i wraz z Benjim puścił się biegiem w stronę drzwi, przy których stała Jennifer rozmawiając z Alicją i Sophie.

David ruszył za nimi wolniej, ze wzrokiem utkwionym w Jennifer. Gdy dopadli do niej chłopcy, obejrzała się i uśmiechnęła szeroko na widok Davida.

Stanął przed nią.

- Cześć - rzekł skrzepowany, odruchowo szukając dłońmi kieszeni.

- Cześć - odpowiedziała cicho Jennifer, obiema rękami ściskając przed sobą torebkę.

Alicja wzięła Sophie pod ramię i puszczając do niej znacząco oko zagarnęła resztę dzieci do wyjścia z budynku.

- Co słyszać? - zagadnął David, czując przyklejony do twarzy głupawy uśmiech.

Jennifer wzruszyła ramionami.

- Jakoś leci.

- I, eee... udało się wam jakoś dogadać?

Potrząsnęła głową.

- Nie, to już skończone. Naprawdę próbowałam, ale w listopadzie odszedł od nas na dobre.

- Skończony kretyn - mruknął David spuszczać wzrok, żeby Jennifer nie zobaczyła w nim ulgi. Potem wyprostował się i zaśmiał pełną piersią. - Jak długo zamierzacie zostać w Londynie?

- Jeszcze nie wiem.

David odpowiedział na pozdrowienie kogoś, kto ich minął, i spojrzął na nią z powagą.

- A nie miałybyś... to znaczy, nie mielibyście ochoty zobaczyć Szkocji?

Jennifer trawiła to w myśli przez chwilę, potem skinęła głową.

- Pewnie tak... - bąknęła. - Nie mamy sprecyzowanych planów.

Stali dalej w milczeniu, nie spuszczać z siebie wzroku. Jennifer wzięła głęboki oddech.

- Zmieniłeś zawód? - podjęła z wysiłkiem. - Z ogrodnika na lorda?

Pokiwał głową, unosząc lekko brwi.

- Istna powieść! - Jennifer zaśmiała się z niedowierzaniem. - Jeszcze nigdy nie miałam do czynienia z lordem. Jak mam się zachować? Może powinnam dygnąć?

- Ustawy tego nie precyzują - rzekł, obejmując ją w pasie i przyciągając do siebie. -

Przypuszczam, że w tej sytuacji najodpowiedniejszy będzie długi, namiętny pocałunek.

Szpakowaty portier, który po raz kolejny wspinał się mozolnie schodami na galerię, przystanął i rozejrzał się po holu, zdziwiony zapadłą w nim nagle ciszą.